

Susan Dennard

PRAWDODZIEJKA

*Zróbcie miejsce na półce z ulubionymi książkami
– Prawdodziejka wejdzie do kanonu.
Sarah J. Maas*

SON
imaginatio

Susan Denhard
PRAWDODZIEJKA

tłumaczenie:
Regina Kołek i Maciej Pawlak

Kraków 2016

Mojej więziosiostrze, Sarze



Czaroziemie
(STAN W 19. ROKU TRWANIA ROZEJMU)

LUSQUE

SVODEN

Morze P

BALMA

PRAGGA

PRASTUDNIA
CARTORRY

IMPERIUM

SOFY
OCHYNSKI

PORTOLLA

OSADA MIDENZI

VENAZA

IMPERIUM
DALMOCKI

KRIT

Śródmoże

ILLYRIA

WIEK

POCZĄTEK

OGNIEN

ZIEMIA

ROZDZIAŁ 1

Wszystko poszło kompletnie nie tak. Żaden z pochopnie wymyślonych przez Safiyę fon Hasstrel planów zorganizowania zasadzki nie rozwijał się po jej myśli. Po pierwsze, ten czarny powóz z błyszczącą złotą chorągwią nie był tym celem, na który Safi i Iseult czekały. Co gorsza, za nim podążało osiem rzędów strażników miasta mrużących oczy w świetle południowego słońca.

Po drugie, Safi i Iseult nie miały się gdzie podziać. Siedziały na wapiennej skale, poniżej której biegła zakurzona jedyna droga do Veñazy. Dalej rozpościerało się bezkresne turkusowe morze. Siedemdziesiąt stóp klifu, o który rozbijały się wzburzone fale i jeszcze bardziej wzburzone wiatry.

I po trzecie, chyba najgorsze, gdy tylko strażnicy dotrą do zakopanej pułapki przygotowanej przez dziewczyny, a schowane pojemniki z prochem zaczną eksplodować... cóż, wtedy na bank przeczeszą to zbocze cal po calu.

– Niech to szlag, Is. – Safi złożyła lunetę. – W każdym rzędzie czterech strażników. Osiem rzędów razy cztery jest... – Na jej twarzy pojawiły się zmarszczki. – Piętnaście, szesnaście, siedemnaście...

– Trzydzieści dwa – powiedziała oschle Iseult.

– Trzydziestu dwóch po trzykroć przeklętych strażników z trzydziestoma dwoma po trzykroć przeklętymi kuszami.

Iseult skinęła i zsunęła kaptur brązowej peleryny. Słońce rozświetliło jej twarz. Była zupełnym przeciwieństwem Safi: nosiła czarny jak noc warkocz, podczas gdy na ramiona Safi opadały kosmyki o odcieniu jasnopszenicznym, jej księżycowo blada skóra kontrastowała z ciemną opalenizną towarzyszki, oczy miała piwne, a Safi niebieskie.

Te piwne oczy skierowały się teraz na Safi.

– Nie chcę mówić: „A nie mówiłam”.

– No to nie mów.

– Ale... wszystko to, co powiedział ci wczorajszej nocy, było kłamstwem. Z pewnością nie interesowała go zwykła gra w karty. – Iseult odliczyła do dwóch na palcach w rękawiczce. – Nie miał zamiaru wyjechać rankiem na północ. I założyę się – uniosła trzeci palec – że nawet nie nazywał się Caden.

Caden. Jeśli... nie, kiedy Safi znajdzie tego Rzeźbimieszka, połamię mu każdą kość jego idealnej twarzy. Jęknęła i oparła głowę o skałę. Straciła wszystkie pieniądze. Nie jakieś pieniądze, tylko wszystkie.

Zeszłej nocy po raz pierwszy Safi postawiła całe ich oszczędności na grę w karty. Nigdy wcześniej nie przegrała, jak mówi przysłowie: „Prawdodziejki nie oszukasz”.

Ponadto wygrana w zaledwie jednej rundzie o najwyższą stawkę w grze taro umożliwiłaby im opłacenie własnego lokum w Veñazie. Koniec z mieszkaniem Iseult na poddaszu, koniec z dusznym pokojem gościnnym Mistrza Jedwabnej Gildii, który zajmowała Safi.

Ale, jak zdecydowała Pani Los, Iseult nie mogła dołączyć do Safi – pochodzenie zabroniło jej wstępu do gospody, gdzie odbywała się gra. A bez swojej więziosiostry Safi była podatna na... błędy.

W szczególności na te związane z osobą pewnego posiadacza wyrazistej szczęki i fałszywego języka, który zasypywał Safi komplementami – jakimś cudem nierozpoznanymi przez jej prawdodziejstwo. Niestety nie wykryła ani krzty kłamstwa w słowach Rzeźbimieszka, kiedy zabierała swoją wygraną z wewnętrznego banku... Ani kiedy objął ją ramieniem i poprowadził w ciepłą noc... Ani tym bardziej wtedy, kiedy nachylił się i zostawił niewinny, aczkolwiek mocny pocałunek na jej policzku.

– Nigdy więcej nie tknę się hazardu – zarzekła się, uderzając stopą o kamień. – I nigdy więcej nie będę flirtować.

– Jeśli zamierzamy tam dobiec – powiedziała Iseult, przerywając rozmyślenia Safi – musimy to zrobić, zanim strażnicy dotrą do naszej pułapki.

– Co ty nie powiesz? – Safi rzuciła ponure spojrzenie więziosiostrze, która obserwowała strażników przez lunetę. Wiatr targał czarne włosy Iseult, unosząc kosmyki, które wysunęły się jej z warkocza. W oddali wstrętnie zaskrzeczała mewa.

Safi nienawidziła mew – zawsze musiały narobić jej na głowę.

– Więcej strażników – mruknęła Iseult. Fale niemal zagłuszyły jej słowa, więc dodała głośniejszym głosem: – Dwudziestu kolejnych strażników nadchodzi od południa.

Safi wstrzymała oddech. Nawet jeśli ona i Iseult byłyby w stanie podjąć równą walkę z trzydziestoma dwoma strażnikami przy powozie, to tych kolejnych dwudziestu dorwałoby je, nim zdołałyby uciec.

Prawdopodobnie poprzysięgła w duchu zemstę. Z jej ust posypały się wszelkie znane jej przekleństwa.

– Mamy dwa wyjścia – zaczęła Iseult, przysuwając się do Safi. – Albo się poddamy...

– Po trupie mojej babki – fuknęła Safi.

– Albo spróbujemy dotrzeć do strażników, zanim dojdą do pułapki. Wtedy pozostanie nam tylko stawić im czoła.

Safi zerknęła na Iseult. Twarz jej więziosiostry wyrażała obojętność – jak zawsze. Jedynym, co zdradzało, że przyjaciółka się stresuje, było charakterystyczne marszczenie nosa co kilka sekund.

– Jak będzie po wszystkim – dodała Iseult, ponownie naciągając kaptur i ukrywając twarz w ciemności – zadziałamy zgodnie z planem. A teraz się pośpiesz.

Drugi raz nie trzeba było Safi powtarzać, przecież to dla niej oczywiste, ale ripostę zachowała dla siebie. Po raz kolejny wychodziło na to, że Iseult będzie ratować ich skórę. Ponadto gdyby Safi ponownie usłyszała „A nie mówiłam”, udusiłaby swoją więziosiostrę, a jej zwłoki zostawiłaby krabom pustelnikom.

Iseult zeskoczyła na piaszczystą drogę, a Safi, zaraz po tym, jak zgrabnie wylądowała tuż obok niej, a wokół ich butów uniósł się kurz, wpadła na pewien pomysł.

– Zaczekaj, Is. – Jednym ruchem zdjęła pelerynę i szybkim nacięciem noża oderwała kaptur. – Spódnica i chusta. Będziemy wyglądać jak wieśniaczki.

Iseult zmrużyła oczy. Padła na ziemię.

– Ale wtedy zobaczą nasze twarze. Wetrzyj ziemię w policzki, ile tylko się da. – Kiedy Iseult rozcierała błoto na buzi, Safi zdjęła jej kaptur i owinęła pelerynę wokół talii, zakrywając nią pochwy na miecze, po czym również zaczęła się brudzić.

Po minucie były już gotowe. Safi zmierzyła towarzyszkę baczным spojrzeniem – wyglądało na to, że przebranie prezentowało się całkiem nieźle. Jej więziosiostra przypominała wieśniaczkę rozpaczliwie potrzebującą kąpieli.

Safi, wstrzymując oddech, przeskoczyła wapienny kamień, po czym wypuściła powietrze z płuc i dziarsko ruszyła przed siebie. Strażnicy byli jakieś trzydzieści kroków od zakopanego ładunku. Pomachała nieudolnie wąsaczowi na przedzie. Podniósł rękę, a pozostali natychmiast się zatrzymali. Po kolei, jeden za drugim, wycelowali kusze w kierunku dziewczyn.

Kiedy Safi dotarła do sterty kamyków, które znaczyły miejsce pułapki, wykonała lekki, niepozorny podskok, wyrównując stopą zaznaczone miejsce. Zmierzająca obok Iseult powtórzyła jej ruchy. Wtedy wąsacz – bez wątpienia przywódca – podniósł swoją kuszę.

– Stać!

Safi zatrzymała się posłusznie, wyrównując jednocześnie jak największą ilość kamyków.

– Onga? – powiedziała, co w arythuańskim oznaczało „tak”. W końcu, skoro miały być wieśniaczkami, równie dobrze mogłyby być wieśniaczkami zagranicznymi.

– Mówicie po dalmocku? – zapytał przywódca, spoglądając na Safi, następnie przeniósł wzrok na Iseult, która niezdarnie zatrzymała się przy przyjaciółce.

– My mówić. Mały. – Była to zdecydowanie najgorsza próba komunikowania się z arythuańskim akcentem w wykonaniu Iseult, jaką Safi kiedykolwiek słyszała.

– Mamy... kłopoty? – Safi uniosła ręce w uległym geście. – My tylko idziemy do Veñazy.

Gdy Iseult zakasłała nerwowo, Safi miała ochotę ją udusić. Nic dziwnego, że to właśnie Is przejmowała rolę kieszonkowca, Safi miała skupiać na sobie całą uwagę, bo jej przyjaciółka była beznadziejną aktorką.

– Potrzebujemy miejskiego uzdrowiciela – powiedziała pośpiesznie Safi, zanim Iseult zdołałaby zebrać się na kolejny udawany atak kaszlu. – Ona prawdopodobnie ma dżumę. Nasza matka na to umarła i też tak straszliwie kaszlała pod koniec życia. Wszędzie było tyle krwi...

– Dżumę? – przerwał jej strażnik.

– Och, tak. – Safi skinęła porozumiewawczo. – Moja siostra jest bardzo chora.

Iseult znowu zakaszłała, ale tym razem tak przekonująco, że Safi najpierw się wzdrygnęła, a potem objęła siostrę.

– Tak, tak, potrzebujesz uzdrowiciela. Chodź, zaraz się tobą zajmę.

Strażnik odwrócił się do mężczyzn i krzyknął:

– Wracać do szeregu! Kontynuować marsz!

Żwir zazgrzytał, rozbrzmiał odgłos kroków. Dziewczyny ruszyły przed siebie, mijając strażników. Żaden z nich najwyraźniej nie był zainteresowany dżumą wieśniaczki.

Gdy mijaly czarny powóz, jego drzwi nagle się otworzyły. Odziany w szkarłatne szaty, pomarszczony na twarzy stary mężczyzna wychylił się na zewnątrz. Wyglądał groźnie.

Był to przywódca Złotej Gildii, człowiek o imieniu Yotiluzzi, którego Safi widziała z daleka ubiegłej nocy. Najwyraźniej jej nie rozpoznał – rzucił w jej kierunku tylko pobieżne spojrzenie i krzyknął piskliwym głosem:

– Aeduan! Zabierz stąd te zagraniczne śmieci!

Zza tylnego koła powozu wyłonił się mężczyzna ubrany na biało. Jego peleryna falowała, kaptur zakrywał mu twarz, niemniej wyraźnie widać było pas z rzeźbionej skóry, który miał przewieszony przez ramię, oraz miecz u boku. Był mnichem Carawenu – najemnikiem od dziecka szkolonym, by zabijać.

Safi się zatrzymała i bez chwili zastanowienia zdjęła rękę z ramienia Iseult, ona również przystanąła. Lada moment strażnicy dotrą do pułapki, ale dziewczyny trwały już w gotowości. Zacznij. Zakończ.

– Arythuanki – powiedział mnich. Jego głos był chropowaty, ale nie z powodu wieku, najwyraźniej rzadko go używał. – Z której wioski? – Wykonał krok w stronę Safi.

Z trudem powstrzymała potrzebę skulenia się ze strachu. Zaczęło działać jej prawdopodobieństwo – ogarnęło ją dość irytujące poczucie, jakby coś zdrapywało jej skórę z karku. Jednak to nie jego słowa roznieciły jej magię, ale sama obecność mnicha. Mimo jego młodego wieku Safi miała pewność, że jest bezwzględny i niebezpieczny.

Nieznajomy zdjął kaptur, odsłaniając bladą twarz i krótko przycięte brązowe włosy. Nagle, kiedy wyczuł zapach unoszący się w pobliżu głowy Safi, wokół jego źrenic pojawiła się wirująca czerwień.

Safi zamarła.

Krwiodziej. Ten mnich był przeklętym krwiodziejem! Mitycznym stworem potrafiącym wyczuć ludzką krew – oraz ludzką magię – i będącym w stanie wyśledzić ją na każdym kontynencie. Gdyby się połapał, jak pachną Safi i Iseult, znalazłyby się w poważnych, bardzo poważnych...

Pop! Pop! Pop! Rozległ się huk prochu w przygotowanej przez nie zasadzce. Strażnicy dotarli do pułapki. Safi wciąż trwała nieruchomo. Podobnie mnich. Wtem błyskawicznie wysunął miecz z pochwy, lecz ten zaraz zazgrzytał o ostrze jej noża. Dziewczyna odparła atak. Mnich rzucił się na nią, zrobiła unik. Iseult schyliła się, a Safi przepokoiła przez nią jednym płynnym ruchem.

Zacznij. Zakończ. To był ich styl walki. Ich sposób na życie. Safi wyprostowała się i wyjęła miecz, równocześnie w świetle słońca błysnęła kosa Iseult. Za nimi rozgrzmiały kolejne eksplozje, podniosły się krzyki, konie zaczęły kopać i rzeć.

Iseult zamachnęła się na klatkę piersiową mnicha, ale ten uchylił się przed ciosem i wskoczył na koło powozu. Coś, co miało zapewnić Safi chwilową przewagę, sprawiło ostatecznie, że napastnik miał do niej ułatwiony dostęp i mógł się rzucić na nią z góry.

Był dobry. Był najlepszym wojownikiem, jakiemu kiedykolwiek stawiała czoło. Ale więziosiostry były lepsze.

Uskoczyła, a Iseult stanęła mu na drodze. W ułamku sekundy kosa rozcięła jego ramię, klatkę piersiową i brzuch. Dziewczyna zawirowała niczym tornado i zniknęła.

Safi czekała w gotowości. Oto na jej oczach działo się coś, w co nie mogła uwierzyć, ale najwyraźniej naprawdę się wydarzało: każda rana na ciele mnicha goiła się w mgnieniu oka.

Nie miała już teraz żadnych wątpliwości – ten mnich był po trzykroć przeklętym krwiodziejem wprost z jej najgorszych koszmarów. Musiała jakoś go zatrzymać. Cisnęła nożem w jego klatkę piersiową. Wbił się w tors i zanurzył głęboko w sercu. Mężczyzna zrobił chwiejny krok w przód, upadł na kolana i wrył w Safi spojrzenie swoich czerwonych oczu. Zacisnął usta. Wydając przeraźliwy krzyk, wyszarpnął nóż. Trysnęła krew... Rana zaczęła się goić.

Safi nie miała czasu na kolejny atak. Strażnicy zawrócili. Konie galopowały przed siebie, a Mistrz Gildii krzyczał coś ze swojego powozu.

Iseult zamachnęła się i rzuciła kosą, odpierając dwie strzały. Wtedy, na ułamek sekundy, powóz oddzielił dziewczyny od strażników. Widział je jedynie krwiodziej i mimo że sięgał już po noże, okazał się za wolny. Zbyt wyczerpany działaniem magii gojenia ran. Niemniej uśmiechał się – jakby wiedział coś, czego nie wiedziała Safi. Jakby postanowił, że będzie ścigał ją, by zapłaciła mu za to, co zrobiła.

– Chodź! – Iseult szarpnęła siostrę za ramię.

Pędem puściły się ku urwisku. To był element ich planu, który ćwiczyły na tyle często, że mogły go wykonać z zamkniętymi oczyma.

Gdy tylko pierwsze strzały wbiły się w ziemię, więziosiostry dotarły do sięgającego im do pasa głazu. Schowały swoje ostrza do pochew i przeskoczyły go dwoma zwinnymi skokami. W dole piętrzyły się olbrzymie białe fale.

Dwie liny, przymocowane do pala osadzonego głęboko w ziemi, przygotowały wcześniej. Safi porwała jedną z nich, zahaczyła stopę o pętlę na końcu i chwyciła węzeł znajdujący się na wysokości głowy.

Skoczyła.

ROZDZIAŁ 2

Safi usłyszała przeszywający gwizd powietrza, skacząc z ponad dwudziestometrowego klifu. Poczła ostre szarpnięcie na końcu liny i wylądowała na zboczu pokrytym wąsonogami.

To miało prawo zboleć. Z impetem uderzyła o skałę, przygryzając język. Jej ramiona, twarz i nogi przeszył piekący ból. Wyciągnęła ręce, aby złapać się urwiska. W tej samej chwili Iseult walnęła na skałę tuż obok niej.

– Rozpal – burknęła Safi. Słowo, które wyzwalało magię w linie, zginęło w ryku fal, ale komenda była skuteczna. Liny w mgnieniu oka zapłonęły w białym błysku, po czym się rozpadły. Delikatny pył rozproszył się na wietrze, kilka drobinek osiadło na chustach i ramionach dziewczyn.

– Strzały! – ryknęła Iseult, padając na głaz, kiedy groty śmignęły tuż obok niej.

Niektóre otarły się o powierzchnię skał, inne zanurzyły w falach oceanu. Jedna z nich przeszyła spódnicę Safi. Dziewczyna w ostatniej chwili zdołała zahaczyć palce o szczelinę i się podciągnąć. Jej mięśnie drżały z wysiłku. Wreszcie obie schowały się pod niewielkim nawisem. Dopiero teraz poczuły się bezpiecznie – tu kusze strażników nie mogły ich dosięgnąć.

Skały były mokre, wąsonogi bezwzględne, a woda nieprzyjemnie zimna. Gdy wreszcie strzały ucichły, Safi zachrypiała:

– Idą po nas?

Iseult potrząsnęła głową.

– Nadal tam są. Czuję, że ich nici Więzi czekają.

Safi mrugnęła, usiłując pozbyć się soli z oczu.

– Będziemy musiały przepłynąć, tak? – Otarła twarz o ramię, ale i to nie pomogło. – Myślisz, że dopłyniemy do latarni morskiej?

Obydwie świetnie pływały, ale nie na tyle, żeby poradzić sobie z falami, które ubiłyby delfina.

– Nie mamy wyboru – odparła Iseult. Popatrzyła na przyjaciółkę z iskrą w oczach. Safi знаła to spojrzenie, zawsze dodawało jej sił. – Możemy rzucić spódnice na lewą stronę i kiedy strażnicy w nie wycelują, my skoczmy w prawo.

Safi skinęła i krzywiąc się z bólu, zaczęła ściągać spódnice. Gdy obydwie pozbyły się odzieży, Iseult podniosła rękę.

– Gotowa? – zapytała.

– Tak. – Safi wzięła głęboki oddech.

Cisnęły dawne peleryny w tym samym kierunku, po czym opuściły schronienie i zanurzyły się w falach oceanu.

* * *

Kiedy Iseult det Midenzi zdjęła swoją przemoczoną tunikę, buty, spodnie i bieliznę, poczuła, że wszystko ją boli. Każda ściągnięta część garderoby odsłaniała dziesięć nowych ran, a każdy bryzg fali uświadamiał jej istnienie kolejnych dziesięciu.

Stara, popadająca w ruinę latarnia była świetnym miejscem na kryjówkę, jednak nie dało się z niej uciec, dopóki nie nadszedł odpływ. Na razie woda na zewnątrz sięgała powyżej klatki piersiowej Iseult i dziewczyny miały nadzieję, że ta głębokość – podobnie jak trzaskające pomiędzy latarnią i bagiennym brzegiem fale – jest w stanie odstraszyć krwiodzieja i nie dopuścić do tego, żeby udał się w pogoń za nimi.

Wnętrze latarni nie było większe niż sypialnia Iseult nad kawiarnią Mathew. Promienie słoneczne przebijały się przez pokryte wodorostami okna, a wiatr targał morską pianę przy zakończonych łukowato drzwiach.

– Przepraszam – powiedziała Safi przytłumionym głosem, kiedy rozebrała się ze swojej przemoczonej tuniki. Następnie zdjęła koszulę i rzuciła ją na parapet. Jej zazwyczaj opalona skóra wyglądała teraz nienaturalnie blado.

– Nie przepraszaj. – Iseult pozbierała swoje porzucane ubrania. – To ja powiedziałam ci o grze w karty.

– To prawda – odparła Safi drżącym głosem. Skakała na jednej nodze, usiłując zdjąć spodnie, choć wciąż miała na sobie buty. Zawsze tak robiła, a Iseult nie mogła uwierzyć w to, że osiemnastoletnia dziewczyna nie ma na tyle cierpliwości, żeby się uczciwie rozebrać. – Ale to ja chciałam żyć w lepszych warunkach. Gdybyśmy po prostu kupiły tamto mieszkanie dwa tygodnie temu, to...

– To mieszkałybyśmy w towarzystwie szczurów – wtrąciła Iseult. Stała na najbliższym suchym, oświetlonym blaskiem dnia skrawku podłogi. – Miałaś rację, że chciałaś czegoś lepszego. Zapłaciłybyśmy więcej i byłoby to tego warte.

– Byłoby to słowo klucz. – Safi z głośnym burknięciem oswobodziła się wreszcie ze spodni. – Nie będziemy teraz miały swojego mieszkania, Is. Założę się, że wszyscy strażnicy Veñazy właśnie nas szukają. Nie wspominając o... – Przez chwilę Safi patrzyła na swoje buty. Nagle, w gorączkowym odruchu, zdarła prawy. – O krwiodzieju.

Krwiodziej – nieustannie dźwięczało jej w głowie.

Iseult nigdy wcześniej nie widziała krwiodzieja... i nikogo powiązanego magią z Otchłanią. Otchłaniarze byli jedynie przerażającymi bohaterami opowieści, nie istnieli naprawdę. Nie strzegli Mistrzów Gildii ani nie usiłowali zaszlachtować nikogo mieczem.

Po wyjęciu spodni i rozłożeniu ich na parapecie Iseult podeszła do skórzanej torby na ramię, która znajdowała się z tyłu latarni. Przed skokiem schowały tam swój awaryjny zestaw ratunkowy – na wypadek gdyby wydarzył się najgorszy scenariusz.

Nie żeby wcześniej zorganizowały jakoś przesadnie wiele skoków. Zdarzało się to tylko od czasu do czasu, kiedy jakiś zwyrodnialec szczególnie na to zasłużył. Jak ci dwaj uczniowie, którzy ukradli ładunki z jedwabiem należące do Mistrza Jedwabnej Gildii Alixa i usiłowali zrzucić winę na Safi. Albo te zbiry, które pod nieobecność Mathew wpadły do jego sklepu i ukradły srebrne sztucce.

Miały za sobą jeszcze cztery inne akcje, kiedy to gry w taro Safi zakończyły się burdami i zniknięciem monet. Sprawiedliwości musiało stać się zadość, a skradziony towar należało rzecz jasna odzyskać. Niemniej to właśnie podczas dzisiejszego incydentu awaryjny zestaw ratunkowy przydał się po raz pierwszy.

Iseult wyjęła dwie szmaty i tubkę z lanoliną. Podniosła rzucone na podłogę noże, miecz i kosę, po czym powolnym krokiem wróciła do Safi.

– Wyczyśćmy broń i wymyślmy jakiś plan. Musimy wrócić do miasta.

Safi zdarła drugiego buta i wzięła od przyjaciółki swoją broń. Gdy usiadły po turecku na chropowatej podłodze, poczuły znajomy zapach tłuszczu służącego do konserwacji ostrzy. Iseult ostrożnym ruchem czyściła kosę.

– Jak wyglądają nici Więzi krwiodzieja? – zapytała po cichu Safi.

– Nie zauważyłam – mruknęła Iseult. – Wszystko wydarzyło się tak szybko. – Zaczęła mocniej pocierać stal, zabezpieczając przed rdzą swoje przepiękne marstockie ostrza, podarunek od sercowięzi Mathew, Habima.

W kamiennych ruinach zapadła cisza. Słysząc było jedynie odgłosy czyszczenia broni i niekończący się huk fal Morza Jadańskiego.

Iseult wiedziała, że pod pozornym spokojem ich nici Więzi wiły się w takim samym odcieniu przerażenia. Była więziodziejką, co oznaczało, że nie mogła widzieć ani własnych nici Więzi, ani tych należących do podobnych sobie magów.

Kiedy jej dar się ujawnił, miała dziewięć lat. Serce waliło jej jak oszalałe, gdy rozpadała się pod ciężarem milionów nici Więzi, do tego żadna z nich nie była jej własną. Gdziekolwiek nie spojrzeła, widziała nici Więzi, które budują, nici Więzi, które wiążą, i nici Więzi, które się rozpadają. Mimo to nie mogła dostrzec własnych – ani tego, jak sama wplata się w ten świat.

Wobec tego, tak jak każda nomatsańska więziodziejka, Iseult nauczyła się studzić swoje ciało, kiedy powinno wrzeć. Trzymać nieruchomo palce, kiedy powinny się trząść. Ignorować emocje, którym wszyscy inni dawali się porwać.

– Wydaje mi się – powiedziała Safi, wyrywając Iseult z zadumy – że krwiodziej wie, że jestem prawdodziejką.

Iseult przerwała pracę.

– Dlaczego tak myślisz? – Jej głos był chłodny jak trzymana w jej dłoniach stal.

– Wnioskuje po tym, jak się do mnie uśmiechnął. – Safi aż się zatrzęsała. – Wyczuł moją magię, tak jak jest to opisane w baśniach, i teraz może mnie tropić.

– To znaczy, że w tej chwili prawdopodobnie za nami podąża. – Iseult przeszył lodowaty dreszcz. Poczowała szarpnięcie w ramionach. Zaczęła mocniej pucować ostrze.

Zazwyczaj czynność czyszczenia broni pomagała jej odzyskać równowagę. Pomagała zwolnić myślom i dojść do głosu jej praktycznej stronie. Iseult była urodzonym taktykiem, podczas gdy Safi najpierw działała, potem myślała.

Zacznij, zakończ.

Z tym że teraz żaden plan nie przychodził Iseult do głowy. Mogły się ukrywać i unikać strażników miasta przez kilka tygodni, ale nie były w stanie schować się przed krwiodziejem. Zwłaszcza jeśli wiedział, kim jest Safi, i mógł sprzedać ją najdroższemu oferentowi.

Kiedy ktoś stanął bezpośrednio przed Safi, potrafiła określić, czy mówi szczerze, czy kłamie, bezbłędnie odróżniała prawdę od oszustwa. Z tego, co Iseult dowiedziała się od Mathew w czasie sesji treningowych, ostatni odnotowany prawdopodobnie zginął sto lat temu, ścięty przez imperatora Marstoku za przymierze z cartorriańską królową. Gdyby wieść o umiejętności Safi kiedykolwiek dostała się do wiadomości publicznej, dziewczynę wykorzystano by jako narzędzie gier politycznych albo wyeliminowano jako potencjalne zagrożenie. Safi posiadała dar niezwykle cenny i niezwykle rzadki. To właśnie dlatego przez całe życie utrzymywała go w tajemnicy.

Iseult z kolei była heretykiem: czarodziejem niezarejestrowanym. Tylnej części jej prawej ręki nie znaczył tatuaż – czaroznamie – informujący o jej mocy. Najgorsze jednak, że tego dnia ktoś spoza kręgu zaufanych osób domyślił się, kim jest Safi, i wcześniej czy później żołnierze wpadną do pokoju gościnnego Mistrza Jedwabnej Gildii, by wydrzeć ją stamtąd i zakuć w łańcuchy.

Wkrótce ostrza zostały wyczyszczone i ponownie schowane do pochew. Safi przeszła Iseult jednym ze swoich surowszych i znaczących spojrzeń.

– Daj spokój – rozkazała Iseult.

– Możliwe, że będziemy musiały uciekać z miasta, Is. I na zawsze opuścić Imperium Dalmockie.

Iseult zacisnęła usta, usiłując nie marszczyć brwi i odpędzić dręczące ją uczucie. Opuścić Veñazę... Nie mogła tego zrobić. Stolica Imperium Dalmockiego to jej dom. Ludzie w Północnej Dzielnicy Portowej wreszcie przestali zauważać jej bladą skórę i skośne oczy typowe dla Nomatsów. Zanim jednak tak się stało, minęło sześć i pół roku.

– Na razie – powiedziała cicho Iseult – musimy wymyślić, jak niepostrzeżenie dostać się do miasta, i modlić się o to, żeby krwiodziej cię nie zidentyfikował.

Safi westchnęła i usiadła w słońcu, które rozjaśniło jej skórę i rozświetliło włosy.

– Do kogo powinnam się modlić?

Iseult podrapała się po nosie. Całe szczęście, że przyjaciółka zmieniła temat.

– O mało co nie zginęliśmy z ręki mnicha Carawenu, więc może pomodlisz się do Prastudni?

Safi zadrżała.

– Jeżeli ktoś taki modli się do Prastudni, to ja nie chcę. Może do nubreńskiego boga? Jak on się nazywa?

– Noden.

– O właśnie. – Safi złożyła ręce na klatce piersiowej i wbiła wzrok w sufit. – Nodzenie, boże fal Nubrevny...

– Wydaje mi się, że wszystkich fal. I w ogóle wszystkiego innego.

Safi przewróciła oczami.

– Boże wszystkich fal i wszystkiego innego, czy możesz, proszę, sprawić, żeby nikt nas nie gonił? Zwłaszcza... on. Po prostu trzymaj go od nas z daleka. I gdybyś mógł jeszcze uchronić nas przed strażnikami Veñazy, to byłoby miło.

– To zdecydowanie najgorsza modlitwa, jaką w życiu słyszałam – powiedziała Iseult.

– A niech cię oszcza łasica, Is! Jeszcze nie skończyłam. – Safi wzięła głęboki oddech i powróciła do modlitwy: – Proszę, oddaj mi wszystkie nasze pieniądze, zanim on albo Habim wróćą z podróży. I... to tyle. Dziękuję ci bardzo, o święty Nodzenie... Aha, i dopilnuj, proszę, żeby Rzeźbimieszek dostał dokładnie to, na co zasłużył.

Iseult o mało co nie parsknęła śmiechem, słysząc ostatnią prośbę, jednak w tej samej chwili fala z impetem uderzyła o latarnię i dziewczyna poczuła na twarzy nieprzyjemną wilgoć.

– Proszę, Nodzenie – szepnęła zirytowana, wycierając czoło. – Proszę, po prostu pozwól nam wyjść z tego cało.

ROZDZIAŁ 3

Dotarcie do kawiarni Mathew, gdzie mieszkała Iseult, okazało się trudniejsze, niż Safi zakładała. Były wyczerpane, głodne i posiniaczone tak bardzo, że nawet przy zwykłym marszu prawdopodobnie pojękiwała. Marzyły o tym, żeby usiąść albo przynajmniej złagodzić ból gorącą kąpielą i ciastkami.

Jednak zarówno kąpiel, jak i ciastka musiały poczekać. Strażnicy rozpełzli się rojnie po całej Veñazie i zanim dziewczyny zdołały dotrzeć do Północnej Dzielnicy Portowej, niemal nastał świt. Pół nocy spędziły na żmudnym marszu z latarni do stolicy i drugie pół – przesmykując się uliczkami i wdrapując na dachy.

Każdy biały błysk, każdy zwisający kawałek prześcieradła, każde podarte płótno żaglowe czy obszarpana zasłona sprawiały, że żołądek podchodził Safi do gardła. Dzięki bogom nie była to jednak szata krwiodzieja i gdy tylko zaczęło się przejaśniać, dostrzegły szyld kawiarni Mathew.

PRAWDZIWA MARSTOCKA KAWA – NAJLEPSZA W VEÑAZIE

W rzeczywistości nie była to prawdziwa marstocka kawa, Mathew nie pochodził nawet z Imperium Marstockiego. Kawę podawano tu przefiltrowaną i smakowała nijako, co dobrze oddawało powiedzonko Habima: „Mdłe zachodnie smaki”. Nie była ona również najlepsza w mieście – sam Mathew przyznał, że obskurna spelunka w Południowej Dzielnicy Portowej serwuje lepszą kawę. Ale tutaj, na północnych rubieżach stolicy, ludzie nie przychodzili na kawę. Przybywali w interesach, by dobić targu w kwestiach, w których specjalizował się właściciel: handel plotkami i sekretami oraz plany napadów i szwindli. Mathew miał kawiarnie na całym terytorium Czaroziem, więc wszelkie wieści docierały wprawdzie właśnie do niego. Jako że władał magią słowa, stał się dla Safi

najlepszym instruktorem – mógł się bowiem porozumiewać we wszystkich językach. Co jednak ważniejsze, sercowieź Mathew, Habim, całe życie pracował dla wuja Safi, zarówno jako żołnierz, jak i wiecznie niezadowolony instruktor. Tak więc kiedy Safi została wysłana na południe, to Mathew zajął się jej szkoleniem. Nie żeby Habim całkowicie zrezygnował z nauczania prawdodziejki – często odwiedzał swoją sercowieź w Veñazie i wtedy uprzykrzał dziewczynie życie dodatkowymi godzinami treningu i walki.

Safi dotarła do kawiarni pierwsza i po przeskoczeniu kałuży ścieków o odstrasającym pomarańczowym odcieniu zaczęła wystukiwać zakłęcie zamka na drzwiach wejściowych – robili tak od czasu incydentu z kradzieżą sztućców. Habim mógł się skarżyć Mathew, ile chciał, na koszty tego magicznego zamka, ale według Safi był on ich warty. Odsetek przestępczości w Veñazie był dość wysoki – po pierwsze dlatego, że to miasto portowe, a po drugie, ponieważ zamożni Mistrzowie Gildii stanowili łakomy kąsek dla spragnionych bogactwa łupieżców. Rzecz jasna, Mistrzowie opłacali całe rzesze strażników obstawiających wszystkie zaułki.

– Szybciej – wymamrotała Iseult i szturchnęła Safi w plecy. – Strażnik się zaraz odwróci... odwraca się...

Gdy drzwi się otworzyły, Iseult popchnęła Safi i wkrótce obie znalazły się w ciemnym sklepie.

– Co u licha? – syknęła Safi. – Strażnicy nas tu znają!

– Dokładnie – odparowała Iseult, zatraskując drzwi i ryglując zamek. – Ale z daleka wyglądamy jak dwie wieśniaczki włamujące się do zamkniętej kawiarni.

– Masz rację – wybełkotała niechętnie Safi.

Iseult weszła w głąb sklepu i wyszeptała:

– Światło.

W jednej chwili rozbłysło dwadzieścia sześć zaczarowanych świec, ukazując charakterystyczne spiralne marstockie wzory pokrywające ściany, sufit i podłogę. Patrząc na mnóstwo pstrokatych dywaników, kilimów i makatek, można było odnieść wrażenie przesyty, ale – podobnie jak w przypadku kawy – ludzie z zachodu mieli konkretne wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać marstocki sklep.

Iseult odetchnęła z ulgą i podeszła do krętych schodów znajdujących się na tyłach kawiarni. Safi podążyła tuż za nią. Weszły najpierw na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się lokum Mathew i Habima, a następnie udały się na poddasze, które Iseult nazywała domem. Mieściły się tam zaledwie dwa łóżka i szafa.

Przez ostatnie sześć i pół roku Iseult mieszkała tu, uczyła się i pracowała. Po tym, jak uciekła od swojego plemienia, Mathew był jedynym pracodawcą chętnym zatrudnić i przyjąć pod swój dach Nomatsankę.

Nie wyprowadzała się stąd bynajmniej nie z braku chęci. Marzyła o własnym mieszkaniu. Powtarzała to swojej towarzyszce setki, a nawet setki tysięcy razy. I może gdyby to Safi dorastała w jednopokojowej chałupie, dzieląc łóżko z matką, również pragnęłaby czegoś większego i bardziej osobistego. Tymczasem zrujnowała plany Iseult. Każda zaoszczędzona moneta przepadła, a wszyscy strażnicy miejscy właśnie ochoczo poszukiwali obu dziewczyn. To najgorszy możliwy scenariusz i żaden awaryjny zestaw ratunkowy ani ukrywanie się w latarni nie były w stanie wy dostać ich z tych tarapatów.

Zwalczając nudności, Safi podeszła chwiejnym krokiem do okna po drugiej stronie wąskiego pokoju i otworzyła je na oścież. Do środka napłynęło gorące, znajome, uspokajające, przesycone zapachem ryb powietrze. W promieniach wschodzącego słońca gliniane dachy Veñazy zdawały się płonąć.

Safi ogarnęła błogość. Uwielbiała ten widok. Dorastała w zrujnowanym majątku rodu Hasstrelów w Górach Orhińskich, gdzie często spędzała czas zamknięta we wschodnim skrzydle, zwłaszcza kiedy wujek Eron miał zły humor. Jej życie upływało więc wewnątrz budynku za pozabijanymi oknami i pośród wdzierającego się do środka śniegu. Wśród mroźnych wiatrów i obślizgłej pleśni. Gdziekolwiek spojrzeła, jej wzrok lądował na rzeźbach, obrazach bądź gobelinach z nietoperzem górskim. Była to groteskowa, przypominająca smoka kreatura z umieszczonym pod szponami hasłem: „Miłość i strach”.

Tymczasem tutaj wybudowano mosty i kanały – zawsze spalone słońcem, przepięknie pachnące zgniłymi rybami. Kawiarnia Mathew zawsze była jasna i zatłoczona, a przystanie wypełnione nader ozdobnie

przeklinającymi żeglarzami. Tutaj Safi doznała ciepła. Tutaj czuła się mile widziana, a czasami nawet potrzebna.

Odchrząknęła. Zdjęła rękę z zasuwki i odwróciła się. Iseult akurat przebierała się w oliwkowozieloną suknię. Gdy to zrobiła, zajrzała do szafy.

– Możesz założyć moją dzienną kieckę – powiedziała.

– Będzie widać to. – Safi podwinęła zeszywniały od soli rękaw, odsłaniając otarcia i siniaki na ramionach. Nie mogła pozwolić sobie na założenie niczego z krótkim rękawem.

– W takim razie masz szczęście, że mam jeszcze... – Iseult wyjęła z szafy dwie kuse, czarne kurtki – to!

Safi skrzywiła się. Takie nakrycia nosili wszyscy uczniowie Gildii, a te dwa konkretne stanowiły łup z pierwszej akcji zorganizowanej przez dziewczyny.

– Nadal twierdzę, że mogłyśmy wziąć więcej niż tylko ich kurtki, kiedy zostawialiśmy ich związanych w magazynie – oświadczyła Safi.

– Tak, cóż, następnym razem, kiedy ktoś ukradnie dostawę jedwabiu i zwali winę na ciebie, obiecuję, że weźmiemy więcej. – Iseult rzuciła Safi odzienie, a ta złapała je w powietrzu. Sama szybko przywdziała kurtkę i usiadła na skraju łóżka, wykrzywiając usta w grymasie. – Tak sobie myślę – zaczęła spokojnie – że jeśli ten krwiodziej naprawdę nas szuka, to może Mistrz Jedwabnej Gildii mógłby cię ochronić. Jest w końcu twoim formalnym stróżem i mieszkasz w jego pokoju gościnnym.

– Nie wydaje mi się, żeby Mistrz Alix chciał ukrywać zbiega. – Safi skrzywiła się. – Wolałabym go w to nie wciągać. Zawsze był dla mnie życzliwy i nie chciałabym odpłacać mu za jego dobroć, ściągając mu na głowę kłopoty.

– W porządku – powiedziała Iseult z tym samym beznamiętnym wyrazem twarzy. – Mój kolejny plan dotyczy piekielnych bardów. Są teraz w Veñazie, na Szczycie Rozejmowym, tak? Chcą chronić Imperium Cartorriańskie? Może mogłabyś zwrócić się do nich o pomoc? Przecież twój wujek był kiedyś jednym z nich i wątpię, żeby nawet dalmoccy strażnicy okazali się na tyle głupi, by sprzeciwić się piekielnym bardom.

Słyszając to, Safi skrzywiła się jeszcze bardziej.

– Wujek Eron został haniebnie wyrzuconym piekielnym bardem, Is. Teraz cały Oddział Piekielnych Bardów go nienawidzi, a imperator Henrick nienawidzi go najbardziej ze wszystkich. – Parsknęła. – Co gorsza,

imperator szuka wymówki, aby przekazać mój tytuł jednemu ze swoich obleśnych lizusów. Jestem pewna, że to zatrzymanie Mistrza Gildii zdecydowanie mu wystarczy.

Przez większość dzieciństwa Safi wujek trenował ją jak żołnierza i również tak ją traktował, przynajmniej gdy był wystarczająco trzeźwy, żeby zwrócić na nią uwagę. Kiedy jednak dziewczyna skończyła dwanaście lat, imperator Henrick postanowił, że najwyższy czas, aby przybyła do stolicy Cartorry i odebrała należną edukację. „Co ona wie o zarządzaniu farmerami czy żniwach? – pieklił się w rozmowie z wujkiem Eronem, podczas gdy Safi stała za jego plecami i usiłowała zniknąć. – Jakie ma doświadczenie w prowadzeniu gospodarstwa domowego? Nie zna się nawet na płaceniu podatków!” Właśnie to ostatnie, płacenie wygórowanych podatków, najbardziej interesowało imperatora Henricka. Z całą swoją arystokracją owiniętą wokół ozdobionych pierścieniami palców chciał dopilnować, aby Safi wpadła w jego sidła.

Jednak te starania zmierzające w kierunku przejęcia kolejnej lojalnej domny spełzły na niczym, jako że wujek Eron nie wysłał Safi na studia do Praggi z innymi młodymi arystokratkami. Zamiast tego kazał jej jechać na południe, do Veñazy, by tam o jej przeszkolenie zadbali Mistrzowie Gildii. To pierwszy i ostatni raz, kiedy Safi była wujkowi za cokolwiek wdzięczna.

– W takim razie myślę, że musimy opuścić miasto – orzekła Iseult tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Dopóki to wszystko nie przycichnie, zaszyjemy się... gdzieś.

Safi przygryzła wargę. „Zaszyjemy się gdzieś” – Iseult powiedziała to z taką lekkością! A przecież jej przynależność do plemienia Nomatsów sprawiała, iż gdziekolwiek by się nie udała, wszędzie znajdowała się na celowniku. Pewnego dnia, kiedy wybrały się w odwiedziny do mieszkającego za miastem przyjaciela, mało brakowało, a wcale nie wróciłyby do domu. Jednak tym razem to ci trzej mężczyźni w gospodzie, którzy postanowili zaatakować Iseult, nie zdołali w ogóle do niego wrócić... Przynajmniej nie z nienaruszonymi kośćmi udowymi.

Safi zamaszystym krokiem podeszła do szafy i otworzyła ją gwałtownym szarpnięciem, wyobrażając sobie, że uchwyt to nos Rzeźbimieszka. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek zobaczy tego sukinsyna, połamię mu każdą kość w tym jego parszywym ciele.

– Naszym najlepszym celem – kontynuowała Iseult – będzie Południowa Dzielnica Portowa. Są tam zacumowane dalmockie statki handlowe i mogłybyśmy nimi przepłynąć w zamian za pracę. Potrzebujesz czegoś od Mistrza Gildii?

Safi pokręciła przecząco głową, więc Iseult mówiła dalej:

– To dobrze. W takim razie zostawimy wiadomość Mathew i Habimowi, wszystko im wyjaśnimy. Wtedy nie pozostanie nam nic innego... jak stąd wyjechać.

Safi zastygła ze złotą suknią w dłoni. Słowa uwięzły jej w gardle, w żołądku aż ją skręcało.

W chwili, kiedy kończyła zapinać dziesięć milionów drewnianych guzików, a Iseult zawiązywała wokół głowy bladyszara chustę, rozległo się pukanie do drzwi sklepu.

– Straż Veñazy! – Dobiegł je stłumiony głos. – Otwierać! Widzieliśmy, jak się włamywałyście!

Iseult westchnęła, wydając z głębi siebie dźwięk przepełniony długim, niekończącym się cierpieniem.

– Wiem – warknęła Safi, zapinając ostatni guzik. – Wiem, że mówiłaś.

– Tylko że ty nic sobie z moich ostrzeżeń nie robisz.

– A ty zawsze musisz mi o tym przypominać?

Iseult się uśmiechnęła, jednak wyjątkowo sztucznie, Safi nie potrzebowała prawdopodobstwa, żeby to dostrzec. Kiedy miała już na sobie kurtkę, strażnik wrzasnął ponownie:

– Otwierać! Stąd jest tylko jedno wyjście!

– Mylisz się – mruknęła Safi.

– Nie zawahamy się użyć siły!

– My też nie.

Na znak dany przez Iseult Safi podeszła do łóżka. Wspólnymi siłami sprawnie przepchnęły je pod drzwi, tworząc tym samym barykadę. Drewniane nóżki zaskrzypiały. Więziosiostry nie po raz pierwszy były zmuszone wymknąć się w taki sposób. Z tym że dotychczas do środka usiłowali się dostać Mathew i Habim, a nie uzbrojeni strażnicy.

Chwilę później stały przy oknie, szybko oddychając. Słyszały dźwięk wyważanych drzwi. Kawiarnia zatrzęsa się w posadach, szyby w oknach popękały.

Safi wdrapała się na dach. Najpierw straciła wszystkie swoje pieniądze, a teraz zrujnowała kawiarnię. Może to i dobrze, że jej nauczyciele wyjechali z miasta w interesach... Przynajmniej nie będzie musiała w najbliższym czasie stawić im czoła.

Iseult podążyła za Safi. Na plecach miała torbę wypchaną zapasami. Jej broń w całości zmieściła się pod spódnicą, niestety Safi mogła zabrać jedynie nóż. Miecz, piękny składany stalowy miecz, musiała zostawić.

– Jaki mamy plan? – zapytała. Wiedziała, że jej więziosiostra ma już obraną strategię.

– Pójdziemy w głąb łądu, w kierunku siedziby Mistrza Gildii, a potem skierujemy się na południe – odparła Iseult.

– A teraz będziemy biec po dachach?

– Tak długo, jak tylko się da. Prowadź.

Safi skinęła i zaczęła uciekać na zachód, w środek miasta, skacząc zwinnie na kolejne spadziste gonty. Gdy wylądowała na pierwszym, gołębie, trzepocąc skrzydłami, poderwały się do lotu. Safi wzięła rozbieg i z gracją przeskoczyła na kolejny dach.

Obie pognały przed siebie.

* * *

Pędziły wybrukowaną uliczką. Zmieniały kierunki, starając się zgubić strażników. Na szczęście na ulicach właśnie zaczął się poranny ruch – zewsząd tłoczyły się wylądowane owocami wozy, pełno było osłów, kóz i ludzi wszelkich ras i narodowości. W gorącym powietrzu leniwie wirowały nici Więzi w kolorach różnorodnych jak karnacje ich właścicieli.

Safi zwolniła przed wozem ze świniami. Minęła żebraka i grupę Purytan, którzy wykrzykiwali coś o grzechach magii, i wpadła wprost na stado owiec, które blokowały przejście. Dalej uciec się nie dało.

Nici Więzi wirowały wściekle przed oczyma Iseult, mieniając się czerwienią – ich właściciele niecierpliwili się z powodu postoju.

Iseult wyobraziła sobie, że jej nici również są czerwone. Dotarły już tak blisko Południowej Dzielnicy Portowej, widziała całe setki przycumowanych statków z białymi żaglami, musiała jednak tkwić w miejscu. Z trudem powstrzymała frustrację. Targały nią jednak inne emocje, te, których nie chciała nazywać i których żaden przyzwoity więziodziej nigdy by do siebie nie dopuścił. Bądź jak kwiat, powiedziała

w myślach, dokładnie tak, jak wiele lat temu uczyła ją matka. Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora.

Wkrótce nici Więzi zgromadzonych stały się niebiesko-zielone. Przemieszczały się niczym wąż w sadzawce, jakby ludzie jeden po drugim dowiadywali się, dlaczego muszą tkwić w miejscu. Stojąca obok dziewczyn stara plotkara zaczęła zrzedzić:

– Co? Blokada? Przegapię dostawę świeżutkich krabów!

Iseult poczuła w brzuchu mroźne ukłucie, a nici Więzi zmieniły kolor na szary – kolor strachu.

– Na bramy piekielne – syknęła Safi. – I co teraz, Is?

– Odwagi. – Odchrząknęła Iseult i wyprostowała się, po czym wyjęła z torby gruby, poszarzały tom. – Z książkami będziemy wyglądać jak pilne uczennice. Możesz wziąć Krótką historię autonomii Imperium Dalmockiego.

– Nie mamy teraz czasu na czytanie – burknęła Safi. Mimo to wzięła podaną jej księgę.

Następnie Iseult wyjęła niebieskie tomiszcze – Ilustrowany przewodnik po Klasztorze Caraweńskim.

– O, teraz widzę, po co ci to. – Safi prowokacyjnie uniosła brwi. – Nie potrzebujesz ich, aby oszukać strażników: ty po prostu nie możesz się rozstać ze swoją ulubioną książką.

– I co z tego? – Iseult prychnęła lekceważąco. – Czy to oznacza, że nie chcesz tego nieść?

– Nie, nie, wezmę. – Safi uniosła podbródek. – Tylko obiecaj, że kiedy dotrzemy do strażników, pozwolisz mi odegrać swoją rolę.

– A graj sobie, ile chcesz. – Uśmiechając się szeroko do samej siebie, Iseult zsunęła niżej chustę, przesiąknięta potem tkanina osłaniała jej twarz, następnie dziewczyna poprawiła rękawiczki, upewniając się, że nie widać ani milimetra skóry. Teraz wzrok wszystkich skupi się wyłącznie na Safi.

Jak zawsze powtarzał Mathew: „Prawą ręką daj mu to, czego oczekuje, lewą odetnij sakwę”. Safi zawsze pełniła funkcję tej prawej ręki – odwracała uwagę i była w tym dobra. W tym czasie Iseult czała się w cieniu, gotowa odciąć każdą wartą tego sakwę.

Czekając na rozwój sytuacji, Iseult zajrzała do księgi. Od czasu, kiedy pomógł jej mnich, była jakby... Cóż, Safi zawsze mówiła, że miała obsesję. Lecz nie tylko wdzięczność sprawiała, że fascynowała się Carawenami.

Przede wszystkim zachwycaly ją ich czyste szaty i błyszczące opalowe kolczyki; ich mordercze treningi i święte przysięgi. Życie w Klasztorze Caraweńskim zdawało się takie proste, takie oczywiste. Każdy, bez względu na swoje pochodzenie, mógł wstąpić w szeregi mnichów i z marszu zostawał w pełni zaakceptowany. Iseult z trudem mogła sobie wyobrazić, jak to jest być w pełni zaakceptowanym, niemniej tęsknota wypełniała jej serce za każdym razem, kiedy o tym pomyślała.

Kartki zaszeleściły i księga otworzyła się na stronie trzydziestej siódmej, gdzie błysnęła brązowa moneta. Iseult umieściła ją tutaj jako zakładkę. Widniejący na niej skrzydlaty lew teraz zdawał się niemalże śmiać.

Pierwsza moneta, dzięki której zaczniemy wszystko od nowa, pomyślała Iseult. Wtedy jej wzrok padł na bogato zdobiony napis i ilustrację jednego z mnichów Carawenu. Był to najemnik: dzierżył kilka noży i miecz, miał kamienny wyraz twarzy. Wyglądał dokładnie tak samo jak krwiodziej.

Krwiodziej...

Kiedy przypomniwała sobie jego czerwone oczy i wyszczerzone zęby, poczuła mroźny ucisk w żołądku... a także coś znacznie silniejszego.

Rozczarowanie, sprecyzowała w końcu – wydało jej się to niewłaściwe, że taki potwór jak krwiodziej otrzymał prawo, by wstąpić w klasztorne szeregi. Zerknęła na podpis pod ilustracją: „Wyszkolony, aby walczyć poza granicami kraju w imieniu Cahr Awenów”. Zamarła, zobaczywszy tę nazwę. W dzieciństwie spędzała niezliczone godziny, wspinając się po drzewach i udając, że należy do Cahr Awenów, że to właśnie ona jest jednym z dwóch czarodziejów urodzonych w Prastudniach, czarodziejem, który potrafi zmyć nawet największe zło. Jednak tak jak wiele źródeł, które wpływają do Prastudni, było martwych od wielu stuleci, tak od niemal pięciuset lat nie przyszedł na świat żaden nowy Cahr Awen i Iseult pozostawało uciekanie przed bandą dzieciaków z wioski. Zbiegały się pod każdym drzewem, na które weszła, wykrzykiwały wyzwiska i obelgi, jakich nauczyły się od swoich rodziców. „Nie ma tu miejsca dla więziodziejki, która nie potrafi zrobić kamieni Więzi!” W takich chwilach Iseult, tuląc się do gałęzi i modląc, żeby mama szybko ją znalazła, z żalem uświadamiała sobie, że Cahr Awenów można spotkać tylko w pięknych opowieściach.

Przełykając ślinę, odsunęła od siebie te wspomnienia. Ten dzień i tak miał wystarczająco ciężki przebieg, nie było potrzeby rozdrapywać ran. Poza tym właśnie zbliżały się już do strażników i przypomniała sobie pierwszą lekcję, jakiej udzielił jej Habim. „Oceń swoich przeciwników – mawiał. – Zbadaj teren. Jeżeli to możliwe, wybierz pole walki”.

– Gęsiego! – krzyknął strażnik. – Unieść broń nad głowę!

Iseult zamknęła książkę, czując powiew stęchłego powietrza. Naliczyła dziesięciu strażników rozstawionych wzdłuż drogi. Dostrzegła też wozy tworzące blokadę. Kusze... Kordelasy... Jeżeli teraz sprawy pójdą nie po ich myśli, będą zmuszone walczyć.

– Dobrze – wymamrotała Safi. – Teraz nasza kolej. Zakryj twarz.

Iseult ruszyła za przyjaciółką, która zdecydowanym krokiem podeszła do pierwszego ze strażników.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytała, podnosząc głos. – Już jesteśmy spóźnione na spotkanie z Mistrzem Pszenicznej Gildii. Czyżbyś nie wiedział, jak łatwo on wpada w furję?

Strażnik popatrzył na nią wilkiem, ale jego nici Więzi błysnęły szczerym zainteresowaniem.

– Imiona.

– Safiya. A to moja dama dworu Iseult.

Choć wyraz twarzy strażnika pozostawał niezmienny, jego nici zapłonęły większym zainteresowaniem. Zerknął w bok, ruchem ręki przywołując drugiego strażnika. Iseult musiała się ugryźć w język, żeby nie zdradzić przyjaciółki.

– Żądam wyjaśnienia, dlaczego zostaliśmy zatrzymane! – krzyknęła Safi do nadchodzącego strażnika, najwyższego ze wszystkich obecnych.

– Szukamy dwóch dziewczyn – zagrzmał. – Są poszukiwane za rabunek na drodze. Macie przy sobie jakąś broń?

– Czy ja wyglądam na dziewczynę, która nosi broń?

– W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko, jeżeli cię przeszukam.

Szczęśliwie żadna z obaw Safi nie znalazła odbicia w kolorze jej nici Więzi.

– Zdecydowanie będę miała coś przeciwko. Jeżeli odważysz się mnie tknąć, każę cię natychmiast zwolnić. Wszystkich was każę zwolnić! – Zamknęła książkę z takim impetem, że pierwszy strażnik aż się

wzdrygnął. – Jutro o tej porze wylądujecie na ulicy i będziecie żałować, że w ogóle zadarliście z uczennicą Mistrza Gildii, a także... – Nie zdążyła dokończyć swojej groźby, jako że w tej właśnie chwili mewa zaskrzeczała nad jej głową, a na jej ramieniu wylądowało białe gówienko. Nici Więzi zmieniły barwę na turkusową: kolor zaskoczenia. – Nie! – krzyknęła, wytrzeszczając oczy. – Po prostu nie!

Strażnicy również szeroko otworzyli oczy, a ich nici przybrały odcień beztróskiego różu.

Rozległ się gromki śmiech. Zaczęli wytykać Safi palcami i nawet Iseult musiała zatkać usta dłonią. Nie śmieję się, tylko się nie śmieję, myślała. Mimo to donośnie parsknęła. Nici Więzi Safi zapłonęły czerwienią.

– Dlaczego? – jęknęła do Iseult. Następnie zwróciła się do strażników: – Dlaczego zawsze ja? Mewy mogą narobić na kogokolwiek, tymczasem zawsze wybierają mnie!

Strażników było już teraz dwa razy więcej. Ten, który podszedł jako drugi, niedbale podniósł rękę.

– Idźcie. Po prostu... idźcie.

Gdy Safi zauważyła, że ze śmiechu łzawią mu oczy, prychnęła, mijając go zamaszystym krokiem.

– Może byście się zajęli czymś pożytecznym i zamiast śmiać się z biednych dziewcząt poszli walczyć z przestępcami... czy kimkolwiek!

Minęła punkt kontrolny i pognała w kierunku wylądowanych do pełna statków handlowych. Iseult biegła tuż za nią, zanosząc się śmiechem.

ROZDZIAŁ 4

Merik Nihar zacisnął dłoń na nożu do masła. Cartorriańska dama siedząca po drugiej stronie dębowego stołu jadalnego miała pokrytą zarostem brodę, po której spływał tłuszcz z kurczaka. Jakby wyczuwając spojrzenie Merika, podniosła beżową serwetę i musnęła nią pomarszczone usta i pofałdowany podbródek.

Merik nienawidził jej, podobnie zresztą jak każdego obecnego tutaj dyplomaty. Mógł spędzić wiele lat, doskonaląc panowanie nad swoim słynnym rodzinnym charakterem, niemniej w tej chwili wystarczył najmniejszy drobiazg, aby przechylić szalę. Najmniejszy drobiazg i Merik wybuchnie.

W długiej jadalni panował gwar, zgromadzeni mówili w co najmniej dziesięciu różnych językach. Nazajutrz miał się rozpocząć Kontynentalny Szczyt Rozejmowy, na którym zamierzano dyskutować na temat Wielkiej Wojny i zakończenia Dwudziestoletniego Rozejmu. Z całych Czaroziem do Veñazy przybyły setki dyplomatów.

Dalmocja może i była najmniejszym z imperiów, ale jeśli chodzi o handel, nie miała sobie równych. Ponadto, ze względu na usytuowanie pomiędzy Imperium Marstockim na wschodzie i Imperium Cartorriańskim na zachodzie, stanowiła idealne miejsce do takich międzynarodowych negocjacji.

Merik reprezentował Nubrevnę, swoją ojczyznę. Przybył tu trzy tygodnie wcześniej w nadziei na otworzenie nowego szlaku handlowego, a nawet na przywrócenie starych kontaktów z Gildią. Niestety okazało się, że tylko stracił czas.

Przeniósł wzrok ze starej arystokratki na znajdujące się za nią ogromne okno wychodzące na ogrody pałacowe. Było tak wielkie, że sala tonęła w zielonkawej poświacie. Jako przywódca Rady Dalmocji doża nie miał rodziny – jak każdy z Mistrzów Gildii w tym imperium – ze względu na fakt, że jej posiadanie osłabiałoby oddanie Gildii. Wobec tego, pomyślał

Merik, doża nie potrzebuje ogrodu, który spokojnie pomieściłby dwanaście moich statków.

– Podziwia pan szklaną ścianę? – zapytał rudowłosy przywódca Jedwabnej Gildii siedzący po prawej stronie Merika. – To wspaniałe dzieło naszych ziemiodziejów. Wiedział pan, że to wszystko jedna tafla?

– Imponujące, w rzeczy samej – odrzekł Merik tonem, który sugerował zupełnie inną opinię. – Chociaż zastanawiam się, Mistrzu Alixie, czy kiedykolwiek brałeś pod uwagę jakieś bardziej przydatne zajęcie dla swoich ziemiodziejów?

Mistrz Gildii zakasłał lekko.

– Nasi ziemiodzieje są wysoko wyspecjalizowanymi fachowcami. Dlaczego miałbym zmuszać ziemiodzieja, który doskonale radzi sobie z glebą, do pracy na farmie?

– Jednak jest różnica pomiędzy glebodziejem, który potrafi pracować tylko z glebą, a ziemiodziejem, który dobrowolnie postanawia zajmować się wyłącznie nią. Czy też rozpuszczaniem piasku w szkle. – Merik oparł się na krześle. – Na przykład ty, Mistrzu. Jesteś ziemiodziejem, prawda? Zakładam, że twoja magia dotyczy również zwierząt, niemniej nie ogranicza się jedynie do larw jedwabnika.

– Ach, w żadnym wypadku nie jestem ziemiodziejem. – Alix podniósł rękę, ukazując swoje czaroznamię: okrąg symbolizujący eter i przerywaną linię, która oznaczała, że specjalizował się w sztuce. – Z zawodu jestem krawcem. Moja magia polega na ożywianiu ludzkiego ducha za sprawą przyodziewania go w ubranie.

– No tak, oczywiście – przytaknął stanowczo Merik. Mistrz Jedwabnej Gildii właśnie się z nim zgodził, aczkolwiek tego nie zauważył. Po co marnować magiczne umiejętności na zajmowanie się modą? Nawet krawiec Merika był w stanie skroić świetnie leżący lniany garnitur i nie potrzebował do tego żadnej magii.

Merik miał na sobie srebrno-szary surdut i kremową koszulę. I choć zarówno na koszuli, jak i na surducie znajdowało się o wiele więcej guzików, niż to dopuszczalne, Merik lubił ten strój. Szczególnie podobały mu się dopasowane czarne bryczesy wpuszczone w cholewy wysokich butów i szeroki pas, który nie stanowił jedynie modnego dodatku – kiedy tylko Merik wróci na statek, ponownie przypnie do niego swoje kordelasy i pistolety.

Wyraźnie wyczuwając niezadowolenie Merika, Mistrz Gildii Alix skierował uwagę na siedzącą naprzeciw arystokratkę.

– Co pani myśli o zbliżającym się ślubie imperatora Henricka?

Merik jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Wszyscy uczestnicy uczytzy zdawali się interesować wyłącznie plotkami i błahostkami. A przecież na północy, w Republice Arythuanii, tym dzikim zacofanym kraju, jest ktoś, kto śmie nazywać siebie królem i właśnie jednoczy pirackie frakcje. Czy któregokolwiek z tych imperialnych dyplomatów w ogóle to obchodzi?

Ani trochę.

Krążyły plotki, że Oddział Piekielnych Bardów zaciąga do armii czarodziejów, jednak żadnemu ze zgromadzonych arystokratów nie wydawało się to podejrzane. No tak, pomyślał Merik, to nie ich synowie i córki zostaną zmuszeni do poboru.

Z wściekłością wbił wzrok w pusty talerz. Wcześniej zgarnął kości i schował je do serwety – rosół na kościach to w końcu łatwe danie, którym można żywić żeglarzy przez kilka dni. Paru innych gości to zauważyło, ale Merik niespecjalnie zamierzał się kryć ze swoim zachowaniem. Kusiło go nawet, żeby zapytać najbliższych sąsiadów, czy może zabrać również ich resztki. Żeglarze nie marnowali jedzenia, nie wiedzieli bowiem, kiedy zdołają złowić kolejną rybę czy w ogóle zobaczyć ląd. Zwłaszcza gdy w ich ojczyźnie panował głód.

– Admirale – zagadnął arystokrata siedzący po lewej. – Jak zdrowie króla Serafina? Słyszałem, że wyniszczająca go choroba weszła w ostatnią fazę.

– W takim razie źle słyszałeś – odparł Merik chłodnym głosem. – Mój ojciec czuje się coraz lepiej. Ale dziękuję za troskę... Jak twoja godność?

Twarz mężczyzny przeszył grymas.

– Dom Phillip fon Grieg. – Wymusił fałszywy uśmiech. – Jak zapewne wiesz, Grieg jest jedną z ostatnich ziem Imperium Cartorriańskiego. A może nie wiesz...? Przypuszczam, że Nubreven nie potrzebuje znajomości cartorriańskiej geografii.

Merik zmusił się do uśmiechu. Oczywiście, że wiedział, gdzie leżały ziemie Griega, ale wolał, żeby rozmówca uważał go za ignoranta.

– Mam trzech synów w Oddziale Piekielnych Bardów – ciągnął dalej fon Grieg, ujmując serdelkowatymi palcami kielich z winem. – Imperator obiecał każdemu z nich własną ziemię w niedalekiej przyszłości.

– Poważnie? – Merik starał się niczego po sobie nie pokazać, ale wewnątrz aż trząsał się z wściekłości. Oddział Piekielnych Bardów: elitarne lobby bezwzględnych wojowników mających na celu oczyszczanie Cartorry z czarodziejów władających żywiołami i heretyków. To właśnie oni byli jednym z głównych powodów jego nienawiści wobec Cartorrian.

Tak czy inaczej, Merik sam był czarodziejem władającym jednym z żywiołów, podobnie jak niemalże każda osoba w Czarodziemiach, o którą się martwił.

Dom fon Grieg wychylił kielich drogiego dalmockiego wina, którego strużki spłynęły mu po brodzie. Co za marnotrawstwo. To obrzydliwe! Wściekłość Merika zaczęła narastać... bardziej... jeszcze bardziej... aż w końcu nie wytrzymał. Wciągnął w płuca powietrze, po czym wykonał gwałtowny wydech.

Silny podmuch wiatru przewrócił kielich mężczyzny, rozchlapując wino na jego twarzy, włosach i ubraniu. Kilka czerwonych kropelek wylądowało nawet na szybie.

Zapadła cisza. Przez ułamek sekundy Merik zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Przeprosiny zdecydowanie odpadały, a groźba wydawała się posunięciem zbyt dramatycznym. Wtedy jego wzrok spoczął na talerzu Mistrza Gildii Alixa. Bez namysłu wstał i omiół gniewnym spojrzeniem twarze gapiących się na niego osób, w tym przyczajonej w kątach służby.

Nagle porwał serwetę z kolan Mistrza Gildii.

– Nie będzie pan tego jadł, prawda? – Nie zamierzał czekać na odpowiedź. – To świetnie się składa, ponieważ moja załoga z pewnością tym nie wzgardzi. – To rzekłszy, zaczął zgarniać do serwety kości, groszek, a nawet resztki bigosu. Następnie staranie zawiązał serwetę i wsunął ją do kieszeni kamizelki. Odwrócił się do mrugającego z zaskoczenia doży i oświadczył: – Dziękuję za gościnę, panie.

Pożegnawszy się w ten oto sposób, Merik Nihar, książę Nubrevny i admirał nubreveńskiej marynarki, opuścił jadalnię, a po chwili również pałac.

Kiedy wychodził, w jego głowie już zaczął rodzić się plan.

* * *

Zanim Merik dotarł do najbardziej wysuniętego na południe punktu Południowej Dzielnicy Portowej, w oddali dzwony wybiły piętnastą.

Przychodził odpływ. Tego dnia panował niemiłosierny upał.

Gdy ksiązę próbował przeskoczyć kałużę, Noden jeden wie czego, poślizgnął się i wdepnął w to coś. Poczerniała woda bryznęła, a w powietrzu rozniósł się ciężki smród starej ryby. Z trudem powstrzymał się, żeby nie walnąć pięścią w najbliższą witrynę sklepową. To nie wina miasta, że jego Mistrzowie Gildii byli pajacami.

Minęło dziewiętnaście lat i cztery miesiące, odkąd Rozejm zapobiegł wojnie w Czarozemiach. W tym czasie ojczyznę Merika zdołały uciemieżyć trzy imperia, Cartorra, Marstok i Dalmocja. Każdego roku przez jego kraj przejeżdżało o jedną karawanę mniej i o jeden mniej nubreveński ładunek wysyłany na eksport znajdował swojego kupca.

Nubrevna nie była jedynym małym państwem, które ucierpiało – w końcu Wielka Wojna zaczęła się wieki temu. Stanowiła rezultat sporu o to, kto jest właścicielem Prastudni. W tamtych czasach to Studnie wybierały swoich władców – chyba miało to coś wspólnego z Dwunastoma Paladynami. Tylko jak dwunastu rycerzy albo martwe źródło mogło wybierać sobie króla? Cóż, tego Merik nigdy nie zrozumiał.

Wszystko to i tak były tylko legendy, fakty pozostawały faktami: Wielka Wojna przyczyniła się do wzmocnienia trzech imperiów, z których każde chciało tego samego – więcej czarodziejów, więcej plonów, więcej portów.

Tak więc trzy potężne imperia stały naprzeciw garstki malutkich zaciętych kraików, z tym że mieszkańcy owych kraików sukcesywnie ustępowali pola, przemieszczając się na północ, jako że wojna kosztuje i nawet mocarstwa muszą wydawać pieniądze.

Pokój – oto, co ogłosił imperator Cartorry. Pokój przez dwadzieścia lat, a potem nastąpią renegocjacje. Brzmiało idealnie.

Zbyt idealnie.

Tym, czego ludzie tacy jak matka Merika nie byli świadomi, podpisując się pod Dwudziestoletnim Rozejmem, był opracowany już wówczas plan, wedle którego imperator Henrick powiedział „pokój”, w rzeczywistości mając na myśli przerwę. Kiedy zaś mówił o renegocjacjach, chodziło mu o dopilnowanie, żeby inne narody stały się im podległe, gdy ich armie wznowią swój marsz.

Zatem teraz, kiedy Merik obserwował nadciągające z zachodu dalmockie siły zbrojne, gromadzących się na wschodzie marstockich

ogniodziejów oraz płynącą w kierunku wybrzeża jego ojczyzny imperatorską flotę, miał wrażenie, że on i cała Nubrevna toną – że jego płuca wypełniają się wodą, a on sam znika pod falami, tracąc z oczu słoneczne światło.

Ale przecież póki co Nubreveni nie ucierpieli.

Merik miał w planach jeszcze ostatnie spotkanie, tym razem ze Żółtą Gildią. Gdyby zdołał otworzyć chociaż jedną linię handlową, zyskałby już pewność, że inne Gildie by do niego dołączyły.

Kiedy w końcu dotarł na swój okręt, trzymasztową fregatę z ostrym dziobem, żagle były zwinięte, a nubreveńska flaga powiewała ospale na wietrze. Na widok Jany nieco się uspokoił. Jeszcze tylko sprawdzi, czy ma czystą koszulę, i wszystko będzie w porządku. Okręt ten należał do ojca Merika, króla Serafina. Połowę załogi stanowili ludzie monarchy. I choć pod Merikiem służyli już od trzech miesięcy, nie okazywali zadowolenia z jego obecności.

Po głównym pokładzie powoli kroczył wysoki, szpakowaty mężczyzna. Przeszedł obok szorujących podłogę marynarzy i usiadł na skrzynce, po czym uklonił się Merikowi. Był to Kullen Ikray, więziobrat księcia i pierwszy oficer na Janie.

– Wcześniej wróciłeś – powiedział.

Merik zauważył, że policzki Kullena pokrywają czerwone plamy, nie uszło też jego uwadze, że z trudem oddychał. No tak, napad duszności.

– Źle się czujesz? – zapytał.

Oficer udał, że nie słyszy, tym samym dając Merikowi do zrozumienia, że wolałby zmienić temat. Nie wyglądał na wilka morskiego: był zbyt wysoki, żeby bez problemu mieścić się pod pokładem, jego jasna skóra spalała się na słońcu z haniebną łatwością, poza tym nie przepadał za szermierką. Kullen miał jednak pewną szczególną umiejętność: potrafił kontrolować wiatr. W przeciwieństwie do Merika panował nad prądami powietrznymi – był najprawdziwszym eterystą, sprawował władzę nad pracą ludzkich płuc i uciszał burze, jednego razu zdołał nawet powstrzymać huragan. Czarodzieje tacy jak Merik byli dość powszechni i różnili się stopniem mocy w ujarzmianiu wiatru, Kullen zaś, o ile się Merik orientował, był jedynym żyjącym człowiekiem, który posiadał pełną władzę nad wszystkimi aspektami powietrza. Niemniej to nie zdolności magiczne

Merik cenił w Kullenie najbardziej, a jego umysł, ostry jak brzytwa, a także stałość i opanowanie.

– Jak minął lunch? – zapytał oficer, a powietrze wokół niego ociepliło się, kiedy na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

– Strata czasu – odparł Merik. Przemaszerował przez pokład, stukając obcasami o dębowe deski. Żeglarze przerwali na chwilę pracę, aby mu zasalutować, uderzając pięścią w klatkę piersiową. Merik skinął niedbale każdemu z nich. Naraz przypominał sobie o spoczywających w jego kieszeni zawiniątkach. Wyjął je i wręczył Kullenowi.

Ten odetchnął kilka razy i zapytał:

– Resztki?

– Chciałem dać im coś do zrozumienia – wymamrotał Merik, jeszcze głośniejsze stukając obcasami. – Ale do nich chyba nic nie dociera. Jakież wieści od Levatów?

– Tak, ale... nie dotyczą króla. Jedyne, co wiem, to że nadal musi leżeć w łóżku.

Merik poczuł narastającą frustrację. Od tygodni nie otrzymał żadnych informacji o stanie zdrowia ojca.

– A ciotka Evrane? Wróciła od uzdrowiciela?

– Tak.

– To dobrze. – Przynajmniej jeden powód do zadowolenia. – Przyślij ją do mojej kajuty, chcę ją zapytać o Złotą Gildię... – Zamilkł na chwilę i zazgrzytał zębami. – O co chodzi? Masz minę, jakby coś było nie tak.

– Bo jest – potwierdził Kullen, drapiąc się po karku. Przeniósł wzrok na ogromny wietrzny bęben na tylnym pokładzie. Nowy rekrut, którego imienia Merik nie mógł zapamiętać, czyścił dwa pobijaki. Jeden z nich miał magiczną moc i służył do wytwarzania potężnych zrywów powietrza. Drugi, zwyczajny, używano do przekazywania wiadomości oraz uderzano nim w rytm marynarskich piosenek.

– Powinniśmy pomówić o tym w cztery oczy – wydusił wreszcie Kullen. – Chodzi o twoją siostrę. Coś... od niej przyszło.

Merik pogładził wiosło i uniósł ramię. Odkąd Serafin uczynił go emisariuszem na Szczyt Rozejmowy, a co za tym idzie również tymczasowym admirałem marynarki, Vivia na tysiąc różnych sposobów usiłowała z daleka przejąć kontrolę nad sytuacją panującą na morzu.

Księżę poczłapał do swojej kajuty, a jego kroki odbijały się echem od pobielonego sufitu. Podszedł do łóżka, Kullen podążył za nim. Merik oparł się o stół z mapami i księgami rachunkowymi, stojący pośrodku pomieszczenia. Podobnie jak łóżko został przykręcony do podłoża, a dokumenty przytrzymała przed przesuwaniem się trzycalowa obwódka. Słoneczne światło wpadało przez okna, odbijając się na kolekcji mieczy króla Serafina, które znajdowały się na tylnej ścianie kabiny.

Teoretycznie okręt ten mógł należeć do Merika, ale on nie łudził się, że tak się kiedyś stanie. W czasie wojny królowa rządziła na lądzie, a król na morzu. Tym samym Jana, nazwana tak na cześć zmarłej królowej, podlegała Serafinowi, którego Merik jedynie zastępował w czasie jego choroby.

Król musiał wydobrzeć – w przeciwnym wypadku to Vivia przejmie władzę... A tego Merik nie był w stanie sobie wyobrazić ani tym bardziej stawić temu czoła. Jego siostra nie reprezentowała typu człowieka, który zadowoliliby się jedynie rządzeniem ziemią czy morzem – chciała kontrolować jedno i drugie i ani trochę się z tym nie kryła.

Merik ukląkł obok skrzyni – jedynej swojej osobistej rzeczy na tym okręcie. Pospiesznie przeszukał zawartość i wyjął czystą koszulę oraz niebieski admirałski mundur. Chciał czym prędzej zdjąć z siebie garnitur, jako że nic nie urażało jego męskiego ego bardziej niż falbanki przy kołnierzyku.

Odpinając dziesięć milionów guzików na swojej koszuli, dołączył do Kullena przy stole. Ten otworzył mapę Morza Jadańskiego, czyli kawałka oceanu, który dzielił Imperium Dalmockie.

– To przybyło od Vivii.

Postawił niedbale miniaturowy statek, który wyglądał identycznie jak okręty Gildii Dalmockiej przy przystani. Figurka śliznęła się przez mapę i zatrzymała w miejscu powyżej punktu oznaczającego Veñazę.

– Jest zaczarowany i będzie przemieszczał się za korespondującym z nim statkiem. – Kullen popatrzył na Merika. – Według kanalii, która to dostarczyła, odpowiadający mu statek pochodzi z Pszenicznej Gildii.

– A dlaczego Vivie miałby obchodzić statek handlowy? – spytał Merik, odpuścił sobie rozpinanie guzików i po prostu zdjął koszulę przez głowę. Rzucił ją na skrzynię i oparł ręce o stół. Jego wyblakłe czaroznamię miało teraz kształt nierównego łądu. – Czego ona od nas oczekuje?

– Myślę, że chodzi o lisy – odparł Kullen i w pomieszczeniu zapanował lodowaty klimat.

– Lisy – powtórzył Merik obojętnie. Z początku słowo to nic mu nie mówiło, po chwili jednak trybiki w głowie wskoczyły na właściwe miejsca. Gwałtownym ruchem dopadł swojej skrzyni. – To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niej słyszałem... A zasadniczo zajmuje się wygadywaniem przede wszystkim głupstw. Każ Herminowi skontaktować się z głosodziejem Vivii. Teraz. Chcę z nią porozmawiać przy następnym biciu dzwonu.

– Tak jest. – Rozległ się stukot butów Kullena. Merik wyjął pierwszą koszulę, na jaką trafił. Założył ją, nim jego więziobrat zatrzaskał za sobą drzwi.

Usłyszawszy ten dźwięk, zacisnął zęby, powstrzymując wybuch złości. Zdołał się opanować. Takie numery były przecież typowe dla Vivii, czemu więc miałby być zaskoczony albo zły? Lisy to niegdysiejsi piraci Nubrevny, specjalizujący się w małych galerach – płytszych niż Jana dwumasztowcach zdolnych wślizgnąć się pomiędzy piaszczyste mierzeje i wyspy. Dzięki temu mogły wciągać w zasadzkę większe statki. Sztandar lisa, który reprezentował wijący się wokół irysa brodatego lis morski, nie powiewał na żadnym maszcie od setek lat. Nie zaszła taka potrzeba, jako że Nubrevna weszła w posiadanie marynarki z prawdziwego zdarzenia.

Kiedy Merik zastanawiał się nad argumentem, który mógłby trafić do jego siostry, za jednym z okien coś mignęło – może fala uderzająca o boję albo kołyszący się tuż obok statek kupiecki. Tyle że nie nadeszła jeszcze pora przypływu. Książę podszedł do okna. Przebywał w Veñazie, mieście bagien, a tu tylko dwie rzeczy mogły wywołać nienaturalny przypływ: trzęsienie ziemi albo magia, i istniał tylko jeden powód, dla którego czarodziej przywoływałyby fale ku przystani – rozszczerzenie.

Merik rzucił się do drzwi.

– Kullen! – ryknął, gnając przez główny pokład. Fale stawały się coraz wyższe i Jana zaczynała się przechylać.

Jeden z żeglarzy szybował w kierunku przystani. Drapał się wściekle po przedramionach i szyi, a na jego skórze pojawiały się czarne pęcherze. Poziom jego magii osiągał już punkt krytyczny i Merik doskonale wiedział, że niebawem życie innych ludzi będzie zagrożone.

Fale wciąż rosły. Choć kilkoro ludzi zauważyło, co się dzieje, większość pozostawała w zgubnej nieświadomości. Wobec tego książę miał tylko jedno wyjście. Krzyknął jeszcze raz na Kullena, po czym zgromadził całą swoją magię. Kilka chwil później uleciał wysoko w górę.

ROZDZIAŁ 5

Cierpliwość Safi była na wyczerpaniu. Najpierw ta cholerna mewa, teraz nieznośny popołudniowy upał, w dodatku załoga żadnego z sześciu statków zacumowanych przy przystani nie potrzebowała nowych pracowników – zwłaszcza wyglądających jak uczniowie Gildii.

Iseult wyprzedziła Safi i podeszła do grupy ludzi na końcu doku. Nawet z oddali prawdopodobnie widziała, jak jej więziosiostra nerwowym ruchem poprawia chustę i rękawiczki, bacznie przypatrując się czemuś, co dostrzegła w mętnej wodzie.

Safi uniosła brwi i skierowała wzrok na słone fale. Coś się zaraz wydarzy, czuła to. Ciarki uniosły włoski na jej ramionach, po czym dreszcz przeszedł ją aż w dół kręgosłupa... I wtedy poczuła, jak drapiące dotknięcie jej magii zwiastuje coś złego – coś ogromnie, nieskończenie złego.

Czyjaś magia się rozszczepiała.

Safi doznała już kiedyś czegoś podobnego – czuła, jak moc puchnie, jakby ona sama również miała się rozszcześcić. Każdy, kto dysponował czarodziejskimi mocami, potrafił wyczuć, jak świat wypadał ze swojego magicznego porządku. Osoby, które ich nie posiadały – czyli większość ludzi w porcie – równie dobrze mogły być już w tej chwili martwe.

Krzyk przeszył przestrzeń niczym błyskawica. Iseult! Safi wrzasnęła na ludzi, każąc im się odsunąć, i przekoziółkowała do przodu. Sięgnęła do buta po ukryty tam sztylet. Gdyby tylko zaszła taka potrzeba, mogłaby nim wybebeszyć wroga. Z chwilą, kiedy z impetem wylądowała na stopach, szybkim ruchem odcięła dół sukni. Teraz nic nie krępowało jej ruchów – popędziła przed siebie, mocno ściskając broń.

Fale wciąż wzbierały, poddmuchy mocy drażniły skórę Safi niczym tysiące wypowiedanych jednocześnie kłamstw. Rozszczepiająca się magia musiała być powiązana z wodą – statki handlowe, skrzypiąc, chybotwały się na falach i z hukiem waliły o pirs.

Safi dotarła do kamiennej kei. W ułamku sekundy rozeznała się w sytuacji: rozszczępiający był pływodziem. Na jego skórze pojawiały się ropnie, z klatki piersiowej kapłała czarna jak smoła krew. Stojąca kilka kroków dalej Iseult przyjęła już pozycję do walki. Także pozbyła się dołu swojej sukni. Jestem z ciebie dumna, pomyślała Safi. W tej samej chwili ujrzała nadlatującego z lewej strony powietrzodzieja. Poruszał się z gracją niedoświadczonego nietoperza ze złamanym skrzydłem. Rozpościerał ręce, wzywając tym samym wiatr, aby go niósł. Przyszły jej do głowy dwie rzeczy: „Kim, u licha, jest ten nubreveński wiatrodziej?” oraz „Ktoś powinien go nauczyć, jak się zapina koszulę”.

Nieznajomy wylądował tuż przed nią. Wrzasnęła z całych sił i zanim zdążyła zamachnąć się na niego sztyletem, rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Oboje padli na ziemię. Człowiek-nietoperz bohatersko odepchnął Safi, krzyząc:

– Odsuń się! Ja to załatwię!

Dziewczyna go zignorowała, uznała, że ewidentnie musiał być po prostu idiotą. Mocniej zacisnęła dłoń na sztylcie i obróciła się w kierunku pływodzięcia. W tym czasie Iseult przystąpiła do działania: zaczęła wytwarzać stalowe wiry, które miały odwrócić jego uwagę. Niestety bez skutku – pływodzię nie ruszył się ani o krok. Wtedy wbiła mu w brzuch swoją kosę. Trysnęła czarna krew, z rany wypłynęły poczerńiałe flaki.

Woda buchnęła na ląd. Statki walnęły o kamienie z ogłuszającym chrzęstem drewna. Nadeszła druga fala, a zaraz za nią trzecia.

– Kullen! – ryknął Nubreven. – Powstrzymaj wodę!

Powietrze przeszło ciało Safi. Magiczny podmuch sprawił, że spienione fale zaczęły się wycofywać, ale pływodzię zupełnie się tym nie przejął. Jego spojrzenie spoczęło teraz na Safi. Zakrzywił zakrwawione palce niczym szpony i ruszył w jej kierunku.

Dziewczyna zaatakowała. Kopnęła go w klatkę piersiową, tak że stracił równowagę i runął na ziemię. Wtedy Iseult przyłożyła mu w twarz. Czarne krosty pokrywające jego skórę pękły, krew trysnęła na bruk. Mimo to wciąż żył, nadal był przytomny. Z rykiem przypominającym huragan zdołał wstać i się wyprostować.

Do akcji postanowił wkroczyć Nubreven. Przybliżył się niepostrzeżenie do rozszczępionego, a w Safi aż się zagotowało.

– Co ty wyprawiasz?!

– Powiedziałem ci, że to załatwię! – ryknął. Złożył dłonie w miseczkę i z całej siły uderzył rozszczępionego w głowę. W jednej chwili oczy pływodzenia poczerniały. Znieruchomiał – tym razem bez dwóch zdań był już martwy.

* * *

Iseult wsunęła kosę do pochwy na łydce. Stojący w pobliżu Dalmotczycy wykonywali osobliwy gest: przesuwali przed oczyma dwoma palcami. Ruchy te miały odstraszać zło i stanowiły prośbę do bogów, aby uchronili ich dusze. Niektórzy patrzyli na martwego rozszczępionego, ale kilkoro spośród zgromadzonych skierowało swój wzrok na Iseult. Jakby miała jakikolwiek interes w zawładnięciu ich duszami! Bardziej zależało jej na tym, żeby nie zostać obskoczona przez tłum i pobitą, dlatego odwracając się w kierunku martwego pływodzieja, poprawiła chustę i podziękowała Księżycowej Matce, że okrycie nie zsunęło się jej z głowy w czasie walki. Podziękowała również bogini za to, że nie rozszczępił się nikt inny – tak potężny wybuch magii z łatwością mógł doprowadzić obecnych tam czarodziejów do ostateczności.

Nikt co prawda nie wiedział, co stanowiło przyczynę rozszczępienia, ale Iseult czytała o teoriach, które łączyły tę anomalię z pięcioma Prastudniami rozsianymi po całych Czarozemiach. Każda nich była połączona z jednym z pięciu żywiołów: eterem, ziemią, wodą, powietrzem lub ogniem. I choć ludzie mówili o żywiole Otchłani i o otchłaniarzach – takich jak krwiodziej – nie spotkała się z żadnymi zapisami o Prastudni Otchłani. Oczywiście możliwe, że takowa gdzieś istniała, lecz nawet jeśli – została zapomniana już dawno temu. Źródła, które ją zasilały, przestały tętnić życiem, okoliczne drzewa uschły. Taki stan rzeczy mógł równie dobrze dotyczyć Studni Ziemi, Wiatru i Wody, możliwe więc, że pewnego dnia także o nich słuch zupełnie zaginie. Tak czy owak, badacze uważali za nieprzypadkowe, że jedynymi czarodziejami zdolnymi do rozszczępienia magii byli ci powiązani z ziemią, wiatrem lub wodą. I jeśli wierzyć mnichom Carawenu, wyłącznie powrót Cahr Awenów mógłby uzdrowić martwe studnie czy rozszczępionych. Iseult nie łudziła się jednak, by miało się to niebawem wydarzyć. Powrót Cahr Awenów nie będzie łatwy, podobnie jak trudność sprawi jej ucieczka od tych pełnych nienawiści spojrzeń.

Kiedy już się upewniła, że zgromadzeni nie dostrzegą jej twarzy, skupiła się na niciach Więzi Safi, usiłując zlokalizować ją w tłumie. Zauważyła jednak coś zupełnie innego: nici, których nie widziała nigdy wcześniej. Tuż obok niej... na zwłokach.

Spojrzała na ciało rozszczerzonego. Z jego uszu wypływała poczerniała krew... i być może jeszcze coś. I chociaż pływodzię bez wątpienia był martwy, wokół jego klatki piersiowej, niczym larwy, nadal wiły się trzy nici Więzi. Nici Więzi, które się łamały.

To nie powinno być w ogóle możliwe, matka Iseult zawsze mówiła, że martwi nie mają nici, poza tym podczas wszystkich ceremonii spalania ciała, w których Iseult uczestniczyła jako dziecko, nigdy nie widziała nici na zwłokach.

Im dłużej się gapiła, tym większy gromadził się tłum. Ludzie, ciekawi widoku trupa, roili się dosłownie wszędzie i Iseult musiała zmrużyć oczy, aby dojrzeć cokolwiek przez ich nici Więzi. Nie mogła też sobie pozwolić, by ulec wirującym wokół niej emocjom.

Wtedy w pobliżu błysnęła jedna szkarłatna nić, której pojawieniu się towarzyszyło kąśliwe burknięcie.

– Wydaje ci się, że kim ty, na ognie piekielne, jesteś? Miałyśmy to pod kontrolą!

– Pod kontrolą? – odciął się męski głos z silnym akcentem. – Właśnie ocaliłem wam życie!

– Czy to ty jesteś rozszczerzony?!

No tak, Safi musiała dać upust swojej rozpacz i przerażeniu. Zawsze się tak zachowywała, kiedy wydarzyło się coś naprawdę złego – albo uciekała od swoich emocji, albo zupełnie im ulegała.

Kiedy w końcu Iseult dopchała się do swojej więziosiostry, zobaczyła, jak ta przypada do mężczyzny i łapie w garść jego niezapiętą koszulę.

– Czy właśnie tak ubierają się wszyscy Nubreveni? – Safi chwyciła drugą połę koszuli. – To zapinasz tutaj.

Na swoje szczęście Nubreven ani drgnął. Twarz zapłonęła mu za to dziką purpurą, podobnie zresztą jak jego nici Więzi. Mocno zacisnął usta.

– Wiem – wycedził – jak zapina się koszulę. – Odtrącił nadgarstek Safi. – I nie potrzebuję rad od kobiety, która nosi na ramieniu ptasie góvienko.

O nie, pomyślała Iseult, otwierając usta, aby ostrzec przyjaciółkę.

Nagle poczuła, że czyjeś palce zaciskają się na jej ramieniu. Zanim zdołała się wyswobodzić, ktoś złapał ją za przegub i boleśnie wygiął go do tyłu. Zapulsowała jej przed oczami nic Więzi w kolorze gliny. Był to znajomy odcień złości, w którym odbijały się lata znoszenia napadów hysterii Safi. To oznaczało tylko jedno: przyjechał Habim.

Mężczyzna przycisnął jej rękę do pleców i warknął:

– Iseult. Do tamtego zaułka. Natychmiast.

– Możesz mnie puścić – powiedziała bezbarwnym tonem. Widziała go kątem oka. Miał na sobie szaro-niebieskie szaty, jakie zazwyczaj nosili przedstawiciele rodu Hasstrelów.

– Otchłaniarz?! Nazwałeś mnie otchłaniarzem?! Mówię po nubreveńsku, ty jełopie! – krzyczała zaciekle Safi.

Iseult nienawidziła, kiedy nici Więzi Safi żarzyły się tak jasno, przyćmiewając wszystko inne. Parzyły ją wówczas w oczy i w serce.

Przechodzili właśnie obok jednonogiego żebraka wyśpiewującego Lament Eridysi. Habim nie zwolnił kroku. Dotarli do wąskiego przejścia pomiędzy brudną gospodą i jeszcze brudniejszym sklepem z używaną odzieżą. Iseult weszła w zaułek chwiejnym krokiem. Smród kocich sików wwierał jej się w nozdrza.

Wyrwała nadgarstek z uścisku Habima i odwróciła się. Takie zachowanie nie było podobne do przyjaznego Marstokczyka. Z pewnością był groźnym człowiekiem, od dwóch dziesięcioleci służył jako żołnierz Eronowi fon Hasstrelowi, na co dzień jednak biła od niego łagodność i opanowanie.

– Co wyście robiły? – powiedział, przypadając do niej. – Wyciągnęłyście broń, tak po prostu? Na piekielne bramy, Iseult, powinnaś była uciekać.

– Ten rozszczepiający pływodziej – zaczęła, ale Habim ją zignorował i podszedł jeszcze bliżej. W jego oczach zapłonął gniew, a nici Więzi błysnęły czerwienią.

– Każdy rozszczepiony to problem strażników miasta, a strażnicy to teraz wasz problem. Rabunek na drodze, Iseult?

Poczuła, że zaczyna brakować jej powietrza.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Wszędzie są blokady. Natknąłem się z Mathew na jedną z nich po drodze do miasta i dowiedzieliśmy się, że strażnicy szukają dwóch

dziewczyn, jednej z mieczem, drugiej z kosą. Jak myślisz, ilu ludzi walczy kosą, Iseult? To... – Habim wskazał na jej pochwę z bronią – jest zbyt oczywiste. Poza tym jako Nomatsanka nie masz żadnej prawnej ochrony w tym kraju, a takie noszenie broni na widoku publicznym zaprowadzi cię na stryczek. – Obrócił się na pięcie i odmaszerował trzy kroki, po czym zawrócił. – Myśl, Iseult! Myśl!

Dziewczyna zacisnęła usta. Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora.

Naraz usłyszała dobiegający z oddali dźwięk werbla. To mogło oznaczać tylko jedno: nadchodzili strażnicy miejscy. Z pewnością utną głowę pływodzielowi – tak nakazywało prawo względem rozszczępionych.

– Cz-czy... skończyłeś już na mnie krzyżeć? – zapytała w końcu. Zaczynała się jąkać jak wtedy, kiedy była dzieckiem. – Ponieważ muszę wracać do Safi i mu-musimy opuścić miasto.

Habim wziął głęboki wdech. Iseult uważnie obserwowała, jak stara się zapanować nad emocjami. Jego nici Więzi stopniowo zmieniały barwy na łagodniejsze.

– Nie możesz wrócić do Safi. Prawdę mówiąc, nie wyjdiesz z tej uliczki tą samą drogą. Mistrz Gildii Yotiluzzi zatrudnił krwiodzieja, ta kreatura pochodzi prosto z Otchłani i nie wie, co to litość ani strach. – Habim potrząsnął głową, a jego nici przybrały szarą barwę oznaczającą strach. Widząc to, Iseult chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Habim nigdy nie okazywał strachu.

– Wuj Safi jest w mieście – ciągnął dalej Habim – przyjechał na Szczyt, więc...

– Dom fon Hasstrel jest tutaj? – Iseult natychmiast odzyskała mowę. Habim mógłby powiedzieć jej tysiąc różnych rzeczy, ale nic nie byłoby w stanie zaskoczyć jej bardziej. Spotkała Erona, okaleczonego w walce i zapitego typa, dwa razy w życiu i natychmiast zrozumiała, czemu Safi ma do niego żal.

– Cała cartorriańska arystokracja ma się tutaj zjawić – wyjaśnił Habim, znów przechadzając się tam i z powrotem. – Henrick zamierza ogłosić coś bardzo ważnego i, jak ma to w zwyczaju, chce to zrobić, mając przed sobą liczną publiczność.

Iseult prawie w ogóle go nie słuchała.

– Czy przybycie całej tej arystokracji ma jakiś związek z Safi?

Wyraz twarzy Habima złagodniał. Jego nici przybrały barwę delikatnej brzoskwiowej czułości.

– Owszem, ma związek z Safi. Jej wuj i pozostali przybyli do miasta zapewniają jej teraz ochronę przed krwiodziejem Yotiluzziego. Ale ty...

Habim nie musiał kończyć zdania. Safi chronił tytuł, natomiast Iseult pograżało jej pochodzenie.

Potarła policzki i skronie. Ledwo docierał do niej gwar tłumu i odgłos bębnów.

– W takim razie co mam zrobić? – zapytała w końcu. – Nie stać mnie na przepłynięcie łódką, a nawet gdyby, to nie mam dokąd się udać.

Habim wskazał dłonią koniec uliczki.

– Tam jest gospoda, nazywa się Kanał Hawthorna. Wynajęłem pokój i konia. Zostaniesz tam na noc, a jutro o świcie udasz się do siostrzanej gospody na północy. Będę tam na ciebie czekać z Mathew. Do tego czasu rozwiążemy problem z krwiodziejem.

– Dlaczego tylko jedną noc? Co mo-może się wydarzyć w ciągu jednej nocy?

Habim wziął głęboki oddech. Wpatrywał się w Iseult tak intensywnie, jakby potrafił dostrzec jej nici Więzi.

– Safi urodziła się jako domna. Musisz o tym pamiętać, Iseult. Całe jej szkolenie zostało przeprowadzone z myślą właśnie o tym. Dzisiaj musi się stawić na Szczycie. Henrick otwarcie zażądał jej obecności, co oznacza, że nie może odmówić, a ty nie możesz jej w tym przeszkodzić.

„Ty nie możesz jej w tym przeszkodzić” – Iseult poczuła narastające w płucach powietrze. Choć Safi przepuściła całe ich oszczędności i choć krwiodziej deptał im po piętach, Iseult cały czas wierzyła, że wszystko jakoś się ułoży. Że ta zagmatwana sytuacja jakimś cudem się rozwikła i życie znowu stanie się normalne, takie jak kilka tygodni temu.

Ale to... to oznaczało koniec. Safi zostanie domną i nie będzie w jej życiu miejsca dla Iseult.

Strata, pomyślała, usiłując zidentyfikować narastające w niej uczucie. To właśnie musi być strata.

– Mówiłem ci już o tym wcześniej – powiedział szorstko Habim. Mierzył ją wzrokiem z góry na dół niczym generał musztrujący żołnierza. – Setki razy. Mówiłem ci, Iseult, ale ty nigdy mnie nie słuchasz. Nigdy mi nie

wierzysz. Dlaczego razem z Mathew zachęcałem cię do zaprzyjaźnienia się z Safi? Dlaczego postanowiliśmy trenować cię razem z nią?

Iseult wypuściła powietrze, pragnąc, aby wstyd opuścił ją wraz z nim.

– Ponieważ – wyrecytowała – nikt nie jest w stanie ochronić Safi tak jak jej więziorodzina.

– Dokładnie tak. Siła więziorodziny jest niezniszczalna i ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Tamtego dnia przed sześciu laty, kiedy ocalałaś życie Safi, zostałąście więziosiostrami. Mogłabyś oddać za nią życie, tak jak ona mogłaby oddać je za ciebie. Więc zrób to dla niej, Iseult. Ukryj się na tę noc i pozwól mnie i Mathew rozprawić się z krwiodziejem. Jutro ty i Safi znów będziecie razem.

Nastała chwila ciszy. Wreszcie Iseult powoli skinęła głową. Przestań zachowywać się jak idiotka, zbesztaj samą siebie dokładnie tak, jak zawsze robiła to jej matka. Cała ta historia nie skończy się zbyt łatwo i powinna być na tyle bystra, żeby od razu to zrozumieć.

– Daj mi swoją kosę – rozkazał Habim. – Oddam ci ją jutro.

– To moja jedyna broń.

– Tak, ale jesteś Nomatsanką. Jeżeli zatrzymają cię na kolejnej blokadzie... Nie możemy aż tak ryzykować.

Iseult nerwowo potarła nos i wymamrotała:

– Dobrze.

Odpięła swoje bezcenne ostrza i podała je Habimowi. Jego nici Więzi zmieniły kolor na niebieski, oznaczający smutek. Zrobił kilka kroków i podniósł leżącą w cieniu brezentową torbę, po czym wyjął z niej szorstki, czarny koc.

– Jest wykonany z włókna salamandrowego. – Okrył nim głowę i ramiona Iseult i spiął zwykłą broszką. – Tak długo, jak długo będziesz go miała na sobie, krwiodziej nie będzie mógł cię wyczuć. Nie zdejmuj tego do naszego jutrzejszego spotkania.

Iseult skinęła nieznacznie – ten sztywny materiał ograniczał jej ruchy. I, na Księżycową Matkę, było jej pod nim cholernie gorąco.

Habim sięgnął do kieszeni i wyjął sakiewkę pełną pobrzękujących monet.

– To powinno pokryć koszt gospody i konia.

Iseult przyjęła pieniądze i ruszyła w kierunku odrapanych drzwi. Z wnętrza austerii dobiegały odgłosy krzątających się w kuchni kucharzy.

Złapała zardzewiałą gałkę u drzwi.

Coś było... nie tak.

Jaką byłaby więziosiostrą, gdyby zostawiła Safi bez pożegnania albo bez planu awaryjnego?

– Czy możesz przekazać Safi wiadomość ode mnie? – zapytała spokojnym głosem. Kiedy Habim potwierdził, kontynuowała: – Powiedz jej, że przykro mi, że musiałam ją opuścić, i że byłoby dobrze, gdyby nie zgubiła mojej ulubionej książki. I jeszcze... – zmarszczyła brwi, udając, że intensywnie nad czymś myśli – powiedz jej, żeby nie podrzynała ci gardła, bo jestem przekonana, iż spróbuje to zrobić, gdy tylko się dowie, że mnie odesłałeś.

– Przekażę jej – odrzekł Habim poważnie. – A teraz się pośpiesz. Ten krwiodziej bez wątpienia depcze ci po piętach.

Iseult skinęła głową, po czym szarpnęła za klamkę i wmaszerowała do parnej, zatłoczonej kuchni.

ROZDZIAŁ 6

W miarę jak dźwięk werbla narastał, Safi ogarniała coraz większa furia. Jedyńm powodem, dla którego nie pobiegła za tym przeklętym Nubrevenem, kiedy oddalał się w stronę swojego okrętu (w dalszym ciągu z rozpiętą koszulą), było to, że towarzyszył mu dość przerażający typ – najwyższy i najbladszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. Ponadto gdzieś zawieruszyła się Iseult.

Rzuciła się na poszukiwania swojej więziosiostry, jednak nagle zamarła: odgłosy kroków i bębna zbliżającej się straży ucichły, tłum zamilkł. Rozległ się świst, huk i ciche chlapnięcie. Przez dłuższą chwilę dało się usłyszeć jedynie gruchanie gołębi i cichy szum fal. Wreszcie rozległ się stłumiony szloch – być może ktoś znał tego martwego człowieka i właśnie go rozpoznał.

Poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Habim.

– Tędy, Safi. Tam stoi powóz.

– Muszę znaleźć Iseult – odparła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Jest w bezpiecznym miejscu. – Nauczyciel spoglądał na nią surowo, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. – Uwierz – dodał, a magia podpowiedziała jej, że to prawda.

Podążyła więc za nim do stojącego w ukryciu powozu. Kiedy wsiadła, Habim zamknął drzwi i szarpnięciem zasunął ciężką, czarną zasłonę. Następnie wyjaśnił jej lakonicznie, jak on i Mathew rozpoznali dziewczyny po broni i jak niedługo po tym dotarli do kawiarni.

Safi zrobiło się wstyd. Mathew był kimś więcej niż tylko jej nauczycielem – był dla niej jak rodzina, a ona doprowadziła do tego, że dom został zrujnowany. Kiedy jednak Habim wspomniał o odesłaniu Iseult do gospody samej, bez ochrony, wszystkie niedawne wydarzenia przestały mieć znaczenie. W Safi aż się zagotowało. Czym prędzej przypadła do drzwi, jednak Habim złapał ją mocno, zanim zdołała przekręcić gałkę.

– Jeżeli stąd wyjdiesz – warknął – krwiodziej cię wyczuje. Jeżeli jednak drzwi pozostaną zamknięte, mnich nie będzie w stanie cię namierzyć. Zasłona jest wykonana z włókna salamandrowego, a Iseult ma w tej chwili na sobie płaszcz z dokładnie tego samego materiału.

Safi zamarła. Poczowała, że brakuje jej powietrza, oczy zaszyły jej mgłą. Nie mogła uwierzyć, że Iseult tak po prostu odpuściła, że nie podjęła walki. Że tak zwyczajnie ją zostawiła... Nie miało to najmniejszego sensu, jednak jej magia krzyczała, że Habim mówił prawdę.

Dała znak nauczycielowi, by ją puścił, po czym z powrotem usiadła. Habim zawsze był najważniejszym z jej mentorów, choć domyślała się, że czasem brakowało mu do niej cierpliwości.

– Wiem, że to zatrzymanie to twoja sprawka – rzekł miękko. – Tylko ty byłabyś na tyle nieostrożna. Iseult jak zwykle ślepo podążyła za tobą.

Nie mogła z tym polemizować, Habim miał rację. Pomysł z grą w karty może i wyszedł od Iseult, ale za wszystko, co wydarzyło się później, odpowiadała ona, Safi.

– Ten błąd – ciągnął dalej Habim – skomplikował, a może nawet zrujnował plany snute od dwudziestu lat. Teraz, kiedy przyjechał Eron, robimy, co możemy, żeby uratować sytuację.

Safi zeszywniała.

– Wujek Eron? – spytała. – Tutaj?

Habim wyjaśnił, że Henrick wezwał całą cartorriańską arystokrację, aby wygłosić ważne oświadczenie. Safi – wzorem swojego mentora – starała się ze wszystkich sił zachować spokój, choć wieści te bardzo ją wzburzyły. Musiała przemyśleć całą tę sprawę i dokładnie przeanalizować każdy szczegół – tak jak zawsze robiła to Iseult.

Jednak umiejętność analizy i opracowywanie strategii działania nie należały do jej atutów. Za każdym razem, kiedy próbowała jakoś zorganizować sobie dzień, plany brały w łeb i pogrążała się w chaosie. Jedyne, czego mogła być pewna, to że wuj Eron jest tutaj, w Veñazie... Nie widziała go od dwóch lat i miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała go oglądać. Sama myśl o nim wystarczyła jednak, by jej przypomnieć, że ród Hasstrelów mógł mieć wobec niej określone plany – fakt, że ułożyła sobie życie w Veñazie, nie miał najmniejszego znaczenia.

Tak bardzo potrzebowała teraz Iseult! Obecność więziosiostry pomagała jej się skupić i zachować jasny umysł. W pojedynkę wychodziły jej dobrze

tylko ucieczka i walka.

Wyciągnęła dłoń w kierunku gałki u drzwi.

– Nie dotykaj tego – powiedział Habim obojętnym tonem. – Co zamierzasz zrobić, Safi? Uciec?

– Znaleźć Iseult – odparła cicho. Nie cofnęła ręki. – I dopiero wtedy uciec.

– Co tylko ułatwi krwiodziejowi pościg za tobą – odciął się stanowczo. – Tak długo, jak długo pozostaniesz z wujkiem, będziesz bezpieczna.

– Bo on tak doskonale wykonał swoje zadanie, chroniąc moich rodziców? – Wyrwało jej się, zanim zdążyła ugryźć się w język. Spodziewała się natychmiastowej riposty, Habim jednak milczał.

Po chwili rzekł grobowym głosem:

– Piekielni bardowie ochraniają swoją rodzinę, to prawda, ale losy imperium muszą być dla nich priorytetem. Wtedy, osiemnaście lat temu, właśnie ono stało dla Erona na pierwszym miejscu.

– Za co imperator Henrick haniebnie zwolnił go ze służby, czyż nie? Powierzył mu to niegodziwe zadanie opieki nad mną z wdzięczności?

Habim nie dał się sprowokować. Jego wyraz twarzy – jak zawsze, gdy Safi poruszała ten temat – pozostawał niezmienny.

– Wracasz do domu, do Mistrza Gildii Alixa – powiedział w końcu, uchylając zasłonę na ułamek sekundy i zerkając na zewnątrz. – Powinnaś od razu do niego pojechać, on ochroni cię przed krwiodziejem.

– Skąd miałam o tym wiedzieć? – Zabrała dłoń z gałki i usiadła prosto. – Myślałam, że postąpię słusznie, jeśli uniknę sprowadzania kłopotów na Alixa.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, jednak następnym razem postaraj się zaufać ludziom, których obowiązkiem jest zapewnienie ci bezpieczeństwa.

– Iseult także dba o moje bezpieczeństwo – odparła. – A ty mimo to ją odesłałeś.

I tym razem Habim zignorował zaczepkę. Spojrzał na swoją podopieczną spode łba.

– À propos Iseult: prosiła, abym ci przekazała, żebyś nie podrzynała mi gardła. Przeprasza, że cię zostawiła, i prosi, żebyś nie zgubiła jej książki.

– Iseult przeprasza?

To do niej niepodobne, przynajmniej nie kiedy wina ewidentnie leżała po stronie Safi. Musiało to oznaczać ukrytą wiadomość.

Dziewczyny niejednokrotnie porozumiewały się właśnie w ten sposób. „Mów zawsze co innego, niż masz na myśli”, powtarzał Mathew. Dzięki tej zabawie urozmaicały sobie nudne lekcje historii. Z tym że teraz nie była to żadna zabawa.

„Nie podrzynaj gardła Habimowi” – to znaczy, żeby zaczekać. Zrobić to, co każe Habim. Okej, Safi postara się być posłuszna. Ale książka...? Nie miała pojęcia, o co mogło chodzić.

– Rzeczy moje i Iseult – powiedziała powoli – są w worku, który został na przystani.

– Już je stamtąd zabrałem. Ma je woźnica. – Habim rzucił kolejne ukradkowe spojrzenie na zewnątrz, po czym zastukał w dach powozu. Gdy koła się zatrzymały, dodał: – Trzymaj się z dala od kłopotów, proszę. – Wsiadł i zniknął w tłumie. Jego kroki zagłuszył popołudniowy zgiełk.

Safi, mocno zaciskając pięści, ruszyła za nim. Była wściekła. Dom Alixa, imponująca rezydencja z kilkoma kolumnami, zdawał się tonąć w gąszczu dzikich róż i jaśminów. Jak wszyscy dalmoccy Mistrzowie Gildii Alix mieszkał w najbogatszej części miasta: Okręgu Wschodniego Kanału.

Safi miała u niego swój pokój. Młody jasnowłosy Alix był dla niej zawsze miły, lecz ta luksusowa posiadłość nigdy nie stała się jej prawdziwym domem – takim jak mieszczący się na poddaszu pokój Iseult. I takim jak ich przyszłe wspólne mieszkanie.

Przez kilka dłuższych chwil Safi tkwiła przy żelaznej bramie i rozważała ucieczkę. Pragnienie, by dać nogę, aż ją roznosiło, wiedziała jednak, że gdy tylko ruszy na poszukiwania Iseult, prawdopodobnie natknie się na krwiodzieja.

Piekielni bogowie, wszystko poszło zupełnie nie tak. Co gorsza, to wyłącznie jej wina. To ona uległa urokom Rzeźbimieszka. I to ona zaproponowała zorganizowanie zasadzki.

Zawsze tak było: Safi wpadała na jakiś pomysł, ale kto inny musiał posprzątać powstały bałagan. Od sześciu lat niezmiennie robiła to Iseult... ale ile jeszcze musiałaby narozrabiać, żeby Iseult miała tego wszystkiego dosyć? Pewnego dnia jej więziosiostra zrezygnuje z niej, podobnie jak wszyscy inni. Safi modliła się żarliwie, by nie okazało się, że ten dzień właśnie nadszedł. To nie może być teraz, przekonywała samą siebie.

W przeciwnym wypadku Iseult nie zostawiłaby jej wiadomości ani nie kazała pilnować książki. W końcu uznała, że może zdoła rozwikłać zakodowaną wiadomość Iseult po wejściu do rezydencji. Uderzając kłykciami o uda, podeszła do bramy i nacisnęła dzwonek.

(

Nic nie było w stanie zwalczyć smrodu dochodzącego z nad pobliskiego kanału, nawet kwiaty i kadzidełka. Safi patrzyła przez okno swojej sypialni na pierwszym piętrze, próbując zagłuszyć bicie własnego serca nerwowym postukiwaniem obcasem o podłogę. Na łożu z baldachimem – w którym rzadko kiedy spała – starannie ułożono piękne jedwabne suknie. Nie pierwszy raz Alix obdarował ją w ten sposób, lecz tak wspaniałych i kunsztownych szat nie dostała od niego chyba nigdy.

Usłyszała za sobą czyjeś kroki. Mathew. Dobrze znała ten powolny chód. Kiedy się odwróciła, zobaczyła jego szczupłą, usianą piegami twarz i rude włosy skąpane w popołudniowym świetle. Mathew i Habim bardzo się różnili – zarówno pod względem wyglądu, jak i osobowości. Safi zawsze wołała Mathew; być może dlatego, że wiedziała, iż ceniał ją o wiele bardziej niż Habim. Mieli sporo wspólnych cech – oboje przedkładali działanie nad refleksję i beztroski śmiech nad powagę.

Nawet bez swojej magii słowa Mathew znakomicie kantował. Habim pokazał Safi, jak używać własnego ciała jako broni, ale to Mathew nauczył ją posługiwania się umysłem i przekonał o sile słowa. I chociaż Safi nigdy nie rozumiała, dlaczego Mathew się upierał, żeby podzielić się z nią swoimi umiejętnościami, nie ośmieliła się o to zapytać z obawy, że przestanie to robić.

Mathew, podobnie jak Habim, miał w tej chwili na sobie szaroniebieską szatę symbolizującą przynależność do rodu Hasstrelów, ale w przeciwieństwie do swego więziobrata nie był sługą wuja Safi.

– Twoje rzeczy. – Mathew rzucił na łóżko torbę, a Safi nawet nie drgnęła, aby po nią sięgnąć. Pozwoliła sobie jedynie na zerknięcie, chciała bowiem sprawdzić, czy są tam książki Iseult. Dzięki bogom, były. – Moja kawiarnia jest zniszczona – rzekł, stając przed Safi i zasłaniając torbę. – Drzwi są wyłamane, okna wybite. Co cię, na piekielne bramy, podkusiło, by robić zasadzkę na Mistrza Gildii?

Safi zwilżyła usta.

– To... był wypadek. Nie na nich czekałyśmy.

– Ach tak. – Mathew opuścił ramiona, po czym podszedł bliżej i złapał Safi za podbródek. Często to robił w ciągu ostatnich sześciu lat.

Dokładnie obejrzał jej twarz, szukając ran albo siniaków. Z ulgą skonstatował, że jego podopieczna nie ma nawet zadrapania.

Zabrał rękę i cofnął się o krok.

– Cieszę się, że nic ci się nie stało.

Słyszac to, Safi odetchnęła i zarzuciła mu rękę na szyję.

– Przepraszam – mruknęła w klapę jego płaszcza. Był na niej wyhaftowany ten cholerny górski nietoperz. – Przepraszam za zniszczenie twojego przybytku.

– Przynajmniej jesteś w jednym kawałku.

Safi odsunęła się. Szkoda, że Habim nie podchodził do tego w taki sam sposób.

– Twój wuj potrzebuje cię dzisiejszego wieczoru – powiedział Mathew.

Podszedł do łóżka i wybrał suknię w kolorze pistacjowym. Safi posłała mu gniewne spojrzenie, jednak niezależnie od narastającej w niej złości musiała przyznać, że suknia prezentowała się przepięknie.

– Potrzebuje mnie czy mojej magii?

– Ciebie. Dzisiaj odbędzie się bal inauguracyjny Szczyt Rozejmowy. Henrick zażyczył sobie twojej obecności.

Safi poczuła, że wnętrzości wywracają jej się do góry nogami.

– Ale dlaczego? Nie jestem gotowa, żeby pełnić funkcję domny ani sprawować władzę na ziemiach należących do Hasstrelów. Poza tym...

– Nie o to chodzi – przerwał jej Mathew. Spojrzał na suknię, skrzywił się i odłożył ją na łóżko. – Nie te zdolności są teraz potrzebne.

Prawda.

– Szczerze mówiąc, nie wiemy, dlaczego Henrick cię potrzebuje, ale Eron nie mógł mu odmówić.

Safi poczuła ukłucie magii. Fałsz.

– Nie kłam – powiedziała cicho.

Mathew ją zignorował. Podniósł drugą suknię, nieco grubszą, w kolorze bladego różu. Safi wyszczerzyła zęby.

– Nie możesz odsyłać mojej więziosiostry bez słowa wyjaśnienia.

Popatrzył jej hardo w oczy, lecz po chwili jego spojrzenie złagodniało. Rzucił suknię na łóżko.

– Dzieją się teraz wielkie rzeczy, Safi. Twój wuj i wielu innych ludzi poświęciło im dwadzieścia lat. Za osiem miesięcy zakończy się Rozejm i dojdzie do wznowienia Wielkiej Wojny. Nie możemy do tego dopuścić.

Safi odwróciła głowę. Nie tego się spodziewała.

– Jakim sposobem ty albo wuj moglibyście wpłynąć na rozwój wydarzeń?

– Wkrótce się tego dowiesz – odparł. – A teraz idź się umyć i przebrać. – Wręczył jej srebrzysto-białą suknię. Czaroznamię na zewnętrznej stronie jego dłoni, okrąg symbolizujący eter i wpisana weń litera S oznaczająca magię słowa, zdawało się pobłyskiwać.

Safi sięgnęła po niemal przezroczystą suknię. Jedwab prześlizgiwał się między palcami.

– Nie trać na mnie swojej magii – powiedziała. Czuła, że Mathew chce ją omamić.

– Hmm – mruknął, jakby wiedział znacznie więcej, niż Safi byłaby w stanie sobie wyobrazić. Następnie odwrócił się z gracją w kierunku drzwi. – Niebawem przyjdzie pokojówka, która pomoże ci przy kąpieli. Nie zapomnij wyszorować uszu i paznokci.

Safi dźgnęła nauczyciela w plecy, nie dał się jednak sprowokować.

Rzuciła suknię na łóżko i popatrzyła na róg książki o Carawenie. Wszystko naprawi. Ogarnie cały ten bałagan, który narobiła, kiedy tylko zrozumie wiadomość Iseult, rozprawi się ze swoimi przeciwnikami, wujem, krwiodziejem i strażnikami.

Wszystko poskłada się znowu w logiczny porządek.

ROZDZIAŁ 7

I seult dała nura w uliczkę za przystanią, tak jak kazał jej Habim. Kuląc się pod drapiącym skórę kapturem, przemykała pomiędzy końmi i powozami, wymijając kupców i sługusów Gildii. W końcu dostrzegła drewniany znak z napisem „Kanał Hawthorna”. Rozpoznała to miejsce, kilka miesięcy wcześniej Safi grała tu w taro. Wtedy, w przeciwieństwie do poprzedniego wieczoru, wygrała.

Więziodziejka zwróciła uwagę na jasny kształt poniżej znaku. Był to odziany w białą szatę mnich Carawenu. Wokół niego nie dostrzegła żadnych nici Więzi – absolutnie żadnych.

Poczuła, że lód ścina jej wnętrzności. Zamarła w pół kroku, patrząc, jak mnich oddala się od niej, idąc w dół ulicy. Ewidentnie polował – przystawał co kilka kroków i węszył.

To właśnie brak nici Więzi zmroził Iseult. Dotąd wydawało jej się, że w ferworze wczorajszej walki po prostu nie zauważyła nici krwiodzieja, ale nie – on naprawdę nie miał żadnych. To przecież niemożliwe – nici Więzi posiadał absolutnie każdy.

– Może dywanik? – zagadnął sprzedawca dywanów, podchodząc do Iseult. Miał na sobie przepocone szaty i ciężko oddychał. – Te pochodzą prosto z Azmiru, ale dam ci dobrą cenę.

Iseult zamachnęła się na niego otwartą dłonią.

– Odsuń się albo odetnę ci uszy i nakarmię nimi szczury.

Zazwyczaj ta groźba skutkowałą. Najczęściej jednak stosowała ją na terenie Północnej Dzielnicy Portowej, gdzie większość ludzi nie zwracała uwagi na jej odcień skóry wskazujący na pochodzenie. Najczęściej też towarzyszyła jej Safi, a ona świetnie radziła sobie w sytuacjach kryzysowych.

Dzisiaj Iseult pozostawała jednak bezbronna. I inaczej niż jej więziosiostra w podobnej sytuacji, która dałaby nogę z chwilą, kiedy zobaczyłaby mnicha, poświęciła kilka sekund, by ocenić swoje szanse.

Sprzedawca przystąpił o krok i rzucił okiem pod kaptur Iseult. Jego nici Więzi zapłonęły szarym strachem i czarną nienawiścią.

– Parszywa Nomatsanka – syknął, przesuwając palcami wzdłuż oczu, po czym zdarł kaptur z głowy dziewczyny. – Spieprzaj, parszywa Nomatsanko! No już, spieprzaj stąd!

Więcej nie trzeba jej było powtarzać – nareszcie zdecydowała się na krok, który Safi zrobiłaby na samym początku: zaczęła spieprzać. A przynajmniej próbowała, bo tłum już gęstniał wokół niej. Gdziekolwiek nie spojrzała, widziała nienawistne spojrzenia i szaro-czarne nici Więzi.

Zamieszanie przykuło uwagę Carawena. Zatrzymał się, obrócił w kierunku tłumy i popatrzył wprost na Iseult. Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Przez ułamek sekundy, który wydawał się wiecznością, Iseult widziała jedynie oczy młodego mnicha – bladoniebieskie, lecz z czerwonymi wirującymi obwódkami wokół tęczówek. Czerwień i błękit – krew i zrozumienie. Jakim cudem nie zauważyłam tego w czasie zasadzki? – pomyślała Iseult.

W głowie kłębiło jej się tysiąc myśli. Zastanawiała się, czy ten mnich naprawdę skrzywdziłby ją tak, jak wszyscy się tego obawiali...

Carawen rozchylił usta, odsłaniając zęby. Świat znów ruszył do przodu, czas zaczął płynąć, powracając do swojego naturalnego rytmu.

Iseult wreszcie rzuciła się do ucieczki. Biegła tuż za szarym koniem. Gdy wbiła łokieć w jego zad, stanął na tylnych nogach. Młoda kobieta, która na nim jechała, krzyknęła. Wszyscy zeszli jej z drogi. Wokół Iseult zapłonęły rozszalałe pomarańczowe nici Więzi, ale prawie ich nie zauważyła. Pędziła w kierunku rozstaju dróg. Nad najbliższym kanałem znajdował się mostek – może gdyby udało się jej przekroczyć kanał, zgubiłaby krwiodzieja.

Gnała przed siebie, rozchlapując błoto, przeskakując nad żebrakami i omijając wozy. W połowie drogi zerknęła do tyłu i od razu tego pożałowała – krwiodziej pędził za nią, był piekielnie szybki. Ci sami ludzie, którzy usiłowali spowolnić Iseult, jemu usuwali się z drogi.

– Rusz się! – wrzasnęła na Purytanina trzymającego tablicę z napisem „Żałuj za grzechy”.

Nawet nie drgnął, więc nadepnęła mu na stopę i zanurkowała w śmieciach. Świetne posunięcie – co prawda znacznie straciła prędkość,

ale wyglądało to, jakby miała skręcić w lewo, na most. Usłyszała wołanie Purytanina, który krzyczał, by gonić ją przez kanał.

Odwróciła się zatem na pięcie i skierowała z powrotem w stronę tłumu, modląc się, aby mnich posłuchał wołania i pognał w lewo, a także by nie wyczuł zapachu jej krwi.

Narzuciła kaptur na głowę i pobiegła przed siebie. Zbliżała się do kolejnego skrzyżowania, w stronę drugiego mostu zmierzał tłum ludzi. Nie bacząc na nikogo, utorowała sobie drogę nad brzeg kanału. Gdy zauważyła nadpływającą łódź płaskodenną, w której siedzieli rybacy z rozłożonymi sieciami, skoczyła.

Poczuła opór powietrza. Białe koronkowe sieci były tuż-tuż. Wylądowała na łodzi, zginając kolana i balansując rękami.

Coś przecięło jej dłoń. Zardzewiały haczyk – doszło do niej, gdy usiłowała się wyprostować. Łódka przechyliła się gwałtownie. Rybak wrzasnął, ale Iseult już wskakiwała na kolejną łajbę – niski prom ozdobiony czerwoną falbaniastą markizą.

– Uwaga! – krzyknęła.

Wybiła się w powietrze i złapała balustrady. Podciągnęła się do góry, a pasażerowie, wybałuszając oczy, zaczęli się cofać. Na poręczy zostały czerwone smugi. Miała nadzieję, że krew nie ułatwi pościgu krwiodziejowi.

Przebiegła przez prom czterema susami i wspięła się na balustradę. Wzięła głęboki oddech, obserwując następną łódź, tym razem wypełnioną dziennym połowem makreli.

Po raz kolejny skoczyła. Rozległo się plaśnięcie i wylądowała pośród łusek. Rybak wzdrygnął się na jej widok – był bardziej niezadowolony niż zaskoczony. Podniosła się i zadała mu cios łokciem w brzuch. Przepływali właśnie obok niskich schodów, na których przysiedli wędkarze. Wystarczył jeden sus i znalazła się obok nich. Żaden z mężczyzn nie miał zamiaru jej pomóc – każdy odsuwał się z odrazą, a jeden, którego nici Więzi przybrały szary odcień przerażenia, dźgnął ją wędką.

Iseult złapała jej koniec, a nici mężczyzny pojaśniały. Próbuując wyrwać kij, podciągnął dziewczynę do góry. Podziękowała w myślach, dotykając stopami schodów. Zerknęła za siebie i zobaczyła ślady krwi na kamieniach – znacznie bardziej obfite, niż sądziła.

Nareszcie dotarła do ulicy. Wszędzie tłoczyli się ludzie, musiała więc wymyślić jakąś strategię. Każdy pomysł, który przyszedł jej do głowy,

uznała za beznadziejny, nie traciła jednak nadziei, że w końcu wpadnie na coś rozsądnego. Gdy przychodziło do nieplanowanej ucieczki, traciła głowę – to właśnie dlatego Safi dowodziła w takich sytuacjach. Nie mając wiele czasu do namysłu, dała nura w zaułek.

Stojąc tam, w oddaleniu od kanału, owinęła zakrwawioną rękę kawałkiem materiału. Nareszcie mogła się nad wszystkim spokojnie zastanowić.

Szeroka droga, pomyślała. Główna ulica miasta, prawdopodobnie cały czas biegnąca wzdłuż kanału. Ruch uliczny w obu kierunkach, mężczyzna prowadzący osiodłaną klacz, która wygląda na wypoczętą. Jeśli uda mi się jej dosiąść, zdołam uciec z miasta, a na noc ukryję się pośród Nomatsów.

Powrót do domu – coś, czego starała się unikać od lat – nie był idealnym rozwiązaniem, mimo to osada Midenzi stanowiła jedyne miejsce, o którym Iseult wiedziała, że nie zostanie stamtąd wykopana z chwilą, kiedy tylko mieszkańcy zobaczą odcień jej skóry. To również jedyne miejsce, co do którego miała pewność, że krwiodziej, nawet gdyby ją wysłedził, nie zdoła tam dotrzeć. Ziemię wokół osady zostały usiane pułapkami, znanymi jedynie członkom Midenzi.

W mgnieniu oka pozbyła się okrycia, zarzuciła je na głowę właściciela konia i wskoczyła na osiodłaną klacz, modląc się, aby była gotowa do jazdy.

– Bardzo przepraszam – krzyknęła do mężczyzny miotającego się pod kocem. – Oddam ją!

Uderzyła piętami konia i pognała naprzód.

Kiedy klacz galopowała przez miasto, Iseult rzuciła okiem na kanał. Dostrzegła, że krwiodziej na nią patrzy. Na szczęście łodzie już się od siebie oddaliły i nie mógł przeskoczyć z jednej na drugą z taką łatwością jak ona. Mógł za to się do niej uśmiechnąć i jej pomachać. Wskazał na prawą dłoń. Wiedział, że Iseult krwawi, i właśnie dał jej do zrozumienia, że ją wytropił, że wie, jak dalej za nią iść.

Iseult odwróciła wzrok. Mocniej przywarła do końskiego grzbietu, błagając w duchu, żeby Księżycowa Matka, Noden albo jakikolwiek inny bóg pomógł jej się wydostać z tego miasta w jednym kawałku.

* * *

Merik gapił się na miniaturowy dalmocki okręt sunący po mapie Morza Jadańskiego. Wyglądało na to, że odpowiadający mu statek handlowy

właśnie wypływał z Veñazy. Widząc to, Merik miał ochotę wyrzucić tę przeklętą figurkę przez okno.

Głosodziej Jany, Hermin, siedział na końcu stołu. Chociaż nie zawsze tak było, teraz to głosodzieje byli najbardziej popularnymi eterystami i jako że potrafili nawiązać kontakt i komunikować się ze sobą na dużych odległościach, każdy statek Nubreveńskiej Marynarki Królewskiej miał jednego z nich na pokładzie – łącznie z okrętem Vivii, z której głosodziejem łączył się teraz Hermin.

Popołudniowe światło migotało mu na pomarszczonej twarzy. Naraz jego oczy zabłyszczały na różowo – to znak, że kontakt został nawiązany. Przez otwarte okna wdzierał się do środka odległy gwar rozmów, turkot powozów i stukot kopyt. Merik wiedział, że powinien je zamknąć, ale wówczas wewnątrz zrobiłoby się zbyt duszno. Na dodatek łój w lampionach śmierdział gorzej niż ścieki w kanałach Veñazy. Mimo to księżę uważał, że warto zaoszczędzić pieniądze i używać cuchnącego tłuszczu zwierzęcego zamiast płacić krocie za bezdymne lampiony ogniodzieja. Naturalnie Vivia była zgoła odmiennego zdania. Nie tylko zresztą w tej kwestii.

– Ty chyba nie rozumiesz, Merry. – Choć Hermin mówił swoim własnym zgrzytliwym głosem, naśladował Vivie: przeciągał sylaby i przybrał protekcyjny ton. – Lisy wywołują natychmiastowy strach w obcych flotach. Wywieszenie tej flagi teraz da nam znaczną przewagę, kiedy dojdzie do wznowienia Wielkiej Wojny.

– Tylko że jesteśmy tu po to – zaczął Merik spokojnie – żeby wynegocjować pokój. I chociaż istotnie niegdyś flagi lisów okazywały się skuteczne w zastraszaniu przeciwnika, to jednak działo się tak kilka wieków temu: zanim imperia dysponowały flotami będącymi w stanie nas pokonać.

Pozornie wydawało się to takie szlachetne – atakować statki handlowe, aby nakarmić biednych. Zresztą opowieści o starych flotach lisów nadal cieszyły się ogromną popularnością w ojczyźnie Merika. On wiedział jednak swoje – okradanie bogaczy to dalej kradzież, a złożenie obietnicy uniknięcia przemocy jest łatwiejsze niż jej dotrzymanie.

– Mam jeszcze jedno spotkanie, ze Złotą Gildią – upierał się Merik.

– Ono również zakończy się fiaskiem, tak jak wszystkie inne. Wydawało mi się, że chcesz nakarmić swój lud, Merry.

Zagotowało się w nim.

– Nigdy nie kwestionuj mojego pragnienia nakarmienia Nubrevenów – warknął.

– Twierdzisz, że tego chcesz, a kiedy dam ci możliwość zgromadzenia zapasów i dania nauki imperiom, nie chcesz z niej skorzystać.

– Ponieważ to, co proponujesz, to piractwo. – Merik z trudem zmuszał się, żeby patrzeć na Hermina, kiedy ten wypowiadał słowa Vivii.

– Proponuję wyrównanie szans. I pragnę ci przypomnieć, Merry, że w przeciwieństwie do ciebie brałam już wcześniej udział w takich spotkaniach. Widziałam, jak imperia nas miażdżą. Ta miniatura zaklęta w eterze to sposób na odwet. Jedyne, co musisz zrobić, to powiedzieć mi, kiedy statek handlowy dotrze do wybrzeża Nubrevny. Ja zajmę się całą resztą.

Czyli zabijaniem. Merik w duchu policzył do dziesięciu, żeby nie podnieść głosu na siostrę. Nie miało to jednak najmniejszego sensu – nie wtedy, kiedy dzieliło ich dwóch głosodziejów i setki kilometrów.

Westchnął.

– Co na to ojciec?

– Niiic. – Hermin przeciągnął to słowo dokładnie tak jak Vivia. – Ojciec jest na skraju śmierci i odkąd wyjechałeś, milczy. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego postanowił mianować cię emisariuszem i admirałem... Niemniej działa to na naszą korzyść, mamy tu spore możliwości, Merry.

– Masz na myśli możliwości, które idealnie pasują do twojej strategii zawładnięcia imperium.

Nastała chwila ciszy.

– Sprawiedliwości musi stać się zadość, mój mały braciszku. – Jej słowa przenikał teraz gniewny ton. – Czyżbyś zapomniał, co imperia zrobiły z naszą ojczyzną? Pozostaje nam jedynie odpłacić im tym samym, na początek dopuszczając się szlachetnego piractwa. Dla nich Wielka Wojna się skończyła, ale nie dla nas.

W tym momencie Merik poczuł przeszywające go ciepło. Gdyby przebywał teraz z Vivią, dałby upust emocjom i rozładowałby kotłującą się w nim wściekłość.

Kiedy Merik był dzieckiem, jego ojciec dałby sobie rękę uciąć, że księżę – tak jak jego siostra – jest potężnym czarodziejem, że jego napady złości to oznaki drzemiącej w nim ogromnej siły. W dniu, w którym Merik

skończył siedem lat, król Serafin zmusił go do stawienia się na egzamin z magii. Okazało się jednak, że napady złości Merika to nie przejaw siły. Chłopiec z trudem otrzymał czaroznamię, a król Serafin z trudem ukrył swoje zniechęcenie.

Tego samego ranka, wracając powozem do pałacu z nowym tatuażem w kształcie rombu po zewnętrznej części dłoni, Merik przekonał się, jak bardzo rozczarował ojca. Dowiedział się, że jest słaby i bezużyteczny. Król nakazał mu udać się na południowy zachód, do ciotki – rodzinnego wyrzutka.

– Zapominasz – podjął Hermin, naśladując Vivię – kto przejmie rządy, kiedy ojciec umrze. Może i teraz masz autorytet, ale jesteś jedynie tymczasowym admirałem. To ja obejmę tę funkcję i będę królową, kiedy wieczny sen zamknie ojcu oczy.

– Wiem, kim będziesz – powiedział miękko Merik. Jego złość ustąpiła miejsca zimnemu strachowi.

Vivia zostanie królową i admirałem. Zacznie posyłać Nubrevenów na rzeź. Farmerzy i żołnierze, kupcy i górnicy, pasterze i piekarze – wszyscy zginą od cartorriańskich mieczy albo w marstockich płomieniach. A Vivia będzie się temu przyglądać. Jedynym wyjściem według Merika było wznowienie handlu i udowodnienie siostrze, że istnieją pokojowe sposoby, by wyżywić poddanych, jednak ten plan właśnie legł w gruzach. Najgorsze, że nawet gdyby nie zgodził się jej pomóc, i tak znalazłaby sposób, by dopiąć swego – wykorzystałaby lisy, niechybnie ściągając zgubę na swoją ojczyznę.

Merik otrząsnął się z zamyślenia, usłyszawszy pukanie. W uchylonych drzwiach ujrzał głowę Rybery, sercowięzi Kullena.

– Admirale? Przepraszam, że przeszkadzam, ale to pilne. Przyszedł do ciebie jakiś człowiek. Mówi, że nazywa się fon... – Na jej ciemnej twarzy pojawiło się skupienie. – Fon Hasstrel, tak, tak powiedział. Z Cartorry. Chce omówić z tobą kwestie dotyczące handlu.

Merik poczuł, że opada mu szczęka. Handel... z Cartorrą? To zdawało się niemożliwe, ale wyraz twarzy Rybery pozostawał poważny. Najwyraźniej sam Noden interweniował – właśnie wtedy, kiedy Merik najbardziej tego potrzebował.

Nie może zignorować takiego podarunku.

– Vivio – zwrócił się do Hermina – pomogę ci, ale pod jednym warunkiem.

– Zamieniam się w słuch.

– Jeżeli wynegocjuję chociaż jedną umowę handlową, to zrezygnujesz z piractwa. Natychmiast.

Zapadła chwila milczenia. Wreszcie Hermin powoli powiedział:

– Możliwe, Merry. Jeżeli uda ci się jakoś odbudować handel, ja... rozważę zmianę planów. A teraz powiedz mi, gdzie w tej chwili znajduje się miniatura Imperium Dalmockiego?

Merik powstrzymał się od uśmiechu. Cwana bestia, pomyślał i zerknął na mapę. Miniatura opuszczała właśnie zatokę.

– Jeszcze nie wypłynął – oświadczył, śmiejąc się w duchu – ale poinformuję cię natychmiast, kiedy to uczyni. Hermin. – Położył rękę na ramieniu głosodzieja. Stary żeglarz się wzdrygnął. – Możesz zakończyć już rozmowę. Rybero, przyprowadź pana fon Hasstrela, natychmiast.

* * *

Po kąpieli Safi udała się za nieznaną sobie ciemnowłosą pokojówką z powrotem do swojego pokoju. Tam służąca pomogła jej się ubrać w wybraną przez Mathew srebrzysto-białą suknię i zakreśliła jej włosy: teraz pięknie falowały, błyszcząc w świetle zachodzącego słońca.

Safi dziwnie się czuła – nikt nie zajmował się nią w ten sposób od siedmiu lat. Wujka Erona stać było jedynie na garstkę służących, tak więc usługiwano jej wyłącznie podczas corocznych wyjazdów do Praggi.

Eron mógł być zhańbionym piekielnym bardem, pozbawionym swej dawnej pozycji ze względu na coś, o czym wiedzieli chyba jedynie bogowie, zostać wyznaczonym na tymczasowego doma, dopóki Safi nie zostanie uznana za zdolną do przejęcia tytułu, mimo to nadal musiał płacić dziesięcinę, ponieważ tego żądał Henrick. Każdego roku Eron i Safi udawali się do stolicy, aby przekazać część swoich skromnych środków imperatorowi, i każdego roku stanowiło to coś okropnego. Safi zawsze była wyższa i silniejsza niż miejscowi chłopcy, więc nie chcieli się z nią bawić, z kolei dziewczęta wciąż szeptały za jej plecami o wiecznie wstawionym wujku i podśmiechiwały się z jej starych sukien.

To jednak nie wstyd wydawał jej się podczas tych wyjazdów najbardziej nieprzyjemny, lecz strach – strach przed piekielnymi bardami. Strach, że zobaczą w Safi heretyka: prawdopodobnie. Była pewna, że gdyby nie księżę

Leopold – czy też Polly, jak zwykła go nazywać – który brał ją pod swoje skrzydła za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do Praggi, piekielni bardowie już by ją złapali. Do tego właśnie został powołany Oddział Piekielnych Bardów – do wyszukiwania nieoznaczonych heretyków.

Polly najprawdopodobniej będzie tutaj dzisiejszego wieczoru, pomyślała Safi, przeglądając się w wąskim lustrze przy łóżku. Minęło osiem lat, odkąd ostatni raz wymknęła się z nim do ogromnej imperatorskiej biblioteki. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mógł teraz wyglądać – miał już przecież dwadzieścia lat.

Safi zdecydowanie bardzo się zmieniła, a ta jasna suknia znacznie to uwydatniała: obcisły gorset podkreślał talię i płaski brzuch, pod dopasowanymi rękawami rysowały się ładnie wyrzeźbione ramiona, gorset podnosił biust, a spódnica kobieco zaokrągląła biodra. Do tego luźno spływające warkocze uroczo okalały jej kształną buzię. Musiała przyznać, że Alix i jego służba odwalili kawał dobrej roboty.

Sięgnęła po torbę i wyjęła książkę Iseult. Podeszła do okna i stanęła w świetle zachodzącego słońca. Otworzyła tom na trzydziestej siódmej stronie. Brązowy skrzydlaty lew zabłysnął, odznaczając ostatnią stronę, którą czytała Iseult. Dziewczyna rzuciła okiem na klasyfikację carawęńskich mnichów.

Nagle drzwi do sypialni otworzyły się z impetem. Safi ledwie zdołała wetknąć książkę z powrotem do torby, gdy do pokoju wmaszerował jej wujek.

Dom Eron fon Hasstrel był, podobnie jak Safi, wysoki, umięśniony i grubokościsty. Jego pszeniczne włosy oprószyła już srebrzysta siwizna, a pod przekrwionymi oczami w ciągu ostatnich lat pojawiły się purpurowe worki. Może i mógł się niegdyś szczycić opinią znakomitego żołnierza, ale teraz do pokoju Safi wchodził jedynie żalony pijak.

Zatrzymał się kilka kroków przed dziewczyną i podrapał po głowie. Włosy sterczały mu we wszystkie strony.

– Na Dwunastu – powiedział, przeciągając samogłoski – dlaczego jesteś taka blada? – Podniósł brodę, a Safi zauważyła, że delikatnie się zachwiał. – Zapewne denerwujesz się dzisiejszym balem.

– Podobnie jak ty – odparła. – Bo niby dlaczego miałbyś się upijać przed kolacją?

Eron uśmiechnął się, ale jego wzrok wciąż pozostawał czujny.

– Taką cię właśnie zapamiętałem. – Podeszedł do okna, popatrzył na zewnątrz i zaczął się bawić swoim cienkim złotym naszyjnikiem.

Dziewczyna przygryzła wargę. Towarzystwo wuja Erona nie zapewniało jej uczucia komfortu. Choć w ich żyłach płynęła ta sama krew, pozostali sobie zupełnie obcy. Do tego kiedy Eron był pijany – a najczęściej był – jej magia stawała się bezużyteczna: nie mogła wyczuć intencji wuja, wszystkie stawały się nieodgadnione wraz z chwilą, gdy w jego ciele zaczynało krążyć wino. Co do jednego Safi miała pewność: dzielący ich dystans nie zmniejszy się z upływem lat.

Podeszła bliżej.

– Dlaczego tutaj jestem, wujku? Mathew powiedział, że masz zamiar ingerować w sprawy związane z Wielką Wojną. Jak dokładnie chcesz tego dokonać?

Eron zaśmiał się szorstko.

– A więc Mathew się wygadał, tak?

– Potrzebujesz użyć mojej magii? – naciskała Safi. – Czy właśnie o to ci chodzi? Jakiś pijacki spisek, aby odzyskać honor piekielnego barda...

– Nie – odparł ostro. – To nie jest pijacki spisek, Safiyo. Zupełnie nie o to chodzi. – Rozpostarł dłonie na szybie, tak że stare blizny po oparzeniach pokrywające jego palce i kłykcie stały się doskonale widoczne.

Safi nienawidziła tych rąk. Dorastając, musiała patrzeć na nie miliony razy. Widziała, jak chwytają dzban z winem albo podszczypują pośladki dziwek. W tych bliznach kryła się przeszłość wuja – przeszłość, która była dla Safi równie obca jak sam Eron.

Nagle pojęła – on pragnął odzyskać honor.

Safi pragnęła zaś wolności – od tytułu, od wujka, od zimnych komnat rodowej posiadłości. Od strachu przed piekielnymi bardami, własnej magii i od całego Imperium Cartorriańskiego.

– Nie masz pojęcia, czym jest wojna – powiedział Eron, pogrążając się w zadumie. – Armie niszczące wioski, floty zatapiające statki przeciwnika, czarodzieje posyłający jedni drugich na śmierć. Tracisz wszystko, co kochasz, Safiyo. Wszystko, co dla ciebie ważne, zostaje obrócone wniwecz. Ale dowiesz się tego sama już niebawem. Przekonasz się, co to znaczy, chyba że zrobisz, o co poproszę. A gdy dzisiejsza noc dobiegnie końca, będziesz mogła odejść na zawsze.

W pokoju zapanowała cisza. Safi zdała sobie sprawę, że bezmyślnie rozdziawia usta.

– Czekaj, naprawdę będę mogła odejść?

– Tak. – Uśmiechnął się smutno, wciąż bawiąc się naszyjnikiem. Safi poczuła, że ogarnia ją przyjemne ciepło, oznaczające, że Eron mówi prawdę. – Po tym, jak na oczach przedstawicieli wszystkich imperiów odegrasz rolę przepięknej, roztańczonej domny... cóż, będziesz wolna.

Wolna. Słowo to rozbrzmiało echem w powietrzu niczym ostatnia nuta najwspanialszej symfonii.

Safi wykonała chwiejny krok do tyłu. Usłyszała znacznie więcej, niż potrafiła ogarnąć umysłem, więcej, niż była w stanie udźwignąć jej magia. Słowa Erona wręcz paliły prawdą.

– Dlaczego – zaczęła ostrożnie, obawiając się, że jedno nieopatrzenie wypowiedziane słowo wymaze wszystko, co przed chwilą usłyszała – miałbyś pozwolić mi odejść? Mam przecież zostać domną ziem podległych Hasstrelom.

– Niezupełnie. – Podniósł ramię nad głowę i oparł je o szybę. Był dziwnie spokojny. Zdjął naszyjnik i przeplatał go między palcami. – Niebawem tytuły przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie, Safiyo, i nie bójmy się tego powiedzieć na głos: ani ty, ani ja nigdy nie oczekiwaliśmy, że zawładniesz majątkiem. Nie nadajesz się na przywódczynię.

– A ty się nadajesz?! – oburzyła się. – Dlaczego więc uczyłam się całe życie, skoro i tak miałaś inne plany? Mogłam po prostu odejść...

– Nie miałem takich planów – powiedział ostro. – Ale pewne rzeczy ulegają zmianie, kiedy na horyzoncie pojawia się widmo wojny. Poza tym czyżbyś żałowała całej nauki i szkolenia, które otrzymałaś? – Przechylił głowę. – Twoje starcie z Mistrzem Złotej Gildii o mały włos nie zrujnowało moich planów, na szczęście zdołałem uratować sytuację. Teraz musisz jedynie przez jedną noc zachowywać się jak pewna siebie domna. Potem nie będziesz już mieć żadnych zobowiązań.

Safi zdławiła śmiech.

– I to wszystko? Żądasz ode mnie tylko tyle? Wybacz mi, ale ci nie wierzę.

Lekceważąco wzruszył ramionami.

– Oczywiście, nie musisz mi wierzyć. Ale co mówi ci twoja magia?

Magia Safi szumiała prawdą, dziewczyna wyraźnie czuła rozchodzące się po jej ciele ciepło. A jednak miała wrażenie, że to niemożliwe – oto wszystko, czego zawsze pragnęła, nagle zostało jej dane. Zdawało się to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Eron uniósł jasną brew, najwyraźniej rozbawiony jej oszołomieniem.

– Kiedy dzwony wybiją północ, Safiyo, krwiodziej przestanie być już problemem. Wtedy będziesz mogła robić to, na co tylko będziesz miała ochotę, i prowadzić to pozbawione ambicji życie, które zawsze tak bardzo ci się podobało. Chociaż... – Zamilkł, baczniej jej się przyglądając. W tej chwili zachowywał się jak zupełnie trzeźwy. – Gdybyś tylko zechciała, Safiyo, mogłabyś ukształtować świat na nowo. Odbylaś stosowne szkolenie, dopilnowałem tego. Niestety – rozłożył usiane bliznami ręce – zdaje się, że brakuje ci inicjatywy.

– Jeżeli brakuje mi inicjatywy – syknęła Safi, zanim zdołała nad sobą zapanować – to właśnie dlatego, że ty do tego doprowadziłeś.

– Szczerza prawda. – Na twarzy Erona pojawił się grymas. – Ale nie nienawidź mnie za to, Safiyo. Tylko mnie kochaj... – Otworzył ramiona. – I bój się mnie. Tak robią wszyscy członkowie rodu Hasstrelów. A teraz skończ się ubierać. Wyjeżdżamy przy kolejnym biciu dzwonu.

Bez słowa przemaszerował obok Safi i opuścił pokój. Dziewczyna odprowadziła go spojrzeniem. Targało ją poczucie niesprawiedliwości. Nieambitna? Brakuje mi inicjatywy? Być może to prawda, jeśli chodziło o mieszkanie w lodowatym zamku pośród głodnej władzy szlachty i wiecznie czujnych piekielnych bardów, ale w żadnym razie w przypadku życia, które wiodła z Iseult.

Wyjęła książkę o Carawenie i ponownie ją otworzyła. Moneta błysnęła niczym róża rozkwitająca o zachodzie słońca. Ta strona była wyjątkowo ważna i Safi musiała się dowiedzieć dlaczego.

Przesuwała palcem po nazwach poszczególnych mnichów. Najemnik, nauczyciel, stróż, rzemieślnik... Dotarła do mnicha uzdrowiciela. Jeden taki, kobieta, uratował Iseult, kiedy uciekła ze swojego plemienia. Zabłądziła wtedy na rozstaju dróg na północy Veñazy. Owo rozdroże mieściło się obok latarni, z której teraz dziewczyny korzystały. A więc Iseult planuje opuścić miasto i wrócić do ich stałej kryjówki.

Safi cisnęła książką i odrzuciła głowę do tyłu. Jeszcze nie mogła się tam udać – najpierw musiała zmylić krwiodzieja i uwolnić się od wuja. Dopiero

wtedy wyruszy na północ miasta i odnajdzie swoją więziosiostrę.

Zrobiła gwałtowny wydech, opuściła głowę i podeszła do lustra. Eron chciał posłusznej domny, tak? Cóż, w takim razie ją dostanie. Kiedy była dzieckiem, cartorriańska szlachta postrzegała ją wyłącznie jako cichą, zawstydzoną dziewczynkę kulącą się za plecami wuja. Ale obecnie po tej dziewczynce nie zostało w Safi zbyt wiele, a piekielni bardowie nie mieli władzy nad tym imperium. Odetchnęła z zadowoleniem. Suknia wspaniale podkreślała jej sylwetkę, a, co ważniejsze, krótkie rękawy odsłaniały usiane siniakami i zadrapaniami ramiona. Safi była dumna ze swoich rąk i nie mogła się doczekać, aż domowie i domny zaczną gapić się na nie z odrazą, a proszący ją do tańca arystokraci z zaskoczeniem ujmą jej palce, szorstkie jak piaskowiec.

Przez jedną noc Safi może być domną Cartorry. Na piekielne bramy, zostanie nawet cholerną cesarzową, jeżeli tylko to pozwoli jej wrócić do Iseult i uciec od krwiodzieja. Gdy noc dobiegnie końca, stanie się wolną kobietą.

ROZDZIAŁ 8

Pręgowana klacz, której dosiadła Iseult, galopowała przed siebie. Dziewczyna jedną ręką trzymała lejce, drugą zaś uniosła wysoko nad głowę, na próżno usiłując zapobiec krwawieniu.

Słońce już zachodziło, a smród spowijający Veñazę zaczynał słabnąć. Coraz bardziej oddalała się od mokrych bagiennych terenów i zbliżała do dzikich pól. Jedna z biegnących między nimi ścieżek wiodła do osady Nomatsów.

Ruch uliczny był na tyle duży, że Iseult zdołała niepostrzeżenie wymknąć się ze stolicy. Gdy trakt zupełnie opustoszał, wskoczyła na grzbiet klaczy i pogalopowała przed siebie.

Wciąż nie zdołała zatamować krwawienia, oderwała więc kolejny fragment swej oliwkowej spódnicy i owinęła nim ranę. Powtarzała tę czynność za każdym razem, kiedy krew przesiąkała przez materiał. Znowu trzymała rękę nad głową, by zmniejszyć jej wpływ.

Jeszcze jedna noc, jeszcze jedna noc, powtarzała sobie w kółko w rytm uderzeń kopyt o ziemię. Klacz cwałowała, jednak jakieś dziesięć kilometrów od granic miasta była już bardzo zmęczona i zwolniła do kłusu.

Jeszcze jedna noc, jeszcze jedna noc. W zdaniu tym tliła się rozpaczliwa nadzieja, że Iseult nie naraziła Safi na niebezpieczeństwo, kierując ją do starej latarni. Wymyślanie planów na gorąco to nie jej mocna strona, a wiadomość przekazana Habimowi stanowiła część takiego właśnie planu – chaotycznego i ryzykownego.

W końcu Iseult dotarła do znajomego olchowego zagajnika. Tam zsiadła z klaczy. Uda paliły ją żywym ogniem, w plecach łupało. Nie jeździła konno od kilku tygodni, a w takim tempie – od wielu miesięcy. Miała wrażenie, że cała się trzęsie.

Choć z pozoru wyglądało to tak, jakby po prostu szła przed siebie pośród traw, podążała ściśle wytyczonym szlakiem: drogą Nomatsów. Zwolniła, uważnie odczytując znaki. Patyk wbity w ziemię, który wyglądał

zupełnie przypadkowo, ostrzegał wtajemniczonych, że przy kolejnym zakręcie znajduje się pułapka. Skupisko wilców po lewej oznaczało zbliżające się rozwidlenie – droga na wschód prowadziła do siedziby jadodzieja, na zachód do osady.

Gdyby krwiodziej udał się na wschód, to miałyby go z głowy na dobre. Po kilku godzinach spędzonych za grubymi ogrodzeniami osady mogłaby bezpiecznie wyruszyć na spotkanie z Safi.

Imperator teoretycznie zezwalał Nomatsom żyć po swojemu, wymagał jednak, aby ich wozy pozostawały w odległości przynajmniej dwudziestu mil od jakiegokolwiek miasta. Powszechnie nazwano ich zwierzętami, nie mieli też prawnej ochrony, niemniej jednak Dalmotczycy nie zamierzali z nimi walczyć. Midenzowie jako jedyni spośród wszystkich Nomatsów osiedlili się w jednym miejscu, rezygnując z koczowniczego życia.

Ogrodzenie było wysokie, a łucznicy dobrze wyszkoleni, gdyby więc krwiodziej jakimś cudem zdołał dotrzeć aż tutaj, jego ciało natychmiast przeszłyoby mnóstwo strzał.

Do tego Midenzi nikogo nie wpuszczali do siebie i z równą pieczołowitością nie wypuszczali nikogo na zewnątrz. Jeśliby ktoś ich opuścił, zostałby uznany za obcego, a zatem kogoś, kim żaden z Nomatsów nigdy nie chciałby zostać – nawet Iseult.

Kiedy wreszcie dostrzegła znane dęby przysłaniające ogrodzenie osady, przystanęła. Gdyby zmieniła zdanie, teraz miała ostatnią szansę, by się oddalić. Mogłaby odwrócić się na pięcie i odejść, a potem spędzić resztę życia w osamotnieniu – jednak nie trwałoby to długo, jako że polował na nią krwiodziej.

Światło księżycy sprawiało, że Iseult była dobrze widoczna. Nomatsańskie kobiety nosiły krótkie włosy, wcisnęła więc swój długi warkocz pod chustę.

– Nazwisko! – zawołał ktoś po nomatsańsku gardłowym głosem. Iseult dostrzegła wrogie stalowe nici Więzi bijące od ukrytych w gałęziach łuczników.

Powoli podniosła rękę, mając nadzieję, że opatrunek zanadto nie rzuca się w oczy.

– Iseult! – krzyknęła. – Iseult det Midenzi!

Liście zaszeleściły, gałęzie zaskrzypiały. Błysnęło jeszcze więcej nici Więzi, przemieściły się, kiedy strażnicy poruszyli się na drzewach, żeby się

naradzić i zdecydować. Iseult miała wrażenie, że trwa to całą wieczność. Słyszała łomot własnego serca. Klacz również zaczęła się już niecierpliwie: potrzasała łbem i uderzała kopytami o ziemię. Dziewczyna pieszczotliwie poklepała ją po karku.

Nocne niebo przeszył wrzask. Wróbel poderwał się do lotu.

Rozległ się kolejny krzyk, tym razem znajomy. Iseult poczuła, że traci grunt pod nogami i spada z wysokiego szczytu. Tylko spokojnie...

Nie znalazła jednak spokoju. Gdy chwiejnie podnosiła się z ziemi, usłyszała zgrzyt ogromnej bramy. Po chwili zobaczyła biegnącą od strony ogrodzenia postać w czerni.

– Iseult! – krzyknęła jej matka.

Po jej twarzy płynęły łzy – rzecz jasna fałszywe, ponieważ prawdziwe więziodziejki nie płakały, a Gretchya niezaprzeczalnie była najprawdziwszą więziodziejką.

Jedyne, co zdążyła pomyśleć Iseult, kiedy objęła swą rodzicielkę, to, że matka jest wyjątkowo niska. Poza tym głowę dziewczyny wypełniała tylko jedna idea, a w zasadzie modlitwa – o to, żeby udało jej się zgubić krwiodzieja.

(

Przejście przez oświetloną blaskiem księżyca osadę Midenzi okazało się dla Iseult jednocześnie łatwiejsze i trudniejsze, niż się spodziewała.

Łatwiejsze dlatego, że w ciągu tych lat, które upłynęły od jej ostatniej wizyty, w osadzie nie zmieniło się wiele. Wszystko zdawało się tylko o wiele mniejsze. Drewniane ogrodzenie otaczające wioskę miało, tak jak wtedy, wyblakły szary kolor, ale teraz nie uważała już, że jest takie trudne do pokonania. Było po prostu... wysokie. Gdyby nie najeżona pułapkami ścieżka prowadząca do wioski i łucznicy na drzewach, krwiodziej z łatwością dostałby się do środka.

Okrągłe chaty wybudowane z kamieni brązowych jak błoto, na którym stały, wyglądały jak miniaturki, jak domki dla lalek. Nawet dęby rosnące na terenie osady zdawały jej się niższe – zbyt wątle, aby zdołała się na nie wdrapać, tak jak robiła to w dzieciństwie.

To, co czyniło przejście przez osadę trudniejszym, to ludzie, a dokładniej ich nici Więzi. Kiedy podążała za matką, okiennice otwierały się szeroko, jedna po drugiej, i dostrzegała w oknach zaciekawione twarze.

Nici mieszkańców osady były dziwnie przytłumione, jakby owinięte w stare ręczniki. Iseult wzdrygała się za każdym razem, gdy ktoś wyszedł zza rogu albo stanął w drzwiach. Na dodatek okazywało się, że nie rozpoznaje większości tubylców.

To nie miało sensu. Nowi ludzie w plemienu? Nici, które stały się niewidzialne?

Kiedy w końcu dotarły do domu matki, on również wydał się Iseult zaskakująco mały, tak jak wszystko inne. Stół roboczy, który niegdyś sięgał jej do pasa, teraz dostawał zaledwie do połowy uda, podobnie jak stół jadalny pod oknem. Za paleniskiem mieścił się włącz prowadzący do piwnicy. Ten okazał się tak mały, że Iseult nie wiedziała, czy w ogóle by się w nim zmieściła.

Ostatnim i przedostatnim razem, kiedy na jedną noc pojawiła się w wiosce, piwnica sprawiała wrażenie przerażająco ciasnej w porównaniu do otwartej przestrzeni na poddaszu Mathew, a znajdujący się tam pojedynczy siennik, który dzieliła z matką, odbierała jako nieprzyjemnie wąski.

– Chodź. – Gretchya wzięła córkę za nadgarstek i podprowadziła do czterech niskich stołków wokół paleniska.

Iseult zmusiła się, by nie cofnąć ręki. Dotyk matki był jeszcze zimniejszy, niż zapamiętała.

Tak jak się spodziewała, Gretchya albo nie zauważyła zakrwawionego bandaża na jej dłoni, albo w ogóle się nim nie przejęła. Iseult nie potrafiła rozpoznać emocji matki, ponieważ więziodzieje nie widzieli nawzajem swoich nici Więzi. Na dodatek Gretchya potrafiła wspaniale maskować uczucia.

W migocącym świetle lampionu Iseult mogła przynajmniej zobaczyć, jak niewiele zmieniła się twarz matki w ciągu tych trzech lat. Może odrobinę wychudła, a wokół ust pojawiło się kilka nowych zmarszczek, lecz to jedyna różnica.

Grechya w końcu puściła rękę córki. Przysunęła stojący w pobliżu stołek i postawiła go przed paleniskiem.

– Usiądź, nałożę ci borgszy. Dzisiaj jest koźlina, mam nadzieję, że nadal ją lubisz. Scruffs! Chodź tutaj! Scruffs!

Iseult poczuła ucisk w gardle. Scruffs, jej pies.

Na schodach rozległo się człapanie i wkrótce oczom dziewczyny ukazało się jej stare, wierne psisko.

Zsunęła się ze stołka i uklękła na dywaniku. Rozpostarła ramiona, a pocziwy rudy ogar popędził w jej kierunku i przypadł do niej. Energicznie merdał ogonem, wtykając w jej włosy swój siwy pysk.

Scruffs, pomyślała Iseult, bojąc się wypowiedzieć jego imię na głos z obawy, że zacznie się jąkać. Ogarnęły ją bowiem silne emocje... sprzeczne emocje, których nie chciała ani zrozumieć, ani zinterpretować. Gdyby Safi tu była, wiedziałyby doskonale, co czuła Iseult.

Podrapała Scruffsa za uszami, których koniuszki pokrywały plamki w kształcie listków pietruszki.

– Ja-jadłeś borgszę? – spytała wreszcie. Usiadła z powrotem na stołku, nie przestając głaskać swego starego przyjaciela. Starła się nie zwracać uwagi na jego zasnutę bielmem oczy i posiwiały pysk.

Nagle rozległ się melodyjny głos:

– Ojej, patrzcie, kto wrócił do domu!

Palce Iseult znieruchomiały na szyi ogara. Wszystko przed oczami zaczęło drżeć, rozmazując widok pomieszczenia i psa. Może gdyby zaczęła udawać, że nie widzi Almy, to dziewczyna zwyczajnie zniknęłaby w Otchłani...

Niestety. Alma weszła do chaty. Tak jak Gretchya miała na sobie tradycyjną czarną suknię, typową dla kobiet uprawiających magię Więzi – mocno dopasowaną na piersiach, z obszernymi rękawami i luźnym dołem.

– Na Księżycową Matkę, Iseult! – Alma rozdziawiła usta i zatrzepotała rękami. – Teraz wyglądasz zupełnie jak Gretchya!

Iseult nie odpowiedziała. Słowa uwięzły jej w gardle, bo ogarnęło ją... coś – prawdopodobnie złość. Nie chciała wyglądać jak Gretchya, jak prawdziwa więziodziejka, którą nigdy nie będzie. Na dodatek nie spodobało jej się, że Scruffs odwrócił się od niej, podszedł do Almy, zamerdał ogonem i wcisnął pysk w jej kolana.

– Jesteś teraz kobietą – dodała Alma, siadając na stołku.

Iseult skinęła lekko, pośpiesznie rzucając okiem na gościa. Alma też stała się już kobietą, na dodatek bardzo piękną. Jej czarne jak węgiel, gęste i błyszczące włosy sięgały do brody i wyglądały... po prostu perfekcyjne. Miała szczupłą talię, zaokrąglone biodra – właściwie cała była perfekcyjna.

Alma zawsze była idealną więziodziejką i idealną Nomatsanką. Kiedy jednak Iseult zerknęła na jej dłonie, zauważyła, że są pokryte odciskami.

Złapała ją za rękę.

– Ćwiczyłaś z mieczem.

Alma rzuciła ukradkowe spojrzenie Gretchyi, która skinęła powoli.

– Kordelas – przyznała Alma. – Trenuję z nim od kilku lat.

Iseult puściła nadgarstek Almy. Oczywiście, że nauczyła się walczyć. W tym też będzie perfekcyjna. Iseult nigdy w niczym nie okaże się lepsza od niej – za każdym razem, kiedy próbowała doprowadzić jakąś umiejętność do perfekcji, Alma również zaczynała się tego uczyć i okazywała się w tym o niebo lepsza.

Kiedy stało się jasne, że Iseult nigdy nie będzie potrafiła robić kamieni Więzi ani wystarczająco panować nad emocjami, Alma ze zwykłej więziodziejki podróżującej z resztą Nomatsów awansowała na ucznia w osadzie Midenzi. Kiedy Gretchya będzie za stara, żeby dowodzić plemieniem, Alma przejmie władzę. Pośród Nomatsów to właśnie więziodziej jednoczył rodziny, aranżował małżeństwa i przyjaźnie. Pewnego dnia Alma użyje swojej magii, aby przewodniczyć Midenzom.

– Twoja dłoń – powiedziała. – Jesteś ranna!

– Wszystko w porządku – skłamała Iseult, chowając rękę w fałdach sukni. – Już nie krwawi.

– Oczyść ją mimo wszystko – powiedziała obojętnie Gretchya.

Iseult nerwowo zmarszczyła nos. Miała przed sobą dwie kobiety, których nici Więzi nie widziała. Na dodatek, zanim zdążyła poprosić o chwilę samotności, żeby spokojnie przemyśleć cały ten kocioł – kwestię powrotu do domu, konieczność ukrycia się przed krwiodziejem, relacje z Alną – do chaty wetknął głowę jakiś mężczyzna.

– Witaj w domu, Iseult.

Dziewczyna poczuła paraliżujący strach. Zacisnęła palce na sierści Scruffsa. Zauważyła, że Gretchya pobladła.

– Corlant... – zaczęła, ale mężczyzna uciszył ją gestem dłoni i wszedł do środka.

Corlant det Midenzi. On akurat nie zmienił się prawie wcale, odkąd Iseult widziała go po raz ostatni. Miał może nieco przerzedzone włosy, gdzieś przyprószone siwizną, ale charakterystyczne zmarszczki nad

brwiami, które sprawiały, że cały czas wyglądał na lekko zdziwionego, nie pogłębiły się przesadnie.

Bacznie przypatrywał się Iseult. Podszedł do niej, a Gretchya nawet nie drgnęła, żeby go zatrzymać. Z kolei Alma zerwała się na równe nogi i syknęła do Iseult:

– Wstań.

Iseult podniosła się, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego miałaby to robić. To Gretchya dowodziła w plemienu, nie ten kłamliwy Purytanin, który zajmował się wyłącznie sianiem niezgody. To Corlant powinien znać swoje miejsce.

Jego nici Więzi błyszcząły zielonym zaciekawieniem i jasnobrązową podejrzliwością.

– Pamiętasz mnie?

– Oczywiście – odparła Iseult, chowając ręce w fałdach sukni i zadzierając głowę, żeby popatrzeć mu w oczy.

W przeciwieństwie do reszty członków plemienia Corlant był tak samo wysoki, jak go zapamiętała, miał nawet na sobie te same ciemne, brązowe szaty, a na szyi ten sam brudny złoty łańcuch. Czyli wciąż przebierał się za purytańskiego duchownego. Iseult widziała już wystarczająco dużo prawdziwych purytańskich duchownych, aby wiedzieć, jak nieudolnie Corlant ich naśladował.

Nie zmieniało to jednak faktu, że Alma i Gretchya okazywały mu szacunek. Kiedy przyglądał się Iseult, wymieniały przerażone spojrzenia.

Obchodził ją dookoła, nie spuszczać z niej wzroku. Poczula, że zjeżyły jej się włoski na ramionach.

– Jesteś skażona obcością, Iseult. Po co wróciłaś?

– Tym razem zostaje – wtrąciła Gretchya. – Odzyska swoją pozycję jako moja uczennica.

– A więc jej wyczekiwałaś? – Nici Corlanta pociemniały. – Nic mi o tym nie wspominałaś.

– To nie było nic pewnego – włączyła się Alma, uśmiechając się promiennie. – Wiesz, że Gretchya nie lubi robić zamieszania, jeśli nie ma takiej potrzeby.

Corlant chrząknął i spojrzał na Almę. Jego nici Więzi przybrały barwy podejrzliwości i... pożądania.

Iseult poczuła ucisk w żołądku. Kiedy ostatnio odwiedziła osadę, sprawy miały się zupełnie inaczej. Corlant, jak zawsze, był zwyczajnym utrapieńcem, do znudzenia wymądrzał się na temat niebezpieczeństw związanych z używaniem magii. Upierał się, że jest sprzeczna z prawdziwym oddaniem Księżycowej Matce. Iseult – podobnie jak reszta plemienia – niezmiennie go ignorowała. Corlant kręcił się wokół ich domu i domagał się uwagi ze strony Gretchyi. Poprosił ją nawet o rękę, ale ona nie mogła przecież wyjść za mąż. Wśród Nomatsów pobierać się mogli jedynie kochankowie połączeni sercowięzią, a więziodziejki ich przecież nie miały.

Na początku Gretchya lekceważyła zaloty Corlanta. Potem próbowała przemówić mu do rozsądku, powołując się na tradycję i reguły Księżycowej Matki. Zanim Iseult opuściła plemię, przywódczyni musiała w nocy zamykać drzwi na kłódkę, opłacała też dwóch miejscowych, aby pilnowali, żeby Corlant trzymał się na dystans.

Podczas ostatniej wizyty Iseult w osadzie, Corlanta nie było, założyła więc, że zniknął na dobre. Najwyraźniej jednak tak się nie stało, do tego jakimś sposobem zyskał tutaj ogromną władzę.

– Powiadomiłem plemię o przybyciu Iseult – powiedział, prostując plecy. Jego głowa sięgała prawie do sufitu. – Powitanie powinno się niebawem rozpocząć.

– To bardzo mądre z twojej strony – powiedziała Gretchya, ale Iseult zauważyła na twarzy matki zdenerwowanie, a nawet przerażenie. – Byłam tak zaaferowana powrotem córki, że zupełnie zapomniałam o ceremonii powitania. Musimy ją przebrać...

– Nie – sprzeciwił się Corlant. Posłał dziewczynie ostre spojrzenie, a jego nici Więzi ponownie zapłonęły wrogością. – Niech plemię zobaczy ją dokładnie taką, jaka jest: skażoną obcością. – Pociągnął ją za rękaw, a Iseult zmusiła się do ukłonu.

Mogła nie być w stanie rozczytać Almy ani swojej matki, ale Corlanta potrafiła czytać doskonale. Chciał władzy, chciał jej uległości. Iseult ukłoniła się i stękawszy, złapała się za brzuch. Zabrzmiało to zbyt sztucznie i przez ułamek sekundy dziewczyna rozpaczliwie pożałowała, że nie ma przy niej Safi. Ona potrafiłaby odważnie stawić czoła każdemu problemowi.

Alma usłyszała fałsz w jęku Iseult, lecz nie dała nic po sobie poznać. Szybko do niej podbiegła.

– Jesteś chora?

– Mam okres – stęknęła Iseult. Z zadowoleniem zauważyła, jak nici Corlanta bledną z odrazy. – Potrzebuję nowych wkładek.

– Moje biedactwo! – krzyknęła Alma. – Mam na to nalewkę z liści malin.

– Musimy spalić twoje wkładki i dać ci czyste ubranie – wtrąciła Gretchya, odwracając się w stronę Corlanta, który, ku zdziwieniu i zadowoleniu Iseult, już się wycofywał. – Jeżeli możesz, ojcze, zamknij, proszę, drzwi, niebawem zaczniemy ceremonię. Raz jeszcze dziękuję ci za powiadomienie plemienia o powrocie Iseult.

Corlant uniósł brwi, lecz nie odezwał się słowem. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi, na których nie wisiała już kłódka.

– Dobry pomysł – szepnęła Alma. Cały jej radosny błysk nagle się ulotnił. – Tak naprawdę nie masz okresu, prawda?

Iseult potrząsnęła głową, a Gretchya złapała ją mocno za ramię.

– Działajmy szybko – powiedziała cicho. – Almo, podaj Iseult jedną z twoich sukien i znajdź maść uzdrawiającą. Iseult, zdejmuj chustkę. Musimy zrobić coś z twoimi włosami.

– O co tu chodzi? – Iseult starała się nie podnosić głosu pomimo narastającego niepokoju. – Dlaczego Corlant ma władzę? I dlaczego nazwałeś go ojcem?

– Ciszej – upomniała ją Alma. – Nikt nie może cię usłyszeć. – Po czym pobiegła do wjazdu do piwnicy i zniknęła wewnątrz.

Gretchya zaciągnęła Iseult do stołu roboczego.

– Wszystko się zmieniło. Teraz to Corlant rządzi plemieniem. Używa swojej magii do...

– Magii? – wcięła się Iseult. – Jest przecież Purytaninem.

– Niezupełnie. – Matka odwróciła się do niej plecami, szukając czegoś pośród kamieni i szpilek wielokolorowych nici Więzi. – Panują tu teraz znacznie bardziej surowe zasady. Odkąd zaczęto plotkować o Lalkarce, a rozszczepienia stały się coraz częstsze, Corlant zdołał umocnić swoją pozycję. Karmi wszystkich strachem i jeszcze bardziej go podsycza.

Iseult zamrugła.

– Kto to jest Lalkarka?

Matka nie odpowiedziała. Wreszcie znalazła to, czego szukała: nożyczki. Podniosła je.

– Musimy obciąć ci włosy. Po prostu... za bardzo wyglądasz jak ktoś z zewnątrz i, jeśli wierzyć Corlantowi, za bardzo przypominasz Lalkarkę. Dzięki Księżycowej Matce, że zachowałeś się na tyle rozsądnie, by zakryć głowę. Dzięki temu możemy udawać, że cały czas miałaś krótkie włosy. – Gretchya ruchem ręki kazała jej usiąść. – Musimy przekonać członków plemienia, że jesteś nieszkodliwa... czy raczej: nie jesteś obca.

Przez dłuższą chwilę żadna nie odezwała się słowem. Wreszcie Iseult powoli skinęła, przekonując samą siebie w duchu, że to nie ma znaczenia, to tylko włosy, jeśli zechce, zapuści je znowu. Za najgorsze uznała coś innego: życie w Veñazie właśnie stało się przeszłością – będzie musiała o nim zapomnieć.

Usiadła. Wkrótce na podłodze pojawiły się pierwsze włosy. Nie było już odwrotu.

– Oprócz tego, że Corlant udaje Purytanina – zaczęła Gretchya tym samym monotonnym głosem, który Iseult słyszała, dorastając – jest otchłaniarzem. Kłątводziejem. Zorientowałam się wkrótce po twojej ostatniej wizycie. Zauważyłam, że kiedy kręcił się w pobliżu, nici Więzi stawały się bardziej przytłumione. Ty też to dostrzegłeś?

Iseult skinęła. Aż ją zmroziło. A więc niewyraźne nici Więzi członków plemienia to sprawka Corlanta. Nie miała pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

– Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, kim jest – mówiła dalej Gretchya – i z tego, że jego moc pozbawia mnie mojej własnej, postanowiłam użyć tej wiedzy przeciwko niemu. Zagroziłam, że zdradzę go przed członkami plemienia. Wtedy stwierdził, że jeżeli to zrobię, zupełnie pozbawi mnie magii. Koniec końców sama sobie zacisnęłam pętlę na szyi, Iseult. Po tej rozmowie szantażował mnie za każdym razem, kiedy czegoś ode mnie chciał.

Gretchya mówiła o tym tak rzeczowo, jakby tym czymś, czego chciał Corlant, było coś tak błahego jak miseczka borgszy albo wypożyczenie Scruffsa na jeden dzień. Ale Iseult wiedziała, o co chodzi. Pamiętała, jak Corlant czaił się w cieniu klatki z kurczakami i obserwował przez okno Gretchycę krzątającą się w kuchni. Jego pulsujące purpurą nici pokazały młodziutkiej Iseult, czym jest pożądanie.

Na boginie, co stałoby się, gdyby nie odeszła? Jak bliska byłaby obciążenia tym brzemieniem, które teraz dźwigała matka? Pomimo sześciu i pół roku niechęci do plemienia, którą tak pieczołowicie pielęgnowała, poczuła teraz, jakby ktoś wbijał jej nóż w mostek. Poczucie winy, podpowiadał jej umysł. I żal z powodu cierpienia matki.

Pomyśleć tylko, że Corlant cały czas był klątwodziejem, będącym w stanie zabić czyjąś magię z taką samą łatwością, z jaką Iseult mogła dostrzec czyjeś nici Więzi. Oto kolejny mit, który okazał się prawdą.

Iseult zrobiła spokojny wydech, uważając, by nie poruszyć głową.

– K-kto – zaczęła i przeraziła się drzeniem własnego głosu. Od razu usłyszała w głowie reprimendę matki: „Kontroluj swój język. Kontroluj swój umysł. Więżiodziejka nigdy się nie jąka”. – Kto – odchrząknęła – kto to jest Lalkarka?

– To młoda więżiodziejka. – Coraz więcej włosów spadało na ziemię, rozsypywały się na podłodze niczym piasek. – Krąży wiele wersji, ale ogólnie opowieść jest spójna. Dziewczyna ta nie potrafi robić kamieni Więzi, nie umie kontrolować swoich emocji i... i opuściła swoje plemię.

Iseult z trudem przełknęła ślinę. Ta Lalkarka w rzeczy samej prezentowała się znajomo.

– Mawiają, że moc tej dziewczyny, inaczej niż w naszym przypadku – mówiła dalej Gretchya – pochodzi z Otchłani. Że umie kontrolować rozszczepionych i dowodzi całą ich armią. A w najstraszliwszej wersji tej opowieści potrafi nawet przywracać do życia umarłych.

Iseult zeszywniała.

– Jak?

– Poprzez odcięte nici Więzi – odpowiedziała miękko Gretchya. – Podobno jest w stanie kontrolować nici rozszczepionego. Zginać je według własnej woli nawet wtedy, kiedy czarodziej już nie żyje.

– Trzy czarne nici Więzi rozszczepionego – wyszeptała Iseult.

Gretchya zamarła. W tej samej chwili Alma wyłoniła się z piwnicy z czarną suknią w jednej ręce i wkładkami w drugiej. Podeszła szybkim krokiem do paleniska i otworzyła żelazne drzwiczki.

Gretchya nachyliła się nad córką i popatrzyła jej w oczy.

– Widziałaś odcięte nici Więzi?

– Tak.

Z twarzy Gretchyi odpłynęła cała krew.

– Nie wolno ci o tym nikomu mówić, Iseult. Nikomu. Myślałyśmy z Alną, że to kłamstwo. Sposób na zastraszenie ludzi, który stosuje Corlant. Iseult poczuła, że zaschło jej w ustach.

– Wy nie widziałyście tych nici?

– Nie. A widziałyśmy wcześniej rozszczepionych.

– J-ja nie potrafię r-robić kamieni Więzi – wyrzuciła z siebie Iseult – więc dla-dlaczego to ja miałabym być tą, która widzi te odcięte nici Więzi?

Gretchya nie odpowiedziała, wróciła do obcinania włosów. Kilka chwil później nad paleniskiem zaczął się wić dym. Alma wróciła do stołu i wręczyła Iseult tradycyjną czarną suknię. Wzdłuż kołnierzyka, wąskich mankietów i przy rąbku spódnicy biegły trzy linie: prosta karmazynowa, symbolizująca nici Więzi, które wiążą, zawijana w kolorze szaławii, odnosząca się do nici Więzi, które budują, i przerywana szara, oznaczająca nici Więzi, które się łamią.

– Jak długo zamierzasz tu zostać? – Alma zapytała szorstko, szeptem nie głośniejszym niż trzask ognia.

– Tylko jedną noc – odparła Iseult, odpędzając myśl o krwiodzieju. W tej chwili miała wystarczająco dużo zmartwień.

W zamyśleniu podniosła ze stołu nieoszlifowany czerwony kamień. To rubin, rozpoznała Iseult. Klejnot zawieszono na rzemyku barwy nieba o zmierzchu, ozdobionym pętlami i węzłami. Kilka kamieni dalej leżał kolejny, identyczny. Iseult dostrzegła również szafiry i kilka opali.

Tylko w domu więziodziejki można było znaleźć walające się byle gdzie bezcenne klejnoty. Więziodziej znał swoje kamienie, umiał nawet za nimi podążyć, więc żaden z Nomatsów nie byłby na tyle głupi, aby je ukraść.

– Podobają ci się te kamienie Więzi? – zapytała Alma. Oparła się o stół, nerwowo pocierając dłońmi o uda.

O dziwo, Gretchya nie zwróciła Alnie uwagi, nie powiedziała nic w stylu: „Zostaw te ręce. Więziodziejka nie wykonuje żadnych niepotrzebnych ruchów”.

– Alma je zrobiła – powiedziała Gretchya.

No jasne, że Alma. Iseult nigdy nie potrafiła robić kamieni Więzi, a tu proszę – Alma właśnie z dumą prezentuje własne dzieło.

– Tak, ja je zrobiłam – odparła Alma, chociaż jej słowa zabrzmiały, jakby chciała zadać pytanie typu: „Na pewno ja?”.

Iseult popatrzyła na nią z dezaprobatą.

– Dlaczego miałabyś robić dla mnie kamienie Więzi?

Alma wzdrygnęła się, jednak szybko na jej twarzy pojawił się wytrenowany grymas obojętności. Podniosła drugi rubin otulony różowymi niciami Więzi.

– To jest... – Alma zamilkła, zerkając na Gretchcę, jakby nie była pewna co powiedzieć.

– Podarunek – dokończyła matka. – Nie wstydz się, Iseult marszczy brwi, bo jest zmieszana i nie potrafi kontrolować swojego wyrazu twarzy.

Policzki dziewczyny oblały się rumieńcem. To wyraz gniewu czy może raczej zawstydzenia?

– Ale jak je zrobiłaś? – wycodziła Iseult. – Jestem więziodziejką, nie widzisz moich nici Więzi, więc nie możesz połączyć ich z kamieniem.

– Twoja... twoja mama... – zaczęła Alma.

– Pokazałam jej, jak to zrobić – powiedziała Gretchya. Rzuciła nożyczki na stół i podeszła do paleniska. – Ubrania niebawem skończą się palić, poza tym Corlant wróci lada moment. Musimy się pośpieszyć.

Iseult zacisnęła usta. Matka migąła się od odpowiedzi.

– Powinnaś być wdzięczna – mówiła dalej Gretchya. – Rubiny, które trzymasz w ręku, rozbłyszczą, kiedy ty albo Safiya znajdziecie się w niebezpieczeństwie. Dzięki nim będziecie mogły się nawzajem odnaleźć. Taki podarunek nie powinien być przyjmowany tak beztrosko.

Nie przyjmowała tego podarunku beztrosko, niemniej nie czuła wobec Almy wdzięczności. Żadnej. Zrobiła to z poczucia winy. To przecież przez nią Iseult straciła miejsce ucznia więziodziejki i została odrzucona jako następczyni Gretchyi.

– Szybko, ubierz się – rozkazała matka. – Alma pozamiata te włosy. Musimy powiedzieć Corlantowi i członkom plemienia, że zmieniłaś zdanie i chcesz tutaj wrócić jako więziodziejka.

Iseult otworzyła usta – chciała zwrócić matce uwagę, że nie może mieć dwóch uczennic i że plemię doskonale wie o nieudanych magicznych próbach Iseult – szybko je jednak zamknęła. Alma brała już miotłę, żeby wypełnić rozkaz, tak jak powinna robić to więziodziejka – one nie dyskutowały, tylko robiły to, co nakazywała im chłodna logika.

To chłodne, logiczne myślenie przywiodło Iseult do wioski, postanowiła więc, że nie ulegnie urazie i strachowi, tylko zda się na rozsądek, tak jak

została wyszkolona. Przecież tylko dzięki temu zdołała przeżyć w Veñazie u boku Safi.

ROZDZIAŁ 9

Safi wcieliła się w rolę domny z niespodziewaną łatwością. W sali balowej znajdowało się mnóstwo ludzi, których kłamstwa wywoływały w dziewczynie znajome uczucie drapania. Ci, których ostatnio widziała, będąc jeszcze dzieckiem, dorośli, ich rodzice z kolei znacznie się postarzelili.

Odczuwała pewien rodzaj zadowolenia na widok przepięknie zdobionej sali, migocących żyrandoli, a także ścian z błyszczącego szkła, przez które widać było bagnisty brzeg Morza Jadańskiego. Prawdę mówiąc, z łatwością mogła porównać to uczucie do tego, które ogarniało ją podczas tych wszystkich szwindli, które kręciła razem z Iseult. Dzisiejszego wieczoru po raz kolejny odgrywała prawą rękę, podczas gdy jej wujek odcinał właśnie czyjaś sakwę. Skoro to jedyna rzecz, której oczekiwał od niej Eron, to wykona ją z radością. Zwłaszcza w towarzystwie księcia Leopolda fon Cartorry.

Wyrósł na interesującego mężczyznę, chociaż nadal był zbyt ładny, żeby traktować go poważnie. Jego uroda sprawiała, że prezentował się wytwornie. Miał błyszczące loki w truskawkowym odcieniu, lśniąca skórę i długie, jasne rzęsy, które tak żywo utkwily Safi w pamięci. Jego przepiękne oczy mieniły się zielonym kolorem morza. Pomimo wszystkich tych zewnętrznych zmian pozostał jednak tym samym złośliwym, swawolnym chłopcem, jakiego zapamiętała z dzieciństwa. Na jego widok wszystkie domny na balu wzdychały zachwycone.

– Wiesz, odcień aksamitu, z którego uszyto mój surdut, nie jest tak głęboki, jak na to liczyłem. Specjalnie prosiłem o majestatyczny szafir. – Mówił melodyjnym, głębokim barytonem. – Tymczasem ten odcień przypomina raczej monotony granat, nieprawdaż?

Safi parsknęła śmiechem.

– Cieszę się, że nic się nie zmieniłeś, Polly. Wciąż masz poczucie humoru i nadal jesteś bez reszty zauroczony własnym wyglądem.

Zarumienił się, kiedy Safi zdrobniła jego imię. Co z kolei sprawiło, że dziewczyna nabrała ochoty, żeby częściej się do niego tak zwracać.

– Oczywiście, że się nie zmieniłem. – Wzruszył ramionami. – Moja idealna twarz to wszystko, co posiadam, a ciężka nauka nic ci nie da w Cartorrze. – Wskazał na nią nieoznakowaną dłonią. – Ale ty, Safiyo... trochę się zmieniłaś, nieprawdaż? Twoje dzisiejsze wejście było iście teatralne.

Odwróciła wzrok, czując, że się rumieni – nie ze wstydu, lecz ze złości.

Przybyła na bal spóźniona o godzinę, ponieważ wuj Eron uparł się, że przed wyjazdem dokończy dzban wina. Dopiero po dotarciu do pałacu doży Safi zrozumiała, dlaczego tak zwlekał: tej nocy służbę pełnili jego byli towarzysze, piekielni bardowie.

Czterech uzbrojonych strażników stało na warcie w ogrodzie. Wiatr niósł szelest gałęzi cyprysa i kumkanie rzekotek. Kolejni dwaj bardowie strzegli wejścia do pałacu, a ostatnich sześciu stało za Henrickiem. Kiedy tylko Safi mijała któregoś z tych ogromnych, groźnych rycerzy, miała wrażenie, że żołądek wywraca jej się do góry. Mocno zaciskała pięści. Pomimo uczucia lęku szła wyprostowana, z wysoko zadartą brodą.

Żaden z piekielnych bardów nie zwrócił nawet na nich uwagi. Właściwie tylko jeden zareagował na ich widok, puszczając oko. Co więcej, Safi zauważyła, że twarze pod hełmami należą do bardzo młodych mężczyzn – zbyt młodych, żeby mogli służyć z wujem Eronem.

W zasadzie, zastanawiała się teraz Safi, może to śmiałe mrugnięcie jednego z nich w ogóle nie było skierowane do wuja Erona, tylko do niej. Tego wieczoru wyglądała naprawdę olśniewająco.

Zanim dotarli do holu, inni domowie i domny już dawno przeszli do sali balowej, imperator uparł się jednakże, aby księżę Leopold zaczekał, dopóki nie zjawi się ostatni gość.

Kiedy Polly zauważył, że Safi idzie w jego kierunku, wyszedł jej na powitanie, jakby chciał ochronić ją przed spojrzeniami piekielnych bardów, tak jak zawsze robił to w dzieciństwie. Skłonił się czarująco. Wciął się nawet, kiedy Henrick przytrzymał dłoń Safi trochę zbyt długo, po tym, jak uklękła, oddając mu hołd (na piekielnych bogów, zdążyła już zapomnieć, jak bardzo imperator przypominał wyglądem ropuchę i jak obleśnie pociły mu się dłonie).

Leopold był na tyle miły, że odprowadził ją osobiście do sali, wywołując tym samym lawinę plotek. Safi prawie się zaśmiała na widok pierwszej domny z malowniczym opadem szczęki. Miała wrażenie, że wszyscy zapomnieli, że są jedynie przyjaciółmi z dzieciństwa.

Księżę zaproponował jej kieliszek szampana, a następnie zaprowadził do miejsca, w którym znajdował się poczęstunek. Jedzenie – nareszcie! Stoły pod oknem ugięły się pod ciężarem niezliczonych przysmaków pochodzących z każdego z trzech imperiów. Safi postanowiła spróbować absolutnie wszystkiego.

– Czekoladowy wulkan – powiedział Leopold, wskazując na srebrną misę pełną bulgocącego ciemnego płynu. – Jedyna wada tego, że ogniodzieje mają zakaz wstępu do Cartorry, polega na tym, że nie możemy oglądać takich sztuczek. – Skinął do sługi w beżowym atłasowym uniformie. Mężczyzna szybko nabrał rozpuszczonej czekolady i polał nią truskawki ułożone w pucharu.

Safi westchnęła z lubością, kiedy jednak sięgała po porcję, Leopold zwinnie ją przejął, uśmiechając się chytrze.

– Pozwól, że cię obsłużę, Safiyo. Nie widzieliśmy się od tylu lat.

– A ja nie jadłam od wielu godzin. – Rzuciła mu gniewne spojrzenie. – Oddaj to, Polly, albo wykastruję cię widelcem.

Zaszokowany, wybałuszył oczy.

– Na dwunastu, czy ty słyszałaś samą siebie? – Oddał jej jednak truskawki, a kiedy Safi posmakowała pierwszej, jęknęła z zachwyty.

– Boskie – powiedziała z ustami pełnymi czekolady. – Przypominają mi... – przerwała, biorąc głęboki oddech.

Miała powiedzieć, że truskawki przypominają jej te, które jadła w domu. Jakby to parszywe zamczysko kiedykolwiek można było nazwać domem...

Leopold zdawał się nie zauważyć jej nagłej zadumy. Patrzył na ubranych kolorowo dyplomatów. Domny miały dopasowane czarne spódnice i gorsety w tysiącach bogatych odcieni ziemi. Domowie występowali w czarnych kamizelkach i aksamitnych, marszczonych, krótkich spodniach, które sprawiały jedynie, że ich nogi wyglądały koślawo i śmieszne.

Polly był chyba jedynym mężczyzną, który wyglądał w nich, i do tego w trykocie, atrakcyjnie. Musiał być tego świadom, sądząc po tym, jak

dumnie kroczył. Strój eksponował umięśnione, silne nogi, a niebieski aksamit mienił się cętkami o odcieniu jego oczu.

Safi z zadowoleniem zauważyła, że jej suknia wywołuje zazdrosne spojrzenia. Jedynie ubiór Vanessy, imperatorowej Marstoku, prezentował się równie okazale, a może nawet lepiej. Kobieta wyglądała wspaniale, biała suknia kontrastowała z jej brązową skórą, czarne włosy opadały na śmiało odsłonięte prawe ramię. Wokół czaroznamienia miała przyklejone złote klejnoty, ponadto jej nadgarstki zdobiły dwie przypominające kajdany bransolety (podobno reprezentowały oddanie wobec własnego ludu). Nie nosiła korony i zdaniem Safi jej kreacja stanowiła idealny przykład klasy i elegancji.

Choć Vanessa stała w znacznej odległości, Safi natychmiast dostrzegła, że lekko się garbi – zapewne była znużona. Najwyraźniej wolała być teraz gdzie indziej i zdecydowanie miała ważniejsze sprawy na głowie.

Safi próbowała odwzorować tę pozę, ale kiedy tylko jej wzrok padł na ciastka z kremem, szybko o tym zapomniała.

Leopold, jakby czytając w jej myślach, zapytał:

– Widziałas suknię imperatorowej? Każdy mężczyzna zbiera swoją szczękę z podłogi.

– Ale nie ty? – zapytała, mrużąc oczy.

– Nie. Ja nie.

Kłamstwo sprawiło, że nieprzyjemne uczucie drapania powróciło, lecz Safi się tym nie przejęła. Skoro Leopold chciał ukryć swoje zainteresowanie Vanessą, to była to wyłącznie jego sprawa.

– Chciałabyś poznać imperatorową? – zapytał pośpiesznie.

Safi wydała zduszony okrzyk.

– Poważnie?

– Oczywiście.

– Tak, bardzo. – Odstawiła niedokończone truskawki i ruszyła za Leopoldem, który majestatycznie wkroczył w tłum. Podszedł aż do niskiej sceny w rogu sali, gdzie muzycy stroili właśnie instrumenty.

Czuła się dziwnie, kiedy razem przechodzili pośród arystokratów w różnym wieku i różnych narodowości. Wyraz twarzy każdego z nich zdradzał zaciekawienie. Żałowała, że nie słyszy, co mówią, ponieważ ich ciekawość paliła ostrym światłem prawdy.

Leopold podszedł do grupki kolorowo ubranych kobiet. Ich suknie wykonano z tego samego marszczonego materiału co suknię imperatorowej. Stało tam również kilku mężczyzn. Nubreveni, pomyślała Safi, kiedy zobaczyła ich rozczochrane czarne włosy i szorstką od soli skórę. Mieli na sobie niebieskie nakrycia do kolan – z wyjątkiem jednego mężczyzny, który stanął jej właśnie na drodze. Ten nosił srebrno-szary płaszcz.

– Pan wybaczy – wymamrotała, usiłując go ominąć.

On jednak nawet nie drgnął, całkowicie blokując przejście. Poczowała ucisk w gardle. To ten Nubreven z pomostu, tyle że teraz wyglądał bardzo elegancko i niemalże błyszczał w świetle świec.

– A więc to ty – powiedziała po nubreveńsku. – Co ty tutaj robisz?

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie. – Uważnie jej się przyglądał. Nie sprawiał jednak wrażenia oczarowanego.

– Jestem domną Cartorry.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Rozumiem, że już się nauczyłeś zapinać guziki. Gratuluję tego niezwykłego wyczynu.

Zaśmiał się zaskoczony i pochylił głowę.

– A ja widzę, że postanowiłaś pozbyć się ptasiego gówienia z ramienia. Nozdrza Safi zadrgały.

– Proszę wybaczyć, ale czeka na mnie książę Leopold fon Cartorra. Ciebie z pewnością również oczekuje jakiś książę – powiedziała wyniośle.

Okazało się, że nie osiągnęła zamierzonego celu, nieznajomy jedynie się uśmiechnął. Jego promienna, niewymuszona mina sprawiła, że wszystko inne na sali nagle straciło blask. Nie umknęło uwadze Safi, że gdy przymknął oczy, jego czoło się wygładziło, a rysy złagodniały.

– Nie mam w tej chwili żadnych innych obowiązków – rzekł miękko. – Poza tymi tutaj. – Następnie, jakby Safi nie była jeszcze wystarczająco oszołomiona, uklonił się i zapytał: – Czy zechce pani ze mną zatańczyć?

W tym momencie wszystkie systemy obronne Safi opadły. Zapomniała, co to znaczy być domną, a jej nonszalancja i opanowanie gwałtownie się ulotniły. Nawet nubreveński zdawał się zbyt trudny, by wypowiedzieć w nim choć proste zdanie.

Miała wrażenie, że ten mężczyzna po prostu z niej drwi, tak jak czynili to wszyscy domowie i domny, kiedy była dzieckiem. Podobnie jak wujek Eron. Tak, ten nieznajomy miał zamiar ją zawstydzić.

– Nie gra przecież żadna muzyka – odparła pośpiesznie i spróbowała go wyminąć.

Złapał ją za rękę.

– Zaraz zagrają – obiecał, po czym zawołał: – Kullen!

Ogromny mężczyzna z pomostu podszedł pośpiesznie.

– Powiedz, proszę, orkiestrze, żeby zagrali tango na cztery. – Przestał patrzeć na Safi, ale wciąż uśmiechał się figlarnie. – Jeżeli nie znasz nubreveńskiego tanga, domno, mogę wybrać inny taniec.

Safi zdecydowała się na strategiczne milczenie. Doskonale umiała tańczyć i jeżeli zamierzał ją zawstydzić na parkiecie, to spotka go spore rozczarowanie.

– Znam ten taniec – mruknęła. – Prowadź.

– Prawdę mówiąc – rzekł z satysfakcją – nie muszę się stąd ruszać, domno. To ludzie robią mi miejsce. – Wykonał pojedynczy ruch ręką, a wszyscy Nubreveni rozstąpili się jak na komendę.

Do Safi dobiegły słowa stojących w pobliżu osób:

– Widzisz, z kim tańczy księżę Merik?

– Księżę Merik Nihar tańczy z tą fon Hasstrel.

– To jest księżę Merik?

Księżę Merik. Słowa te zawirowały, musnęły podłogę i dotarły do uszu Safi, błyszcząc czystością, jaką mogła lśnić jedynie najszczęśliwsza prawda.

Cóż, na piekielne bramy, nie ma się co dziwić, że ten mężczyzna był tak próżny. To przecież cholerny księżę Nubrevny.

* * *

Gdy tylko zaczęli tańczyć, Merik zorientował się, że popełnił błąd. Liczył na to, że nauczy tę dziewczynę jakichś manier – miała przecież być domną, nie mogła się więc zachowywać jak jakiś uliczny łobuz – sądził, że taniec sprawi, iż nieco złagodnieje. Wyszło jednak na to, że zwyczajnie się wygłupił – ta pyskata domna okazała się o wiele lepszą tancerką, niż się spodziewał. Nie tylko знаła tango na cztery, nubreveński taniec, którego wykonanie wymagało sporych umiejętności i kondycji – ale była w nim dobra. Cholernie dobra. Błyskawicznie powtarzała do rytmu jego potrójne przytupy, natychmiast zdołała też odtworzyć każdy podwójny obrót i wymach ręką. A to dopiero pierwsza kwarta. Gdy zbliżyli się do siebie w tańcu, Merik był przekonany, że niebawem będzie się pocił i dyszał jak szalony.

Oczywiście, gdyby przemyślał propozycję wspólnego tańca, zanim ją złożył, z pewnością przewidziałby nadchodzące upokorzenie. Widział przecież, jak ta dziewczyna walczy, i pozostawał pod wrażeniem jej prędkości i zaciętości.

Rozległy się mocne dźwięki smyczków i skrzypiec – marsz dominującego morza. Modląc się do Nodena, Merik ruszył do przodu. Po kilku krokach zatrzymał się, podnosząc rękę z dłonią skierowaną na zewnątrz. Młoda domna podeszła do niego z gracją. W mgnieniu oka wykonała szybkie dwa kroki i w lekkim obrocie złożyła swoją dłoń z dłonią partnera. Prawdziwy walc kapryśnej rzeki. Unieśli drugie dłonie, a jedynym pocieszeniem Merika było to, że obydwójce weszli w kolejną fazę tańca, oddychając równie szybko. Księżę prawą ręką chwycił dłoń dziewczyny i z pasją obrócił ją tyłem do siebie, przyciągając do swego torsu. Lewą rękę przycisnął do jej brzucha, rozkładając palce. Safi podniosła lewą dłoń, a Merik ją złapał. Dopiero teraz zaczynały się schody – tańczący wykonywali bowiem rytmiczne skoki we wszystkich kierunkach. Ich ruchy miały przypominać kołysanie statku na burzliwym morzu. Merik muskał jej ramiona i talię, imitując uderzanie kropli deszczu o żagle statku.

Czoła zrosił im pot. Wreszcie rozpoczęła się trzecia część tańca. Merik obrócił dziewczynę tak, że zatrzymała się twarzą tuż przy jego twarzy. Na Nodena, ależ ona była wysoka! Dotąd jakoś tego nie zauważył. Muzyka zaczęła narastać. Safi przysunęła się do Merika jeszcze bardziej, a on w jednej chwili zapomniał, kim jest ta dziewczyna i dlaczego w ogóle poprosił ją do tańca. Jej oczy miały kolor nieba po burzy. Nagle coś rozbudziło najgłębsze pokłady jego mocy. Każdy oddech unosił włosy partnerki, targał jej suknię. Safi zdawała się to ignorować. Patrzyła na Merika z zaciętością, która spychała go jeszcze głębiej w fale muzyki i tańca. Za każdym razem, kiedy odskakiwała do tyłu, naśladowując rwącą rzekę, gwałtownie przyciągał ją do siebie. Przy każdym podskoku dziewczyna wykonywała głośny przytup piętą – krok, którego Merik nie widział nigdy wcześniej, jednak odpowiadał nań podobnym. Wiatr szalał wokół nich, oni zaś tkwili w oku cyklonu.

Dziewczyna ani razu nie spuściła z niego wzroku choćby na sekundę. Merik z kolei – nawet gdy rozbrzmiały ostatnie takty utworu, proste basowe uderzenia – nie zwolnił tempa. Ich policzki płonęły czerwienią, serca waliły

jak oszalałe. Książę przesunął palcami po plecach i ramionach dziewczyny. Ostatnie krople siarczystego deszczu.

Muzyka zwolniła. Safi odsunęła się od Merika i wykonała przepisowe cztery kroki do tyłu. Merik nie odrywał wzroku od jej twarzy, ale zauważył, że kiedy zwiększył się dystans między nimi, jego wiatrodziejstwo się uspokoiło. I on cofnął się o cztery kroki i zaplótł ramiona na klatce piersiowej. Orkiestra ucichła.

Książę wreszcie doszedł do siebie. Był przekonany, że sam Noden śmieje się z niego w głos na samym dnie morza.

ROZDZIAŁ 10

Członkowie plemienia Midenzi przychodzili jeden po drugim, aby przywitać Iseult. Każdy z nich chciał bacznie przypatrzeć się dziewczynie, która opuściła osadę, a teraz chciała do niej wrócić.

Obcięte włosy łaskotały ją w kark, ale jak na więziodziejkę przystało, nie podrapała się ani razu. Nie wierciła się również na stołku przy palenisku ani nie robiła żadnych min poza wymaganym uśmiechem.

Nici Więzi członków plemienia miały barwy przerażająco blade – jedynie te należące do Corlanta, który stał za dziewczyną i wszystko obserwował, pulsowały przesadną jasnością.

Przy trzydziestym gościu Iseult była wyczerpana udawaniem, że Corlanta w ogóle tutaj nie ma, że nie obserwuje jej niczym drapieżny ptak. Twarz Almy cały czas wyrażała pogodne emocje, a uśmiech, którym obdarzała odwiedzających, zdawał się szczery.

Przy sześćdziesiątym członku plemienia Iseult pogłaskała Scruffsa tak mocno, że poczuł się co najmniej niekomfortowo. Przy osiemdziesiątym – wstał i od niej odszedł. Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora.

– To dopiero sto dziewięćdziesiąty pierwszy – oświadczył Corlant, kiedy wyszedł ostatni gość. – Zastanawiam się, gdzie jest reszta plemienia? – Ton jego głosu nie zdradzał jednak zdziwienia. Kiedy mężczyzna podszedł do drzwi, jego nici zapłonęły różowym podnieceniem.

– Dopilnuję, żeby wszyscy dowiedzieli się o powitaniu. – Rzucił przeszywające spojrzenie Gretchyi i dodał groźnie: – Nie ruszajcie się stąd.

– Oczywiście – powiedziała kobieta, siadając na stołku obok Iseult.

Gdy Corlant wyszedł, natychmiast wstała. Pociągnęła córkę za rękę, a Alma pobiegła do włazu do piwnicy.

– Musimy się pośpieszyć – szepnęła Gretchya. – Corlant na pewno się domyśla, co zaplanowałyśmy. Będzie próbował nas zatrzymać.

– Zaplanowałyście? – zapytała Iseult.

Naraz rozległ się odgłos cięcia, niczym podczas niedawnego skracania włosów. Wszystko to, co wiązało trzy kobiety z wioską, odezwało się narastającym hukiem w ich klatkach piersiowych.

Nici Więzi, które wiążą, zostały zerwane.

Iseult nie widziała tego, lecz poczuła. Nagłe szarpnięcie w sercu o mały włos nie zważyło jej z nóg. Alma popchnęła ją w kierunku drzwi.

– Biegnij – syknęła – do bramy, biegnij!

Iseult zobaczyła panikę w oczach Almy. Rzuciła się do drzwi, potknęła się jednak i z trudem złapała równowagę. Na zewnątrz czekał już tłum z lampionami, pochodniami i łukami. Czterystu Nomatsów, którzy nie przyszli na powitanie, zgromadziło się tu potajemnie. Ich nici zostały zamaskowane za sprawą magii klątwodzieja.

Był też i sam Corlant – sunął pośród tłumu o głowę wyższy od pozostałych. Jego nici Więzi płonęły purpurową żądzą. Ludzie usuwali mu się z drogi. W ciemności Iseult dostrzegła twarze, które teraz rozpoznała – twarze pełne nienawiści. Poczowała, że drżą jej kolana, a w piersiach rozsiada się pustka. Odwróciła się, lecz dom opustoszał. Został w nim tylko Scruffs, warczał, jeżąc sierść.

Corlant przeszył ją zachłannym spojrzeniem. Powoli skrzyżował kciuki, wyciągając ręce w jej kierunku. Był to znak, który miał odstraszać zło.

– Obca – powiedział miękko. – Powiesić obcą. Powiesić obcą.

Tłum zaczął skandować:

– Obca! Obca! Powiesić obcą!

Słowa te opuszczały usta zgromadzonych niczym jadowite węże. Mieszkańcy osady zaczęli podchodzić do Iseult. Nawet nie drgnęła. Próbowwała myśleć logicznie. Nie było jednak żadnego wyjścia z tej sytuacji. Nic nie przychodziło jej do głowy. Nie bez Safi. Nie bez chwili do namysłu.

Ludzie ją otoczyli. Ich nici Więzi ożyły, jakby nagle wyrwały się na wolność. Wokół Iseult krążyły ich tysiące w odcieniach bieli i purpury – strachu i żądy krwi. Zgromadzeni przystąpili do ataku, zaczęli szarpać i popychać dziewczynę, ktoś pociągnął ją za włosy. Rozpląkała się.

– Obca! Obca! Powiesić obcą!

Wykrzykiwali wojenne hasła i z dziką pazernością domagali się śmierci Iseult. Popychając ją i kopiąc, pędzili ją w kierunku najpotężniejszego dębu w osadzie.

Pragnęli mordu.

– Obca, obca, powiesić obcą! – wrzeszczeli jedni.

– Lalkarka! Lalkarka! – wtórowali im inni.

Corlant naprawdę ich przekonał, że Iseult jest Lalkarką, i teraz będzie musiała zostać za to ukarana.

Wtedy go zobaczyła: olbrzymi dąb, którego ciemne gałęzie wyraźnie odznaczały się na rozjaśnionym światłem księżyca niebie. Jakiś mężczyzna złapał Iseult za piersi. Jego nici Więzi drżały. Ktoś inny, kobieta, udrapał ją w policzek.

Kiedy Iseult poczuła narastający ból, jej serce stało się wreszcie twarde jak kamień. Jej puls zwolnił, temperatura ciała obniżyła się i naraz wszystkie te spojrzenia, dźwięki i cierpienie zniknęły za murem obiektywnej myśli.

To Corlant sprowokował ten atak. To on rozniecił w ludziach strach. Bali się rozszczepionych i nieznanej Lalkarki... czyli Iseult.

„Prawą ręką daj mu to, czego oczekuje, lewą odetnij sakwę”.

– Odetnij – syknęła. – Przekręć i odetnij. Odetnij, odetnij! Przekręć i odetnij! – Powtarzała rytmicznie. Wrzeszczała coraz głośniej, przekrzykując tłum.

Dała im to, co chcieli zobaczyć. Dała im Lalkarkę.

– Odetnij, odetnij! Przekręć i odetnij. Nici Więzi, które łamią! Nici Więzi, które umierają! – wykrzykiwała bzdury. Nie mogła dotknąć nici zgromadzonych, a już na pewno nie mogła ich kontrolować. Ale Nomatsowie o tym nie wiedzieli, więc wołała dalej: – Odetnij, odetnij!

Wrzeszczała coraz głośniej, aż odsunęli się na tyle, że była w stanie się wyprostować. Mogła zaczerpnąć powietrza i krzyczeć dalej, póki ostatnia krwiożercza nic Więzi nie zmieni barwy na białą. Corlant znikł z pola widzenia.

Nieoczekiwanie ktoś nadszedł z odsieczą: w stronę tłumu poleciał kociołek.

– Rozpal! – krzyknęła Gretchya.

Sagan eksplodował, jego płonące części zaczęły spadać na ziemię. Iseult odetchnęła z ulgą. A jednak – matka jej nie opuściła.

Ludzie rzucili się do ucieczki. Iseult pędem puściła się w kierunku domu matki. Gnała ile sił. W miarę jak wybuchały kolejne kociołki, następne kryte strzechą chaty stawały w płomieniach. Nagle poczuła, że

nici wokół niej znowu zaczynają wirować. Zawsze tak się działo, kiedy ofiara uświadomiła sobie, że została oszukana. Ludzie zauważyli, że stracili swoją Lalkarkę, ale ich żądza krwi nie została zaspokojona i teraz narastała z niesłychaną mocą.

Iseult dotarła do domu matki, ale nie znalazła tam Gretchyi.

– Iseult!

Popatrzyła w lewo. Na grzbiecie nieosiodłanej klaczy siedziała Alma. Brązowa sierść i krucze nogi konia były w ciemności prawie niewidoczne, podobnie jak czarna suknia Almy.

Dziewczyna zatrzymała klacz i wciągnęła nań Iseult. Na plecach miała tarczę. Pogałopowały ku bramie. Gniew tłumu rozszalał się na nowo.

Mieszkańcy osady wiedzieli już, że ich wykiwano. W kierunku dziewcząt posypały się kamienie i pognały strzały. Rozległ się wrzask Corlanta:

– Zatrzymać je! Zabić!!!

Ale Iseult i Alma zbliżały się już do bramy. Kamienie uderzały o pnie dębów, strzały niknęły między gałęziami i wbijały się w tarczę na plecach Almy.

– Gdzie jest moja matka?! – krzyknęła Iseult.

Nagle brama się otworzyła. Alma skręciła gwałtownie i Iseult poczuła nagłe pieczenie w prawym ramieniu. Zachwiała się, na szczęście Alma zdołała ją podtrzymać. Iseult nie miała pojęcia, czym oberwała. Może kamieniem? Ból narastał. Przerazona spojrzała na swoją rękę i zobaczyła grot utkwiony powyżej łokcia. Została trafiona długą cedrową strzałą z biało-czarnymi kogucimi piórami.

Obejrzała się za siebie i ujrzała stojącego w świetle księżyca Corlanta, który opuszczał łuk, uśmiechając się triumfalnie. Alma krzyknęła jej do ucha:

– Trzymaj się!

Odwróciła się więc i mocno uczepliła grzywy. Pogałopowały w kierunku łąki. Krzyki członków plemienia cichły w oddali. Iseult napięła mięśnie ud i uniosła palce u stóp, tak jak uczyła ją matka.

Matka.

Iseult zmrużyła oczy. Wydawało jej się, że widzi postać na koniu pędzącą przez trawę, a za nią drugą, mniejszą. Scruffs. Gretchya musiała otworzyć bramę i uciec, wierząc, że Alma wydobędzie Iseult.

„Corlant na pewno się domyśla, co zaplanowałyśmy” – tak powiedziała. A więc uknuła plan przeciwko Corlantowi, który ewidentnie żądał śmierci jej córki, chociaż sama Iseult nie miała pojęcia dlaczego.

Przez ułamek sekundy pożałowała, że zamiast Corlanta i całego swego dawnego plemienia nie przyszło jej się zmierzyć z krwiodziejem. Odsunęła jednak tę myśl na bok – przynajmniej udało jej się przeżyć. Gdyby to krwiodziej strzelał do niej z łuku, na pewno by nie spuścił.

Chociaż i sam Corlant niemal osiągnął swój cel. Gdyby strzała trafiła o trzy cale w lewo, przeszłaby klatkę piersiową Iseult. Jeden cal w prawo – i przebiłaby tętnicę.

Dziewczyna wysłała więc ciche podziękowania do księżycy i pomodliła się, żeby Safi jeszcze na nią czekała... W przeciwieństwie do tego przeklętego krwiodzieja.

ROZDZIAŁ 11

Aeduan był znudzony. Jedyne, co mógł zrobić, to rozgrzewać nadgarstki, kostki i palce, aby jego mięśnie trwały w gotowości do walki. Albo żeby po prostu utrzymać zdenerwowanie na wodzy.

Minęły już cztery dzwony, odkąd rozłożył się na krokwi stropu pałacu doży. Widziało go tylko szesnastu innych wynajętych strażników, tkwiących na dachu, i rodzina gołębi, która nie przestawała gruchać, odkąd rozsiadł się tuż obok gniazda. Nie musiał się zatem specjalnie martwić tym, że informacja o naruszeniu reguł dotrze do Klasztoru. A nawet jeśli, to starzy mnisi bardziej interesowali się podejmowaniem nowych zleceń niż szacunkiem dla Cahr Awenów. Przecież tak naprawdę Cahr Aweni to tylko legenda, podczas gdy brązowe monety są bez wątplenia prawdziwe.

Wciąż jednak znajdowały się one poza zasięgiem Aeduana. Yotiluzzi obiecał nagrodę za dwie dziewczyny, które zatrzymały jego powóz, a Aeduan bardzo chciał otrzymać te pieniądze. Bardzo. Śledził więc prawdopodobnie aż do Południowej Dzielnicy Portowej... po czym zgubił trop.

Wkrótce potem czystym przypadkiem przy kanałach wpadł na Nomatsankę, z tym że ona też wywiodła go w pole. Nie udało mu się ponownie jej wytropić, ponieważ nie czuł jej zapachu. A przecież nigdy w ciągu dwudziestu lat swojego życia nie spotkał nikogo, kogo zapachu nie byłby w stanie wyczuć – nigdy.

Ta niespodziewana sytuacja nieco go... zdenerwowała. Wściekał się z tego powodu nawet bardziej niż na myśl o zgubieniu cennej prawdopodobnie. A teraz, zamiast śledzić te dwie dziewczyny, musi siedzieć na tym przeklętym dachu.

Przycisnął cienką, brązową lunetkę do oka i przez dziurę wydrążoną w suficie zaczął obserwować salę. Tłum. Mieszanka różnorodnych barw i materiałów. To kompletna strata czasu – Aeduan miał pewność, że nie ma szans, aby na oficjalnym balu wydarzyło się coś ciekawego, ponieważ jak

zwykł mawiać jego ojciec: „Dwudziestoletni Rozejm sprawił, że ludzie stali się leniwi i pozbawieni ambicji”.

Kiedy usłyszał pierwsze pulsujące rytmy nubreveńskiego tanga na cztery, krwiodziej zdecydował się przemieścić. Powolnymi ruchami przecisnął się przez niewielką szparę i dotarł do drabiny. Minął dwóch innych najemników, którzy zmierzyl go wzrokiem.

– Demon z Otchłani – szepnął jeden z nich, ale Aeduan udał, że nie słyszy. Podobały mu się te plotki. To właśnie dzięki nim ludzie się go bali, to dzięki nim mógł sobie dzisiaj spokojnie wybrać najlepszy punkt obserwacyjny. Nawet cartorriańscy piekielni bardowie, Marstockie Żmije, a także osobiści ochroniarze imperatorowej Vanessy pozwolili mu wejść na teren pałacu jako pierwszemu.

Kiedy dotarł na skraj dachu, natknął się na otwór w suficie, z którego zupełnie niepotrzebnie zwisała długa na pięćdziesiąt stóp drabinka. To kolejny przykład tego, jak bardzo niedbali stali się Dalmotczycy – zresztą nie tylko oni. Gdyby strażnicy faktycznie byli potrzebni na dachu, to zejście zajęłoby im zdecydowanie zbyt wiele czasu.

Aeduan oparł stopy na ziemi właśnie w chwili, kiedy tango na cztery wkraczało w drugą fazę. Za ścianą rozbrzmiał donośny dźwięk skrzypiec, aż zawibrowała podłoga. Delikatne uderzenie pięt o marmur wyraźnie sygnalizowało, że oto rozpoczynał się taniec winny.

Krwiodziej znał te rytmy. I wolałby się nadziać na rozen niż zatańczyć to piekielne tango. W czasie pierwszych lat w Klasztorze został zmuszony przez swego mentora do nauczenia się kroków.

Właśnie miał zamiar skrócić w lewo, kiedy poczuł znajomy zapach krwi. Splecione jadem tajemnice i niekończące się kłamstwa. Nie miał pojęcia, ile było prawdy w pogłoskach mówiących, że w żyłach Marstockich Żmijów płynął kwas, ale wiedział bardzo dobrze, że ochroniarzy jadodzieja lepiej omijać z daleka – chociażby ze względu na to, jak bardzo drażniącą wydzielali woń.

W związku z tym Aeduan zrezygnował z zamiaru pójścia w lewo i skrócił w prawo. Gdy w końcu znalazł otwór w ścianie, mniejszy niż ten na dachu, zerknął przez niego dokładnie w chwili, kiedy zaczynała się czwarta kwarta tańca.

Jego brwi uniosły się ze zdziwienia.

Po parkiecie sunęło tylko dwoje tancerzy. Ich pięty i palce uderzały o marmur z prędkością, jakiej Aeduan nigdy wcześniej nie widział, na dodatek powietrze wokół nich szalało. Jedno z tańczących ewidentnie było związane z jakąś formą magii powietrza. Para wirowała na parkiecie, wyraz twarzy obojga pozostawał niezmienny, a zmrużone oczy zdradzały koncentrację. Podmuchy wiatru targały suknią i włosami dziewczyny.

Im dłużej Aeduan na nich patrzył, tym bardziej zaczynał go swędzieć nos. Instynktownie powiódł wzrokiem po twarzach osób stojących najbliżej parkietu i zaczął węszyć. Wyczuł krew... ostrą woń krwi. Dzikiej krwi. Krwi, która przywodziła mu na myśl łańcuchy górskie i zbocza urwisk, łąki usiane dmuchawcami i prawdę ukrytą pod śniegiem.

Poczuł narastające w środku przerażenie. Prawdopodobnie była tutaj, właśnie tu, na tym balu.

Rozbrzmiały ostatnie nuty tanga i Aeduan na powrót skupił uwagę na tańczących. Wiatr zaczął się uspokajać. Ten Nubreven to z pewnością ktoś ważny – ludzie patrzyli na niego ze strachem i szacunkiem. Niemniej to nie on interesował strażnika – w zapachu jego krwi nie wyczuł nic niepokojącego.

To ta dziewczyna przyciągnęła jego uwagę – jego magię. Uśmiechnął się szeroko i sięgnął dłonią po sztylet, który miał przy sercu. Sercu, które właśnie ona przebiła zaledwie wczoraj. Zastanawiał się, kim mogła być ta kobieta – z pewnością usłyszałyby o domnie prawdopodobnie.

Naraz w sali balowej rozległy się pojedyncze brawa. Wkrótce do klaszczącego dołączyli inni, lecz to właśnie ten pierwszy aplauz był najgłośniejszy.

Aeduan nie widział wszystkich, jego wzrok zatrzymał się na jasnowłosym spadkobiercy imperatora, Leopoldzie. Stał przy imperatorowej Vanessie i czekał, aż ludzie się rozejdą. Gdy tłum się przerzedził, podszedł do tancerzy.

– Świetna robota! – zawołał, nie przestając klaskać. – Cóż za wspaniali tancerze!

Nubreven odwrócił błyszczącą od potu, poczerwieniałą twarz w kierunku księcia, po czym się skłonił.

– Wasza Książęca Mość.

Leopold zaledwie skinął w jego stronę.

– Książę Meriku, ukradłeś nam Safiyę – rzekł lekceważącym tonem.

Safi poczuła, że rumieni się z zażenowania.

– Polly – mruknęła. – Przepraszam, zgubiłam cię w tłumie.

– Nie musisz przeproszać – powiedział o wiele głośniejszym głosem, niż było to konieczne, i szeroko rozłożył ramiona. – Jeszcze jeden taniec! Tym razem pragański walc. – Skłonił się przed dziewczyną i objął ją ramieniem.

Podeksytowany Aeduan wybijał palcami rytm na swoim sztylcie. Ta noc okazała się jednak bardzo interesująca. Prawdopodobnie, która usiłowała obrabować Mistrza Gildii Yotiluzkiego, tańczyła właśnie z kolejnym księciem. Krwiodziej w mgnieniu oka przestał się nudzić. Nareszcie trafiła się porządna robota do wykonania.

Safi miała dosyć tańca. Zrobiło jej się niedobrze od tego całego kręcenia się, nie mogła złapać tchu. Wszystko przez tego... Merika.

Księżę Merik.

Mężczyzna, który nie potrafił się porządnie ubrać, okazał się członkiem rodziny królewskiej. Ten, który pokonał rozszczępionego, był księciem. Z trudem próbowała to pojąć, niemniej wyjaśniało to jego zadzieranie nosa, a także odwagę, kiedy walczyli z rozszczępionym.

W czasie tego tańca coś się między nimi wydarzyło – coś równie potężnego jak wiatr i muzyka, które szalały wokół nich. Było jak cisza przed burzą.

Na ognie piekielne, Safi tak bardzo potrzebowała teraz Iseult! Więziosiostra z pewnością pomogłaby jej zapanować nad emocjami.

Kiedy zgromadzeni zaczęli wirować na parkiecie, kłamstwo i prawda atakowały Safi ze wszystkich stron – musiała się zatrzymać, natychmiast. I czym prędzej stąd wyjść. Po tym nieszczęsnym tangu z Merikiem coś się zmieniło. Powietrze aż drżało od napięcia. Tańce zdawały się trwać wiecznie. Sześć razy wirowała w ramionach Leopolda, kolejnych sześć – imperatora. Henrick pocił się wprost straszliwie.

Nareszcie muzyka umilkła.

Wkrótce imperator poprosił o ciszę i skinął na Safi, aby dołączyła do niego na niewielkim podeście. Gdy to uczyniła, wypowiedział zdanie, które brzmiało tyle strasznie, co niewiarygodnie:

– Poznajcie Safiyę fon Hasstrel, moją narzeczoną i przyszłą imperatorową Cartorry.

Pod Safi ugięły się kolana. Na szczęście Leopold, który stał w pobliżu, jakimś cudem zdołał ją podtrzymać. Rozległ się aplauz, jednak miny

zgromadzonych wyrażały konsternację – a więc ich także zaszokowały słowa imperatora.

– Polly – odezwała się chrapliwym głosem. – Polly, proszę... powiedz mi... Polly...

– To prawda – mruknął, ściskając jej dłoń.

Próbowała mu ją wyrwać – na próżno. Serce chciało wyskoczyć jej z piersi. Ufała Leopoldowi! Podobnie jak ufała wujowi Eronowi. Tymczasem okazało się, że uknuli przeciw niej intrygę. Przybyła tutaj nie jako domna, lecz narzeczona imperatora.

Leopold nie miał zamiaru jej puścić. Jego morskozielone oczy zrobiły się teraz stalowe, a subtelne zazwyczaj rysy twarzy stężyły.

– Wiedziałeś, co nastąpi. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – zapytała, dysząc.

W odpowiedzi zaciągnął ją do swego wuja. Był silny i zdecydowany, ale nie niemiły. Stała przed imperatorem. Przed swoim przyszłym mężem.

– Życzymy wam wielu szczęśliwych wspólnych lat! – krzyknął Leopold, popychając Safi w kierunku Henricka. Ten położył jej na ramionach swoje spocone łapska.

Safi chciała się wyrwać z jego uścisku. Miała ochotę zacząć wrzeszczeć, że przecież to nie taką wolność jej obiecano. Ślub z imperatorem nie był dla niej absolutnie żadną wolnością! Czy wujek postradał zmysły?!

Oto nadszedł koniec. Koniec wszystkiego.

Starając się opanować drżenie, powiodła wzrokiem po zebranych. Szukała niebieskich oczu wujka Erona. Rudych włosów Mathew. Na bogów, szukała kogokolwiek! Potrzebowała kogoś, komu mogłaby popatrzeć w twarz i kto by się z nią zgodził, że ma prawo być wściekła. Że ma prawo być przerażona!

Niestety nie znalazła w tłumie nikogo znajomego. Szukała nawet księcia Merika w jego srebrno-szarym płaszczu, ale zniknął zarówno on, jak i pozostali Nubreveni.

Stała więc zupełnie sama i czuła, że trzęsą się jej kolana. Gdy lepkie palce Henricka zacisnęły się na jej dłoniach, zemdliło ją.

Wtedy rozgorączkowany wzrok Safi zatrzymał się na tęgiej postaci, którą pamiętała jak przez mgłę z dzieciństwa. Była to domna fon Brusk.

Z powodu pokrytej włosami, rytmicznie poruszającej się brody przywodziła na myśl krowę żującą trawę. Skinęła nieznacznie, patrząc na Safi.

Kiedy uderzenia dzwonów rozlegały się po raz dwudziesty czwarty i ucichły oklaski, domna fon Brusk ruszyła w kierunku dziewczyny. Nie spuszczała z niej wzroku, nie zwalniała tempa, póki nie wybiło ostatnie uderzenie dzwonu. Odbiło się echem w całym pomieszczeniu.

W tej samej chwili zgasły wszystkie świece w sali, w ogrodach i na przystani. Pałac pogrążył się w ciemności.

* * *

Aeduan przemykał od jednej dziury w ścianie do drugiej, nie odlepił oczu od prawdopodobnie i usiłował nie stracić woni jej krwi.

Wyglądało na to, że dziewczyna nie spodziewała się tego wszystkiego. Aeduan nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś pobił tak gwałtownie, i przez ułamek sekundy było mu jej nawet żal. Patrząc, jak dziewczyna sunie w kierunku imperatora, czuł, że unoszą mu się włoski na ramionach i na karku.

Wtem, gdy Aeduan zdołał jedynie pomyśleć „magia” i poczuł ogniodzieja, zgasł każdy najmniejszy płomień, w pałacu zapanowała absolutna ciemność.

Oddychając głęboko, krwiodziej skupił się na zapachach zebranych. Szczęśliwie potrafił się poruszać po ciemku. Równie szczęśliwie – umiał rozpoznać, kto jeszcze posiada taką umiejętność.

Ktoś musiał celowo zgasić wszystkie świece i pochodnie – ktoś sprzysiężony z tą dziewczyną, Safiyą. Woń jej krwi właśnie się ulatniała: prawdopodobnie opuszczała pałac – podobnie jak ta druga osoba, wydzielająca drażniący zapach wojny, bitew i palonych ciał. Była jeszcze trzecia postać – ktoś, kto pachniał górskimi szczytami... i zemstą.

Aeduan ruszył w kierunku najbliższego z dwóch wyjść, lecz wtem pochodnie rozżarzyły się ponownie pod wpływem kolejnej fali mrozącej krew w żyłach magii. Rozległ się szmer i westchnienia pełne ulgi. Wrócił do najbliższego punktu obserwacyjnego i skierował wzrok tam, gdzie jego magia krwi podpowiadała mu, że powinna znajdować się dziewczyna.

Ona... nadal tam tkwiła! Jakimś sposobem nie ruszyła się ani o krok. Aeduan wciągnął w nozdrza jej woń, nie wyczuł jednak zapachu dziewczyny o imieniu Safiya. Stał tam ktoś zupełnie inny. Ktoś, kogo krew była starsza – o wiele starsza.

Eterysta, pomyślał. A konkretnie blaskodziej.

Aeduan skupił się na wszystkich zebranych. Nie wyczuł nikogo, kto władałby potężną magią, mimo to miał pewność, że gdzieś w tym pomieszczeniu znajduje się blaskodziej, który sprawuje kontrolę nad sytuacją.

Dałby sobie również uciąć palec, że on, Aeduan, był jedyną osobą w całym pałacu – możliwe nawet, że w całych Czarodziemiach – zdolną pojąć, co się tu dzieje. I to nie arogancja pozwalała mu tak myśleć, lecz umiejętność kojarzenia faktów. Zdolność, która umożliwiała mu uzyskiwanie dobrych zarobków i która teraz mogła zaprowadzić go do pracodawców o wiele bogatszych niż Mistrz Gildii Yotiluzzi. Ta dziewczyna była prawdopodobnie i przysłą żoną cartorriańskiego imperatora. Ktoś z pewnością będzie chciał się dowiedzieć, kto ją porwał, i zapewne będzie skłonny sporo za to zapłacić.

Aeduan ponownie rzucił się do wyjścia. Dziewczyna już niemal zniknęła z jego zasięgu. I choć mógł wyczuć ofiarę z dużej odległości, o wiele łatwiej mu się pracowało, trzymając swój cel w zasięgu stu kroków.

Kiedy jednak rzucił się do biegu, osoba wydzielająca drażniący zapach pól bitewnych stanęła mu na drodze. Wówczas pojawił się smród prawdziwych płomieni – ogniodziej właśnie podpałał wyjście.

Aeduan poczuł ukłucie niepokoju. Płomienie... po prostu go denerwowały. Postanowił nie podążyć za instynktem. Pogrzyżył się w skupieniu i wkrótce poczuł, że w jego płucach wzbiera potężna magia.

Wyjął spod peleryny maskę antyogniową i założył ją na twarz. Powiedzenie, że caraweński mnich był przygotowany na wszystko, opisywało najszczerzą prawdę. Jego białą pelerynę wykonano z odpornego na ogień włókna salamandrowego. I mimo że maska tłumiła zapach krwi, była niezbędną, by zdołał bezpiecznie przejść przez płomienie.

Dotarł do wyjścia, przedzierając się przez ogień, i rzucił pierwszym nożem. Przekoziółkował przez płomienie i stając ponownie na nogach, cisnął kolejnym. Ogniodziej zrobił unik i dał nura za jedną z okazałych donic stojących w pałacowym holu. Drugi nóż utkwiał w glinie, krzak azalii się zachwiał. Aeduan zerwał maskę i poczuł krzący w ciele zapach krwi. Pierwszy rzucony przez niego nóż musiał ugodzić ogniodzieja – dobrze! Omiótł wzrokiem korytarz. Niczego nie dostrzegł, ale czuł, że dziewczyna musi być tuż przy ogromnych drzwiach wyjściowych.

Ogniodziej wyłonił się z drugiej strony donicy. Z jego ust i oczu buchnęły płomienie, mimo że z kolana tryskała mu krew. Aeduan nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego – nie wiedział, że ogniodziej może władać tak wielką mocą. Teraz jednak nie czas, żeby o tym myśleć. Rzucił się w pościg za dziewczyną. Potrafił kontrolować własną krew, co oznaczało, że nawet będąc fizycznie wyczerpanym, może zwiększać prędkość.

Pędząc po marmurowej posadzce, widział coraz więcej postaci wyłaniających się zza donic i zsuwających po linach spod sufitu. Instynktownie sięgnął po kolejne noże, ale uświadomił sobie, że nic nie czuje. Żadnego zapachu. Żadnej krwi. Blaskodziej nadal tu był, więc Aeduan przyspieszył. Pędził, ledwo dotykając marmurowej posadzki. Widział zbliżający się cień i czuł gorące, rozszalałe płomienie, które muskały jego łydki. Dobiegał już do drzwi wyjściowych, więc zwolnił tempo. Dotarło do niego, że skupiając całą swoją magię na wytropieniu prawdopodobnie, niemal zupełnie zapomniał o prawdziwych ludziach. Doprowadziło go to do błędu, który dla każdego innego okazałby się śmiertelny. W chwili, gdy to zrozumiał, w jego ramieniu utkwiał nóż ze złotą rękojeścią. Z okrzykiem wojennym na ustach wyrwał swój miecz z pochwy i zaatakował stojącego naprzeciwko wroga – niską, jasnowłosą postać – Mistrza Jedwabnej Gildii, Alixa. Ten malutki, zniewieściały mężczyzna był nieuzbrojony. Najwyraźniej prosił się o śmierć. Ale Aeduan nigdy nie walczył z nieuzbrojonymi. Nie miał zbyt wiele czasu na zmianę celu, więc jego miecz śmignął obok ramienia mężczyzny, ledwie dotykając jedwabnej szaty.

Alix rozłożył ramiona, jakby chciał powiedzieć: „No dalej, na co czekasz!?”. Miał zamknięte oczy, a zmarszczki na jego czole sugerowały skupienie. Skupienie na magii...

Aeduan poczuł krwawą woń tornad i jedwabiu, czaru i utkanych iluzji. To ten mężczyzna był blaskodziejem! To człowiek, z którym sam Mistrz Yotiluzzi setki razy zasiadał do wieczerzy! Człowiek, który stał na czele Jedwabnej Gildii, dysponował magią nieposiadającą absolutnie żadnego związku z jedwabiem...

Kiedy Aeduan to zrozumiał, poczuł również, że stracił zapach Safiyi. Przekroczyła jego zasięg i teraz będzie musiał ją tropić jak pies gończy. Wypadł za bramę, gdzie w oślepiającym blasku księżycy czekało na niego

dwudziestu strażników. Nie stanowili jednak dla niego większego zagrożenia. Tak naprawdę było to śmiechu warte. Dwudziestu ludzi nie mogło go powstrzymać – co najwyżej spowolnić. W chwili, kiedy podniósł miecz i magia krwiodzieja dosięgła pierwszego żołnierza, w jego torsie utkwily cztery strzały. Wtedy dotarło do niego, że ci ludzie działają zespołowo, niczym armia. Pokonanie ich kosztowałoby go zbyt wiele energii, której potrzebował, aby gonić Safiyę.

Zdecydował więc, że zrobi coś, na co pozwalał sobie bardzo rzadko – przede wszystkim dlatego, że nienawidził zaciągać długów. Zacisnął w dłoni niebieski opal tkwiący w jego lewym uchu i wyszeptał:

– Przybądźcie.

Kątem oka dostrzegł niebieski błysk, jego ciałem wstrząsnął dreszcz magii. Kamień Więzy był teraz aktywny. Oznaczało to, że każdy caraweński mnich znajdujący się w pobliżu wkrótce przybędzie mu na pomoc.

ROZDZIAŁ 12

Safi z zawrotną prędkością gnała za wujkiem Eronem przez marmurowy pałac doży. Nie miała pojęcia, co się dzieje.

Z chwilą, kiedy zgasły światła, Habim złapał ją za rękę. Nie wiedziała, w jaki sposób go rozpoznała – najprawdopodobniej po tylu latach znała już dobrze ten szorstki dotyk, poszła więc za nim bez zastanowienia.

Nim Safi wraz z Habimem i Eronem zdołali opuścić pałac, światła ponownie rozblęły. Większość ludzi nadal wgapiała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Safi, nieliczni natomiast dostrzegli ją, jak ucieka.

Zaryzykowała i odwróciła głowę. Zobaczyła samą siebie – stojącą dokładnie w tym samym miejscu. Fałsz. Poczowała magię okręcającą się wokół jej kręgosłupa.

Habim zaciągnął ją do nieoświetlonego holu. Tam dołączył do nich Eron. Jedyne, co mogła w tej chwili zrobić, to biec z całych sił, ściskając w dłoniach fałdy srebrnej sukni. Habim został gdzieś z tyłu.

– Szybciej – syknął Eron.

Wciąż nie wyjaśnił Safi, co, u licha, to wszystko znaczyło. Wujek Eron miał wiele tajemnic i często naginał prawdę, ale nigdy jej nie okłamał – oto wybiła północ i Safi właśnie stąd wychodziła. Ich szybkie kroki odbijały się w holu echem niczym werble strażników miejskich. Nagle rozległ się huk. Buchnęły płomienie.

Safi nie spuszczała wzroku z siwiejącej głowy Erona. Skupiała się wyłącznie na tym, by jak najszybciej biec. Nie odwracała się – gdyby to zrobiła, z pewnością by się potknęła.

Dotarli już prawie do drzwi wyjściowych, kiedy zauważyła Mistrza Alixa. Był skupiony, na jego skroniach połyskiwał pot. Nie miała w tej chwili czasu, żeby się zastanawiać, co właściwie robił i w jakim celu. Przeskoczyła próg i wpadła wprost na żołnierzy. Krzyknęła ile sił w płucach, ale Eron ją zignorował. Przebiegł pomiędzy wojskowymi, a oni jeden za drugim mu zasalutowali.

Safi nigdy, przenigdy nie widziała, żeby żołnierze okazywali jej wujowi szacunek. Prawie straciła kontrolę nad stopami, płucami. Ale wtedy Eron odwrócił się i widząc surowość jego wzroku, zapowiedź nastroju, który znała i rozumiała, ponownie rzuciła się do szaleńczej ucieczki. Nie zwalniała ani na chwilę. Pędziła po kamiennych ścieżkach pod zwisającymi gałązkami jaśminu. Wreszcie zyskała tę dziwną rezerwę, która z taką łatwością przychodziła Iseult – coś, czego Habim usiłował nauczyć ją od wielu lat.

Tak jak nauczył ją skutecznej samoobrony.

I walki do ostatniej kropli krwi.

I biegu tak szybkiego, jakby sama Otchłań deptała jej po piętach.

Eron poprowadził ją w dół wąskiej ścieżki i skierował do bramy dla służby. Wówczas do niej dotarło: wuj nigdy nie zamierzał zrobić z niej domny. Każdy element szkolenia, każda lekcja Habima i Mathew wbijana jej do głowy prowadziły ją do tego właśnie momentu. Do chwili, w której zostanie ogłoszona przyszłą imperatorką Cartorry i ucieknie od swego przeznaczenia, jak najszybciej się da.

Eron szeroko otworzył bramę. Wtedy dostrzegła Mathew. Wuj najwyraźniej nie zamierzał zwalniać – wręcz przeciwnie: przyśpieszył tempo, podobnie jak Mathew. Safi pognała więc za nimi. Słyszała ich zachrypłe oddechy. Były głośniejsze niż nocny wiatr czy odgłosy wrzawy, która wybuchła za murami pałacu.

Dotarli do skrzyżowania i Eron zatrzymał się pod zadaszeniem. Safi dobiegła do niego, usiłując cokolwiek dostrzec w nagłej bezksiężycowej ciemności. Kiedy jej wzrok oswoił się z brakiem światła, ujrzała stojący przed nią wóz wyładowany słonecznikami. Na koźle siedział spokojnie jakiś wieśniak.

Eron złapał kępkę kwiatów i odsunął je na bok. Były przyłączone do koca z włókna salamandrowego.

– Wchodź tam – rozkazał Eron surowo. – Uporamy się z krwiodziejem, ale ty musisz się ukryć.

Safi nie wykonała polecenia. Złapała wujka za ramię.

– Co tu się dzieje? – zapytała, dysząc z wyczerpania. – Dokąd niby mam jechać?

– Musisz uciekać – odparł. – Nie tylko z miasta, ale w ogóle z Dalmocji. Jeśli nas złapią, powieszą jako zdrajców. – Eron wyjął

piersiówkę z jednej z kieszonek kamizelki. Haust, świst i splunął na bruk. Powtórzył to trzy razy, na co Safi patrzyła z opadniętą szczęką.

Eron podrapał się po czuprynie i rzucił jej surowe spojrzenie.

– Nie zawieź nas – powiedział cicho, po czym odszedł, powłócząc nogami.

Safi miała wrażenie, jakby właśnie była świadkiem zmiany lata na zimę. Eron fon Hasstrel na jej oczach przeszedł proces transformacji. Zimny żołnierz, którego widziała jeszcze przed chwilą, stał się ponownie szeroko uśmiechniętym, niechlujnym pijakiem, na co jej magia nie wykazała absolutnie żadnej reakcji. Tak jakby obydwie odsłony wujka stanowiły najszczerzą prawdę.

Albo fałsz – nie mogła przecież poczuć zupełnie nic.

Ogarnęło ją przerażenie. Jej wujek nigdy nie był pijakiem! To niepojęte i zbyt dziwne, aby zdołała to objąć umysłem, ale jednocześnie nie potrafiłaby zaprzeczyć temu, co właśnie zobaczyła. Wuj Eron przekonał Safi, jej magię i całą Cartorrę, że jest jedynie skończonym, starym głupcem. A uczyniwszy to, pomógł jej uciec z pałacu doży.

Zanim Safi zdążyła go zawołać i błagać o wyjaśnienia, jego postać zamigotała po raz ostatni i zniknęła. Dziewczyna dostrzegała jedynie bruk skąpany w świetle księżyca.

Zerknęła na Mathew.

– Dokąd on poszedł? To wszystko sprawka blaskodzieja?

Mathew skinął.

– Mówiłem ci, że plan twojego wujka jest wielki. Obawiamy się... nie, my wiemy, że Rozejm zostanie na dniach zawieszony i nie ma szans na jego podtrzymanie.

Zdezorientowana Safi potrząsnęła głową. Mathew westchnął.

– Zdaję sobie sprawę, że w tej chwili nie jesteś w stanie tego zrozumieć, ale zaufaj mi: chcemy pokoju, Safi. Unia z imperatorem Henrickiem zrujnowałaby wszystko.

– Ale dlaczego – wyjąkała Safi – Henrick miałby chcieć się ze mną ożenić? Ziemie Hasstrelów są bezwartościowe. Ja jestem bezwartościowa!

Mathew zawahał się, mrugnął, po czym w końcu odpowiedział:

– Sądzimy, że imperator mógł się dowiedzieć o twojej magii.

Safi poczuła ucisk w gardle. Chciała zapytać, w jaki sposób, nie zdołała jednak wydusić z siebie ani słowa. Przez osiemnaście lat udawało jej się

ukrywać dar i żaden z piekielnych bardów jej nie wywęszył.

– Małżeństwo z Henrickiem – mówił dalej Mathew – byłoby równoznaczne z twoim zniewoleniem, Safi. Nie miałabyś jak od tego uciec. Ale jako że ani ty, ani Eron nie możecie otwarcie sprzeciwić się imperatorowi, musieliśmy upozorować to porwanie. To dlatego Eron cię nie ostrzegł. Gdybyś wiedziała, co ma się stać, nie okazałabyś prawdziwego zaskoczenia. Henrick i jego piekielni bardowie natychmiast by się domyślili.

Safi spróbowała przełknąć ślinę, lecz w gardle wciąż miała supeł. Teraz nie tylko krwiodziej, ale również imperator Cartorry wiedział, kim jest. Kto jeszcze mógł się dowiedzieć? Przed kim jeszcze będzie musiała uciekać?

– Nie martw się – powiedział Mathew, widząc jej zaniepokojenie. – Wszystko jest przygotowane, Safi, zapewnimy ci bezpieczeństwo. – Przyciągnął ją lekko, chcąc nakryć czarnym kocem, ale się zaparła.

– A co z Iseult? Nie pojedę bez niej.

– Znajdę ją z Habimem.

– Nie! – Wyrwała się z uścisku Mathew. Nad dachami unosiły się smugi dymu, a odgłosy walki stawały się coraz głośniejsze, jednak zupełnie jej to nie obchodziło. – Nie pojedę bez Iseult. Powiedz mi, gdzie mam się udać, i sama tam dotrę.

– Nawet po tym wszystkim wciąż nam nie ufasz? – Twarz Mathew skrywała ciemność, ale w jego głosie słychać było urazę. – Zaryzykowaliśmy wszystko, żeby cię stamtąd wydostać.

– Nie ufam wujowi Eronowi – powiedziała Safi. – Nie po tym, co zobaczyłam dzisiaj wieczoru.

– Powinnaś mu zaufać. Zbudował życie na kłamstwach, ale nigdy nie wciągnął cię w żadną ze swoich intryg. Czy ty wiesz, ile go to kosztowało? Ile to kosztowało nas wszystkich? – Wskazał na powóz. – Uwierz mi, kiedy mówię, że dom Eron chce jedynie zapewnić ci bezpieczeństwo. Wszyscy tego chcemy. A teraz chodź, nie mamy czasu. – Złapał Safi za łokieć i popatrzył jej w oczy. – Pojedziesz tym powozem na północ. Tam będzie czekać na ciebie łódź, która zabierze się do miasta Lejna na Stu Wyspach. Na miejscu poczekaś w kawiarni, jednej z moich kawiarni. Za cztery dni ktoś po ciebie przybędzie i zabierze cię w dalszą podróż. W podróż ku wolności, Safi. Nie będziesz musiała wychodzić za imperatora Henricka.

I obiecuję, na życie swoje i Habima, obiecuję, że sprowadzę do ciebie Iseult.

Słowa krążyły wokół Safi. Zabrzęczały tuż przy jej ramieniu, gdzie Mathew trzymał swoją rękę. Właśnie rzucał na nią czar! Wiedziała, że to robi, prawdopodobstwo dawało jej znać, że to podstęp, jednak magia Mathew okazała się potężniejsza. Safi nie była w stanie dłużej walczyć, musiała mu się poddać.

Stopy zaprowadziły ją do powozu, ciało przyrzuciło się kocem, a usta powiedziały:

– Do zobaczenia po drugiej stronie morza, Mathew.

Na jego twarzy pojawiło się napięcie, mieszanina bólu i żalu. Safi uległa jego magii, kiedy jednak pochylił się, żeby pocałować ją w czoło, nie miała wątpliwości, że kierowały nim wyłącznie miłość i troska. Przykrył jej głowę kocem i nastąpiła zupełna ciemność. Powóz ruszył.

* * *

Wydawało jej się, że podróż trwa całą wieczność, że siedzi pod tym kocem już dobrych kilka lat. Słoneczniki drapały ją w głowę i plecy. Słyszała jedynie odgłos kopyt osła i czuła własny gorący oddech. Nie widziała absolutnie niczego.

Magia słowa Mathew miała ogromną moc. Instrukcje opiekuna wciąż dźwięczały jej w pamięci i wiedziała, że musi pozostać im posłuszna – musi tu leżeć, cicho i nieruchomo, i pozwolić temu obcemu wieśniakowi wieść się na północ.

Nigdy, przenigdy wcześniej Mathew nie zrobił jej czegoś podobnego. Próbował zaczarować ją jednym lub dwoma zdaniami, ale jej prawdopodobstwo zawsze im się opierało. Tym razem jednak zaklęcie okazało się na tyle silne, że kiedy znów rozległ się dźwięk dzwonu, Safi nadal znajdowała się pod wpływem czaru.

Była wściekła. Eron ją wykorzystał. Zachował swój sekret dla siebie po to, żeby na przyjęciu miała minę szczerze zaskoczonej i odegrała rolę kozła ofiarnego. Safi to nie jakaś kukielka, którą można machać na scenie, ani karta taro, którą wujek mógłby się bawić w zależności od swojego kaprysu.

Poza tym skąd w ogóle mogła wiedzieć, że Eron naprawdę wywoził ją ku wolności? Jej magia zawiodła ją, kiedy wygłaszał wszystkie te kłamstwa i obietnice. Jeżeli potrafił z taką łatwością nagiąć prawdę dotyczącą dzisiejszego wieczoru, może przecież zrobić to ponownie.

Poczuła w ustach nieprzyjemny posmak.

Jedyną osobą, której mogła zaufać, była Iseult. W Veñazie dziewczyny wiodły proste i spokojne życie. Safi nie potrafiła z niego tak po prostu zrezygnować.

Tylko jak długo Iseult będzie czekać w latarni? Poza tym jeżeli faktycznie się tam udała, Mathew i Habim nie będą wiedzieli, gdzie jej szukać. Jak więc zdołają sprowadzić ją do Safi?

Nie byli w stanie tego zrobić, co oznaczało, że powinna przejąć kontrolę nad sytuacją.

Czas mijał, jej determinacja rosła, a magia Mathew traciła moc. Safi podsunęła się na skraj powozu i uniosła koc... Zobaczyła światło księżyca i poczuła świeże powietrze. Zachłysnęła się nim, mrugając i mrużąc oczy, po czym z ulgą skonstatowała, że znowu może się ruszać. Przejeżdżali właśnie obok szeregu gospód z dachami krytymi strzechą, dostrzegła też stajenne podwórza. A więc dotarli na obrzeża Veñazy. Gdyby pojechała dalej, nie miałyby szansy znaleźć wierzchowca. Poza tym potrzebowała broni. Dziewczyna podróżująca bez towarzysza, na dodatek ubrana w strojną jedwabną suknię, sama prosiła się o kłopoty.

Kiedy obserwowała mijane podwórza, zauważyła stajennego, który prowadził szarego, nakrapianego wałacha. Koń trzymał głowę wysoko, musiał być zatem czujny i gotów do jazdy.

Co więcej, przy wejściu na podwórze stały widły. Nie był to co prawda miecz i z pewnością ważyły znacznie więcej niż to, czym Safi walczyła do tej pory, ale nie miała wątpliwości, że i za pomocą wideł zdoła rozprawić się z każdym, kto stanie jej na drodze.

Uniosła koc o kolejnych kilka cali i zerknęła na wieśniaka prowadzącego powóz. Nie odwracał głowy, odepchnęła się więc energicznie i wyskoczyła na drogę. Zamarła na zaschniętym błocie, łapiąc równowagę. Nie słyszała szumu oceanu, chociaż wiejący wiatr i mdły smród ryb wyraźnie sugerowały, że wybrzeże jest nieopodal.

Choć nie rozpoznawała tej okolicy, domyśliła się, że latarnia musi być niedaleko, najwyżej kilka mil na północ. Najszybciej jak tylko zdołała, pobiegła w kierunku gospody. Zerknęła na powóz – jechał dalej. Jej upatrzony wierzchowiec stał już przy drzwiach stajni. Zwolniła i złapała za widły. Ważyły zdecydowanie więcej niż miecz, ale nie były zardzewiałe i miały ostre końce. Podniosła je wysoko, zadowolona, że zdobycie broni

przyszło jej tak łatwo, gdy dostrzegła wpatrującego się w nią stajennego – mizernego chłopaka. Ruszyła w jego kierunku, ale ten czmychnął za drzwi stajni.

– Dziękuję, że nie robisz problemów – powiedziała do konia, podnosząc lejce. Zwierzę popatrzyło na nią ze zdziwieniem, ale nie miało zamiaru uciekać.

Zanim wsunęła stopę w strzemię, zauważyła skórzaną pochwę przy pasku stajennego. Stała z powrotem na ziemi i podniosła widły.

– Daj mi swój nóż.

– A-ale to prezent... – zaczął chłopak.

– Czy wyglądam na taką, którą by to obchodziło? Jeżeli dasz mi ten nóż, to ja zostawię ci wystarczająco dużo jedwabiu, żebyś mógł kupić dwadzieścia pięć takich samych noży.

Zawahał się, ale najwyraźniej nie chciał dalej dyskutować. Wyjął nóż z pochwy. Dziewczyna wzięła go, wbiła widły w błoto i zabrała się do cięcia sukni. Otrze było jednak tępe, a materiał wytrzymały, więc szło jej dość opornie.

Wtem w gospodzie rozległ się krzyk. Zapewne właściciel wałacha nie zamierzał się go pozbywać.

Safi rzuciła stajennemu w twarz kilka warstw jedwabiu, po czym ze znacznie mniejszą gracją niż zazwyczaj wskoczyła na konia i wdrapała się na siodło, ściskając w dłoni nowy nóż. Wsunęła widły w łęk i pognęła przed siebie.

Mężczyzna wypadł przed gospodę. Safi pomachała mu i krzyknęła, uśmiechając się szeroko:

– Dziękuję!

Skierowała konia na południe – w stronę przeciwną niż ta, w którą podążał wóz. Ale nie ujechała daleko. Koń zdołał dotrzeć zaledwie do następnej gospody, kiedy zorientowała się, że coś jest nie tak.

Oto w jej kierunku gnało pięciu mężczyzn. Biegli w idealnym szeregu, każdy odziany w białą pelerynę, z bronią pobrzękującą u boku. Mnisi Carawenu! Ten, który podążał w środku, był pomazany krwią. W jego klatce piersiowej, ramionach i nogach tkwiły strzały.

Krwiodziej!

Safi miała wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła. Eron próbował powstrzymać mnicha, lecz nie zdołał tego zrobić. Szarpnęła za lejce

i zawróciła konia na północ. Dzięki bogom, że wałach został dobrze wyszkolony. Jego kopyta zadudniły na trakcie.

Safi nie odwracała się – dobrze wiedziała, że mnisi udadzą się za nią. Gdy minęła ostatnią gospodę, rozpostarł się przed nią bagienny brzeg.

W ułamku sekundy powóz, z którego dopiero co uciekła, pojawił się w zasięgu jej wzroku. Jakimś cudem zdołała zauważyć czaroznamię woźnicy – mężczyzna ten nie był żadnym wieśniakiem, tylko głosodziejem!

Starczyło jej czasu jedynie na to, by do niego krzyknąć:

– Krwiodziej mnie ściga! Powiedz to mojemu wujowi! – Po czym minęła go i pomknęła w dół pustą drogą, oświetloną jedynie blaskiem księżyca.

ROZDZIAŁ 13

I seult i Alma dogoniły Gretchcę po kilku chwilach. Jeszcze przez moment słyszały krzyki i widziały wijące się szare nici Więzi przemocy, ale o tarczę Almy uderzyły głucho już tylko dwie strzały. Klacz zdawała się doskonale znać drogę.

Po upływie mniej więcej godziny skierowały się ku rozłożystej wierzbie rosnącej nad strumieniem. Gretchya zeskoczyła z konia, trzymając w ręku kociołek. Trzykrotnie okrążyła drzewo, po czym dała znak dziewczynom, że wszystko w porządku.

Iseult zsunęła się z konia i prawie przewróciła się na matkę. Nogi miała jak z gumy, a jej ramię...

– Straciłaś zbyt wiele krwi – powiedziała Gretchya. – Chodź. – Wzięła córkę za rękę i zaprowadziła ją pod drzewo.

Gniada klacz poszła za nią bez oporu, jakby znała to miejsce. Koń, którego ukradła Iseult, nie był tak uległy.

– Zaplanowałyście to – powiedziała chrypliwym głosem dziewczyna.

– Owszem, choć nie na dzisiaj. – Gretchya wzięła do ręki długi patyk oparty o drzewo i uderzyła nim w dwa pakunki zawieszony wysoko na gałęziach.

Bach, bach! Nabrzmiące torby uderzyły o ziemię, a kurz wzbił się w powietrze. Z jednej z toreb wypadło zielone jabłko.

Iseult oparła się o szeroki pień. Scruffs usiadł obok niej, podrapała go więc za uszami. Alma wciąż usiłowała nakłonić konia do wejścia pod drzewo. Na plecach nadal miała najeżoną strzałami tarczę.

W ciemności Iseult nie widziała krwi, lecz czuła ból. Przynajmniej rana na dłoni przestała mi dokuczać, pomyślała.

Po przeszukaniu toreb Gretchya podeszła do córki z zakurczonym jabłkiem i skórzaną apteczką w rękę. Otarła owoc o górną część sukienki.

– Zjedz to.

Iseult wzięła jabłko, ale nie zdążyła go ugryźć, matka podała jej bowiem jeszcze naszyjnik – mały różowy kwarc na zaplecionym sznurku.

– Założ – rozkazała Gretchya, kucając przy córce.

Iseult nie drgnęła. Kamienie bólu należały do rzadkości i kosztowały mnóstwo pieniędzy. Zniecierpliwiona Gretchya rzuciła naszyjnikiem, który wylądował na kolanach córki. Ból natychmiast ustąpił, jej oddech zrobił się głębszy. Ponownie była w stanie myśleć. Popatrzyła na Almę, która stała na czatach. Konie spokojnie przeżuwały trawę.

– Corlant chciał mnie zabić – zaczęła Iseult, kiedy Gretchya przysunęła się do niej ze skalpelem i lnianą szmatką w dłoniach. – Dlaczego?

– Nie wiem. – Gretchya zawahała się. – Ja... mogę się jedynie domyślać, iż uznał twój przyjazd za znak, że wraz z Almą zamierzamy odejść. Wydaje mi się, że rozgryzł nasze plany i miał nadzieję zatrzymać nas w osadzie, wieszając... – przerwała. Zwilżyła wargi, lecz nie dokończyła zdania.

Zanim Iseult otworzyła usta, żeby powiedzieć, że zamiary Corlanta wyglądały na nieco przesadzone, jeżeli jedyne, czego chciał, to zatrzymać Gretchcę i Almę w osadzie, matka przecięła już trzonek strzały wystający z ramienia dziewczyny. Energicznie szarpnęła za grot. Trysnęła krew. Wypływała z rany w rytm bicia serca Iseult, chociaż ona sama tego nie czuła. Jadła spokojnie swoje jabłko, od czasu do czasu głaszcząc Scruffsa po głowie i obserwując ruchy matki.

Gretchya wyjęła z torby maść, która miała zapobiec infekcji, i krem przyspieszający gojenie. Oba medykamenty były niezwykle cenne, Iseult chciała więc zaprotestować, nim jednak zdążyła to zrobić, jej matka zaczęła opowieść. Więziodziejka z miejsca zasłuchała się w ten znajomy monotony głos.

– Zaczęliśmy się przygotowywać do ucieczki wkrótce po tym, jak odeszłaś, czyli sześć i pół roku temu. Stopniowo gromadziłyśmy pieniądze i kamienie szlachetne. Zaszywałyśmy je w naszych sukniach. To była żmudna praca, ponieważ Corlant co rusz przychodził bez zapowiedzi. Na szczęście często również wyjeżdżał, znikając z osady na kilka dni. Wówczas Alma wsiadała na klacz i przywoziła tu zapasy, ostatnią partię zaledwie wczoraj. Miałyśmy zamiar uciec za cztery dni. Jestem wdzięczna Księżycowej Matce za to, że nie wyjechałyśmy przed twoim przybyciem.

Spośród wszystkich tych słów Iseult najlepiej zrozumiała te niewypowiedziane.

– Zaplanowałyście to wszystko... jeszcze zanim opuściłam osadę? Dlaczego w takim razie mnie odesłaliście? Dlaczego nie odeszłyście ze mną? Albo przynajmniej nie powiedzieliście mi o tym, k-kiedy byłam u was o-ostatnim razem?

– Licz się ze słowami, Iseult. – Gretchya skarciła córkę wzrokiem. – Możesz nie zdawać sobie z tego sprawy, ale wiele lat zajęło mi zaplanowanie twojej ucieczki. Musiałam znaleźć ci mieszkanie i pracę w Veñazie i dokonać tego wszystkiego w taki sposób, żeby Corlant niczego się nie domyślił. Kiedy postanowiłam wraz z Almą, że również wyjedziemy, przygotowania zajęły nam kilka lat. Przyjechałybyśmy po ciebie, Iseult. Przyjechałybyśmy do Veñazy. Dlaczego stamtąd uciekłaś?

– Ja... wpadłam w kłopoty. – Iseult czuła, że zaraz zacznie się jąkać, więc pospiesznie ugryzła jabłko. – Osada wydawała mi się jedynym miejscem, w którym mogłam się ukryć...

– Powinnaś była zostać w mieście, tak jak ci kazałam. Zabroniłam ci tutaj kiedykolwiek wracać.

– To było trzy lata temu – broniła się Iseult. – W-w-wybacz, jeżeli pokrzyżowałam ci plany.

Matka zaczęła bandażować jej ramię mocniej, gwałtowniej. Ale Iseult nie czuła najmniejszego bólu... i na szczęście nie usłyszała tym razem żadnych komentarzy na temat jąkania.

– Udamy się teraz do Saldoniki – powiedziała w końcu Gretchya. – Możesz z nami jechać.

Iseult uniosła brwi. To dzikie i kipiące przestępczością miasto-państwo znajdowało się po drugiej stronie Morza Jadańskiego.

– Dlaczego właśnie tam?

Alma odchrząknęła.

– Mam ciotki i kuzynów, którzy mieszkają w Górach Sirmayańskich. Ich plemię każdego roku podróżuje do Saldoniki.

– Poza tym sprzedamy kamienie Więzi – dodała Gretchya. – Najwyraźniej w Saldonice jest na nie rosnący popyt.

– Piraci również potrzebują miłości. – Alma uśmiechnęła się i zerknęła na Gretchcę, jakby był to ich wspólny żart.

Palący ból w gardle Iseult narastał. Z trudem mogła przełknąć kęs jabłka.

Gretchya zamknęła apteczkę.

– Zaoszczędziłyśmy wystarczająco dużo pieniędzy na trzeci bilet do Saldoniki, Iseult. Chcemy, żebyś pojechała z nami.

Iseult trudno było w to uwierzyć. Gdyby tylko mogła zobaczyć nici Więzi matki i Almy! Z drugiej strony nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ krzyżowało jej plany. Zamierzała zbudować razem z Safi własne życie.

– Nie mogę z wami jechać – powiedziała Iseult.

– Jeżeli nie pojedziesz z nami, to dokąd się udasz? – W słowach Gretchyi pobrzmiwała... ulga. No tak, zawsze przecież pragnęła córki takiej jak Alma: prawdziwej więziodziejki.

– Safi czeka na mnie niedaleko.

– To nieprawda – powiedziała bez zastanowienia Alma i z wyciągniętą ręką podbiegła do Iseult. Na jej dłoni błyszczał rubin. Drugi kamień Więzi.

Iseult zakrztusiła się i upuściła jabłko. Wyjęła swój kamień, który również świecił czerwonym światłem. Safi miała kłopoty. Iseult zerwała się na równe nogi i kamień bólu potoczył się na ziemię. Ogarnęło ją przeraźliwe fizyczne cierpienie. Zatoczyła się do przodu, wprost na Gretchcę, zanim jednak padła zemdlna, Alma podniosła naszyjnik z ziemi i zarzuciła go Iseult na szyję. Nastąpiła natychmiastowa ulga. Niewyobrazalna, wręcz przerażająca ulga. Kiedy odsunęła się od matki, ta zwróciła się do Almy:

– Widzisz, gdzie jest Safi?

Alma skinęła, zacisnęła kurczowo palce na kamieniu, po czym wskazała północny wschód.

– Jest tam. Szybko przemieszcza się na północ. Musi być w ogromnym niebezpieczeństwie.

– Pojedziemy tam – zadeklarowała Gretchya, ruszając w kierunku konia. – Mamy dwa kordelasy i łuk...

– Nie. – Iseult stanęła wyprostowana. Wiatr potargał krótkie włosy dziewczyny. Wraz z tym podmuchem odzyskała w końcu kontrolę nad własnym językiem. Nad własnym sercem. – Proszę, zróbcie to, co zaplanowałyście. Płynicie do Saldoniki. – Wzięła kamień bólu z zamiarem oddania go matce.

– Zatrzymaj go. – Gretchya położyła rękę na nadgarstku córki. – W przeciwnym wypadku nie dotrzesz do Safiyi.

– I weź Alichy – powiedziała Alma, wskazując na szarą klacz. – Ona zna te tereny.

– Twój koń będzie bezpieczny – rzekła ostro Gretchya, a Iseult się wzdrygnęła. Głos matki zaczynał się łamać. – Alichy jest wypoczęta i zna drogę. Więc weź ją, kamień bólu i trochę pieniędzy. I jeszcze kordelas. – Delikatnie popchnęła córkę w kierunku klaczy. – A może wolałabyś łuk? Możesz też wziąć tarczę.

– Dam sobie radę.

– Jak mam być tego pewna? – Gretchya spojrzała surowo na Iseult. – Nigdy nie wiem, czy cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Myślisz, że było mi łatwo pozwolić ci odejść? Myślisz, że teraz jest mi łatwo? Zbyt mocno cię kocham, żeby trzymać cię w tych murach. – Podeszła bliżej. Mówiła coraz szybciej: – Weź Alichy i jedź na pomoc Safiyi, tak jak zawsze. Znowu mnie opuścisz, ponieważ świat daje ci możliwości, których ja nie jestem w stanie ci zapewnić. Jak za każdym razem, będę się modliła do Księżycowej Matki o twoje bezpieczeństwo.

Wcisnęła lejce w dłoń córki, ale ta miała wrażenie, że straciła w niej czucie. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

– Proszę. – Alma podeszła do niej i podała jej kordelas. Tkwił w zwykłej pochwie na znoszonym pasku.

Iseult nie wiedziała co powiedzieć. W głowie wciąż dźwięczały jej słowa matki. Alma zapięła jej pas na biodrach i zawiesiła na szyi drugi kamień Więzy. Oba pulsowały matowym różem. Złapała Iseult za lewe ramię.

– Moje rodzinne plemię to Korellowie – powiedziała. – Jego członkowie przyjeżdżają do Saldoniki późną jesienią. Zapytaj o nich, jeśli kiedykolwiek się tam zjawisz. Mam nadzieję, że tak się stanie.

Iseult nie odpowiedziała. Dosiadła klaczy.

– Znajdź mnie znowu – poprosiła Gretchya. – Proszę cię, Iseult. Jest tyle rzeczy, o których ci nie powiedziałam... Znajdź mnie jeszcze kiedyś.

– Dobrze – mruknęła. Po czym, nie oglądając się na matkę i Almę, zmusiła Alichy do galopu i popędziła w kierunku Safi.

* * *

Z łatwością znalazła drogę. Tak jak zapewniła Alma, Alichy znała trasę. Scruffs gonił ją przez kilka minut, ale wkrótce zrezygnował. Serce Iseult ogarnął żal, kiedy zobaczyła, że został w tyle.

Po kwadransie srebrzyste łąki ustąpiły miejsca bagnetom i mieliznom, wiatr niósł zapach siarki i soli. Dziewczyna dotarła do szerokiego traktu. Zatrzymała się. Była na północ od zachwaszczonego rozstaju dróg, na którym spotkała srebrnowłosą mniszkę, kobietę różniącą się od krwiodzieja tak bardzo, jak eter różni się od Otchłani.

Alichy wyczuła, że mają towarzystwo. Iseult popatrzyła na drogę – ktoś mknął w jej stronę w pełnym galopie. Rozpoznała jasne włosy Safi. A chwilę później dostrzegła również charakterystyczne białe peleryny czterech najemników Carawenu pędzących mniej niż ćwierć mili dalej.

W co, na ognie piekielne, tym razem wplątała się ta dziewczyna? I jakim sposobem Iseult miała ją z tego wyplątać?

Zamknęła oczy i zrobiła trzy głębokie oddechy, aby odnaleźć ten spokój, na który nigdy nie mogła sobie pozwolić w obecności matki i Almy. Alichy przestępowała niespokojnie z nogi na nogę, wyraźnie gotowa do ucieczki. Iseult również chętnie dałaby nogę. Wiedziała, że nie zdoła powstrzymać mnichów Carawenu bez jakiegoś pomysłu na obronę – takiego jak dotarcie do latarni.

Zmusiła klacz do galopu. Potrzebowała odpowiedniej prędkości, aby zrównać się z Safi...

– Z drogi! – wrzasnęła prawdopodobiejka. – Rusz się, ty idioto!

Iseult odwróciła się i krzyknęła:

– To ja! – Przyśpieszyła i wreszcie się zrównały. Pędziły teraz jedna obok drugiej.

– Wybacz, że musiałaś czekać! – wrzasnęła Safi. Miała gołe nogi, postrzępioną jedwabną suknię i widły u boku. – I przepraszam za tych z tyłu!

– W takim razie dobrze się składa, że mam plan – odkrzyknęła Iseult. Nie słyszała goniących je mnichów, ale czuła ich nici Więzi: spokojne, gotowe. – Latarnia jest na tyle blisko, że możemy stawić im opór.

– Jest pora odpływu?

– Powinna być!

Nici Safi błysnęły niebieską ulgą. Rzuciła przelotne spojrzenie na Iseult, po czym skierowała wzrok z powrotem na drogę.

– Gdzie twoje włosy? – krzyknęła. – I co ci się stało w ramię?

– Włosy obciąłam, a w ramię oberwałam strzałą!

– Na bogów, Iseult! Kilka godzin beze mnie i twoje życie zamienia się w ruinę.

– To samo mogę powiedzieć o tobie! – odcięła się Iseult. – Nie dość, że po piętach depcze ci czterech wściekłych mnichów, to jeszcze masz na sobie jakieś nie wiadomo co!

Odcień nici Safi przeszedł w kapryśny róż, a zaraz potem oznaczający panikę pomarańcz.

– Chwila, tam jest tylko czterech Carawenów?

– Tak!

– Powinien być jeszcze piąty. To on, krwiodziej!

Iseult zaklęła. Nagle zrobiło jej się zimno. Skoro żołnierz taki jak Habim nie zdołał zatrzymać krwiodzieja, to im nie uda się to tym bardziej. Na szczęście widziały już zarys latarni, jej solidne mury były oddzielone od drogi długim pasem plaży. Konie wpadły do wody, a od starej wieży dzieliło je już tylko trzydzieści kroków... dwadzieścia... dziesięć...

– Zsiadaj! – krzyknęła Iseult, pociągając lejce z nadmierną siłą.

Zeskoczyła z konia i trzęsącymi się dłońmi odpięła kordelas. Safi wkrótce znalazła się obok niej, mocno ściskając widły. Obie, stojąc tyłem do wieży, przyjęły pozycje obronne i czekały na przybycie mnichów.

ROZDZIAŁ 14

Jana sunęła po przybrzeżnych wodach. Drewniana konstrukcja skrzypiała, cicho kołysząc się na falach. Merik mocno trzymał koło sterowe. Tuż obok niego na tylnym pokładzie byli Kullen i trzech oficerów – pływodziejów. Wszyscy czterej nucili monotonnym głosem, napędzając wiatr. Ich szeroko otwarte oczy osłaniały wiatrokulary – soczewki chroniły ich przed zaczarowanym powietrzem. W każdej podobnej sytuacji Rybera uderzałaby w bęben niezaczarowanym pobijakiem, aby poddać marynarzom rytm, a cała załoga śpiewałaby jednym głosem. Ale dzisiejszego wieczoru na Janie panowała cisza i spokój, więc śpiewali tylko ci czterej mężczyźni, a wiatr i fale, które przywoływali, rytmicznie kołysały okrętem. Reszta załogi siedziała na głównym pokładzie. Nie mieli nic do roboty, jako że magia przejęła ich całą pracę.

Merik co chwilę zerkał na Kullena, chociaż wiedział, że jego więziobrat tego nienawidzi. Książę nienawidził z kolei, kiedy oficer przesadzał z przywoływaniem magii. Bał się o niego, kompan miewał problemy z oddychaniem. W tej właśnie chwili, kiedy Jana zaledwie muskała powierzchnię morza, Merik nie miał wątpliwości co do tego, że Kullen gromadził ogromne pokłady magii.

Książę i jego ludzie opuścili pałac doży wcześniej, niż planowali. Po tym katastrofalnym nubreveńskim tangu na cztery Merik chciał natychmiast stamtąd zniknąć. Magia wymknęła mu się spod kontroli – rzecz jasna z powodu tej Cartorrianki z oczami w kolorze burzy. Oczywiście nikomu się do tego nie przyznał. Oświadczył, że ich wcześniejsze wyjście spowodowane jest nowym zleceniem, które przyjął od doma Erona fon Hasstrela.

Mężczyzna ten zjawił się w idealnym momencie, a rozmowa, którą odbyli, przekroczyła najśmielsze oczekiwania Merika. Dom Eron był żołnierzem i tak jego postura, jak i szorstki głos sprawiły, że książę

z miejsca go polubił. Dom Eron nie reprezentował typu człowieka interesu, a Nubreven nie zamierzał zdradzać się z tym, że jego propozycja niezmiernie przypadła mu do gustu. Jedyne, co musiał zrobić, to przewieźć pasażera, siostrzenicę albo córkę doma Erona, do opuszczonego miasta portowego leżącego na najbardziej wysuniętej na zachód części Stu Wysp. Jeżeli kobieta dotrze do Lejny cała i zdrowa (dom Eron kilkakrotnie podkreślał, że ma być „cała i zdrowa”), to zaklęty dokument, który leżał teraz na stole Merika, zostanie uznany za wiążący. Rozpoczną się wtedy negocjacje dotyczące handlu z farmerami z ziem Hasstrelów.

To prawdziwy cud. Handel ogromnie pomógłby mieszkańcom Nubrevny, począwszy od tego, że przestaliby umierać z głodu, a skończywszy na wyniku negocjacji na obradach Szczytu Rozejmowego. Merikowi nie przeszkadzało nawet to, że po tym, jak zostawi dziewczynę w Lejnie, będzie musiał wrócić z powrotem do Veñazy. Miał przecież do dyspozycji pływodziejów i wiatrodziejów, więc przemierzenie Morza Jadańskiego nie powinno być większym problemem. Złożył zatem swój podpis na umowie tuż obok autografu doma Erona, po czym fon Hasstrel zniknął, a Merik wezwał do swojej kajuty Hermina.

– Zawiadom Vivie, że sprawa z piractwem jest już nieaktualna. Powiedz jej również, na wypadek gdyby nie chciała się wycofać, że dalmocki statek handlowy wypływa właśnie z Veñazy.

Tak jak Merik zakładał, Vivia nie zamierzała zmieniać planów, ale dla niego nie było to już problemem. Mógł spokojnie dalej kłamać. Niebawem zacznie handlować – tylko to miało teraz dla niego znaczenie.

– Admirale! – Rozmyślenia Merika zakłócił piskliwy głos Rybery.

Kullen i pozostali czarodzieje wzdrygnęli się, a Merik zaklął i nakazał załodze siedzieć cicho. Jej członkowie dobrze wiedzieli, że za nieposłuszeństwo spotka ich kara.

– Nie przestawaj – mruknął książę do Kullena i poprawiwszy koszulę, opuścił tylną część pokładu.

Marynarze, których mijał, gapili się na niego szeroko otwartymi oczyma. Kilkoro mężczyzn pożerało wzrokiem bocianie gniazdo, skąd gorączkowo machała Rybera, jakby Merik jej nie widział. Z pewnością jutro zakuje ją za to w łańcuchy. Nie obchodziło go, że była sercowięzią Kullena, dopóki była godnym zaufania marynarzem. To zachowanie jednakże stanowiło wyraz bezpośredniego nieposłuszeństwa, więc

zafundowała sobie nim sześć godzin w okowach w pełnym słońcu, bez wody i jedzenia.

– Admirale! – Na pokładzie rozbrzmiał kolejny głos, tym razem ochryple wrzeszczał Hermin. – Admirale! – ryknął ponownie.

Teraz sam Merik o mały włos nie stracił kontroli nad swoim głosem. Dwaj jego najlepsi marynarze łamią zasady? Dziesięć godzin w okowach – dla każdego z osobna.

Rybera zeskoczyła na pokład. Była boso.

– Tam jest bójka, sir! Przy starej latarni!

Merik miał gdzieś stare latarnie. Cokolwiek zobaczyła tam Rybera, jego nie dotyczyło to w najmniejszym stopniu.

– Sir! – zawołał Hermin, kuśtykając w kierunku Merika. Kulawa noga z trudem nadążała za zdrową, ale szedł najszybciej, jak tylko mógł. – Sir, dostaliśmy wiadomość od głosodzieja Erona fon Hasstreła. – Wziął haust powietrza. – Nasz pasażer zmienił kierunek. Ostatni raz dziewczynę widziano, gdy pędziła konno na północ, ku starej latarni. Ludzie wuja nie dadzą rady do niej dotrzeć zbyt prędko, więc teraz wszystko w naszych rękach.

– Uciekała przed Mnichami Carawenu? – zapytała Rybera, po czym odwróciła się do Merika. – Bo właśnie ich widziałam przez lunetę, admirale. Dwoje ludzi walczących z czterema mnichami.

– Tak, to Caraweni – przyznał Hermin. – I jeżeli nie pomożemy dziewczynie, cała ta umowa, którą podpisałeś, zostanie uznana za nieważną.

Merik spoglądał to na Hermina, to na Ryberę. Wreszcie odchylił głowę do tyłu i ryknął, zaciskając pięści. Wyglądało na to, że walka pod tą starą latarnią musiała go jednak dotyczyć. Dokument pieczętujący zawartą umowę został zaczarowany przez słowodzieja, więc gdyby Merik nie sprostął warunkom, to podpis doma Erona po prostu zniknąłby z kartki. A niepodpisana umowa handlowa byłaby bezużyteczna.

Merik nakazał wioślarzom zająć pozycje, po czym podszedł do pierwszego oficera i jego ludzi. Magia nadal działała, chociaż zmienili kurs. Jana płynęła teraz na zachód, w kierunku brzegu. W kierunku latarni morskiej.

– Przestańcie – rozkazał Merik śpiewającym czarodziejom.

Natychmiast zamilkli. Wiatr zadał raz jeszcze i... znikł. Jana wciąż sunęła naprzód, lecz znacznie zwolniła.

Merik zmierzył wzrokiem Kullena. Na skroniach pierwszego oficera widniały krople potu, ale nie dostrzegł na jego twarzy śladów zmęczenia.

– Lecę na brzeg – powiedział Merik. – Okręt zostaje pod twoim dowództwem. Podpłyn do latarni najbliższej, jak tylko to możliwe.

Kullen skinął głową i przycisnął pięść do serca.

– Niech Rybera nie spuszcza oka z lunety – mówił dalej Merik. – Kiedy odciągnę dziewczynę od tych mnichów, dam znak za pomocą podmuchu wiatru. Wtedy przetransportujemy ją na Janę. Gdy tylko stanie na pokładzie, rozkażesz wioślarzom i czarodziejom, by postawili żagle.

Nie czekając na potwierdzenie, podszedł do relingów. Kullen i pozostali czarodzieje znów zaczęli śpiewać szanty. Wiatr i fale ponownie przybrały na sile. Merik oparł się o wysoką do pasa balustradę i nabrał powietrza, wypuścił je gwałtownie, a potem zrobił kolejny głęboki wdech. Wokół jego nóg powstał przywołujący magię wir, którego strumienie nabrały prędkości i siły.

Wystartował. Jego powieki drżały, słony wiatr wdzierał mu się do nosa i gardła. Miał wrażenie, jakby serce przemieściło się do czaszki. Przez te kilka sekund, kiedy cała jego magia skupiała się na wirze pod stopami, czuł się niezwyciężony. Wypełniały go radość, siła i władza. Po chwili zaczął obniżać lot i wreszcie opadł na powierzchnię wody. Miał ograniczoną moc, a magia szybko się wyczerpywała. Nie mógł lecieć zbyt długo.

Zbliżał się do latarni, brodząc w płytkiej wodzie. Wtem dostrzegł dwie dziewczyny. Wbiegały po schodach. Jedna z nich, krótko ostrzyżona brunetka, trzymała nóż. Ta druga miała srebrzysto-białą...

Merik rozpoznał ją natychmiast, nawet z tej odległości. I nawet pomimo tego, że połowa jej sukni była odcięta. Zdążył przekląć Nodena razem z jego koralowym tronem. Postanowił pokonać każdego z tych niszczycielskich mnichów, który ośmieliłby się zbliżyć do dziewczyny.

ROZDZIAŁ 15

Jak zdecydowała Pani Los, Aeduan był jedynym Carawenem, który nie zdołał znaleźć konia. Magia zaprowadziła jego i pozostałych mnichów na obrzeża Veñazy. Gdy znaleźli się w wąskiej uliczce na wysokości gospód, wskazał kierunek towarzyszom, a ci rozpoczęli pościg. Oni mogli to zrobić, albowiem zdołali podprowadzić konie.

Zanim Aeduan w końcu znalazł przy którejś z gospód łaciatą klacz, miał już co najmniej pięć minut spóźnienia. Jednak był wysmianym jeźdźcem, a wierzchowiec łatwo poddał się jego woli. Konie zawsze miały do niego zaufanie.

Wkrótce pędził już w dół długiej nadbrzeżnej ulicy. Strzały w jego piersi odbijały się od siebie. Aeduan nie czuł się z nimi komfortowo, ale ponieważ groty były najeżone kolcami, gdyby je usunął, poszarpałyby mu ciało. Energię, niezbędną do zagojenia ran, musiał wykorzystać podczas pościgu.

Wreszcie dogonił toczący się na północ wóz. Poczł słaby zapach prawdopodobieki i zauważył koc spoczywający pod łodygami słoneczników. Wykrzywił usta w uśmiechu. Przykrycie zostało wykonane z włókna salamandrowego, gdyby więc dziewczyna zabrała je ze sobą, nie zdołałby jej wywęszyć. Popęniła błąd.

Wkrótce minął powóz i spanikowanego woźnicę. Wtedy zauważył latarnię – ciemną plamę na nocnym niebie. Nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie cztery białe postacie przy kamiennych ruinach. Dostrzegł też pędzące w jego stronę konie bez jeźdźców. W chwili, w której wjechał w morskie fale, klacz przestała go słuchać. Zsiadł więc z niej i wylądowawszy w wodzie, pieszo ruszył przed siebie. Przebiegł zaledwie pół drogi do latarni, kiedy czterech Carawenów wpadło za ruiny, tym samym znikając mu z pola widzenia. Moment później z nieba runęła jakaś postać. Wiatrodziej!

Gdy wreszcie dotarł do celu, wicher uderzył w niego z całą siłą. Z trudem zdołał złapać się muru, zanim dwóch mnichów minęło go z zawrotną prędkością. Dwadzieścia kroków... pięćdziesiąt... Ich ciała gruchnęły o plażę.

Kiedy wiatr się uspokoił, Aeduan wstał i popędził w kierunku schodów, za wonią prawdodziejki. Za ledwie wbiegł na pokryte wąsonogami stopnie, kiedy wpadli na niego kolejni dwaj mnisi. Pierwszego z nich złapał za pelerynę.

– Co tu się dzieje?

Mnich potrząsnął głową, jakby właśnie ocknął się z oszołomienia.

– Cahr Awen – wychrypiał. – Widziałem je. Musimy zrezygnować.

– Co?! – ryknął Aeduan. – To niemożliwe!

– Cahr Awen – powtórzył mnich, po czym krzyknął: – Wycofujemy się! – Wyrwał swoją pelerynę z uścisku Aeduana i pognął w dół.

Aeduan patrzył przerażony, jak zaraz za nim ucieka drugi mnich.

– Głupcy – warknął. – Głupcy!

Pokonał resztę schodów, dotarł na samą górę... i zatrzymał się w wejściu. W środku stała ubrana na czarno Nomatsanka, pochylona w pozycji do ataku. Trzymała błyszczący kordelas, suknię podwiewał jej wiatr... Tuż obok tkwiła z uniesionymi widłami wysoka, ubrana na białą Safiya. Również jej poszarpaną suknią targały silne podmuchy. Wspólnie tworzyły idealny okrąg symbolizujący światło i mrok. Początek i koniec. Symbol Cahr Awenów.

Czy to możliwe, żeby te dwie dziewczyny, reprezentujące światło księżyca i światło słoneczne, mogły być ową mityczną parą, którą niegdyś ochraniał jego Klasztor?

Dziewczyny odsunęły się od siebie i oczom Aeduana ukazał się wiatrodziej. Miał na sobie granatowy mundur i garbił się, jakby był zbyt wyczerpany, aby walczyć. Jego twarz skrywały cienie. Rytmicznie zginał palce, a wokół niego powoli gromadził się wiatr.

Aeduan zaklął w duchu.

– Stój! – krzyknęła prawdodziejka. – Ani kroku dalej!

– Albo co? – mruknął Aeduan. Podniósł nogę, żeby wykonać kolejny krok, nim jednak ją opuścił, Nomatsanka postanowiła mu odpowiedzieć.

– Albo utnę ci głowę, krwiodzieju.

– Życzę powodzenia – zrobił krok do przodu, a Safiya ruszyła na niego z widłami.

– Zostaw nas w spokoju...

Zamilkła, kiedy Aeduan zawładnął jej krwią. To jego tajna broń – manipulacja krwią – którą wykorzystywał tylko w ekstremalnych sytuacjach. Musiał wpiernić oddzielić od siebie składniki jej zapachu – górskie łańcuchy i dmuchawce, zbocza wzgórz i zasy śnieżne – a następnie mógł nad nimi zapanować. Było to dość wyczerpujące i zabierało mu nieraz więcej energii niż najbardziej wycieńczający bieg. Ponadto nie dało się sprawować kontroli nad kimś zbyt długo.

Ciało Safiyi zeszywniało, zastygła z widłami wyciągniętymi do przodu jak miecz. Została uwięziona w czasie. Przestała nawet mrugać. Aeduan ruszył w jej kierunku. Kiedy już ją dosięgał, kiedy przykucał, żeby zarzucić ją sobie na ramię, do akcji wkroczył wiatrodziej. Rozłożył wysoko ręce i wraz z Safiyą wystrzelił ku górze. Podmuch powietrza posłał Aeduana do tyłu, tak że krwiodziej niemal stracił równowagę. Całkowicie stracił za to kontrolę nad krwią Safiyi.

Rzucił się za dziewczyną. Była teraz dziesięć stóp nad ziemią i leciała do tyłu, wymachując rękami i nogami. Wiatr szarpał jej spódnicę. Krzyczała opętańczo:

– Iseult! Iseult!

Gdyby Aeduan podbiegł, mógłby wskoczyć w lej utworzony przez wiatrodzieja, ale poczuł, że uderzyło w niego czyjeś ciało. Zatoczył się na bok, o mały włos się nie przewracając. To ta czarna dziewczyna rozpoczęła atak na niego.

Carawen wybił się w powietrze, zaciskając pięści. Jego magia pulsowała żądzą zawładnięcia czyjąś krwią. Wyciągnął ręce, lecz złapał jedynie powietrze. Nomatsanka wymknęła mu się i już gnała na skraj ruin.

Ruszył więc za nią – za dziewczyną, która miała na imię Iseult. Zamierzała skoczyć. Wiedział, że to zrobi. Dotarła do krawędzi latarni. Skoczyła.

Aeduan był tuż za nią. Wziął rozbieg i runął w ciemność. Spadali. Razem, jedno przy drugim. Byli tak blisko siebie, że Aeduan mógłby ją złapać, gdyby tylko chciał. Wyglądało na to, że i ona o tym wiedziała. Jakby wszystko to zaplanowała, jeszcze w powietrzu obróciła się, złapała nogami jego nogi i pociągnęła, tak że spadali teraz głowami w dół. Aeduan

uderzył plecami o ziemię z taką siłą, że zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Dziewczyna wyładowała na nim. Groty strzał wbiły się w niego jeszcze głębiej, zmiażdżyły mu żebra i płuca. Całe ciało paliło go niewyobrażalnym bólem. Wszystkie jego organy wewnętrzne zostały zmasakrowane. Na dodatek był przekonany, że złamał kręgosłup. A to dopiero początek.

Fale obmyły jego ciało. Zdołał zaczerpnąć powietrza i chwycić się nadziei, że może zdoła wyjść z tego żywy...

Nagle poczuł eksplozję w klatce piersiowej – tak potężną, że zagłuszyła cały pozostały ból. Oto z torsu wystawała mu rękojeść jego własnego sztyletu. Pelerynę i tunikę miał zbyt brudne, żeby mógł widzieć wypływającą krew, ale on wiedział, że właśnie się z niego wylewa. Pulsowała szybciej, niż jego magia potrafiła to pojąć.

Spróbował wyjąć ostrze – na próżno. Nie udało mu się nawet poruszyć. Z pewnością miał złamany kręgosłup.

Podniósł wzrok. Wszystko wokół było zaparowane, zamazane... Nagle ujrzał twarz zaledwie trzydzieści centymetrów od swojej własnej. Drżące usta, włosy falujące na wietrze. Nomatsanka. Jej kolana, wbite w jego klatkę piersiową, dygotały. Nie widział ani nie słyszał nikogo innego. Wiedział, że są jedynymi ludźmi, którzy przeżyli tę walkę. Jedynymi na całym świecie.

Zauważył zawieszony na szyi Nomatsanki kamień bólu. Jego różowy blask przygasał, a grymas na twarzy napastniczki kazał Aeduanowi podejrzewać, że jest ranna. Ciężko ranna. Mimo to zdołała odpiąć mu tasak. Przysunęła go do jego szyi. Dłoń dzierżąca ostrze trzęsła się. Wbiła mu w serce jego własny sztylet, a teraz zamierzała odciąć mu głowę. Ale ostrze nie drgnęło. Dziewczyna o imieniu Iseult skuliła się i jej kamień bólu błysnął delikatnym różem, po czym zgasł zupełnie. Z jej gardła wydobył się jęk. Prawie runęła do przodu, a Aeduan zauważył ranę na jej prawym ramieniu. Zakrwawione bandaże. Krew, którą powinien czuć.

– Ty... nie masz... zapachu – wycedził.

Poczuł, że usta wypełnia mu ciepła ciecz; jego własna krew.

Nie odpowiedziała. Całą swą uwagę skupiała teraz na utrzymaniu w ręku tasaka.

– Dlaczego... nie mogę cię wyczuć? Powiedz mi... – Aeduan nie był pewien, czemu chce to wiedzieć. Jeżeli Nomatsanka odetnie mu głowę,

umrze. To jedyna rana, z której krwiodziej nie mógł się uzdrowić. Mimo to nie przestawał dociekać.

– Dlaczego... – Krew trysnęła na płaskie ostrze tasaka. Kilka kropeł wylądowało na jej policzku. – Dlaczego... nie mogę...

Najwyraźniej jednak nie zamierzała odcinać mu głowy, odsunęła ostrze od jego gardła. Przebite serce Aeduana zakołatało. Ogarnęło go dziwne uczucie ulgi i zmieszania, na jego ustach pojawiły się krwawe bąbelki. Nie chciała go zabić. I nie miał pojęcia dlaczego.

– Zrób to – powiedział chrapliwym głosem.

– Nie. – Nerwowo potrząsnęła głową.

Wiatr przybrał na sile i potargał jej włosy. Aeduan przyjrzał się bacznie jej twarzy. To prawda, nie potrafił wyczuć woni jej krwi, ale wiedział, że zapamięta tę dziewczynę. Zapamięta kształt jej szczęki i wydatny podbródek. Zapamięta zadarty nos i delikatne piegi. Kocie oczy. Krótkie rzęsy. Wąskie usta.

– Będę cię ścigał – zachrypiał.

– Wiem. – Dziewczyna rzuciła tasak na piasek i podparła się na jego torsie, usiłując wstać. Zmiażdżyła mu żebra i zgmiotła żołądek. Nie ważyła mało, a jego organy i tak były już w opłakanym stanie.

– Zabiję cię – powiedział.

– Nie. – Oczy dziewczyny zwęziły się. Podniosła się wyżej i Aeduan widział teraz jej sylwetkę w świetle księżyca. – N-n-n... – Zakaszłała i wytarła usta. – Nie wydaje mi się, żebyś to zrobił.

Najwyraźniej musiała poświęcić całą pozostałą jej moc na wypowiedzenie tych słów. Resztkami sił ponownie zacisnęła palce na sztylecie. Jeszcze głębiej zanurzyła ostrze w sercu Aeduana.

Wbrew całemu swojemu desperackiemu pragnieniu, wbrew każdemu instynktowi, który zmuszał go do zachowania przytomności, poczuł, że opadają mu powieki. Z jego ust dobył się jęk. Ogarnęła go lekkość. Usłyszał oddalające się kroki.

Kiedy ponownie otworzył oczy, po dziewczynie nie było śladu – wiedział o tym, choć nie mógł nawet odwrócić głowy.

Przykryła go fala i zniknął pod morską pianą.

ROZDZIAŁ 16

W czasie lotu Safi czuła w uszach ryk wiatru. Łzawiły jej oczy, zimne podmuchy szarpały suknię. Przestała w końcu krzyczeć do Merika, żeby zawrócił – i tak jej nie słyszał.

Ocean w dole wydawał się rozmytą plamą, lśniąca i rozedrgana, a Safi pomyślała, że powinna odczuwać teraz przyjemność – jakby nie było, przecież leciała. Niestety nie sprawiało jej to żadnej rozkoszy. Myślała wyłącznie o Iseult, która została z krwiodziejem. Później gdzieś z tyłu głowy zaczęły jej kiełkować również inne rozważania – chociażby: dlaczego księżę Merik zabrał ją z latarni i jakim cudem zjawił się tam w samą porę. Wszystkie te rzeczy przestały mieć jednak znaczenie, gdy zorientowała się, z jaką prędkością zmiernają w kierunku nubreveńskiego okrętu wojennego. Zobaczyła ubranych na niebiesko, wiosłujących w jednym rytmie marynarzy i usłyszała donośne uderzenia bębna. W chwili, kiedy zyskała już pewność, że roztrzaska się o główny pokład i połamie sobie wszystkie kości, Merik zwolnił tempo. Wylądowali spokojnie i delikatnie.

Wyprostowała się, łapiąc równowagę, i spojrzała na księcia. Zmierzał już w stronę rufy, więc złapała go za koszulę i krzyknęła:

– Zabierz mnie z powrotem!

Wskazał palcem na brzeg.

– Mój pierwszy oficer ma twoją przyjaciółkę.

Safi powiodła wzrokiem za ręką księcia. Jakiś jasnowłosy mężczyzna leciał w ich kierunku, trzymając czyjeś ciało.

Iseult! Więziosiostra Safi zwisała bezwładnie w rękach Nubrevena. Kiedy zbliżyli się do okrętu, Safi podbiegła do nich, krzycząc, żeby sprowadzono uzdrowiciela albo medyka.

Pierwszy oficer ostrożnie, używając swojej magii, położył Iseult na pokładzie. Safi w mgnieniu oka znalazła się tuż obok. Położyła głowę przyjaciółki na swoich kolanach i przycisnęła palce do szyi, sprawdzając

puls. Wyczuła go. Był słaby, ale dawał o sobie znać. W blasku księżyca zobaczyła również powiększającą się plamę krwi na ramieniu Iseult i nieaktywny kamień bólu na jej piersiach.

Kątem oka zauważyła, że ktoś się do nich zbliża – księżę, pierwszy oficer i inni marynarze. Mignęła jej biała plama i usłyszała kobiecy głos:

– Przynieście moją apteczkę!

Odwróciła się i dostrzegła pędzącą w ich stronę caraweńską mniszkę.

– Odsuń się od niej – rozkazała kobieta.

Mimo to Safi nawet nie drgnęła. Chwilę wcześniej ścigali ją mnisi – nie zamierzała dopuścić do siebie następnego przedstawiciela Klasztoru Caraweńskiego. Skoro tamci czterej współpracowali z krwiodziejem, ona prawdopodobnie też trzymała ich stronę.

Kobieta miała srebrnobiałe włosy, jednak nie mogła być starsza od Mathew czy Habima. Ponadto opanowanie, z jakim wyjęła miecz, pozwalało sądzić, że jest doskonałym szermierzem.

– Odsuń się, dziewczyno.

– Żebyś ty mogła dokończyć to, co tamci zaczęli? Nie ma mowy. – W ułamku sekundy wyjęła kordelas z pochwy pierwszego oficera i zamachnęła się nim na mniszkę. Ta jednak wykonała zwinny unik przed jej kolejnym atakiem i odparła ostrze.

– Niech ją ktoś powstrzyma – krzyknęła.

Nagle Safi zaczęła się dusić. Usiłowała napełnić płuca powietrzem, napiąć brzuch, zrobić cokolwiek, żeby złapać oddech, jednak bez skutku.

Mniszka jednym ruchem wytrąciła jej ostrze z dłoni. Kordelas brzdęknął o drewnianą podłogę, a Safi złapała się za gardło. Pierwszy oficer był wprawionym powietrzodziejem i właśnie przejął kontrolę nad jej płucami. Pod Safi ugięły się kolana, przed oczami zobaczyła ciemność. Usłyszała stanowczy głos Merika:

– Evrane nie zamierza skrzywdzić twojej przyjaciółki. Jest mniszką uzdrowicielką, domno. Uzdrowicielką i wododziejką.

Safi trzymała się za gardło, nie mogła nic powiedzieć, a nawet oddychać.

– Jeżeli obiecasz, że będziesz się właściwie zachowywać – mówił dalej – to Kullen zwróci ci powietrze. Czy możesz to obiecać?

Safi skinęła zdesperowana, ale było już za późno. Jej ciało na zbyt długo zostało odcięte od tlenu i poczuła, że ogarnia ją zupełna ciemność.

* * *

Obudziła się, czując, że język ma spuchnięty i lepki. Z góry dochodziły odgłosy czyichś kroków, zewsząd dobiegał chlupot wody i skrzypienie drewna. Zapach soli i smoły był wprost nieznośny. Ciemne pomieszczenie, w którym się znajdowała, oświetlał jedynie słaby promień światła wpadający przez okno po lewej stronie. Kiedy jej wzrok przystosował się do ciemności, spostrzegła, że na pojedynczej, przymocowanej do podłogi pryczy w przeciwległym rogu pokoju leży Iseult. Jej więziosiostra miała zamknięte oczy i oddychała chrapliwie.

Safi wstała, jednak zaraz się potknęła i niemal się przewróciła. Świat wirował jej przed oczyma.

– Iseult! – Rzuciła się na podłogę tuż obok pryczy przyjaciółki. Na twarzy więziodziejki lśniły krople potu, skórę miała jeszcze bledszą niż zazwyczaj, a kiedy Safi przyłożyła delikatnie dłoń do jej czoła, poczuła, że jest rozpalone.

Tylko jeden jedyny raz Safi widziała Iseult naprawdę poważnie ranną – kiedy jej więziosiostra złamała sobie kość piszczelową. Obecne obrażenia wyglądały jednak na znacznie gorsze. Poza tym w pobliżu nie było Mathew i Habima, którzy mogliby pomóc. Dziewczyny zostały zupełnie same. Do tego na obcym okręcie, bez żadnego sprzymierzeńca.

Safi nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Iseult wspominała, że oberwała strzałą, ale Safi nie miała pojęcia jak, gdzie i dlaczego?

Zachrobotą żelazna zasuwa na drzwiach. Safi znieruchomiała – cały świat znieruchomiał. Do środka weszła mniszka w białej szacie i powoli, jakby stawiała czoła dzikiemu zwierzęciu, wyciągnęła rękę w kierunku prawdopodobnej. Na spalonej słońcem skórze kobiety widniał odwrócony trójkąt wododziejki i okrąg oznaczający specjalizację w płynach ustrojowych. Safi skupiła swój wzrok i magię na obcej. Im dłużej na nią patrzyła, tym wyraźniej widziała, że ma czyste zamiary.

Niemniej jednak nie mogła w pełni zaufać tej... jak nazwał ją książę? Evrane. Ostatnio za często padała ofiarą oszustwa. Zamierzała patrzeć mniszce na ręce i zdobyć jak najwięcej potrzebnych informacji.

Wstała i odsunęła się od Iseult, unosząc ręce na znak kapitulacji.

– Nie będę się wtrącać, tylko ją ulecz.

– Zrobi wszystko, co w jej mocy. – Usłyszała czyjś głos. W drzwiach pojawił się Merik.

Safi uśmiechnęła się do niego, był to jednak uśmiech zmęczony i pozbawiony emocji.

– Zastanawiałam się, kiedy się zjawisz, Wasza Wysokość. Zdradzisz mi, gdzie jesteśmy?

– Na Morzu Jadańskim, na zachodzie. Przebywacie na naszym pokładzie od czterech godzin. – Wszedł ostrożnie do środka, jakby wiedział, że mimo pozorów łagodności Safi może go zaatakować w każdej chwili.

Miał na sobie granatowy surdut, świeżą koszulę i bryczesy. Safi natychmiast pomyślała, jak okropnie musi się teraz prezentować. Jej suknia była poplamiona i cała w strzępach, a umorusane łydki i uda – nadmiernie wyeksponowane.

Wtedy szybciej, niż mogłaby się spodziewać, Merik złapał ją za rękę i wygiął je do tyłu, przyciskając jej do gardła coś zimnego. Nozdrza Safi przeszył zapach drzewa sandałowego i cytryny.

Nawet nie drgnęła. Przechyliła głowę i powiedziała powoli:

– Zdajesz sobie sprawę, że to ostrze jest nadal w pochwie?

– A ty zdajesz sobie sprawę, że i tak mogę cię nim zabić? – Wypowiedział te słowa tuż przy jej uchu, tak że poczuła łaskotanie. – A teraz powiedz mi, domno, czy jesteś poszukiwana przez władze? Jakiegokolwiek władze, jakiegokolwiek państwa?

Safi zmrużyła oczy. Merik był na balu. Słyszał ogłoszenie o zaręczynach... a może nie słyszał? Safi nie widziała go w tłumie, więc możliwe, że opuścił pałac, zanim Henrick obwieścił tę nieszczęsną nowinę.

Użyła magii, by sprawdzić zamiary księcia. Jej moc natychmiast nią zawładnęła, dając znajome uczucie drapania i ciepła. Sprzeczność prawdy i fałszu, jakby Merik mógł oddać ją imperatorowi, gdyby tylko miał ku temu okazję... Ale równie dobrze nie musiał tego robić. Nie mogła ryzykować. Zanim jednak zdołała się odezwać, Merik mocniej przycisnął sztylet do jej skóry.

– Muszę chronić swoją załogę i cały swój naród. W porównaniu z tym twoje życie znaczy tyle co nic. Więc nie kłam. Jesteś poszukiwana?

Safi zawahała się, zastanawiając się, czy faktycznie stanowi zagrożenie dla floty Merika. Wiedziała od Mathew, że to wujek Eron upozorował jej porwanie. Nie było jednak jej zdaniem sposobu na to, żeby imperator

Henrick dowiedział się, dokąd została zabrana. Uniosła więc brodę, odsłaniając całą szyję.

– Twoja strategia jest słaba. Nawet jeśli ktoś za mną podąży, to nie widzę celu w mówieniu ci o tym.

– W takim razie cię zabiję.

– Zrób to – zadrwiła. – Rozplataj mi gardło swoim osłoniętym sztyletem. Z przyjemnością zobaczę, jak tego dokonujesz.

Merik nawet nie drgnął. Jego sztylet również.

– Najpierw mi powiesz, dlaczego ścigali cię Caraweni.

Safi obserwowała napięcie na twarzy mnicha.

– Nie mam pojęcia, ale możesz zapytać tej mniszki. Ona powinna to wiedzieć.

– Ona nie jest w to zamieszana – powiedział ostrym, zniecierpliwionym głosem. – A ty lepiej zwracaj się do niej tak, jak należy. To mniszka Evrane, siostra króla Serafina, władcy Nubrevny.

No wreszcie jakaś przydatna informacja.

– Więc jeśli mniszka Evrane jest siostrą króla... – Safi się zadumała. – A król jest twoim ojcem... W takim razie mniszka Evrane musi być twoją ciotką! Jak miło.

– Jestem zaskoczony – rzekł Merik – że aż tyle czasu zajęło ci domyślenie się tego. Nawet domna Cartorry powinna być dobrze wykształcona.

– Nigdy nie przejmowałam się wykształceniem – odcięła się.

Merik parsknął śmiechem, czym zaskoczył i nieco zirytował samego siebie. Szybko spoważniał i zabrał swój nóż.

Safi wyprostowała ramiona.

– Niezły popis. Powtórzymy to jutro?

Merik ją zignorował. Wyjął z surduta szmatkę i przetarł pochwę osłaniającą ostrze.

– Na tym okręcie moje słowo jest święte, domno. Rozumiesz to? Twój tytuł nie ma tutaj żadnego znaczenia. – Safi skinęła i powstrzymała nieprzepartą potrzebę przewrócenia oczami. – Ale jestem skłonny zaproponować ci umowę: nie zakuję cię w łańcuchy, jeżeli obiecasz, że przestaniesz zachowywać się jak zdziczały pies, a zaczniesz tak, jak przystało na domnę.

– Ależ, Wasza Wysokość – opuściła powieki – mój tytuł nie ma tutaj żadnego znaczenia.

– Przyjmuję to zatem jako odmowę. – Odwrócił się do wyjścia.

– Zgoda – fuknęła Safi, widząc, że najwyższa pora się uspokoić. – Mamy umowę. Ale dla twojej wiadomości, to wolę kota.

Merik marszczył brwi.

– Jakiego kota?

– Skoro mam się zachowywać jak dziczące zwierzę, to wybieram kota. – Wyszczrzyła zęby. – Górski lew, nubreveńska odmiana żywiąca się rybami.

– Hmm... – Merik złapał się za brodę. – Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o takiej bestii.

– W takim razie będę pierwsza. – Machnęła lekceważąco ręką. Chciała podejść do Iseult, ale Evrane powstrzymała ją gestem.

– Jesteś zbyt brudna, żeby tu przebywać, domno. – Jej głos był chrapliwy, ale nie niemiły. – Jeżeli naprawdę chcesz pomóc swojej przyjaciółce, musisz się umyć. Meriku, dopilnuj, żeby ktoś się nią zajął. – Zerknęła na bratanka, który już prawie wychodził.

– Admirale Nihar – poprawił ją książę. – Przynajmniej kiedy jesteśmy na morzu, Evrane.

– Doprawdy? – zapytała spokojnie. – W takim razie mniszko Evrane. Przynajmniej kiedy jesteśmy na morzu.

Zanim Merik wyszedł, Safi zdążyła zauważyć, że zrzęda mu mina. Udała się za nim posłusznie.

* * *

Wchodzenie po drabinie okazało się o wiele trudniejsze, niż zakładała. Miała obolałe ciało, poza tym źle znosiła ostre poranne słońce. Sycząc z bólu i pocierając oczy, weszła wreszcie na wyszorowany pokład. Miała zdrętwiałe nogi i chwilę zajęło jej złapanie równowagi. Gdy wreszcie jej się to udało, statek zaskrzypiał i przechylił się w drugą stronę.

Książę szedł tuż przed nią, pochłonięty rozmową ze swoim pierwszym oficerem, Kullenem. Safi osłoniła oczy ręką, żeby móc się rozejrzeć dookoła. Zbadaj teren, nakazała sobie. Niewiele jednak mogła zobaczyć poza zmarszczoną taflą wody – jedynie na wschodzie, na horyzoncie, znajdował się skalisty kawałek ziemi oddzielający morze od bezchmurnego nieba.

Minęła marynarzy. Szorowali podłogę, sprawdzali takielunek, naciągali liny – wszystko pod dyktando zachrypłego głosu należącego do kulejącego starszego człowieka. Niektórzy z nich zatrzymali się i zasalutowali swojemu księciu, pozostali jednak nie przerwali pracy. W szczególności jeden marynarz zwrócił uwagę Safi – jej magia zadrgała na jego widok, jakby chciała jej powiedzieć, że nie jest godny zaufania.

– Żałosny obrońca Nomatsów – warknął, kiedy go mijala.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, uważnie mu się przyglądając.

Gdy dotarła na rufę (obliczyła, że potrzebowała na to trzydziestu kroków), ogarnął ją przyjemny chłód. Merik otworzył drzwi, mówiąc coś do Kullena. Pierwszy oficer zasalutował i odszedł, wykrzykując:

– Czy udzieliłem ci pozwolenia na drzemkę, Leeri? Ani mi się waży zasypiać na służbie!

Wciąż mając mroczki przed oczami po zejściu ze słońca, Safi zatrzymała się przy drzwiach. Dopiero po chwili odzyskała ostrość widzenia. Znalazła się w eleganckiej kajucie, która zupełnie nie pasowała jej do tego gburowatego człowieka, jakim był Merik. Gdy czekał na nią przy misternie rzeźbionym stole otoczonym krzesłami o wysokich oparciach, wyglądał wręcz nie na miejscu.

– Zamknij drzwi – rozkazał.

Zrobiła to, poczuła jednak napięcie mięśni. Mogła z nim tańczyć i walczyć po jego stronie, ale nie oznaczało to, że mu ufała, kiedy zostali sam na sam.

Fałsz – odpowiedziała jej magia, gdy poczuła ogarniający ją spokój. A więc Merik jest bezpieczny. Doznała ulgi... choć niewielkiej. Możliwe, że nie zamierzał skrzywdzić jej fizycznie, ale nadal nie miała pewności, czy jest jej sprzymierzeńcem, czy wrogiem.

Merik wskazał na jeden z kątów pomieszczenia.

– Tam masz wodę do mycia i mundur.

Safi podążyła wzrokiem za jego palcem. Zauważyła kolekcję mieczy na ścianie. Pod nimi stała niewielka baryłka, a na znajdującym się obok łóżku ułożono stos białych ręczników.

Nie obchodziły jej ani woda, ani ręczniki, niemniej te miecze ją zaintrygowały. Zostały przymocowane, ale odpięcie ich nie stanowiłoby większego problemu. Oczywiście jedynie wtedy, kiedy uznałaby, że któryś z nich byłby jej potrzebny.

Merik najwyraźniej nietrafnie zinterpretował jej spojrzenie, ponieważ wyraz jego twarzy złagodniał.

– Moja ciotka jest dobrym uzdrowicielem. Pomoże twojej więziosiostrze.

Prawda.

– A ty, księżę? Zabijesz Iseult za to, że jest Nomatsanką?

Merik skrzywił się wyraźnie zniesmaczony.

– Gdybym nienawidził Nomatsów, domno, zabiłbym ją od razu.

– A twoi ludzie? – naciskała Safi. – Mogą zrobić jej krzywdę?

– Oni słuchają moich rozkazów – odparł.

Safi poczuła, że jej magia zadrgała przy tym stwierdzeniu, i nie spodobało jej się to ani trochę. Jakby to nie do końca była prawda. Zaczęła stukać stopą o podłogę.

– Dostanę nowe buty?

– Nie znalazłem żadnych, które by na ciebie pasowały. – Merik wygładził koszulę. – Na razie będziesz chodziła boso. Przeżyjesz to?

– Przeżyję.

Habim nalegał, aby Safi hartowała stopy. „Nigdy nie wiesz, w jakich znajdziesz się warunkach – zwykł mawiać. – Buty winny być dla ciebie towarem luksusowym, a nie podstawowym”. Wymagał, aby przynajmniej raz w miesiącu Safi i Iseult chodziły przez cały dzień boso. Skutkiem tego obydwie miały wystarczająco dużo odcisków, żeby móc przejść po rozżarzonych węglach... albo przynajmniej po bardzo gorącym piasku.

Merik odchrząknął i wskazał Safi miejsce przy stole.

Wybrała krzesło w bezpośredniej bliskości mieczy – tak na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że musi z nich skorzystać.

– Jana znajduje się tutaj. – Rzucił na mapę replikę okrętu wielkości monety. Ta prześlizgnęła się po papierze w pobliżu wschodniego wybrzeża wąskiego Morza Jadańskiego. – Płyniemy tu. – Poruszył palcami i delikatny podmuch napiął miniaturowe żagle Jany. Okręt przesunął się po mapie, mijając inny malutki statek, i zatrzymał się przy skupisku kilku wysp. – Na Stu Wyspach znajduje się miasteczko o nazwie Lejna i moim obowiązkiem jest cię tam dostarczyć. Dopłyniemy tam jutro.

– Sto Wysp – powtórzyła miękko Safi. – I co mam zrobić, kiedy już się tam znajdę?

– Powiedziano mi, że należy cię tam po prostu zostawić. Nie mam pojęcia dlaczego, to wymarłe miasto, ale wynagrodzenie jest na tyle atrakcyjne, że jestem w stanie to zignorować. Wszedłem w posiadanie umowy handlowej z rodem Hasstrelów.

Safi uniosła brwi.

– Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że nasza posiadłość praktycznie należy do korony, nasi farmerzy przymierają głodem, a my nie mamy już żadnych pieniędzy.

– Każda umowa – powiedział Merik, zaciskając szczękę – jest lepsza niż to, co w tej chwili dzieje się w Nubrevnie. Jeżeli mogę nawiązać stosunki handlowe z jednym z cartorriańskich rodów, zrobię to bez zastanowienia.

Safi skinęła w zamyśleniu, nie słuchając dalszych słów Merika. Kiedy wypowiedział słowo „umowa”, jego wzrok przeniósł się na zwój papieru leżący na skraju stołu. Jednak zanim zdążyła o niego zapytać, zaburczało jej w brzuchu.

– Dostanę coś do jedzenia, Wasza Wysokość?

– Nie najadłaś się do syta na balu? – Uśmiechnął się szeroko.

Nie odwzajemniła jego uśmiechu. Zdawało jej się, że bal i to nieszczęsne tango na cztery odbyły się całe wieki temu.

Merik, jakby czytając w jej myślach, spoważniał. Poprawił kołnierzyk.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że to ty, domno. Gdybym na balu wiedział, że to ciebie mam przewieźć... – Wzdrygnął się i zamilkł, po czym podjął: – Przypuszczam, że od razu zabrałbym cię na Janę i zaoszczędził nam obojgu sporo czasu i kłopotu. Ale twojego imienia nie było na moim zaczarowanym przez głosodzieja kontrakcie, dopóki nie wyszedłem z przyjęcia. Nawet wtedy jednak nie wiedziałem, że jesteś domną fon Hasstrel.

Safi przytaknęła, nie zaskoczył jej. Eron potrzebował dziewczyny na przyjęciu w roli robiącej zamieszanie prawej ręki – jego plan nigdy by nie zadziałał, gdyby Merik zabrał ją zbyt wcześnie. Co ważniejsze, Merik nigdy nie zgodziłby się przejąć Safi, gdyby się dowiedział, czyją została narzeczoną.

Nastała cisza, przerywana jedynie skrzypieniem drewna i okrzykami marynarzy. Merik popatrzył na mapy, natomiast Safi nie mogła przestać się przyglądać Merikowi. Wiedziała, że książe musi być w tym samym wieku

co Leopold, zdawał się jednak znacznie starszy. Miał szerokie ramiona, wyraźnie zarysowane mięśnie, a jego skóra była opalona i szorstka. W tym momencie na czole pojawiła mu się trójkątna zmarszczka, jakby zbyt często marszczył brwi.

Merik traktował poważnie swoje obowiązki – i jako księżę, i jako admirał. Safi nie potrzebowała swojej magii, żeby to wiedzieć, ale nagle przeszył ją nieoczekiwany strach. Nie chciała, by z powodu knowań jej wuja Merikowi stała się krzywda. Jej zdaniem zarówno ona, jak i Merik byli jedynie marionetkami. Kartami, którymi inni grali wbrew ich woli.

Królowa Nietoperzy i Król Lisów, pomyślała. A może nie jesteśmy kartami, tylko po prostu głupcami?

Merik poprawił kołnierzyk i zerknął na drzwi.

– Za chwilę przyniosą jedzenie, domno, więc się umyj. I dla naszego wspólnego dobra zrób to porządnie. – Uśmiechnął się lekko raz jeszcze, po czym dziarsko wymaszerował z kajuty.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Safi w ułamku sekundy znalazła się przy zwoju i go rozwinęła. Znajomym pismem zapisano tam to, co przed chwilą powiedział jej Merik.

Niniejsza umowa zawarta zostaje pomiędzy Eronem fon Hasstrelem a Merikiem Niharem z Nubrevny. Merik Nihar zapewni Safiyi fon Hasstrel transport z Veñazy w Imperium Dalmockim do Lejny w Nubrevnie. Po bezpiecznym dostarczeniu pasażera do siódmego doku w Lejnie rozpoczną się negocjacje dotyczące umowy handlowej.

Wszelkie ustalenia zawarte na str. 2 niniejszego kontraktu uznaje się za niebyłe, jeśli Merik Nihar nie dostarczy pasażerki do Lejny, upuści jej krwi lub zezwoli na jej zgon.

Safi obróciła kartkę na drugą stronę, tu wypełniono ją nudnymi słowami typu „import” i „wartość rynkowa”. Potarła w palcach papier. Był cienki i prawie przeźroczysty.

Magia słowa. I jako że pismo z pewnością należało do Mathew, Safi doskonale wiedziała czyja.

To dokument dokładnie tego samego typu co ów pieczętujący Dwudziestoletni Rozejm. Kiedy warunek zostanie spełniony, Merik i wuj

Eron zmieniają język umowy i będą negocjować na odległość.

Safi spojrzała na kolejną stronę. Tutaj znajdowało się już zwykłe zdanie, prawdę mówiąc identyczne jak to na ostatniej stronie Rozejmu:

Jeżeli strony zgadzają się na podane warunki, muszą poniżej złożyć swoje podpisy. Jeżeli którakolwiek ze stron nie wypełni warunków tej umowy jej lub jego imię zniknie z tego dokumentu.

Ktoś zapukał do drzwi. Safi podskoczyła i złożyła umowę.

– Chwileczkę!

– Przyniosłem jedzenie – odpowiedział stłumiony głos.

Kullen, ten grubiański pierwszy oficer. Rzuciła umowę na stół i popędziła na tył kajuty. Zanurzyła ręcznik w baryłce z wodą, po czym zawołała:

– Wejdz!

Jej mina spoważniała. Uznała, że będzie współpracowała ze swoimi nowymi sprzymierzeńcami, ale w przypadku jakichkolwiek problemów, zwłaszcza jeżeli Kullen ponownie spróbuje pozbawić ją możliwości oddychania, Safi przejmie władzę. W jej zasięgu znajdowały się miecze i umowa, która wyraźnie mówiła, że włos nie może spaść jej z głowy.

ROZDZIAŁ 17

Merik przechadzał się po głównym pokładzie, patrząc gniewnie na palące słońce. Przetransportowanie Safiyi fon Hasstrel do Lejny bez żadnych incydentów mogło się okazać trudniejsze, niż mu się zdawało. Zachowywała się tak, jak walczyła, i tak, jak tańczyła – doprowadzając ludzi do ostateczności i testując ich wytrzymałość. Odkąd ją uratował, cały czas miał przed oczyma jej odsłonięte blade nogi. Miały kolor znacznie jaśniejszy niż ramiona czy twarz. To ta bladość wytrąciła Merika z równowagi. Tak czy inaczej – patrzył na coś, co było przeznaczone jedynie dla oczu kochanków.

Zrobił głęboki wydech. Rozważanie o Safiyi fon Hasstrel w kategoriach intymnych nie wydawało mu się mądre. Kiedykolwiek o niej pomyślał albo znalazł się w jej pobliżu, rozpalał się w nim typowy dla rodu Niharów gniew. Buzował w jego ciele gwałtownie, wywołując gorąco.

Po tym, co wydarzyło się na balu, admirał poczuł, że coś się w nim zmieniło. Zaprzagnął przywoływać potężne, groźne wiatry. Zawładnęła nim ta sama dzika złość, której często dawał się ponieść jako dziecko. Teraz nie mógł się jej poddać, chociażby z tego względu, że to za bardzo przypominało mu zachowanie Vivii – nieokiełznane i brutalne. Merik nie lubił niekontrolowanych wybuchów. Nie lubił niespokojnego morza. Cenił porządek i opanowanie, a także idealnie dopasowane koszule. Wolał spokojne fale, bezchmurne niebo i świadomość, że jego wściekłość jest z dala od niego. Będzie w takim razie musiał unikać Safiyi – bez względu na to, z jaką łatwością go rozśmieszała czy wywoływała na jego twarzy uśmiech. A także jak bardzo rozpraszały go jej nagie nogi.

Najbardziej oddani Merikowi marynarze – załoga z jego poprzedniego statku – przerwali szorowanie podłogi i zasalutowali mu. Merik pomyślał, że może im ufać aż po ich morski grób.

Popatrzył na sternika, który był pływodziem. Należał niegdyś do załogi jego ojca i podobnie jak większość ludzi króla, nie popierał działań

Merika. Na szczęście jak dotąd wywiązywał się ze swoich obowiązków.

Jak dotąd.

Merik omiół wzrokiem maszt, takielunek i żagle. Wszystko wyglądało należycie, więc zszedł po drabinie pod pokład. Kiedy znalazł się już w kajucie pasażerskiej, zobaczył ciotkę. Obracała w palcach swój opalowy kolczyk.

– Właśnie rozmawiałam z Herminem – powiedziała cicho. – Zdołał skontaktować się z głosodziejem w Klasztorze Caraweńskim. Okazuje się, że ci mnisi z latarni dostali rozkaz pojmania domny żywej, ale kiedy ją zobaczyli, większość z nich się wycofała.

– Dlaczego? – zapytał Merik, zerkając na śpiącą Iseult, na jej trupio bladą twarz i czarne jak smoła włosy. Jako dziecko często widywał karawany Nomatsów. Nie pojmował, że ktokolwiek mógłby się jej bać.

Ciotka nie odpowiedziała na jego pytanie. Gdy podszedł bliżej, potrząsnęła głową.

– Jedyne, co wiem, to że jeden z caraweńskich mnichów nadal podąża za domną. Ma na imię Aeduan i pracuje dla kogoś bardzo ważnego. – Evrane westchnęła i podeszła do okna, mrużąc oczy w słońcu. – Dopóki żyje, te dziewczęta są w niebezpieczeństwie. Jest krwiodziejem.

Merik odchylił głowę do tyłu.

– Ktoś taki w ogóle istnieje?

Kiedy ciotka skinęła, przypomniał sobie walkę w latarni. Przez chwilę wydawało mu się, że tylko wyobraził sobie czerwień w oczach młodego mnicha, a także sposób, w jaki zatrzymał Safiyę w miejscu.

A jednak nie. To wszystko było prawdziwe. Krwiodziej był prawdziwy.

– Z pewnością zatem – powiedział powoli – nie może nas dopaść, zanim dotrzemy do Lejny. Kiedy zostawimy tam domnę, mnich przestanie być naszym zmartwieniem.

Evrane uniosła brwi.

– Tak po prostu zostawisz dziewczyny na pastwę tej bestii?

– Tak, jeżeli będę musiał chronić swoją załogę – i całą Nubrevnę.

– Załoga może stawić przeciw czoła jednemu człowiekowi. Nawet jeśli jest nim krwiodziej.

– Nie bez ofiar, a ja nie mogę narażać moich marynarzy dla dwóch pańienek, bez względu na to, jak bardzo potrzebujemy tej umowy. Kiedy

dostarczymy domnę, ani ona, ani jej przyjaciółka nie będą już naszym problemem.

– Czyżby czas tak bardzo cię odmienił, odkąd widziałam cię po raz ostatni? – Policzki Evrane poczerwieniały. – Jeżeli wydaje ci się, że twój ojciec zacznie cię bardziej szanować, jeśli będziesz się zachowywał jak Vivia, na przykład opuszczając bezbronne dziewczyny, to najwyraźniej nie potrzebujesz jego szacunku.

Przez dłuższą chwilę ciszę przerywało jedynie skrzypienie desek i chlupot fal.

– Nie masz prawa – odezwał się wreszcie Merik – porównywać mnie do Vivii. Ona traktuje swoją załogę jak paszę dla ryb, moja jest dla mnie niczym rodzina. Ona, żeby nakarmić Nubrevnę, ucieka się do piractwa, ja szukam rozwiązań strategicznych! – Podniósł głos. Gniew zapłonął w nim jasnym płomieniem. – Domna fon Hasstrel stanowi jedno z tych rozwiązań i wcale nie jest taka bezbronna. Będę zatem chronić swoich ludzi i nie zamierzam robić niczego ponad to, co zawarto w warunkach umowy.

Wciąż nieprzytomna Iseult zaczęła się wiercić. Merik uspokoił oddech. Starał się ochłonać. Ciotka miała rację – i wszelkie prawo, by nie pozwolić mu zachowywać się jak Vivia.

– Proszę – próbował zakończyć szorstko – pamiętaj, że nubreveńska marynarka nie przewozi mnichów ani szlacheckich wyrzutków. Jeżeli ojciec się dowie, że wziąłem cię na pokład... Cóż, na pewno jesteś w stanie przewidzieć jego reakcję. Nie zmuszaj mnie, żebym żałował decyzji o zabraniu cię ze sobą. Będę chronił domnę Safiyę tak długo, jak długo wymaga tego umowa, i dotrę do Lejny za wszelką cenę. Ale gdy przyjdzie do potyczki z krwiodziejem, moi ludzie będą stali dla mnie na pierwszym miejscu.

Przez kilka dłuższych chwil Evrane tkwiła nieruchomo, milcząc i patrząc na Merika. Następnie zrobiła głęboki wydech i odwróciła się do niego plecami.

– Tak, admirał Nihar. Jak sobie życzysz.

Merik spoglądał na jej srebrne włosy, kiedy podeszła do pryczy i kolejny raz uklękła przy Iseult. Na usta cisnęły mu się przeprosiny. Potrzebował też upewnić się, że Evrane zrozumiała, dlaczego podjął taką, a nie inną decyzję. Ale jego ciotka już dawno temu wyrobiła sobie zdanie

o rodzie Niharów. Jej relacje z królem Serafinem były mniej więcej takie jak Merika z Vivią. A nawet gorsze.

Księżę opuścił kajutę i wchodząc na pokład, zastanawiał się, jak to wszystko rozegrać. Wyglądało na to, że najlepszą strategią będzie dopłynięcie do Lejny najszybciej, jak to tylko możliwe. W związku z tym, pomimo swojej niechęci do nich, będzie musiał po raz kolejny wezwać pływodziejów. Dzięki temu jego marynarze znowu nie dostaną zbyt wiele do roboty. Na szczęście księżę doskonale wiedział, jak przetrwać czas przestoju.

– Na stanowiska! – ryknął Merik, otoczywszy usta dłońmi. – Wszyscy na stanowiska, ale już!

* * *

Iseult unosiła się we śnie. Utknęła w tym okropnym miejscu pomiędzy snem a jawą – zawisła w przestrzeni. Miała pewność, że gdyby tylko zdołała otworzyć oczy, byłaby żywa. Zawsze zapadała w taki półsen pod wpływem choroby. Pragnęła wówczas obudzić się i poprosić o miksturę, która ulżyłaby jej w cierpieniu. Gorsze od niego wydawało jej się jednak to, że ten półsen dopadał ją, gdy śniły jej się koszmary. Wiedziała, że mogłaby wyrwać się z macek cieni, gdyby tylko dała radę się obudzić.

Usłyszała nad sobą głośne skrzypnięcie i z ogromnym wysiłkiem podniosła powieki. Cienie ustąpiły... lecz w ich miejsce natychmiast pojawił się ból, który ogarnął całe jej ciało. Zobaczyła przed sobą siwowłosą kobietę, której twarz wyglądała znajomo. Nadal śnię, pomyślała. Gdy kobieta dotknęła jej ramienia, Iseult miała wrażenie, że eksploduje – że jej ciało trawia płomienie.

– To ty – powiedziała chrapliwym głosem. – Skąd... się tu wzięłaś?

– Leczę cię – odparła spokojnie mniszka. Jej nici Więzi zamigotały na zielono: kolor ten oznaczał koncentrację. – Na ramieniu masz ranę po strzale...

– Nie. – Iseult z zadziwiająco dużą siłą zacisnęła pięść na białej pelerynie mniszki. – Mam na myśli... ciebie. – Jej słowa zawirowały... a może to całe pomieszczenie zawirowało, a słowa wraz z nim. Iseult nie była nawet pewna, czy wypowiedziała je po dalmocku, czy w narzeczu Nomatsów. – To ty. – Spróbowała kolejny raz, niemal pewna, że posługuje się językiem obowiązującym w imperium. – Ocaliłaś mnie. – Mimo obeszpośredniego bólu i zawrotów głowy zdołała dostrzec brudne smugi

na pelerynie mniszki. Natychmiast cofnęła rękę zawstydzona. Wzięła płytki oddech. Ból rozsadzał jej ciało, wrzał niczym gorąca smoła. Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora. – Sześć i pół roku temu z-znalazłaś mnie na rozstaju dróg na północ od Veñazy. Byłam małą dziewczynką i zgubiłam się. Miałam przy sobie szmacianą lalkę.

Kobieta z sykiem wypuściła powietrze. Odchyliła się do tyłu, a jej nici zabłyszczały najpierw jasnobrązowym zmieszaniem, a następnie turkusowym niedowierzaniem. Potrząsnęła energicznie głową. W końcu pochyliła się nad dziewczyną, zamruwała i zapytała:

– Masz na imię Iseult?

Dziewczyna skinęła, na chwilę zapominając o bólu. Oczy mniszki połyskiwały osobliwie, jakby napływały do nich łzy. Jej nici Więzi nie zdradzały żalu: mieniły się na śliwkowo i różowo, co oznaczało, że była przejęta i oszołomiona.

– To byłaś ty – podjęła – na wybrzeżu, sześć i pół roku temu?

– Miałam dwanaście lat – odparła Iseult. – M-moja lalka miała na imię... Eridysi.

Mniszka ponownie ze świstem wypuściła powietrze. Zachwiała się, jakby to, co właśnie usłyszała, wytrąciło ją z równowagi.

– I dowiedziałaś się wtedy, jak mam na imię? Zdradziłam ci je?

– Chyba nie. – Głos Iseult był słaby, nie wiedziała jednak, czy to z powodu bólu, który teraz ogarnął jej ciało ze zwielokrotnioną mocą, czy też przyczyna leżała zupełnie gdzieś indziej.

Evrane znowu się nad nią pochyliła, chcąc ulżyć jej w cierpieniu. Położyła ciepłą rękę na ramieniu dziewczyny, tuż powyżej rany. Iseult wzdrygnęła się, po czym poczuła, że ogarnia ją sen. Jednak nie chciała zasnąć. Nie chciała ponownie stawiać czoła koszmarom. Nie wystarczyło, że była bita i poniewierana w prawdziwym życiu? Nie mogła zaznać ulgi nawet we śnie...

– Proszę – powiedziała zachrypłym głosem, powtórnie ściskając w dłoni pelerynę mniszki. – Nie chcę więcej snów.

– Nie będzie snów – mruknęła kobieta. – Obiecuję, Iseult.

– A... Safi? – spytała półprzytomnie. – Jest tutaj?

– Tak, jest – potwierdziła mniszka. – Powinna wrócić lada moment. A teraz śpij, Iseult. Śpij i zdrowiej.

Dziewczyna poddała się więc ogromnej sile, której nie dałaby rady się oprzeć, i zapadła w głęboki, uzdrawiający sen.

ROZDZIAŁ 18

Krwiodziej odzyskał przytomność. Ożywił się, czując drażniące szturchanie w żebra. Powoli zaczynały funkcjonować zmysły. Promienie słońca ogrzewały mu twarz, a woda głaskała ramiona. Wyczuł zapach morza.

– Nie żyje? – Usłyszał donośny głos należący do dziecka.

– Jasne, że nie żyje – odparło drugie dziecko, prawdopodobnie właściciel palców majstrujących przy jego skórzanym pasie. – Woda wyrzuciła go na brzeg wczoraj w nocy i od tej pory się nie rusza. Jak myślisz, za ile sprzedamy jego noże?

Rozległ się ostry trzask, jakby pas Aeduana został właśnie odpięty. Ostatnie resztki snu zaczęły go opuszczać. Otworzył szeroko oczy i złapał dziecko, chudego chłopca. Mały zaskomlał. Kilka kroków dalej drugi chłopak gapił się nań z otwartymi ustami. Naraz obydwaj zaczęli piszczeć tak głośno, że Aeduan pomyślał, że zaraz ogłuchnie. Puścił chłopaka, a ten rzucił się do ucieczki, rozpryskując nogami piasek wokół siebie. Obsypał nim również Aeduana, z którego gardła wydobył się zachrypły jęk.

Krwiodziej oparł się pięściami o mokrą breję i spróbował się podnieść. Cały świat zatrząśł mu się i rozmazał przed oczyma: beżowa plaża, niebieskie niebo, brązowe bagna, uciekający chłopcy i jakieś ptaszysko, człapiące nieopodal po wodzie. Nawet nie próbował się zastanawiać, gdzie może się w tej chwili znajdować – z pewnością gdzieś w okolicy Veñazy. Ważniejsze było to, w jakim stanie jest jego ciało.

Napiął mięśnie i rozpoczął kontrolę od palców u stóp. Buty w nienaruszonym stanie – dobrze. Zostały co prawda całkowicie przemoczone i skóra, z której je wykonano, skurczy się, gdy tylko zacznie schnąć, najważniejsze jednak, że kości miał całe. Rany na nogach też się już zagoiły, chociaż prawa nogawka była rozerwana aż po kolano, a łydkę oplatała trzcina. Sprawdził uda, biodra i żebra, które reagowały jeszcze na dotyk, a potem ramiona. Z blizn na klatce piersiowej – starych, bardzo

starych – sączyła się krew. Otwierały się na nowo za każdym razem, kiedy Aeduan został śmiertelnie raniony.

Na szczęście żadne ze świeżych obrażeń nie krwawiło, nie zauważył też złamań. Ponadto nie brakowało mu niczego, czego nie mógłby zdobyć. Nadal był odziany w pelerynę z włókna salamandrowego i odnalazł przy sobie swój caraweński opal. Sztylet i nóż, które zabrała ta smarkula, z łatwością mógł zastąpić nowymi.

Sama myśl o dziewczynie z plemienia Nomatsów, której krwi nie potrafił poczuć, sprawiała, że nachodziła go ochota, by kogoś zabić. Dotknął skórzanego pasa, a kiedy ptaszysko podeszło bliżej, już sięgał po nóż. Ale nie. Przestraszenie tego ptaka nie zaspokoiłoby jego wściekłości – satysfakcję dałoby mu jedynie odnalezienie więziodziejki. Nie miał jeszcze pojęcia, co by jej zrobił, gdyby ją dopadł. Z pewnością by jej nie zabił – oszczędziła go (o ile można tak nazwać to, co z nim zrobiła) i będzie musiał odpłacić jej tym samym. Z tym że ocalanie życia komuś, kto nie powinien go w ogóle obchodzić, było jedną z rzeczy, których nienawidził. Istniała tylko jedna osoba, wobec której zaciągnął taki dług, ale ona przynajmniej na to zasługiwała.

Aeduan wypuścił nóż. Rzucając gniewne spojrzenie w kierunku wschodzącego słońca, podniósł się na nogi. Świat zawirował mu przed oczyma, mięśnie drżały – potrzebował wody i jedzenia. W oddali rozległ się dźwięk. Dziewięć uderzeń dzwonów. A więc dzień był jeszcze młody. Krwiodziej odwrócił głowę. W oddali na północy dostrzegł wioskę, w której prawdopodobnie mieszkali chłopcy. Musiała się znajdować w pobliżu Veñazy. Rozgrzewając palce i nadgarstki, ruszył naprzód, brodząc w słonej wodzie.

* * *

Wybiła za piętnaście dwunasta, kiedy Aeduan dotarł wreszcie do domu Yotiluzkiego. Strażnik rzucił nań okiem, wzdrygnął się, po czym otworzył bramę.

Krwiodziej wyglądał co najmniej, jakby kilkakrotnie został przeciągnięty przez piekielne bramy. Idąc przez miasto, zerknął na swoje odbicie w jednym z okien i skonstatował, że jest jeszcze gorzej, niż się czuł. Jego krótkie włosy były zakrwawione, skóra i ubranie oblepione piaskiem i pomimo tego, że szedł od trzech godzin, buty i peleryna wciąż pozostawały wilgotne. Nie wspominając już o tym, że z jego klatki

piersiowej i pleców nadal sączyła się krew. Na każdej ulicy i wszystkich mostach, w każdym ogrodzie i we wszelkich wąskich zaułkach ludzie ustępowali mu z drogi i cofali się przestraszeni. Tak samo zrobił stojący teraz przed nim strażnik Yotiluzziego. Jednak o ile w Veñazie nikt nie nazywał go otchłaniarzem ani nie przesuwiał palcami nad oczyma, aby zapewnić sobie ochronę eteru, wartujący przy wejściu do posiadłości człowiek tak właśnie zrobił. Mijając go, Aeduan syknął. Strażnik czmychnął, znikł za drzwiami.

Kiedy krwiodziej przemierzał ogród, przez myśl przeszło mu jedno z powieżeń jego matki: „Nie głaszcz kota, który dopiero wyszedł z wody”. Dawno o tym nie myślał. Popatrzył gniewnie na kwiaty i liście zwisające mu nad głową. Nienawidził tych przypominających dżunglę dalmockich ogrodów. W takim miejscu ciężko by się walczyło, był to tylko kolejny przykład braku rozwagi Mistrzów Gildii, a także rozrzutności Imperium Dalmockiego.

Gdy dotarł do długiego tarasu po zachodniej stronie, zobaczył służbę sprzątającą ze stołu, przy którym jego pracodawca zwykł spędzać poranki. Zauważyła go jedna ze służących. Krzyknęła, upuszczając szklankę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Aeduan po prostu by ją minął, gdyby nie wrzasnęła:

– Demon!

– Tak – warknął, wchodząc na taras. Popatrzył jej w oczy, a ona zaczęła się trząść. – Jestem demonem i jeśli krzykniesz jeszcze raz, dopilnuję, żeby twoją duszę wciągnęła Otchłań.

Roztrzęsiona kobieta przyłożyła dłonie do ust, a Aeduan się uśmiechnął. Bardzo dobrze, teraz rozpowie o tym wszystkim, których spotka.

– Gdzie byłeś? – Z otwartej biblioteki dobiegł piskliwy głos Yotiluzziego. Mistrz Gildii ujął szaty w dłonie i wyszedł na zewnątrz. Jego obwisłe policzki zadrgały. W jasnym świetle doskonale dało się dostrzec wściekłość w jego oczach. – I co ci się stało?!

– Musiałem wyjechać – odparł Aeduan.

– Wiem, do cholery, że musiałeś wyjechać. – Yotiluzzi wymachiwał palcem przed twarzą Aeduana, czego ten szczerze nienawidził. Miał wtedy ochotę złamać ten kikut na pół. – Chcę wiedzieć dokąd i dlaczego. Piłeś? Wyglądasz jak ścierwo i nikt nie widział cię od wczorajszego wieczoru.

Jeżeli dalej będziesz tak postępował, to będę zmuszony zerwać naszą umowę.

Aeduan milczał. Zaciśnął usta i czekał, aż Yotiluzzi przejdzie do konkretów. Służący nadal zbierali talerze po śniadaniu. Kiedy tylko spoglądali na Aeduana, trzęsły im się ręce.

– Jesteś mi potrzebny – powiedział w końcu Mistrz Gildii. – Pojawiła się kasa do zgarnięcia, a z każdą zmarnowaną chwilą w mojej kieszeni jest jej coraz mniej. Narzeczona Henricka fon Cartorry została porwana i imperator chce, żebyś ją odnalazł.

– Czyżby? – Aeduan uniósł brodę. – Imperator jest skłonny za to zapłacić?

– I to dobrze. – Yotiluzzi znowu zaczął machać palcem przed twarzą krwiodzieja. – A ja sownie cię wynagrodzę, jeżeli ją wytropisz...

W ułamku sekundy Aeduan złapał Yotiluzziego za palec.

– Dziękuję, ale udam się do imperatora osobiście.

Gniew Yotiluzziego się ulotnił. Szczeka mu opadła.

– Pracujesz dla mnie.

– Już nie. – Aeduan puścił palec, wciąż tłusty po śniadaniu. Sam nie był w tej chwili najczystszy, ale dotyk pokrytej tłuszczem skóry sprawił, że poczuł się jeszcze gorzej.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyczał Yotiluzzi. – Jesteś moją własnością!

Aeduan wszedł do domu. Starszy człowiek jeszcze coś wykrzykiwał, lecz krwiodziej na to nie zważał. Pokonawszy długie korytarze i dwie kondygnacje schodów, udał się do swojego pokoju.

Cały jego dobytek znajdował się w jednej torbie, ponieważ jako mnich Carawenu musiał być nieustannie gotów do wyjścia. Przetrzęsał ją, szukając dwóch rzeczy: zapasowego sztyletu i kartki z długą listą adresów. Znalazł. Zatknął ostrze za wciąż wilgotny pas i sprawdził spis. Zawierał tylko dwie niewykreślone nazwy. W tym tę jedną, która go interesowała: Ridensa 14.

Potrafił doskonale przewidzieć wolę ojca. Z pewnością chciałby, żeby Aeduan udał się do imperatora i znalazł prawdopodobnie, która stałaby się niezwykle przydatnym nabytkiem dla jego rosnącej w siłę armii. Niemniej odkąd kontaktował się z nim po raz ostatni, minęło już kilka tygodni. Dużo wydarzyło się w ostatnim czasie, dlatego Aeduan postanowił odwiedzić

głosodzieja przy Ridensa 14, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę. Nie zamierzał jednak wspominać o tej małej Nomatsance. Ostrożność nakazywała mu zachować dla siebie informację o pierwszym długu, jaki zaciągnął w życiu, zatem wieść o drugim również pozostanie jego tajemnicą. Wzmianka o dziewczynie pozbawionej zapachu wywołałaby jedynie lawinę pytań. A Aeduan nie lubił pytań.

Nie zwracając uwagi na to, że peleryna z włókna salamandrowego drapała go w szyję, zarzucił torbę na ramię i nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju, który przez ostatnie dwa lata nazywał domem. Opuścił mieszkanie Yotiluzziego tą samą drogą, którą do niego wszedł. Słudzy rozstępowali się przed nim, a jego były już pracodawca wciąż krzyczał. Kiedy Aeduan wychodził na zewnątrz, z zadowoleniem zauważył, że zostawia za sobą błotniste ślady butów. Czasami sprawiedliwość objawia się w małych zwycięstwach.

Pół godziny po wyjściu z domu Yotiluzziego i po wykąpaniu się w publicznej łaźni (na szczęście stare rany przestały wreszcie krwawić) Aeduan przybył do pałacu doży. Z ogrodu, w którym niedawno stawiał czoła całemu zastępowi strażników, zostały jedynie zwęglone rośliny i unoszący się w powietrzu popiół. Nie powinno go to dziwić – kiedy stąd wychodził, szalał tu przecież pożar.

Strażnicy i żołnierze krążyli dokoła posiadłości, ale żaden nie zwracał na Aeduana uwagi. Kiedy krwiodziej dotarł do osmolonego wejścia, w którym walczył poprzedniej nocy, jeden ze strażników zaszedł mu drogę.

– Stój – rozkazał. Wyszczerył zęby brudne od sadzy. – Nikt tu nie wchodzi ani nikt stąd nie wychodzi.

Z pewnością rozpoznał Aeduana. To dobrze – łatwiej będzie go przestraszyć. Krwiodziej wciągnął nosem powietrze, wiedząc, że kiedy tak robił, w jego oczach wirowała czerwień, i skoncentrował się na zapachu krwi mężczyzny. Słone potrawy i oddech dziecka. Miał rodzinę, źle. To wykluczało go z grona potencjalnych ofiar.

– Wpuścisz mnie. – Aeduan uniósł brew. – A następnie zaprowadzisz do gabinetu doży.

– Czyżby? – zadrwił strażnik, ale w jego głosie pojawiło się drżenie.

– Tak, jako że jestem jedyną osobą na tym kontynencie, która jest w stanie znaleźć dziewczynę o imieniu Safiya. Ponadto wiem, kto ją

porwał. A teraz rusz się. – Skinął brodą w kierunku holu. – Zawiadom swoich przełożonych o moim przybyciu.

Zgodnie z przewidywaniami strażnik wszedł do środka, a po kilku minutach (w czasie których Aeduan przyglądał się biegającym dokoła mężczyznom) powrócił i oświadczył, że ma go zaprowadzić do doży. Krwiodziej udał się więc za strażnikiem, a jego uwagę przykuły zniszczenia poczynione przez pożar. Przynajmniej połowa pałacu została kompletnie spalona. Ogrody spłonęły w całości.

Dotarł do prywatnych komnat doży, gdzie został zmierzony wzrokiem przez dwanaście zastępów strażników, po jednym z każdej narodowości obecnej w pałacu. Pokój, pełen luksusowych dywanów, wysokich po sam sufit półek i błyszczących kryształowych lamp, z pewnością stanowił osobistą przestrzeń dostojnika. Teraz znajdowało się tu pełno ludzi – młodych, starych, pochodzących z różnych klas i reprezentujących wszystkie możliwe rasy. Żołnierze w najróżniejszej proveniencji mundurach nerwowo przechadzali się między pomieszczeniami. Illyriańczycy, których charakteryzował brązowy odcień skóry, stali przy drzwiach, najwyraźniej marząc o powrocie do swoich gór na południu. Drobni Svodeni tłoczyli się przy oknie, patrząc z utęsknieniem na północ, a kilku Balmańczyków niosło coś, co przypominało dzban wina. Lusquanie, Kriteńczycy, Portollanie – przedstawiciele każdego narodu trzymali się razem. Ewidentnie brakowało jednak Marstokczyków. Aeduan nie zauważył także imperatorowej Vanessy ani jej świty. Nie było tu również Nubrevenów.

Mnich dostrzegł wreszcie imperatora Cartorry – chodził wokół sekretarzyka, wymachiwał rękami i krzyczał tak donośnie, że drżały kryształowe żyrandole. Doża Dalmocji siedział odrętwiały za biurkiem.

– Aha! – powiedział ktoś wysokim głosem. – Tutaj jesteś.

Z cienia wyłonił się pełen gracji Leopold fon Cartorra, jasnowłosy, odziany na zielono młodzian. Aeduan nie miał pojęcia, jakim cudem wcześniej go nie zauważył. A przede wszystkim, jak mógł nie wyczuć jego zapachu. Odnotował woń królewskiego spadkobiercy jeszcze na balu: nowa skóra i dymiące palenisko, powinien więc ją rozpoznać również w tej chwili.

Naraz ujrzał drugą postać. Tego człowieka Aeduan również początkowo nie dostrzegł, co tylko zirytowało go jeszcze bardziej – zwłaszcza że był co

najmniej o głowę wyższy od wszystkich tu obecnych.

– Wiesz o mojej siostrzenicy – powiedział niewyraźnie mężczyzna. Wyglądał, jakby nie spał od wielu dni. Jego oczy czerwieniły się jak rozżarzone węgielki, a oddech... Aeduan zmarszczył nos. Ten człowiek śmierdział winem mocniej niż samo wino. Zapach trunku zdominował nawet woń jego krwi.

– Podejź, mnichu – ponaglił Leopold, wskazując na swojego cały czas krzyczącego wuja. – Powiedziano nam, że masz informację o narzeczonej imperatora. Musisz nam wszystko powiedzieć i... och, no nie. – Zauważył, że jego rękaw poplamiony jest sadzą. Wzdychając, otrzepał go bez przekonania. – Przypuszczam, że to kara za zakładanie jasnego aksamitu tuż po pożarze. Pewnie moje włosy wyglądają równie nieciekawie.

Wyglądały. Rudoblond czupryna Leopolda była teraz prawie szara, ale Aeduan nie wspomniał o tym ani słowem.

– Imperator – przypomniał zwięźle krwiodziej.

– Ach tak, oczywiście. – Leopold zaczął się przepychać między żołnierzami i służbą. Aeduan podążył za nim. Ich śladem ruszył także ten pijak, który, jak się domyślił krwiodziej, nazywał się Eron fon Hasstrel.

– Wiesz, kto ma moją siostrzenicę – rzekł, łapiąc mnicha za pelerynę. – Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Aeduan się odsunął, a dom Eron zatoczył się i wpadł na imperatora. Henrick odepchnął go zniesmaczony, po czym skierował wzrok na mnicha.

A więc to jest imperator Cartorry, pomyślał Aeduan. Zeszłej nocy widział tego człowieka z daleka, dopiero teraz dostrzegł więc, że jego policzki usiane są bliznami po ospie lub trądziku, a usta nie domykają się w pełni, jako że pomiędzy wargami sterczy smutno pojedynczy ząb. Aeduan uznał, że wygląda jak pies. Bardzo wkurzony pies.

– Kto ma domnę? – zapytał Henrick. Był przynajmniej sześć cali niższy niż Aeduan, lecz jego głos brzmiał donośnie i mocno. Ten człowiek mógłby przekrzyczeć armaty. W krwi imperatora mnich wyczuł woń pola bitwy. – Powiedz nam, co wiesz. Czy to ci po trzykroć przekłęci Marstokczycy?

– Nie – odpowiedział ostrożnie Aeduan. Musiał się upewnić, że nikt nie ma pojęcia o tym, że Safiya jest prawdopodobnie prawdziwą. Zapewne jedynie jej wujek o tym wiedział... chociaż niekoniecznie. Aeduan podejrzewał, że człowiek jego pokroju bezwstydnie wykorzystałby tę wiedzę, gdyby tylko miał ku temu okazję.

– Widzisz?! – ryknął doża. – Mówiłem ci, że to nie Vanessa. – Zastukał gwałtownie palcami o coś na biurku. – Podpis imperatorowej znikłby stąd, gdyby to oni byli za to odpowiedzialni!

Aeduan zacisnął usta w chwili, kiedy uświadomił sobie, że patrzy właśnie na dokument pieczętujący Dwudziestoletni Rozejm. A raczej na ostatnią jego stronę, na której podpisali się wszyscy kontynentalni przywódcy. Widniał tam również dziecięcy gryzmoł, wszak przed dwudziestu laty Vanessa była jeszcze dzieckiem. Albo magia Rozejmu została zerwana, albo Nubreveni nie porwali tej domny wbrew jej woli.

Aeduan zwrócił się do imperatora Henricka:

– To Nubreveni mają domnę. Widziałem, jak zabrali ją na morze.

Wszystkim obecnym w gabinecie opadły szczęki. Nawet Henrick wyglądał, jakby połknął coś obrzydliwego.

– Ale – zaczął książę Leopold, pocierając kciukiem dolną wargę – to marstocki ogniodziej spalił pałac na wiór. Poza tym – zerknął na Henricka, jakby szukając u niego wsparcia – Marstokczycy opuścili Veñazę. Imperatorowa i cała jej świta zniknęli zaraz po przyjęciu. Według mnie to podejrzone.

– Zgadza się – powiedział doża, składając nerwowo palce w piramidę. – Ale Nubreveni również wyszli z przyjęcia zaraz po pierwszym tańcu z...

– Tańcu księcia Merika i mojej siostrzenicy – dokończył Eron, prostując się. – Pieprzeni Nubreveni! Zmiażdżę ich...

– Nikogo nie zmiażdżysz – przerwał mu zdegustowany Henrick. Zerknął na Aeduana. – Opowiedz, mnichu, co widziałeś. Mów wszystko.

Aeduan nie zamierzał jednak przyznawać się do wszystkiego. Podał kilka szczegółów i przeszedł do najważniejszej sprawy, czyli walki z nubreveńskim wiatrodziejem i caraweńskimi mnichami.

– Siłą swego wiatru zabrał domnę na morze – zakończył. – Nie byłem w stanie za nimi podążyć.

Henrick skinął w zamyśleniu, doża mrugał wściekły, dom Eron zdawał się nie mieć pojęcia, o czym krwiodziej mówił, a Leopold patrzył na niego znużonym wzrokiem.

– W jaki sposób znalazłeś dziewczynę w latarni? – zapytał Henrick. – Użyłeś swojej magii?

– Tak.

Imperator odchrząknął, a na jego twarzy pojawił się chytry uśmieszek.

– Czy możesz jej użyć ponownie? I czy sięgnie poprzez Morze Jadańskie?

– Tak. – Aeduan wybijał nieznaną rytym na rękojeści swojego miecza. – Dotrę do niej, mam jednak swoją cenę.

Nozdrza Henricka zadrgały.

– Jaką znowu cenę?

– A kogo to obchodzi? – krzyknął dom Eron, odwracając się do Aeduana. – Zapłacę ci, ile tylko będziesz chciał, czarodzieju. Powiedz ile, a ja zapłacę...

– Skąd weźmiesz pieniądze? – spytał Henrick zjadliwie. – Zapożyczyłeś się u korony, aby wziąć udział w tym spotkaniu, Eronie, więc jeżeli masz jakiegokolwiek pieniądze, to w pierwszej kolejności należą się one mnie. Pokryjemy twoje honorarium, czarodzieju, ale weźmiemy je ze skrzyń tego, kto porwał domną Safiyę. Jeżeli byli to Nubreveni, to właśnie oni ci zapłacą.

– Nie. – Aeduan zaczął szybciej wybijać rytym. – Żądam pięciu tysięcy, płatnych z góry.

– Pięć tysięcy?! – ryknął Henrick. Pochylił się do przodu tak gwałtownie, że większość obecnych w pomieszczeniu się wzdrygnęła.

Ale Aeduan stał niewzruszony.

– Zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiasz, otchłaniarzu? Jestem imperatorem Cartorry. Dostaniesz zapłatę wtedy, kiedy ja tak powiem.

Aeduan przerwał swoje bębnienie palcami.

– A ja jestem krwiodziejem. Znam zapach dziewczyny i potrafię ją wytropić. Ale nie ruszę nawet palcem bez pięciu tysięcy.

Henrick zaczął oddychać coraz szybciej, już miał krzyknąć po raz kolejny, kiedy wtrącił się Leopold.

– Dostaniesz pieniądze, mnichu. – Księżę podniósł ręce w geście uległości. – Ona jest twoją narzeczoną, wuju, musimy więc zapłacić każdą cenę, byleby tylko sprowadzić ją z powrotem, czyż nie? – Odwrócił się od imperatora w stronę doży i doma Erona. Każdy z nich obdarzył go skinieniem wyrażającym aprobatę.

Zaimponował tym Aeduanowi. Wzbudził w nim nawet jeszcze większy podziw, kiedy popatrzył mu w oczy i powiedział:

– Chodź ze mną do mojej komnaty. Powinienem tam mieć przynajmniej połowę tej sumy. Czy to ci odpowiada?

– Tak.

– To dobrze. – Leopold uśmiechnął się bez emocji. – Jestem przekonany, że wszyscy zgadzamy się z tym – kolejny raz spojrzął na dom Erona – że zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu. Za twoim pozwoleniem, Wasza Imperatorska Mość, dołączę do mnicha w poszukiwaniach twojej narzeczonej. Znam Safiyę i myślę, że moja intuicja będzie ogromnym wsparciem podczas pościgu.

Kiedy Aeduan usłyszał te słowa, cały jego szacunek do tego człowieka z miejsca się ulotnił. Księżę będzie go spowalniał. Rozpraszał. Zanim jednak zdążył zaprotestować, Henrick skinął szybkim ruchem głowy.

– Tak, dołącz do otchłaniarza. I trzymaj go krótko na smyczy. – Imperator uśmiechnął się szyderczo, najwyraźniej licząc na odpowiedź. Lecz wbrew jego oczekiwaniom Aeduan milczał.

Kilka chwil później Leopold wskazał krwiodziejowi drogę do swojego pokoju. Aeduan wyszedł za księciem, rozgrzewając nadgarstki. Czuł narastającą frustrację.

Przynajmniej nikt nie wspomniał, że Safiya jest prawdodziejką. Kiedy już dostanie sowitą zapłatę za jej wytropienie, będzie mógł bez przeszkód oddać ją swojemu ojcu.

Cartorrianie co prawda płacili mu za znalezienie Safiyi fon Hasstrel, ale nie padło ani jedno słowo o tym, żeby ją im zwrócić.

ROZDZIAŁ 19

Przez dwie godziny, które minęły, odkąd Merik odprowadził Safi do jej kajuty i nakazał zostać pod pokładem ze względów bezpieczeństwa, cały czas usiłowała odpowiedzieć sobie na wszystkie nurtujące ją pytania. Było ich jednak zbyt wiele. Dotyczyły ostatnich wydarzeń – począwszy od planów wujka związanych z wydaniem jej za imperatora, a skończywszy na fatalnym stanie Iseult. I jeszcze te irytujące kroki na górze. Odbijały się echem w czaszce Safi i sprawiały, że miała ochotę krzyknąć z całych sił. Zaczęła w końcu sama chodzić tam i z powrotem po niewielkiej kajucie. Evrane wciąż opatrywała ranę Iseult.

– Przestań – powiedziała w końcu ostro mniszka. – Albo stąd wyjdź. Rozpraszasz mnie.

Safi wybrała to drugie, zwłaszcza że miała teraz na to czyjeś pozwolenie. To była jej szansa, żeby zbadać ładownię i dzięki temu obmyślić sposób wydostania Iseult na wolność. W głowie tak wyraźnie słyszała słowa powtarzane przez Habima, jakby stał tuż obok niej.

Ładownia okazała się zwykłą wnęką wypakowaną skrzyniami, sieciami, workami i beczkami. Kręciło się tam sporo marynarzy. W każdy kąt, który Safi sprawdziła, coś wciśnięto. Jedyne źródło światła stanowił wątki promień wpadający do pomieszczenia z góry, znad drabiny. Wszędzie czuć było smród potu i brudnych ciał, do tego z pomieszczenia z żywym inwentarzem, które znajdowało się na dolnym pokładzie, dochodził żrący fetor kurzych odchodów. Safi z ulgą stwierdziła, że przynajmniej nie słychać gdakania ani żadnych innych odgłosów wydawanych przez zwierzęta. I tak z trudem znosiła panujący tu hałas.

Pomimo tego, że większość marynarzy przebywała na górze, Safi naliczyła dwudziestu siedmiu mężczyzn skulonych przy skrzyniach i usadowionych przy beczkach. Wyglądało na to, że na statku nie przewidziano kajut dla załogi. Spośród stłoczonych tu jegomościów, których minęła, dziewiętnastu syknęło:

– Żałosny obrońca Nomatsów.

Udała, że nie rozumie, a nawet skinęła każdemu przyjaźnie, niemniej dobrze zapamiętała ich spalone słońcem twarze.

Z drabiny zeskoczył chudy, czarnoskóry chłopak z warkoczykami do ramion. Magia Safi podpowiedziała jej, że nie stanowi zagrożenia, więc kiedy ją mijał, pociągnęła go za ramię.

– Czy załoga obróci się przeciwko Nomatsance?

Chłopiec mrugnął, potrząsając głową, po czym odpowiedział wysokim, zdecydowanie żeńskim głosem:

– Nie, jeżeli dziewczyna ma po swojej stronie admirała, a raczej tak właśnie jest. On nie ma nic przeciwko niej... w przeciwieństwie do reszty z nas.

– Was?

– Nie, mnie nie! – Dziewczyna podniosła ręce. – Przysięgam, przysięgam. Nie mam nic do Nomatsów. Miałam na myśli załogę.

Prawda. Safi przetarła oczy. Nad jej głową słychać było szuranie o pokład, brzdęk mieczy i donośne krzyki. Cokolwiek ćwiczyli marynarze, marzyła o tym, żeby już skończyli.

Zaczęła ponownie chodzić tam i z powrotem. Podwójne uderzenia do powolnego rytmu wybijanego na bębnie. Potrójne uderzenia. Dlaczego nie mogła wpaść na żaden sensowny plan? Iseult przychodziło to z taką łatwością, a kiedy ona usiłowała pozbierać myśli, rozmywały się niczym muł w strumyku.

– Nie powinnaś tyle chodzić – powiedziała dziewczyna. Podążyła krok w krok za Safi. – Załoga zacznie się skarżyć, a wtedy admirał zamknie cię pod kluczem.

Safi zatrzymała się. Zamknięcie zdecydowanie ograniczyłoby jej szansę na obronę albo ucieczkę, gdyby zaszła taka konieczność.

– Mam niezłą miejscówkę na górze – zasugerowała nieznajoma, wskazując na drabinę. – Nie da się tam spacerować, ale możesz obserwować musztrę.

Nozdrza Safi zadrgały. Podeszła do najniższego szczybla i spojrzała w górę. Musiał tam być Merik. A także Kullen – który natychmiast by ją obezwładnił, widząc najmniejszy przejaw nieposłuszeństwa. Z drugiej strony wyjście na pokład pozwoliłoby jej lepiej się rozeznać. Może jeśli zdobędzie więcej informacji, obmyśli wreszcie jakiś plan działania.

– Nikt nas nie zobaczy? – zapytała. W końcu Merik rozkazał jej zostać pod pokładem.

– Daję słowo.

– W takim razie prowadź.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i zaczęła się wspinać po drabinie. Safi podążyła tuż za nią. Wkrótce znalazła się pośród marynarzy, którzy, trzymając wysoko kordelasy, zwinnie poruszali się po rozkołysanym pokładzie. Choć większość posyłała jej zimne spojrzenia, z ust żadnego nie usłyszała drwin, nie wyczuła też agresji. Ci uprzedzeni najwyraźniej znajdowali się głównie na dole. Mimo wszystko Safi wiedziała, że nie może długo tutaj zostać. Postanowiła wrócić do Iseult zaraz po zdobyciu niezbędnych danych.

Idąc za przewodniczką, policzyła, że od drabiny do dziobówki jest piętnaście kroków. Dziewczyna przykucnęła za czterema beczkami, od których bił zapach martwych ryb. Safi w mgnieniu oka znalazła się tuż przy niej, zadowolona, że faktycznie nikt nie zdoła jej tu zobaczyć. Z tego miejsca widziała ćwiczących marynarzy, których, jak właśnie sobie to uświadomiła, było tu znacznie więcej, niż sądziła. Ponieważ załoga ustawiła się w szeregach, Safi z łatwością oszacowała, że liczy na pewno ponad pięćdziesiąt osób... a najprawdopodobniej dwa razy tyle. Cóż, matematyka nigdy nie była jej mocną stroną.

Wysunęła głowę nad beczkę i zauważyła przy kole sterowym Merika, Kullena i trzech innych mężczyzn. Wszyscy mieli wiatrokulary i jednocześnie poruszali ustami. Wkrótce dostrzegła również źródło niekończącego się huku – młody mężczyzna, z warkoczykami takimi jak nowo poznana dziewczyna, uderzał w ogromny, ułożony poziomo bęben. Safi miała ochotę złamać mu pobijak na pół. Ale przede wszystkim marzyła o tym, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Na piekielnych bogów – zaklęła, odwracając się do towarzyszki. – Co to za smród?

– To rybie odpady. Zbieramy je. – Dziewczyna strąciła z najbliższej baryłki błyszczącą łuskę i kiedy Safi popatrzyła na podłogę, zauważyła ich całe mnóstwo. – To dla morskich lisów. Musimy je karmić, kiedy przepływają obok, w przeciwnym razie nas zaatakują.

– Morskie... lisy – powtórzyła beznamiętnym głosem Safi. – To te mityczne węże, które żywią się ludzkim mięsem?

– Owszem.

– Ale chyba w to nie wierzycie? To przecież tylko opowieści, którymi się straszy dzieci, tak jak te o górskich nietoperzach. Albo Dwunastu Paladynach.

– Oni też są prawdziwi – odparła z przekonaniem dziewczyna. Jakby na potwierdzenie tych słów wyjęła z kieszeni zniszczoną talię złotych kart do gry w taro i odsłoniła pierwszą z nich. Widniał na niej Paladyn Lisów, pokryty niebiesko-zielonym futrem wąż owinięty wokół miecza. Jego lisia morda gapiła się na Safi.

– Niezła sztuczka – mruknęła prawdopodobiejką, czując swędzenie palców. Znała wiele kart taro, ale nigdy wcześniej nie widziała, żeby zamiast zwykłego czerwonego lisa narysowano na nich wizerunek lisa morskiego. Zaczęła się zastanawiać, co mogło się znajdować na pozostałych.

– To nie sztuczka – odparła dziewczyna. – Pokazuję ci właśnie, jak wygląda morski lis. To te ogromne węże w wodzie, widzisz? Co kilka dziesięcioleci zrzucają skórę i wychodzą na brzeg jako piękne kobiety, które uwodzą mężczyzn...

– I zaciągają ich do swoich grobów – dokończyła Safi. – Legenda o górskim nietoperzu jest taka sama. Ale wolałabym wiedzieć, czy rzeczywiście widziałas morskiego lisa.

– Nie. Chociaż – dodała pośpiesznie – niektórzy ze starszych członków załogi twierdzą, że walczyli z nimi w czasie wojny.

– Rozumiem – powiedziała Safi, przeciągając samogłoski.

Faktycznie to rozumiała. Merik i jego kapitanowie musieli trzymać na pokładzie odpadki, żeby uspokoić przesądnych członków załogi, dokładnie tak samo jak każdego roku wujek Eron posyłał owce do jaskini w pobliżu zamku Hasstrel, aby rzekomo nakarmić nimi górskie nietoperze.

Przez całe dzieciństwo Safi przetrząsała wysokogórskie lasy wokół majątku rodu Hasstrelów w poszukiwaniu najmniejszego śladu smoka wyglądającego jak nietoperz. Odwiedziła pobliskie jaskinie, gdzie podobno miały mieszkać, i spędziła wiele dni obok wymarłej Prastudni Ziemi, czekając, aż pojawi się w niej piękna kobieta. Po dziesięciu latach i braku odnalezienia jakiegokolwiek dowodu Safi zaakceptowała w końcu fakt, że górskie nietoperze, o ile w ogóle kiedyś istniały, obecnie były równie martwe jak sama Prastudnia, obok której miały mieszkać. Morskie lisy, pomyślała, to dokładnie taka sama historia.

– A tak w ogóle, to mam na imię Rybera. – Dziewczyna skinęła głową. – Rybera Fortsa.

– Safiya fon Hasstrel.

Rybera przygryzła wargę, jakby usiłowała stłumić uśmiech.

– Jesteś domną, tak? – Podrzuciła kolejną kartę taro.

Przedstawiała kobietę z zakrytą twarzą skierowaną w stronę Prastudni, a dokładniej Prastudni Ziemi. W przeciwieństwie do miejsca, w którym dorastała Safi, to na obrazku zdawało się wręcz sielskie. Wokół wypełnionej wodą studni rosło sześć buków, między nimi wily się kamienne ścieżki. Podobnie jak w przypadku Paladyna Lisów, rysunek ten wyglądał zupełnie inaczej niż te, które do tej pory Safi widziała na kartach.

Rybera wsunęła kartonik do talii, a Safi popatrzyła na marynarzy. Zwróciła uwagę na jednego z młodych mężczyzn, którego twarz była szczególnie spocona i zaczerwieniona. Jego umiejętność posługiwania się kordelasem... cóż, pozostawiała wiele do życzenia. W ciągu kilku sekund jego przeciwnik, wiekowy i na dodatek chromy, dwukrotnie odebrał mu broń. Dobrze, zatem ten młody fajtłapa pójdzie na pierwszy ogień, jeżeli się okaże, że będzie potrzebowała broni.

– Twoja załoga prezentuje się dość nierówno – powiedziała, odchylając głowę do tyłu, aby móc złapać odrobinę świeżego powietrza. – Niektórzy potrafią walczyć, ale większość to łamagi.

Rybera westchnęła.

– Nie mamy wielkiego doświadczenia. Ci dobrzy – pokazała na starszego, kulawego mężczyznę – walczyli w czasie wojny.

– A czy szkolenie marynarzy nie jest obowiązkiem pierwszego oficera? – Safi zmrużyła oczy, patrząc w kierunku koła sterowego. Wiatr rozwiewał blade włosy Kullena, który nadal wraz z pozostałymi pływodziejami nucił pieśń. Merika nie dostrzegła. – Ten człowiek nie patrzy nawet na musztrę.

– Teraz jest zajęty. Zazwyczaj nas szkoli.

Coś w obronnym tonie głosu Rybery sprawiło, że Safi przyjrzała się jej uważniej. Pomimo chłopięcej figury i zdecydowanie mało twarzowych warkoczyków Rybera nie była brzydka. Teraz, kiedy Safi przypatrzyła się jej lepiej, uświadomiła sobie, że oczy dziewczyny są srebrne. Nie szare, ale prawdziwie, lśniaco srebrne. Pierwszy oficer musiałby być ślepy, żeby się w nich nie zakochać.

– A więc jesteście razem – zagadnęła Safi.

– Nie – zaprzeczyła Rybera pośpiesznie... Zbyt pośpiesznie i zbyt gorliwie. – Jest po prostu dobrym oficerem. Uczciwym i mądrym.

Safi poczuła znajome drapanie. Kiedy ponownie popatrzyła na Kullena, musiała powstrzymać uśmiech. Był potężnym mężczyzną z równie potężną magią, z łatwością mógł ją pokonać. Możliwe jednak, że pod tą wzbudzającą respekt powierzchownością kryło się coś więcej.

Rybera znów westchnęła i wyjęła z talii kolejną kartę. Widniał na niej Paladyn Ogara: wąż z głową psa owinięty wokół miecza. Spojrzała na nią, a następnie na Kullena. W jej oczach natychmiast pojawił się blask. A więc ona i pierwszy oficer byli parą i łączyło ich coś więcej niż flirt. To była poważna relacja. Safi zacisnęła wargi. Rybera miała mniej więcej tyle lat co ona, ale tu działo się coś, o czym prawdopodobnie niewiele wiedziała. W Veñazie zdarzało jej się flirtować z młodymi mężczyznami, takimi jak Rzeźbimieszek, ale zazwyczaj kończyło się na pocałunkach i szybkim rozstaniu.

– Czy księżę jest z kimś związany? – zapytała i natychmiast tego pożałowała. Nie miała pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy. – Chodzi mi o to, czy członkowie załogi księcia Merika mogą wchodzić w związki.

– Nie między sobą – odparła Rybera. – Poza tym nie jesteśmy na nubreveńskiej ziemi, domno. Tutaj Merik to nie księżę, a admirał Nihar.

Ta informacja wydała się Safi intrygująca.

– Tytuł księcia zmienia się w zależności od tego, gdzie się on znajduje?

– No jasne. A twój?

– Nie. – Teraz Safi przygryzła wargę. Podmuch słonego wiatru smagnął jej włosy, lecz zamiast oczekiwanego chłodu poczuła, że na jej brwiach pojawiły się kropelki potu. Ciepło, które ją ogarnęło, było jednak inne niż wcześniej: przepełnione złością i podszyte strachem. Uczucie to spotęgowało się, kiedy Rybera opowiedziała jej, jak wyznaczenie przez Merika racji żywieniowych wywołało sprzeciw załogi i wpłynęło na powiększenie grona przeciwników księcia, a tym samym zwolenników księżniczki Vivii. I o tym, że od czasów wielkiej wojny stolica ich państwa stała się zaniedbana i przeludniona.

Przekonująca prawda leżąca za tymi słowami sprawiła, że Safi zaczęła nerwowo zaciskać palce. Świat przedstawiony przez Ryberę wydawał się zupełnie inny niż ten, który zostawiła za sobą. W Imperium Dalmockim

panowała bieda, nie dało się tego ukryć, ale nikt nie cierpiał tam głodu. Być może... być może Merik faktycznie potrzebował tego handlu, nawet z przeklętym rodem Hasstrelów.

W chwili, kiedy Safi zamierzała wstać i powrócić do kajuty, żeby sprawdzić, jak się czuje Iseult, usłyszała zagłuszający nawet dźwięk bębna krzyk Evrane:

– A więc pozwolisz tej dziewczynie umrzeć?! Musisz nas zabrać na brzeg!

Safi zmroziło. Poderwała się błyskawicznie, ignorując Ryberę, która szeptem kazała jej się schować. Zobaczyła Merika, jak zwinnie wchodził po drabinie. Jego ciotka podążała tuż za nim. Już na pokładzie książę zrobił kilka kroków do przodu i obrócił głowę, jakby kogoś szukał, a marynarze ustąpili mu z drogi. Evrane podeszła do niego.

– Ta dziewczyna potrzebuje uzdrowiciela, który jest ogniodziejem, Meriku! Bez niego umrze!

Książę nie odpowiedział, zignorował Evrane również wtedy, gdy ponowiła żądanie natychmiastowego przybicia do brzegu.

Safi zacisnęła pięści. Jej stopy, łydki, brzuch – całe ciało trwało w gotowości do ataku. Skoro Merik nie zamierzał ocalić Iseult, nie był ich sprzymierzeńcem. Stał się zatem przeciwnikiem, a statek – polem walki. Umowa wuja i wrogość marynarzy przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

ROZDZIAŁ 20

Merik zszedł pod pokład, żeby zajrzeć do Safi. Nie czuł się dobrze z tym, że zostawił ją samą w kajucie. Jej więziosiostra była chora i doskonale rozumiał, iż mogło to na nią wpływać wprost fatalnie. Kiedykolwiek pojawiały się jakieś problemy, Merik natychmiast musiał im zaradzić. Poza tym to jedyna sprawa, którą w tym momencie mógł się zająć. Głosodziej Vivii prześladował Hermina, żądając, aby Merik powiedział siostrze, gdzie znajduje się dalmocki statek handlowy. Księżniczka nie zamierzała odpuścić, dopóki na własne oczy nie zobaczy umowy z Hasstrelami. Merik kolejny raz ją okłamał, mówiąc, że interesujący ją okręt jest dopiero w połowie drogi. Czuł jednak, że siostra zaczynała się czegoś domyślać.

Evrane zaczęła go, kiedy schodził z drabiny.

– Musimy przybić do brzegu – oświadczyła. – Iseult jest zbyt chora, nie przeżyje dalszej podróży. Jaki port mamy w pobliżu?

– Żaden, w którym moglibyśmy się zatrzymać. Nadal jesteśmy na terytorium Dalmocji – odparł Merik, usiłując zejść pod pokład.

Evrane zagroziła mu drogę.

– Czego ty nie rozumiesz, kiedy mówię, że nie przeżyje dalszej podróży? Ta sprawa nie podlega dyskusji, Meriku.

– To nie ty dowodzisz na tym okręcie. – Zaczynał już tracić cierpliwość. – Zatrzymamy się, kiedy ja tak powiem. A teraz odsuń się, bo chcę odwiedzić domnę.

– Nie ma jej w kajucie.

Merika ogarnęło znajome zaniepokojenie.

– Gdzie w takim razie jest? – zapytał cicho.

– Zapewne na górze.

– Przecież miała zostać pod pokładem – upierał się Merik. Jego głos wciąż był niepokojąco cichy. – Dlaczego nie zatrzymałaś jej w kajucie?

– Ponieważ nie należy to do moich obowiązków.

Słyszając te słowa, Merik zapłonął gniewem. Evrane wiedziała, co zakładała umowa z Hasstrelami, wiedziała, że Safiya musi zostać pod pokładem ze względów bezpieczeństwa. Jedna niewielka rana mogła na zawsze pozbawić go kontraktu.

Na samą myśl o przelanej krwi Safiyi... o tym, że coś mogłoby się jej stać... Zawrócił ku drabinie.

– A więc pozwolisz tej dziewczynie umrzeć?! – krzyknęła za nim ciotka. – Musisz nas zabrać na brzeg!

Merik zignorował jej słowa. Zamierzał znaleźć Safiyę i wytłumaczyć jej, najdelikatniej jak potrafił, że pod żadnym pozorem nie może ponownie opuszczać kajuty. Ona go wysłucha i będzie mu posłuszna, a on znów się odpręży. Nie pojawią się żadne zakłócenia.

Idąc w stronę rufy, ryknął na marynarzy, żeby zeszli mu z drogi. Jego magia usiłowała nad nim zapanować i choć próbował, nie mógł jej powstrzymać.

– Admirale!

Merik zatrzymał się. To był głos Safiyi. Tuż za nim. Odwrócił się powoli, czując, że jego klatka piersiowa unosi się i opada coraz szybciej. Szalał w nim najdzikszy z wichrów, nie czuł czegoś podobnego od wielu lat. Zaczynał tracić nad sobą kontrolę. I stracił ją zupełnie, kiedy zobaczył Safiyę z kordelasem w dłoni.

– Zabierzesz nas na brzeg – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zabierzesz nas tam, i to teraz.

– Nie posłuchałaś mojego rozkazu – powiedział, przeklinając w duchu. Jak to było? Wytłumaczy jej najdelikatniej, jak potrafi? – Powiedziałem ci, że moje słowo jest święte i że masz zostać pod pokładem.

W odpowiedzi dziewczyna uniosła kordelas.

– Jeżeli Iseult potrzebuje uzdrowiciela, który jest głosodziejem, to musimy zejść na brzeg.

Merik uświadomił sobie, że bęben ucichł, a statek kołysze się bez udziału pływodziejów. Wyjął swój nóż.

– Zejdź pod pokład, domno. W tej chwili.

Safiya jedynie uśmiechnęła się złośliwie i spokojnie podeszła do Merika. Wyprężyła się tuż przed nim, tak że jej mostek dotykał teraz jego ostrza.

– Znajdź uzdrowiciela, którego potrzebuje Iseult, albo osobiście dopilnuję, żeby twoja umowa straciła ważność.

Merik poczuł narastające ciepło w czaszce. Ona sama się zaraz zrani. Przeleje krew, a Merik straci wszystko, na co pracował. Jakimś sposobem dowiedziała się, co jest w umowie, i teraz wystawiała go na próbę. Opuścił kordelas, lecz nie zdołał ujarzmić wściekłości. Zerwał się potężny wiatr.

– Kullen! Wstrzymaj jej powietrze!

Safiya zbladła.

– Tchórz! – warknęła. – Egoistyczny tchórz. – Po czym ruszyła do ataku.

Merik zdążył się cofnąć w ostatniej chwili, zanim ostrze przeszło miejsce, w którym dopiero co znajdowała się jego głowa. Rzucił się w stronę rufy. Słowo „tchórz” zdawało się smagać go z każdej strony. Miał wrażenie, że słyszy je z ust marynarzy. W tłumie dostrzegł Kullena. Pierwszy oficer potrząsnął głową, dając tym do zrozumienia, że mu nie pomoże. Księżę natychmiast pojawił się: marynarze jego ojca widzieli jedynie kobietę, na dodatek cartorriańską kobietę, która właśnie nazwała ich nowego admirała tchórzem. Gdyby to Vivia albo Serafin dowodzili Janą, sprawiedliwości natychmiast stałoby się zadość. Jego podwładni właśnie tego oczekiwali. Co gorsza, nie mieli pojęcia o umowie z fon Hasstrelem. Oznaczało to zatem, że Merik będzie musiał walczyć z Safiyą, i to w taki sposób, żeby nie przelać jej krwi.

Dziewczyna pędziła w jego stronę, jej warkocze powiewały na wietrze. Marynarze zeszli jej z drogi, uważnie obserwując rozwój sytuacji. Safiya stanęła tuż przed Merikiem, mierząc w niego kordelase, on jednak odparł atak. Ze stali posypały się iskry. Dziewczyna była silna, musiał jak najszybciej wykluczyć ostrza z tej walki. Nawet najmniejsze draśnięcie mogłoby unieważnić umowę.

Kolejny świst kordelasa. Merik zablokował cios, ale stał przyparty do drzwi kajuty. Do tego cały świat ostro przechylił się na lewo, a okręt zamarł na chwilę w tej pozycji, zanim ponownie się zakołysał. Safi doskonale wykorzystała ten moment. Jedno cięcie, dwa. Trzy, cztery... Lecz gdy Jana przechyliła się na drugą stronę, prawdopodobnie się zachwiała. Musiała odzyskać równowagę przed wymierzeniem kolejnego ciosu. Merik był już gotów. Kiedy podniosła nóż, zrobił unik. Ostrze uderzyło w ścianę, a admirał zablokował napastniczkę. Gdy tylko znalazła się tuż przy nim,

zaczęła okładać go pięściami. Cios w nerki, w kręgosłup, znów w nerki... Zwolnił uścisk, a okręt się zakołysał. Książę poczuł, że traci równowagę, postanowił więc odwołać się do swojej magii. Pod dziewczyną pojawił się silny podmuch i przechylił ją na bok, dzięki czemu Merik znów stanął pewnie... Ale tylko na chwilę, gdyż Safiya złapała go mocno za ramię i rąbnęła kolanem w zebra. Zgiął się wpół, pewny, że zaraz wyrznie na deski.

Wtedy jego magia eksplodowała. Silne uderzenie powietrza zdmuchnęło oboje z pokładu. Zawiirowali. Zaczęli koziołkować. Cały świat zamazał im się przed oczyma, znaleźli się ponad masztem. Wiatr szalał. Safiya nawet nie zdążyła zauważyć, jak wysoko się wzbili.

Merik usiłował przejąć kontrolę nad chaosem, który sam wywołał. Był wściekły, że dał się ponieść, ale nie potrafił ukryć, że ta dziewczyna obudziła w nim gniew. Jego magia nie podlegała już teraz jemu, tylko jej.

Uderzyła go pięścią w twarz. Zanim ją powstrzymał, kopnęła go, robiąc obrót, i tym samym obydwójce przekreślił się do góry nogami. Merik miał przed oczami jedynie płótno żagla, takielunek i uderzające go w twarz pięści Safi. Odpierał jej ataki, ale w pewnej chwili popchnął ją zbyt mocno – a może zrobiła to jego magia? Gdy znalazła się w pewnej odległości od niego, czar przestał na nią działać i runęła głową w dół w kierunku gapiących się na nich marynarzy. Merik pchnął pod nią zaczarowany wiatr, tak że wzbiła się z powrotem ku niemu. Odwrócili się stopami w dół. Ocean i takielunek przeleciały mu przed oczami. Safiya przyłożyła mu z całej siły prosto w brzuch. Poczuł, że traci oddech, że jego magia go opuszcza. Zaczęli spadać. Jedyne, co zdołał zrobić Merik, to się przechylić, żeby znaleźć się pod przeciwniczką, i pomyśleć: to będzie bolało. Chwilę potem rąbnął plecami o pokład.

Nie... nie pokład – podmuch wiatru! Kullen musiał wkroczyć do akcji. Naraz admirał uderzył o drewno, a wstrząs przeszył jego czaszkę. Dziewczyna wylądowała na nim, miażdżąc mu płuca i zebra. Pomimo bólu i doznanego szoku Merik wykorzystał okazję: zahaczył kolanami o kolana domny i przerzucił ją pod siebie. Rozłożył ręce po obu stronach jej głowy i popatrzył na nią gniewnie.

– Skończyłaś?

Jej klatka falowała. Policzki miała czerwone, ale spojrzenie pełne blasku i zaciętości.

– Nie – sapnęła. – Nie, jeżeli nie zabierzesz nas na brzeg.

– W takim razie zakuję cię w łańcuchy. – Chciał wstać, ale dziewczyna złapała go za koszulę i przyciągnęła do siebie. Poddał się jej i z powrotem znalazł się tuż nad nią, ich nosy prawie się zetknęły.

– Nie walczysz... uczciwie. – Jej żebra wciskały się w jego z każdym chrapliwym oddechem. – Zmierz się ze mną... jeszcze raz. Tym razem bez swojej magii.

– Czyżbym uraził twoją dumę? – Zarechotał szyderczo, po czym zbliżył usta do jej ucha. Nosem musnął jej policzek. – Przegrałabyś nawet bez moich wiatrów – szepnął.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, sturlał się z niej i wstał.

– Zabrać ją i zakuć w łańcuchy.

Safiya spróbowała się podnieść, ale w okamgnieniu znalazło się przy niej dwóch marynarzy. Rzuciła się i krzyczała, gdy zauważyła zbliżającego się w jej kierunku Kullena. W końcu przestała walczyć, ale nie krzyczeć.

– Mam nadzieję, że spłoniesz w piekle! Twój pierwszy oficer i cała twoja załoga, mam nadzieję, że wszyscy spłoniecie!

Merik odwrócił głowę, udając, że jej nie słyszy i że nic go to nie obchodzi te krzyki. Tak na prawdę jednak słowa dziewczyny docierały do niego i ani trochę nie były mu obojętne.

ROZDZIAŁ 21

Zaledwie kilka minut zajęło Aeduanowi przekonanie Henricka, żeby go zatrudnił, ale i tak okazało się, że cały zaoszczędzony czas został skutecznie zmarnowany. Krwiodziej musiał cierpliwie czekać, aż ten zniewieściały ksiązę Leopold i jego eskorta – ośmiu piekielnych bardów – wyleżą wreszcie z pałacu.

W dwie godziny po opuszczeniu gabinetu doży Aeduan nareszcie biegł obok powozu Leopolda, zmierzając w kierunku Południowej Dzielnicy Portowej. Ruch uliczny był spory. Ludzie zjechali się ze wszystkich zakątków Veñazy, aby zobaczyć spalony pałac doży, a także, jak określała to większość z nich – „to, co zrobili ci po trzykroć przekłeci Marstokczycy”.

Aeduan nie miał pojęcia, skąd wzięły się te plotki, ale podejrzewał, że ktoś rozpuścił je celowo. Być może jeden z pyskanych strażników pałacowych albo jakiś spragniony wojny dyplomata. Poziom nienawiści wobec Marstoku był wysoki, co z łatwością dało się zaobserwować na ulicach. Rozejmowi nie wróżyło to najlepiej. Na dodatek wszystko w tej sytuacji wydawało się zewnętrznie kierowane i zaplanowane. Ktoś chciał, żeby Marstokczyków uznano za wrogów. Aeduan zachował to dla siebie. Z pewnością nie zapomni przekazać tych spostrzeżeń swojemu ojcu. Zapamiętał również fakt, że z ośmiu piekielnych bardów podlegających Leopoldowi po przebiegnięciu dwóch przecznic jedynie dowódca mógł nadal normalnie oddychać. Ot, cała elitarna ekipa wsparcia. Zanim jednak powóz Leopolda wtoczył się do Południowej Dzielnicy Portowej, sam Aeduan był już haniebnie wyczerpany.

Nastawał wieczór, a świeżo zaleczone mięśnie paliły z wysiłku, pocił się jak świnia, do tego stare blizny znowu zaczęły broczyć krwią, co oznaczało, że nowa koszula znowu została poplamiona. Ach, Aeduan nie mógł się już doczekać, aż się zemści. Niech no tylko natknie się na tę więziodziejkę!

Leopold wyszedł z powozu, mrużąc oczy w słońcu. Miał na sobie niebiesko-zielonkawy aksamitny surdut, zdecydowanie zbyt elegancki jak na morską wyprawę, u biodra zwisał rapier ze złotą rękojeścią. Krwiodziej uznał, że owa broń pełniła funkcję bardziej dekoracyjną niż praktyczną. Ale cóż – pieniądze to pieniądze i nowa skrzynia Aeduana wypełniona srebrnymi talarami była warta pieczenia się w słońcu i wysłuchiwanie niekończącego się narzekania zniewieściałego księcia.

– Co to za smród?! – zawołał Leopold, zasłaniając usta dłonią odzianą w rękawiczkę.

Kiedy żaden z piekielnych bardów się nie wychylił, aby mu odpowiedzieć – a tak po prawdzie, to się wycofali, jakby umyślnie unikając rozmowy z nim – obowiązek polegający na udzieleniu informacji spadł na Aeduana.

– Ten smród – powiedział bez emocji – to ryby.

– I odchody obrzydliwych Dalmotczyków! – ryknął brodaty mężczyzna nadchodzący od strony pomostu. Miał na sobie szmaragdowozielony płaszcz cartorriańskiej marynarki wojennej. Sądząc po zadartej wysoko brodzie i trzech mężczyznach biegnących tuż za nim, był to admirał, z którym miał się spotkać Leopold.

Czterech oficerów stanęło przed księciem w szeregu, wszyscy skinęli i każdy przywitał go po kolei słowami: „Wasza Książęca Mość”. Leopold uśmiechnął się z wyższością – jak chłopczyk, który dostał właśnie nową zabawkę – poprawił rapier i oświadczył po cartorriańsku:

– Załoga, na pokład. Flota wyrusza z pierwszym przypiływem i zgodnie z tym, co twierdzi ten mnich, ścigamy Nubrevenów.

Admirał przestąpił z nogi na nogę, kapitanowie wymienili spojrzenia, a piekielni bardowie jakimś sposobem wycofali się jeszcze dalej. Było bowiem niemożliwe, by ktokolwiek dokądkolwiek popłynął wraz z przypiływem. Wyprawa do Nubrevny pojedynczym statkiem stanowiłaby, w najlepszym wypadku, przedsięwzięcie ryzykowne. Pościg wraz z całą flotą równałby się misji samobójczej. Wiedział to każdy, z wyjątkiem tego, kto powinien wiedzieć o tym przede wszystkim, czyli królewskiego spadkobiercy Cartorry.

Żaden z oficerów nie zamierzał jednak zabierać głosu, łącznie z admirałem. Aeduan jęknął cicho. Czyżby bali się tego tępego księcia? Aeduan mógłby zrozumieć lęk przed imperatorem Henrickiem, ale ten był

przecież nieobecny. Odwrócił się zatem do Leopolda i powiedział po dalmocku:

– Nie możesz wysłać marynarki wojennej do Nubrevny.

– Czyżby? – mruknął Leopold. – Dlaczego?

– Bo to nic nie da.

Księżę wzdrygnął się i zarumienił – najwyraźniej się zirytował. Tak więc Aeduan, chociaż w ogóle nie miał na to ochoty, dodał z przekąsem:

– Wasza Księżęca Mość.

– Nic nie da? – Leopold musnął kciukiem skraj wargi. – Czy ja czegoś nie rozumiem? – Odwrócił się do admirała i zapytał: – Czy nie po to mamy marynarkę wojenną, aby odzyskać to, co ci podżegający do wojny Nubreveni nam zabrali? – Kiedy mówił, drgały mu policzki.

Aeduan zmienił zdanie: może faktycznie Leopold miał gorący temperament. A przecież od jego kaprysu zależał los wszystkich żołnierzy. Krwiodziej odetchnął chrapliwie i zabrał głos po raz kolejny – on przynajmniej nie miał żadnej admiralicji do stracenia:

– Marynarka wojenna jest od toczenia morskich bitew, Wasza Księżęca Mość. Czyli od walki na morzu: to raz. Dwa: nie udajemy się do Nubrevny, ponieważ zanim tam dotrzemy, domna będzie już prawdopodobnie w Lovats. Gdybym był tym nubreveńskim wiatrodziejem, zabrałbym ją właśnie tam.

Policzki Leopolda zadrgały ponownie. Księżę zwrócił się do Aeduana po dalmocku:

– A co to za różnica, czy dotrze do Lovats, czy nie? To Nubreveni porwali narzeczoną mojego wuja, a my musimy ją odzyskać.

– Dokument pieczętujący Dwudziestoletni Rozejm – przypomniawszy Aeduan – nie pozwala obcym statkom przybijać do ziem żadnego państwa bez zezwolenia...

– Wiem, co jest w tym przeklętym dokumencie! Ale powtarzam: oni mają narzeczoną mojego wuja. A to naruszenie Rozejmu.

Wcale nie, pomyślał Aeduan. Nie miał jednak ochoty się kłócić, więc tylko skinął głową.

– Jedynym sposobem, aby dotrzeć do Lovats, jest przepłynięcie obok Strażników Nodena, a te kamienne posągi są pilnie strzeżone przez nubreveńskich żołnierzy. Zakładając, że twoja flota zdołałaby ich ominąć,

co uważam za praktycznie niemożliwe, musiałyby się jeszcze zmierzyć z zaczarowanymi Wodnymi Mostami Stefin-Ekarta.

– Więc co mam w takim razie zrobić? – spytał bezbarwnym głosem Leopold.

Admirał, kapitanowie, a także znajdujący się w pewnej odległości piekielni bardowie aż się wzdrygnęli. Aeduan nie miał im już tego za złe. Henrick przynajmniej miał pojęcie, co to jest wojna, koszt i strategia, o podstawowej wiedzy historycznej nie wspominając. W niewiedzy Leopolda dostrzegł jednak swoją szansę – taką, która może się szybko nie powtórzyć. Była to szansa na zdobycie książęcego zaufania.

– Pojedynczy statek – powiedział powoli, obracając nadgarstki trzy razy do wewnątrz, trzy razy na zewnątrz. – Potrzebujemy najszybszej fregaty z całej marynarki, a także każdego dostępnego pływodzieja i wiatrodzieja. Jeżeli zdołamy zatrzymać Nubrevenów, zanim dotrą do swojej ojczyzny, możemy odebrać domnę, nie naruszając Rozejmu... Wasza Książęca Mość.

Leopold zmierzył Aeduana wzrokiem. Miejska bryza rozwiała jego blade loki we wszystkie strony. Nagle, jakby właśnie podjął jakąś ważną decyzję, zastukał palcami w rękojeść rapiera i skinął na krwiodzieja.

– W takim razie dopilnuj wszystkiego, mnichu. Natychmiast.

Tak też Aeduan uczynił – zadowolony, że teraz ci czterej oficerowie i ośmiu piekielnych bardów, którzy spoglądali na niego z niesmakiem, musieli słuchać jego rozkazów. Doświadczenie to było jednak raczej... mało komfortowe. Ludzie rzadko kiedy patrzyli na niego bezpośrednio, a tym bardziej nie stawali w tak bliskiej odległości. Kiedy wszystko zostało już zaplanowane i żołnierze znowu zaczęli go ignorować, poczuł ogromną ulgę.

Dopilnował załadunku swojej skrzyni na cartorriański kuter i wracał już do powozu Leopolda, kiedy poczuł znajomy zapach. Zatrzymał się dwa kroki od karety i zaczął węszyć. Czysta woda jezior, zima, mróz... Znał tę woń, nie mógł jednak określić, do kogo należała krew. Leopold pachniał nową skórą i dymiącymi paleniskami, piekielni bardowie śmierdzieli stryczkiem i zimnymi łańcuchami, a oficerowie mieli wyraźnie oceaniczny zapach krwi. Ktokolwiek właśnie przeszedł po pomoście, Aeduan musiał się z nim już zetknąć, ale skoro nie zapamiętał właściciela tego zapachu, to zapewne nie był to nikt ważny.

Krwiodziej naciągnął nisko kaptur. Wybiło właśnie ostatnie z siedemnastu uderzeń dzwonu, co oznaczało, że miał wystarczająco dużo czasu, aby znaleźć ulicę Ridensa, numer 14, i w końcu powiadomić ojca o swoim ostatnim, całkiem intratnym interesie.

ROZDZIAŁ 22

Safi skupiła wzrok na twarzy Iseult, szarpiąc się z obcierającymi jej nadgarstki kajdanami. Z kącika ust śpiącej spływała na brodę niemożliwa do pomylenia z niczym innym strużka śliny, ale Safi była zbyt daleko, by coś z tym zrobić, a Evrane gdzieś przepadła. Czuła się bezradna jak dziecko i ganiła się w myślach za swoje szczeniackie zachowanie. Nie powinna była rzucać się na Merika. Ale nic a nic jej to teraz nie obchodziło. Obchodziło ją natomiast to, dlaczego jej atak zawiódł. I dlaczego wszystko się tak koncertowo spartoliło.

W pomieszczeniu panował półmrok; chmury toczyły się po niebie w popołudniowym słońcu, a zewsząd dobiegał chlupot wody. Okręt nabierał prędkości, prawie już się nie kołysał, znów grzmiał olbrzymi bęben. Powrócił też odgłos stóp uwijających się na pokładzie marynarzy.

Safi przyciągnęła kolana do piersi. Łańcuch zadzwonił drwiąco.

– Cóż za popis...

Poderwała się z miejsca – w drzwiach stała Evrane. Mniszka przecięła pomieszczenie i zbliżyła się bezszelestnie do Iseult.

– Co z nią? – spytała Safi. – Mogę jakoś pomóc?

– W łańcuchach niewiele możesz. – Evrane opadła na kolana i otoczyła Iseult ramieniem. – Jej stan jest stabilny. Na razie.

Safi wypuściła powietrze z płuc. „Na razie” to niezbyt długo. Co, jeśli Safi nawarzyła piwa, którego Iseult nie zdoła wypić? Co, jeśli nigdy się nie obudzi?

Evrane obróciła się twarzą do skutej dziewczyny.

– Powinnam była zatrzymać cię w kajucie. Przepraszam.

– I tak dorwałabym Merika, albo na pokładzie, albo pod.

Evrane pociągnęła nosem, na jej twarz wypłynął oschły grymas.

– Czy odniosłaś rany w... w walce?

Safi puściła pytanie mimo uszu.

– Powiedz mi, co dolega Iseult. Dlaczego potrzebna jej pomoc ogniodzieja?

– Ponieważ coś jest nie tak z jej układem mięśniowym, a mięśnie leczą uzdrowiciele władający ogniem. – Evrane wyłowiła z pół szaty szklany słoje. – Jestem uzdrowicielką, prawda, ale władam magią wody, moją specjalnością są więc płyny ustrojowe. Moje maści – potrząsnęła słojem – zostały sporządzone przez ziemiodziejów, zatem leczą tylko skórę i kości. – Evrane postawiła naczynie na podłodze. – Choroba tocząca ciało Iseult zrodziła się ze złej magii. Ostrze, które zraniło ją w rękę, albo grot strzały, która przeszła jej ramię, zostały obłożone klątwą. Nie umiem... stwierdzić dokładnie, ale to z pewnością robota klątwodzieja.

– Klątwodzieja? – powtórzyła jak echo Safi.

– Miałam już do czynienia z podobnymi zaklęciami – podjęła Evrane. – Mogę sprawić, żeby klątwa nie przedostała się do krwiobiegu, ale obawiam się, że i tak będą przerzuty na mięśnie. Już teraz zakłęcie rozprzestrzenia się na ramieniu. Jeśli będzie postępować, będę musiała amputować Iseult rękę, ale to spore ryzyko przeprowadzać taki zabieg w pojedynkę. Najlepiej zrobić to w asyście ziemio- i ogniodzieja. Choć oczywiście nawet gdybyśmy mieli do dyspozycji asystę, większość uzdrowicieli władających magią ziemi to Cartorranie, a ognia – Marstokczycy. Merik prędzej szczerze, niż wpuści na pokład wroga.

– Teraz już nie są wrogami – wycedziła Safi, próbując odpędzić od siebie myśl o amputacji. Jak dziwnie brzmiało w jej uszach to słowo. Jak nieprawdopodobnie. – Wojna skończyła się dwadzieścia lat temu.

– Powiedz to tym, co w niej walczyli. – Evrane wskazała gestem pokład. – Powiedz to marynarzom, których rodziny zginęły w marstockich płomieniach.

– Ale przecież uzdrowiciele nie mogą krzywdzić ludzi. – Przycisnęła dłoń do drewnianej ściany, aż zbielały jej kostki. – Czy to nie wynika z charakteru waszej magii?

– Ależ możemy ranić – odparła Evrane. – Tylko nie magią.

Dziewczyna nie miała na to odpowiedzi. Z każdym oddechem staczała się głębiej w otchłań piekła, a szanse Iseult malały.

Uznała, że się nie podda, mimo że tkwi w łańcuchach. Porozumienie Merika, plan jej wuja, nawet jej własny los przeklełaby po trzykroć,

a potem jeszcze po trzykroć. Musi znaleźć sposób na opuszczenie tego okrętu, musi zapewnić Iseult pomoc uzdrowiciela.

– Należysz do arystokracji – odezwała się Evrane – a mimo to biegle posługujesz się bronią. Ciekawi mnie, gdzie się tego nauczyłaś. – Ostrożnie sięgnęła po torbę uzdrowicielską, którą zostawiła obok siennika, a następnie precyzyjnymi ruchami zdjęła bandaż z ramienia nieprzytomnej pacjentki. Bęben dudnił i dudnił. – W Nubrevnie – podjęła – nazywamy naszych domów i domny vizerami. Ziemie mojej rodziny, dzierżawa Niharów, leżą na południowy wschód od stolicy. Gówniana dzierżawa, jeśli mam być szczerą. – Rzuciła Safi krzywy uśmieszek, nie przestając delikatnie odwijać bandaża. – Ale to z gównianych dzierżaw pochodzą zwykle najbardziej rządni władzy vizerowie, a mój brat nie był wyjątkiem. Szybko zdobył rękę królowej Jany, a Niharów wprowadzono na urząd królewskich węży.

Cartorriańska arystokracja jest dokładnie taka sama – rzuciło się na myśl Safi. Bezwzględna, krwiożercza, zakłamana. Wiedziała, że Merik może i czuje powinność względem swojego kraju i rodaków, ale dla Safi owa powinność była abstrakcją. Ludzie Hasstrelów nigdy jej nie akceptowali, podobnie jak inni domowie i domny. Wuj Eron trafnie podsumował jej predyspozycje, mówiąc: „z tej mąki chleba nie będzie”. Safi nie nadawała się na władczynię czy przywódczynię.

Evrane odrzuciła brudne lniane pasma i sięgnęła po słoik z maścią.

– Polityka jest przesiąknięta kłamstwem, nubreveński dwór także. A jednak po koronacji mojego brata... – Skrzywiła się i rozwarła usta. – Kiedy Serafin został królem i admirałem królewskiej marynarki wojennej, stał się najbardziej jadowitym ze wszystkich węży, wśród których przyszło mu pełzać. Zaczął szczuć na sobie poszczególnych vizerów, napuszczać synów na córki, swoich własnych dzieci nie pomijając. – Milczała chwilę, a potem kontynuowała: – Zostałam jakiś czas z rodziną po przeprowadzce do Lovats, ale szybko zapragnęłam ją opuścić. Chciałam pomagać ludziom, a w stolicy nie sposób było nikomu pomóc. – Gdy naczynie wróciło do torby, uzdrowicielka skierowała się w stronę Safi i uczyniła gest dłonią, obracając ku dziewczynie swoje czaroznamię. – To chyba nieodłączna część błogosławieństwa, jakim jest wododziejstwo. Muszę nieść pomoc innym. Gdy nie mam co robić, jestem nieszczęśliwa. Tak więc na całe lata przed podpisaniem Rozejmu zrezygnowałam z tytułu i wyruszyłam w Góry Sirmayańskie, aby złożyć caraweńskie śluby. Prastudnie zawsze mnie do

siebie ciągnęły, no i wiedziałam, że przywdziawszy białą szatę, będę mogła pomagać. A skąd ty pochodzisz, domno?

Safi zassała powietrze, czując ogarniające ją znużenie. Poruszyła się, brzęknął łańcuch.

– Urodziłam się w Górach Orhińskich, w centralnej Cartorrze. Było tam zimno i mokro i bardzo mi się nie podobało.

– A Iseult pochodzi z osady Midenzi? – Evrane owinęła ramię dziewczyny świeżym bandażem tak wolno, że Safi nieomal ją popędziła. – Przypomniałam sobie.

Serce Safi jakby się potknęło. Srebrne włosy. Uzdrowicielka. Mniszka.

– Ty – wykrztusiła. – To ty byłaś tą mniszką, która ją znalazła!

– Tak – odparła po prostu. – A to przecież bardzo ważne. – Spojrzała na dziewczynę z ukosa. – Wiesz, dlaczego to takie ważne?

Safi wolno pokręciła głową.

– Bo to... nadzwyczajny zbieg okoliczności? – strzeliła.

– Żaden zbieg okoliczności, domno, ale celowe działanie Pani Los. Znasz Lament Eridysi?

– Chodzi ci o tę piosenkę, którą śpiewają pijani marynarze?

Evrane zachichotała bezgłośnie.

– Właśnie o nią, choć właściwie stanowi ona część o wiele dłuższego poematu. Epickiego i doniosłego dzieła, które mnisi z Carawenu uważają za... – Umilkła; jej wzrok zasnuła mgła, jakby szukała głęboko w pamięci właściwego słowa. – Przepowiednię – wyrzekła wreszcie, skinąwszy głową. – Albowiem Eridysi była wróżdziejką i wiele z jej przepowiedni się ziściło. Odkąd wstąpiłam do Zakonu, domno, czułam, że sama stanowią część Lamentu...

Safi obrzuciła Evrane pełnym niedowierzania spojrzeniem. A czy tematem piosenki nie była czasem zdrada, śmierć i żal po jednym i drugim? Czyli rzeczy, od których każdy rozumny człowiek wolałby się trzymać z daleka? A już na pewno nie chciałby, żeby stanowiły bodaj niewielką część jego własnej życiowej drogi.

Lecz kiedy Evrane znów się odezwała, nie mówiła o Pani Los i wróżbach, tylko o Iseult. Safi podniosła wzrok na jej delikatną twarz.

– Iseult jest bardzo chora – mruknęła uzdrowicielka – ale przyrzekam na Prastudnie, że nie dam jej umrzeć. Prędzej sama umrę.

Te słowa przeszły Safi na wylot, odbiły się w jej wnętrzu echem tak prawdziwym i dźwięcznym, że w odpowiedzi mogła tylko skinąć głową. Bo sama zrobiłaby dla swej więziosiostry to samo i wiedziała, że Iseult dla niej również.

* * *

Merik utkwiał wzrok w stole zasłanym tabelami i diagramami – a właściwie w czarodziejskiej miniaturze, którą stworzyła dla niego Vivia. Kullen oparł się o pobliską ścianę i tak zastygł, sztywny i beznamiętny. Tylko wyczuwalny w powietrzu chłód świadczył o jego podenerwowaniu.

Słońce sączyło się przez chmury, niesiona falami Jana unosiła się i opadała w odwiecznym rytmie oceanu. Na mapie miniatury okręcił żeglował gładko naprzód... ale dalmocki statek handlowy nie. Ten wyraźnie zwolnił i wszystko wskazywało na to, że lada moment znajdzie się dokładnie tam, gdzie przewidział Merik – i dokładnie w oszacowanym przez niego momencie.

Kłamstwa Merika stawały się prawdą na jego oczach.

Chyba mógłby powstrzymać swoją siostrę jakąś nową historyjką o statku handlowym raptownie zmieniającym kurs... Ale nie, teraz mu nie uwierzy. Najpewniej ostrzyła już sobie zęby na niespodziewającą się niczego ofiarę mającą wkrótce przepłynąć obok.

– Wykopałem nam głęboki grób – wychrypiął Merik.

– Wydobędziesz nas z niego – odparł Kullen, rozkładając ręce. – Jak zawsze.

Książę poluzował kołnierz.

– Byłem nieostrożny. Zaślepiła mnie ekscytacja tym po trzykroć przeklętym kontraktem, a teraz... – Wypuścił ze świstem powietrze, spojrzał na Kullena. – Teraz muszę wiedzieć, czy zdołasz zrobić, co jest do zrobienia.

– Jeśli pytasz, jak się mają moje płuca – rzekł Kullen niecierpliwie – to wszystko z nimi w porządku. – Temperatura spadła jeszcze bardziej, głowę Kullena przyozdobiła śnieżna aureola. – Już od tygodni nie sprawiały mi żadnych problemów. A więc pozwól, że rozwieję twoje wątpliwości. – Kullen przyłożył pięść do serca. – Polecę na okręt Vivii i wstrzymam jej pirackie wybryki. Przynajmniej do twojego powrotu.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. – Kullen pokręcił głową. – To łut szczęścia, że jesteśmy tutaj, a nie w Veñazie. Gdybyśmy wciąż tkwili na drugim brzegu morza, w ogóle nie moglibyśmy zainterweniować. – Zamilkł. Nieznaczenie się ociepliło. – Musimy omówić jeszcze jedną rzecz, nim wyruszę.

Merikowi bardzo się to nie spodobało.

– Chodzi mi o tę dziewczynę pod pokładem – podjął Kullen. – Masz wobec niej jakieś zamiary?

Merik nabrał z mozołem powietrza i spojrzał w dół, na swoją koszulę. Wciąż w spodniach, dobrze.

– Pracuję nad tym, Kullenie. Nie pozwolę jej umrzeć, jasne? Ale priorytetem jest Jana i nasi ludzie.

Kullen pokiwał głową z widoczną satysfakcją.

– Wezmę się więc do roboty.

– Ja również – odpowiedział Merik. – A teraz zbierz załogę i przywołaj pływodziejów. Czas, żeby nieco podmuchało.

ROZDZIAŁ 23

Słońce chyliło się ku zachodowi. Evrane udała się na poszukiwanie jedzenia, zostawiając Safi z myślami o Iseult i Pani Los. Przecież to bardzo mało prawdopodobne, by Iseult natknęła się na tę samą uzdrowicielkę, która jej niegdyś pomogła. Niby ile caraweńskich mniszek znajdowało się teraz na kontynencie? To ponowne niespodziewane spotkanie było więc raczej kwestią przypadku i prawdopodobieństwa – tak jak wtedy, gdy Rybera wyjęła z talii kartę Paladyna Lisów – a nie jakiegoś starożytnego poematu kierującego życiem mniszki.

Myśli Safi rozpiechły się, gdy usłyszała kroki. Drzwi kabiny otworzyły się ze skrzypieniem i ukazał się w nich Merik z drewnianą miską w rękach. Wargi Safi opięły się na obnażonych wściekle zębach.

– Znowu chcesz się bić? – rzuciła butnie, nie bawiąc się w subtelności.

– A powinienem? – Wszedł do środka i zatrzasnął drzwi stopą. – Wydajesz się grzeczna.

– Bo jestem – rzekła z wyrzutem, zgodnie z prawdą. Choć chciała warczeć i krzyczeć, sprawić, by pożałował, że dotknął jej ciała żelazem, wiedziała, że byłoby głupotą marnować energię w ten sposób. Na gwałt potrzebowała jakiegoś planu.

– Dobrze. – Merik zbliżył się i postawił miskę w takiej odległości, by mogła jej sięgnąć, choć sam trzymał się na dystans. Safi zajrzała do niej, pobrzękując łańcuchami. Jakaś cienka zupa, w której pływała bułka.

– Co to ma być?

– Nasz wikt. – Merik kucnął. Skrzyżowali spojrzenia. Miał ciemne, soczyście brązowe oczy. Wydawał się rozkojarzony. Trójkąt na jego czole wykoślawiły zmarszczone brwi. – Zupa jest zwykle na kościach. I wszystkim, co akurat uda się wrzucić do gara.

– Delicje – sarknęła.

– Bynajmniej. – Wzruszył ramionami. – Pozwól, że pomogę ci z tą bułką.

Wyłowił pieczywo z miski i z niemal zawstydzonym wyrazem twarzy porwał na mieszczące się w ustach kawałki, po czym wrzucił z powrotem do zupy. Safi obserwowała go spod półprzymkniętych powiek.

– To jakaś sztuczka? Niby dlaczego miałbyś być dla mnie miły?

– Żadna sztuczka. – Kolejne kawałki lądowały w zupie. – Chcę, byś wiedziała, że rozumiem, dlaczego... mnie zaatakowałaś. – Powoli uniósł wzrok znad miski. Ich spojrzenia się spotkały. Dostrzegła w jego oczach smutek, nawet przygnębienie. – Zrobiłbym to samo na twoim miejscu.

– To dlaczego nie zatrzymasz okrętu? Skoro rozumiesz, czemu nie zabierzesz Iseult na brzeg?

Jedyną odpowiedzią Merika było wymijające chrząknięcie. Ostatni odłamek bułki chlupnął do zupy. Safi gapiła się na dryfujące w misce pieczywo, czując, że ogarnia ją frustracja.

– Jeśli spodziewasz się – wyrzekła cicho – że okażę ci wdzięczność za zupę...

– Spodziewam się – przerwał. – Nie mamy na pokładzie zbyt wiele żywności, domno, a ty zaraz zjesz moją porcję. Więc tak, odrobina wdzięczności byłaby na miejscu.

Safi nie miała na to riposty. Ostatnimi czasy słowa często więzły jej w gardle. Jej nieufność wzmożła się dwukrotnie. Czego Merik od niej chciał? Wysondowała go magicznie i nie wyczuła kłamstwa. Podsunął jej miskę.

– Jedz, domno... O, chwileczkę! Byłbym zapomniał. – Wyjął łyżkę z kieszeni płaszcza. – Pełen serwis, co? Wiesz, ilu ludzi na górze zabiłoby za łyżkę?

– A wiesz – wypaliła – ilu ludzi mogłabym zabić łyżką?

Nagrodził ją leniwym uśmiechem, ale kiedy palce Safi zacisnęły się na sztuczu, ani myślał wypuścić go z ręki. Ich palce zetknęły się...

Ramię Safi zapłonęło ciepłem. Wzdrygnęła się, przykuliła do ciała rękę wraz z łyżką.

– Wkrótce się gdzieś zatrzymamy – powiedział Merik, pozornie niewzruszony. – Możliwe, że dojdzie do walki... Pomyślałem, że lepiej dam ci znać.

– Kto będzie walczył? – spytała osobliwie wysokim głosem. Gorąco wciąż buzowało w jej zacisniętych palcach. – Czy Iseult lub mnie coś grozi?

– Nie. – Pokręcił głową, a w tym momencie zarówno słowo, jak i gest wyprężyły się pod dotykiem magii Safi. Kłamstwo, zorientowała się. – Zadbam o wasze bezpieczeństwo – dodał zaraz, jakby mu się przypomniało. Magia Safi mruknęła z zadowoleniem. Prawda. Łyknęła zupy, krzywiąc się. Obrzydliwa, a przecież kiszki grały jej marsza. Tak rozwodniona, że prawie bez smaku, i tak zimna, że prawie skrzepnięta.

– Nie gap się na mnie, jak jem – obruszyła się. – Nie zaszlachtuję nikogo tą łyżką.

– Nodenowi dzięki. – Kąciki ust Merika powędrowały ku górze. – Trwożyłem się o życie mej załogi. – Zrobił pauzę, jakby potrzebował otrząsnąć się z jakiejś czarnej chmury, która spowijała jego myśli. Gdy znów patrzył jej w oczy, niespodziewanie dostrzegła w jego spojrzeniu przenikliwe skupienie, którego jeszcze ani razu tam nie widziała. Raptem nabrała przeświadczenia, że ujrzał ją całą, nie tylko jej powierzchowność, ale wszystkie sekrety, które skrywała.

– Szczerze mówiąc – wyrzekł wreszcie – stanowisz zagrożenie, domno. Dlatego muszę cię trzymać w łańcuchach. Zrobiłabyś wszystko dla swojej więziosiostry, ja zaś zrobiłbym to samo dla Kullena.

Prawda.

Przedłużającej się ciszy nie przerywało nic poza odgłosami jedzenia. Merik podjął:

– Znamy się z Kullenem od dziecka – odkąd trafiłem do posiadłości Niharów, gdzie pracuje jego matka. A kiedy ty poznałaś Iseult?

Dziewczyna przełknęła, niemal krztusząc się bułką.

– Dlaczego cię to ciekawi? – wycedziła.

Merik westchnął.

– Zwykła ciekawość.

Prawda.

Safi wydeła usta. Merik był z nią podejrzanie szczery, choć przecież wcale nie musiał. Uznała, że nie zyska nad nią żadnej taktycznej przewagi, gdy dowie się, jak poznała się z przyjaciółką.

– Pierwszy raz spotkałyśmy się sześć lat temu – powiedziała po chwili. – Iseult pracuje... właściwie pracowała dla mojego nauczyciela w Veñazie. Była u niego za każdym razem, gdy przychodziłam na lekcje. Początkowo... wcale jej nie polubiłam.

– Ja Kullena też nie. – Merik skinął głową. – Był zbyt spięty i jakiś taki klocowaty.

– Wciąż jest.

Wtedy Merik się roześmiał, pełną piersią, ciepło i tak szczerze, że ten śmiech obudził w brzuchu Safi jakieś przyjemne, zapomniane uczucie. Ze zmrużonymi radośnie oczami i odprężoną twarzą wydał jej się całkiem przystojny... wręcz rozbijająco przystojny. Wbrew woli i zdrowemu rozsądkowi sama poczuła, że się odpręża.

– Iseult też wydała mi się spięta – powiedziała wolno. – Nie rozumiałam jeszcze wtedy więziodziejek, Nomatsów też nie. Sądziłam, że jest dziwna. I chłodna.

Merik podrapał się w nieogolony podbródek.

– Co się zmieniło?

– Uratowała mi życie, ocaliła przed rozszczępionym. – Przeniosła wzrok na pogrążoną we śnie przyjaciółkę. Zdecydowanie zbyt bładą. – Miałyśmy po dwanaście lat. Uratowała mnie, zupełnie się nie przejmując, że sama może stracić życie.

Nieopodal sklepu Mathew mieszkała ziemiodziejka, która zaczęła rozszczępiać magię ledwie dwa kroki od Safi. Kiedy rzuciła się na nią, Safi była pewna, że już po niej. Nie wiedziała, co po nią idzie, ognie piekielne czy rybnie więdźmy, ale była pewna, że to już koniec.

Wtedy nagle znikąd pojawiła się Iseult. Wskoczyła kobiecie na plecy i zaczęła walczyć z niebywałą furią i zajadłością. Oczywiście nie miała dość siły, by powstrzymać ziemiodziejkę, więc bogom dzięki, że chwilę później pojawił się Habim.

Tego dnia zaczęła uczyć również ją. A co ważniejsze – właśnie tego dnia Safi pierwszy raz pomyślała o Iseult jak o przyjaciółce.

I proszę, jak jej odpłaciła za ratunek – prawie ją zabijając.

Zamieszała zupę, wpatrzona w kręcące się drobiny pieczywa.

– Jak ty i Kullen zostaliście przyjaciółmi?

– To dość podobna historia. – Merik zwilżył wargi i może nieco zbyt nonszalancko zaczął: – Kullen ma chore płuca. Nie wiem... czy zwróciłaś uwagę. Co za ironia, jest wiatrodziejem, który może kontrolować cudze płuca, ale nie własne. – Zaśmiał się oschle. – Pierwszy poważny atak miał w wieku ośmiu lat. Zaczął się dusić, nie mógł zaczerpnąć tchu. Wtedy ja

wtłoczyłem mu wiatr do płuc. No, właściwie to tyle. – Umilkł i spojrzał na zupę. – Smakuje?

– W sumie to nie jest najgorsze obrzydlistwo, jakie w życiu jadłam.

– Przekażę pochwały szefowi kuchni. – Skinął głową. – Robimy, co możemy, z tego, co mamy. – Uniósł brwi, jakby chciał podkreślić ukryte znaczenie swoich słów. Safi nie załapała, o co mu chodzi.

– Co masz na myśli?

– Widzisz, uważam, że ty robisz to samo: starasz się zrobić, ile możesz, wykorzystując zasoby, do których masz dostęp. Pomogę Iseult, ale dopiero wtedy, gdy będę w stanie.

– Ale ja nie mogę tyle czekać. Iseult nie może.

Merik wzruszył jednym ramieniem.

– Tak się składa, że nie macie wyboru. To ty masz kajdany na rękach.

Safi poczuła się tak, jakby uderzył ją w twarz. Upuściła łyżkę i odrzuciła miskę. Zupa zbryzgała ściany.

Kpij sobie z mojej bezradności, pomyślała. Śmieję się z kajdan na moich nadgarstkach, aż ci to bokiem wyjdzie. To ja podpaliłam ten stos i to ja go ugaszę – i niepotrzebne mi do tego niczyje pozwolenie. A już na pewno nie twoje.

– Smakuje jak gówno – powiedziała.

– Prawda. – Skinął z miną wszechwiedzącego mędrca. Doprowadziło ją to do furii. – Ale na bezrybiu i rak ryba.

Podniósł miskę z podłogi i wypłynął z pomieszczenia z taką samą gracją, z jaką do niego wszedł.

* * *

Iseult ugrzęzła w półśnie. Głosy krążyły gdzieś poza obrębem jej świadomości, a za nimi, w dali, unosiły się rozproszone sny. Ktoś tu przebywał. Ktoś poza znajdującymi się wraz z nią w kajucie ludźmi, których rozmyte głosy dobiegały uszu Iseult. Ta szczególna obecność była jak cień, jakby coś wiło się i skręcało z tyłu jej umysłu.

Obudź się, nakazała sobie.

– Śpij – wymruczał cień głosem, który znała: jej własnym. – Śpij, ale otwórz oczy...

Głos brzmiał jednak donośniej niż jej własny. Pokrywał jej umysł lepką warstwą gęstego syropu, i choć Iseult próbowała obudzić samą siebie

krzykiem i wrzaskiem, zdołała tylko zrobić to, co nakazał głos. Rozwarła powieki i zobaczyła gródz kabiny.

– Okręt – powiedział głos. – A teraz powiedz mi, więziodziejko, jak masz na imię? – Ktoś wciąż przemawiał głosem Iseult, choć w słowach brzmiała kapryśna nuta, jakby z ust wypowiadającej je osoby nie schodził uśmiech. – I czy podróżujesz z jeszcze jedną dziewczyną? Prawdodziejką? Z pewnością, bo nie ma w tej chwili więcej więziodziejek na morzu poza wami trzema, ale tylko ty jesteś w odpowiednim wieku.

– Kim... – zaczęła Iseult, choć musiała walczyć o każde słowo. Jej głos brzmiał, jakby dobiegał z bardzo daleka, dziewczyna zastanawiała się, czy czasem nie mówi w realnym świecie. Może to dlatego jej krtań płonęła z wysiłku. – Kim jesteś?

Gdy cień się odezwał, wesołość w jego tonie nabrzmiała jak dojrzały owoc, a Iseult poczuła ściekającą w dół kręgosłupa stróżkę lodowatego potu.

– Jesteś pierwszą osobą, która mnie wyczuła! Nikt jeszcze nie usłyszał moich rozkazów, inni po prostu je wykonują! Jak to się stało, że ty jedna zorientowałaś się, że tu jestem?

Iseult nie odpowiedziała. To jedyne pytanie, które zdołała wydusić, przeszło jej ciało płonącym bólem.

– Ojejku – odezwał się cień. – Jesteś ciężko chora, a jeśli umrzesz, to niczego się nie nauczysz. – Cień przywarł do niej, a jego palce zaczęły przetrząsać jej myśli. – I tak niełatwo cię odczytać, jesteś dosyć zamknięta. Mówił ci ktoś? – Nie czekał na odpowiedź. Zamiast tego w umyśle Iseult zagrzmiało pytanie: Czy podróżujesz z prawdodziejką imieniem Safiya?

Ścisnęło ją w dołku. Lód spływający po jej kręgosłupie zmroził ją od stóp do głów. Zebrała wszystkie strzępy sił i wszystkie nabyte przez lata ćwiczeń umiejętności, by uderzyć z mocą we własne rozszalałe emocje, myśli i każdy fragmencik wiedzy, który mógł wyłonić się z głębi na powierzchnię.

Nie była jednak dość szybka. Cień zwąchał jej strach i tam właśnie uderzył.

– Ależ tak! Podróżujesz z nią! Musisz, inaczej nie zareagowałabyś z taką dzikością. Och, Pani Los uśmiechnęła się do mnie. Kto by pomyślał, że to się okaże takie proste? – Wesołość uderzyła w Iseult regularnym pulsem; dziewczyna wyobraziła sobie, że cień klaszcze z radości. –

Posłuchaj mnie, mała więziodziejko, musisz utrzymać się przy życiu, rozumiesz? Dasz radę? Bo gdy przyjdzie czas, znowu będziesz mi potrzebna.

Gdy przyjdzie czas?

– Do zobaczenia! – zawołał cień rozedrganym z podniecenia głosem. A potem jego mroczna obecność gdzieś uleciała i Iseult już jej więcej nie poczuła.

I wtedy ocknęła się w realnym świecie.

Przez następne kilka minut widziała jak przez mgłę starającą się posadzić ją na posłaniu mniszkę, płonąca po drugiej stronie pomieszczenia nić Więzi Safi, wirujący i rozchwiany świat wokoło.

– Safi?

– Jestem tu, Is.

Uspokoila się nieco, dopóki mniszka nie zaczęła odwijać bandaża. Wtedy tylko nadzwyczajnym wysiłkiem woli zdołała powstrzymać cisnący się na usta krzyk: „Nie dotykaj!”. Och, na litość Księżycowej Matki, jak to możliwe, że aż tak ją boli?

„Jesteś ciężko chora” – tak powiedział cień, a widząc migoczące nad głowami mniszki i przyjaciółki bladoszare nici Więzi oznaczające przerażenie, nie miała wątpliwości, że nie kłamał. Wciąż tylko nie była pewna, czy go wyśniła, czy był prawdziwy.

Ucapiała nadgarstek uzdrowicielki.

– Czy ja umrę?

Mniszka znieruchomiała.

– To... możliwe. Mięsień toczy klątwa, ale robię, co w mojej mocy, by nie przedostała się do krwi.

Iseult prawie się roześmiała na te słowa. Corlant musiał obłożyć strzałę przekleństwem. To tłumaczy ten wredny uśmiezek, gdy ją trafił. Wiedział, że Iseult zginie od tej strzały. Tylko... dlaczego? Wciąż nie mogła pojąć, z jakiego powodu Corlant miałby chcieć jej śmierci. Gdyby chodziło mu wyłącznie o zemstę na Gretchyi i Almie, nie celowałby przecież w nią.

W tym stanie i tak nie zdołała się domyślić prawdy. Za wiele sprzecznych, mieszających jej w głowie myśli. Jej umysł był teraz za słaby, by udźwignąć to wszystko.

– Musisz pić. – Mniszka podsunęła jej bukłak. – Napij się, proszę, a ja spróbuję znaleźć coś do zjedzenia. – Dźwignęła się na nogi i opuściła

kajutę.

Iseult przechyliła głowę w kierunku Safi. Przez ułamek uderzenia serca żałowała, że nie może się rozpłakać – wycisnąć spod powiek choć kilka łez z taką łatwością, z jaką przychodzi to reszcie ludzi. Żeby Safi wiedziała, jak wielki kamień spadł Iseult z serca, gdy zobaczyła ją u swego boku!

– Jesteś skuta.

Safi skrzywiła się.

– Wkurzyłam pana admirała.

– Nie wątpię.

– I co się głupio śmiejesz? – Safi osunęła się po ścianie. Jej nici Więzi przechodziły z szarości w zatroskaną zieleń. – Nie jest dobrze, Is, ale poradzę sobie z nimi wszystkimi. Przysięgam, że to ogarnę. Evrane obiecała nam pomóc.

Evrane. Więc tak się nazywała tamta mniszka. Evrane. Prosto i skromnie.

– Co ci się przydarzyło, Is? Skąd ta rana?

Iseult wypuściła z płuc rwane westchnienie.

– Później – mruknęła. – Później... wyjaśnię. Powiedz mi lepiej, jak się tu znalazłyśmy.

Safi rzuciła okiem w stronę drzwi, a potem odpowiedziała cicho:

– Wszystko zaczęło się w Veñazie, zaraz po tym, jak Habim cię odprawił...

Przyjaciółka relacjonowała przebieg wypadków, a Iseult coraz trudniej było utrzymać skupienie i kontakt z rzeczywistością – wyłuskiwać z tej opowieści najistotniejsze szczegóły.

Truskawki w czekoladzie... Nieistotne, zdecydowała niemrawo. Ale taniec z księciem Merikiem z Nubrevny? Istotne. Przyjęcie zaręczyn Henricka fon Cartorry – a wszystko dlatego, że imperator mógł się czegoś dowiedzieć o magii Safi...

– Czekaj – weszła przyjaciółce w słowo, mrugając i próbując odpędzić rwący ból w ramieniu. – Jesteś narzeczoną imperatora? Czy to znaczy, że jesteś teraz imperatorką Cartorry...?

– Nie! – wypaliła Safi. A potem dodała spokojniej: – Wuj Eron powiedział, że nie będę musiała wychodzić za Henricka.

– Ale jeśli Henrick wie o twojej magii, to co to właściwie oznacza? Kto jeszcze wie?

– Pojęcia nie mam. – Safi ściągnęła brwi, a później wznowiła potok słów, kończąc opowieść. Okazało się, że druga jej połowa jest jeszcze bardziej niejasna od pierwszej. Iseult jakoś nie mogła przejść do porządku dziennego nad niespodziewanymi zaręczynami. Jeśli Safi zostanie imperatorką, Iseult nie będzie miała gdzie się podziać.

Skrzypnęły drzwi i do kabiny wślizgnęła się Evrane z zupą.

– Dlaczego moja pacjentka jest jeszcze bardziej blada, niż kiedy wychodziłam? – syknęła na Safi. – Nadwyręzasz jej siły, domno!

– Ja zawsze jestem blada jak śmierć – usprawiedliwiła przyjaciółkę Iseult, za co Safi nagrodziła ją niepewnym uśmiechem.

Parę minut później, gdy Evrane orzekła wreszcie, że Iseult zjadła, ile trzeba, ułożyła ją z powrotem na sienniku. Wtedy Safi, podzwaniając łańcuchami, odezwała się, tym razem nie ścisząc głosu:

– Is, zaraz sprowadzę ci jakiegoś ogniodzieja. Masz moje słowo. I przyrzekam, że już niedługo poczujesz się lepiej.

– Przyjmuję – odetchnęła dziewczyna. Powieki zanadto jej ciążyły, pozwoliła im więc opaść. – Saf, jeśli nie znajdziesz uzdrowiciela, a ja umrę, będę cię straszyć przez resztę... twojego... nędznego... żywota.

Safi się roześmiała, może nieco za głośno, a Iseult jeszcze na moment otworzyła oczy. Nici Więzi przyjaciółki były białe.

Ale – no proszę – Evrane też się uśmiechała. Miło. Kropla ciepła rozlała się po sercu Iseult. Poczwała, że czyjaś ręka spoczywa na jej czole. Minęło uderzenie serca i pomimo skrzypienia drewnianych burt okrętu magia uzdrowicielki szybko pozwoliła dziewczynie zanurzyć się w sennych falach.

ROZDZIAŁ 24

Gdy Merik wszedł na mostek z zamiarem posłania Kullena w pogoń za Vivią – a Jany w ślad za nim – ujrzał na wieczornym niebie purpurowy siniec burzowych chmur. Prędej czy później spadnie deszcz, ale na razie ciężkie powietrze stało w miejscu. Flauta taka jak ta potrafi unieruchomić statki na pełnym morzu, zwłaszcza te, które nie niosą na pokładzie czarodziejów.

Tak jak minionej nocy, tak i teraz marynarze Jany stali w rzędach wzdłuż burt – wszyscy poza Ryberą, która tkwiła za bębniem powietrznym ze wzrokiem zakotwiczonym w stojącym na dziobie Kullenie.

Merik stłumił westchnienie. Ta znowu to samo. Będzie musiał przypomnieć jej, by kryła się ze swoim afektem. Wiedział, co łączyło Kullena i Ryberę, ale ludzie nie – i lepiej, by tak pozostało. W przeciwnym razie Rybera musiałaby opuścić załogę Merika.

Ruszył pokładem, chcąc przyjrzeć się swoim marynarzom. Zeszłej nocy musieli milczeć, ale nie dziś. Zmusił się do uśmiechu – do jednego z tych, które rzucał wtedy, gdy on i jego mała załoga przemierzali wody Nubrevny, obrawszy kurs na suchy ląd.

– Najlepiej żeglować z pieśnią na ustach! – ryknął. – Może na początek Stara Aileen?

Aileen była ich ulubioną pieśnią i kilku marynarzy odwzajemniło uśmiech Merika, gdy ten ruszył w kierunku bębna i przyjął od Rybery niezaczarowaną pałkę. Ani ona, ani nikt z załogi nie wiedzieli, ku czemu płyną, i choć Merik chciałby wierzyć, że nie zgodziliby się na pirackie wybryki Vivii, całkowitej pewności mieć nie mógł.

Uderzył w bęben cztery razy, a z piątym z gardeł załogantów dobyła się pieśń:

Czternaście dni trwał z wiatrem bój,
Wśród grzmotów i skrzypienia lin!

Czternaście dni trwał tęgi znój,
Chłopów na Starej Aileen!
Hejże!
Trzyście dni łomotał szkwał,
Każdy o jego końcu śnił!
Trzyście dni deszcz z nieba lał,
Na chłopów na Starej Aileen!

Gdy mężczyźni zachrypniętymi od morskiej soli głosami zaintonowali trzecią zwrotkę, Merik przekazał pałkę Ryberze i dołączył do trzech pływodziejek. Kullen wybrał ten właśnie moment, by wystrzelić ze świstem w powietrze. Wkrótce był już tylko dalekim punkcikiem ponad horyzontem.

Najmłodsza z pływodziejek podsunęła Merikowi wiatrokulary. Admirał założył je i gdy świat rozmył się przez szkło, wydał rozkaz:

– Nabrać wody!

Klatki piersiowe pływodziejek wyduły się jak balony, Merika również, a wraz z wdechem poczuł w sobie znajomy przypływ mocy. Nie zawierała się w niej ani isierka złości, Merik był spokojny jak kałuża po wieczornym odpływie. Następnie razem z pływodziejkami wypuścił powietrze z płuc. Wiatr zawirował wokół jego nóg. Na okręt naparły fale.

– Do pływu! – zaordynował Merik, a ładunek żywiołu w jego ciele złagodniał i podpalił powietrze wokoło. – Z drogi, śledzie!

Zassana magiczna energia uszła z jego ciała. Skłębiony podmuch suchego wiatru naparł na okręt, skotłował się w rozpostartych żaglach. Jednocześnie przywołane przez pływodziejki prądy pchnęły jednostkę naprzód. Kolana ugięły się pod Merikiem; o ileż gładsze były te zrywy, kiedy kierował nimi Kullen.

Dziewięć dni ciskał nimi sztorm,
Stwór morski szczyrzył kły!
Łapy im ranił każdy szot,
Chłopom na Starej Aileen!
Hejże!

Merik dostroił się do rytmu żeglarskiej pieśni i pulsu wietrznego bębna. Moc w nim szalała, osobliwie gładka i potężna jak nigdy. Choć raz w życiu poczuł, że włada magią tak wielką, że nie wie, co z nią zrobić, a podczas gdy pływodziejki nuciły własną cichą pieśń, wichry Merika wypełniły żagle Jany. Wkrótce sam włączył się do śpiewu.

Cztery dni targał nimi głód,
A pragnienie wraz z nim!
Cztery dni skwar i morska sól,
Dla chłopów ze Starej Aileen!

Szanta wkrótce dobiegła końca, lecz Rybera wciąż waliła w bęben.

– Teraz Lovatskie dziewczyny – zagrzmiała.

Była to jej ulubiona pieśń. Pewnie dlatego, domyślił się Merik, że sama pochodziła z okolic Lovats.

Cztery uderzenia później chór marynarzy ponownie zaniósł się pieśnią, a Jana popędziła naprzód, prując fale z łatwością wchodzącego w masło rozgrzanego noża. Merik nie tracił z oczu małej postaci Kullena.

Wtem punkcik zaczął rosnać – przyjaciel zawrócił i pędził teraz w stronę jednostki z taką prędkością, że Merik przez moment bał się kolizji.

Ale Kullen zwalniał stopniowo i w końcu upadł na pokład, po czym zaraz dzwignął się na nogi. Marynarze widzieli po jego minie, że lepiej zejść mu z drogi.

– To nie jest dalmocki statek! – ryknął, czerwony jak rak, i pognał do stojącego przy sterze Merika. – Vivia zdążyła już uderzyć i to wcale nie jest statek handlowy.

Merik zamrugał na te słowa. Poczuł się jak idiota. Z początku nie pojął ich znaczenia – dotarło do niego zaledwie ich echo zagłuszone szumem napływającej do głowy krwi.

– Nie statek?

– Nie – wydyszał Kullen. – To marstocki galeon wojenny, na pokładzie jest broń i ogniodzieje.

* * *

Safi patrzyła przez bulaj na lawendowe niebo i spokojną tafłę morza. Od kiedy Evrane wpadła do kajuty, warcząc coś o „tej suce Vivii”, dziewczyna rozciągnęła łańcuchy na pełną długość i całą swoją uwagę

skupiła na widoku za oknem. Zmieniał się na jej oczach – może wrogowie, z którymi mieli się zetrzeć, widzieli teraz dokładnie to samo. Merik wspomniał coś o nadciągającej bitwie; Safi mogła tylko przypuszczać, że płyną jej na spotkanie.

Evrane chodziła w kółko po kajucie, burcząc coś pod nosem do wtóru łomocącego na pokładzie bębna. Iseult po prostu spała.

Wreszcie czuwanie Safi zostało nagrodzone – na horyzoncie uformowała się ciemna smuga, która wkrótce przerodziła się w nubreveński okręt wojenny, podobny do tego Merika, i drugi, o kadłubie tak ciemnym, że prawie czarnym.

Dziewczyna targnęła się w łańcuchach i odgięła ręce tak daleko do tyłu, jak tylko się dało, wpatrując się przez szybę w czarny kształt. Trzy maszty, wszystkie strzaskane w połowie. Przerzucona przez reling bandera.

Złapała oddech. Flagi ze złotym księżycem nie sposób było pomylić z żadną inną. Był to znak Imperium Marstockiego, a w dodatku zielone tło oznaczało, że jednostka wchodzi w skład marynarki wojennej.

– O cholera – szepnęła Safi.

– Czy tej Vivii się wydaje – powiedziała Evrane w przestrzeń – że Dalmocja nie będzie się mścić? Piractwo tępi każde państwo, a zwłaszcza morską potęgą taka jak Dalmocja.

– Nie wydaje mi się, żeby Dalmocja chciała się mścić – rzekła Safi, a Evrane zastygła w pół kroku. Prawdopodobnie, brzęcząc łańcuchami, pokazała palcem przez okno. – Ten zaatakowany przez nią okręt jest z Marstoku.

– Niech Studnie mają nas w opiece. – Zachłysnęła się powietrzem uzdrowicielka. – Vivia, coś ty narobiła?

Safi przycisnęła twarz do szyby najbliższej Evrane. Nubreveńscy marynarze prowadzili trapem na Janę mężczyzn w zielonych marstockich mundurach. Ich nadgarstki były spętane i znajdowali się na tyle blisko, że Safi dostrzegła wyraźne trójkąty na niektórych rękach.

Czaroznamiona – ogniodziejskie!

– Dlaczego żaden z ogniodziejów nie podejmuje walki? – Safi nawet by się nie zastanawiała, od razu skorzystałaby z magii, by ratować siebie bądź kompanów. Bezwiednie zaczęła tupać nogą. Coraz więcej pytań rodziło się w jej głowie. – I dlaczego zabierają imperialnych z ich okrętu?

– Sądzę – odpowiedziała Evrane, znów krążąc po pomieszczeniu – że Vivia chce pojmać marstocką jednostkę z całą zawartością, a potem się na nią przenieść. Nie może ot tak pozabijać obywateli Marstoku ze względu na Rozejm.

Safi pokiwała głową. Faktycznie. Wróciła myślami do wuja Erona i jego zakrojonego na szeroką skalę planu zakończenia Wielkiej Wojny. Czy to rzeczy takie jak ta doprowadzą do złamania Rozejmu? Czy to, czemu próbował zapobiec, dzieje się właśnie na jej oczach?

Nie miała pojęcia i znikąd nie mogła się dowiedzieć, przeniosła więc uwagę na człapiących na pokład Jany Marstokczyków. Nie dostrzegła wśród nich wielu ogniodziejów, ale z pewnością było ich dosyć, by dać odpór ludziom księżniczki.

I rzeczywiście – jeden brodacz wydawał się na tyle wściekły, by w pojedynkę rzucić się do walki z wrogiem w obronie swojego okrętu. Warczał i złorzeczył na każdego Nubrevena, który popędzał go na trapie. Wtedy Safi spostrzegła, że jego trójkątne czaroznamię ma w środku okrąg.

– Mają uzdrowiciela – powiedziała rozemocjonowana.

– Może – mruknęła Evrane.

– Żadne „może” – upierała się Safi. – Widzę znak na jego ręce. Dopiero co przeszedł trapem na pokład.

Evrane obróciła się do Safi z oczami wielkimi jak spodki.

– Jesteś pewna?

– Tak! – Safi odkleiła się od okna, łańcuchy zwiotczały. Wiedziała, co musi zrobić. Plan sam się ułożył. Wiedziała, którędy schodziło się pod pokład, jak przekraść się na górę i których marynarzy unikać. – Możemy po niego pójść w każdej chwili – powiedziała. – Szybko, póki trwa zamieszanie. Jesteśmy w stanie sprowadzić go do Iseult.

– Nie. – Usta Evrane ułożyły się w wąską linię. – Nie wolno nam ściągać na okręt wroga. To już będzie zbyt wiele, nawet jak na mnie. Ale może uda się odwrócić twój plan i zaprowadzić Iseult do uzdrowiciela.

Mniszka wyjęła klucz z poły płaszcza i uniosła go do światła.

– Skąd to masz? – Safi aż się zapowietrzyła.

– Zwędziłam Merikowi. – Błysnął pozbawiony wesołości uśmiezek. Wstała. – Rozkuj się i obudź Iseult. Ja się upewnię, że wybrzeże jest czyste, a ty w tym czasie musisz sprawić, by wstała. Musi się udać, drugiej szansy mieć nie będziemy.

Safi skinęła potakująco, czując, że rozluźniają się jej mięśnie ramion i nóg. Wreszcie zacznie działać, a nawet lepiej – biegać. Co jak co, ale biegać umiała. Tylko że z tyłu głowy kotłowała się niespokojna myśl: Merik dostanie szau. Jakby nie było, ryzykowała unieważnienie kontraktu. Już raz ją za to skuł. Ale przyjmie wszystkie konsekwencje, jeśli tylko uda się ocalić Iseult.

Zaczerpnęła głęboko tchu, zbierając siły, i porwała klucz z palców Evrane, a następnie, gdy tylko mniszka wybiegła z kajuty, wsunęła go do dziurki w kajdanach, które otworzyły się z satysfakcjonującym kliknięciem.

* * *

Merik leciał ku marstockiemu okrętowi wojennemu, poruszając się tak szybko, że niemal zostawił żołądek za sobą. Kullen frunął u jego boku, prawie niewidoczny w dzikim pędzie wichrów. A jednak pomimo nich Merik i tak pochwycił oczami Vivie.

Krępa i czarnowłosa, tak jak Merik, kobieta wywrzaskiwała rozkazy, stojąc przy trapie rozpostartym pomiędzy marstockim galeonem a jej własnym okrętem. Nubreveńscy marynarze prowadzili potulnych jak owce Marstokczyków na drugi pokład, a potem sadzali ich w rzędach wedle rangi.

Stopy Merika zetknęły się z deskami, ale zamiast rozproszyć swoją magię okręcił się i błyskawicznie wystrzelił promień energii w kierunku siostry. Moc opłótła ją i przyciągnęła przed oblicze Merika. Ale księżniczka uśmiechała się tylko, lądując z gracją o krok od niego.

– Okłamałaś mnie – warknął, zdejmując wiatrokulary. – Skłamałaś odnośnie do miniatury.

– A ty skłamałaś odnośnie do tego, gdzie się znajduje.

Merik miał niejasne przeczucie, że marynarze uciekają – zupełnie jakby za jego plecami rozpędzała się olbrzymia fala. Jednak magia Vivii była powolna, a nim zupełnie zawładnął gniew. Pistolet błyskawicznie znalazł się w jego dłoni, książkę przyłożył siostrze lufę do czoła.

– Nie odważysz się – syknęła. Rozległo się chlupnięcie, gdy porzuciła swoją falę. – Jestem nie tylko twoją siostrą, ale i przyszłą królową.

– Jeszcze nią nie jesteś. Pozwól tym ludziom wrócić na okręt.

– Nie. – Słowo to niemal zagłuszył wiatr i gwar. – Merry, Nubrevnie potrzebna jest broń.

– Nubrevnie potrzebne jest jedzenie.

Vivia roześmiała się tylko tym chropawym, kruczym śmiechem, którym szydziła z niego, odkąd pamiętał.

– Idzie wojna. Skończ z tą dziecinną naiwnością i zacznij w końcu troszczyć się o swoich roda... – Urwała, gdy Merik przeładował broń, przygotowując drzemiacą w środku ognistą magię.

– Nigdy nie mów – syknął – że nie troszczę się o swoich rodaków. Walczę za nich, chcę ratować im życie. A ty... Ty najchętniej upiekłabyś wszystkich w marstockim ogniu. Zdajesz sobie sprawę, że swoimi czynami pogwałciłaś postanowienia Rozejmu? Dostarczę cię teraz vizerom, postawię przed obliczem króla Serafina, a oni wymierzą ci karę...

– Tylko że wcale nie pogwałciłam – warknęła Vivia, błyskając zębami. – Więc wsadź sobie w kieszeń swoje formalności, Merry. Nikogo nie krzywdzę. Moja załoga pokojowo odeskortowała Marstokczyków na mój okręt, który w myśl ustaleń Rozejmu im powierzam.

– Więc zaraz każesz swojej załodze pokojowo odeskortować Marstokczyków z powrotem na ich jednostkę. Porzucisz zaś nie swój okręt, ale ich, oraz wszystko, co się na nim znajduje. – Ostatnim zrywem mięśni i magii Merik okręcił się na pięcie, gotów przerwać to szaleństwo.

– A powiesz o tym ojcu? – krzyknęła Vivia. – Powiesz mu, że wypuściłeś z rąk okręt, którego szukał?

Merik znieruchomiał w pół kroku, błyskawicznie obrócił się twarzą do siostry. Jej oczy – ciemne, bliźniaczo podobne do oczu Merika – zaiskrzyły złowroźnie.

– Co ty powiedziałaś?

Obnażyła zęby w szerokim uśmiechu.

– Jak myślisz, Merry, kto kazał podstawić nieprawdziwą miniaturę? Ojciec. To jego pomysł i jego rozkaz...

– Kłamiesz. – Merik rzucił się naprzód, unosząc broń... Ale wtedy naparła na niego ściana wiatru.

Książę zatoczył się, niemal upadając, a w jego głowie wykwitło imię: Kullen. Drugi podmuch pomógł mu odzyskać równowagę i jasność umysłu. Jego więziobrat – gdziekolwiek, u diabła, był – wreszcie kończył to, czego Merik nigdy nie powinien był zaczynać. Na co nigdy by się nie powazył, gdyby gra nie szła o tak wysoką stawkę. To przecież jego siostra, na litość Nodena.

Kullen zastąpił Merikowi drogę. Był zgrzany i wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi oczami.

– Mamy problem – wydyszał. – Jest źle.

Wskazał niemrawym gestem bezanmaszt i ruszył biegiem w jego stronę. Merik popędził za nim, porzuciwszy myśli o Vivii i ojcu, które utonęły w nowym przypływie trwogi.

– Tak myślałem, że to... dziwne – krzyczał Kullen pomiędzy haustami powietrza – że jest tu tak nieliczna załoga. To przecież niemożliwe... by taki okręt mógł przebyć Morze Jadańskie... tylko z niewielką brygadą. No więc sprawdziłem pod pokładem. – Okrążył drabinę, pokazując palcem. – I okazało się, że marynarzy było więcej.

– O czym ty mówisz? – wrzasnął Merik. – To znaczy co? Uciekli gdzieś?

– Dokładnie. – Kullen zwolnił i stanął przy potrzaskanym bezanmaszcie. Oddychał o wiele za szybko. – Myślę... że większość załogantów tego okrętu przeniosła się... na inne jednostki. A ci tutaj... Zresztą sam zobacz. – Wskazał złamane na wysokości barków Merika potężne drzewce. A później coś innego: dwa przedmioty wsparte o balustradę kilka stóp dalej.

Siekiery.

Żołądek ciążył Merikowi, jakby metalodziej zamienił go w bryłę żelaza.

– Maszt się nie złamał, sami go ścięli. O cholera. Vivia została napadnięta, Kull...

– Admirale! – zabrzmiał w nieruchomym powietrzu głos Rybery. – Admirale! – powtórzyła, a Merik stwierdził, że zaczyna go męczyć ten tytuł. I ciężar, jaki spoczywał na jego barkach, ilekroć ktoś wymówił to słowo. – Cztery okręty wojenne na horyzoncie! Płyną prosto na nas!

Merik i Kullen wymienili zdumione spojrzenia. Księżę niesiony wiatrem doskoczył do swojej siostry, która wciąż zaganiała Marstokczyków na swój okręt.

Nie miał czasu na wściekłość i nowe rozkazy, bo w tym właśnie momencie Hermin doczłapał do burty Jany i krzyknął, przykładając dłonie do ust:

– Admirale, to Marstok! Żądają natychmiastowego wydania im oblubienicy imperatora Henricka! Grożą, że nas zatopią!

Merik przypadł do balustrady.

– Kogo niby mamy im wydać?

– Oblubienicę imperatora! – Hermin zrobił pauzę. W jego oczach pełgał różowy płomyk magii. – Safiyę fon Hasstrel!

Merik czuł, jakby czas stanął w miejscu, a świat wokoło wziął głęboki oddech. Fale toczyły się leniwie jak błoto, okręt bujał się w zwolnionym tempie, niby zanurzony w melasie.

Safiya fon Hasstrel. Oblubienica imperatora Henricka.

Nagle pojął, że to musi być prawda. Wszystko miałoby wtedy sens: ucieczka z Veñazy, układ z Hasstrelami dotyczący jej bezpieczeństwa i tropiący ją krwiodziej. A jednak Merikowi nie mieściło się to w głowie. Jeśli Safiya faktycznie była narzeczoną imperatora, to przecież wkrótce zostanie imperatorem Cartorry. I własnością Henricka.

Niby z jakiej racji ta myśl tak bardzo wytrącała go z równowagi?

Rozległy się kroki i pojawił się Kullen, a jaskrawa czerwień nieschodząca z jego policzków zapowiadała rychły atak. To błyskawicznie ściągnęło Merika na ziemię. Rzeczywistość wokoło ponownie nabrała tempa, a jego palce zacisnęły się na ramieniu przyjaciela.

– Wszystko gra?

– Gra – odburknął Kullen. – Trzeba ci czegoś?

– Jesteś mi potrzebny na Janie, żebyśmy... – Wiatrodziej zawahał się, słowa rozkazu rozmyły się w wątpliwościach.

– Żebyśmy co? – popędził go Kullen.

– Żebyśmy mogli wydać imperialnym domnę – wydusił Merik. Wcale mu się to nie podobało, ale jeśli miał wybierać między jednym życiem a wieloma... – Odprowadź Safiyę na pokład i oddaj ją Marstokczykom.

Kullen zacisnął szczęki i zmarszczył brwi, ale nie spierał się z admirałem. Zawsze, nawet gdy miał inne zdanie, po prostu salutował i wykonywał rozkaz. Kiedy wzbił się w powietrze, Merik obrócił się i już miał obsypać Vivię i załogę rozkazami, ale te uwięzły mu w gardle. Nubreveńscy marynarze schodzili zwartą kaskadą pod pokład marstockiego galeonu, a obok Vivii stali w szeregu wpatrzeni w nią czarodzieje. Wśród nich pływodzię Merika.

– Zbierzcie pływy i wichry! – zawołała Vivia.

Merik puścił się naprzód, korzystając z mocy wiatru, by przeciąć pokład w ciągu dwóch uderzeń serca. Wylądował z hukiem u boku siostry.

– Co ty wyprawiasz, u diabła? Jako twój admirał, rozkazałem ci uwolnić Marstokczyków i wrócić na okręt!

Vivia uśmiechnęła się szyderczo.

– Myślę, że każdy z tu obecnych przyzna, że to ja powinnam być tytułowana admirałem. Rozejrzyj się, Merry. – Objęła gestem pływodziejów. – Przegrałeś ludzi ojca, za to ja wzbogaciłam się o cały arsenał.

Merika zatkało. Uświadomił sobie, co go teraz czeka. Okręt, dowództwo, wszystko, na co latami pracował, rozmywało mu się przed oczami jak sen. A doprowadziła do tego jego siostra, ta sama, która zawsze trzymała go pod pantoflem.

– Poniesiesz konsekwencje tego, co zrobiłaś – wyrzekł cicho, lecz ze słyszalną desperacją, a wręcz prośbą. – Ktoś gdzieś będzie domagał się od ciebie zapłaty krwi.

– Możliwe. – Wzruszyła ramionami tak niedbale, że gest ten dobitniej wyrażał jej uczucia, niż dałoby się je opisać słowami. – Przynajmniej obronię naszych ludzi. I rzucę imperia na kolana. – Odwróciła się do Merika plecami. – Przygotować pływy, załoga! Kurs na Strażników Nodena. Mamy nową broń do dostarczenia!

Z oddali dobiegł ich huk. Merik powiódł wzrokiem po linii horyzontu i ujrzał cztery płynące na nich marstockie galeony. Oraz kule armatnie pędzące ku Janie. Miał tylko ułamek sekundy, by cisnąć w nie podmuchem wichru, ale udało się i pociski wylądowały w wodzie.

Merik wzleciał z pokładu marstockiego okrętu i po kilku chwilach wylądował na mostku Jany z taką mocą, że aż chrupnęło mu w kolanach; wykorzystał pęd, by przetoczyć się naprzód, i już stał pewnie na nogach, krzycząc do Hermina:

– Powiedz Marstokczykom, że się poddajemy! Powiedz, żeby wstrzymali ogień, a my wydamy im domnę!

Głosodziej wyszedł, kulejąc, na główny pokład. W jego oczach błyszczała magia, usta poruszały się z zatrwazającą prędkością. Merik zlustrował swój statek i załogantów i z ulgą przekonał się, że nie wszyscy marynarze ojca go opuścili. Ludzie tworzący jego pierwszą załogę wciąż opowiadali się po jego stronie. Kolejny huk. Merik okręcił się i zaczerpnął magii, ale nie dość, by udało mu się zbić rozpędzone pociski.

Wtem dmuchnął wiatr silny jak huragan... Ale nie Merika, lecz Kullena. Pierwszy oficer szedł z mozołem w kierunku admirała, wspomagając rzucony przez niego czar swoim. Admirał nie miał teraz czasu, by podziękować przyjacielowi i zapytać o jego płuca.

– Dlaczego dalej strzelają?! – wrzasnął do Hermina. – Powiedz im, że dziewczyna jest ich!

Hermin pokręcił głową.

– Mówią, że teraz sama dziewczyna to za mało. Chcą swój statek z powrotem, admirałe. – Drżącą dłonią wskazał marstocki galeon, który pomimo potrzaskanych masztów sunął w kierunku Nubrevny, napędzany falami pływodziejów. A ponieważ Merik był pozbawiony ich pomocy, zanosilo się na to, że to jemu przyjdzie zapłacić krwią przed Vivią.

ROZDZIAŁ 25

I seult z wolna odzyskiwała przytomność, głowiąc się, dlaczego świat cuchnie śniętymi rybami, sufit zmienił się w purpurowe, chmurne niebo, a jej ramię płonie.

Jęk wyrwał się z jej gardła. Otworzyła oczy i natychmiast krzyknęła.

Kłęczał nad nią człowiek o obfitej, sięgającej brzucha, kręconej brodzie. Jego ręce spoczywały na jej ranie. Nie wiedziała, co ów mężczyzna robił, ale bolało, jakby trafiła na samo dno piekieł. Jęknęła, próbując wyszarpnąć rękę.

– Sza – wyszeptała jej do ucha Safi, trzymając ją za łokieć. – On cię leczy.

– Mięśnie się regenerują – mruknęła Evrane stojąca z drugiej strony Iseult. – Polepszy ci się, ale przedtem musi się pogorszyć.

Iseult przełknęła resztkę śliny, która ostała się jej w ustach, i wróciła wzrokiem do brodatego uzdrowiciela. Jego nici Więzi miały barwę soczystej zieleni, choć drżały w nich poirytowane odcienie czerwieni. Leczył ją, prawda, ale nie napawało go to szczęściem.

Wtedy zauważyła liny na jego nadgarstkach, niemal ukryte pod połami obszernych rękawów. Był więźniem. Ach tak, teraz, gdy zdołała skupić wzrok, dostrzegła za jego plecami inne nici, wirujące z irytacją, a wśród nich kilka plam wściekłego karmazynu. Pod nimi siedzieli w rzędach ludzie w takich samych uniformach co uzdrowiciel.

– Czy to okręt księcia? – rzuciła do Safi.

– Nie, właściwie to jego siostry...

Grzmotnęło.

– A to co? – wychrypiąła Iseult.

Nici Safi błysnęły rdzawym odcieniem poczucia winy.

– Tak jakby... atakuje nas marstocka flota.

– Na to wygląda – potwierdziła Evrane głosem zimnym jak stal. – Twoja przyjaciółka jest bowiem narzeczoną imperatora Cartorry, a więc

Marstokczycy ją ścigają.

Kolejne ogłuszające łupnięcia. Safi nerwowo rzuciła okiem za bulaj.

– Szybko skracają dystans. – Przeszła na marstocki i powiedziała do uzdrowiciela: – Pospiesz się albo posmakujesz caraweńskiego miecza...

– Z całą pewnością nie – wtrąciła Evrane.

– ...i caraweńskiego sztyletu.

– Również nie, ale – uzdrowicielka także przeszła na marstocki – jeśli szybko nie skończysz, utoniemy.

– Szybciej się nie da – prychnął ogniodziej. – Ciało tej przeklętej Nomatsanki ulepiono chyba z diablego łajna.

Ruchem tak szybkim, że nie sposób było złapać go wzrokiem, Safi porwała nóż z pochwy przewieszanej przez ramię Evrane i przytknęła go mężczyźnie do grdyki.

– Jeszcze jedna podobna uwaga i zginiesz.

Nienawistny grymas na twarzy uzdrowiciela pogłębił się, ale mężczyzna podwoił wysiłki.

Uszu Iseult dobiegały kolejne salwy, lecz jakby przytłumione opuszczoną na jej umysł zasłoną bólu, która również woni martwych ryb i dotykowi brody uzdrowiciela nie pozwalała przedostać się do środka. Tylko głos Safi zdołał się przez nią przedrzeć:

– Skończyłeś już? Rana jest zaleczona?

– Tak, ale pacjentka musi jeszcze wydobrzeć.

– Ale nie umrze?

– Nie. A szkoda. Nomatsańskie ścierwo... – Głos mężczyzny przeszedł w bolesne wycie, a broda przestała łaskotać Iseult w brzuch. Gdy wzrok więziodziejki wrócił do normy, zobaczyła, jak Safi pcha uzdrowiciela w ciżbę zgromadzonych na pokładzie marynarzy.

– Bądź przekłeta! – sarknął ogniodziej. – Ty dziwko z Otchłani rodem, bodajbyś po kres czasu szamotała się w piekielnych bramach...

– Dość już tego – powiedziała Iseult i dźwignęła się, by wstać na nogi. Evrane ukucnęła, podsuwając jej rękę, by mogła się na niej wesprzeć... Nie, wcale nie po to: trzymała coś w palcach! Krótki kord z wprawionym w jelec drobnym kamieniem bólu.

– To pomoże uśmierzyć ból do momentu, aż magia uzdrowiciela dopełni dzieła. – Zbliżyła broń do prawego nadgarstka Iseult.

Kamień błysnął, jakby budził się do życia, a ból ustąpił. Po ciełe więziodziejki krążyła nowa energia, dziewczyna zdobyła się nawet na uśmiech dla Evrane. Ale gdy tylko wstała, poraziło ją ostre światło; przez chwilę nie widziała nic poza jasnym srebrnym blaskiem, drżącym i skłębionym jak zmacona woda, rozbłyskającym purpurowymi włóknami głodu i czarnymi wstęgami śmierci...

To nici, uprzytomniła sobie, czując narastający strach zmieszany z podziwem. Największe nici, jakie widziała w życiu, długie chyba na pół okrętu. A co najdziwniejsze, wydawały się dochodzić spod kadłuba. Z głębi morza.

– Coś nadchodzi – wyszeptała. – Coś wielkiego i... głodnego.

Evrane stęzała, chwyciła Iseult za ramię.

– Widzisz nici zwierząt?

– Nie. – Srebro i czerń wiły się jak szalone, lśniły jasno niczym słońce. – Ale co innego może być pod okrętem?

– Nodzenie, miej nas w opiece... – Evrane zachłysnęła się powietrzem. – To muszą być morskie lisy...

Jej ostatnie słowo zniknęło w eksplozji wody i dźwięku. Okręt przechylił się pod naporem czegoś potwornie wielkiego, co wynurzało się właśnie z morza. Chlusnęła woda, Marstokczycy wrzasnęli z przerażenia, lecz Iseult ledwie ich słyszała, bo wszystkie jej zmysły skupione były na stworzeniu przed jej oczami: na wężu grubym jak maszt galeonu, który ślizgał się poprzez fale wzdłuż sterburty w stronę dziobu. Nie był pokryty łuską, raczej srebrnym futrem, a jego łeb miał kształt lisiej głowy, ale dziesięciokrotnie... dwudziestokrotnie większej od głowy normalnego lisa. Gdy stwór kłapnął paszczą i zwinął masywne cielsko, obracając się przodem do okrętu, Iseult dostrzegła więcej zębów, niż powinno mieć jakiegokolwiek zwierzę. I kły – bestia z całą pewnością miała wielkie, ostre kły. Ale nawet one nie przerażyły czarodziejki tak bardzo jak lśnienie i błyski krwiożerczych nici. I to, jak potwór otwiera szeroko paszczę... by wydać z siebie ryk.

* * *

Rybera opisała Safi morskiego lisa, ale dziewczyna zupełnie nie tak go sobie wyobrażała. Nie spodziewała się też, że monstrum wyje głosami wszystkich dusz potępionych od początku świata; z jego pyska dobieły się tysiące zlanych w jeden przerażający dźwięk lamentów... którym po chwili

odpowiedział taki sam ryk z paszczy drugiego lisa, wzbijającego się właśnie nad stojącą Janą.

Safi zakłuży bębenki w uszach, jakby z oddali docierał do niej łomot jej własnego pulsu. Rzuciła okiem w kierunku Jany, sięgając wzrokiem ponad spienionymi falami w poszukiwaniu Merika, ale dziki ryk morskiego lisa natychmiast skupił całą jej uwagę.

Stwór obrał za cel jednego z Marstokczyków, który miał tego pecha, że stał najbliżej burty. Dłonie czarodzieja zaiskrzyły magiczną energią, gdy przywoływał swoją moc, ale Safi wiedziała, że nie zdoła utkać czaru ze związanymi rękami. Zerwała się na równe nogi i dobyła noża.

– Zostaw go! – wrzasnęła, a lis zarzucił olbrzymim łbem i spojrzał na Safi.

Cholera, pomyślała. Na moment zawiesiła wzrok na lodowato niebieskich oczach mknącego w jej stronę potwora, po czym cisnęła nożem. Mała klinga wbiła się w czarną jak atrament źrenicę; bestia zawyła i opadła, znikając pod falami. Okręt zachwiał się groźnie, ale monstrum nie wynurzyło się już z wody.

Safi raz jeszcze pomknęła wzrokiem do Jany i odkryła, że drugi lis też zrezygnował z walki.

– Dobra robota – powiedziała Iseult.

Ostrożnie stawiała stopy na deskach pokładu, wciąż rozchybotanego po ataku potwora. Nie miała okazji przyzwyczać się do fal. W jej lewej ręce błysnął tasak. Serce urosło Safi w piersi, jakby chciało ją rozsadzić. Widok Iseult stojącej na własnych nogach – nieważne, czy za sprawą kamienia bólu, czy nie – przepełnił ją ulgą. Nie wiedziała, czy chce się jej śmiać, czy płakać z radości. Pewnie jedno i drugie. Ale największe wrażenie zrobiły na niej oczy przyjaciółki. Więżiodziejka miała jasny, klarowny wzrok, a przede wszystkim – wreszcie – uniesione powieki.

– Nowa broń? – rzuciła Safi zawstydzająco zmienionym głosem.

– Ktoś musi ratować ci skórę. – Wargi Iseult ułożyły się w zaczepny uśmiech.

Safi poczuła uścisk w gardle.

– Wiesz, nie ma lepszej stali niż caraweńska.

– Prawda – warknęła Evrane, podchodząc do dziewczyn pewnie i szybko, niczym zaprawiony w sztormach marynarz. – A ty, domno – wbiła rozeźlony wzrok w Safi – zmarnowałaś ją tylko, rozwścieczając potwora.

– Przepędziłam go – odparła dziewczyna, wskazując dłonią spokojne morze.

– Nie! One tak właśnie polują. – Evrane wydobyła drugi nóż. – Sprawdzają okręt, żeby się dowiedzieć, jak walczy załoga. Potem wracają pod wodę. A następnie, najprawdopodobniej właśnie w tym momencie, rozpędzają się, płynąc w stronę powierzchni. Będą próbowały rozbijać okręt i pożreć tych, którzy wypadną za burtę.

Safi opadła szczęką, słone powietrze wypełniło jej usta.

– Mówisz, że one wrócą?

– Owszem, wrócą. – Rzuciła Safi nóż. – Więc masz tu swoją caraweńską stal i przygotować się do walki, głupcy!!!

Safi złapała nóż w chwili, gdy usłyszała krzyk Iseult:

– Nadchodzą!

Drewno wybuchło z ogłuszającym trzaskiem. Jednostką targnęło na lewo... na lewo... Safi dostosowała postawę do szalejącego pod jej stopami pokładu. Za jej plecami rozbrzmiały wrzaski. Marstoccy żeglarze potoczyli się po przechyle w stronę burty. Safi zrozumiała, że ze związanymi rękami nie zdołają utrzymać się na pokładzie i wpadną do wody.

Skrzyżowała spojrzenie z Iseult. Wiedziała, że w głowie więziosiostry zaświtała ta sama myśl. Jednocześnie przestały zмагаć się z przechyłem, a zamiast tego poddały mu się i zaczęły zjeżdżać w stronę relingu.

Drewno raniło bosc stopy Safi, hamowało spadek, pęd rzucił ją na plecy i zmusił do przetykanego bolesnymi podskokami toczenia w dół. Iseult sunęła przed nią gładko w swoich wysokich butach. Pierwsza dotknęła nadburcia i z krzykiem zacisnęła palce na zielonej tunice któregoś z marynarzy, który już miał polecieć w odmętę. To był ten brodaty ogniodziej.

– Już nie takie ścierwo, co? – krzyknęła do niego Safi.

Wtem posłyszały krzyk; kolejny Marstokczyk, ledwie wyrostek, buchnął ciężko o reling. Safi dała nura w jego kierunku. Chłopak przeleciał przez barierkę. Prawdodziejka za nim. Złapała go za kostkę, a Iseult pochwyciła ją.

– Mam... cię – wydyszała przez zacisnięte zęby, owinąwszy barierkę chorą ręką. – Ale nie na długo... O, cholera.

Okręt przestał się przechylać, a wtedy wzięła go we władanie grawitacja; jednostką zarzuciło w drugą stronę, jęknęło gięte drewno,

chlusnęła woda. Safi wraz z chłopcem wylądowała na pokładzie, Iseult, wciąż wisząc za burtą, krzyczała z bólu, który ogarnął całe ramię... Raptem przypadła do niej Evrane. Wciąż jakimś cudem trzymała się na nogach. Ujęła dziewczynę i zaczęła wciągać ją na pokład.

Z fal wystrzelił lis morski – o wiele za blisko miejsca, gdzie gramoliła się Iseult.

Safi cisnęła nożem. Znowu trafiła w oko. Potwór zaskomlał i raz jeszcze skrył się pod falami, wywołując deszcz morskiej wody i wprawiając okręt w dzikie chybotanie. Safi podźwignęła Iseult na nogi; jej lewe ramię wisiało bezwładnie, a twarz wykrzywiał agoniczny ból, mimo to zdołała zawołać:

– Masz cela!

– Tylko że mierzyłam w drugie oko.

– Przystaniesz czy nie! – krzyknęła stojąca dwa kroki dalej, obok młodego Marstokczyka, Evrane. – Marnujesz moje noże! – Wyjęła spod szaty miecz, którym przecięła chłopakowi więzy. – I nie stój tak! Musimy uwolnić, ilu się da.

Iseult skinęła głową i ruszyła chwiejnym ze zmęczenia krokiem w stronę najbliższej grupki żeglarzy. Safi znowu nie miała broni. Evrane wyciągnęła z pochwy ostatni nóż i podała go dziewczynie.

– Tego nie zgub, domno.

– Tak, tak. – Safi ujęła broń i podeszła do pierwszego lepszego marynarza. Trzema szybkimi cięciami uwolniła go z więzów, potem przeszła do kolejnego. Wyswobodzeni więźniowie pomagali odwiązać się swoim kompanom, a uwolnieni ogniodzieje uformowali na środku pokładu kwadratową formację obronną. Safi spojrzała przelotnie na ocean – lisa ani widu, ani słychu – a potem na kołyszącą się na falach Janę. Drugi potwór również zniknął. Przyszło jej na myśl, że może kreatury zrezygnowały z polowania... Kiedy nagle rozległ się głos Iseult:

– Idą! Z południa!

Z południa. Czyli tam, gdzie Safi przecinała właśnie linę pętającą kolejnego żeglarza. Cholera, cholera jasna... Nóż przeszedł przez ostatnie włókna i mężczyzna puścił się biegiem jak najdalej od burty.

Morski lis wyłonił się spośród fal i przechylił się nad relingiem. Raptem w polu widzenia Safi znalazły się tylko zęby i oczy jak morskie wiry. Jej uszy wypełnił ogłuszający skowyt.

Pożre ją. Przegryzie na pół i połknie...

Niespodziewanie wiatr uderzył ją w piersi i nogi, odrzucił w tył poza zasięg monstrualnej paszczęki. Gdy morze, niebo i okręt zatały jej się przed oczami i zlały w jedno z płomieniem ogniodziejów, spostrzegła frunącego ku niej Merika. Przepeliła ją wdzięczność i ulga. Safi upadła na pokład w tym samym momencie, w którym wiatrodziej wylądował. Na niej. Gdy okręt przechylił się w drugą stronę, Merik zlał z dziewczyny i ryknął:

– Co ty tu robisz, u diabła?!

Safi zamrugała oszołomiona, a potem wypaliła:

– Chcesz mnie oddać tamtym!

– Dawno i nieprawda! – Merik dobył kordelasa i zaczął błyskawicznymi ruchami rozcinać więzy Marstokczykom. – Noden uśmiechnął się do mnie, domno – krzyczał, przechodząc od jednego więźnia do drugiego. – Tylko głupiec nie przyjmuje takich darów.

– Darów? – Zapowietrzyła się, piłując linę na nadgarstkach jakiegoś starca i łypiąc nerwowo na wodę. – Te po trzykroć przekłete lisy to twoim zdaniem dary?

– Nie gadaj tyle! – Merik wskazał drabinę wiodącą pod pokład. – Zejdź na dół, przestań plątać się pod nogami!

– Nie rób tego! – krzyknęła Iseult, prawie na nią wpadając, z Evrane depczącą jej po piętach. Oddech rwał się dziewczynie w ustach, brwi miała ściągnięte z wysiłku. Była wykończona. – Lis zaatakuję teraz od rufy, musimy to wykorzystać i dotrzeć do więźniów na dziobie.

Bez słowa wszyscy ruszyli we wskazanym kierunku. Safi i Iseult odrywały ludzi od relingów i pchały ich w stronę Evrane i Merika, którzy cięli powróz za powrozem. Ogniodzieje trzymali szyk, gotowi do walki.

Ale lis był o wiele za szybki tak dla ogniodziejów, jak i dla kogokolwiek innego. Bestia wbiła się w nadbudówki rufy, druzgocząc drewno i gnąc metal, a gdy dziób jednostki wydzwignął się z wody, Safi nieomal straciła równowagę i wpadła do morza. Wtem u dziobu woda trysnęła potężnym strumieniem i drugi stwór zwinął się w powietrzu, rycząc i zarzucając wielkim łbem. Był rozjuszony i tak wygłodniały, że nie powstrzymałby go nawet czarodziejski ogień.

Safi spojrzała na Iseult, jej więziosiostra skinęła głową. Tak jak poprzednio dziewczyny przestały zmagać się z pochyłością i zjechały razem do samego nadburcia. Prosto ku paszczy morskiego lisa.

Safi pierwsza uderzyła o burzę, która znalazła się teraz prawie nad samą wodą, i wyprostowała się na pełną wysokość. Chlasnęła nożem kudłaty pysk, trysnęła krew. Iseult złożyła się nisko do ciosu, jej tasak wżarł się w gardziel potwora. Lis zaszamotał się i opuścił łeb. Gdy Iseult przeorała się tasakiem do góry, chlusnęła kaskada posoki. Jednocześnie Safi zawirowała i od dołu wraziła bestii ostrze pod żuchwę. Potwór rozdziawił pysk, a ona wydobyła ostrze z jego cielska i cisnęła nim w sam środek, zaś Iseult, wyswobodziwszy tasak, cięła monstrum przez czoło. Morski lis wydobył z siebie ostatni, surowy ryk, a potem bez życia zanurzył się w wodzie.

Pierwszy potwór wypuścił okręt z uścisku; Safi i Iseult miały akurat dość czasu, by złapać się kurczowo relingu i nie dać się wykatapultować do morza, gdy przeciwległa część kadłuba opadała z powrotem na wodę. Podniosły się fale, ludzie przesypali się przez pokład, ale czarodziejki trzymały się mocno. Gdy jednostka osiadła wreszcie poziomo na falach, Safi mogła się doczołgać do Iseult i pomóc jej wstać.

– Nic ci nie jest? Gdzie cię boli?

– Wszędzie mnie boli. – Iseult spróbowała się uśmiechnąć. – Jakiś dziadowski ten kamień bólu.

Zanim Safi zdążyła zawołać na pomoc Evrane, dał się słyszeć głos Merika:

– Jeszcze nie czas na świętowanie!

Wiatrodziej ruszył na przełaj przez pokład, a wokół niego wirował magiczny wicher. Evrane biegła zaraz za nim.

– Stwór wciąż żyje. – Merik stanął pół kroku od Safi, jego wiatr szarpał jej ubranie i włosy. – I na pewno wróci.

– A ponadto – dodała Evrane, wodząc wzrokiem po horyzoncie – wciąż płynie na nas flota Marstoku.

– O drugim morskim lisie nie wspominając. – Iseult złapała Safi za rękaw i odciągnęła ją od burty. – Płynie na nas. Tym razem uderzy od dziobu.

– Przygotujcie się! – zagrział Merik. – Użyję mocy, by przenieść nas...

Lis wbił się w kadłub. Okręt poszybował w górę. Gdy stopy Safi oderwały się od pokładu, a świat stał się mozaiką lśniących chmur i plam purpury, porwał ich wiatr Merika, który natychmiast przeniósł całą czwórkę

z powrotem na Janę. Uderzyli o forkasztel zupełnie bez gracji, za to boleśnie, ale Safi nie miała czasu, by sprawdzić, czy jest cała. Gdy odszukała wzrokiem leżącą kilka kroków dalej Iseult ściskającą kurczowo ramię, dostrzegła też ogień.

Pożar. Nie, cztery pożary! Baryłki z odpadkami płonęły żywym ogniem; bił od nich żar i zapach ryb z różna, a obok nich stał Kullen. Oddychał nieregularnymi zrywami, oczy nieomal wychodziły mu z orbit, ale wyciągając ręce przed siebie, utrzymywał beczki w powietrzu silnym strumieniem magii.

– Kullen! – wrzasnął Merik, pędząc w stronę bębna. – Przygotuj pierwszą beczkę!

Wziął pałkę do ręki i poczekał, aż pierwsza z baryłek odłączy się od reszty i znajdzie dokładnie przed bębniem. Wtedy uderzył w membranę, a powietrze wystrzeliło z kotła i pochwytiło beczkę, która pofrunęła nad wodą, wciąż płonąca, by rozbryznać się obok najbliższego marstockiego galeonu.

– Druga! – rozkazał książę, a chwilę później unosiła się przed bębniem kolejna baryłka, potem trzecia i w końcu czwarta. Każda została zdetonowana przed okrętem wojennym nieprzyjaciela.

– Odpływa – powiedziała Iseult, zajrzawszy w toń, po czym skupiła wzrok na niezdetonowanej baryłce. – Goni za beczkami.

– Lisy to zajadli drapieżcy – rzekła ledwo stojąca na nogach Evrane, a Safi aż podskoczyła. Na śmierć o niej zapomniała. – Woń zwęglonego mięsa jest im nadzwyczaj miła.

Safi nie odrywała wzroku od wody. Dwa czarne cienie zostawiły za sobą zmasakrowany okręt i sunęły na wprost, a potem wyskoczyły spod wody i rzuciły się na płonące beczki, płacząc swe węzowe cielska i walcząc o rybie odpadki. Tymczasem marstockie galeony płynęły niestrudzenie naprzód, prosto na spotkanie z morskimi lisami. Safi nieomal pożałowała Marstokczyków, którzy raczej nie mieli na pokładzie baryłek z odpadkami na tę okazję.

Współczucie z miejsca odeszło, gdy pochwytiła wzrokiem wątłą postać spoconej i skrzywionej z bólu Iseult. Kiedy ruszyła jej z pomocą, magiczny wiatr zamiótł pokład Jany i wypełnił żagle, a okręt z leniwym jękiem pomknął na wschód.

ROZDZIAŁ 26

Pomimo kamienia bólu i pomocy ogniodzieja Iseult nie mogła się pozbyć z ramienia echa uporczywego, natrętnego bólu. Nie zdołała utrzymać stoickiej postawy, gdy pod kadłubem Jany przesuwały się szare wody Morza Jadańskiego i gdy zniknął za horyzontem odległy brzeg. Magiczny wiatr admirała i pierwszego oficera sprawił, że okręt pędził jak na skrzydłach, szybko oddalając się od marstockiej floty.

Iseult siedziała z Safi na forkasztelu, z trudem łapiąc w płuca powietrze, i co rusz posyłała siedzącej za plecami Evrane ukradkowe spojrzenia.

Nie mogła się powstrzymać. Sześć lat temu ta kobieta nie tylko była jej przewodniczką, ale wręcz uratowała jej życie. Była jednocześnie taka sama i zupełnie inna niż ją zapamiętała.

Ta Evrane z jej wspomnień przypominała anioła. Była też chyba nieco wyższa. A rzeczywista Evrane okazała się twarda, naznaczona bliznami przez niełatwe życie, skomplikowana. Nie wspominając już, że o pół głowy niższa od Iseult.

Ale jej włosy były dokładnie takie, jakimi je zapamiętała: gęste i lśniące, niby otoczone aureolą godną samej Księżycowej Matki.

Iseult spuściła wzrok. Nie mogła się jej zbyt długo przyglądać. Evrane, Safi i każdy inny człowiek mieli nici o tysiącu barw i odcieni, które napierały na więziodziejkę, gdziekolwiek nie skierowałyby wzroku. Marynarze odczuwali strach lub przepełniało ich uczucie triumfu, niektórzy wciąż nie doszli do siebie po pojmaniu i walce z potworami, inni byli na granicy wyczerpania.

W którymś momencie kilka pobliskich nici łysnęło odrazą. Ich właściciele dostrzegli oczy Iseult i skojarzyli, skąd u niej taki kolor skóry. Ponieważ jednak nie zobaczyła u żadnego nici agresji, nie przejęła się zanadto.

Po kilku godzinach – a może minutach, więziodziejka straciła rachubę czasu – Jana zaczęła wytracać prędkość. Czarodziejski wiatr ustał

całkowicie, pozostawiając po sobie pustkę w uszach Iseult, którą dotychczas wypełniał szumem, i uczucie wrażliwości na skórze, którą dotąd omywał swym tchnieniem. Żagle rozdymała teraz tylko zwyczajna morska bryza, a nad głowami podróżnych wisiał księżyc w pełni.

– Witamy w Nubrevnie – mruknęła Evrane.

Iseult z trudem wstała, kamień bólu załśnił nieco jaśniej. Gdy ruszyła niepewnym krokiem do nadburcia, przyjaciółka i uzdrowicielka udały się w ślad za nią.

Ląd nie różnił się zanadto od wybrzeży na północ od Veñazy; taki sam skalisty, postrzępiony brzeg, nieustannie chłostany falami, lecz zamiast lasów, wierzchołki klifów pstrzyły wielkie, białe głazy.

– Gdzie są wszystkie drzewa? – zaciekała się Iseult.

– Przed tobą – odrzekła zmęczonym głosem Evrane. – Z tym że nie wyglądają już jak drzewa. – Kliknęła kłamra odpinanego pasa z tasakiem. Mniszka wyjęła z szaty kawałek nasączonego oliwą materiału.

– To nie głazy. – Zrozumiała Iseult, odetchnąwszy. – To pnie.

– Owszem – potwierdziła kobieta. – Martwe drzewa pierwsze padają podczas sztormu.

– Ale dlaczego... wszystkie są martwe? – dociekała Iseult.

Evrane wydała się zaskoczona tym pytaniem, ale zaraz odzyskała kontenans i powiodła wzrokiem od Safi do Iseult, jakby chciała mieć pewność, że czarodziejka nie żartuje. Uzyskawszy ją, zmarszczyła brwi.

– Całe wybrzeże ucierpiało w czasie Wielkiej Wojny. Cartorriańscy ziemodzieje zatruli gleby od zachodniej granicy do ujścia rzeki Timetz.

Płuca Iseult wypełniły się lodem. Spojrzała na Safi, której mieniące się przerażeniem nici zawinęły się do środka.

– Dlaczego słyszę o tym pierwszy raz? – spytała Safi. – Uczyłyśmy się o Nubrevnie, ale... w naszych podręcznikach to kraina mlekiem i miodem płynąca.

– To dlatego – odpowiedziała Evrane – że historię piszą zwycięzcy.

– Tak czy inaczej – uniosła się Safi, a lgnące do niej nici rozprysły jej się nad głową – jeśli to kłamstwo, to przecież i tak w którymś momencie prawda powinna była wyjść na jaw.

Złapała Iseult za rękę i ścisnęła tak mocno, że ból przedarł się przez kamień bólu i odezwał w ranie. Ale tym razem odczuła go jako coś odświeżającego, nie skrzywiła się, a przyjęła go ze spokojem

i wdzięcznością za to, że wyprostował jej kręgosłup i ścisnął w gardle. Jej wzrok momentalnie spoczął na skupionej, szlachetnej twarzy Evrane, która czyściła swój tasak. Wciąż widniały na nim rdzawe plamy krwi morskiego lisa. Mniszka szorowała stal pewnymi, wyćwiczonymi ruchami, a Iseult uprzytomniła sobie, że musiała wyczyścić w życiu całą masę noży. Była nie tylko uzdrowicielką, ale też wojowniczką, której przynajmniej połowa życia przypadła na czasy Wielkiej Wojny.

Kiedy Iseult i Safi oliwiły swoje ostrza, ścierały ślady palców i pot. Ale kiedy robiła to Evrane – czy Habim, czy Mathew... nawet Gretchya – zmywała z nich krew i śmierć, i przeszłość, której Iseult nawet nie mogła sobie wyobrazić.

– Powiedz nam – wyrzekła cicho – co się wydarzyło w Nubrevnie.

– Zaczęło się od Cartorrian – rzekła Evrane ze spokojem. Jej słowa mknęły w dal, zaproszone do tańca przez morską bryzę. – Ich ziemiodzieje skazili glebę. Tydzień później Dalmocja wysłała wododziejów, by zatruli wybrzeże i rzeki. Do tego wszystkiego marstoccy ogniodzieje spalili do gołej ziemi całe wschodnie pogranicze. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy działali w porozumieniu, trzeba wam bowiem wiedzieć, że Lovats nigdy nie upadło. Przez długie stulecia wojny strzegli nas Strażnicy Nodena i Wodne Mosty Stefin-Ekarta. Sądzę więc, że trzy imperia zawarły tymczasowy pakt, by wspólnymi siłami raz na zawsze rzucić nas na kolana.

– Ale im się nie udało – wtrąciła Iseult.

– Nie, a przynajmniej nie od razu. – Evrane przerwała czyszczenie i zawiesiła wzrok gdzieś w przestrzeni przed sobą. – Imperia atakowały najzacieklej w przeciągu ostatnich miesięcy przed Rozejmem. Wtedy, gdy ich floty i armie zmuszone zostały do odwrotu, dzieła zniszczenia dopełniła magia, którą wsączyli w nasze ziemie, by nas dobić. Trucizna rozprzestrzeniła się w glebie i powędrowała w górę rzek, a marstockie płomienie wciąż popieliły nasze lasy. Chłopi zostali zepchnięci w głąb lądu, tak blisko Lovats, jak tylko się dało. Ale miasto już i tak było wówczas przeludnione; jego mieszkańcy już wtedy umierali na ulicach, a od tamtego czasu zginęło ich jeszcze więcej. Nubrevni głodują, dziewczynki, a trzy imperia są już tylko o krok od unicestwienia naszego kraju.

Iseult mrugnęła, posłyszawszy w głosie Evrane przejmującą nieodwołalność i dostrzegłszy w jej niciach różane włókno akceptacji. Z ust stojącej obok Safi wyrwał się wstrzymywany dotąd oddech.

– Merik naprawdę potrzebuje tego kontraktu – szepnęła wypranym z emocji głosem; jej nici milczały jak zamrożone, jakby szok tłumił wszystkie uczucia. – A jednak mój wuj uniemożliwił jego realizację. Są w nim kruczki... Upuści jej krwi...

Cisza zawisała w powietrzu, umilkł wiatr i głosy uwijających się na pokładzie marynarzy. I nagle dźwięki uderzyły w Iseult z pełną siłą, przydymione barwy rozbłysły oślepiająco przed jej oczami. Safi odepchnęła się od burty, a jej nici pognały naprzód, nieustępliwe jak lawina, polśniewając naraz tyloma kolorami, że Iseult nie mogła ich zliczyć: czerwone poczucie winy, pomarańczowa panika, szarobury strach, niebieski żal. Ale nie były to postrzępione końcówki nici, które świadczą o załamaniu nerwowym, lecz silne, strzeliste włókna znamionujące niezłomne postanowienie. Każda pojedyncza emocja, niezależnie od koloru, wystrzeliła z dziewczyny, sięgając przez pokład, jakby próbowała połączyć się z kimś – z kimkolwiek – kto mógłby odczuwać ją z podobną dzikością.

Wreszcie Safi odwróciła się do Iseult i powiedziała głosem kamiennym i mroźnym:

– Tak mi przykro, Iseult. – Prześlizgnęła się wzrokiem do Merika i powtórzyła: – Tak mi przykro, że cię w to wplątałam.

Zanim Iseult zdołała się odezwać i zapewnić przyjaciółkę, że to nie jej wina, złapała kątem oka nową, lśniącą białą nić. Przerazenie. Okręciła się dokładnie w tym samym momencie, w którym stojącym na głównym pokładzie Kullenem wstrząsnął atak kaszlu.

Pierwszy oficer zgiął się wpół. Upadł.

Iseult pobiegła do niego, Safi i Evrane za nią. Dotarły jednocześnie z dziewczyną o włosach zaplecionych w warkocze i o ciemnej skórze kontrastującej z trupią bladością wiatrodzieja. Merik jakimś cudem był już przy nim, już dźwigał go do pozycji siedzącej i masował plecy.

Nie plecy, tylko płuca – uświadomiła sobie Iseult, stając jak wryta nieopodal. Safi zatrzymała się obok niej, a Evrane przepchała się do wiatrodzieja i klęknęła.

– Jestem, Kullenie – powiedział Merik drżącym głosem. Jego nici lśniły tym samym białym strachem co nici Kullena. – Jestem przy tobie, odpręż się, uspokój oddech.

Usta pierwszego oficera poruszały się jak rybie wyjętej z wody. Powietrze opuszczało jego płuca, ale nie mógł zaczerpnąć tchu. Każde

uderzenie kaszlu było słabsze od poprzedniego.

Raptem Kullen zwrócił ku Merikowi rozwarte szeroko oczy i pokręcił głową. Zrobił się blady jak ściana.

Safi kucnęła obok.

– Jak mogę pomóc?

Szukała odpowiedzi na twarzy Merika, potem u dziewczyny w warkoczach, wreszcie u Kullena, który tylko się na nią gapił. Zdołał jedynie skinąć głową, po czym źrenice uciekły mu w głąb czaszki i padł bezwładnie wprost w ramiona Merika. Admirał i dziewczyna błyskawicznie obrócili go na plecy i otworzyli mu usta, a następnie Merik pochylił się i wtłoczył więziobratu do płuc magiczny wiatr. Raz, potem drugi i tak w kółko, dysząc ciężko i rozścielając wokoło przerażone, niecierpliwe nici. Żeglarze zebrali się wokół, ale byli dość rozgarnięci, by nie tłoczyć się przy walczącym o oddech oficerze. Safi posłała Iseult spanikowane spojrzenie, ale przyjaciółka nie miała żadnej rady na przypadłość wiatrodzieja. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego.

Nagle w piersi Kullena odezwał się jakiś impuls. Mężczyzna drgnął i zaczął oddychać.

Merik wpatrywał się przez kilka przedłużających się sekund w unoszącą się i opadającą klatkę piersiową towarzysza, a potem wsparł dłonie na pokładzie i odetchnął z ulgą. Jego nici rozbłysły różowym światłem – czystym i olśniewającym.

– Nodenowi dzięki – wymamrotał z twarzą nad piersią przyjaciela. – Och, Nodenowi dzięki.

To samo uczucie migotało w niciach wszystkich na pokładzie – Safi i Evrane też. Ale nigdzie tak jasno jak u Merika i u dziewczyny z warkoczami, u której przebijały się czerwone nici sercowięzi.

– Pozwólcie mi go zbadać – poprosiła Evrane, kładąc Merikowi dłoń na plecach. – Upewnię się, czy niczego sobie nie uszkodził.

Merik wyprostował się raptownie z twarzą wykrzywioną furią. A jego nici... Iseult aż się wzdrygnęła, czując bijącą od niego moc.

– Zlekceważyłaś moje rozkazy! – wrzasnął ciotce w twarz. – Ryzykowałaś życiem moich ludzi, wystawiłaś na szwank mój okręt! Domna była moją kartą przetargową!

Evrane stała spokojnie, jej nici falowały miarowo, niewzruszone wybuchem admirala.

– Iseult potrzebna była pomoc ogniodzieja. Inaczej by umarła.

– Wszyscy mogliśmy umrzeć! – pieklił się Merik. Evrane milczała. – Opuściłaś stanowisko, myśląc tylko o sobie!

Nici Safi zabarwiła budząca się wściekłość.

– To nie jej wina – powiedziała powoli. – Robiła, co jej kazałam.

Merik przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Doprawdy, domno? A więc nie uciekałaś przed swoim oblubieńcem? Nie próbowałaś uniknąć pojmania? Co, prawdopodobnie?

Iseult poczuła, jakby przeszył ją sopel lodu. Skąd wiedział? Nieważne, pomyślała, gotując się do skoku, by zasłonić Safi przed Merikiem... Lecz wtem nici jej więziosiostry zapłonęły beżowym kolorem niepewności, jakby faktycznie mogła chcieć zataić coś przed księciem. Iseult nakazała sobie przybrać maskę absolutnego niewzruszenia. Nie wolno jej zdradzić sekretu przyjaciółki.

– Gdzie usłyszałeś tę plotkę? – spytała wreszcie Safi, ostrożnie dobierając słowa.

– Marstokczycy wiedzą, jak to się odbyło. – Merik patrzył jej w oczy z odległości kroku. – Ich głosodziej wymienił z moim kilka uprzejmych słów. Czy zaprzeczasz?

Cisza przeciągała się, a Safi biła się z myślami. Iseult prawie nie czuła dotyku wiatru na skórze, wszystko wydawało się odległe, a cały jej świat zawężił się do Safi i Merika. Nie przyznawaj mu racji, prosiła w myślach. Proszę, nie przyznawaj. To, że imperator Henrick wiedział o magii Safi, to jedno, ale nie było żadnego powodu, dla którego należałoby obwieścić o tym całemu światu. Co, jeśli Merik postanowi ją wykorzystać – albo nawet poślubić, tak samo jak Henrick? A co, jeśli zechce ją zabić, by nie dostała się w ręce wroga?

Gdy zauważyła, że nici Safi przechodzą gradientem z szarego strachu w jadowitą, zdeteminowaną zieleń, wypuściła z rezygnacją powietrze.

– I co z tego? – Zadarła butnie nos. – Co z tego, admirale, że jestem prawdopodobnie? Co to za różnica?

Merik błyskawicznie ucapił Safi za nadgarstki i wygiął jej ręce do tyłu.

– To zasadnicza różnica – syknął jej do ucha. – Powiedziałaś mi, że nikt cię nie szuka, że nie jesteś nikim ważnym, a tu się okazuje, iż jesteś prawdopodobnie i narzeczoną imperatora Henricka. – Trzymał jej ramiona w żelaznym uścisku. Twarz Safi stężała, ale gdy Iseult postąpiła o krok

naprzód, by bronić więziosiostry, by o nią walczyć, przyjaciółka pokręciła zdecydowanie głową, a gdy ponownie się odezwała, w jej słowach brzmiał dyplomatyczny spokój.

– Byłam pewna, że gdy się dowiesz, kim jestem, wydasz mnie Cartorrianom.

– Łżesz. – Twarz Merika znalazła się cale od jej twarzy. – Twoja magia wie, kiedy mówię prawdę, domno, a powiedziałem ci przecież, że nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Chcę tylko zdobyć pożywienie dla moich ludzi. Czy tak trudno to... – urwał i zamilkł. Jego nici przeszły z karmazynowej złości w głęboki błękit smutku. – Moi pływodzieje mnie opuścili, domno, polują na mnie Marstokczycy. Wszystko, co mi zostało, to okręt, lojalna załoga i mój pierwszy oficer. Ich również prawie udało ci się mi odebrać. – Safi otworzyła usta, by się spierać, ale Merik nie dał jej dojść do głosu. – Mogliśmy uciec, gdy tylko pojawiły się lisy. Zamiast tego o mało nie zginęliśmy, ponieważ nie było cię w kajucie, gdzie twoje miejsce. Musiałem cię szukać, staliśmy się przez to przynętą na lisy. Twoja bezmyślność niemal zabiła moją załogę.

– Ale Iseult...

– Nic by jej nie było. – Merik szarpnął ją za rękę. Zwiotczała w jego uścisku. – Oddałbym twoją przyjaciółkę pod opiekę ogniodzieja, gdy tylko dotarlibyśmy do Nubrevny. Wiesz, że nie kłamię, prawda? Co ci podpowiada twoja magia?

Safi obróciła głowę i napotkała spojrzenie Merika, a jej nici załśniły żalem i poczuciem winy. Potwierdziła skinieniem.

– Tak.

Merik zapłonął gniewem. Mocniej zacisnął dłonie na jej nadgarstkach.

– Idziemy.

Ku zdumieniu Iseult Safi usłuchała, a jej nici splotły się z niemi Merika, łąskając jasnymi odcieniami czerwieni. Iseult otworzyła usta i zrobiła krok, chcąc biec za Safi i wyrwać ją z rąk Merika, uniemożliwić mu to, co zamierzał z nią zrobić. Nie pozwoliły jej palce, które zamknęły się na jej łokciu.

– Nie.

Gdy się obróciła, zobaczyła, że należą do dziewczyny z warkoczami.

– Nie mieszaj się do tego – powiedziała. – Kilka godzin w łańcuchach jej nie zabije.

– W łańcuchach? – Obróciła się raptownie w stronę admirała i poczuła, że nachodzą ją mdłości.

Posadził jej więziosiostrę na pokładzie i zatrzasnął jej na nogach ciężkie kajdany. Kliknęły zamki, a Safi nie mogła zrobić nic, tylko patrzeć w kierunku Iseult. Więziodziejka znowu ruszyła naprzód, lecz tym razem drogę zagroził jej stary marynarz.

– Lepiej daj spokój, panienczko. Bo i ciebie zakuje.

Ale Evrane ani myślała stać spokojnie. Ruszyła rozsierzona.

– Nie masz prawa, Meriku. Jest cartorriańską domną, nie Nubrevenką!

Admirał wyprostował się i wydał marynarzom rozkaz gestem, cały czas patrząc ciotce prosto w oczy.

– Ona nie, ale ty tak. I za nieposłuszeństwo spotka cię kara.

Nici Evrane załśniły turkusem zdumienia, gdy dwaj marynarze zaczęli zakuwać ją w kajdany. Merik odwrócił się, żeby odejść.

– Posuniesz się do tego, by torturować arystokratkę? – wrzasnęła jeszcze za nim Evrane. – Meriku, jeśli ją skrzywdzisz, kontrakt zostanie zerwany.

Książę zwolnił i rzucił uzdrowicielce spojrzenie przez ramię.

– Posunę się do kary, nie do tortur. Wiedziała, co jej grozi za nieposłuszeństwo. A poza tym – dodał ze śmiertelnym spokojem – co to za admirał, co to za książę, który nie przestrzega własnych praw? Ta domna przeżyła atak morskich lisów, nie doznając najmniejszego uszczerbku, więc nic się jej nie stanie, gdy trochę posiedzi w łańcuchach. Będzie za to miała dość czasu, by zastanowić się nad kabałą, w którą nas wpakowała.

– Wcale nie chciałam – odezwała się Safi, wpatrzona w Merika. – Nigdy nie chciałam skrzywdzić ciebie ani Kullena, ani... Nubrevny. Nie miałam pojęcia o marstockiej flocie, przysięgam, admirale. Wuj zapewnił mnie, że nikt nie będzie nas ścigał!

Iseult rozwarła usta, nie wierząc własnym oczom. Nici nad głowami Safi i Merika zaczęły pulsować surową, pilną potrzebą... Nici Safi czepiały się tych Merika, a jego wplatały się w jej i owijały wokół nich. Na oczach Iseult nici przyjaciółki zmieniały się z tych znamionujących upór w te dążące do zespolenia. Merik natychmiast znalazł się przy Safi. Kucnął i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Gdyby nie magia Kullena, wszyscy bylibyśmy martwi przez twoją bezmyślną impulsywność i niesubordynację. Za to muszę wymierzyć ci

karę. Wciąż obowiązuje kontrakt, który zawarłem z twoją rodziną, i, tak czy inaczej, dostarczę cię w końcu do Lejny. A potem nakarmię moich głodujących rodaków.

Przez jedno uderzenie serca... a potem dwa przestrzeń między Merikiem i Safi, wypełniona płonąca płataniną nici, huczała jednolitym płomieniem szkarłatu. Ale Iseult nie miała czasu, by rozróżnić odcień dokładniej – rozpoznać, czy to rosnąca nić miłości, czy zapiekłej nienawiści – ponieważ zaraz zbladł, a ona zaczęła się zastanawiać, czy czasem go sobie nie wyobraziła.

* * *

To aż zabawne, jak szybko wyprostowana dumnie Safi stała się Safi zakutą w kajdany, uwięzioną, markotną i unieruchomioną jak przywiązany do budy pies. A dodatku nie podjęła walki – ot tak się poddała, sama nie mogąc się sobie nadziwić, dlaczego z taką łatwością pozwoliła się skuć. Gdzie się podziała jej wrodzona wojowniczość? Gdzie instynkt popychający ją do ucieczki? Skoro nie umiała już nawet uciec, to co jej zostało ze starego życia? Wesołego, dostatniego życia wypełnionego kartami taro, kawą i marzeniami.

Wszystkie jej nadzieje na wolność stopniały jak kostka lodu w szklance. Nie zamieszka z Iseult gdzieś daleko, gdzie nikt ich nie będzie niepokoił. Nie umknie przed imperatorem Henrickiem i jego dworem, nie wywinie się z intrygi, w którą wplątał ją wuj Eron, i już zawsze będzie wieść żywot ściganej prawdopodobiejki.

Ale Iseult przeżyje. Wyzdrowieje i będzie żyć. A więc warto było, prawda?

Safi patrzyła, jak jej więziosiostra rusza za Merikiem, jak próbuje go przebłagać, jak zachowuje spokój pomimo zastępujących jej drogę marynarzy. Admirał zignorował ją i wspiał się po schodach na tylny pokład, po czym zajął pozycję u steru i kazał bić w bęben.

Iseult też się poddała. Obróciła się twarzą do Safi. Wydała się przyjaciółce jeszcze bardziej bezradna niż wtedy, gdy umierała.

Zaczęło padać. Drobne krople były dla skóry niczym szept, ale miast koić parzyły jak kwas. Safi zamykała się w sobie. Zewsząd napierał na nią wrogi świat, a ona nie mogła poruszyć nogami. Stała się więźniem we własnym ciele. Zawsze będzie tą osobą, tkwiącą w tym ciele i tym umyśle.

Jej własne błędy i złamane obietnice pętały ją bardziej niż kajdany na kostkach.

Oto dlaczego wszyscy cię porzucają. Rodzice. Wuj. Habim i Mathew. Merik.

Imię księcia pulsowało w jej uszach. Wyło do wtóru szumu krwi i deszczu. Do rytmu bębna.

Chciał ratować swoją ojczyznę, ale Safi to nie obchodziło – podobnie jak sam Merik i rzesza nieszczęśników, których życie zależało od niego.

Iseult szła rozchybotanym krokiem w jej stronę, blada i z bolesnym grymasem na twarzy. Safi nie miała teraz nikogo poza nią, tylko ona została jej po dawnym życiu. Ale ile czasu upłynie, nim Iseult również ją porzuci?

Przyjaciółka wyciągnęła rękę i opadła na kolana.

– Nie chce mnie słuchać.

– Musisz odpocząć – powiedziała Evrane. – Idź do kajuty.

Safi wzdrygnęła się, znajomo zadzwonił łańcuch. Wyleciało jej z głowy, że mniszka siedzi przykuta zaraz obok. Była tak skupiona na sobie, że o wszystkich zapomniała.

Jak zawsze.

Cenę za głowę Iseult wyznaczono przez samolubność i chciwość Safi. To dlatego Iseult musiała uciekać z Veñazy i dlatego oberwała zaklętą strzałą. Na domiar złego, gdy Safi walczyła dla Iseult – gdy robiła, co tylko mogła, by wynagrodzić jej wyrządzone krzywdy, by uratować swoją drugą połówkę przed kłopotami, które na nią ściągnęła – krzywdziła kogoś innego, całe mrowie innych. Miała klapki na oczach i sama wywiodła się na manowce. A teraz płacą za to Merik, Kullen i cała załoga bogom ducha winnych żeglarzy.

Wraz z tą myślą wróciły do niej słowa, które wuj Eron wypowiedział w Veñazie: „Kiedy dzwony wybiją północ, Safiyo, krwiodziej nie będzie już problemem. Wtedy będziesz mogła robić to, na co tylko będziesz miała ochotę, i prowadzić to pozbawione ambicji życie, które zawsze tak bardzo ci się podobało”.

Przecież dokładnie to robiła, prawda? O północy zrzuciła skórę domny i znów stała się dawną, impulsywną, nieświadomą Safi. Tylko że... nie odpowiadała jej ta zmiana. Nie chciała być osobą, którą widział w niej wuj Eron czy ktokolwiek inny. Tkwiła w tym ciele, skazana na taki a nie inny

umysł, ale to nie oznaczało, że nie może sięgnąć poza swoje ograniczenia. Przecież może się zmienić.

Napotkała spojrzenie podkrążonych oczu Iseult.

– Idź do kabiny – nakazała jej. – Nie stój na deszczu.

– Ale co z tobą... – Przyjaciółka zbliżyła się do niej. Jej mokre ramiona pokryła gęsia skórka. – Przecież cię tak nie zostawię.

– Proszę, Is. Jeśli nie wrócisz do zdrowia, okaże się, że wszystko to było na próżno. – Safi zmusiła się do uśmiechu. – Nic mi nie będzie. Łańcuchy i deszcz to nic w porównaniu do tresury Habima.

Iseult nie obdarzyła jej uśmiechem, na który Safi liczyła, ale skinęła głową i dźwignęła się niezgrabnie na nogi.

– Zjrzę do ciebie za jakiś czas. – Popatrzyła na Evrane i podniosła rękę. – Chcesz kamień z powrotem?

Evrane ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

– Nie zaśniesz bez niego.

– Dziękuję. – Wróciła wzrokiem do Safi i długo patrzyła jej w oczy. – Wszystko będzie dobrze – powiedziała po prostu. – Zrobimy tak, że wszystko znowu będzie dobrze. Obiecuję. – A potem przykuliła ręce do piersi i odeszła, zostawiając Safi w poczuciu, że jest to najprawdziwsza prawda.

Bo w jakiś sposób zrobią tak, że wszystko znowu będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 27

Minęło siedem godzin, odkąd cartorriański okręt opuścił doki Veñazy. Zaszło słońce, wzeszedł księżyc, a Aeduan wciąż nie przestawał rzygać. Jedyne pocieszenie stanowiło dlań to, że jego niedyspozycja dała początek plotkom, które błyskawicznie rozprzestrzeniły się wśród lękających się Otchłani żeglarzy: krwiodzieje chorują na wodzie.

I dobrze, niech sobie plotkują.

Gdy Aeduan pozbył się całej treści żołądka i zaczęły wstrząsać nim suche torsje, okręt natknął się na cztery zniszczone jednostki, trzy marstockie i jedną nubreveńską. Pomimo zajadłych protestów Aeduana, który upierał się, że Safiyi fon Hasstrel nie ma na pokładzie, księżę Leopold zarządził postój. Wszystko wskazywało bowiem na to, że przebywa na nim imperatorowa Marstoku. Mało tego – Leopold zażyczył sobie, by Aeduan towarzyszył mu w czasie wizyty. Kiedy żaden z piekielnych bardów nie zaoponował przeciw tej szalonej zachciance – nawet dowódca, leniwy i wyprany z szacunku młodzieniec zwany Fitz Grieg – wiatrodziej przeniósł Aeduana i Leopolda na pokład galeonu, gdzie przywitało ich obojętnym zerknięciem spode łba dziesięciu żmijów. Nie dobyli broni, prowadząc gości do kajuty imperatorowej, przekonani najwyraźniej, że ani Leopold, ani Aeduan nie stanowią wyzwania dla jadodziejskich strzałek.

Mnich rozpoznał kilku żmijów, ale tylko po zapachu krwi, gdyż twarze zasłaniali chustami. Blask ogniodziejskich lamp migotał w zygzakowatych klingach ich mieczy, nadając im wygląd stalowych płomieni.

Ależ idiotyczna broń. Nieporęczna i niepotrzebna, zwłaszcza że największym atutem żmijów była ich trucicielska magia. Ich władza nad truciznami stanowiła mroczną odnogę wododziejstwa, a dokładniej, jak wieść niosła, wykoślawienie uzdrawiającej mocy wododziejów, a jednak to jego, Aeduana, czary uznawało się powszechnie za magię Otchłani, zaś jego samego – za diabła w ludzkiej skórze.

Zawsze uważał to za... niesprawiedliwe, ale skłamałby, mówiąc, że nie czerpał korzyści z takiego stanu rzeczy.

Gdy wkroczyli do imperatorskiej kabiny, zmije rozstawiły się po pomieszczeniu plecami do ścian. Na środku stały niski, pozbawiony ozdób stół oraz dwie ławy. Obok jednej z nich Aeduan dostrzegł imperatorową Marstoku.

Była nieco niższa, niż Aeduan pamiętał, choć właściwie widział ją tylko raz i z daleka. Pomimo drobnej budowy nieustępliwa woń jej krwi wypełniała całe pomieszczenie. Pustynna szaławia – smakował – mury z piaskowca, kowadło i galasowy tusz. Z pewnością to zapach potężnej żelazodziejki i kobiety wykształconej. Mimo że flota imperatorowej Vanessy była w rozsypce, jej suknia jaśniała nieskazitelną bielą, a z foremnej twarzy spoglądały zimno nieruchome oczy.

Aeduan stanął na rozstawionych nogach za drugą ławą, na wszelki wypadek szukając wzrokiem najlepszej drogi ewentualnej ucieczki, a na twarz monarchini wypłynął uśmiech przelotny jak powiew wiatru, jakby spotkali się przypadkiem na parkiecie tanecznym w czasie balu.

Imperatorowa musiała wiedzieć, kim jest Aeduan i jaką ma moc, ale powstrzymała się od komentarzy, słowem nie wspomniała też, że to dziwne, że Leopold zjawił się na okręcie bez eskorty swoich piekielnych bardów. Ewidentnie była mistrzynią pozorów; każdy wyraz jej twarzy stanowił pieczołowicie obmyśloną maskę, która miała za zadanie utrzymać dominującą pozycję.

Szkoda zachodu – ocenił Aeduan. Jeśli była tak potężną żelazodziejką, jak słyszał, nie musiała się uciekać do sztuczek, by robić, co jej się podoba. Starsze caraweńskie mniszki nadal rozmawiały czasem o tym, jak zniszczyła Przełęcz Kendury, kiedy przywołała magię tak potężną i dziką, że za jej sprawą góra obróciła się w proch.

I że miała wówczas tylko siedem lat.

Aeduan odebrał więc ten uśmiech jako znak, że spotkanie ma mieć charakter pokojowy.

– Skosztowałbym marstockich daktyli, jeśli wolno – odezwał się książę Leopold i z gracją stanął za stołem, pozornie bardziej zafrasowany własnymi mankietami niż rozmową z imperatorową Vanessą. Przedobrzył z pozorami, jego maska była przeźroczysta, zupełnie jakby bawił się w księcia, stając naprzeciw rasowej arystokratki.

Vanessa wskazała ławę gestem pełnym gracji. Brzęknęły żelazne bransolety na jej nadgarstku.

– Rozgość się, książę. Zaraz każę podać coś słodkiego.

– Dziękuję, najświętsza ze świętych. – Leopold posłał jej szeroki uśmiech i z westchnieniem człowieka, który cały dzień ciężko pracował, opadł na ławę, aż zatrzeszczało drewno.

Vanessa spłynęła wdzięcznie na tę naprzeciwko. Plecy trzymała prosto, a głowę przechyliła na bok. Czekala, a tymczasem do kajuty wszedł chłopiec i postawił na stole półmisek owoców w cukrze. Leopold natychmiast pochłonął jeden i westchnął z lubością, po czym porwał jeszcze dwa. Sekundy przeszły w minuty i choć Aeduan nie wątpił, że książę chciał w ten sposób obrazić imperatorową, Vanessa okazała się wzorem cierpliwości. W odróżnieniu od krwiodzieja.

Jeśli Leopold przyszedł tu, by ją prostacko obrazić, to cała ta wizyta była jeszcze większym marnotrawstwem cennego czasu Aeduana, niż się obawiał z początku. Jeśli tak dalej pójdzie, Safiya fon Hasstrel dotrze do Strażników Nodena, zanim Leopold upora się z zawartością półmiska.

Przy czwartym owocu Vanessa zmarszczyła swoje idealnie zarysowane brwi.

– Gdy powiedziałam, że moje okręty są zniszczone – rzekła uprzejmie – liczyłam na twoją pomoc, książę. Może wyraziłam się niejasno.

Leopold wyszczerzył się i niespiesznie przetarł usta kciukiem.

– Nie słyszała Wasza Wysokość, że cukier potrafi osłodzić nawet najbardziej gorzkie położenie? – Wyciągnął w jej stronę figę.

– Dziękuję, nie jestem głodna.

– Nie trzeba być głodnym, by rozkoszować się takimi pysznościami. – Raz jeszcze podsunął jej owoc. – Spróbuj. Są niemal tak boskie jak twoja uroda.

Skłoniła się dwornie i, ku zaskoczeniu Aeduana, przyjęła figę. Nawet oderwała palcami kawałek.

Aeduan przesunął językiem po zębach, nie do końca wiedząc, jak interpretować jej zachowanie. Nie ulegało wątpliwości, że Leopold chciał rozzłościć Vanesę. Ta jednak nie dawała się sprowokować. Oznaczało to, że ma do ubicia z Leopoldem jakiś poważny interes. Ale skoro była z tych, które zawsze dostają, czego chcą, to po co te podchody? Po co kryć się za

woalem uprzejmostek, gdy włada się taką mocą? Aeduan inaczej rozgrywał takie sytuacje.

Leopold zdawał się myśleć tak samo, bo zaprzestał swojej gry po zjedzeniu sześciu daktyli. Rozparł się na ławie i skrzyżował nogi, nieudatnie maskując irytację.

– Co się stało z twoją flotą, Wasza Czcigodność?

– Morskie lisy – odparła rzeczowo, wzbudzając wesołość księcia.

– Morskie lisy – powtórzył jak echo, unosząc brwi. – Być nie może. I ja mam w to uwierzyć? Czy cieniste czerwce i ogniste jastrzębie też niepokoiły Waszą Wysokość? Nie, już wiem: Dwunastu powróciło i wybiło dziurę w kadłubie swoimi mieczami?

Vanessa nie reagowała na docinki, ale w powietrzu w kajucie można było zawiesić topór. Żmije pod ścianami sprężyły się, ręka Aeduaana już pełzła dyskretnie w kierunku rękojeści miecza.

– Ogniste jastrzębie wciąż żyją w Marstoku – odparła Vanessa spokojnie. Na twarzy wciąż miała maskę. – Morskich lisów nie widziano od lat, prawda, a jednak najwyraźniej powróciły.

Aeduan pomknął wzrokiem do księcia, chcąc zbadać jego reakcję. Leopold milczał, a na jego twarzy malował się nieprzenikniony wyraz.

– Oczekuję mnie w Azmirze, Wasza Wysokość – przerwała ciszę Vanessa – ale obawiam się, że naprawa okrętów zajmie moim ludziom zbyt wiele czasu. Zwracam się do ciebie z prośbą o użyczenie mi pływodziejów z twojej załogi. Nie został mi ani jeden.

Skoro tak, pomyślał Aeduan z przekąsem, to dlaczego wyczuwam pod pokładem co najmniej trzech? Woń ich krwi była nie do pomylenia z niczym innym, pachnieli znakami wysokiej wody i bystrzycą. Tylko jak poinformować o tym księcia, by imperatorowa się nie zorientowała?

– Wasza Imperatorska Doskonałość – bąknął Leopold, rozkładając ręce – nie mogłem nie dostrzec w twojej flocie okrętu, który wydaje się zupełnie sprawny. W ogóle nie wygląda jak pozostałe. Robił wrażenie jakby... jak żeśmy to ujęli? – Utkwił w Aeduanie wzrok, który oznaczał najpewniej, że czarodziej ma powstrzymać się od odpowiedzi. Pstryknął palcami, udając roztargnienie. – Jakby był nubreveński! Właśnie. Zastanawia mnie, Wasza Imperatorska Doskonałość, jak znalazł się w twoim władaniu.

– Natknęliśmy się na niego przypadkiem – odparła gładko Vanessa. – Zapewne także padł ofiarą lisów.

– A więc z całą pewnością – Leopold wsparł łokcie na kolanach – jego martwa załoga nie będzie miała nic przeciwko, jeśli to na jego pokładzie dopłyniesz do celu podróży.

Przez pół uderzenia serca Vanessa siedziała kompletnie nieruchomo; nic nie mówiła, nie oddychała, nawet nie mrugnęła okiem. A potem zerwała się raptownie, brzęcząc bransoletami, a maskę spokoju zastąpiła na jej twarzy maska złości. A może wręcz prawdziwa, nieudawana złość, bo kiedy Aeduan nabrał tchu, wyczuł przyspieszony puls imperatorowej i oblewające ją fale gorąca.

– Odmówisz mi pomocy? – wymówiła cicho. – Mnie, która jestem imperatorową Dzieci Płomienia, Wybranych Córek Ognistej Studni, najczcigodniejszą spośród wszystkich Marstokczyków? – Wyprostowała rękę i osadziła dłonie na stole z takim opanowaniem, że nie zadzwoniła nawet jedna bransoleta. – Mnie, która jestem Niszczycielką z Przełęczu Kendury? Odmówić mi, to jak podpalić własny stos pogrzebowy, księżę Leopoldzie. Lepiej nie mieć we mnie wroga.

– Jesteśmy teraz sojusznikami? Musiało mi umknąć.

Ciało Vanessy złożyło się do ataku i tak zastygło, niczym wąż czekający na dogodny moment. Aeduan instynktownie przywołał swoją własną magię, zaledwie odrobinę, tak by w jego oczach nie pojawiła się czerwień. Jeśli imperatorowa ruszy do ataku, powali ją w ułamku sekundy.

– Ja to widzę tak, Najwspanialsza ze Wspaniałych – podjął Leopold, unosząc wyprostowany palec. – Po pierwsze: myślę, że ścigasz oblubienicę mojego wuja. Bo z jakiego innego powodu opuściłabyś Szczyt Rozejmowy, na którym powinnaś być? Po drugie – wyprostował kolejny palec – myślę, że wpadłaś gdzieś niedaleko na porywaczy Safiyi i wdałaś się w walkę. – Gdy księżę prostował ostatni palec, jego brwi skrzywiły się gniewnie. – Trzeciej sprawy nie mogę zrozumieć, a mianowicie powodu tego całego zamieszania. Bo jakąż wartość może mieć dla ciebie Safiya, Wasza Miłość?

Atmosfera zrobiła się nie do wytrzymania. Pierś Vanessy uniosła się w furii... a potem opadła, a otchłaniarz wyczuł, że krew monarchini ostygła, że powściągnęła wodze wściekłości.

– Niepotrzebna mi oblubienica twego wuja, księżę Leopoldzie – mruknęła.

Leopold podniósł się z ławy.

– A ja – powiedział, górując nad niższą o półtorej głowy kobietą – nie wierzę ci, imperatorowo Vanesso.

Magia uderzyła w nich z piekielną szybkością, nawet Aeduan nie mógł przewidzieć tak raptownego ataku. Czar wyjął mu z pochew trzy noże i cisnął nimi przez ławę, a te znieruchomiały w powietrzu o cal od gardła, serca i brzucha Leopolda.

Potęga Aeduana przebudziła się z rykiem do życia. Jego magia sięgnęła w stronę Vanessy, ciało stężało, gotowe do starcia. Wtedy rozległ się śliski szept odpinanych z kabur pistoletów strzałkowych. Wszystkie wycelowane były w krwiodzieja i księcia. Aeduan strzelił wzrokiem w kierunku upatrzonych wcześniej dróg ucieczki. Potrafił zawładnąć Vanessą, ale co z tego, skoro zmije naszpikują go strzałkami? On może przeżyje, ale Leopold na pewno nie.

Księżę uniósł dłoń, a gdy przemówił, w jego głosie nie dało się wyczuć strachu, ani – ku zdziwieniu Aeduana – krwi.

– Jeśli odnajdziesz Safiyę fon Hasstrel przede mną, imperatorowo, niezwłocznie oddasz ją mnie. Inaczej poniesiesz konsekwencje.

– Tak wielką pałasz miłością do zabawki swego wuja? – Vanessa strzepnęła dłonią, a nóż przy szyi Leopolda cofnął się o kilka cali. – Czy tak wysoce cenisz jej życie, że gotów jesteś zaryzykować mój gniew?

Wargi księcia skrzywiły się w pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Znam Safiyę fon Hasstrel całe życie, Wasza Królewska Doskonałość. Gdy nadejdzie czas, będzie z niej wspaniała przywódczyni. Taka, która przedkłada dobro narodu nad prywatę. – Znacząco rzucił okiem na bransolety Vanessy. – Więc zapamiętaj dobrze, co ci powiem, Wybrana Córko Ognistej Studni. Jeśli nie dostarczysz mi przyszłej imperatorowej, pójdę do Marstoku choćby pieszo i zabiorę ją sobie sam. A teraz opuść noże, zanim niechcący na któryś nastąpię. To, mogę cię zapewnić, z całą pewnością wykreśliłoby twoje imię z postanowień Dwudziestoletniego Rozejmu.

Zaległa pełna napięcia cisza; Aeduan czekał, gotów uderzyć w każdej chwili. Ostrza drgnęły i cofnęły się, a później upadły. Krwiodziej złapał najbliższy w powietrzu, dwa pozostałe zadzwoniły o stół, potem o ławę. Gdy się po nie schylił, Leopold wziął z półmiska kolejny owoc.

– Dziękuję za poczęstunek, Wielka Niszczycielko. – Uśmiechnął się samymi ustami. – Zawsze radują mnie nasze spotkania.

Z wypiętą dumnie piersią ruszył bez słowa w kierunku drzwi.

– Chodź, mnichu – zawołał do Aeduana. – Zmarnowaliśmy czas, musimy nadrobić drogi.

Krwiodziej poszedł w ślad za księciem, nie odejmując oczu ani magii od imperatorowej i jej zmijów. Nikt nie próbował ich zatrzymać i chwilę później frunęli już z wiatrem na własny okręt, zostawiając za sobą marstocki galeon, czy raczej to, co z niego zostało.

Gdy stanęli na pokładzie, a Leopold rozkazał dowódcy Fitzowi Griegowi, by przyniósł mu czyste bryczesy, otchłaniarz obrzucił księcia nieufnym spojrzeniem.

– Imperatorowa – odezwał się, gdy dowodzący piekielnymi bardami zniknął pod pokładem – kłamała, mówiąc, że nie ma pływodziejów.

– Tak przypuszczałem. – Leopold skrzywił się na niewidoczną plamkę na mankiecie. – Skłamała też, mówiąc, że nie potrzebuje Safiyi fon Hasstrel. Ale – książkę podniósł wzrok – mam teraz jedną zasadniczą przewagę nad Vanessą.

Aeduan spojrzał nań pytająco.

– Mianowicie ciebie, mnichu Aeduanie. Wierz mi, gdy ci mówię, że przeraziłeś imperatorową Marstoku nie na żarty.

ROZDZIAŁ 28

Równy dzień! – rozkazał Merik znad koła sterowego. – Dwaj żeglarze skierowali reflektory Jany na fale. Księżyc dawał nieco światła, lecz za mało, zwłaszcza w siąpiącym od kilku godzin deszczu.

Kullen nie mógł jeszcze dmuchać w żagle, a ponieważ wszyscy pływodziejowie opuścili Merika, musiał wycisnąć z załogi siódme poty. I z siebie też. Nie miał jednak wyboru, czas naglił.

Należało odnaleźć Samotnego Drania, jak zawsze nazywał z Kullenem pewną wystającą ponad powierzchnię wody skałę, zanim połknie ją przypływ. Dalej znajdowała się ukryta jaskinia, gdzie będą mogli bezpiecznie odpocząć.

Ale jeśli Jana nie zdąży na przypływ, Merik będzie zmuszony czekać na drugą okazję aż do jutrzejszego wieczoru, a wtedy dopadną go albo lisy, albo Marstokczycy.

Zerknął na tkwiące w łańcuchach domnę i Evrane. Złote włosy Safiyy były mokre i wisiały w strąkach, biała szata ciotki przemokła do szarości. Iseult akurat nigdzie nie było widać. W przeciągu pierwszych czterech godzin kary zaglądała do kobiet setki razy, ale od dwóch dzwonów siedziała pod pokładem. Pewnie spała. I bardzo dobrze, pomyślał Merik. Za każdym razem, gdy przychodziła błagać go o uwolnienie Safi, czuł, że tężej mu mięśnie karku. Przeciągnął się i poklepał kieszeń, by sprawdzić, czy wciąż jest tam dokument pieczętujący umowę z Hasstrelami. Te kilka kartek stanowiło jego ostatnią szansę na ratunek. Po raz tysięczny rzucił na nie okiem. Stronice były spłaszczone i mokre od deszczu, ale podpisy pozostały nietknięte, a więc Safiyya jeszcze trochę posiedzi w łańcuchach. Może daleko mu do Vivii, jeśli chodzi o pilnowanie dyscypliny, ale i on umiał karać za nieposłuszeństwo. Jego załoganci doskonale o tym wiedzieli, a nawet się tego po nim spodziewali, nie mógł więc ot tak zdobyć się na wspaniałomyślność, domna czy nie. Nawet jeśli czekają go w przyszłości reperkusje za więzienie kobiety, która może stać się

imperatorową Cartorry... Nawet jeśli Safiya i jej oblubieniec Henrick będą mścić się za takie traktowanie... Merik miał to w nosie. Wolał zachować szacunek swojej załogi, niż martwić się na zapas o to, co jakiś zidiociały imperator zrobi krajowi, który już jest w ruinie.

Henrick. Merik nigdy nie lubił tego wrednego dziada. I pomyśleć, że Safiya jest jego narzeczoną. Pomyśleć, że poślubi i będzie dzielić łożę z mężczyzną trzykrotnie od niej starszym...

Nie mógł się z tym pogodzić. Dotąd wierzył, że Safiya różni się od reszty arystokracji. Jest impulsywna, zgoda, ale też lojalna. I zapewne tak samo samotna jak Merik w świecie rządzonym przez parszywe polityczne gierki.

Tymczasem okazała się dokładnie taka sama, jak wszystkie cartorriańskie domny i domowie. Miała klapki na oczach, a na uwadze dobro jedynie tych, których uważała za godnych.

Ile jednak by nie pielęgnował swojej złości na domnę, ile by sobie nie wmawiał, że nią pogardza, zawsze było jakieś „ale”, które doprowadzało go do szału. Ale ty zrobiłbyś to samo dla Kullena, mówił wewnętrzny głos. Też ryzykowałbyś życiem innych, byle ocalić jego jednego. A może ona wcale nie chce wychodzić za Henricka i zostać monarchinią? Może właśnie dlatego ucieka?

Merik odsunął od siebie te myśli. Fakt pozostaje faktem: gdyby tylko Safiya powiedziała mu o swoich zaręczynach, mógłby wrócić z nią do Dalmocji i załatwić sprawę od razu. Nie tkwiłby teraz po tej stronie Morza Jadańskiego, nie szarpał się z morskimi lisami i Marstokczykami, nie zmusiłby Kullena do wzięcia na siebie zadań ponad jego siły.

– Admirale? – Na pokład wyszedł, kuśtykając, Hermin. Miał niewesołą minę. – Nie mogę nawiązać łączności z lovatskimi głosodziejami.

– A... – Merik bezwiednie strzepnął krople deszczu z płaszcza. Hermin od kilku godzin próbował skontaktować się z królem Serafinem.

– Możliwe, że wszyscy głosodzieje królewscy są zajęci – dodał Hermin, przekrzykując fale, deszcz, skrzypienie lin i głosy żeglarzy.

– W środku nocy? – skrzywił się Merik.

– Albo problem tkwi w mojej magii. Może się starzeję.

Admirał obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Wiek nie miał wpływu na zdolności czarodziejskie. Wiedział o tym Hermin, wiedział i Merik, jeśli więc starzec próbował zbagatelizować fakt, że głosodzieje w Lovats

ignorują próby kontaktu Merika, była to dziecinna zabawa, do której nie miał teraz głowy.

Jeśli Vivia nie kłamała i ojciec faktycznie rozkazał jej podstawić zaczarowaną miniaturę, Merik będzie musiał coś z tym zrobić, ale nie teraz. Teraz musiał przede wszystkim dostarczyć ludzi na suchy ląd, byle dalej od marstockiego ognia.

Rzucił okiem na skutą kajdanami Safiyę i dostrzegł klęczącą przy niej Ryberę.

– Przejmij ster – warknął, ruszając w stronę schodów. – Rybera! – zagrział. – Odejdź stamtąd!

Dziewczyna poderwała głowę. Safiya wciąż wpatrywała się w deski między swoimi stopami. Merik zeskoczył na pokład i wziął na cel Ryberę.

– Powinnaś zasuwać z mopem. – Pokazał palcem szorującego pokład majtka. – To należy do twoich obowiązków, nie pogaduszki z więźniami, jeśli więc jeszcze raz zobaczę, że wykręcasz się od obowiązków, zostaniesz wychłostana. Czy wyrażam się jasno?

– To ja zawołałam Ryberę – wychrypiała Safi, unosząc głowę.

– Ktoś musi sprawdzić, jak się czuje Iseult – wtrąciła Evrane głosem suchym jak pieprz. – Dziewczyna jeszcze w pełni nie wydobrzała.

Merik puścił ich słowa mimo uszu, poluzował palcem kołnierzyk.

– Szoruj pokład – rozkazał Ryberze. – Natychmiast.

Dziewczyna zasalutowała, a gdy już zniknęła kapitanowi z oczu, ten okręcił się przodem do domny, gotów wrzasnąć, by nie zaczepiała jego ludzi. Ale wtedy zobaczył, że prawdopodobnie ma zamknięte oczy i otwarte usta, nawet w świetle pojedynczej latarni nie sposób było nie dostrzec pulsującego przełyku i ruchu języka pomiędzy wargami. Piła deszcz.

Złość w jednej chwili uleciała z Merika, a w jego miejsce pojawiła się trwoga. Wyszarpnął z kieszeni kontrakt. Podpisy wciąż były na miejscu. Oczywiście, że są, pomyślał, rozeźlony. Safiya nie krwawi. A jednak ręce mu drżały, choć nie do końca rozumiał dlaczego. Może ten przejmujący strach nie miał nic wspólnego ze ściskanym w garści dokumentem? Uporczywa myśl uwierała go z tyłu głowy, ale zdusił ją natychmiast i schował gdzieś głęboko, po czym włożył umowę z powrotem do kieszeni. A następnie wyłowił z innej klucza. Cokolwiek leży u podstaw tej pustej obawy, zajmie się tym później, tak jak nieopanowaną obawą o króla Serafina, Vivię i Kullena.

W tej chwili ważne jest, by zakończyć karę Safiyyi.

Przyklęknął na jedno kolano i otworzył pierwszy zamek. Safiyya wydawała się tym szczerze zdziwiona.

– Jestem wolna?

– Wolna w obrębie kajuty. – Gdy uporał się z drugim, wyprostował się. – Podnieś się.

Podkurczyła nogi i spróbowała wstać. Okrętem rzuciło, zatoczyła się i poleciała do przodu. Merik ją złapał. Jej skóra była mokra i zimna, targały nią dreszcze. Podniósł ją i trzymał w rękach jak śpiące dziecko. Żeglarze patrzyli na niego, Merikowi nie umknęło krótkie skinienie Hermina, który człapał ku wiodącej pod pokład drabinie. Domna zapłacała za niesubordynację, jej kara dobiegła końca. Jego załoga to akceptowała.

Twarz Safiyyi była tak blisko, że widział jej czarne rzęsy ozdobione zbłąkanymi kropelkami deszczu, jej przemoczone ubranie lepilo się do jego skóry, słyszał jej płytki oddech. Zignorował to wszystko, skupił się na stawianiu kroków, cały czas dźwigając wycieńczoną Safi, aż wreszcie znaleźli się w ciemnym pokoju pasażerskim. Iseult spała, trzęsąc się na swoim sienniku.

– Is – mruknęła Safiyya, poruszywszy się w ramionach Merika i próbując dosięgnąć więziosiostry. Książę schylił się nieznacznie i opuścił dziewczynę na posłanie obok Iseult, która wybudziła się ze snu. Gdy wyciągnęła rękę do przyjaciółki, Merik okręcił się na pięcie i opuścił kajutę, mówiąc sobie, że Iseult zadba o Safiyyę, że teraz nie będzie już o niej myślał, że już nigdy o niej nie pomyśli.

Lecz gdy dotarł do steru ojcowskiego okrętu i dostrzegł wśród fal wbijający się w horyzont czubek Samotnego Drania, jego ramiona wciąż jeszcze były ciepłe, a kark nadal mrowił od uścisku jej rąk.

* * *

Iseult znów była więźniem własnych koszmarnych snów...

Piłuj, piłuj, wykręć i piłuj.

Palce czepiały się Iseult. Szarpały jej włosy, jej suknię, jej ciało.

Nici, które pękają, nici, które umierają!

Strzała przebiła jej ramię; ból wstrząsnął całym jej jestestwem. I magia, magia – czarna, jątrząca magia...

– Ależ koszmary ci się śnią. – Głos cienia wyrwał Iseult ze snu. – Strasznie się dzisiaj trzęsiesz i drzysz – dodał po chwili tonem słodkim jak syrop. – Co cię tak wytrąca z równowagi? Chyba nie tylko sen. Śni ci się przecież cały czas.

Iseult próbowała odwrócić się od cienia, ale gdzie nie spojrzała, ten podążał za nią, uchylał się przed każdym kopnięciem i ciosem zadany siłą woli, a gdy ona próbowała desperacko uniknąć jego pazurów, te coraz głębiej wnikały w jej ciało. I to jego nieustanne paplanie, a właściwie jej, gdyż cień był kobietą, inną więziodziejką, przekonaną, że są do siebie podobne.

To właśnie ta gadanina przerażała Iseult najbardziej. Bała się na myśl, że ten dziwny głos należy do niej. Że być może cień rozumiał jej skrywane głęboko obawy lepiej niż ktokolwiek inny. Co oczywiście dało początek dociekaniom, czy czasem nie wyobraża sobie tego wszystkiego. Może po prostu traci rozum, a wszelkie nadzieje i plany na przyszłość przeciekają jej przez palce? Może w końcu ugina się pod niemi światła, które, cios za ciosem, miały jej serce na proch?

– Martwisz się o swoje plemię – stwierdził rzeczowo cień, natknąwszy się na najświeższe wspomnienia w głowie Iseult. – Wiesz, moje plemię też mnie wyгнаło, bo nie byłam jak inne więziodziejki. Nie umiałam wytwarzać kamieni Więzi ani kontrolować własnych uczuć, więc plemię stwierdziło, że jestem do niczego. Ty opuściłaś swoje z tego samego powodu, prawda?

Ciekawość brzmiąca w głosie miała dwa ostrza. Iseult wiedziała, że lepiej nie odpowiadać. Ale nie zdołała się powstrzymać, gdy cień powtórzył:

– Właśnie dlatego, prawda?

Łaskotała ją w gardło paląca potrzeba, by powiedzieć prawdę o swojej hańbie, o zazdrości, o Gretchyi i Almie. Dlaczego nie umie się przeciwstawić cieniowi? Użyj swojej frustracji, nakazała sobie, coraz bardziej roztrzęsiona. Uczyn z niej swój oręż.

Wniknęła w swój umysł i dokopała się do pierwszego bezmyślnego wspomnienia: do tabliczki mnożenia. Dziewięć razy jeden równa się dziewięć. Dziewięć razy dwa równa się osiemnaście...

Ale cień tylko się roześmiał.

– To zabawne, że zabraniają nam czuć – podjął, a do jego głosu powróciła słodycz. – Nie wierzę w to, co opowiadają: podobno nie możemy wytworzyć sercowięzi i nie mamy więziorodzin. Oczywiście, że mamy! Tyle tylko, że nie jesteśmy w stanie ich zobaczyć. Niby dlaczego Księżycowa Matka miałaby obdarzyć tak potężnymi więziami wszystkie swoje dzieci poza nami?

– Nie wiem. – Ogarnęła ją wdzięczność za tak łatwe pytanie. Jeśli udzieli na nie odpowiedzi, jeśli zgodzi się współpracować, może cień sobie pójdzie. Ale on ani myślał. Zamiast tego roześmiał się jej własnym dźwięcznym śmiechem.

– Popatrz tylko! – krzyknął. – Rozmowa o więziorodzinach cię smuci, Iseult. Dlaczego? No dlaczego?

Dziewięć razy cztery równa się trzydzieści sześć. Dziewięć razy pięć...

– Aha, przez matkę! I jej uczennicę. Skrzywdzili cię, złamali. Na bogów, Iseult, czytam w tobie jak w otwartej księdze. Wszystkie twoje obawy wypływają na powierzchnię jak oliwa, a ja zdejmuję je łyżką, jakby to była miska borgszy. Tutaj na przykład widzę jak na dłoni, że twoja matka wypędziła cię, kiedy wyszło na jaw, że nie umiesz tworzyć kamieni Więzi. A na przykład tutaj, patrzcie państwo... – Cień pałał ekscytacją, w tym stanie Iseult nie zdołała uchronić przed nim swoich myśli. – Gretchya i Alma planowały ucieczkę na długo przed tym, nim zniknęłaś! A popatrz tutaj, Iseult: próbowała skłamać, że cię kocha. No cóż, najwyraźniej kochała nieszczęśliwie mocno, skoro nie chciała zabrać cię ze sobą. Owinęła cię sobie wokół palca, Iseult, zgodnie zresztą ze swoją profesją. I z twoją. Musimy wyciągać rękę po nici, kiedy tylko możemy. I zrywać je, kiedy zachodzi taka potrzeba. Tylko w ten sposób można spruć splot. – Cień zniżył głos do szeptu, który brzmiał jak wiatr przetaczający się przez cmentarz. – Zapamiętaj moje słowa, Iseult: twoja matka nigdy cię nie pokocha. A ta mniszka, którą tak podziwiasz? Nigdy cię nie zrozumie. A Safiya? Och, Safiya! Porzuci cię pewnego dnia. I ten dzień rychło nadejdzie. Chyba że coś na to poradzisz. – Cień zrobił pauzę, a Iseult oczami wyobraźni widziała jego uśmiech, bliźniaczo podobny do jej własnego. – Możesz zmienić cały splot świata. Położyć rękę na niciach Safi. Zerwać je, zanim cię skrzywdzą...

– Nie – wysyczała Iseult. – Mam cię powyżej uszu. Mam cię... dość. – Zebrała całą siłę, jaka tliła się w jej mięśniach i umyśle, i otworzyła usta

w realnym świecie, by powiedzieć: – Dziewięć razy osiem równa się siedemdziesiąt dwa.

Świat przedarł się do niej, niosąc ze sobą ból w ramieniu i odgłos kroków. I głos Safi. Otworzyła oczy, a przyjaciółka była tuż obok niej.

* * *

Prawdodziejka drżała z zimna. Mimo najlepszych chęci nie mogła zbadać terenu i ocenić zagrożenia ze strony swoich wrogów, było też jakieś zagadnienie natury strategicznej, które miała rozważyć, a tego nie zrobiła.

– Zmarzłaś – powiedziała Iseult. – Przykryj się kocem.

– Nic mi nie jest. – Safi zmusiła się do uśmiechu. – Poważnie, to tylko urażona duma i kilka kropel deszczu. A ty jak się czujesz? Jak twoja ręka?

– Już lepiej – odrzekła, nie zmieniając wyrazu twarzy. Dobry znak. – Kamień bólu przestał działać, więc boli. – Potrząsnęła nadgarstkiem, by pokazać przyjaciółce przymglony kwarc. – Ale już nie tak jak wcześniej.

Safi skinęła głową i opadła na siennik, aż słoma wylazła z dziur.

– A jak tutaj? – spytała po chwili, stukając się palcem w pierś. – Mówiłaś przez sen. Czy to... czy to przez klątwę?

– Nie, nic podobnie okropnego. – Iseult ułożyła się obok niej. – Zwykły koszmar.

Safi z namaszczeniem dotknęła bandaża na jej prawej ręce.

– Powiedz mi, co się stało.

Zmarszczki na twarzy więziodziejki wygładziły się, dziewczyna skupiła wzrok na bliżej nieokreślonym punkcie w przestrzeni. Opowiedziała, jak została zmuszona do powrotu do domu przez szukającego jej krwiodzieja. Pozbawionym emocji, rzeczowym głosem opisała przyjaciółce osadę, klątwodzieja, tłum. W miarę snucia opowieści węzeł zaciskał się na żołądku Safi coraz mocniej i mocniej, poczucie winy piekące jak żółć podeszło jej do gardła. Bo była to wyłącznie jej wina. Tak jak i wszystko inne, co poszło nie tak przez ostatnie dwa dni. To z jej powodu Iseult otarła się o śmierć. A to, że przyjaciółka za nic jej nie winiła, tylko pogłębiało jej wyrzuty sumienia. Zanim Safi zdążyła otworzyć usta i zanim wydobyła się z nich prośba o przebaczenie, przez twarz Iseult przemknął uśmiech, zupełnie niepasujący do jej opowieści.

– Zapomniałabym, mam dla ciebie prezent. – Wyjęła z szaty skórzany rzemień i przełożyła go Safi przez głowę.

Prawdodziejka zmarszczyła czoło, jej poczucie winy gdzieś przepadło.

– Czy to kamień Więzi?

– Tak. – Iseult trąciła ją lewym łokciem. – I to rubin.

– Ale czy kamienie Więzi nie służą do szukania sercowięzi?

– Niekoniecznie. Można z ich pomocą szukać dowolnego członka więzirodziny. – Wyjęła z brudnej szaty drugi kamień. – Widzisz? Ja mam taki sam. Teraz, gdy któraś z nas znajdzie się w opałach, kamienie zaczną świecić, a im bliżej siebie będziemy, tym światło będzie słabsze.

– Niech mnie Studnie błogosławią... – Odetchnęła Safiya. Kamień zrazu wydał jej się dwukrotnie cięższy, piękny na zupełnie nowy sposób i nieporównanie cenniejszy. Mogła teraz odnaleźć Iseult, gdziekolwiek by nie była, mogła ją bronić przed niebezpieczeństwem takim jak to, którego doświadczyły minionej nocy. To zaiste królewski dar. – Skąd je masz?

Przyjaciółka zignorowała pytanie.

– Ten kamień – powiedziała – już raz uratował ci życie. To dzięki niemu znalazłam cię w tamtym miejscu na północ od Veñazy.

Na północ od Veñazy, gdzie jej własne plemię wraziło jej strzałę w ramię. Nic dziwnego, że wykręciła się od odpowiedzi. Safi poprawiła naszyjnik.

– Przepraszam cię – wyrzekła cicho. – Już nigdy nie będziesz musiała wracać do Midenzi. Nigdy.

– Wiem – odrzekła, drapiąc się w obojczyk – ale... gdzie my się właściwie podziejemy, Safi? Nie wydaje mi się, b-byśmy mogły teraz wrócić do Veñazy.

– Udamy się z księciem do Lejny, żebyśmy mogła wypełnić kontrakt.

– Z księciem, mówisz... – Jej twarz pozostała niewzruszona, jeśli nie liczyć ledwie zauważalnego skurczu przy płątku nosa. – A co będzie po Lejnie?

Safi zamyśliła się, wystukując rytm palcami na kolanie. Co jej powiedzieć, by się uśmiechnęła? Gdzie jej więziosiostra mogłaby raz jeszcze poczuć się bezpiecznie?

– A może Saldonika?! – wykrzyknęła, przybierając najgłupszy ze swoich uśmiechów. – Byłyby z nas piratki co się zowie.

Iseult nawet nie siliła się na ruch ustami. Znowu drgnął jej płatek nosa, tym razem nieco bardziej zauważalnie. Utkwiła wzrok w dłoniach.

– Tam jest moja matka, a ja... nie chcę się z nią spotkać.

Po trzykroć przekłeta cholera, wściekła się na siebie Safi. Oczywiście, ze wszystkich miejsc musiała wybrać akurat to, gdzie jest Gretchya. Zanim zdołała wymyślić coś innego – coś, co na pewno wywołałoby uśmiech na twarzy Iseult – drzwi do kajuty wyrznęły z hukiem o ścianę.

Do środka wtoczyła się Evrane, popędzana z tyłu przez dwóch załogantów. Mniszka zatrzasnęła im drzwi przed nosami, a potem dowlokła się do dziewczyn. Safi zauważyła, że Iseult natychmiast przestała się garbić.

– Pozwólcie, że was zbadam – wykrztusiła, siadając obok Safi. – Cała jesteś posiniaczona, domno.

– To nic – zapewniła prawdopodobiejka, podkurczając nogi.

– Siniaki może nie boją, ale nie chodzi mi tylko o twój ból, domno. – Rzuciła okiem przez bulaj, gdzie w oddali widać było posrebrzone księżycowym blaskiem wybrzeże. – Siniak to krew rozlana pod skórą. Nie wolno nam lekceważyć warunków kontraktu.

Safi wydała z siebie przeciągłe westchnienie, wracając myślami do Merika. Do księcia Merika. Do admirała Merika. Nigdy na długo nie opuszczał jej myśli, a w kajdanach nie myślała o niczym innym. Przez długie godziny nie patrzyła na nic innego, tylko na jego zlepione deszczem włosy i zastygłą na twarzy maskę determinacji, gdy sterował Janą, obrawszy kurs na swoją ojczyznę.

Kiedy Evrane zrobiła dla domny wszystko, co mogła, obejrzała ramię Iseult, a Safi przysunęła się do okna, by popatrzeć na rosnące w oczach wybrzeże. Bolały ją mięśnie i nawet stanie nieruchomo wymagało znacznego wysiłku, ale nie przeszkadzał jej ten ból: wręcz przeciwnie, odpędzał zimno, rozpraszał myśli o Meriku i o okropnościach, których doznała Iseult ze strony swojego plemienia – o wszystkim tym, czego lepiej nie pamiętać.

Widok za oknem nie przedstawiał się zbyt interesująco – ot, kamienne ściany i pstrzące szybę kropelki wody. Jeśli wygięła szyję, udawało jej się dostrzec blednące na wschodzie niebo.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała.

– W grocie należącej do rodu Niharów – odpowiedziała mniszka głosem zimnym jak lodowiec. – Od stuleci objętej tajemnicą. Aż do dziś.

Safi się odwróciła, słysząc te słowa, ale mniszka milczała, ze ściągniętą ponuro twarzą owijając ranę Iseult świeżym bandażem.

– Jaskinię otaczają klify, a więc nie sposób jej znaleźć od strony lądu – podjęła po chwili uzdrowicielka. – Jest tam miejsce tylko na jeden okręt. Ale myślę – kontynuowała, zawiązując węzeł – że wkrótce same ją zobaczycie. Admirał postanowił zabrać nas na ląd. Do samej Lejny ruszymy pieszo.

ROZDZIAŁ 29

Merik stał w kajucie Kullena ze wzrokiem wlepionym w leżącego na pościeli przyjaciela. Był on bardzo blady i masował sobie pierś knykциями, odwzajemniając spojrzenie admirała. Rybera podłożyła mu pod plecy worek z mąką, by unieść jego głowę i ułatwić oddychanie. Biały pył przyprószył mu włosy i policzki. W niemrawym świetle wschodzącego słońca wyglądał jak trup.

Ale sama kajuta była pełna życia. Jedyne kufer Kullena stał pod oknem, podniesione wieko ukazywało znajdujący się w środku zwyczajowy uporządkowany chaos. Od skrzyni do pościeli wiodł trudny do zignorowania szlak koszul i bryczesów.

– Nazbyt pogrążony w lekturze, by złożyć mundur? – zagadnął Merik, usiadłszy na krawędzi łóżka.

– Rozgryźłeś mnie. – Kullen zamknął oprawioną w czerwoną skórę Prawdziwą opowieść o Dwunastu Paladynach. – Nie mogę się oderwać od epickich opowieści, gdy jakąś napocznę. Skoro już muszę leżeć w łóżku, to niech się przynajmniej nie nudzę. – Skrzywił się na widok walającego się po podłodze odzienia. – Ależ ze mnie fleja.

Merik potwierdził skinieniem, zatopiony w myślach. Ukląkł przy łóżku. Kullen wiedział, że przyjaciel wcale nie dba o porządek w jego kajucie.

– Nie będzie mnie najwyżej kilka dni – rzekł książę.

– Nie spiesz się przez wzgląd na mnie. – Kullen wykrzywił usta w przerażającej karykaturze uśmiechu, która zaraz pękła pod naporem ataku kaszlu.

– Udam się na północ, do posiadłości, i poszukam Yorisa – podjął Merik, gdy kaszel ustał. – Nie sądzę, by kręcił nosem na Safiyę, ale może mieć coś przeciwko goszczeniu Iseult. Nigdy nie lubił Nomatsów.

– Ani twojej ciotki. – Kullen sykliwie wypuścił powietrze i ułożył się na worku. – Bo podejrzewam, że ona również pojawi się na twoim małym przyjęciu?

– Chyba nie zdołam jej zabronić.

– Jeśli Yoris będzie miał jakieś pretensje, przekaż mu – strzepnął dłonią, a Merika omył strumień chłodnego powietrza – że przepędzę go na cztery wiatry.

Merik skrzywił się na tę małą demonstrację, ale nic nie powiedział. Latami kłócili się o zbyt frywolne, zdaniem Merika, czerpanie magii przez Kullena. Admirał nie chciał rozstawać się z nim pokłócony.

– Mam zajrzeć do twojej matki, skoro już będę w okolicy?

– Wolę odwiedzić ją sam – odpowiedział, kręcąc głową. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

– W porządku. Zabierz ze sobą Ryberę. Na wszelki wypadek.

Brwi Kullena powędrowały w górę.

– Powiem Herminowi, że to na mój rozkaz – dopowiedział pospiesznie admirał. – Rybera wie, jak się zachować na wypadek ataku, a załoga ma tego świadomość. To logiczne, że pójdzie z tobą. A w ogóle... – Merik zmarszczył brwi na widok żałoby pod własnymi paznokciami. – Nie wydaje mi się, by załoga miała coś przeciwko wam. Już po admiralicji, Kullenie. Lovats nie odbiera naszych połączeń, a wszystko coraz wyraźniej wskazuje na to, że Vivia mówiła o moim ojcu prawdę.

– Któż by się spodziewał? – zadrwił Kullen.

Merik odchrząknął i na krótką chwilę całą uwagę poświęcił paznokciom. Kolejna kwestia, co do której od dawna nie mogli się porozumieć: Kullen wierzył, że Serafin celowo podsycił animozje między potomstwem. Zdaniem Merika ta teoria była gównem. Wiele można o królu Serafinie powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest mąciwodą z zamiłowania. Zwłaszcza że Vivia pracowała tak na pełen etat.

– Jedno wiem na pewno, kolego: to mianowicie, że tkwimy w głębokim grobie, z którego jeszcze nie udało mi się nas wydobyć.

– Ale przecież możesz. – Kullen pochylił się do przodu, a z przerwy w szwie buchnęła mąka. Gdyby nie ich sytuacja, przyjaciele pewnie by się uśmiechali. – Jeśli dotrzesz do Lejny i sfinalizujesz swoją umowę handlową, wtedy wszystko ładnie się ułoży. Twoim przeznaczeniem jest wielkość, Meriku. Wciąż głęboko w to wierzę.

– Wielkość na pół gwizdka. Umowa, jak dobrze pójdzie, zostanie zawarta z jedną cartorriańską posiadłością spośród setek. A tutejsze gleby – Merik wskazał przez okno, wezbrał w nim pusty śmiech – nie są bardziej

zdatne pod uprawę niż rok temu. Nie wiem czemu, ale wciąż mam nadzieję, że to się kiedyś zmieni. Za każdym cholernym razem, gdy wracamy, mam nadzieję, że uświadczę tu trochę więcej życia.

Kullen odetchnął z wysiłkiem. Uwadze Merika nie uszedł szmer w jego płucach.

– Jesteś zmęczony. Pójdę już.

– Czekaj. – Kullen uczeplił się jego rękawa, temperatura odczuwalnie spadła. – Obiecuj mi coś.

– Wszystko.

– Obiecuj, że rozważysz rundkę w pościeli na wyjeździe. – Zacerpnął głośno powietrza. – Jesteś taki spięty, że na sam twój widok kurczą mi się płuca.

Merik parsknął śmiechem.

– A ja się spodziewałem poważnej prośby, jak jakiś głupek. Mam sporo powodów, by być spiętym, wiesz?

– Tak czy inaczej, obiecuj. – Kullen machnął ospale ręką.

– I z kim niby miałbym zaliczyć tę rundkę, hm? Nie widzę, by kobiety ustawiały się w kolejce.

– Z domną.

Tym razem Merik roześmiał się pełną piersią.

– Żadnych rundek z domną. A zwłaszcza taką, która jest narzeczoną imperatora Cartorry. Pomijam już, że doprowadza mnie do szału. Zawsze, gdy pomyślę, że wody są spokojne, ona wywołuje szkwał jednym słowem.

Kullen się zakrztusił, ściągając na siebie zatroskany wzrok Merika, ale zaraz okazało się, że po prostu się śmieje, nawet jeśli świszczący dźwięk z jego płuc niezbyt kojarzył się z zadowoleniem.

– To nie jest kwestia twojego temperamentu, durniu jeden. To twoja magia reaguje na kobietę, jak Noden przykazał. A jak myślisz, co się dzieje z moją, kiedy razem z Ryberą...

– Nie chcę wiedzieć! – Uniósł otwarte dłonie w pojednawczym geście. – Naprawdę niepotrzebna mi ta wiedza.

– Dobrze już, dobrze. – Śmiech ustał, ale krzywy uśmieszek nie schodził z twarzy Kullena.

Merik stłumił nagłą chęć, by udusić swojego więziobrata. Inaczej wyobrażał sobie tę rozmowę, z całą pewnością nie planował dyskusji

o rundkach w pościeli. Przywołał więc na twarz uśmiech i skinął Kullenowi na pożegnanie.

– Pozdrów ode mnie swoją matkę, a jeśli będziesz mnie potrzebował, daj znać bębniem. Przez większość drogi do Lejny będziemy trzymać się wybrzeża.

– Dobrze. – Dłoń Kullena wróciła do masowania mostka, odpowiedział skinieniem. – Bezpiecznych przystani, Meriku.

– Bezpiecznych przystani – odpowiedział i wymaszerował z kabiny.

Gdy znalazł się na pokładzie, kazał Ryberze przyprowadzić więźniów, upewniwszy się, że pod tym właśnie hasłem będą figurować w jego słowniku. Nie „rękojmia”, nie „pasażer”, a „więzień” właśnie. Dzięki temu łatwiej mu było ignorować radę Kullena. Nie będzie patrzył na Safiyę, nie będzie z nią rozmawiał, a już na pewno nie będzie o niej myślał w ten sposób. Dzięki temu, gdy dotrą do Lejny, po prostu ją tam zostawi i nigdy więcej już jej nie zobaczy.

Iseult szła za Safi, która podążała za Evrane, podążającą z kolei za prowadzącą ich ciemnym korytarzem Ryberą. Ich celem była drabina wiodąca na pokład. Dwaj marynarze obrzucili Iseult nieprzychylnym spojrzeniem, gdy wsparła stopę na pierwszym szczeblu. Wymienili jakąś uwagę, a ich nici drgały niechęcią. Safi – jak to Safi – odpowiedziała nie mniej nieprzychylnym spojrzeniem i wolno przesunęła kciukiem po szyi. Nici zapłonęły szarym odcieniem strachu.

Iseult zacisnęła zęby i spojrzała ostrożnie na Evrane, by zobaczyć, czy zauważyła. Na szczęście nie, ale tak czy inaczej Iseult będzie musiała po raz tysięczny przypomnieć Safi, że nie warto obnosić się z wrogością. Przyjaciółka miała dobre intencje, ale niepotrzebnie ściągnęła w ten sposób uwagę na Iseult i jej odmienność. Jedyne, co w ten sposób osiągnęła, to więcej spojrzeń spode łba, przekleństw i więcej szarych nici. Zwykle Safi nie szukała zwady, ale od kiedy spędziła kilka godzin w kajdanach, jej nici pulsowały rdzawym poczuciem winy, złotym wstydem i niebieskim żalem. Więziodziejka nie widziała dotąd Safi w takim stanie. Nie zdawała sobie sprawy, że przyjaciółka może tak bardzo przejmować się smutkiem przysporzonym komuś innemu poza Iseult.

Gdy znalazły się na opustoszałym tylnym pokładzie, niespodziewanie nici przyjaciółki rozbłysły nowymi kolorami – odcienie wstydu i żalu wzbogaciły się o szarobrazową plamę trwogi i błękitne przygnębienie.

U stóp wysklepionych wysoko nad Janą klifów rozciągało się pasmo kamienistej plaży. Harmonię wiatru i fal kontrapunktował nieregularny rytm kroków marynarzy. Nie mąciło jej ćwierkanie jaskółek ani krzyki mew, próżno było szukać wśród skał osiadłych z godnością na kamieniach pelikanów i wypatrywać ślizgających się na wietrze burzyków.

Ptaków znajdowało się tam mnóstwo, ale żaden nie mógł śpiewać czy fruwać. Ich wykręcone truchła i ogołoczone z ciała szkielety zaścielały plażę i dryfowały na łagodnych falach, które wyrzucały na brzeg setki martwych, spieczonych słońcem ryb. Ile tysięcy trupów zebrała ta ziemia przez lata? Ile dołączało do nich każdego kolejnego dnia?

Iseult utkwiała wzrok w Evrane, zastanawiając się, jakie uczucia targają uzdrowicielką, gdy widzi swoją ojczyznę w tym stanie. Nie dopatrzyła się jednak w jej niciach żadnego zgiełku, żadnego niespokojnego drżenia rozpaczy, ujrzała tylko blady poblask zleżającego smutku. Odchrząknęła i zwróciła się do mniszki, pilnując, by się nie zająknąć:

– Siostrze Evrane, myślałam, że jadodzieje zatruli wodę, nie ryby.

– Ryby pływają w zatrutej wodzie i giną – odparła, przysuwając się do niej. – A potem giną ptaki, które je jedzą.

Safi kołysała się z rękami wspartymi o nadburcie. Na jej twarzy i w jej niciach malowała się trwoga. Iseult stała zupełnie nieruchomo, marząc o tym, by jej twarz mogła wyrazić to samo i pokazać tym sposobem Evrane, że serce ją boli na widok tej zniszczonej krainy. Ale nie mogła, tkwiła więc w miejscu jak przyszpilona. Na granicy jej pola widzenia zapłonęły nowe nici i nie musiała odwracać głowy, by wiedzieć, kto zszedł właśnie po schodach, kto zbliżył się do Evrane i przyłożył lunetę do oka.

Falujące pomiędzy Merikiem a Safi nici znalazły się wzajemnie, tworząc niespotykaną feerię sprzeczności. Zewnętrzne włókna wyciągały się naprzód i czepiały siebie niczym stęsknione rozgwiezdy. Więziodziejka widziała w nich pasma purpurowego łaknienia, pasję w kolorze burgunda i niebieski cień żalu. Z niemałą domieszką karmazynowej wściekłości.

Takie połączenie może mieć wybuchowe skutki, rzuciło jej się na myśl. Pomasowała wściekle nasadę nosa.

– Co ci jest? – spytała Safi.

Iseult wzdrygnęła się; tak bardzo skupiła się na niciach, że zapomniała o przyjaciółce.

– Nic – mruknęła, wiedząc, że Safi natychmiast przejrzy kłamstwo.

– Ona jest boso! – wykrzyknęła Evrane, ściągając na siebie uwagę prawdopodobiejki.

Nozdrza Merika rozděły się złowróźnie, Safi już otworzyła usta, by powiedzieć, że czuje się bez obuwia zupełnie dobrze, ale nie zdążyła.

– Rybera! – zagrział Merik. – Natychmiast daj domnie jakieś buty.

Dziewczyna wychynęła spod pokładu, gryząc wargę.

– Buty są, ale domna musiałaby przymierzyć. W ten sposób będzie prościej.

– Wykonać. – Merik machnął ręką, wracając do lustrowania wybrzeża.

– Idziesz ze mną? – rzuciła Safi do Iseult.

– Nie, zostanę tutaj. – Gdyby zeszła z przyjaciółką pod pokład, nie opędziłaby się od pytań, a któreś z nich z pewnością zahaczyłoby o kwestię zespalających się nici... Albo, co gorsza, o cienisty głos z jej koszmarów. – Chcę zaczerpnąć jeszcze trochę świeżego powietrza.

Safi nie kupowała tego. Powiodła wzrokiem po wspinających się na maszty żeglarzach, a potem obrzuciła przyjaciółkę sceptycznym spojrzeniem.

– Na pewno?

– Nic mi nie będzie, Saf. Zapomniałaś, że to ja nauczyłam cię sztuki wyjaławiania?

Prawdodziejka zachnęła się, ale jej nici barwił oznaczający rozbawienie róż.

– Doprawdy, droga więziosiostryczko? A czy ty zapomniałaś, że to mnie zwano w Veñazie Wielką Jałowicielką? – Wykonała zamaszysty gest ręką, zdążając do drabiny.

Iseult nie musiała już markować uśmiechu.

– Myślisz, że tak cię wołali? – rzuciła za nią. – Nie jałowicielką, tylko gębodziejką, bo buzia ci się nie zamykała.

Safi zatrzymała się na drabinie, by pokazać Iseult przygryziony kciuk. Iseult odwzajemniła gest.

Gdy wróciła wzrokiem do Merika, dostrzegła jego podniesioną wysoko brew, a kątem oka zauważyła, że Evrane tłumy śmiech. Widok rozbawionej mniszki sprawił jej wielką radość, poczuła ciepły impuls rozchodzący się po ramionach i plecach.

– Dobrze widzieć cię w lepszym zdrowiu – rzekła Evrane.

– Dobrze lepiej się czuć – odparła, przetrząsając umysł w poszukiwaniu jakiegoś błyskotliwego komentarza. Albo czegokolwiek. Nic jednak nie znalazła, więc bryza wypełniła pauzę niezręczną ciszą. Z braku lepszego zajęcia zaczęła masować prawy łokieć. Nici Evrane oblały się zielenią troski.

– Doskwiera ci ból w ramieniu, a ja głupia zostawiam torbę pod pokładem.

Poszła po nią, zostawiając Iseult z Merikiem. Sam na sam z księciem, który mógłby stać się członkiem więziorodziny Safi. Albo, z równą łatwością, jej śmiertelnym wrogiem. Mężczyzną, który zdecydował o celu ich podróży.

– Czy jesteś żonaty? – palnęła, nim pojęła, o co pyta. To było pierwsze pytanie, jakie zadawały więziodziejki osobom, dla których tworzyły kamienie Więzi. Gretchya zadała je tysiące razy, a Iseult osłuchiwała się z nim, dorastając.

– Nie... – Palce Merika zacisnęły się na lunecie, jego nićmi targnęło zaskoczenie. – Nie jestem.

– A czy masz kobietę?

Opuścił lunetę, w jego niciach błysnęła odraza.

– Nie mam. Dlaczego pytasz?

Iseult westchnęła w duchu.

– Nie jest moją intencją czynienie ci awansów, książę, zapewniam, że nie ma powodu do zmartwień. Próbuję tylko dociec, czy powinniśmy iść z tobą do Lejny, czy nie.

– Czy powinniście? – Nici uspokoiły się, sam Merik również. – Nie bardzo macie wybór.

– Jeśli naprawdę tak myślisz, książę, to nie doceniasz Safi i mnie.

Na policzki Merika wystąpił rumieniec, jego nici błysnęły wściekłością. Iseult zdecydowała, że najlepiej zakończyć przesłuchanie. Lecz gdy Merik okręcił się na pięcie, by zostawić ją samą, zastąpiła mu drogę.

– Nie przepadasz za mną – stwierdziła. – I nie musisz. Zapamiętaj tylko: jeśli wyrządzisz krzywdę Safiyi fon Hasstrel, poszatkuje cię na małe kawałeczki i nakarmię tobą szczury.

Merik zmilczał, choć miał ciężki krok, gdy wymijał więziodziejkę, idąc ku schodom. Nie trzeba było patrzeć na nici, by widzieć, że płonie

gniewem. Ale cyjanowy błysk w jego włóknach wyjawiał Iseult, że nie tylko ją rozumiał, ale też wziął sobie do serca jej ostrzeżenie.

I dobrze, bo mówiła szczerze.

* * *

Safi skryła się przed zawiewającym wiatrem za burtą szalupy. Rybera wiosłowała pracowicie, wioząc ją, Iseult, Evrane i Merika na brzeg.

Gdy prawdopodobiejka znalazła się z Ryberą pod pokładem Jany, przeprosiła ją za to, że napytała jej biedy u admirała, ale dziewczyna wzruszyła tylko ramionami.

– Admirał głośno warczy, ale nie gryzie. Poza tym to nie na mnie jest zły.

Prawda. Odkąd skryli się w jaskini, Merik prawie w ogóle nie patrzył na Safi, a gdy próbowała go wypytywać – czy idziemy pieszo? czy mamy zapasy? – uparcie milczał. To oczywiście sprawiło, że Safi tym bardziej chciała wydusić z niego odpowiedzi. Już wolałaby, żeby warczał i gryzł, niż by traktował ją jak powietrze.

Szalupa wkrótce wryła się w piach; Rybera przeskoczyła burtę i znalazła się po kolana w wodzie. Chwyciła mocno za dziób i zaczęła wciągać łódź na brzeg. Merik i Evrane natychmiast poszli w jej ślady, Safi i Iseult nie okazały podobnej kurtuazji.

– To jedna z tych rzeczy, których Habim i Mathew nas nie nauczyli – stwierdziła więziodziejka, wysiadając z łódki z pomocą Safi i Rybery. – Powinniśmy ich poinformować, że umiejętność wysiadania z szalupy bardzo się w życiu przydaje.

– Nie aż tak bardzo – odparła Rybera. – Się wsiada, się wysiada.

– Iseult próbowała tylko być śmieszna. – Safi odkaslnęła w pięść.

– Aha – zachichotała dziewczyna. – Wybacz. Znałam tylko jedną więziodziejkę w bardzo podeszłym wieku. Rozumiem, że widzisz teraz moje nici?

– Owszem – potwierdziła Iseult. – Są całe zielone z ciekawości.

– To znaczy, że... – Jej twarz przyozdobił przyjemny dla oka uśmiech. – Widzisz też nici mojej sercowięzi.

Iseult zmarszczyła nos i rzuciła Safi szybkie, prawie nerwowe spojrzenie, nim odpowiedziała.

– Tak, widzę. Jest na statku.

Uśmiech Rybery rozkwitł, choć w jej oczach próżno było szukać wesołości. Spojrzenie miała markotne i puste.

– Rybera – przywołał kobietę Merik, a ona otrząsnęła się i pomaszzerowała rażno do admirała.

– Czemu tak na mnie spozrzałaś, gdy Rybera spytała o sercowież? – powiedziała Safi, nachyliwszy się konfidencjonalnie do przyjaciółki.

– Bo w ich więzi jest niebieska nić – odparła beznamiętnie. – Co oznacza, że w ich miłości jest ziarno smutku.

– Rozumiem... – Safi wypuściła powietrze. Myśl, że Rybera i Kullen dzielą jakiś nieokreślony smutek, ścisnęła jej gardło.

Iseult zeskoczyła na plażę i ruszyła ku Evrane, przyglądającej się zaległemu wśród kamieni martwemu fulmarowi, a Safi czekała na Merika.

– Dopóki Kullen nie wróci do zdrowia – tłumaczył Ryberze, gdy wiatr igrał z jej warkoczami – dowództwo obejmuje drugi oficer Hermin. Pamiętajcie: nie pijcie tutejszej wody i nie jedzcie ryb. To nie rzeka Timetz, nie ma tutaj naszych wododziejek. Zginiecie, nim zdążycie przełknąć. Dopilnuj też, by Hermin się nie przeforsował. Jeśli Lovats nie chce z nami rozmawiać, to trudno.

Rybera zasalutowała, przykładając pięść do serca, a wzrok Merika spoczął na okręcie. Przez dłuższą chwilę fale omywały jej obute stopy, ale dziewczyna nie wychodziła z wody. Po prostu odczekała, aż admirał pożegna się w ciszy ze swoją jednostką. Gdy już to zrobił, wyprostował się i poprawił kołnierz, a potem skierował się w stronę plaży, mijając Safi, jakby była jednym z zaścielających plażę kamieni.

– Bezpiecznych przystani! – krzyknęła za nimi Rybera.

– Bezpiecznych! – odkrzyknęła prawdodziejka, uparcie depcząc Merikowi po piętach.

Zaraz dołączyła do niej Iseult i zrównała się z nimi w marszu, a po niej Evrane, która w porównaniu do obu przyjaciółek kroczyła dumnie i z gracją. Plaże okalające Veñazę były żółte i piaszczyste, kostki Safi nie nawykły do żwiru i kamieni. Wkrótce dziewczyna nauczyła się też, że przeskakiwanie na takim podłożu ponad martwymi ptakami nie jest tak łatwe, jak jej się zdawało.

Odwróciła się do Iseult, by się poskarżyć, ale zrezygnowała, gdy zobaczyła, że więziodziejka dyszy, jakby całą odległość przebiegła sprintem.

– Dobrze się czujesz? Może zwolnimy?

Iseult upierała się, że czuje się świetnie.

– Czy wolno spytać, Wasza Wysokość, dokąd idziemy? – wydyszała. – Bo wygląda na to, że donikąd.

Faktycznie, droga wiodła ich ku dwóm wysokim klifom połączonych nawisem, z którego sterczały w dół ociekające wilgocią stalaktyty.

– Nieopodal znajduje się druga jaskinia – poinformowała ją Evrane, gdy stało się jasne, że Merik nie ma zamiaru odpowiadać. Ale Safi była pod wrażeniem, że Iseult w ogóle odważyła się spróbować. – Nie widać jej, bo to sekretna jaskinia, tak jak ten przesmyk.

– Nikt nas tam nie zobaczy – mruknął Merik, wskazując skraj nawisu po prawej stronie.

Schylił się, przechodząc pod stalaktytem. Safi zrobiła to samo. Promyki świtu sączyły się przez skaliste sklepienie. Ścieżka przed Safi, ewidentnie dzieło ludzkich rąk, zwężała się tak bardzo, że musieli iść bokiem. Po zrobieniu dwóch kroków Merik wyprostował się, a więc Safi również zdobyła się na ryzyko. Nie wyrznęła głową o żaden stalaktyt, za to lodowata woda skapnęła jej za kołnierz.

– Czy woda tutaj też jest zatruta? – Zmartwiła się, sięgając pod materiał.

– Nie zatrujesz się, dotykając jej – odpowiedziała uzdrowicielka zza Iseult. – Większość wody w tym regionie nie nadaje się do picia, ale jest też trochę takiej, której zbrukać nie sposób.

– Nikt nie chce słuchać o Prastudniach – jęknął niecierpliwie Merik.

– Ja bym posłuchała o Prastudniach – wypaliła natychmiast Safi.

– Ja też – przyszła jej w sukurs Iseult, dysząc płytko. – Tyle o nich czytałam. Czy to prawda, że Studnia Wody ma uzdrowicielską moc?

– Kiedyś miała. Wszystkie Studnie miały uzdrowicielską siłę, gdy jeszcze żyły... Merik! – warknęła Evrane. – Możesz trochę zwolnić? Nie wszyscy z tu obecnych znają tę drogę jak własną kieszeń i nie wszyscy są w pełni sił.

Admirał zwolnił kroku, ale nieznacznie. Safi wzięła więc prośbę na siebie i przestała wyciągać nogi. Kiedy książę uświadomił sobie, że kobiety zostały w tyle, nie będzie miał innego wyboru, jak tylko zmiejszyć tempo.

Gdy ścieżka zaczęła piąć się pod górę, nie minęło wiele czasu, aż jej uda zaczęły płonąć żywym ogniem, a kostki odezwały się bólem.

– Była jedna Prastudnia na ziemiach należących do mojej rodziny. – Wróciła do tematu, upewniwszy się, że Iseult radzi sobie z pochyłością. – Ale martwa.

– Musiała być martwa – potwierdziła mniszka. – Do teraz ostały się jedynie dwie żywe Studnie z pięciu. Studnia Eteru w Klasztorze Caraweńskim i Studnia Ognia w Azmirze. Ich źródła wciąż biją, drzewa kwitną przez okrągły rok, a ich woda ma moc uzdrawiania. Choć niektórzy mówią...

– Schody – warknął Merik.

– ...że wraz z powrotem Cahr Awenów wszystkie Studnie odzyskają moc, a źródła ożyją ponownie.

Safi zmrużyła oczy, by lepiej widzieć śliskie stopnie, którymi sadił pod górę admirał, i wyteżyła umysł, by wydobyć z pamięci słyszane przed laty opowieści.

– Ile było par Cahr Awenów, nim zmarła ostatnia?

– Szacujemy, że przynajmniej dziewięćdziesiąt – odrzekła Evrane – ale Kroniki Pamięci wspominają tylko o czterdziestu.

– Kroniki nie są dowodem na to – prychnął Merik z pogardą – że Cahr Awenowie istnieli naprawdę.

– Kroniki Pamięci – poprawiła Evrane – właśnie tego dowodzą. Pewna siostra, wróżdzijka, uzyskała pamięć o nich prosto z cahraweńskich zwłok.

– Chyba że Kroniki Pamięci sfałszowano, ciotko Evrane. A teraz, jeśli wykład dobiegł końca, proszę o ciszę na tym etapie trasy.

– Ale... trasy nie ma – zdziwiła się Safi. Trzydzieści kroków dalej tunel kończył się litą skałą, oświetloną wątłym snopem światła słonecznego. – Dobra robota, książę.

Nie dał się sprowokować, więc podeszła do niego na palcach. W półmroku widziała jedynie zarys jego twarzy.

Nie posiadała się ze zdumienia, gdy Merik wreszcie się do niej odezwał.

– Musimy pchać razem – szepnął, przykładając do ściany ramię i dłoń. Safi też, ale drugie ramię.

– Jeden – zaczął Merik – dwa... trzy!

Pchnęli jednocześnie, potem jeszcze raz, mocniej, a później jeszcze mocniej, aż Safi syknęła z wysiłku.

– Nic się nie dzieje!

Ale gdy tylko jej słowa odbiły się echem, ściana drgnęła i wtopiła się w skałę z chrzęstem i chrobotem. Napała na nich fala powietrza. Safi upadła i znalazła się w świecie martwych drzew i bladej ziemi. Merik również się przewrócił, ale nim upadł, próbował złapać się kamiennych drzwi, które okręciły go wokół własnej osi i rzuciły na plecy.

Safi spadła wprost na niego. Z Merika uszło powietrze, podobnie z Safi, jednym głosem jęknęli z bólu.

– Co jest? – rzuciła skołowana czarodziejka, próbując z niego zejść, ale jedna jej ręka utknęła pod nim w taki sposób, że gdy próbowała ją wyszarpnąć, w rezultacie lgnęła do niego coraz bardziej. Poczowała ciepło w piersi. Wczoraj była blisko Merika podczas walki, ale ten wspólny upadek... odczuwała go jakoś inaczej. Naszło ją wrażenie, jakby знаła każdy fragment jego ciała, kąt kości biodrowej, muskulaturę pleców, w którą wczepiały się właśnie jej palce. Przez przypadek. Oczywiście, że przez przypadek.

Jego warknięcie odbiło się echem w jej klatce piersiowej, ale nie miała okazji się zrewanżować, ponieważ dobiegający ją chichot Evrane nagle ustąpił miejsca odgłosowi trzaskającego drewna.

Spomiędzy pobielonych słońcem sosnowych pni wychynęło dwadzieścia grotów strzał zatkniętych na cięciwach napiętych łuków.

– Oj, Safi – wymamrotała Iseult. – Przecież prosił, żeby być cicho.

ROZDZIAŁ 30

Merik spodziewał się łuczników. Naprawdę. Nie spodziewał się natomiast tego, że tak długo będzie czekał, aż mistrz łowiecki Yoris ich odwoła.

Albo że czekać będzie przywalony Safiyą fon Hasstrel.

Iseult i Evrane stały plecami do ściany z uniesionymi rękami i ani drgnęły. Merik zaś robił, co mógł, by nie wyglądać jak przyszpilony do gruntu domną Safiyą fon Hasstrel. By ich nogi nie wyglądały jak splecione ze sobą i zawiązane na supeł. By ich klatki piersiowe – jej odrobinę bardziej miękka od jego – nie wyglądały, jakby przylegały do siebie ściśle jak układanka. By nie dać po sobie poznać, że jej paznokcie wżynają się w jego plecy, a jej wściekle niebieskie oczy dzielą od jego oczu raptem dwa cale.

Jej spojrzenie niezawodnie wywoływało w nim zawsze tę samą reakcję – doprowadzało go do szewskiej pasji. Ale nie skorzysta z magii, choćby nie wiedzieć jak bardzo rwała się na wolność. Choćby nie wiedzieć jak bardzo chciał obrócić Safiyę na plecy i...

Nodzenie, zlituj się nade mną.

Z gardła Merika dobył się jęk zażenowania. Księżę zapragnął zapaść się pod ziemię, ale Safiya wzięła jego rozpacz za śmiech.

– Wesoło ci, księżę? Bo mnie wcale nie do śmiechu.

– Mnie też nie – zapewnił. – Przecież kazałem ci milczeć.

– Nieprawda, kazałeś pchać, no to pchałam, tylko że oczywiście musiałeś się przewrócić. Gdzie jest twój magiczny wicher, kiedy jest potrzebny?

– Musiałem zostawić go na okręcie! – Napiał mięśnie brzucha i zbliżył swoją twarz do jej. – Zaraz obok cierpliwości do twojego nieustannego skrzeczenia! – Tak długo, jak długo będzie się pieklił, nie będzie musiał myśleć o kształcie jej ust, o jej udach napierających na jego uda.

– Skrzeczenia? – Safiya zmrużyła oczy. – No to jeszcze nic nie słyszałeś, dopiero pokażę ci, jak potrafię skrzecze...

– Wasza Wysokość? – zadudnił głos gdzieś nad nimi. – Czy to dziedzic tronu Nubrevny w trakcie miłosnych uniesień z damą swego serca? Opuśćcie łuki, chłopcy.

Groty skierowano w ziemię. Merik zepchnął z siebie Safiyę i podniósł się na nogi. Gdy domna również wstała, Iseult i Evrane dołączyły do niej, obie wciąż w bojowych pozycjach. Tymczasem chłopcy Yorisa wychyły się spomiędzy drzew na polanę.

Mistrz łowiecki był szczupłym mężczyzną o trzech palcach u lewej dłoni. Pozostałe dwa musiał stracić w walce z morskim lisem.

– Matsańskie ścierwo. – Zassał powietrze przez zaciśnięte zęby, a potem splunął Iseult pod nogi. – Z powrotem do Otchłani, maszkaro.

Iseult ledwie zdążyła powstrzymać Safiyę, nim ta rzuciła się na niego z mordem w oczach.

– Już ja ci pokażę Otchłań, ty trójpalczasty...

Sześciu żołnierzy natychmiast wycelowało w prawdopodobiejkę, a z martwego lasu wciąż wyłaniali się nowi strzelcy. Merik zmitygował ich gestem.

– Każ im przestać, Yoris. – Nie tak sobie imaginował spotkanie po latach z jednym z idoli swojej młodości.

– Strzały nie uratują ci skóry – cedziła Safiya. – Wypatroszę cię jak...

– Dość – przerwała jej Iseult z werwą, jakiej Merik nigdy jeszcze u niej nie widział. – Nie wyczytałam w jego niciach złych zamiarów.

Safiya zamknęła usta, ale wciąż zasłaniała Iseult ciałem.

– Opuścić łuki – rozkazał Merik, nieco głośniejszym i nieco bardziej rozeźlony. – Yoris, jestem księciem Nubrevny, a nie leśnym zbójcem.

– A to kto? – Mężczyzna wykonał gest w stronę zastygłej w bojowej pozycji Evrane z naciągniętym na twarz kapturem. Jeden z łuczników odrzucił go na plecy końcówką gryfu.

– Witaj, mistrzu – pozdrowiła go, przeciągając głoski.

– To ty – warknął łowca na jej widok. – Zdrajczynie Niharów. Nie jesteś tu mile widziana.

Miecz Evrane wyslizgnął się z pochwy jednocześnie z kordelasem Merika, czubek ostrza zetknął się z plecami starca.

– Jeśli jeszcze raz obrazisz kogoś z mojej kompanii, mistrzu Yorisie, klinga wyjdzie z drugiej strony. – Merik docisnął ostrze, tak że przebiło koszulę i zetknęło się ze skórą. Miał już tego po dziurki w nosie, a Yoris doskonale wiedział, jak łatwo eksploduje gniew Niharów. – Evrane jest vizerem Nubrevny i siostrą króla, okazesz jej więc należny szacunek.

– Odrzuciła swój tytuł, gdy została...

Merik kopnął mężczyznę w kolano. Gdy ten zwalił się na ziemię, wszyscy łucznicy wzięli admirała na cel. Wtedy Yoris wybuchł śmiechem, który brzmiał jak chrzęst kamieni. Uniósł głowę.

– Oto księżę, jakim go pamiętam. Chciałem tylko sprawdzić, czy nie omotała cię ta Matsanka, to wszystko. – Łowca wstał z niespotykaną w tym wieku gracją, chichocząc jak dziecko, któremu udał się figiel. Skrzypnęły luzowane cięciwy, strzały wróciły do kołczanów. – Pozwól swemu pokornemu słudze odeskortować się do twojego nowego domu.

– Nowego? – spytał Merik, krzywiąc się i chowając kordelas do pochwy.

– Noden uśmiechnął się do nas w tym roku, Wasza Wysokość. – Twarz Yorisa przyozdobił cwaniacki uśmiech sięgający od ucha do ucha. – A tylko głupiec nie przyjmuje jego darów.

Poranne słońce opromieniło Merika i rzuciło za jego plecami cień, który ciągnął się za nim jak peleryna, płynąc po białych pniach drzew i spękanej, bladożółtej ziemi. Safiya trzymała się dziesięć kroków z tyłu, nie odstępując Iseult, a Evrane zamykała pochód.

Merik z ulgą odkrył, że łatwiej mu ignorować domnę, gdy nie ma jej przed oczami i jest poza zasięgiem słuchu.

I gdy na nim nie leży.

Co parę minut oglądał się przez ramię, by się upewnić, że kobiety nadążają. Iseult nie była jeszcze w pełni zdrowa, ale nie skarżyła się i nie mitrężyła. Na jej bladej jak śnieg twarzy malowała się determinacja. Ta sama, którą Merik widział na Janie, kiedy zadawała mu te dziwne pytania. Trudno było odgadnąć jej uczucia – jeśli w ogóle cokolwiek czuła.

Szczęśliwie dla Iseult i Evrane uprzedzeni do nich łucznicy Yorisa szybko zniknęli w spowitym martwą ciszą lesie. Szczęśliwie natomiast dla Merika ich kompani byli rozstawieni po tym samym lesie na przestrzeni tysięcy akrów, jeśli więc Safiyi zamarzy się ucieczka, dopadną ją w parę

minut. Książę nie sądził jednak, by domna chciała dać nogę, przynajmniej dopóki Iseult nie wróci do zdrowia.

Szli naprzód, krajobraz wokoło nie zmieniał się ani na jotę. Maszerowali ścieżką wiodącą przez niekończące się cmentarzysko potrzaskanych drzew i bladych od słońca pni, martwego ptactwa i wysuszonej na wiór jałowej ziemi. Merik za każdym razem szedł tędy z pochyloną głową i milczący. Yoris wręcz przeciwnie – donośnym głosem opowiadał admirałowi o losach przyjaciół z dzieciństwa, mężczyzn i kobiet, którzy żyli i pracowali na niharskich ziemiach. Z opowieści tej wynikało, że wszyscy przenieśli się do tego „nowego domu” wraz z Yorisem i jego żołnierzami.

Widoki przeczyły nadziei, ale Merik wciąż liczył na to, że znajdzie na tym pustkowiu choćby iskierkę życia – kępkę mchu albo płatek porostu, cokolwiek, najlichszy bodaj skrawek zieleni. Wróciły do niego wypowiedziane do Kullena słowa: nic się tu nie zmieniło. I jeszcze długo nie zmieni. Czy skierować kroki na wschód, czy zachód wszędzie śmierć, wszędzie przeżarte trucizną pustkowie.

Yoris prowadził ich do rozwidlenia; droga na prawo biegła naprzód prostopadle do brzegu, lewa wiodła w głąb lądu. Merika nawiedziła niepokojąca myśl.

– Czy matka Kullena również przeniosła się do nowego domu? Kullen planował ją odwiedzić.

– Carilla wciąż mieszka w posiadłości – uspokoił go łowca. – Kull znajdzie ją dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Ona jedna nie chciała z nami iść. Lecz Nubrevna to przecież nie jej ojczyzna, w sercu Carilla wciąż jest Arythuanką. – Odpiął bukłak z pasa i podniósł do ust. Wybrał lewą odnogę.

Merik ruszył za nim, nieco wolniej, żeby po raz kolejny sprawdzić, czy Safiyya, Iseult i Evrane idą za nimi. Szły.

– Wody? – Yoris podsunął księciu bukłak.

– Poproszę. – Usta Merika były suche jak pieprz, język lepił mu się do podniebienia. Jakby ta trupia kraina wysysała z niego całą wilgoć. Miarkował, by nie wypić za dużo. Nie chciał zanadto uszczuplić zapasów pitnej wody Yorisa.

– Ten wasz nowy dom – rzekł, zwracając bukłak – leży chyba dość daleko od posiadłości Niharów. Opłaca się iść taki szmat drogi?

– Tak, opłaca – odrzekł Yoris, uśmiechając się półgębkiem. – Ale nie powiem ci o nim nic więcej. Sam wkrótce zobaczysz Dar Nodena. Gdy moje stare oczy ujrzały go po raz pierwszy, płakałem jak dziecko.

– Płakałeś? – powtórzył Merik, nie dowierzając. Prędkiej wyobraziłyby sobie liście na tych martwych drzewach niż łzy na twarzy starego wojaka.

– Przysięgam na koralowy tron Nodena. – Łowca uniósł w górę trójpalczystą dłoń. – Nie mogłem powstrzymać łez, książę. Poczekaj tylko, a może się okazać, że i ty zapłaczesz. – Uśmiech zniknął z jego twarzy tak szybko, jak się pojawił. – Jak się miewa król? – zapytał poważnie. – Rzadko dochodzą tu jakieś wieści, ale parę tygodni temu usłyszałem, że mu się pogorszyło.

– Jakoś się trzyma – odpowiedział Merik. Trzyma się, ignoruje połączenia od Hermina i prawdopodobnie nagradza Vivie za piractwo.

Admirał zamaszystym gestem zrzucił płaszcz z ramion i starł pot z czoła. Dusił się pod tą kapotą jak mięso w kotle. Powinien był zostawić okrycie na Janie. To jakiś okrutny żart, pomyślał. Każdy błysk słońca w jego pozłacanych guzikach, które regularnie i skrupulatnie polerował i które niewątpliwie i dobitnie potwierdzały jego pozycję admirała Nubreveńskiej Marynarki Królewskiej, był jak szyderczy uśmieszek Vivii. Yoris i Merik minęli zakręt, gdzie martwy las rzedł na stoku jałowego wzgórza. Merik co rusz ześlizgiwał się z osypiska i po dziesięciu mozolnych krokach jego uda stężyły ze zmęczenia. Przystanął w połowie drogi na szczyt, znów wytarł czoło i obejrzał się na trzy kobiety.

Jego wzrok natychmiast skrzyżował się ze spojrzeniem Safiyi. Otworzyła usta, uniosła rękę i pomachała mu samymi palcami. Udał, że nie widzi. Przeskoczył wzrokiem na Iseult. Wciąż ten sam niezłomny wyraz na wpatrzonyj w ziemię twarzy. Pot lał się z niej i wyglądało na to, że gotuje się w swojej czarnej szacie więziodziejki. Wreszcie spojrział na Evrane, która, tak jak on, zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez ramię. Był prawie pewien, że to wbrew regule zakonnej, ale trudno ją było winić w tej spekulacji.

Gdy już miał otworzyć usta, by zarządzić przerwę, uzdrowicielka zwolniła kroku, powiedziała coś, czego nie dosłyszał, i wskazała palcem na wschód. Pozostałe kobiety zatrzymały się i spojrzały. A potem uśmiechnęły się szeroko.

Merik też spojrział i poczuł, że usta samoczynnie mu się otwierają. Był tak skupiony na wspinaczkę, że nie zobaczył wyraźnie rysującej się na tle pomarańczowego nieba czarnej góry o dwóch wierzchołkach, nadających jej wygląd lisiej głowy.

Była to Studnia Wody Czaroziem, czyli Prastudnia Nubrevny. Setki lat temu stanowiła dumę tego kraju, który zrodził najpotężniejszych wododziejów na świecie, ale obumarła, gdy ludzie opuścili te tereny. Jeśli ostali się jeszcze na kontynencie jacyś wododzieje, to z pewnością nie w Nubrevnie.

– Wasza Wysokość się pospieszy! – zawołał z góry Yoris.

Admirał ruszył przed siebie. Kamienie sypały mu się spod stóp, chrupały nadwyręzione kolana... Mimo to wreszcie wdrapał się na sam wierzchołek. Rzucił okiem przed siebie i zuchwa opadła mu do ziemi. Zachybotął się, jakby nogi miał zrobione z waty. Musiał uczepić się palcami Yorisa, inaczej by upadł.

Zieleń, wszędzie zieleń.

Las żył – jego rozległy pas oddychał i pysznił się u stóp wzgórza, meandrując przez szarobiały ugór i ściskając w objęciach rzekę, nad którą... nad którą Merik zobaczył pastwisko i owce.

Owce.

Śmiech wezbrał w jego gardle i wybrzmiał gromko jak pieśń. Księżę zacisnął powieki, uniósł je i jeszcze raz zacisnął, jakby sprawdzał, czy to nie sen. Oto kraina jego dzieciństwa. Szmaragdowa gęstwina tętniąca życiem, pulsująca od ruchu. To właśnie jest dom.

– Rzeka już nie jest zatruta. – Usłyszał nad uchem głos łowcy. Yoris powiódł ręką po błękitnej nici w dali, ku której pikowały żywe ptaki wszelkiego rozmiaru i gatunku, polując na nie mniej żywe ryby. – Płynie zaraz obok naszej osady. Widzisz ją, księżę? Tam, gdzie rzedną drzewa.

Merik zmrużył oczy i zauważył przejaśnienie, kawałek na południe od pasącego się stadka. Spomiędzy drzew wyłaniały się płaskie dachy i... statek. Statek wywrócony do góry dnem.

Merik wyjął lunetę i przyłożył do oka. Zgadza się, widział dokładnie łuk opasłego kadłuba jakiegoś dużego transportowca, który ktoś umieścił na placu wioski.

– Skąd ten statek? – zdziwił się.

Zanim Yoris zdążył odpowiedzieć, za ich plecami zachrząściły pod czyimiś stopami kamienie osypiska, a potem rozległy się zdyszane oddechy. Zza krawędzi wzgórza wyłoniła się Safiya, łykając chciwie powietrze i krzycząc do Iseult, by chwilę zaczekała, bo ona już po nią idzie. Palce Merika przywarły do cylindra lunety. Domna miała samorodny talent do psucia dosłownie każdej dobrej rzeczy w jego życiu. Już obracał się w jej stronę, by nakazać ciszę...

Ale Safiya się uśmiechała.

– To twój dom – wyrzekła subtelnie, z jakąś życzliwą pilnością. – Twój bóg cię wysłuchał.

Merikowi zaschło w ustach; powiew wiatru, szum liści, odgłos kroków Evrane i Iseult – wszystko to niknęło w oddali jak niesiony wiatrem szmer strumyka.

Safiya odwróciła głowę i zniżyła głos do szeptu, zupełnie jakby mówiła do siebie, nie do niego.

– Niemożliwe, a jednak możliwe. Twój bóg wysłuchał twoich modlitw.

– Wysłuchał, a jakże – potwierdził Yoris.

Merik drgnął na dźwięk jego głosu. Kompletnie zapomniał o łowcy. Wszystko, co się w nim kotłowało, zniknęło w uśmiechu Safiyy, w prawdziwości jej słów. Noden spełnił jego prośbę.

– Ten statek – podjął Yoris – spadł z nieba. Blisko rok temu. Burza podniosła go z wody i cisnęła w łódź. Ale był łomot, gdy przywalił o ziemię, mówię ci! Wylądował kilem do góry, tak jak widzisz, a z każdego bulaja wylewało się jedzenie.

Merik pokręcił głową i zmusił się, by wrócić do terażniejszości.

– A... co z załogą?

– Na pokładzie nikogo nie było – padła odpowiedź. – Ale natrafiliśmy na ślady rozszczępania czarnych świętych, których zeszkrobaliśmy z pokładu szpadlami. Znaleźliśmy też uszkodzenia kadłuba, niechybnie po lisach. I tyle.

Ktoś za jego plecami zaniósł się szlochem. Admirał obrócił się i zobaczył na szczycie Evrane, która dopiero teraz ujrziała las i życie w spustoszonej łonie ojczyzny. Osunęła się na ziemię, raniąc dłonie o suchy grunt. Merik zdołał ją złapać, ale ona odpędziła go machnięciem drżącej ręki. Z jej ust popłynęła żarliwa modlitwa, a do jej oczu napłynęły łzy, które utorowały sobie drogę przez oblepione pyłem policzki.

Na ten widok również i Merika zapiekły oczy. Na to właśnie pracował tyle czasu, w tym celu Evrane, Kullen, Yoris i wszyscy przyjaciele z jego dzieciństwa urabiali sobie ręce po łokcie, o to walczyli do utraty tchu.

– Jak? – wymamrotała Evrane, przyciskając do piersi wygnieciony płaszcz i kręcąc głową. – Jak to możliwe?

Pomimo zadawnionej nieufności ściągnięte grymasem oblicze łowcy wygładziło się. Nawet on nie mógł zaprzeczyć, że Evrane Nihar kochała swój kraj.

– Rzeka jest czysta – powtórzył wciąż nieco oschłym, lecz w gruncie rzeczy uprzejmym tonem. – Nie wiemy, jak uszła z niej trucizna, ale stwierdziliśmy, że ponad wszelką wątpliwość tak się właśnie stało. Po prostu pewnego dnia znaleźliśmy statek i odradzający się las. Wkrótce potem zbudowaliśmy osadę, a teraz tydzień w tydzień ściągają do nas kolejne rodziny.

Rodziny. Merik szukał w pamięci znaczenia tego słowa, jakby jego sens uleciał mu z głowy. Rodziny. Kobiety i dzieci. Czy to też stało się możliwe?

Raptem uświadomił sobie coś z taką mocą, że myśl wyłoczyła mu powietrze z płuc. Jeśli Yoris wzniosł wioskę w te kilka miesięcy, to co się wydarzy, jeśli będą regularnie dostarczać mieszkańcom jedzenie? Ile jeszcze będzie można wznieść? Ile posadzić i wyhodować? Bezwiednie sięgnął palcami do kieszeni i schowanego w niej dokumentu. Obrzucił Safiyę zagadkowym spojrzeniem. Odwzajemniła je i uśmiechnęła się szerzej.

A on zupełnie zapomniał, jak się oddycha.

Jego płuca odzyskały sprawność, gdy dziewczyna odwróciła się, by pomóc Iseult wdrapać się na wierzchołek. Wróciła mu jasność myślenia, szarpnął więc dwoma palcami za kołnierz i wyciągnął rękę do Evrane.

– Wstań, ciociu. Chodźmy. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Mniszka otarła policzek, rozmazując tylko zmieszane z pyłem łzy, a potem jej odwykłe od uśmiechu wargi niepewnie się rozciągnęły. Książę nie pamiętał, kiedy ostatnio widział uśmiech na tej twarzy.

– Prawie na miejscu to mało powiedziane. – Przyjęła pomoc i podniosła się z ziemi. – Mój drogi Merry, my prawie jesteśmy już w domu.

ROZDZIAŁ 31

Dar Nodena był bez wątpienia najbardziej beztroską osadą, jaką Safi widziała w życiu. Szła z Iseult śladem Yorisa, Merika i Evrane skleconym pospiesznie mostem, rozpiętym nad wzburzoną rzeką. Gościniec prowadził do zbudowanego na obrzeżu skupiska chat o okrągłych, krytych strzechą dachach i drewnianych ścianach, bladych tak jak martwe pnie, z których wycięto deski. Domki nie budziły zaufania, wyglądały raczej, jakby miała je zmieść do rzeki pierwsza poważniejsza burza. Lecz z drugiej strony Nubreveni sprawiali wrażenie ludzi twardych i odpornych. Jeśliby nawet szkwał pozbawił ich domów, po prostu zbudowaliby nowe. I jeszcze raz, jeśli zaszłaby potrzeba.

Ponad mostem śmignęła jaskółka, z któregoś dachu zaskrzeczał kruk, ze stromych brzegów sterczały w górę mięsiste paprocie, łaskocząc podbrzusze kładki.

I, jak zauważyła Safi, każdy, dosłownie każdy się uśmiechał.

Nie do Safi, rzecz jasna, która ściągała raczej zaciekawione spojrzenia, i z całą pewnością nie do Iseult, uwieszanej na jej ramieniu, ani do okutanej w płaszcz Evrane, ale do Merika. Gdy tylko czyjś wzrok spoczął na księciu, jego usta natychmiast rozciągały się w szerokim uśmiechu. Prawdopodobnie nigdy nie widziała jeszcze uśmiechów tak płomiennie prawdziwych.

Ci ludzie go kochali.

– Zaimponował ci – stwierdziła fakt Iseult spod zaciągniętego głęboko na oczy kaptura. Nie chciała, by ktoś zobaczył odcień jej skóry i kolor włosów. Szła wolno, wsparta na ramieniu przyjaciółki. Jej oddech nie uspokoił się jeszcze po wspinaczce, ale była zdeterminowana, by dojść do bazy Yorisa i dopiero tam rozważyć okazanie słabości. – Twoje nici jaśniej tak intensywnie, że przywróciłyby wzrok ślepcowi – ciągnęła. – Może powściągniesz entuzjazm? Bo jeszcze coś sobie pomyśli?

– Co ma sobie pomyśleć? – prychnęła Safi. – Że niby co? A tobie nie zaimponował? – Pokazała brodą starowinkę wyglądającą przez okno

pobliskiej chaty. – Zobacz, ta kobieta rozplakała się na jego widok.

– Tamto dziecko też – skontrowała Iseult, wskazując gestem młodszą kobietę o szerokich biodrach z kilkuletnim dzieckiem na rękach. – Nubreveńska młodzież uwielbia swojego księcia.

– Boki zrywać. A ja mówię poważnie, Iseult. Czy widziałaś, by ludzie reagowali tak na dalmockich Mistrzów Gildii? Bo ja, na ten przykład, nie widziałam. Nie sądzę też, by mieszkańcy Praggi omdlewali na widok cartorriańskich domn i domów. – Potrząsnęła głową, odpędzając od siebie wspomnienia rodzinnej posiadłości, gdzie nikt nigdy nie patrzył tak na wuja Erona. Ani na Safi, która przez całe życie wmawiała sobie, że obchodzi ją to tyle co zeszłoroczny śnieg, że nie potrzebna jej sympatia wieśniaków, że jeśli o nią chodzi, nie muszą się jej nawet kłaniać. Co z tego, że obwiniają Safi za wybryki jej pijącego na umór wuja. Jak mogli od niej wymagać, by położyła kres jego uzależnieniu?

Ale gdy zobaczyła, jaką czcią otaczają Merika ludzie Niharów, jak nabożnym wręcz poważaniem, którego sama nigdy nie doświadczyła... Może jednak inwestowanie swojego czasu i sił w ludzi nie jest zupełnym marnotrawstwem?

Oczywiście Safi nie miała już żadnych swoich ludzi. Powrót do Cartorry równałby się samobójstwu albo przynajmniej zniewoleniu przez Henricka, który uczyniłby z Safi swoją osobistą prawdodziejkę.

Merik przystanął w jakimś ogrodzie, otoczony wianuszkami wielbicieli, Safi zwolniła więc i się zatrzymała. Wykończona Iseult wydała z siebie pełne wdzięczności westchnienie i zwróciła się w kierunku rzeki.

– Patrz, budują młyn.

Faktycznie, pomyślała Safi. Obok bystrzycy grupa mężczyzn ubranych tak samo jak żołnierze Yorisa wznosiła wśród stuku młotków i charkotu pił szkielet drewnianej konstrukcji. Ponad nimi szumiały sosny. Żywe i zielone.

– Wyglądają jak ludzie łowcy – zauważyła, usiadłszy i zaczęła wystukiwać palcami rytm na ubitym trakcie. – Sporo ich się tu kręci, nie? U wyjścia z jaskini otoczyło nas ze dwudziestu, tu jest ich jeszcze więcej. – Wskazała głową dwóch przechodzących przez most żołnierzy. – Nie mogą wszyscy być zbrojnymi Niharów. Habim mówił, że nawet za życia moich rodziców, w złotych czasach rodu Hasstrelów, nie mieli nigdy więcej zbrojnych niż pięćdziesięciu.

– Jesteśmy praktycznie przy samej granicy z Dalmacją. – Iseult z namysłem potarła podbródek. – Na obszarze najbardziej narażonym na walki.

Safi potwierdziła skinieniem.

– W dodatku już mocno przeorany walkami. Idealne pole bitwy w przypadku wznowienia wojny.

– Wznowienia? – Iseult obrzuciła Safi spojrzeniem zmrużonych oczu. – Mówisz, jakbyś wiedziała, że Rozejm nie zostanie przedłużony.

– Nie wiem tego... ale się tego spodziewam. – Bezwiednie powiodła wzrokiem za mijającym plac budowy psem. Niósł w pysku coś małego i kudłatego najwyraźniej dumny ze swojej zdobyczy. – Kiedy byłam w Veñazie – podjęła, ostrożnie dobierając słowa – wuj Eron powiedział mi, że wojna nadchodzi, ale on ma nadzieję zrobić wszystko, by ją zatrzymać. A Mathew wspomniał coś o przedwczesnym zakończeniu Rozejmu.

– To po co rozmowy, skoro nikt nie chce się dogadać?

– Pewności mieć nie mogę, ale wiem tyle, że Henrick planował przy okazji obrad ogłosić nasze... zaręczyny. – Ledwie zdołała wykrztusić to słowo. – I że owe zaręczyny wrzuciły kamień w tryby wuja Erona.

Iseult poruszyła się niespokojnie.

– No cóż, skoro Marstokczycy wiedzą, że jesteś z księciem Merikiem, z pewnością wie o tym także imperator Henrick. Co może oznaczać, że obydwaj imperia zjawiają się tu lada moment.

– Trafna uwaga. – Safi poczuła, że włoski jeżą się jej na karku. Ogarnął ją strach, niemal namacalny, niczym osypujący się wzdłuż kręgosłupa żwir. Nie miała wątpliwości, że Cartorra i Marstok wkrótce przyślą tu swoich ludzi. I że jeśli nadarzy się okazja schwytania prawdopodobnie, nie będą się kłopotać warunkami Rozejmu.

* * *

– Musimy się spieszyć – oświadczyła Merikowi, pochylonemu nad mapami Stu Wysp. Stali w odstępnie kilku kroków w kabinie podobnej do tej admirała na Janie... tyle że ta była do góry nogami. Burty sklepiały się w górze, a nie w dole, jak bogowie przykazali, a drzwi wprawione były w ścianę stopę nad podłogą, więc chcący z nich skorzystać musiał patrzeć pod nogi.

Gdy Safi wymogła na Meriku i Yorisie przyspieszony marsz przez Dar Nodena, argumentując, że później się z wszystkimi przywitają, łowca

zaprowadził kompanię do galeonu. Tam nawet Iseult musiała się uśmiechnąć na widok belek podtrzymujących spoczywający na forkasztelu okręt, którego główny pokład stał się, wbrew zamysłom budowniczych, sufitem. Z góry zsunęły się drabiny, umożliwiając im przedostanie się do środka, a do miejsca, które było kiedyś kajutą kapitańską, wiodły zbudowane naprędce nieoheblowane schody.

Podczas gdy Yoris, wciąż się bocząc, poszedł z Evrane i Iseult po jedzenie, Safi ruszyła z Merikiem do kajuty oficerskiej, gdzie widniały rozrzucone na ustawionym pośrodku stole mapy, zupełnie jak na pokładzie Jany. W oknach nie było szyb, przez otwarte okiennice sączył się do środka gwar i tumult tętniącej życiem osady oraz ożywcza bryza. Okręt miał grube ściany, a skwar stał się bezlitosny; Safi częściej ścierała pot z czoła w środku niż na zewnątrz. Nawet Merik zdjął kurtkę i podwinął rękawy.

– Cartorrianie zapewne nie ustali w pościgu za mną – odezwała się, gdy admirał przez dłuższą chwilę nie kwapił się odjąć wzroku od map. Wsparła dłonie na blacie. – Książę, musimy jak najszybciej ruszać do Lejny. Ile potrwa podróż?

– Dobę, jeśli zatrzymamy się na noc.

– Nie zatrzymujmy się więc.

Merik zacisnął szczęki i spojrzał wreszcie na Safi.

– Nie mamy wyboru, domno. Yoris może nam dać tylko dwa konie, jeśli więc Iseult pojedzie z nami...

– A pojedzie na pewno.

– ...i jeśli pojedzie z nami Evrane, a zrobi to z całą pewnością, to będziemy musieli jechać konno parami. To z kolei implikuje nocne postoje, choćby po to, by dać odpocząć wierzchowcom. A poza tym nie sposób w okolicy zejść na ląd inaczej niż przez jaskinię Niharów, a ta jest dobrze ukryta.

Merik sięgnął po przerzuconą przez oparcie krzesła kurtkę i przeszukiwał kieszenie, aż znalazł wiadomy dokument, spłaszczony i pognieciony. Irytująco niespiesznie rozłożył go na stole obok map, po czym wziął ze stojącej na środku misy kromkę suchego chleba i ugryzł ostentacyjnie okazały kęs, który zaczął z lubością przeżuwać, ignorując pośpiech Safi.

– Wciąż jesteś na mnie zły? – Zjeżyła się dziewczyna.

Jedynymi reakcjami księcia były przyspieszone tempo przeżuwania i większe skupienie na mapach.

– Zasłużyłam sobie – dopowiedziała po chwili, przysuwając się o krok bliżej i tłumiąc odruch, by dać upust gniewowi. Bo wreszcie nadarzyła się okazja, by porozmawiać z nim w cztery oczy i przeprosić go za... za wszystko. Nie wymknie jej się z rąk, nikt im nie przeszkodzi. – Popełniłam błąd – rzekła wreszcie, mając nadzieję, że jej twarz wyraża to samo co jej słowa.

Merik przełknął łyk wody i przetarł usta nienaturalnym gestem. Wtedy oderwał wreszcie wzrok od map i skupił go na Safi.

– Błąd sugeruje przypadkowość, domno. A to, co zrobiłaś mojej załodze i mojemu oficerowi, przypadkowe nie było. Działałaś na naszą szkodę z pełną premedytacją.

– Co proszę? – Oburzenie sprawiło, że otworzyła bezwiednie usta. – Książę, to przecież nieprawda. Nigdy nie chciałam wyrządzić krzywdy ani Kullenowi, ani twoim ludziom. A moja moc mówi mi, że sam nie wierzysz w prawdziwość swoich słów.

To zamknęło mu usta, ale nie ostudziło jego gniewu. Łyknął z kielicha tak raptownie, że bała się, że się zakrztusi. W dwa kroki okrążyła krzesło, na które rzucił kurtkę. A on natychmiast odsunął się o dwa. Mapy i kontrakt zaszurały na drewnianym blacie. Safi zadarła podbródek i zrobiła kolejne trzy kroki, stając cał od Merika. Ten, opróżniwszy głośno płuca, oddzielił się od niej stołem.

– Naprawdę? – krzyknęła. – Jestem aż tak odpychająca?

– Zgadłaś.

– Chcę tylko obejrzeć kontrakt! – Wyrzuciła ręce w górę. – Czy nie powinnam wiedzieć, czego oczekuje od ciebie mój wuj? I czego oczekuje ode mnie?

Merik znieruchomiał, niby wykuty z kamienia, ale wreszcie westchnął zrezygnowany. Tym razem nie ruszył się z miejsca, gdy Safi okrążyła stół. Zamiast tego opuścił głowę, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, jak znacznie przyspieszył mu oddech.

– Spokojnie – wymamrotała, pochylając się nad umową. – Nie gryzę.

– A która lwica się przyzna, że gryzie?

– Proszę, proszę – mruknęła, posyłając mu najbardziej koci ze swoich uśmiezków. – Więc jednak ma poczucie humoru.

– Proszę, proszę – zaripostował. – Próbuje odwrócić kota ogonem. – Wbił palec w rozciągnięty na blacie dokument. – Czytaj, domno, i odejdz.

Uśmiezek przetopił się w ponury grymas. Zaczęła czytać, oparłszy się łokciami o stół, udając, że pierwszy raz ma kontrakt przed oczami. Choć czuła się tak, jakby faktycznie wcześniej go nie widziała, bo drugi raz czytało się go zupełnie inaczej. Język niby ten sam, ale było w nim coś osobliwego, zaciskającego jej w miarę lektury węzeł na żołądku.

Wszelkie ustalenia zawarte na str. 2 niniejszego kontraktu uznaje się za niebyłe, jeśli Merik Nihar nie dostarczy pasażerki do Lejny, upuści jej krwi lub zezwoli na jej zgon.

Ugięły się pod nią kolana. Morski lis nieomal upuścił jej krwi, niewiele brakowało, aby ją zabił. I choć Safi zrobiłaby to wszystko jeszcze raz, byle ratować Iseult, to może tym razem zachowałaby się nieco inaczej. Powinna była zawczasu rozważyć przyjmowane na siebie ryzyko, gruntowniej przemyśleć swoje postępowanie.

Ale najbardziej zabolą ją to, że wuj Eron w ogóle zamieścił w umowie podobny zapis. Tak ją zabolą, że miała ochotę dobyć noża i coś pochlastać.

Przełknęła wściekłość.

– Mój wuj to prawdziwy dupek. Uznałby kontrakt za nieważny, gdybym, dajmy na to, zacięła się papierem? Przecież wie doskonale, że takie rzeczy się zdarzają. Głowę dam, że sformułował tak umowę specjalnie. Przepraszam.

Nagle w gorącym i dusznym pomieszczeniu zrobiło się jeszcze goręcej i jeszcze duszniej. Powietrze niemal drgało od dojmującego poczucia winy. Merik przyglądał się bacznie dziewczynie przez kilka uderzeń serca.

A potem na jego wargi precyzyjnie przecisnął się uśmiech.

– Nie wydaje mi się, byś przepraszała teraz za wuja. A przynajmniej nie tylko.

Safi zagryzła wargę i utrzymała spojrzenie. Chciała, by zobaczył, co czuje. Potrzebowała, by wyczytał żal z jej spojrzenia.

Jego uśmiech stał się szerszy i wraz ze skinieniem, które prawie można było odczytać jako przyjęcie przeprosin, odwrócił się tyłem do rozciągniętej na blacie umowy.

– Twój wuj troszczy się po prostu o twoje bezpieczeństwo. Zaznaczył wielokrotnie, że leży mu na sercu twoje dobro, że nie chce dopuścić, by stała ci się najmniejsza krzywda.

– Mój wuj – odparła, machnąwszy niedbale ręką – uznałby mnie za całą i zdrową nawet naszpikowaną strzałami i dźgniętą nożem pod żebro. Nie drgnęłaby mu powieka, gdybyś urwał mi rękę.

Merik prychnął rozbawiony.

– Mimo to żywię nadzieję, że do tego nie dojdzie. – Odetchnąwszy, pochylił się naprzód, a jego ramię prawie zetknęło się z ramieniem Safi. Jej nozdrza wypełnił jego zapach. Morska woda, pot i drzewo sandałowe.

Woń ta nie była nieprzyjemna. Safi nie znalazła też nieprzyjemnym widoku odsłoniętych nadgarstków księcia, dwukrotnie masywniejszych od jej, albo gęstych włosów na jego przedramionach.

– A co – zapytał Merik ostrożnie – z twoim oblubieńcem? Jak zareagowałby imperator na wieść, że naszpikowano cię strzałami i dźgnięto pod żebro?

W okamgnieniu krew w niej zawrzała, aż zapiekły ją uszy. Dlaczego Merik pyta ją o Henricka? I czemu ma wrażenie, jakby od jej odpowiedzi zależał los świata?

Gdy wreszcie odważyła się odezwać, głos miała napięty jak cięciwa łuku.

– Henrick nie jest moim oblubieńcem. Nie przyjmuję tego do wiadomości. Nie i koniec. W jednej chwili tańczyłam z tobą na balu, a chwilę później... – Roześmiała się zdenerwowana. – A chwilę później imperator obwołał mnie swoją narzeczoną.

Merik wypuścił ze świstem powietrze.

– Czyli dowiedziałaś się dopiero wtedy?

Potwierdziła ruchem głowy, unikając jego spojrzenia, ale nie mogąc przed nim umknąć.

– Nie wiedziałam też, że wuj ukartuje tę ucieczkę. Mówił, że ma wielkie plany, ale za nic w świecie nie zgadłabym, iż uprowadzi mnie z Veñazy, ściganą przez krwiodzieja, i że umieści mnie na twoim okręcie. To była jedna wielka i niekończąca się feeria niespodzianek. Cóż, przynajmniej wyrwało mnie to z łap Henricka. – Kolejny nerwowy chichot. Nie wiedząc, co zrobić z oczami, utkwiała wzrok w mapie, ale sekundy mijały jedna za drugą, a ona wciąż wgapiała się w jakiś pojedynczy punkt.

Było tak, jakby balans mocy w pomieszczeniu przechylał się na stronę Merika.

Wtedy księżę wyciągnął rękę i wskazał palcem rzekę na mapie. Jego ramię otarło się o jej. Niby przypadkiem, ale Safi wiedziała, wiedziała ponad wszelką wątpliwość – a potwierdzała to swoboda i determinacja, jaką przesycone były jego ruchy – że wcale nie zrobił tego przypadkowo.

– Obóz rozbijemy tutaj – rzekł. – Yoris twierdzi, że ten strumień jest czysty.

Safi skinęła na tak, a przynajmniej spróbowała. Serce podniosło jej się do gardła. Jej ruchy zrobiły się nerwowe, nienaturalne, wiała się pod jego spojrzeniem i omywała wzrokiem całą jego twarz – tylko nie oczy.

Podbródek, zuchwę i okolice ust Merika pokrywał dwudniowy zarost. Trójkąt między jego brwiami zarysował się wyraźnie, ale nie przez gniewny grymas, lecz malującą się na twarzy księcia koncentrację. Jej uwagę przykuła żyła pulsująca przyspieszonym rytmem na jego szyi.

Gdy nareszcie odważyła się podjąć ryzyko i spojrzała mu w oczy, odkryła, że te błędzą po jej twarzy, po ustach i szyi.

Wtem drzwi rozwarły się szeroko. Safi i Merik odskoczyli od siebie jak oparzeni. Do środka weszła Evrane... a potem zaraz się cofnęła.

– Przepraszam, czy w czymś przeszkodziłam?

– Nie – odparli unisono, robiąc dwa kroki w tył. A potem jeszcze jeden, na wszelki wypadek.

Zza pleców uzdrowicielki wyłoniła się Iseult, blada i bez kaptura. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć, zwymiotować albo jedno i drugie.

Safi znalazła się przy niej i powiodła za rękę do najbliższego krzesła, po czym zdjęła jej płaszcz i rzuciła go Evrane.

– Pot się z ciebie leje. Dobrze się czujesz?

– Muszę tylko odsapnąć – odparła więziodziejka i skinęła z wdzięcznością, gdy Merik podał jej szklankę wody. – Dziękuję.

– Potrzeba jej czegoś więcej niż odpoczynku – zaoponowała Evrane. – Leczenia mianowicie.

Safi zmroziło.

– Ogniodziejskiego?

– Nie – uspokoiła ją Evrane. – Ale i ja nie potrafię teraz jej pomóc. Jestem wydrenowana z magii, czerpię moc nieustannie od kilku dni... –

Umilkła, a jej oczy spoczęły na Meriku. – Ale mogłabym jej pomóc, gdybyśmy odwiedzili Studnię.

Merik zeszywniał, trójkąt na jego czole zarysował się grubym konturem.

– Studnia nie uzdrowiła nikogo od stuleci.

– Ale jest wielce prawdopodobne, że przynajmniej podbuduje moje nadwątlone siły – sparowała Evrane. – A nawet jeśli nie, przemyjemy tam ranę Iseult całkowicie czystą wodą.

– To tylko rzut kamieniem stąd – zadźwięczał nowy głos. Do kajuty wszedł Yoris, pokonując sięgający kolana próg i przesuwając rękawem po mokrym od potu czole. – Wzdłuż rzeki wiedzie szlak. Dotrzecie w dziesięć minut.

– A czy twoi ludzie – zainteresował się Merik, wciąż z marsem na czole – patrolują tamten obszar?

– Ma się rozumieć. Czujki mamy rozstawione aż do ziem Niharów.

Pauza. A potem skinienie. Grymas spłynął z twarzy Merika i zagościł na niej spokój.

– Ciociu – zwrócił się do Evrane – możesz zabrać Iseult do Studni. Wylecz ją, jeśli zdołasz, a ja pójdę po was o następnym biciu dzwonu.

Evrane odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję ci, Merry. – Jej dłoń spoczęła na plecach Iseult. – Chodźmy. Pójdziemy powoli.

Iseult usłuchała i wyszła wraz z mniszką. Safi ruszyła do drzwi... a potem stanęła i obróciła się do Merika.

– Chciałabym pójść z nimi – powiedziała. – Ale nie pójdę, jeśli obawiasz się o kontrakt.

Wyprostował się nieznacznie, zaskoczony, że w ogóle o tym pomyślała i że pyta go o zdanie.

– Nie obawiam się o kontrakt. Chociaż... – Zbliżył się do Safi i przesunął wolno palcami po jej lewym nadgarstku. Gdy się upewnił, że nie ma zamiaru się opierać, uniósł jej dłoń wierzchem do góry. – Jeśli uciekniesz, domno – mruknął głosem tak niskim, że zawibrował jej w piersi – to dopadnę cię na końcu świata.

– Doprawdy? – Uniosła brew, udając, że Merik jej nie dotyka, że od jego głosu nie miękną jej nogi. – Czy to obietnica, mości księżę?

Roześmiał się cicho, wiodąc kciukiem między kostkami jej palców i zostawiając za sobą szlak żywego ognia... A potem wypuścił jej dłoń, nie tłumacząc się, czemu ją ujął.

– To obietnica, domno Safiyo.

– Safi – poprawiła, odnotowując nie bez satysfakcji, że głos jej się uspokoił. I że Merik się uśmiecha. – Mów mi Safi.

Skłoniła się raz i wyszła, by wraz z Iseult i Evrane udać się do Prastudni Nubrevny.

* * *

Ścieżka do Prastudni okazała się stroma i wyboista. Iseult była zmordowana, nim jeszcze stracili z oczu Dar Nodena. Właściwie to nie miała wcale pewności, czy w ogóle idą szlakiem. Trakt był zarośnięty pokrzywami. Safi od razu się w nie wpakowała i resztę drogi marudziła, że szczypie. Owady i ptaki wzbudzały taki hałas, że nie sposób było zebrać myśli.

Najtrudniejszym odcinkiem marszruty okazało się nachylone pod karkołomnym kątem wejście do samego dwuwierzchołka, gdzie znajdowała się Prastudnia. Iseult nie weszłaby na górę bez pomocy Safi i Evrane, ale gdy wspólnymi siłami kobiety pokonały stok, więziodziejka, choć zdyszana i blada, nie posiadała się z ekscytacji.

Oto legendarna Prastudnia. Dotąd widziała ją tylko na rycinie w caraweńskiej księdze, a teraz ujrzy ją wreszcie na własne oczy. To jak słyszeć opowieści o muzyce i w końcu jej posłuchać, pomyślała. Żaden obraz, choćby najpiękniejszy, nie odda harmonicznym kątów, światłocieni i ruchliwości tego miejsca.

Wąskie zagłębienie, którego dno porastało sześć rachitycznych i bezlistnych cyprysów, rozmieszczonych regularnie wokół brzegów, wypełniała krystalicznie czysta woda, przez którą widać było skaliste dno. Studnię otaczała wyłożona kamieniami ścieżka. W księgach zawsze miała szary kolor, lecz teraz Iseult mogła przyjrzeć się jej z bliska i dostrzec, że kamienie mieniły się milionem odcieni starożytnej bieli. Poza skalistym zrębem Prastudni widniało w dali błękitne i bezkresne Morze Jadańskie, dziwnie spokojne i nieruchome. Tylko najlżejsze echo podmuchu zapędziło się znad wody na szczyt wzgórza i marszczyło delikatnie wodę w sadzawce.

– W niczym nie przypomina Studni Ziemi – zauważyła Safi, a jej nici lśniły tą samą nabożną ekscytacją, jaką czuła Iseult. Evrane potwierdziła monosylabą.

– Każda Studnia jest inna. Ta w Klasztorze Caraweńskim znajduje się na szczycie wysokiej góry w Sirmayanach i przez okrągły rok jest przykryta śniegiem. Rosną tam sosny, nie martwe cyprysy. – Uniosła pytająco brwi, zwracając się do prawdodziejki. – A jak wygląda Studnia Ziemi?

– Znajduje się pod nawisem skalnym. – Safi utkwiała wzrok w przestrzeni, odgrzebując zamierzchłe wspomnienia. – Wyrastają z niej buki i czasem pojawiał się tam wodospad. Tylko wtedy, gdy padało.

Evrane skinęła z wymalowanym na twarzy wszytkowiedzącym uśmiechem.

– Tutaj jest tak samo. – Wskazała dzielącą na pół wschodni skraj Prastudni kamienną tamę. – Ona łączy się z rzeką, ale tylko w czasie burzy.

– Możemy popatrzeć? – spytała Iseult, ciekawa, jak wygląda kanion. Księga nie wspominała o nim ani słowem.

– Nie chcesz wpierw odpocząć? – Zatrokała się Safi. – Albo dać się wyleczyć?

– Safi ma rację – rzekła dźwięcznym głosem Evrane, a następnie otoczyła dziewczynę ramieniem i poprowadziła do schodzącego pod wodę pomostu. – Zdejmij ubranie i wejdź do Studni.

– Nago? – Poczwała, jak krew odpływa jej z twarzy. Stała boso na kamieniach niczym biegacz gotujący się do startu.

– Musisz obmyć nie tylko ranę – nalegała uzdrowicielka, popychając ją lekko naprzód. – A poza tym, jeśli ostała się w tej Studni jakaś magia, najlepiej będzie ją przyswoić jak największą powierzchnią ciała. – Po chwili dodała nieco ciszej: – Możesz zatrzymać bieliznę, jeśli chcesz.

– Ja też się rozbiore – zaproponowała Safi, łapiąc za sznurki koszuli. – Jeśli ktoś przyjdzie – zdjęła ubranie przez głowę, materiał stłumił dwa słowa – odwrócić jego uwagę tańcem.

Iseult wstrząsnął chichot.

– Dobrze, zgadzam się, wygrałaś. Jak zawsze zresztą.

Koszula Safi wylądowała na kamiennej ścieżce, a Iseult zaczęła rozpinać guziki szaty. Wkrótce obie dziewczyny były rozebrane do bielizny, na ich szyjach migotały kamienie Więzi. Safi pomogła Iseult usiąść na

pomoście, tymczasem Evrane również zdjęła ubranie i wsunęła się gładko do wody, nie robiąc najmniejszej fali. Jej ciało pokryła gęsia skórka.

– Podaj mi rękę, Iseult, przytłumię ból w ramieniu, żebyś mogła pływać.

– Pływać? – pisnęła Safi. – Czemu musi pływać?

– Środek Studni ma najlepsze właściwości uzdrawiające. Możliwe, że zupełnie ozdrowieje, jeśli dotknie samego źródła.

Przyjaciółka ujęła Iseult za rękę.

– Pomogę ci dopłynąć do dna. Nie po to nadstawiałam karku w walce z lisami, żeby powstrzymało mnie parę stóp zimnej wody.

Iseult wcale nie paliła się do pływania, ale podała rękę Evrane. Wkrótce znajome ciepło przeniknęło do jej mięśni, ogarnęło biceps, ramiona i palce. Poczowała, że wygładzają się linie jej twarzy i że płuca wypełniają się powietrzem do granic możliwości. Nie oddychała tak głęboko od kilku godzin.

Iseult poruszyła z lubością ramionami, wyprostowała ręce i wydała z siebie błogie westchnienie.

– Że też nie robią kamieni, które uśmierzają ból w ten sposób.

– Ależ robią. – Mniszka ściągnęła czoło. – Korzystałaś z jednego na... Aha. To był żart.

Iseult wyjaśniała – Evrane zaczynała rozumieć jej dowcipy. Safi roześmiała się w głos. A potem rzuciła się do Studni, ciągnąc za sobą przyjaciółkę. Razem popłynęły żabką do środka sadzawki.

– Poczekaj – poprosiła prawdopodobnie. – Zaraz ściągnę cię na dół.

– Poradzę sobie sama.

– Akurat. To, że nie czujesz bólu, nie znaczy, że jesteś zdrowa. Wstrzymaj oddech.

Iseult zaczerpnęła głęboko tchu...

A Safi dała nura i pociągnęła ją za sobą w kawalkadzie bąbelków. Więziodziejka otworzyła oczy, a potem kopnęła wodę i zaczęła sunąć w stronę dna. Nie była pewna, skąd Safi wie, gdzie szukać źródła. Wokół jak przez mgłę widziała tylko skalistą nieckę... a jednak coś w niej drgnęło, coś ogarniało ją i otulało, ale tylko gdy płynęła w jednym, właściwym kierunku.

Ciśnienie naparło na jej błony bębenkowe, odezwało się stłumionym pulsem za oczami. Z każdym kopnięciem omywała ją coraz zimniejsza

woda, co nie pomagało trzymać się Safi. Zanim dotarły do połowy drogi, płuca Iseult zaczęły palić z braku powietrza. Raptem znalazły się na samym dnie. Safi sięgnęła w stronę skały, Iseult też...

Jej palce natrafiły na coś pod wodą. Coś niewidocznego, ale ogarniającego jej ciało mocą i elektryzującego. Błysnęło czerwone światło, chwilę później, jaśniej. Kamienie Więzi!

I wtedy to się stało.

Podwodny huk, silny napór na jej ciało, który pchnął ją bokiem ku powierzchni i wycisnął powietrze z płuc. Mimo to nie puściła ręki Safi, a Safi nie puściła jej; płynęły po spirali ku widocznej w górze tafli, pchane bijącą od dna falą, niesione wciąż rozbrzmiewającym w wodzie rykiem.

Wyłoniły się na powierzchnię i zobaczyły bijące o brzeg fale. Iseult zakrztusiła się wodą, zdezorientowana nagłym porywem Studni i krążącą po jej ciele mocą.

Nagle koło niej tafle przebiła szara głowa.

– Dalej! – Evrane wzięła dziewczynę pod rękę i pociągnęła ku pomostowi.

– Co się dzieje? – zawołała Safi, płynąc za nimi.

– Trzęsienie ziemi! – odkrzyknęła Evrane, wykonując zamaszyste ruchy ramionami.

Iseult zahaczyła stopami o skałę, stanęła i wyszła ze Studni. Evrane i Safi zrobiły to samo. Wszędzie wokół wody Studni falowały niespokojnie, biły w górę chmurami kropel, wrzały i wirowały.

– Powinnam była was ostrzec – wydyszała uzdrowicielka. – Od czasu do czasu zdarzają się wstrząsy.

Woda wreszcie się uspokoiła, drganie gruntu powoli przechodziło, ale Iseult ledwie to zauważyła, bo nieustannie wpatrywała się w nici Evrane. Ich barwa nie pasowała do strachu wywołanego trzęsieniem ziemi ani nawet do troski o bezpieczeństwo dziewczyny.

Wszystkie były oślepiająco różowe, niczym wschód słońca. Evrane czuła podziw, ogarnęło ją jakieś szczególne, trudne do rozszyfrowania uniesienie.

A teraz, gdy opuszczała Studnię u boku uzdrowicielki, w jej ciemnych oczach dostrzegła łzy.

– Czuję... – Iseult wyciągnęła ramię i je rozprostowała, sprawdzając pracę stawów i mięśni. – Czuję się o wiele lepiej. – I faktycznie, całe jej

ciało było odprężone i zdrowe. Mogłaby przebiec wiele mil i przetrzymać najgorsze ćwiczenia Habima.

Odkryła, że przepełnia ją dziwna, wszechogarniająca wesołość. Woda delikatnie chlupotała u jej stóp, wiatr powiewał nad taflą Studni, nici Evrane drżały błogością.

– Myślę – powiedziała więziodziejka, uśmiechając się do Safi i krzyżując z nią spojrzenie jasnych oczu – że już jest zupełnie dobrze.

ROZDZIAŁ 32

Jest na wybrzeżu – oznajmił księciu Aeduan. Stał w drzwiach kajuty Leopolda, wcale nie szerszych, co zaskakujące, od drzwi jego własnej, acz o przepustowości pomniejszonej zagracającymi pomieszczenie kuframi i skrzyniami oraz barwnie oprawionymi książkami. Promienie słońca padały na pojedyncze łóżko polowe, z którego dźwigał się właśnie do pozycji siedzącej rozespany jeszcze książę.

– Kto jest? Gdzie jest?

– Dziewczyna imieniem Safiya jest na wybrzeżu Nubrevny, a twój okręt płynie za daleko na wschód, by...

Leopold wystrzelił z łóżka, odrzucając koce.

– Po co mi to mówisz? Kapitanowi powiedz! Nie... sam mu powiem. – Leopold zastygł w pół kroku, ogarnął wzrokiem opiętą na brzuchu nocną koszulę. – Ale najpierw się ubiorę.

– Nie kłopotz się, książę, ja poinformuję kapitana – warknął krwiodziej. Aeduan nie pojmował, co książę robił w łóżku o tej porze ani dlaczego zawracał sobie głowę specjalną garderobą do snu.

Czarodziej wkrótce znalazł się na mostku, gdzie łamanym cartorriańskim próbował się dogadać z kapitanem, ignorując cofających się przed nim żeglarzy, którzy układali palce w chroniące przed złem znaki. Zapach domny bił z północy, a więc z lądu. Fakt ten oznaczał, że czas naglił.

– Gdzie niby mamy zejść na ląd? – podniósł głos kapitan, jakby rozmawiał z głuchym. Wodził lunetą po poszarpanej linii brzegowej. – Nie ma gdzie.

– Tam. – Aeduan wskazał wystającą z wody pojedynczą skałę. – Nubreveni płynęli tamtędy, więc musimy podążyć ich śladem.

– Niemożliwe. – Burzowa chmura zasnuła czoło kapitana. – Rozbijemy się przecież, pójdziemy na dno.

Aeduan wyrwał mu lunetę i skierował ją na omywany falami skalny kiel. Jeśli kapitan nie zmieni kursu natychmiast, zaraz go miną i znów zmarnują czas, nawracając. A jednak stary wilk morski miał rację – dogodnego miejsca do zejścia na ląd nigdzie nie było widać.

Chyba że... wcale nie miało rzucać się w oczy. Wodził chwilę lunetą po skalnym masywie. I rzeczywiście, w prostej linii za skałą widniała pośród klifów osłonięta wzburzonymi bałwanami szczelina. Grota. Czarodziej podał kapitanowi lunetę, ale ten nie chciał jej przyjąć. Mosięzny przyrząd uderzył o pokład, kapitan zaklął paskudnie.

Mnich zignorował zabobonnego głupca. Zadał nos i nabrał powietrza głęboko do płuc. Wreszcie jego magia zakręciła mu w nosie znajomą wonią krwi Safiyi. Dziewczyna wpłynęła do tej jaskini i zeszła na ląd, a potem ruszyła na wschód. Ale nie dość daleko, by jej woń się rozmyła. Czuł ją wyraźnie.

Aeduan przeszył dreszcz podniecenia, od którego zajęła się płomieniem krew w jego żyłach i powietrze w płucach. Jeśli się pospieszy, może schwyta prawdopodobnie jeszcze dziś.

A wraz z nią Nomatsankę.

– Potrzebny mi wiatrodziej – oznajmił Aeduan kapitanowi, utrzymując magię w działaniu. Wiedział, że nic tak nie przyspieszy wykonania polecenia jak czerwony błysk w oczach. – Albo od razu kilku. Tylu, ilu trzeba, by przenieść mnie na klify z wszystkimi moimi rzeczami.

Z wszystkimi pieniędzmi – dodał w myślach.

Kapitan zeszytniał, opuścił wzrok, a zza jego pleców dobył się głos:

– Zrób, jak prosi mnich, kapitanie. Niebawem przybijamy do brzegu.

Oficer odwrócił się z ociąganiem i stanął twarzą w twarz z księciem Leopoldem, odzianym w zupełnie niepraktyczny jasnobrązowy strój.

– My? – Nie zrozumiał Aeduan. – Nie mogę jej ścigać z ośmioma bardami...

– Nie mówię o bardach, mnichu. – Leopold przecesał włosy dłonią i popatrzył na klify. – Safiya jest narzeczoną mego wuja, więc ja będę ci towarzyszył. Bez eskorty.

Podniecenie ustąpiło miejsca frustracji.

– Tylko mnie spowolnisz – wyrzekł po pauzie, nie kłopotząc się uprzejmościami.

Leopold patrzył na niego z przyklejonym do twarzy bezbarwnym uśmiechem.

– Nie doceniasz mnie, Aeduanie.

* * *

Krwiodziej zmarnował przez księcia kilka cennych godzin. Leopold spędził wieki, pakując jedną sakwę i przypinając pas z kompletnie bezużytecznym rapierem, a potem gawędził przyciszonym głosem z dowódcą bardów, Studnie raczą wiedzieć o czym i po co. Aeduan stał na forkasztelu, przeciągając się, strzelając palcami i w myślach rugając księcia za zwłokę.

Gdy wiatrodzieje wreszcie zabrali ich z okrętu, Aeduan odetchnął z ulgą, przekonany, że teraz zwiększą tempo. Bolesnie się rozczarował. Gdy stanęli na skałach, Leopold zaczął powtarzać rozkazy, o których dopiero co powiadomił kapitana. Bełkotał coś o zaczarowanym słowodziejskim zwoju, który powiadomi piekielnych bardów o czasie i miejscu powrotu Leopolda na statek wraz z oblubienicą wuja.

Aeduan zostawił więc księcia na kilka minut i zapuścił się między kolumnadę wypłowiących pni. Ciężar srebrnych talarów w okutej żelazem skrzyni uniemożliwiał szybki marsz, uznał zatem, że rozważniej będzie wykorzystać i tak już stracony czas na jej ukrycie.

Nie wyczuł żadnych woni, jego uszu nie dobiegał żaden dźwięk. Czuł się, jakby przebywał sam na morzu, gdzie nozdrza wypełnia morska sól, a w uszy łaskocze bryza. Wyłapał pozostawione w powietrzu przez jakichś ludzi zapachy, ale samych ludzi nie było w pobliżu już od dawna. Ta pustka obudziła w nim... zdenerwowanie. Czuł się wystawiony na atak, odkryty i wyeksponowany, niczym skazaniec na szafocie. Nawet w klasztorze, wysoko w górach, zawsze widziało się ptaki na niebie, zawsze dało się znaleźć jakiś znak życia.

Raptem, zupełnie nieproszona, wypłynęła na powierzchnię jego pamięci opowieść mentora o truciźnie, magii i wojnie. Aeduan inaczej sobie wyobrażał spustoszoną Nubrevnę. Myślał, że będzie przypominała spękaną od słońca pustynię, którą pozostawił po sobie marstocki ogień w jego rodzinnych stronach.

Ta martwa głusza była w jakiś sposób jeszcze straszniejsza od tłących się zgłiszczy jego domu. Ruiny stanowiły jednak pewien ślad po człowieku,

a Nubrevna wyglądała, jakby bogowie się poddali, jakby doszli do wniosku, że szkoda marnować czas na ten kraj i jego mieszkańców.

Cóż, przynajmniej w tym zapomnianym przez bogów świecie nikt nie podpatrzy, gdzie Aeduan chowa swoje talary.

Znalazł pusty w środku pniak i złożył w nim skrzynkę. Pozostanie w nim niewidoczna, dopóki ktoś nie zejdzie z traktu i do niego nie zajrzy. Aeduan przesunął ostrzem po nadgarstku. Krew zebrała się w opasłych kropkach, które następnie spłynęły do wnętrza dłoni i skapnęły na żelazne monety. Teraz Aeduan znajdzie je, choćby nawet zapomniał o kryjówce. Choćby nawet ktoś natknął się na nie i je sobie przywłaszczył.

Zerwał się podmuch powietrza, to wiatrodzieje przemknęli nad drzewami w kierunku okrętu.

– Mnichu Aeduanie? – zawołał Leopold. – Gdzie jesteś?

W krwiodzieju momentalnie zapłonęła chaotyczna wściekłość. Zapieczęta w krwiobiegu i uderzyła do głowy. To imperium Leopolda spustoszyło tę krainę, zabiło nie tylko ludzi, ale i samą ziemię. A teraz księżę deptał ją bez krztyny namysłu, bez śladu szacunku, kompletnie wyprany z poczucia winy.

– Cisza – wycedził przez zaciśnięte zęby, podszedłszy do Leopolda. – Nic nie mów, dopóki nie dojdziemy.

Księżę zwiesił głowę i zgarbił się, do jego krwi wtargnął ociężały chłód. Wiedział, oczywiście, jakie zło wyrządzili Nubrevnie jego poddani. Ogarnął go na tę myśl wstyd, którego nie zamierzał się wypierać przed Aeduanem. Ale mnich teraz o to nie dbał.

– Idą jacyś ludzie – warknął, biorąc na ramię sakwę Leopolda. – Pachną jak żołnierze, więc trzymaj się blisko, a gęba na kłódkę.

W stosunkowo krótkim czasie udało im się zejść dość daleko, a w miarę jak pokonywali kolejne mile, wokół pojawiało się coraz więcej życia. Wkrótce nad uszami zaczęły im brzęczeć trzmiele i pszczoły, coraz częściej krzyczały ptaki, wiatr znad morza szemrał w trawie i krzewach. Nadmorskie skały wypiętrzały się coraz wyżej, a zapach Safiyi przemieścił się głębiej w ląd i zatrzymał przy jakimś zbiorniku wodnym.

Cały obszar patrolowali żołnierze, ale Aeduan lawirował między nimi bez trudu; wyczuwał ich zapach na długo przed tym, nim wypatrzył ich z daleka księżę. Stałe nadkładanie drogi mocno jednak obniżyło ich

prędkość. Wkrótce słońce przychyliło się do ziemi i było dobrze po południu, gdy natrafili na osadę.

Wpierw niebo przed nimi poznały słupy dymu, potem dostrzegli wydeptane w trawie wąskie, odbijające od traktu ścieżki, aż wreszcie usłyszeli głosy – głównie kobiet i dzieci. Ewidentnie zbliżali się do jakiegoś sioła, a skoro tak, należało niepostrzeżenie rzucić na nie okiem, nim wparują do niego uczęszczanym traktem. Aeduan wypuścił się na zwiad. Zobaczy, czy jest bezpiecznie, i choć na trochę uwolni się od księcia.

Szybko znalazł powalony dąb, niewidoczny z gościńca i wolny od zapachów kręcących się po okolicy żołnierzy. Najwidoczniej leżał tam od niedawna, bo pień nie zdążył jeszcze zbutwieć i zarosnąć, ale Aeduan był pewien, że książę nie omieszka zgłosić pretensji. Zdziwił się więc, gdy Leopold posłusznie i sprawnie wpełzł pod drzewo, nie pisnąwszy słówkiem. Krwiodziej poczuł się niepewnie; książę był niespotykane uległy i ostrożny. Gdy jednak Aeduan stracił go z oczu, przestał o nim myśleć, a skupił się na jedynej rzeczy, która miała teraz znaczenie – na Safiyi.

Podkraść się do wezbranej rzeki i za pomocą magii zebrał unoszące się w powietrzu zapachy. Było ich zbyt wiele, wioska roiała się od ludzi; Leopold nie zdołał przekraść się niezauważony. Kolejny problem stanowiła rzeka – Aeduan z łatwością przekroczyłby ją sam, ale przecież nie będzie holował księcia przez rwący nurt.

Należało poszukać innego szlaku.

Wracając do księcia, głowił się nad dalszą drogą i sposobem na szybkie przetransportowanie Leopolda.

Zdębiał, gdy pochyliwszy się przy pniu, odkrył, że kryjówka jest pusta.

Natychmiast zaczął szukać jego zapachu pomiędzy smrodem palenisk i wonią wyprawionej skóry. Nie znalazł – w powietrzu zachował się jedynie nikły jego ślad. Aeduan przypadł do ziemi i wcisnął się pod pień, na wypadek gdyby zastawiał na niego sidła blaskodziej. Jednocześnie zamierzał sprawdzić, czy nie ma tam czasem ukrytego korytarza lub zapadni.

Ani tego, ani tego. Leopold rozplynął się w powietrzu.

Aeduan wyszedł spod drzewa i stanął na nogach. Jego puls przyspieszył, dopadł go blady strach. Czy powinien go szukać, myślał gorączkowo, czy zostawić?

Jego rozmyślania zakłócił przesączający się przez drzewa wiatr. Aeduan niemal zapomniał o księciu, gdy jego nozdrza pochwyły woń innej krwi. Krwi, którą znał. Czyste jeziora i mroźne zimy.

Jego palce natychmiast zacisnęły się na rękojeści miecza. Zlustrował las, sięgając magią tam, skąd dobiegał zapach. By go zidentyfikować i zapamiętać.

Gdy sobie przypomniał, co to za zapach, prawie upadł z wrażenia. To przecież ta sama woń, którą wyczuł wtedy, w Veñazie.

Co oznaczało, że ktoś śledził go do samej Nubrevny i porwał mu sprzed nosa księcia Leopolda fon Cartorę.

ROZDZIAŁ 33

Merik nigdy nie przypuszczał, że jazda konna może być tak zaskakującym połączeniem przyjemności i katorgi.

Popołudniowe słońce kreśliło trakt cieniami strupieszających dębów. Trzydzieści lig na wschód od Daru Nodena niezmiennie trwało wydrenowane z wszelkiego życia pustkowie, ciche cmentarzysko, którego spokój zakłócał tylko odgłos kopyt jabłkowitej klaczy Merika i idącego dwadzieścia kroków dalej deresza dosiadanego przez Evrane i Iseult, a także dzwonienie sprzączek siodła i uźdz.

Yoris dał Merikowi najlepsze wierzchowce, jakie tylko znalazł, i tyle prowiantu oraz wody, ile mogli zabrać. Wyposażył ich także w posłania i kamień ostrzegawczy, zaklęty przez eterystów kawał kryształu, który budził się do życia w przypadku zagrożenia i dzięki któremu nie trzeba było wystawiać wart nocą.

Tego wieczoru Merik powitał sen z otwartymi ramionami. Dawno go bowiem nie zaznał.

Wiatr niósł ze sobą woń soli. Choć Morze Jadańskie skrywał przed nimi wymarły las, powietrze na gościńcu pachniało oceanem. Ale nawet najbardziej porywisty huragan nie przyniósłby teraz księciu ochłody. Nie z Safiyą fon Hasstrel w siodle.

Choć wspólna podróż na jednym koniu dostarczała zrozumiałego usprawiedliwienia dla ścisłego przylegania ich ciał, a objęcie Safiyi ramionami dało się wytłumaczyć potrzebą trzymania wodzy, Merik wciąż reagował na dotyk prawdopodobnie rumieńcem i zdenerwowaniem. Gdy zatrzymywali się na popas, był wykończony i przepełniony wdzięcznością dla słońca, które postanowiło wreszcie zejść. Bliskość domny mąciła mu w głowie i czyniła ją zupełnie niezdatną do myślenia. Każdy krok wierzchowca przyciskał do dziewczyny jego uda, biodra, brzuch i pierś, i choć Merik próbował myśleć o Darze Nodena, wspominać przywitania,

jakie zgotowali mu poddani, i trzymać się kurczowo dumy nim wywołanej, jego umysł nawiedzały rozważania zupełnie innego rodzaju.

Kształt ud Safi, załomek obojczyka w miejscu, gdzie ramię łączyło się z szyją, wyzwanie, jakie rzuciła mu w kajucie wywróconego statku, jej dłoń w jego palcach, jej oczy i jej słowa.

Od tamtej chwili Merik nieustannie czuł pod skórą mrowienie magii. Zbyt gorącą i zbyt intensywną jak na jego gust wściekłość, która wcale wściekłości nie przypominała.

Przynajmniej, myślał, jestem z Safi w lepszych stosunkach. Łatwiej się z nią teraz rozmawia.

Nieustannie go o coś wypytywała. Ciekawiło ją, ile ludzi żyje w Lovats, czy Noden jest bogiem wszystkiego, czy tylko wody, i iloma językami włada Merik. Książę starał się odpowiadać na bieżąco – w Lovats żyje około piętnastu tysięcy ludzi, ale ta liczba może się zwiększyć czterokrotnie w czasie wojny, Noden jest bogiem wszystkiego, mówi łamanym cartorriańskim, niezłym marstockim i płynnie po dalmocku. Wkrótce sam zaczął rewanżować się pytaniami.

Czy są w pobliżu jacyś Cartorrianie? A Marstockczycy? A czy powie mi o tym jej magia?

– Magia mówi mi, kiedy ludzie kłamią, a kiedy mówią prawdę. Gdy patrzę na człowieka, umiem zajrzeć mu w serce i rozszyfrować prawdziwe intencje, jeśli próbuje je ukryć. Ale nie mogę zweryfikować plotek lub dociec prawdy samą tylko magią.

– Zajrzeć w serce, mówisz? – Merik podał jej bukłak z wodą. Gdy przyłożyła go do ust, podjął: – Co więc widzisz, gdy patrzysz na mnie?

Stężała w jego objęciach, poczuł, że przeskakuje na niego delikatny, niby elektryczny impuls. A potem roześmiała się i rozluźniła.

– Moja magia nie może cię rozgryźć – odpowiedziała, wręczając mu bukłak. – Ale w tej chwili mówi, że mogę ci ufać.

Woda była tak ciepła od słońca, że po dwóch łykach odjął naczynie od ust.

– A ty jak myślisz, mogę? – Safiya łypnęła na niego przez ramię.

– Tak długo, jak długo wypełniasz rozkazy. – Uśmiechnął się.

Odpowiedzią było subtelne, acz butne prychnięcie, które sprawiło mu dziką satysfakcję.

– Dysponujesz wielką mocą – powiedział, gdy ponownie okręciła się w siodle. – Już rozumiem, czemu niektórzy gotowi są dla niej zabić.

– Wielką, to prawda – potwierdziła. – Ale nie tak wielką, jak się ludziom wydaje. A ostatnio co rusz przekonuję się, że nie jest nawet tak wielka, jak wydaje się mnie. Łatwo ją zwieść żarliwym przekonaniem. Jeśli ludzie wierzą w to, co mówią, moja magia nie widzi różnicy. Potrafię stwierdzić, gdy ktoś kłamie w żywe oczy, ale gdy ludzie myślą, że mówią prawdę, magia nie reaguje. – Ucichła, a potem dodała niechętnie: – To dlatego ci nie wierzyłam, gdy powiedziałeś mi, że Nubrevnie potrzebna jest umowa handlowa. Według magii mówiłeś prawdę. Ale magia wierzyła też w kłamstwa wypisane w moich podręcznikach historii.

– Pojmuję. – Merik wypuścił powietrze. Nie mógł nie dosłyszeć smutnych tonów w jej głosie. Pod ich wpływem jego magia zrobiła wolte zaraz za mostkiem. Ścisnął mocniej wodze, czaroznamię zapulsowało na napiętych ścięgnach.

Nawiedziło go dziwne pragnienie, by Safi choć na moment przestała być domną, a on księciem. By choć na chwilę przemienili się w parę podróżników na jałowej drodze, gdzie nie rozlegał się żaden dźwięk, jeśli nie liczyć postukiwania kopyt, ledwie słyszalnego szumu wiatru i dobiegającej zza pleców niezrozumiałej konwersacji, jaką Evrane toczyła z Iseult. Lecz wkrótce wdarła się do jego głowy ponura martwota krajobrazu i ten sam zestaw trosk co zwykle: Kullen, Vivia, król Serafin.

– Za wiele bierzesz na swoje barki, książę – odezwała się Safi, bezbłędnie odczytując tok jego myślenia. Obróciła się i wsparła głowę na jego klatce piersiowej. – Nie znam nikogo, kto podejmowałby taką odpowiedzialność jak ty.

– Byłem księciem już w łonie matki – rzekł po prostu, przyciągając ją lekko do siebie i dostrajając się do miarowego rytmu rozmowy. Delektował się jej dotykiem. – Traktuję swój tytuł poważnie, nawet jeśli nikt tego ode mnie nie wymaga.

– I tu doszliśmy do sedna, czyż nie? Uwielbiasz czuć się potrzebny. To nadaje twojemu życiu sens.

– Może – odmruknął, rozkojarzony bliskością i sposobem, w jaki jego oddech i wiatr poruszały jej włosami. – Posługujesz się moim językiem jak rodowita Nubrevenka – powiedział, zmuszając się do zmiany tematu i do

tego, by skupić się na tym, co Safi mówi, a nie na tym, jak jest blisko. – Niemal nie słychać akcentu.

– Wiele lat nauki z wieloma nauczycielami – wyjaśniła. – Ale najwięcej nauczyłam się od mojego mentora. Jest słowodziejem, magia wygładziła jego akcent. Godzinami zmuszał mnie i Is do ćwiczeń.

– Miałaś tyle nauki... – Merik pokręcił głową. – Szkoliłaś się w magii i w walce, władasz mocą, za którą można zabić. Pomyśl, Safi, ile mogłabyś działać. Pomyśl, kim mogłabyś być.

Zadrzała odruchowo.

– Chyba mogłabym... – odrzekła po chwili ciszy. – Mogłabym zdobyć władzę, zwiększyć swoją moc, coś gdzieś zmienić albo robić to, w czym ty jesteś tak biegły, książę, lecz mój trud na nic by się nie zdał. Nie nadaję się na przywódczynię. Nie umiem inspirować ludzi. Jestem na to zbyt... niespokojna. Nie znoszę stać w miejscu, a poza Iseult nigdy nie było w moim życiu niczego stałego.

– A więc nigdy nie przestaniesz uciekać? Nawet gdyby ktoś zapragnął, byś... – Nie dokończył. Nie mógł wymówić ostatnich słów: „byś została”, one jednak zaiskrzyły gdzieś w powietrzu między nimi. Gdy Safi okręciła się ku Merikowi, zobaczył jej błękitne oczy i zmarszczone brwi. Zaraz odwróciła wzrok i na powrót utkwiała go między końskimi uszami.

Niespodziewanie przestrzeń między nimi wydała się księciu zbyt mała. Raptem poczuł, jakby próbował utrzymać w ryzach wzburzony potok, ale miast tego dał się porwać nurtowi i mógł myśleć tylko o tym, by wryć klacz, ściągnąć Safi z siodła i... Nie. Lepiej nie otwierać tych drzwi. Nie wolno mu. Niewinny flirt to jedno, ale... Nie zdobędzie się na takie ryzyko, bo nie sposób przewidzieć, jak się to wszystko potoczy. Zwłaszcza że Safi była domną Cartorry i narzeczoną imperatora.

Merik zaniósł więc do Nodena desperacką modlitwę, by ten dzień szybko się skończył, nim utraci kontrolę nad sobą bądź swoją mocą.

ROZDZIAŁ 34

Różowe słońce tonęło już w Morzu Jadańskim, gdy grupa Iseult zatrzymała się na popas w wyznaczonym miejscu. Więziodziejka była pewna, że wewnętrzne strony jej ud zostały permanentnie odkształcone od jazdy.

Yoris mówił prawdę – strumień był czysty. Nurt obrósł gęstym zagajnikiem, a poziom wody podniósł się na tyle, że nie ulegało wątpliwości, iż przy pierwszym deszczu rzeczka wystąpi z brzegów. Kiedy więc konie zaspokoily pragnienie, Merik kazał rozbić obóz na pobliskim wzgórzu, zacienionym przez dęby i osłoniętym wielkimi głazami.

Oczywiście wydanie rozkazu zajęło mu nieco czasu, bo przez jakiś kwadrans patrzyli się z Evrane na paprociowe drzewa, wsłuchani w nocne kumkanie żab. Ich nici Więzi emanowały taką euforią, takim triumfem, że Iseult zabroniła Safi im przerywać.

Pierwsza znudziła się czekaniem klacz Merika. Podeszła do admirała i skubnęła jego ramię, przywołując go do porządku. Gdy Iseult z Evrane zbierały drewno na ognisko, Safi i Merik rozkulbaczali konie. Nad ich głowami trajkotały jerzyki, najwyraźniej nie mniej ucieszone towarzystwem niż Iseult ich śpiewem. Była wdzięczna za wszystko, co odejmowało jej uwagę od drgających nad Safi i Merikiem nici. Gdy jechali razem w jednym siodle, świeciły one tak jasno, że więziodziejkę rozboleła głowa. Również nici Evrane oślepiały ją swym blaskiem; nie przestawały pulsować beztroskim różem i zdecydowaną zielenią, od kiedy drużyna opuściła Dar Nodena. Jak trzy osoby mogły czuć tyle rzeczy naraz? Zadziwiające. I wykańczające.

Schyliła się po gałązkę, zdjęła z niej martwą cykadę i wrzuciła na stos chrustu. Merik zaordynował, żeby rozpałić jak najmniejsze ognisko, Iseult uzbierała więc dość drewna, ale nie była jeszcze gotowa dołączyć do grupy. Potrzebowała czasu, by odzyskać kontrolę nad własnym umysłem. By odzyskać swój spokój więziodziejki.

Gdy wróciła do obozu jakiś czas później, pomogła Evrane rozwinąć posłania pod wielką, pochylającą się nad ogniskiem skałą, na której stał kamień ostrzegawczy – plama purpury na ciemniejszym niebie.

Podróżni rozłożyli się wokół potrzaskującego ogniska, a kiedy kocioł z owsianką zaczął zachęcająco bulgotać, wzięli się do jedzenia. Wkrótce potem zmorzył ich sen. Iseult wsunęła się pod koc i zamknęła piekące od zmęczenia i nadmiaru barw oczy, wracając myślami do tego błogiego uczucia, które ogarnęło ją w wodach Prastudni. Ale choć pamiętała dokładnie, jak się czuła, nie mogła przywołać samego wrażenia.

Gdy tak leżała, rozmyślając, w końcu przyszedł do niej sen. A w nim czekał już na nią cień.

– Jesteś w końcu! I cudownie ozdrowiała, widzę! – Wydawał się uradowany, Iseult zobaczyła oczami wyobraźni, jak klaszcze ze szczęścia w realnym świecie. Miała pewność, że ten głos nie był jedynie jakimś szalonym przedłużeniem jej najgłębszych lęków, że jego właściciel musi gdzieś istnieć naprawdę.

– Masz rację – zanucił cień. – Jestem tak prawdziwa jak ty. Popatrz, pozwolę ci spojrzeć przez moje oczy, żebyś dała mi się w końcu przekonać.

Wrażenie przypominało wynurzenie się z wody po zanurkowaniu na samo dno. Światło kładło się plamami w polu widzenia Iseult, polśniewało szarością i zielenią, wymykało się wykrzywionym konturom... Mignęła czerń, jakby cień przymknął na chwilę oczy, a potem, gdy powoli je otwierał, świat zmaterializował się przed Iseult na nowo. Nie, nie przed nią, tylko przed cieniem. Zobaczyła szare kamienie, wyslizgane i rozsypujące się. Bardzo podobne do tych, które widziała w Veñazie, w zrujnowanej latarni, ale zamiast nawilgłej od morza plaży widziała krainę wyłożoną zielenią o wielu odcieniach. Bluszcz piął się po ścianach i wnikał między głazy, z fundamentów strzelała w górę trawa.

– Chodź – zawołał śpiewnie cień. – Chodź za mną. – Ale przecież Iseult nie mogła się ruszyć. Patrzyła tylko przez oczy cienia, tkwiąc uwięziona w jego ciele.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, nie mogąc obrócić głowy swojego gospodarza, by zobaczyć coś poza wejściem do owalnego pokoju. Wieczne słońce, jaśniejsze niż w Nubrevnie, biło do środka przez wybite okna; cień zmierzał ku wijącym się w górę schodom na tyłach. Poruszał się

osobliwym, skocznym krokiem, jakby chodził na piętach i rwał się do tańca.

I faktycznie, gdy znalazł się u schodów, zaczął płaszać. Pomknął roztańczony w górę, piął się coraz wyżej i wyżej, wirując i sunąc lekko jak tchnienie, nie odejmując wzroku od splekanych stopni i nie myśląc o niczym. Gdy znalazł się na pierwszym piętrze, powlókł się do okna ze sterczącymi z żelaznych ram fragmentami szkła.

– Jesteśmy w Pozniniu – oznajmił wreszcie. – Znasz to miasto? To stolica wspaniałej niegdyś Republiki Arythuunii. Ale sama wiesz, jak to jest z krajami, imperiami i republikami. Powstają, a potem upadają. A następnie, prędzej czy później, powstają znowu. Na gruncie tych ruin, które widzisz, wkrótce rozkwitną metropolie, zamieszkałe przez jakieś inne nacje, jednak one też niedługo później wymrą. – Cień mówił, a ona spojrzała przez okno na szeroką aleję. Rojąca się od setek... nie, tysięcy ludzi.

Zakrzusiała się powietrzem. Mężczyźni i kobiety stali w rzędach i nawet w bursztynowej poświacie zmierzchu widać było ich zwęgloną skórę i nieskalaną czerń oczu.

I trzy odcięte nici Więzi unoszące się nad każdym z ciał.

– Lalkarka – szepnęła Iseult.

Dziewczyna z cienia znieruchomiła. Jakby wstrzymała oddech. A potem skinęła kurtuazyjnie głową. Pole widzenia Iseult drgnęło.

– Tak mnie zwa, ale nie lubię tego określenia. Ty byś lubiła, Iseult? To brzmi jakoś... Nie wiem, frywolnie. Jakbym robiła zabawki dla dzieci. A tak nie jessst. – Ostatnie słowo wysyczała. – To nie zabawa, to sztuka. Arcydzieło sztuki tkackiej. Ale nikt nie zwie mnie splotodziejką, nawet król! To przecież on pierwszy mnie tak nazwał, a teraz mój prawdziwy tytuł nie przechodzi mu przez usta.

– Hmmm – mruknęła Iseult, która słuchała dziewczyny jednym uchem. Musiała wyciągnąć z każdego mrugnięcia Lalkarki, ile tylko się dało, zobaczyć i zapamiętać jak najwięcej szczegółów dotyczących rozszczepionych. A ponadto wyglądało na to, że dziewczyna nie jest w stanie odczytać myśli Iseult, gdy tak bardzo pochłoneły ją własne rozważania.

W każdym rzędzie mieściło się dziesięcioro ludzi. Mężczyźni, kobiety... czasem mniejsza postać, może dziecko. Ale wzrok Lalkarki nie

skupiał się nigdy na poszczególnych osobach, zaś Iseult była zbyt zajęta szacowaniem liczebności armii, by myśleć teraz o tych kilku detalach, które zdołała pochwycić oczami cienia. Naliczyła pięćdziesiąt rzędów, a nie doszła jeszcze nawet do połowy alei. Wtem Lalkarka zwróciła się do niej:

– Ty też jesteś splotodziejką, Iseult, a gdy już nauczysz się tkać, razem zmienimy nasz tytuł na odpowiedniejszy, na właściwszy.

– R-razem?

– Nie jesteś jak inne więziodziejki – wyjaśniła Lalkarka. – Jest w tobie potrzeba zmieniania świata. I nienawiść, która tę potrzebę napędza. Wściekłość, która wiedzie cię ku zniszczeniu tego świata. Sama się wkrótce przekonasz. Zaakceptujesz to, kim naprawdę jesteś, a kiedy już to nastąpi, dołączysz do mnie. Tu, w Poznynie.

Iseult zemdlilo. Targnął nią skurcz tak silny, że nie zdołała go zataić. Wypluła więc najlepsze kłamstwo, na jakie było ją stać.

– W-wydajesz się zmęczona. Przepraszam. Czy tkanie jest takie męczące?

Lalkarka się uśmiechnęła.

– A wiesz? – wyrzekła cicho. – Ty pierwsza mnie o to pytasz. Niszczanie nici jest bardzo męczące, ale nic mnie tak nie wykańcza jak rozmowa z tobą. A jednak... – Umilkła, zamknęła oczy. Ewidentnie padała z nóg, zatoczyła się naprzód i wsparła czołem o żelazną ramę. Westchnęła, jakby dotyk chłodnego metalu przyniósł jej ulgę. – A jednak rozmowa z tobą jest tego warta. Król złości się na mnie, choć przecież robię, co każe. Rozmowa z tobą jest jak światełko w ciemnym tunelu. Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki.

Iseult nie odpowiedziała. Choćby najdrobniejsza myśl o tym, by się poruszyć, wyjawiałaby cieniowi jej prawdziwe uczucia. Trwogę, strach, obawę.

A co gorsza: współczucie.

Całe szczęście, dziewczyna-cień nie zauważyła dziwnej małomówności Iseult – nazbyt pochłaniał ją jej własny potok słów.

– Nie będzie mnie przez kilka najbliższych dni. Król powierzył mi zadanie, które, jak sędzę, doszczętnie pozbawi mnie mocy. Będę zbyt zmęczona, by cię później odnaleźć. Ale – podjęła, barwiąc głos emfazą solennej obietnicy – kiedy już odzyskam siły, wpadnę do ciebie. – Ziewnęła potężnie. – Zanim jednak sobie pójdę, muszę ci podziękować. Wszelkie te

plany i miejsca poupychane w twojej głowie uradowały Króla Zdobywcę. Dlatego właśnie wyznaczył mi to zadanie. A więc: dziękuję ci. To stało się możliwe dzięki tobie. A teraz muszę odpocząć, jeśli mam rozszczepić tych wszystkich ludzi.

Jakich ludzi? I jakie plany, jakie miejsca? Co zabrałaś z mojego mózgu? Pytania cisnęły się Iseult na usta, ale nie mogła ich zadać. Zamiast tego owładnął ją gorączkowy, zachłanny płomień; wdarł się do jej umysłu, palił jej język, wypełnił płuca i żyły.

Wtem, tak raptownie, jak się pojawił, obraz miasta zgasł niczym wrzucona do wody pochodnia, pozostawiając Iseult w ciemności jej własnego ciała, jej własnych snów i trwogi.

* * *

Aeduan nigdy jeszcze nie tropił nikogo przy wykorzystaniu tak wielkich nakładów mocy. Safiya to była prościzna, jej krew sama wychodziła mu na spotkanie, ale krew owego tajemniczego porywacza, pachnąca rześkimi wodami jeziora i śnieżnymi zimami, wymykała się jego nozdrzom, musiał cierpliwie kluczyć i szukać. W jednej chwili czuł ją wyraźnie, a za dwadzieścia kroków gubił trop, by potem przypadkiem natknąć się na nią znowu w środku lasu.

To nie miało sensu. Gdy woń umknęła mu po raz setny, zaczął się oswajać z myślą porzucenia księcia na pastwę niewidzialnego porywacza. I tak planował go zdradzić i dostarczyć prawdopodobnie swojemu ojcu. A jednak gdy stawał przed ostateczną decyzją – porzucić czy nie? – ogarniało go dokuczliwe przeświadczenie, że nie powinien. Zupełnie jakby... Zupełnie jakby miał wobec księcia dług życia i czuł się w obowiązku go spłacić.

Gdy Aeduan pojął, że trop wystygł, słońce chyliło się już ku zachodowi. Krwiodziej stał przed czarnym, skąpanym w głębokim cieniu klifem, w którym wykuto pnące się w górę strome schody. Grzmiąca rzeka kotłowała się w korycie, nad głową fruwały mu tłuste nietoperze.

Prawdopodobnie była tu jakiś czas temu. Poznał po unoszących się w powietrzu strzępach woni. Ale nie zabawiła tu zbyt długo. A więc i Aeduan nie powinien zwlekać. Nie dbał o los Leopolda, obchodziła go przede wszystkim Safiya. Czas porzucić pogoń za księciem.

Ale właśnie w tym momencie, gdy Aeduan obrócił się plecami do skalnego masywu, bryza zsunęła się z klifu i przyniosła mu zapach, który

wniknął prosto do krwi.

Leopold.

Puścił się naprzód wytartymi stopniami. Przeskakiwał po dwa, po trzy, pędząc wytrwale, aż znalazł się na samej górze. W oddali przetoczył się po niebie grzmot. Ostatnie promienie słońca kładły się na wodzie plamami różu, a wiatr szeptał w koronach sześciu cyprysów.

Aeduan zobaczył przed sobą Prastudnię. Studnię Wody Czaroziem. Powinien był ją wyczuć już dawno, powinien odgadnąć jej położenie. Mentor opowiadał mu o niej w kółko, gdy Aeduan był dzieckiem.

A jednak miejsce to w niczym nie przypominało Prastudni z opowieści nauczyciela. Ono tchnęło życiem. Drzewa obrosłe zielenią, szemrząca woda... Zupełnie jakby Studnia żyła, a to przecież niemożliwe.

Aeduan otrząsnął się z zamyślenia. Nie miał ani czasu, ani ochoty badać Studni. Zaczął węszyć, obchodząc ją po łuku z prawej strony. Zrobił może dziesięć kroków, gdy woń krwi Leopolda została wyparta przez zapach tajemniczego porywacza.

A potem ktoś zaczął klaskać.

Zza najbliższego cyprysa wyszedł Leopold.

– Pobite gary, mnichu. – Księżę uśmiechnął się bez śladu rozbawienia. – Znalazłeś mnie szybciej, niż sądziłem.

– Zaplanowałeś to. – Aeduan rozdał nozdrza wściekły i sięgnął po nóż.

– Tak, to prawda – westchnął Leopold. – Ale zanim podziurawisz mnie jak rzeszoto, daj powiedzieć, że miałem cię zabić, a postanowiłem tego nie robić.

– Zabić mnie? – powtórzył Aeduan. W ułamku sekundy odwinął rękę, gotowy do rzutu. – Na czyj rozkaz?

Jedyną odpowiedzią księcia był uśmiech. Ten tępy, banalny uśmieszek, którego Aeduan tak nienawidził.

Krwiodziej uniósł lewą rękę i wziął we władanie krew Leopolda.

– Mogę wydusić z ciebie odpowiedź siłą – powiedział beznamiętnie. – Lepiej więc od razu powiedz, dla kogo pracujesz.

Słona bryza targnęła włosami Leopolda. Ciemny pas horyzontu za jego plecami przekreśliła błyskawica. Z miejsca, gdzie stał krwiodziej, wyglądało to tak, jakby niebo zesłało księciu piorunową koronę.

– Nikt mi nie rozkazuje – odrzekł wreszcie Leopold. – I jestem tu sam.

Aeduan mocniej ścisnął krew księcia. Nozdrza Leopolda poruszyły się, ale... Nie ze strachu o własne życie, nie z przerażenia, nie z bólu. Leopold był poruszony, lecz nie przerażony.

Wtedy Aeduan pojął. Jemu o to właśnie chodzi. Leopold chce, bym wyciągnął z niego prawdę na torturach... Bo to wymaga czasu... Książę marnował go celowo. Od samej Veñazy robił wszystko, byle tylko spowolnić pościg.

– Widzę, że się domyśliłeś – rzekł Leopold. – Widzę to w twoich oczach, mnichu.

– Czemu nie nazwiesz mnie demonem, jak wszyscy? – Krwiodziej ścisnął mocniej. Tak, by zabolalo. Ale Leopold patrzył tylko na niego, po czym wychrypiął:

– Nie mogę... pozwolić, byś dopadł Safiyę, zanim dotrze do Lejny. A już prawie tam dotarła. Wkrótce znajdzie się poza twoim zasięgiem.

– Skąd to wiesz? Czyje wypełniasz polecenia...? – Znał odpowiedź, nim słowa opuściły jego usta. Na Studnie, był idiotą, że nie zorientował się wcześniej. To oczywiste, że Leopold trzymał z tymi, którzy porwali Safiyę.

Zapłonął furia, dziką i niepowstrzymaną. Ogarnęła go nienawiść do Leopolda, ponieważ ośmielił się z nim pogrywać. I do siebie samego, że dał się nabrać. Choć pozornie nie było w tym krztyny logiki, teraz stało się jasne, że książę pracował ręką w rękę z Nubrevenami, z marstockim ogniodziejem, z blaskodziejem... i któż wie, z kim jeszcze. Sieć, której cel to umożliwienie Safiyi ucieczki, sięgała daleko, a Aeduan walczył z przemożną chęcią wyciągnięcia z Leopolda wszelkimi dostępnymi środkami odpowiedzi, jakich potrzebował. Lecz jeśli istotnie Safiya dojeżdżała już do Lejny, jak oznajmił mu Leopold, to znaczy, że Aeduan nie ma czasu do stracenia. Że nie może zmarnować ani chwili.

Odwiódł magię od jego płuc i gardła, ale nie od krwi. Postanowił, że jej nie wypuści, dopóki nie znajdzie się na tyle daleko, by Leopold nie zdołał go dopędzić.

Lecz gdy tylko okręcił się z zamiarem puszczenia się za Safiyą, Leopold wyszeptał:

– Nie jesteś demonem, którego chce z ciebie uczynić twój ojciec.

Czarodziej znieruchomiał. Powoli obrócił się z powrotem do księcia.

– Co powiedziałeś?

– Nie jesteś demonem...

– To drugie! – Przypadł do Leopolda i zajął mu głęboko w oczy. – Ja nie mam ojca.

– Masz – zaskrzeczał książę. – To ten, który zwie się...

Aeduan rozciągnął swe władanie na ostatnią kroplę krwi w ciele Leopolda. Zatrzymał każdą funkcję w jego organizmie – oddech, puls, wizję – poza słuchem i myślami.

– Jestem demonem, za którego mnie wszyscy mają – podkreślił Aeduan. – Zaś ty, Wasza Wysokość, powinieneś być zabić mnie, gdy miałeś ku temu okazję.

Ścisnął jeszcze mocniej, prawie do końca... Aż poczuł, że ciśnienie krwi w mózgu księcia maleje na tyle, by nie było w stanie zasilić procesów myślowych. Że mężczyzna traci przytomność. Puścił go. Leopold zwałił się ciężko na kamienną ścieżkę i zastygł w bezruchu, jakby sam był kamieniem, jakby uszło z niego życie. Nawet wiatr nie poruszał jego włosami, nie szarpał odzienia.

Przez kilka przeciągłych, przesyconych solą oddechów Aeduan nie odejmował oczu od księcia. Jego znalazł, ale nie znalazł właściciela tego drugiego zapachu. Ów ktoś zniknął. Kimkolwiek był, bez wątpienia kumał się z Leopoldem. Niewykluczone, że wiedział o ojcu Aeduana.

Powinien zabić księcia. Tak doradziłyby ojciec. Tylko że jeśli to zrobi, nigdy nie dowie się, czyja krew pachniała jeziorem i mroźną zimą. Nigdy nie dowie się, kto kazał Leopoldowi go zabić. I z jakich powodów.

Krwiodziej mógłby oczywiście skłamać ojcu i potem wszcząć śledztwo na własną rękę. Skinął głową na tę myśl. Zostawi tu Leopolda, a potem go odnajdzie. I dowie się wszystkiego.

Mnich porzucił księcia Cartorry i Prastudnię i ruszył biegiem. Za jego plecami zachodziło słońce i zrywał się wiatr.

ROZDZIAŁ 35

Merika wyrwał ze snu odległy grzmot. I dotyk palców na jego obojczyku. Gdyby nie był pogrążony w tak głębokim śnie, pamiętałby, że mogły należeć tylko do trzech osób. Lecz uśpiony umysł zbudził się dopiero po tym, jak zadziałał instynkt. Złapał rękę napastnika, wywinął nogę i oplótł nią ciało intruza, a potem targnął się silnie i przycisnął go do ziemi ciężarem ciała, ścisnąwszy palcami nadgarstek. Dopiero wtedy otworzył oczy i wyrównując oddech, zastygł w gotowości. Po czym dostrzegł w mroku niebieskie oczy, ciemne w przesączonym chmurami świetle księżyca.

– Domna.

Safi szarpnęła się, poruszyła dłońmi, napięła mięśnie, a Merikowi wydało się, że słyszy bicie jej serca. Że jej dziki puls przebił się przez burzowy wiatr i odwieczną pieśń lasu. A może to jego serce tak bije?

Safi zwilżyła wargi.

– Co ty wyprawiasz?

Jej szept łaskotał go w szyję. Przejął dreszczem, który spłynął po kręgosłupie do podbrzusza.

– Ja? – sparował. – A ty co? Szukasz drobnych?

– Chrapałeś!

– A tobie ciekła ślina – rzucił od razu, zbyt pochopnie. Bo podobno faktycznie chrapał.

Księżę wsunął jej dłoń pod głowę, a potem przysłonił świecący prosto w twarz dziewczyny księżyc. Aż z jego pola widzenia zniknęło wszystko poza lśnieniem jej oczu.

– Przyznaj się, domno – rzekł powoli. – Co robiła twoja ręka za moją koszulą w środku nocy? Czyżbyś próbowała mnie wykorzystać?

– Nie! – odwarknęła, wysuwając hardo żuchwę. – Próbowałam cię tylko obudzić. Chrapiesz tak, że zbudziłbyś umarłego. – Targnęła się, a potem stężała wyczuwalnie, co niewątpliwie oznaczało, że robi się zła. Jeśli Merik

jej nie puści, uwolni nogi i zacznie drapać, a jej oczy zapłoną tym dzikim ogniem, który niczym magnes przyciągnie do siebie jego moc, wtedy już niemożliwą do okiełznania.

Rozluźnił uścisk, jego ręka wyslizgnęła się spod jej karku. Oparł dłonie na ziemi i oddalił swoją pierś od jej piersi.

Wygięła się pod nim, a Merik zastygł. Coś surowego i nieokrzesanego wyrwało mu się z gardła i przeszło go raptowną spiralą, a potem przeszło na Safi i spoiło ich piersi niewidzialną nicią, uniemożliwiając zwiększenie dystansu. Odsuwał się, a ona wraz z nim.

Zmierzył ją wzrokiem. Wszystko różniło ją od Nubrevenek – jej piaskowe włosy, morskie oczy. Odetchnął z drzeniem. Nieważne, jak bardzo pragnął jej jego usta i dłonie, po prostu nie może... zaspokoić tego głodu.

Zsunął się, zrywając niewidzialną nić, i położył się na plecach, zasłaniając oczy dłonią. Przed księżycem i przed płonąca obecnością Safi. Reagowały na nią każda kropla jego magii i każdy cal jego ciała.

– Nie mogę – przyznał się w końcu. Przed nią i przed sobą samym. Wstał i porwał płaszcz z posłania, a w następnej chwili kierował już kroki przez las w stronę morza. Włożył płaszcz, nie przerywając marszu. Poczul się spokojniejszy, jakby materiał stłumił szalejącą w nim energię...

Safi szła w ślad za nim.

– Co robisz? – zapytał, obszedłszy nawis i zapuściwszy się w szumiący las.

– Nie mogę spać.

– Nie próbowałaś nawet.

– Wiem, że nie zasnę.

Westchnął. Nie było sensu się spierać. Ruszył przed siebie, przeczesując palcami rosnące przy trakcie paprocie i iglaste gałązki sosen. Chłodne w dotyku i wypełnione życiem.

Gdy znalazł się nad samym morzem i gdy ujrzał połyskujący nad horyzontem sztorm oraz białe czapy fal, coś się w nim rozsuptało i wygładziło. Odprężył się. Safi skręciła w lewo, gdzie wyrastał z podłoża wielki wapienny guz. Merik poszedł za nią, ale nie zbliżył się bardziej niż na dwa kroki. Oparli się razem o skałę i przez chwilę milczeli, wpatrzeni w morze, księżyc i błyskawice.

Jakiż spokój. Merik czuł, że spływa z niego całe napięcie. Jego umysł zestrzął się z pulsem fal i buczeniem owadów.

A potem spokój gdzieś umknął; noc naparła na niego i zrozumiał, że musi dać ujść jakiejś gromadzącej się w jego piersi sile. Jakiemuś zajadłemu gorącu, nieokiełznanemu jak szalejąca hen daleko nawałnica. Safi poruszyła się, ściągając na siebie jego spojrzenie. Odbite od wapienia światło malowało jej twarz księżycowym blaskiem.

Wykrzywiła usta.

– Nie patrz się tak na mnie, książę.

– Jak...?

– Jakbyś miał się na mnie rzucić.

Merik się zaśmiał, ciepło i szczerze. Ale nie mógł oderwać od niej oczu. Zwłaszcza od szyi, której łagodny łuk odznaczał się kontrastem na tle białych skał. Nie pamiętał, by widział kiedyś tak elegancko ukształtowaną szyję.

– Wybacz – powiedział po chwili. – Wcale nie mam zamiaru... rzucać się na ciebie.

Poblask księżycyca nie stłumił jej rumieńca. Otrząsnęła się i zadarła głowę, niby rozeźlona.

– Jeśli chodzi ci po głowie coś... innego, książę, spieszę cię poinformować, że nie jestem jedną z tych. – Wyrzekła to wyniosłym tonem arystokratki. Domna w każdym calu.

– Nigdy cię za taką nie miałem. – Teraz na Merika przyszła kolej, by się zarumienić, ale nie z zażenowania, tylko irytacji. Preludium wściekłości. – I nie zapędzaj się, domno. Nie myśl, że mógłbym cię pożądać. Gwarantuję, że nawet gdybym rozglądał się za jednonocną przygodą, byłabyś ostatnią osobą, której ośmieliłbym się takową zaproponować.

– I bardzo dobrze – odparła. – Bo ty też jesteś ostatni na liście.

– Tym gorzej dla ciebie, możesz mi wierzyć.

– Takiś niby utalentowany?

– A żebyś wiedziała.

Wwierciła się w niego wzrokiem. Oddech nie opuszczał jej płuc. Była jak zamrożona. A Merik zrobił krok w jej stronę, a potem jeszcze jeden, aż znalazł się zaraz przy niej.

– Gdybyś była taką dziewczyną – podjął, unosząc dłoń do jej policzka, z początku niepewnie, z czasem coraz bardziej zdecydowanie, gdy widział,

że nie oponuje – zacząłbym tutaj, a później zsunął się tu. – Jego palce błądziły po jej szyi, musnęły obojczyk. Mile brzmiał mu uszach jej rwący się oddech, cieszyło oczy drżenie jej warg. – A potem – mruknął – okrążyłbym cię. I stanął za tobą. – Odsunął stojący na drodze jego dłoni warkocz.

– Nie – wydyszała.

Merik usłuchał, choć wcale nie chciał, jak mu Noden miły. A wtedy Safi poruszyła się pod jego ręką i przygięła ku niemu, nagle jej usta zetknęły się z jego... nie, dotknęły jego ciała kawałek nad nimi. Pauza. Oczekiwanie. Jakby coś wykonało ruch za nią, a ona musiała mierzyć się z konsekwencjami. Oddech kłębił się w płucach Merika, jego myśli pędziły na złamanie karku. Te kilka cali dzielących ich ciała mogłoby równie dobrze być milami, odstęp między ustami był jak wzburzona rzeka, której nijak nie da się przebyć. Oddech Safi owiewał mu policzki. A może to wiatr? A może jego własny oddech? Nie wiedział, nic już nie wiedział. Mógł tylko wpatrywać się w jej oczy, skrzące się jakąś nienazwaną emocją, widział je teraz z tak bliska.

Przesunęła się wzrokiem w dół i zmarszczyła brwi, jakby nie satysfakcjonowało jej samo patrzenie. I wtedy uniosła dłonie i wsparła je na jego biodrach. I zacisnęła palce. A jego magia zapłonęła żywym ogniem.

Wiatr buchnął od dołu, burząc jej włosy, rzucając na skałę; Merik przypadł do niej, przycisnął ciałem do kamiennej ściany, a potem, wśród ryku wiatru i nieopisanego gorąca, pocałował ją. Odezwał się w nim wstrzymywany dotychczas głód, który szukał ujścia, i znalazł, bo Safi odwzajemniła pocałunek, przyjęła wszystko, co ze sobą niósł, zapamiętała się w nim. Wpiła palce w plecy Merika, otarła się o niego biodrami, zapraszając go, by zrównał się z nią w rytmie – dzika i swoją dzikością niezawstydzona. Merik dopiero w trakcie pojął, że jego zęby zaciskają się na jej ciele, że jego palce szarpiają jej włosy, że napiera na nią silnie i zdecydowanie, że pragnienie przemieniło go w nieodparty, rozszalały huragan. A jednak nie mógł się do niej dostać, choć jego usta miażdżyły jej, choć jej ręce wsunęły się pod jego płaszcz... i koszulę. Dopiero wtedy omyła go nowa fala gorąca, aż ugięły się pod nim kolana. Zbudził się nowy podmuch wiatru, który uderzył w górę. Merik podniósł Safi i posadził na skale, jego palce wczepiły się w węzeł koszuli, jego usta smakowały

wszystkich załomków jej ciała – jęknęła, gdy dotknęły ucha, zwinęła się szaleńczo, gdy wpiły się w jej szyję i przejechały po obojczyku...

Nagle ręce wdarły się między nich i odepchnęły go od niej.

Merik zachybotał się na nogach, nie rozumiejąc. Stał, kompletnie zagubiony, zdyszany i rozpalony. Piersi Safi unosiły się, gdy łapała tchu, oczy miała otwarte na pełną szerokość. Merik szukał w nich odpowiedzi, nie mógł pojąć, dlaczego ustał sztorm ich zespolenia, burza ich namiętności. Czyżby w którymś momencie przesadził?

– Słyszysz to? – wydusiła wreszcie.

Merik pokręcił głową, wciąż zdezorientowany, a gdy uspokoił oddech, usłyszał. Jego uszu dobiegł bijący od morza rytm. Bęben.

Bęben Jany.

Ułamek sekundy później pędził już szlakiem z powrotem do obozowiska, a Safi zaraz za nim. Tratowali żwir i zarośla, rozgarniali krzaki i grodzące im drogę gałęzie drzew. Merik nie czuł, jak smagają mu ciało. Dźwięk bębna przybierał na mocy. Lada moment Jana znajdzie się w zasięgu ich wzroku, a Merik musiał wiedzieć dlaczego. Musiał zobaczyć, jak daleko okręt jest od brzegu. Gdyby tylko go widział, mógłby polecieć do swojej załogi.

Ręka Safi spadła na jego ramię, wryła go w ziemię.

– Tam – powiedziała dziewczyna, wskazując na południe, gdzie szare chmury zlewały się z szarymi falami.

Luneta zmaterializowała się w jego rękach, zlustrował z jej pomocą morze... Nagle pochwycił migoczące światła. Z początku myślał, że to gromy, ale nie – z popielatej nicości wyłonił się nubreveński okręt. Jana, jej zapalone latarnie i lustra rzucające światło na fale, jej rozdęte podmuchem Kullena żagle.

Bęben grzmiał nieprzerwanie, o wiele za wyraźnie, zważywszy na odległość. Rybera musiała skierować go przodem do brzegu, do Merika, i bić weń magiczną pałką.

Wołał go Kullen.

Merik zaczerpnął głęboko tchu i zebrał swoje wichry. Energia przepęzła po jego skórze, podpaliła go jak żagiew.

– Odsuń się – ostrzegł Safi. Będzie musiał idealnie wymierzyć podmuch, trafić dokładnie w ten drobny punkt pośród fal, by jego załoga wiedziała, gdzie się znajduje.

Odgiął ręce do tyłu... A potem wypuścił powietrze i potwornie silny wiatr wystrzelił naprzód, pomknął ponad falami ku okrętowi.

Merik czekał. Czekał i patrzył z Safi u boku. Był jej wdzięczny za to, że przy nim jest. Jej wyprostowana postawa i nieustraszone spojrzenie uwolniły go od zbędnych myśli. Powstrzymały przed skokiem na pokład, prosto do swojego więziobrata.

Bęben ucichł, a Merik przygotował się na wieści, które zaraz powinien przesłać mu Kullen... A gdy wreszcie rozszyfrował w głowie kombinację uderzeń i pauz, zacisnął szczęki i poczuł narastający gniew.

– Co się stało? – spytała Safi, zaciskając palce na jego ramieniu.

– Nadchodzi krwiodziej – syknął.

Zacisnęła palce jeszcze mocniej.

– Wracamy do Daru Nodena...

– Tylko że zachodzi nas od tyłu. A Marstokczycy płyną do Lejny, są więc przed nami.

Dopiero gdy powiedział to na głos, jego złość przybrała materialną formę: rzuciło nim na bok, machinalnie zrobił dwa kroki w las. Musiał zapanować nad gniewem. To nie na Safi się wściekał, tylko na po trzykroć przeklęty los, który uparł się, by pomieszać mu szyki. Jakim cudem Marstokczycy wiedzieli, dokąd udaje się Merik?

– Polecę na Janę – zdołał powiedzieć. – Ty, Iseult i Evrane jedźcie na wschód, do Lejny. Co koń wyskoczy.

– A może przeniesiesz nas na Janę i popłyniemy do Lejny?

– Nie, bo Marstokczycy dotrą tam pierwsi, a Kullen nie ma dość sił, by z nimi walczyć. W ogóle nie powinien żeglować. – Merik powiódł wystraszonym spojrzeniem ku niesionej przez fale Janie. Przeklęty głupiec z tego jego więziobrata.

– Muszę z Kullenem dogonić Marstokczyków – dodał po pauzie – i przynajmniej ich spowolnić, rozproszyć, a wtedy może uda się wam dotrzeć do miasta lądem. Jedź do siódmego doku, a potem uciekaj stamtąd gdzie pieprz rośnie.

– Jak nas potem znajdziecie?

– Dzięki kamieniowi ostrzegawczemu. Evrane umie go aktywować. Dostrzegę go z morza. – W dwa kroki był przy niej. – Jedź na wschód, wkrótce cię odnajdę.

Safi pokręciła głową.

– Nie podoba mi się to.
– Nie spieraj się, proszę – powiedział. – To dobry plan...
– Nie o to mi chodzi – ucięła. – Po prostu... mam wrażenie, że widzimy się po raz ostatni.

Trafiła go prosto w serce. Przez kilka sekund nie mógł wykrztusić słowa. A potem ujął delikatnie jej twarz w obie dłonie i pocałował ją. Miętko. Krótko. Po prostu.

Pierwsza odjęła usta i zagryzła wargi, sięgając rękami do jego koszuli i wygładzając ją.

– Wiesz, kłamałam tam, na plaży. Wcale nie jesteś ostatnią osobą na liście.

– Nie jestem?

– Nie jesteś. – Uśmiechnęła się, szelmowsko błyskając zębami. – Jesteś przedostatni. No, może trzeci od końca.

Śmiech wzbudził się w jego brzuchu i podszedł do gardła, lecz zanim książkę zdobył się na jakąś celną ripostę, Safi odsunęła się i pożegnała.

– Bezpiecznych przystani, Meriku.

– Bezpiecznych przystani – odpowiedział, idąc ku krawędzi klifu, którą następnie przestąpił i wzleciał w niebo.

* * *

Safi nie obejrzała się za siebie. Pośpiech gnał ją naprzód, podobnie jak niezatarte wspomnienie krwiodzieja. Sposobu, w jaki ją unieruchomił, i czerwonego błysku w jego oczach... Na samą myśl zjeżyły jej się włosy i obleciał ją strach.

Kluczyła przez las coraz szybciej, aż zaczęła biec, a potem puściła się pędem. Paprocie biły ją po nogach. Pomyśleć, że dopiero co szła za Merikiem tą właśnie ścieżką.

Wychynęła z gęstwiny. I stanęła, widząc, że obóz jest zwinięty, a konie osiodłane. Evrane mocowała posłania do troków, a Iseult poprawiała popręg. Wierzchowce zarzuciły głowami, nie mogąc się doczekać, aż ruszą, choć przecież przebyły wczoraj daleką drogę.

Gałązka złamała się pod jej butem. Iseult spojrzała w jej stronę.

– Więc to tak... – wydyszała Safi. – Jedzicie beze mnie...

– Usłyszałyśmy bęben – wyjaśniła Iseult, dzwoniąc sprzączkami uprzęży. – Evrane objaśniła mi treść wiadomości.

– Ale gdzie Merik? – spytała mniszka, odwracając się od juków. Pas z nożami ułożyła ukośnie na piersi, płaszcz trzymała przewieszony przez ramię.

– Poleciał na Janę. Goni za Marstokczykami.

– Czyli nie jedziemy na północ? – Zmarszczyła się więziodziejka. – Nie uciekamy?

Safi zaprzeczyła ruchem głowy i podeszła do ogniska.

– Jeśli się pospieszymy, dotrzemy do Lejny łądem przed Marstokczykami. – Butem zasypała tłący się jeszcze ogień. – A dopiero potem ruszymy na północ.

– Na koń – zaordynowała Evrane.

– Safi, możesz jechać ze mną... – zaoferowała Iseult.

– Nie – weszła jej w słowo uzdrowicielka. – Safi weźmie mojego wierzchowca. – Włożyła płaszcz i mechanicznym ruchem zapięła sprzączkę. – A ja poczekam tu na Aeduana.

Zaległa cisza.

– Proszę – przerwała ją Iseult – nie rób tego, siostrze Evrane.

– Nie dogoni nas – argumentowała Safi. – Przepędzimy go...

– Nie uda nam się. – Evrane ucięła dyskusję podniesionym głosem. – Aeduan potrafi przemieszczać się tak szybko jak nawykły do cwału koń, a poza tym wyczuje cię, gdziekolwiek byś się nie skryła. Ale ja mogę znaleźć w okolicy jakiś sprzyjający obronie punkt i zrobić, co w mojej mocy, by spowolnić krwiodzieja.

– Spowolnić? – zapytała Iseult. – Nie zatrzymać?

– Aeduana nie sposób zatrzymać, ale można próbować się z nim dogadać. A jeśli próba spali na panewce... – Poklepała dwa noże, które jeszcze jej zostały. – No cóż, nie noszę ich dla ozdoby.

– On cię zabije! – Nie ustępowała Safi. Czuła oddech mnicha na karku, ale przecież nie mogła pozwolić Evrane na coś tak głupiego. – Proszę, Evrane, zrób, jak kazał Merik, jedź z nami.

Twarz Evrane była spokojna jak tafla jeziora w bezwietrzny dzień, ale gdy mniszka otworzyła usta, jej ton nie pozostawiał wątpliwości, że spokój jest tylko powierzchowny. Brzmiało w nim zniecierpliwienie, a nawet groźba.

– Merik zapomniał, że jestem wytrenowaną w walce wododziejką. Stanę przeciw Aeduanowi sama, a wy dwie pojedziecie do Lejny. A teraz na

koń. Trzeci raz nie powtórzę.

Podąła Safi rękę, choć ta nie potrzebowała wsparcia, by wsiąść na konia. Gdy pomogła również Iseult, wyjęła z troków kamień ostrzegawczy. Lśnił na szaro, jak niebo zaraz przed świtem, a gdy wymówiła: „Uwaga!”, zapalił się na niebiesko.

– Teraz Merik będzie mógł was znaleźć. – Podąła kwarc prawdopodobnie. – Miej go na sobie, gdy droga będzie was wiodła przy brzegu morza.

Safi wlepiła wzrok w Evrane. Jej srebrne włosy powiewały na wietrze, majaczył w nich szafirowy blask kamienia. Dziewczyna wyciągnęła rękę i przyjęła klejnot. Uzdrowicielka skinęła jej głową, a potem odpięła pas z mieczem.

– Iseult, weź kordelas Merika. Jest przy siodle. Safi, to dla ciebie – powiedziała, kładąc jej ostrze na udach. – Caraweńska stal, mówią, najlepsza.

Safi przełknęła ślinę. Ten drobny żart przypomniawszy jej trudną do zniesienia prawdę o tym, ilu ludzi ryzykuje życiem, by umożliwić Safi dotarcie do Lejny i tym samym sfinalizować zawarty przez Merika kontrakt.

Przyrzekła sobie, że ich nie zawiedzie.

– Iseult – wyrzekła, dobywając słowa z samego rdzenia swojego jestestwa, z samego serca swej czarodziejskiej mocy. – Jedziemy do Lejny. Nie zatrzymamy się po drodze. Nawet nie zwolnimy.

Safi spojrzała na Iseult. W blasku klejnotu jej piwne oczy zdawały się zielone i prawdopodobnie dostrzegła w nich nieugiętą determinację. Widziała już przyjaciółkę w tym stanie. Wiedziała, że czerpie moc z własnego postanowienia. Iseult uniosła głowę i powiedziała:

– Prowadź, Safi. Wiesz, że gdy tylko się obejrzysz, znajdziesz mnie u swego boku.

Na dźwięk tych słów uśmiech wykwitł na twarzy Evrane.

– Nie macie pojęcia, od jak dawna chciałam to od was usłyszeć. Zobaczyć was konno, żywe i zdecydowane. – Posłała im tajemnicze spojrzenie. – Wiem, że moje słowa nic dla was nie znaczą, ale wkrótce przekonacie się o ich sensie. Posłuchajcie mnie. Po moim starciu z Aeduanem, kiedy już uświadomię mu, po czyjej stronie się opowiada, odnajdę was obie w Lejnie. Dziękuję... – Głos się jej załamał, wstrząsnął

nią śmiech. – Dziękuję wam, że przywróciłyście mi nadzieję. Upłynęły setki lat, ale teraz właśnie spełnia się proroctwo z Lamentu Eridysi. Odnalazłam parę Cahr Awenów, wy dwie obudziłyście Prastudnię. Teraz więc, tak jak przyrzekłam, będę was chronić do utraty tchu.

Skłoniła się z szacunkiem, a prawdopodobiejska magia Safi zaśpiewała, rozpoznając całkowitą szczerłość tego gestu.

A potem Evrane Nihar odwróciła się i ruszyła przed siebie, niknąc w gąszczu.

– Księżycowa Matko, miej nas w opiece – wyszeptała Iseult. – Co... co to było?

Safi spojrzała na towarzyszkę, która nałożyła niewzruszoną maskę więziodziejki, choć nie udało jej się zapanować nad językiem.

– Nie wiem, Is. Czy jej się wydaje, że my jesteśmy...

– ...Cahr Awenami? – dokończyła przyjaciółka, gdy słowa Safi zawisły w powietrzu. – Wydaje mi się... że tak to mamy rozumieć.

– Bogowie, dość niespodzianek jak na jeden dzień. A dopiero się zaczął.

Safi okręciła konia łbem do wstającego słońca i popędziła do kłusu. Z radością zobaczyła, że oba wierzchowce ochoczo skoczyły naprzód. Konie były gotowe do drogi, Iseult podążała tuż obok, a ona musiała doprowadzić sprawę do końca.

Wbiła pięty w bok klaczy i koń zerwał się do galopu. Z każdym uderzeniem kopyt zmniejszała się odległość do Stu Wysp, gdzie leżała Lejna, cel ich podróży.

ROZDZIAŁ 36

Merik wylądował na głównym pokładzie Jany. Wrzało tam jak w kotle. Okręt płynął na zachód, uciekając przed wyłaniającym się zza horyzontu wściekle pomarańczowym słońcem. Admirał zmrużył oczy i odszukał wzrokiem stojącego u steru Kullena. Jego więziobrat był przygarbiony i rzęził, niestrudzenie wypełniając żagle magicznym wiatrem. Admirał ruszył do niego, lawirując między uwijającymi się jak w ukropie marynarzami. Przez łomot bębna przedarł się grom.

Natychmiast opadła go świta.

– Admirale... – przywitała go Rybera. Merik uciszył ją machnięciem dłoni.

– Hermin – zwrócił się do drugiego oficera, próbując jednocześnie biec, mówić i oddychać. Jeśli on sam już był wykończony, to wyobrażał sobie, w jakim stanie jest Kullen. – Co się dzieje?

– Yoris natknął się przy Prastudni na nieprzytomnego księcia Leopolda – odrzekł starzec, człapiąc równolegle do niego. – Najwidoczniej krwiodziej zdradził go i zaatakował.

Admirał potknął się, ale zaraz odzyskał równowagę. Leopold też tu jest? A po cholere? Nieważne, później się nim zajmę.

– Admirale! – Nie ustępowała Rybera. – To ważne, sir!

– Nie teraz!

Merik pobiegł po schodach na mostek, gdzie buchnął w niego i zaszumiał w uszach kotłujący się magiczny wiatr. Błyskawicznie pokonał dystans dzielący go od uwieszonego na kole sterowym Kullena, głowiąc się, dlaczego Rybera pozwoliła jego więziobratu doprowadzić się do takiego stanu.

– Zatrzymać okręt! – zaryczał. – Przestań dmuchać! – Ucapił go za połe płaszcza i postawił do pionu. Kullen twarz miał poszarzałą, ale zza szkiełek wiatrokularów łyślały bystre, skupione oczy.

– Odmawiam... – chrapnął wiatrodziej. – Musimy dogonić...
Marstokczyków...

– I zrobimy to, ale nie możemy tak gnać...

– Właśnie to próbuję powiedzieć! – wcięła się krzykiem Rybera. –
Musimy gnać, bo krwiodziej już tu jest!

Merik zamarł ze wzrokiem zawieszonym na dziewczynie. Zakląty
wicher kłuł go w oczy i ryczał nad uchem. Admirał wystrzelił jak z procy
do relingu i zlustrował horyzont lunetą.

– Gdzie? – zapytał z sercem w gardle.

– Kawalek na wschód. – Rybera delikatnym gestem skierowała
przyrząd we właściwą stronę i Merik zobaczył rozmazany, biały kształt
pędzący przybrzeżnym traktem.

Admirał powiódł lunetą w prawo, aż... Tam. Dwie postacie, czarna
i biała, konno. Safi i Iseult jechały tą samą drogą, krwiodziejowi brakowało
do nich może ligi. Dopadnie je, zanim Merik zdąży dolecieć do brzegu.
Odjął lunetę od oka i zmusił się do głębokiego oddechu przez nos. Pachnie
deszczem – rzuciło mu się na myśl. Wypuścił powietrze przez zaciśnięte
szczęki. Nie pomogło.

– Jakim cudem – wycedził – ten potwór tak szybko się tu znalazł?

– Na wszystkie świętości – zaklął Hermin, śledząc białą smugę przez
własną lunetę. – Cóż za szybkość!

– Krwiodziej czerpie moc z samej Otchłani – powiedziała grobowym
głosem Rybera. A potem krzyknęła: – Kullen! – I odpadła od burty,
puszczając się biegiem do wiatrodzieja u steru.

Merik popędził za nią. Wspólnymi siłami oderwali jego dłoń od koła.
Admirał złapał przyjaciela pod ramię. Ten miał przepocone ubranie,
a skórę – o wiele za chłodną.

– Musisz przestać! – przewrzeszczał wiatr księżę. – Zatrzymaj wicher,
Kullenie!

– Jeśli to zrobię... – odrzekł przyjaciel z zaskakującą dobitnością – to
po kontrakcie.

– Twoje życie jest dla mnie ważniejsze od kontraktu – powiedział
Merik, lecz Kullenem wstrząsnął śmiech, szarpany i naznaczony rzeźeniem.
Mężczyzna uniósł rękę i wskazał na południe.

– Mam pomysł.

Merik podążył wzrokiem za jego palcem, ale zobaczył tylko ciemne niebo i iskrzące w nim błyskawice.

– Nie – powiedziała Rybera, a gdy Merik pojął, o co chodzi więziobratu, jego żołądek zrobił woltę.

– Nie – powtórzył za dziewczyną, obracając do siebie twarz przyjaciela. Włosy miał tak przylizane potem, że nie poruszały się na wietrze. – Nie ma takiej opcji, Kullenie.

– Kiedy to nasza jedyna opcja. Musimy sfinalizować umowę... inaczej Nubrevna...

– Ledwie stoisz na nogach!

– Nie muszę stać – odrzekł Kullen – gdy ujeżdżam sztorm.

Admirał potrząsnął głową rozgorączkowany. Poczował, że ogarnia go panika.

– Nie rób tego – błagała Rybera. – Nie rób tego, nie rób tego...

– Zapomniałeś, co się wydarzyło, kiedy ostatnim razem przywołałeś sztorm? – Merik poszukał wzrokiem wsparcia u Rybery, ale nie zauważyła jego spojrzenia. Płakała. A admirał zrozumiał, że się poddała. Wiedziała, że Kullen nie da się przekonać.

Jak mogła? Merik nie potrafił pojąć, jak mogła tak szybko dać za wygraną.

– Już niepotrzebny nam ten kontrakt – ciągnął. – Ziemia Niharów znów żyją, Kullenie. W Nubrevnie rośnie las! Jako twój admirał i twój książę zakazuję ci tego.

Kullen zwalczył atak kaszlu. Łapczywie zassał powietrze, powstały syk przywodził na myśl noże i płomień. Wiatrodziej się uśmiechnął. Szeroko i strasznie.

– A ja, jako twój więziobrat, nie dbam o twoje zakazy.

Nagle wybuchła magia i owionęło ich gorąco, a oczy Kullena drgnęły. Jego źrenice skurczyły się i znikły. Zerwał się wiatr, przetoczył na wskroś przez pokład, uderzył w Merika i Ryberę, niemal kładąc ich na deski.

Merik nie miał wyboru. Zerwał z siebie płaszcz i oddał Ryberze. Wicher chłostał ich po twarzach i piersiach. Dziewczyna ruszyła z płaszczem do zejściówki pod pokład, a książę posuwał się chwiejnym krokiem do steru. Gdy w końcu dotarł, zaniósł do Nodena płomienną modlitwę, lecz tym razem prosił o to, by Kullen i wszyscy na pokładzie przetrwali to, co nadchodziło.

Bo zrywał się sztorm, a on nie mógł zrobić nic, by go powstrzymać.

* * *

Safi nigdy nie jechała tak szybko. Po bokach jej klaczy spływał pot, a deresz Iseult toczył pianę z pyska. W każdej chwili któremuś mogła odpaść podkowa – o ile od razu nie złamałby nogi – ale póki tak się nie działo i póki zwierzęta dawały radę przemieszczać się z taką prędkością, Safi nie miała innego wyboru, jak tylko cwałować na złamanie karku.

Ich długie cienie pędziły wraz z nimi, dźwigająca się na niebo błada kula słońca opromieniała upstrzone nagimi, skalistymi wysepkami rozmaitego kształtu i rozmiaru wody zatoki tak przepastnej, że Safi nie mogła ogarnąć jej wzrokiem.

Sto Wysp.

Droga opadała w dół ostrym wirażem, zrównując się wreszcie z poziomem morza i biegnąc, jak wiedziała, w kierunku Lejny. Trawiasty odcinek, który minęły przed chwilą, okazał się tylko plamą pośród pustkowiec, gdzie znowu dopadła je martwa cisza. Safi spojrzała na bijący w niebo z uwiązanego u siodła kamienia ostrzegawczego słup światła. Dosłownie prosiły się o to, by krwiodziej je znalazł.

– Ktoś tu jest? – przekrzyczała tętent Safi. Końskie kopyta wzbijały kurzawę pyłu.

– Nie – odkrzyknęła Iseult, zmrużywszy oczy, by lepiej widzieć. – Jeszcze nie.

Safi mocniej ścisnęła wodze. Jej dłoń przysunęła się do rękojeści miecza. Byle do pomostu – powtórzyła w myślach. Tylko tyle musiała zrobić.

– Znak! – zawołała Iseult.

Utkwiła wzrok w oddali. Bogato niegdyś zdobiony znak wisiał teraz na szczycie żelaznej kolumny. To już czwarty, jaki minęły po drodze.

Lejna
1 liga

Jedna liga. To raptem parę minut. Pomimo łez, które wyciskały jej z oczu wiatr i pył, na przekór miażdżącemu jej serce prerażeniu i wbrew wiszącej nad nimi śmierci z ręki krwiodzieja Safi wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Ma u boku swoją więziosiostrę. Tylko to się liczyło, zawsze tylko to się liczyło.

Klacz wzięła zakręt, a za nim martwy las rozstał się, ukazując cel ich podróży.

Półksiężyc Lejny wtopiony był w łuk linii brzegowej, a pobudowane w równych rzędach eleganckie domy musiały kiedyś pysznić się kolorami, lecz teraz wypłowiła farba odłaziła od ścian płatami, dachy zapadły się, a mury nadkruszyły i spękały. W wodę wychodziły tylko trzy mola, reszta została zredukowana do sterczących tu i ówdzie spomiędzy fal drewnianych słupów i dech.

Safi ponagliła klacz do zwawszego pędu. Merik będzie miał swoją po trzykroć przekłętą umowę, choćby miała szczeznąć.

– Popatrz tam. – Ożywiła się Iseult. – Czy to nie Merik?

W nagłym przypływie nadziei Safi przemknęła oczami po tafli morza i zobaczyła nubreveński okręt wpływający w klin zatoki. Pędził tak szybko, że o mało nie połamał masztów, świt oblewał białe żagle pomarańczem.

A na pokładzie uwijali się żeglarze w zielonych mundurach.

Nadzieja prysła. Safi krzyknęła do Iseult, by zatrzymała konia, sama szarpiąc za wodze klaczy.

Wierzchowce stanęły, wyprzedziła je chmura pyłu. Czarodziejki podprowadziły konie do zrębu klifu i przyjrzały się okrętowi, osłaniając oczy dłońmi. Zwierzęta dyszały jak miechy, ale uszy wciąż miały postawione.

– To chyba okręt, który zostawiliśmy Marstokczykom – skonstatowała w końcu Safi. – Jednostka księżniczki Vivii.

– Na to by wskazywały uniformy. Co oznacza, że może przyjdzie nam mieć do czynienia z ogniodziejami.

Safi zaklęła wulgarnie i przesunęła dłonią po twarzy. Pył zaszurał pod palcami. Był wszędzie, w gardle, w oczach, musiał przedostać się uszami i nozdrzami do mózgu, a kurzawa oblepiała ją nowymi warstwami.

– Skąd tyle żołnierzy na jednym okręcie? Chyba nie posłali za mną całej armii?

Gdzieś na południu zagrzmiało, krótko, lecz głośno. Safi obróciła głowę... Z ust posypały jej się dalsze przekleństwa.

Parł w ich kierunku masyw czarnych chmur, a u wejścia do zatoki widniały kolejne okręty. Marstockie galeony czekały w rzędzie, jakby ich

celem była obrona Stu Wysp przed najeźdźcą.

Albo uniemożliwienie Janie przybicia do brzegu.

– Merik nie zdoła wpłynąć do portu. – Safi pogoniła klacz do kłusu. Ścieżka wcinała się w głąb łądu. Może strupieszwały las osłoni je od wiatru i skryje przed oczami marstockich żeglarzy.

– To ostatnia sprawa, o jaką powinnyśmy się martwić. – Wyrwała ją z zamyślenia Iseult. – Ten pierwszy okręt już prawie dokuje w Lejnie. To ewidentnie napaść... – Kolejny silny powiew zatkał jej usta. Safi również go poczuła.

Odwróciły głowy i natychmiast zakryły twarze dłońmi. Wicher targał ich ubraniami, unosił włosy, dzwonił końskimi uprzężami, poruszał suchymi konarami drzew. Jedyłą rzeczą, która nie poddała się woli wiatru, był snop światła z kamienia ostrzegawczego, który, doszła do wniosku Safi, najlepiej zaraz dezaktywować – inaczej lada moment zwali im się na głowy horda Marstockczyków.

– W którym z doków masz się stawić? – spytała Iseult, gdy prawdopodobnie odwiązywała kamień.

Dobre pytanie. Safi nie miała pojęcia, który z doków nosi numer siedem. Było zbyt wiele pustych stanowisk, by dało się policzyć.

– Chyba będę musiała sprawdzić wszystkie. – Poklepała klacz po wciąż ciemnej od potu szyi. Powiodła konia między martwe sosny. – Masz może w zanadrzu jakiś sprytny plan? Przydałby się.

– A wiesz, że mam? – odparła Iseult z namysłem. – Pamiętasz, jak zamieniłyśmy się ubraniami?

– Wtedy, gdy prawie nas zabiły tamte nienawidzące Nomatsanek draby?

– Właśnie! – Iseult zbliżyła konia do Safi, nie chcąc krzyknąć, by przypadkiem nie posłyszały jej planu jakieś ciekawskie uszy. Wiatr zasnuł jej twarz kosmykami włosów. – Pokazałyśmy tamtym facetom to, co chcieli zobaczyć, pamiętasz? Ale potem tą Nomatsanką, którą otoczyli, okazałaś się ty.

– To był jeden z twoich najlepszych numerów – pochwaliła przyjaciółkę Safi, sama odgarniając kosmyki z czoła.

– Czemu nie miałybyśmy teraz zastosować podobnej taktyki? Mogłybyśmy spróbować dotrzeć do Lejny przed okrętami, ale jeśli nam się nie uda...

– A na to się zanosi...

– ...to mogłybyśmy po prostu zostawić gdzieś konie, ukryć kamień ostrzegawczy i się rozdzielić. Ja będę przynętą, która zwabi ich do miasta, a ty pójdiesz prosto do doków. Jak już sprawdzisz wszystkie trzy, wrócisz po kamień. Odpalisz go, a ja cię znajdę.

– Nie ma mowy. – Safi obrzuciła Iseult pełnym niedowierzania spojrzeniem. – Tamten numer był najlepszy, ale ten zapowiada się o wiele gorzej. Niby dlaczego miałybyś tak ryzykować...

– Ale właśnie w tym rzecz, że to żadne ryzyko – weszła jej w słowo Iseult. – Rozejm stanowi, że nie można zabijać na obcej ziemi, zgadza się?

– Mówi też, że nie można przybijać tu do brzegu, ale najwyraźniej się tym nie przejmują.

– Właściwie to mówi, że nie wolno przybijać obcym jednostkom – skontrolowała więziodziejka. – A ich nie jest obca.

– O to właśnie mi chodzi! Na potęgę wykorzystują luki w postanowieniach Rozejmu. A jak znajdą jakiś sposób na obejście tego o zabijaniu? Przecież już wielokrotnie pokazali, że nic sobie nie robią z porozumienia i jego postanowień.

To, bogom dzięki, zamknęło Iseult usta, lecz gdy Safi uniosła wodze, by nimi strzepnąć, ręka przyjaciółki wystrzeliła w górę.

– Kamienie Więzi – powiedziała. – Jeśli znajdę się w niebezpieczeństwie, powie ci o tym kamień Więzi. Jeżeli zaczniesz świecić, przyjdiesz i mi pomożesz.

– Nie...

– A właśnie, że tak. – Uśmiech uniósł do góry kąciki ust Iseult. Wyjęła kamień i złapała go mocno. – Doskonale rozumiesz, że ten plan może się sprawdzić. Poza tym nie mamy żadnego innego. Za to szczęście, że Lejna to wymarłe miasto. W razie czego nie zrobimy krzywdy zbyt wielu ludziom.

– Jasne, jeśli już, to tylko sobie.

– Przestań się kłócić i zacznij rozbierać. – Węziodziejka zsunęła się z siodła i zaczęła rozpinać bluzę. – Nadchodzi burza, Saf, a wszystkie gromy zdają się celować w ciebie. Bądź lewą ręką i daj mi być prawą.

„Lewa ręka ufa prawej”, mawiał Mathew. „Lewa ręka nie patrzy wstecz, dopóki prawa nie pochwyci sakiewki”.

Iseult zawsze była lewą ręką, zawsze z pełnym zaufaniem powierzała dywersję Safi. Co oznaczało, że czas się odwdzińczyć.

Podmuch wibrującego ozonem powietrza przedarł się przez drzewa, owiał Safi, zawirował wokół niej... a potem zebrał się za jej plecami. Rzuciła przez ramię załzawionym okiem. Nad trupim lasem wzbierały smolście czarne burzowe chmury.

– Nie podoba mi się to – zawołała; inaczej Iseult by jej nie usłyszała. – Właściwie to mało powiedziane: nienawidzę tego planu i tej burzy. Dlaczego musimy wykonać go razem, czemu nie ja sama?

– Bo nie po to masz więziosiostrę, żeby wszystko robić sama – odkrzyknęła Iseult. – Zawsze będę u twego boku, Safi, a ty u mojego. Więź nie woda.

Te słowa obudziły w niej palącą potrzebę, by powiedzieć Iseult, jak bardzo jest jej wdzięczna, jak wielką darzy ją miłością, jak bardzo się boi i jak bardzo w nią wierzy, ale się powstrzymała. Zamiast tego uśmiechnęła się ponuro.

– Więź nie woda.

A potem wykonała polecenie więziosiostry: zsiadła z konia i zaczęła zdejmować ubranie.

* * *

Aeduan wyczuł krew swojej starej mentorki dobrą milę od Lejny. Jej woń źródlanej wody i solnych znaków na klifach rozpoznałby na końcu świata. Znał ją jak własną kieszeń. Zapach był niemożliwy do przegapienia, nieunikniony jak śmierć, chyba że krwiodziej postanowiłby zejść z obranej ścieżki, czego nie miał zamiaru robić, lub zabić kobietę na miejscu.

Czego również nie robi.

Niebo skąpane było we wczesnorannej poświacie, z którą kontrastowały wzbierające w oddali czarne, burzowe chmury. Dotarł do miejsca, gdzie trakt przeciskał się między skalnym nawisem a chłostanym przez fale klifem. I tam właśnie puścił swoją krew wolno, oddał ją z powrotem we władanie pulsowi i mięśni, zwrócił ciało, a potem zwolnił do truchtu i się zatrzymał.

Przed nim, nieruchomo jak statua, tkwiła siostra Evrane. Jedyne ruchy w obrębie jej zastygłej postaci wykonywały muskane gorącym wiatrem włosy i caraweński płaszcz. W pochwach na pasie przerzuconym ukośnie przez klatkę piersiową widniały tylko dwa noże. Miecza nie miała.

Starsza mniszka zupełnie się nie zmieniła, odkąd Aeduan opuścił klasztor dwa lata temu. Może była nieco bardziej opalona na twarzy.

I bardziej zmęczona – wyglądała, jakby nie spała od tygodnia czy nawet kilku tygodni. Włosy wciąż miała srebrne. Oblicze tak życzliwe i zatroskane, jak pamiętał.

Zapałał złością. Nie miała żadnego prawa się o niego troszczyć. Ani teraz, ani nigdy.

– Kopę lat – powiedziała z charakterystyczną dla siebie chrypą, którą dobrze znał. – Wyrosłeś.

Aeduan poczuł, że samoczynnie zaciskają mu się szczęki. Tik sprawił, że drgnęła mu powieka.

– Z drogi.

– Dobrze wiesz, że nie mogę, Aeduanie.

Dobył miecza, który wysunął się z pochwy z sykiem cichym jak szept, słyszalnym jednak mimo huku fal.

– Zabiję cię.

– Nie tak łatwo mnie zabić. – Evrane poruszyła nadgarstkiem, a w jej dłoni znalazło się groźnie wyglądające ostrze. Cofnęła stopę i znieruchomiła w pozycji obronnej. – Zapomniałeś, kto cię trenował.

– A ty zapomniałaś o mojej magii, mniszko Evrane. – Odpiął z uda nóż i zastygł w lustrzanym odbiciu jej pozy.

Poruszyła się, podrywając poły białego płaszcza. Ruch obliczony był na omamienie przeciwnika, Aeduan nie miał co do tego wątpliwości, dlatego też nie odejmował oczu od jej nadgarstka. W końcu to ona sama nauczyła go, że kluczem do zwycięstwa w walce na noże jest obserwacja ręki, która włada ostrzem.

Evrane zawirowała, skracając dystans. Krwiodziej przypadł do ziemi i ruszył mniszce na spotkanie.

Ale to nie z jej ostrzem się spotkał, tylko z nogą. Oberwał cholewą buta w bok szyi. A dopiero potem nożem w pierś. Nie zdążył zrobić uniku. Gdyby walczył z kimkolwiek innym, na pewno by zdążył, ale to była Evrane.

Z pomocą magii odskoczył do tyłu na dziesięć kroków i upewniwszy się, że tym razem go nie sięgnie, spojrział w dół.

Cięła go. Miał cztery płytkie rany na piersi, które jego magia zregenerowałyby samoczynnie, gdyby jej nie zabronił. Nie zamierzał jednak marnować energii na powierzchowne zadrapania.

– Wiesz, kim one są – powiedziała Evrane, idąc równym krokiem ku krwiodziejowi. – Przysięgłeś je chronić.

Aeduan nie spuszczał z niej oka.

– Dałaś wiarę plotkom. Mogę cię zapewnić, siostrze Evrane, one nie są Cahr Awenami. Jedynie eterystkami.

– Bez znaczenia. – Jej uśmiech był mieszanką uniesienia i groźby. – Musieliśmy źle zinterpretować Kroniki, niepotrzebny nam otchłaniarz. Widziałam na własne oczy, co one zrobiły, Aeduanie. Widziałam, jak obudziły Prastudnię Nubrevny...

Ruszył na nią, ale coś nie pozwoliło mu rzucić się z taką mocą, jak robił to zwykle. Nie odjął ostrza w ostatniej sekundzie, nie rzucił błyskawicznie serią noży. Zadał pchnięcie, ale zupełnie bez przekonania, a Evrane, tak jak przewidywał, obróciła się w lewo i sparowała bez wysiłku.

– Dziewczyny dopłynęły do serca źródła – wyrzekła, wyprowadzając cios ukośnie z dołu.

– Bzdura – parsknął, uchylając się i mierząc sztychem w tętnicę.

– Widziałam na własne oczy. Magia ożyła i zatrzęsa się ziemia. – Pchnęła go oboma nożami naraz, a gdy je odbił, kopnęła go w kolano czubkiem buta, w którym ukryte było ostrze.

Dziki ból zaćmił mu wzrok, jego krew zabuzowała w żyłach. Zdusił cisnący się z gardła wrzask i odskoczył na splątanych nogach, chcąc uniknąć ciosu kolejnej ukrytej klingi.

Próbowała go zmęczyć, zasypać drobnymi ranami, które odbiorą mu ochotę do walki. Ale sama już ledwo dyszała. Dwa lata temu trzymałaby się lepiej. Jest zmęczona, nie zdoła go powalić, nawet przypuszczając te swoje błyskawiczne ataki. Aeduan pokona ją i nawet się nie zmęczy.

– Zobaczyłaś to, co chciałaś zobaczyć. – Kolejny unik, kolejna parada. – Studnia nigdy nie pozwoliłaby im dopłynąć do źródła.

– A jednak! – Nie ustępowała. Zamarła w bezruchu z nożami uniesionymi do ciosu, mierząc przeciwnika rozrzewnionym spojrzeniem. – Te dziewczyny dotknęły samego źródła, a Studnia ożyła i uzdrowiła Iseult.

Iseult – pomyślał. Nomatsanka, której krew nie wydziela woni.

Nie może być jedną ze świętych Cahr Awenów. Aeduan nigdy nie da temu wiary. Była zbyt bezbarwna. Zbyt pusta.

A co do prawdopodobieństwa – jeśli faktycznie jest Cahr Awenem, to dostarczenie jej ojcu będzie równoznaczne ze złamaniem mnisich ślubów.

Na samą tę myśl każda żyła w jego ciele spłynęła ogniem. Nie zostanie pozbawiony wszystkich łask tylko dlatego, że mniszka Evrane jest naiwną, zdesperowaną, starą idiotką.

Zwinał się z potworną szybkością i cisnął nożem.

Evrane odbiła go w locie i wykorzystała moment, by odpowiedzieć tym samym.

Aeduan wygiął się jak wąż, złapał jej nóż i odrzucił z powrotem, ale Evrane mknęła już tanecznym, mamiącym wzrok krokiem na skalną półkę, chcąc wykorzystać ukształtowanie terenu na swoją korzyść. Znalazłszy się kilka stóp ponad krwiodziejem, dobyła długiego, podobnego do szpili sztyletu i spadła na przeciwnika jak pikujący jastrząb.

Aeduan dał nura naprzód, przetoczył się pod jej nogami i ułamek sekundy później stał już wyprostowany, a sztylet w jego ręce zataczał morderczy półokrąg... po czym zgrzytnął o sztylet uzdrowicielki, a ten ugrzązł w bloku krwiodzieja.

Ręka drgała jej ze zmęczenia – sztylet nie może równać się z mieczem. Aeduan, pojęła nagle Evrane, jest od niej silniejszy.

– Pamiętaj... – wycedziła – kim jesteś.

Stal krwiodzieja ześlizgnęła się po jej klindze do samego jelca. Jej łokieć lada moment omdleje. A Aeduan zatopi ostrze w jej szyi.

– Cahr Awenowie przybyli nam na ratunek, Aeduanie – syknęła. – Pamiętaj, coś im winien.

Sztylet wysunął się z klinczu, a klinga krwiodzieja pomknęła po łuku prosto w jej szyję.

Ale Aeduan wstrzymał miecz w ostatniej sekundzie. Po klindze pociekła krew. Evrane zassała powietrze, rozwarła szeroko oczy.

– Dość – rzekł krwiodziej. Odjął broń. Kropelki krwi bryznęły na trakt, pokryły twarz Evrane czerwoną konstelacją, wtopiły się brązową plamą w strój Aeduana.

Twarcz Evrane zapadła się; mniszka na jego oczach przemieniła się w starą, zmęczoną kobietę.

To więcej, niż mógł znieść. Bez słowa otarł miecz i włożył do pochwy, a później pognął drogą przed siebie.

Ale gdy pokonywał prowadzący w las zakręt – w tym samym momencie, w którym powietrze rozdarł grom – metal zagłębił się w jego plecy, zgrzytnął o żebra i wpił się w prawe płuco.

Od razu rozpoznał to uczucie. Caraweński nóż do rzucania. Ten sam, którym dopiero co cisnął w Evrane.

Zabolało. Krew wezbrała mu w gardle, zabulgotał jak tonący, nie mogąc normalnie oddychać. A jednak nie potrafił powstrzymać kwitnącego na czerwonych wargach uśmiechu. Wciąż miała ikrę. Przynajmniej pod tym względem się nie zmieniła.

ROZDZIAŁ 37

To był bez wątpienia najgłupszy pomysł, na jaki Iseult kiedykolwiek wpadła. Na Księżycową Matkę, lepiej, żeby Merik i kontrakt okazali się tego warci.

Osiemdziesiąt kroków – oszacowała więziodziejka, mierząc wzrokiem siedemnastu marynarzy pędzących w jej kierunku główną nadmorską aleją Lejny. Kolejnych dwunastu zbiegało z pierwszego pomostu, do którego cumował ich okręt. Kroki żeglarzy dudniły na deskach.

A to wszystko dlatego, że Marstokczycy dotarli do miasta dokładnie w tym momencie co Iseult i Safi. Żołnierze – wśród nich ogniodzieje albo i gorzej – zasuwali w jej stronę z budzącą słuszne obawy gracją i sprawnością.

Iseult była zupełnie nieruchoma. Nie drgnęła nawet. Stała na obrzeżu miasta. Ruszy się dopiero, gdy marynarze zbliżą się na dwadzieścia kroków. Ten dystans powinien wystarczyć, by utrzymała nad nimi przewagę, uciekając. Przynajmniej na tyle, żeby Safi zdołała dotrzeć do doku.

Iseult porządnie zlustrowała teren w czasie jazdy, ale większość planu ułożyła, zgadując. Mogła się mylić w różnych istotnych punktach, wiele z tego, co myślała, że wie o brukowanych uliczkach i zaułkach Lejny, mogło być nieprawdą, a jeśli któryś odstęp między szachownicami dachów nie był ulicą, zaś wielka łysina pośrodku miasta placem, to miała, mówiąc oględnie, przesrane.

W jej planie ziało wiele luk. Przykładowo biały kawał materiału, który wycięła z koszuli Safi, mógł zsunąć się z jej włosów na tym wietrze, zdradzając przed każdym, kto na nią spojrzy, jej nomatsańskie pochodzenie. Wytyczona zacienionymi alejami i stromymi schodami trasa pomiędzy rzędami budynków, którą miała zaraz pobiec ile sił w nogach, mogła zakończyć się ślepym zaułkiem bądź niemożliwym do przesadzenia murem.

Najbardziej boleśnie odczuła realizowany aktualnie punkt programu, to jest stanie na widoku z rozłożonymi rękami.

Sześćdziesiąt kroków. Widziała już zmrużone złowroźnie oczy marynarzy i błyski ich obnażonych kordelasów, purpurowe migotanie ich nici Więzy oznaczające gorliwość i zdecydowanie.

Nie zabiją cię – przypomniała sobie po raz setny. Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora.

Iseult wyczuła gdzieś za sobą płonące ciemnozieloną gotowością nici idącej ku miastu przez las przyjaciółki. Jeśli Safi jest gotowa, Iseult też będzie. Zadanie nie jest takie trudne: wystarczy, że je zacznie, a potem skończy. Bułka z masłem.

Trzydzieści kroków.

Ugięła nogi, gotując się do startu. Wzięła głęboki wdech.

Dwadzieścia kroków.

Pobiegła.

Pochłonęły ją cienie, ale w oddali lśniło popielate światło. Kamienie brukowe, sklepowe witryny, przecznice, rynsztoki, węgły...

Usłyszała za sobą kroki. Brzmiały wyraźnie pomimo miękkich marynarskich butów i huczącej blisko kanonady gromów. Pomimo dudnienia wiatrowych bębnow marstockiej floty.

Dobiegła do końca ulicy, skręciła ostro w kolejną, wyraźnie szerszą. Bogom dzięki, dokładnie na taką liczyła. Bruk prowadził ją ukosem pod górę do jakiegoś oddalonego miejsca, które może okaże się dziedzińcem.

Lepiej, żeby się okazało.

Wokoło ryczały pozbawione szyb okna i straszyły potrzaskane drzwi. Wiatr wciąż wiał jej w plecy, popychał naprzód. Rozpadało się, krople pryskały o kamienie, czyniły je zbyt śliskimi, by bieгло się dobrze. Część jej umysłu zaczęła rozważać, jak deszcz wpłynie na realizację jej planu, jak bardzo obniży jej zdolność obrony.

Gdy wpadła na dziedziniec, zobaczyła nadbiegającą przeciwległą ulicą drugą grupę marynarzy. A ona zastanawiała się, czy deszcz pokrzyżuje jej plany... Ci ścigający ją od pomostu musieli już być na tyle blisko, by odciąć jej drogę powrotu. Co teraz? Zapędzili ją w kozi róg. Jej plan wziął w łeb z istic koncertowym rozmachem.

Nie, tylko spokojnie. Nie może się poddać panice. Potrzebowała tylko chwili, w której nie czułaby na karku marstockich oddechów, żeby

wymyślić, co robić dalej.

Rzuciła się w lewo, zbyt raptownie. Poślizgnęła się na wilgotnych kamieniach, potoczyła naprzód... i złapała się drogowskazu. Straciła nieco bezcennego czasu, ale miała teraz za wiele na głowie, by po nim rozpaczać. Nabrała powietrza i zmusiła nogi do pędu. Ta alejka z pewnością przywiedzie ją z powrotem do głównej ulicy, a po drodze znajdzie się moment, by ułożyć ciąg dalszy. Iseult ze wszystkich sił skoncentrowała się na pojedynczych kamieniach na jej drodze i całą uwagę poświęciła temu, by biec. Myślała jeden krok i jeden oddech naprzód. Kwiat na tafli jeziora – myślała usilnie. Uda jej się, da radę. Wbiegła na kolejną szeroką ulicę rojącą się od Marstokczyków, którzy wylewali się z alei kawałek dalej.

Iseult skoczyła w lewo, prosto w wyłamane, wiszące na jednym zawiasie drzwi. Ramieniem wstrząsnął ból, nie chciała krzyknąć, więc zacisnęła zęby, ale przypadkiem przygryzła język, więc do głowy uderzyła jej nowa fala bólu. Poczowała smak krwi. Dokładnie takiego rozkojarzenia potrzebowała. Po bólu przyszedł spokój, który ostudził ją jak wiadro zimnej wody – akurat na tyle, by rozejrzała się wokoło i przeanalizowała możliwości, jakie zapewniało otoczenie. Zobaczyła sklep, a za kontuarem drzwi. Wskoczyła przez witrynę, szyba eksplodowała i rozsypała się w drobny mak, do pomieszczenia wtargnęła burza. A wraz z nią żołnierze.

Iseult dopadła drzwi i wybiegła nimi na zaplecze, a potem skręciła w prawo. Błyskało, wiał wiatr, ale prawie nie czuła go pośród zabudowań.

Minęła róg i okręciła się, słysząc osobliwy syk... A trujące strzałki wbiły się w ścianę w miejscu, w którym by się znalazła, gdyby nie zwolniła. Czyli w tym tyglu znalazło się miejsce i dla jadodziejów! Wspaniale, brakowało tylko Marstockich Żmijów.

Niespodziewanie zabudowania się skończyły. Wiatr targnął ubraniem Iseult, z góry spadło na nią światło. Znalazła się na jakimś skwerze. Szczęściem akurat na skwer liczyła. Na jego środku stała bardzo stara i bardzo brudna fontanna, na której szczycie zastygł w dumnej pozie osiadły na swym koralowym tronie posąg boga Nodena, z idealnie wyrzeźbionym brzuchem i ufryzowanymi lokami.

Iseult wskoczyła na śliski od alg i ptasich odchodów gzyms – łatwiej było się na nim obrócić twarzą do nadciągających Marstokczyków, nawet jeśli nie zapewniał stabilności.

Ulicami pełzł w jej stronę rój zmokniętych mundurów, a nad nimi powiewały pobłyskujące skupieniem nici. Rój składał się z żołnierzy różnego wzrostu, budowy i płci – od wysokich i barczystych po drobnych i smukłych.

Szum wiatru, zacinający deszcz i grzmoty ogłuszały ją, była przemoczona do suchej nitki, ale nie czuła wilgoci ani zimna.

Wtem na skwer wypadł pierwszy żołnierz... i niespodziewanie zwolnił. Jego kompani również stanęli, a gdzieś z szeregów dobył się kobiecy głos:

– To nie ta!

Ścisnęło ją w żołądku. Ręka podniosła się do głowy. Zgubiła chustę. Wszyscy widzieli jej czarne, oblepiające czaszkę włosy.

– Znaleźć prawdziwą domnę! – zaryczała kobieta. – Wracać na brzeg!

Lodowaty impuls podszedł jej do gardła, odciął dopływ powietrza. Ot tak sobie pójdą?

– Poczekajcie! – wrzasnęła, zeskakując z fontanny. Jeśli zdoła ich jeszcze trochę zająć, może zwiększy szanse Safi.

Pognała za opuszczającymi skwer żołdakami. Niektórzy przystanęli i na nią patrzyli.

Wolno, jak najwolniej, sięgnęła do pasa i wydobyła z pochwy kordelas.

I wtedy przeszło ją ciepło. Zawirowały porażone nici, wyprężyły się i rozszalały jak oblane ukropem. Niemal ugięły się pod nią kolana. A potem, w przestrzeni jednego oddechu, niezliczone nici po prostu pękły, zerwały się.

Rozszczepiły.

Najbliższy żołnierz stanął twarzą do niej. Między jego powiekami ziała ciemność. Jego skóra się gotowała. Zerwał z siebie rękawy, targnął rozcapierzonymi palcami za ciało, a za nim coraz więcej i więcej żołnierzy skupiało wzrok na Iseult.

Rozszczepiali się wszyscy na jej oczach.

ROZDZIAŁ 38

Safi obserwowała ulicę portową zza pnia zbielełej olchy, wpijając paznokcie w korę. Paląca potrzeba pomocy Iseult była wprost nie do wytrzymania.

Musiała jednak trzymać się planu – zmusiła się więc, by odczekać, aż wszyscy Marstokczycy pognają za przyjaciółką, i dopiero wtedy pobiegła do Lejny.

Nie spuszczała z oka podskakującego na falach okrętu w pierwszym doku. Na pokładzie kręcili się marynarze, ale zbyt zajęci oporządzeniem jednostki, by zwrócić uwagę na intruza. Mimo to Safi postanowiła na wszelki wypadek wyjąć miecz z pochwy.

Wodziła wzrokiem od drogi do pomostu. Czysto, ani żywej duszy. Któryś z tych doków nosi numer siódmy. Musi go znaleźć, żeby sfinalizować kontrakt. Choć szczerze mówiąc, wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że nie ma żadnego siódmego doku, a wuj Eron nigdy nie zamierzał się wywiązać ze swojej części umowy.

Tym gorzej dla niego, bo Safi zrobi wszystko, by wypełnić warunki kontraktu, choćby się waliło i paliło.

Gdy wyszła na brukowaną ulicę, kropla deszczu wielka jak migdał kapnęła jej na czoło. Safi łypnęła w niebo. I zaklęła wściekle. Sztorm już prawie zakrył Lejną smolistą pierzyną chmur, z całą pewnością nie był on dziełem natury. W życiu nie widziała tak ciemnych chmurzysk.

Co tu się dzieje?

Lunęło. Raptem przez molo przetoczyła się olbrzymia fala, obsmarowując bruk mułem.

To by było na tyle, jeśli chodzi o przekradnięcie się niepostrzeżenie cieniami. Przy takiej fali wszystkie mola za chwilę znajdą się pod wodą. Safi pobiegła i dopadła pierwszego pomostu, całego pokrytego algami. Zaskrzypiał potępieńczo, gdy na niego weszła, wycofała się więc, cały czas wpatrzona w przycumowaną na końcu rozkołysaną falami jednostkę,

gotowa biec do kolejnego mola. I zrobiłaby to, gdyby deski nie okazały się tak śliskie, fale tak wysokie, a wiatr porywisty. Czarodziejka była do tego stopnia skupiona na odnajdywaniu relatywnie bezpiecznego oparcia dla stóp i unikaniu natarczywych fal, że nie zauważyła przemykającej chyłkiem ciemnej postaci. Dopiero dotarłszy na bezpieczniejszą od przystani ulicę, zauważyła jednego z Marstockich Żmijów – kobietę. Stała jakieś trzydzieści kroków dalej, zagradzając jej drogę do kolejnego pomostu.

– Chodź ze mną – wyrzekła cienista postać – a nikomu nic się nie stanie!

Dziękuję, postoję – pomyślała, wyrywając miecz z pochwy. Kobieta nie miała przy sobie broni, a Safi owszem. Uniosła klingę w geście niepozostawiającym wątpliwości, że nigdzie ze żmiją nie pójdzie.

– To twoja ostatnia szansa, prawdziejko! Możesz albo przyłączyć się do Marstoku, albo zginąć jako jego wróg!

Safi nieomal parsknęła śmiechem. Mroczny, wściekły rechot wzbierał jej w gardle, oto bowiem nadszedł moment, na który czekała całe życie: jej własna magia uczyniła z niej poszukiwaną, a pierwszym żołnierzem, który ją odnalazł i chciał pojmać, była Marstocka Żmija. Przez te wszystkie lata spodziewała się, że będzie to piekielny bard, ale żmija też może być, czemu nie? Safi przybrała pozę bojową, gotowa do ataku. Błysnęło. Mrugnęła odruchowo, a gdy otworzyła oczy, targnął nią wicher. A kobieta, bo jakżeby inaczej, zdążyła dobrać niewidocznej dotąd broni – cepa bojowego o kuli wielkiej jak czaszka.

– Skąd ona to wyciągnęła? – mruknęła Safi pod nosem. – I czy ta kula jest nabita szpikulcami?

Odskoczyła w tył, choć wiatr prawie trzymał ją w miejscu. Nawiedziła ją myśl, czy aby caraweńska stał poradzi sobie z żelaznym łańcuchem. Gdy kolczasta masa żelaza pomknęła w jej stronę, doszła do wniosku, że nie.

Safi rzuciła się w bok, a kula i łańcuch śmignęły jej nad głową. Jeden szpikuliec zahaczył o łuk brwiowy i jej twarz momentalnie zalała krew. Natychmiast stanęły jej przed oczami słowa kontraktu:

Wszelkie ustalenia zawarte na str. 2 niniejszego kontraktu uznaje się za niebyłe, jeśli Merik Nihar nie dostarczy pasażerki do Lejny, upuści jej krwi lub zezwoli na jej zgon.

Naraz na jej twarzy wylądował but napastniczki i nie było już czasu na myślenie. Safi uderzyła ją w nogę łokciem i kobieta się zachwiała. Ale kula cepa nie zamierzała zwolnić. Prawdopodobnie cięła łańcuch mieczem, chcąc wykorzystać jej pęd, aby owinąć broń wokół klingi, a potem rozbroić zmiję mocnym szarpnięciem... Tymczasem żelazo rozmyło się i przeniknęło przez brzeszczot, po czym skonsolidowało się po drugiej jego stronie.

Safi otarła z oczu wodę i krew, myśląc, że się jej przywidziało, ale nie – kobieta jakimś sposobem wydłużała właśnie łańcuch i na jej oczach zwiększała masę kuli oraz liczbę szpikulców.

O cholera – żelazodziejka. O jasna, pieprzona cholera. Bardzo, ale to bardzo Safi nie doceniła przeciwniczki. Nie pokona jej sama. Caraweńska stała też była żelazem, a więc musiałaby odrzucić miecz i jakimś cudem minąć wojowniczkę, a potem pędzić do mola, jakby goniła ją sama Otchłań.

I dokładnie to zrobiła. Wyrzuciła miecz – przepraszając w myślach Evrane – a gdy kobieta zamachnęła się cepem, chcąc zdruzgotać Safi kość udową, wyskoczyła, jak umiała najwyżej. Ale nie dość wysoko. Jak w zwolnionym tempie widziała kolczastą bryłę metalu pędzącą na spotkanie jej kostek.

Zadziałał instynkt. Safi odruchowo okręciła się w powietrzu i kopnęła wojowniczkę w krtań, aż chrupnęło.

Nie miała okazji przyjrzeć się swojemu dziełu. Naładowany magią wiatr eksplodował za jej plecami i w następnej chwili frunęła w powietrzu ponad zmiją, niesiona szaleńczą wichurą splatającą się w potężne tornado. Raptem spostrzegła mknącą w jej stronę ulicę, o wiele za szybko jak na jej gust, po czym zwała się ciężko na bruk. Całe jej ciało przeszył przenikliwy ból.

Rozpadało się na dobre. Błyskawice kreśliły czarne niebo, hucząc i grzmiąc, aż dzwoniło w uszach. Wiatr, choć wydawało się to niemożliwe, wciąż przybierał na sile.

Safi podniosła się z trudem, próbując mruganiem pozbyć się z oczu wody i krwi. Musiała zagryźć zęby, żeby nie jęknąć z bólu. A potem powlokła się naprzód ku drugiemu pomostowi. Tak jak poprzednio na cztery kroki zapuściła się na drewnianą kładkę, by zaraz wrócić na ulicę.

Gdzie czekała już na nią zmija.

Zrobiła więc jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy: uniosła pojednawczo ręce i wypaliła z głupia frant:

– Poddaję się!

Ale żelazodziejka ani myślała opuścić kiścienia.

– Daj się skuć, prawdodziejko, to ci uwierzę! – wycharczała.

– Prawdodziejko? – krzyknęła Safi i wzruszyła niewinnie ramionami. – Chyba masz złą dziewczynę! – Nieprawda, odezwała się jej magia. – Jestem zwykłą domną, i to wcale nie z takiej dobrej rodziny.

– Nie wykiwasz mnie! – ryknęła kobieta. Jej ubrania łopotały na wietrze, chusta odwinęła się jej z szyi i powiewała jak piracka flaga na maszcie.

Coś przykuło wzrok Safi do czarnego materiału... Nie mogła wyrzucić z głowy wrzasku jej magii: „Źle, źle, źle! – powtarzała w kółko. – Nieprawda, nieprawda, nieprawda!”. Skąd taka histeria w reakcji na zwykłe kłamstwo?

I wtedy zrozumiała. Wtedy poznała, co się dzieje.

Rozszczepienie.

A gdy tylko to słowo pojawiło jej się w głowie, niebiosa się rozpekły. Buchnęła z nich fala gorąca i potok światła, odbierając Safi wzrok i słuch.

Straciła władzę nad swoimi kolanami, zatoczyła się naprzód, wyciągając po omacku ręce i próbując znaleźć w przestrzeni jakiś punkt zaczepienia, który podpowiedziałyby jej, gdzie i w jakiej płaszczyźnie się znajduje. Z oślepiającej jasności wydobył się rozmazany obraz. Gdy się wyostrzył, Safi rozpoznała klęczącą na kamieniach kobietę, wpatrującą się z przerażeniem w swoje ręce. Safi zmrużyła oczy i zobaczyła, że kobieta oderwała sobie rękawy.

Czy to ona rozszczepiała magię?

Safi zebrała siły i usiadła, zmagając się z silnym wiatrem i dusząc się w przesyconym ozonem, wrzącym po wybuchu powietrzem. Chciała dopełznąć do kobiety, żeby zobaczyć, czy jej skóra czernieje...

Zauważyła, że nie ma już chusty. Musiał porwać ją wicher. Czarne włosy rozsypały się na wietrze, okalając smagłą, piękną twarz o ostrych rysach. Znajomą twarz.

Safi pojęła, że patrzy na imperatorową Marstoku.

* * *

Wiatrodziejski sztorm zakłócał działanie magii Aeduana, uniemożliwiając mu zwężenie krwi Safiyi. A może to nie wina burzy? Może dziewczyna też korzysta z salamandrowych włókien? Tak czy inaczej, magia na nic mu się

nie przyda, musi ją dezaktywować i podążyć za pędzącymi przez Lejnę Marstokczykami, żywiąc przy tym nadzieję, że zaprowadzą go do Safiyi. Gdy się zorientował, że żeglarze gromadzą się na dziedzińcu, wskoczył na dach, by lepiej widzieć, a tym samym dopaść dziewczynę jako pierwszy.

Ale gdy dotarł na plac, zobaczył, że marynarze zawracają biegiem na wybrzeże... a obok statui Nodena stoi owa Nomatsanka o bezwonnej krwi. Nabrała ich wszystkich. Połknęli haczyk, spławik i wędkę.

Aeduan zaklął, rozpościerając magię w nadziei, że może tym razem uda mu się wychwycić woń prawdopodobiejki. Nomatsankę dopadnie później. Wtem jego nozdrzy dobiegł znajomy zapach: czarne rany i zła śmierć. Ból i brud, i wieczny głód.

Rozszczepianie.

Zaskoczenie rozproszyło go, sprawiło, że przestał się koncentrować na magii. Obrzydzenie na widok drących ubrania Marstokczyków odciągnęło jego uwagę od zapachu krwi. Musiał patrzeć na wrzący pod ich skórą czarny olej i na Nomatsankę, która przybrała pozycję bojową, najwyraźniej zamierzając walczyć z wszystkimi żołnierzami naraz.

Aeduan wiedział, że powinien czym prędzej odejść, że powinien natychmiast stąd zniknąć. Ale nie zrobił tego: czekał i patrzył. Aż podjął decyzję.

Jego usta ułożyły się w szyderczy uśmiezek. To wszystko robota Lalkarki. Czarodziej potrafił już poznać ją po owocach. Musiała wiedzieć, gdzie jest prawdopodobiejka, a teraz próbowała pomóc Aeduanowi na swój chory, pokręcony sposób.

Co oznaczało, że jeśli Iseult tutaj umrze, winą za to zostanie obarczony nie kto inny, a właśnie Aeduan. Będzie to dokładne przeciwieństwo spłaty długu życia.

Krwiodziej podbiegł do skraju dachu i zeskoczył. Przeleciał trzy piętra w kierunku fontanny. Powietrze świszczą mu w uszach. Wylądował na prawej nodze, przetoczył się, by zamortyzować upadek, i ledwo wyhamował przed więziodziejką, która już zamierzała się na niego kordelasem. Schylił się w uniku, stał rozcięta powietrze.

– Nie! – zdążył zawołać, nim dobył własnej broni i zaatakował najbliższego rozszczepieńca, żmija o zsuniętym na plecy kapturze i oleistej, niby rojącej się od owadów skórze. Żołnierz kłapał szczęką, szukając czegoś, co dałoby się pożreć.

Aeduan przeszył jego ramię brzeszczotem... a potem wyrwał. Wrzący jad zbryzgał niegroźnie płaszcz czarodzieja, ale jedna zbłąkana kropla wylądowała na jego odkrytej twarzy i wżarła się w policzek. A więc to prawda, w ich żyłach płynie trucizna.

Nie miał czasu, by się dziwować – rozszczepiony już człapał w jego stronę. Występujący na ciału kwas przeżerał się przez uniform, odsłaniając klatkę piersiową i ramiona, gotowy wystrzelić z rosnących w oczach wrzodów i karbunkułów.

– Głowa! – zawołała dziewczyna, biorąc zamach ostrzem. Stał wrażliwa się w ciało, strzaskała kości i rozerwała mięśnie. Głowa zmija wystrzeliła w powietrze, jego korpus zadygotał konwulsyjnie. Kwas z rany trysnął na jej ubranie, które natychmiast zaczęło skwierczeć i dymić. Więziodziejka odchyliła się do tyłu i kopnęła zdekapitowanego trupa, a ten plasnął o bruk.

Wpiła się wzrokiem w swoje rękawy, jakby zaskoczona wyzartymi przez kwas dziurami. Głupia – skwitował w myślach Aeduan. Czy nie wie, jakie właściwości ma kwas? Na własne życzenie wplątała się w walkę z rozszczepionymi. Miał tego jednak powiedzieć:

– Schowaj się za mną.

Rzucił się na czterech kolejnych Marstokczyków i zabrał do roboty. Ruszyli na Aeduana... a głupia więziodziejka natychmiast wyskoczyła z niego, mierząc kordelasem w szyję najbliższego zmija. Spudłowała – rozszczepiony odskoczył z nienaturalną prędkością. Wiatrodziej, rozpoznał Aeduan, samemu zadając cios, przed którym mężczyzna również się uchylił. Czarne krople kapały na ulicę.

Nie wiadomo skąd buchnął wiatr, Aeduan zatoczył się w kierunku fontanny. Więziodziejka też, choć stała na nogach nieco pewniej. Powietrze rozdarł ogłuszający trzask. Mnich odwrócił się i zdążył tylko zobaczyć rozpękającą się fontannę, nim Nomatsanka wpiła pięść w jego płaszcz i szarpnęła z mocą. Starożytna fontanna wybuchła, bryzgając wodą i rozsyłając wokoło odpryski przedwiecznego kamienia. Ale Aeduan i dziewczyna imieniem Iseult już tego nie widzieli, rzucili się bowiem w pierwszą lepszą aleję, byle tylko jak najprędzej oddalić się od skweru. Jeden z Marstokczyków musiał trudnić się pływodziejstwem, a skoro miał pod ręką źródło wody, którą potrafił manipulować, walka z Aeduanem nie stanowiłaby dla niego wyzwania.

Magiczny wiatr ciął krwiodzieja w plecy, ostro i boleśnie, jakby chciał go oskórować. Ale płaszcz Aeduana wcale nieźle go przed nim chronił.

Czarodziej zwiększył tempo, popchnął Iseult naprzód.

– W prawo! – ryknął. Tym razem usłuchała.

Lunał deszcz, rozpędzone krople raniły skórę jak kamyki, co tylko przysporzyło mocy pływodziejowi. Ulicami poniosło się krwiożercze skrzeczenie, najpierw z kilku gardeł, potem z kilkudziesięciu.

– W lewo! – szczechnął Aeduan na kolejnym ciemnym skrzyżowaniu. Pojęcia nie miał, dokąd biegać, ale wiedział, że powinni maksymalnie zwiększyć dystans między sobą a rozszczępionymi. Zdoła ukryć gdzieś Nomatsankę, nim się wszystko nie uspokoi.

Tak, Aeduan spłaci dług życia, jaki zaciągnął u Iseult, a potem na zawsze wyrzuci ją z głowy. Nie była żadnym Cahr Awenem, więc jej los to nie jego sprawa.

Krwiodziej wyłapał wzrokiem wnękę z drzwiami na końcu alei. Uczepiły się framugi jednym tylko sfatygowanym zawiasem.

– Naprzód! – chrapnął. – Do środka!

Więziodziejka zwolniła, łypnęła na niego przez ramię rozwartymi szeroko oczami.

– Rób, co mówię! – Złapał ją mocno za ramię i wypełnił swoją krew magiczną energią. Dwukrotnie zwiększył prędkość, aleja zamazała się w pędzie, dziewczyna krzyknęła. Nie biegła tak szybko jak on, ale nie mógł użyć jej więcej magii.

Dopadli drzwi. Wepchnął ją do środka i pociągnął za sobą na tyły, do kuchni. Z trudem łapali powietrze, dysząc niemal tak głośno, jak wył wiatr i zacinał deszcz.

Spizarnia. Zobaczył w kącie sięgający powały kredens, stojący niebezpiecznie blisko wybitego okna... ale innej kryjówki nie znalazł. Pchnął ku niej dziewczynę.

– Wejdz do środka.

– Nie. – Okręciła się przodem do niego. – Co ty chcesz zrobić?

– Spłacić dług życia. Oszczędziłaś mnie, teraz ja oszczędzę ciebie. – Błyskawicznym ruchem zdjął z ramion salamandrowy płaszcz. – Owiń się tym. Nie zwęszaj cię. – Podał jej kapotę.

– Nie.

– Jesteś głucha czy głupia? Rozszczępieni zaraz tu będą. Zaufaj mi.

– Nie. – Oczy jej się szklily, lecz nie ze strachu: był w tej dziewczynie trudny do zrozumienia upór.

– Po prostu mi zaufaj – rzekł uprzejmiej, wyłęczając słuch i magię. Rozszczepieni będą tu lada chwila, a Nomatsanka stoi jak słup! A jeśli dalej tak będzie, jego dług pozostanie niespłacony.

Przywołał więc jedyne słowa, które mogły skłonić ją do posłuchania go:

– Mhe verujta – zaintonował. – Mhe verujta.

Uniosła brwi zdumiona.

– Skąd... skąd znasz te słowa?

– Z tego samego źródła co ty. A teraz wejdź do środka. – Popchnął ją w stronę kredensu, nieco za mocno, ale kończyła mu się cierpliwość i czuł już nadchodzących rozszczepieńców. Krwawe tajemnice i kłamstwa pokryte skorupą brudu.

Usłyszała. Weszła do środka, a z tej jej przedziwnej twarzy bystro wpatrywała się w Aeduana para piwnych oczu. Rzucił jej płaszcz. Złapała.

– Ile mam tu siedzieć? – spytała i zmierzyła go wzrokiem. – Ty... krwawisz.

Aeduan spojrział na brunatne plamy po starych ranach i na kilka czerwonych, po nowych, będących dziełem Evrane.

– To nic – mruknął, zamykając drzwi. Cień padł na jej twarz, lecz Aeduan nie domykał ich jeszcze. – Mój dług jest spłacony, więziodziejko. Jeśli nasze drogi jeszcze się kiedyś skrzyżują, zginiesz z mojej ręki.

– Nie zabijesz mnie – odszepnęła, gdy zatrząskiwał drzwi.

Aeduan zmusił się do milczenia. Nie zasługiwała na odpowiedź. Jeśli tak sądzi, proszę bardzo, żeby się tylko nie dziwiła.

Mnich zadarł nos i aktywował swoje krwiodziejstwo, a potem odjął rękę od kredensu i wypadł na deszcz, wiatr i śmierć.

* * *

Merik leciał do głębi przejęty zgrozą. Kullen prawie już dotarł do Lejny, pikował właśnie ku pierwszemu pomostowi. Tylko że coś było nie tak. Przyjaciel zdecydowanie za szybko wysforował się na prowadzenie, zostawiając Merika za plecami, i z taką dzikością i zajadłością, jakiej książę nigdy jeszcze u niego nie widział. Odepchnął się od niego z taką siłą, że Merik aż okręcił się w powietrzu i długo nie mógł ustabilizować lotu.

Książę doleciał wreszcie do miasta i zadudnił nogami o deski mola w miejscu, w którym widział przed chwilą Kullena. Teraz jednak,

w szalejącym huraganie, nie dostrzegał już nawet czubka swojego nosa. Mimo to bardziej przeraził go fakt, że jego własna magia napierała na niego, czuł jej drapanie pod skórą, jakby w okolicy rozszczepiali się ludzie. Uczucie to było tak silne, że gdyby nie stanął mocno na nogach, runąłby z doku w spienione fale.

Merik przebył molo podbitymi wiatrem susami. Niebo ponad szeregiem sklepowych witryn rozświetlił piorun i tylko dzięki niemu książę dostrzegł u wylotu alei Kullena. Więziobrat klęczał na skrzyżowaniu, a po jego ciele pełzały opasłe żyły błyskawic. Gdy znów pociemniało, przyjaciel zniknął mu z oczu.

Merik doskoczył do ulicy, rzucił się na oślep w kurzawę błysków i wiatru. Nie, w powietrzu unosiły się też drobiny szkła i drzazgi. Moc Kullena burzyła kamienne domy.

Admirał wpadł w tę chmurę odpadków pośród ryku gromu i eksplozji światła, a ona wciągnęła go jak wir. Wiatr przygiął go do ziemi, zbryzgała woda i owiała magia.

Nie mógł stawić jej czoła, nie władał nawet połową mocy Kullena, a ta, którą posiadał, drgała i wyła, jakby miała się zaraz rozszczepić. Nie mógł więc zrobić nic więcej, jak tylko się poddać targającym nim siłom.

Cyklon porwał go w górę tak prędko, że żołądek przyrósł mu do kręgosłupa. Merik wznosił się coraz wyżej i wyżej, mocno zaciskając powieki. Sypał się na niego różnoraki śmieć, kawałki szkła raniły skórę.

I wtedy sztorm wypuścił go z rąk tak szybko i niespodziewanie, jak przed chwilą złapał. Wirowanie ustało, wiatr osłabł. Sztorm jednak wciąż szalał, Merik słyszał go, czuł... pod sobą.

Zmusił się do rozwarcia powiek i skłonił swe wiatrodziejstwo, by utrzymało go w powietrzu na tyle, żeby mógł ocenić, co się dzieje.

Znalazł się ponad wzbudzoną przez Kullena nawałnicą, ale cyklon zasysał chmury wokół niego i wkrótce zaczął ściągać w dół jego samego. Setki stóp pod nim widniał pośród sztormu pojedynczy czarny punkt. Kullen.

Nie namyślając się, zanurkował w jego stronę, poniesiony tak raptownym, że aż bolesnym porywem własnego magicznego wichru. Rozpędziwszy się, pikował, nadal zwiększając szybkość. Przemknął przez burzę, a gdy wyłonił się z chmur, ujrzał roztaczającą się poniżej panoramę Lejny i rosące w oczach kamienie brukowe. Frunął smagany wichrem

i deszczem pośród piekielnego chaosu wiatrodziejskiej magii, nie patrząc na nic, tylko na widniejącego w dole więziobrata.

Kullen też go zauważył. Wciąż klęczał na ulicy nieopodal zburzonego... nie, wciąż jeszcze burzącego się budynku. Prawą rękę przyciskał do piersi, głowę miał odchyloną, wzrok skupiony na Meriku. Raptem jego ręce pomknęły w górę, a fala wiatru pochwyciła spadającego wiatrodzieja i postawiła delikatnie na ziemi. W samym oku cyklonu.

Gdy tylko Merik poczuł grunt pod nogami, przyskoczył do więziobrata, który opadł na czworaki z opuszczoną nisko głową.

– Kullen! – zawołał ksiązę, próbując przekrzyczeć kanonadę gromów i łomot walących się domów, trzask okien i jęk druzgotanego drewna. Gdy ukląkł na jedno kolano, szklany grad boleśnie zakłuł go w nogę. – Kullenie, rozpuść tę burzę! Musisz się uspokoić i zakończyć sztorm!

Odpowiedzią był dygot w piersi Kullena, drgawki, które Merik znał aż za dobrze, bo widział je zbyt wiele razy. Podźwignął przyjaciela do pionu.

– Oddychaj! – zawył. – Oddychaj!

Kullen spojrzał na Merika, poruszył nieskładnie ustami. Jego twarz była szara, pokrywały ją wzbierające pod skórą pęcherze. A jego oczy stały się czarne jak podwodne piekło Nodena.

Oddychanie na nic się tu nie zda. Kullen się rozszczępiał.

Merik przez ułamek sekundy mógł tylko patrzeć na przyjaciela. Poszukał na jego obliczu choć śladu człowieka, którego znał od dziecka.

Usta Kullena rozwarły się, ale jedynym krzykiem, jaki się rozległ, był wściekły huk cyklonu. Plugawa magia czepiała się Merika, chcąc rozszczępić również i jego. Lecz ksiązę nie odsunął się ani nie odepchnął więziobrata. Nawałnica wokoło była niczym w porównaniu z burzą, która szalała w jego sercu. Pokryte czarnymi wypryskami palce Kullena wczepiały się w jego koszulę, plamiły ją czarną krwią.

– Zabij... mnie... – wycharczał zupełnie nie jak człowiek.

– Nie. – Tylko to mógł powiedzieć, tylko to jedno słowo mogło zawrzeć w sobie wszystko, co myślał i czuł.

Kullen wypuścił jego koszulę z rąk, a czerń w jego oczach ustąpiła na ułamek sekundy, wróciła z powrotem do źrenic, które Merik rozpoznał. Przyjaciel posłał mu smutny, umęczony uśmiech.

– Żegnaj, mój królu. Żegnaj, przyjacielu.

A potem, w szumie i pędzie magicznej energii, Kullen uniósł się w powietrze i wystrzelił w niebo. Wiatr i gruz runęły na księcia, wcisnęły w bruk, zdusiły wszystkie zmysły. Przez wieczność, która nastąpiła zaraz potem, Merik był cyklonem Kullena.

Zaraz potem z trzaskiem otworzyła się wyrwa w rozwściczonej materii chaosu, a świat Merika pochłonęła ciemność.

ROZDZIAŁ 39

I seult siedziała w kredensie z zaciśniętymi powiekami, sięgając magią poza izbę, na ulice Lejny, w poszukiwaniu jakichś śladów życia i rozszczępieńców.

Aeduan. Więziodziejka wciąż nie widziała jego nici, o jego uczuciach mogła więc wnioskować jedynie po twarzy. A ta była nieprzenikniona i wyprana z emocji. I choć Iseult ufała, że krwiodziej jej nie zabije ani nie rzuci na pastwę rozszczępionych, nie dostrzegła na niej ani śladu verujta.

Mhe verujta. Najświętsze słowa Nomatsów. „Zaufaj mi, jakby moja dusza była twoją duszą” – słowa, które Księżycowa Matka wyrzekła do ludu Nomatsów, gdy wyprowadziła ich z wstrząsanych wojną ziem daleko na wschodzie. Które rodzice mówili dzieciom, gdy całowali je na dobranoc. Które sercowięzi mówiły sobie w dniu zaślubin.

Aeduan mógł nauczyć się ich tylko od samych Nomatsów. Czyżby żył z nomatsańskim plemieniem...? Czyżby sam był Nomatsem?

Nieistotne, gdzie się ich nauczył. Ocalił jej życie. A potem zniknął.

Jej magia coś wychwyciła... Tak, przy wybitym oknie czaił się rozszczępiony Marstokczyk. Za nim płynęły trzy wibrujące nici śmierci, takie jak te, które widziała u trupa w Veñazie, i podobne do tych, które oglądała oczami Lalkarki.

Ale te były większe... Grubsze u nasady i wiotczające w miarę rozciągania się aż do nieba, jakby rozszczępieniec był marionetką na scenie dzieciennego teatryku...

Iseult zassała powietrze. Lalkarka. Patrzyła właśnie na dzieło Lalkarki. Te odcięte nici ciągnęły się aż do Poznina, Iseult była tego pewna, co oznaczało, że jakimś sposobem rozszczępiła tych wszystkich ludzi zdalnie.

Nie, nie „jakimś”, tylko z pomocą Iseult.

Lalkarka mówiła przecież o planach i miejscach poupychanych w jej głowie, o Królu Zdobywcy, którego uczyniła szczęśliwym, o jakiejś

wielkiej misji, którą ów król polecił Lalkarce wykonać nazajutrz. A na końcu podziękowała Iseult za sprawienie, że to wszystko stało się możliwe.

Lalkarka musiała się zorientować, że Iseult i Safi jadą do Lejny, i rozszczepiła magię tych wszystkich ludzi.

Iseult, wciąż owinięta płaszczem, zaczęła się nagle dusić w ciasnocie kredensu, czuła, że gorąco uderza jej do głowy. Powinna była bardziej zdecydowanie stawić czoła Lalkarce, powstrzymać się od snu i unikać cienistych pazurów tej kobiety. Zemdliło ją... Wstrząsnęły nią suche torsje, zaczęła się dławić. Ci wszyscy ludzie umarli przez nią. Zginęli, bo była słaba.

W świadomość Iseult wtargnął nowy pióropusz nici. Mieniący się, żywy i znajomy. Znała ten konkretny odcień zdeterminowanej zieleni i zatroskanego beżu.

Evrane. Evrane szła zaraz za oknem.

Natychmiast wypadła z kredensu. Jej nie pozwoli umrzeć. Wskoczyła przez ziejące wybitymi szybami okno. Szklane zęby zahaczyły o jej płaszcz, ale pas trzymał mocno. Już biegła wzdłuż wąskiej ulicy, a potem skręciła w prawo, ku niciom uzdrowicielki.

Deszcz wkrótce wniknął w jej ubranie, rana na twarzy zaczęła nieznośnie piec. Burza przybierała na sile, niebo kłębiło się jak toń morza, a chmury spływały po firmamencie w kierunku doków, niby przyciągane magnesem.

Iseult ułowiła okiem białą plamę na ulicy przed sobą. Przyspieszyła kroku.

– Evrane!

Biała plama stanęła i zmaterializowała się w kształt uzdrowicielki. Kiedy zwróciła ku niej głowę, spod kaptura wysypały się srebrne włosy, a twarz zastygła w wyrazie zdumienia, ale nici kobiety przybrały niebieską barwę ulgi.

Wtem jakiś czarny kształt przebiegł po dachu, drugi wymknął się z zacienionego okna wystawowego sklepu. Rozszczepieńcy.

– Uważaj, za tobą! – krzyknęła Iseult, biorąc do ręki kordelas.

Za późno. Czarne postacie dopadły Evrane, zatopiły w smolistej masie ciała. Iseult biegła w jej stronę ile sił w nogach, krzycząc i tnąc wszystko, co stało jej na drodze. Jednego cięła po wewnętrznej stronie kolan, innemu zmioła głowę z barków. Nabrzmiąte wrzody rozszczepieńców pluły

kwasem, który z sykiem osiadał na ścianach, kamieniach i płaszczu Iseult. Mimo to parła naprzód, rąbiąc i siekąc, a imię Evrane nie schodziło jej z ust.

Raptem okazało się, że nie ma już kogo zabijać. Rozszczepieńcy uciekali... A tam, gdzie otoczyły Evrane, nie zostało nic poza mokrą, czerwoną plamą.

Iseult rozejrzała się gorączkowo, przebiegając wzrokiem po drzwiach i oknach, szukając jej pośród cieni i zaułków. Mniszka przepadła jak kamień w wodę.

Więziodziejka przymknęła oczy i skupiła się na jej niciach... Tam! Po drugiej stronie najbliższej alei unosiły się w powietrzu białe z przerażenia włókna, w których zwijały się spazmatycznie szare nici bólu. Było ich mnóstwo...

Iseult podjęła walkę z wiejącym jej w twarz wiatrem, szczelniej owinąwszy się salamandrowym płaszczem Aeduana. Nie kłamał, rozszczepieni jej nie czuli.

Znalazła się na skrzyżowaniu dwóch ulic zakreślonych ciasnymi szeregami kamienic o wąskich frontonach. Smuga krwi wlokła się jeszcze po ziemi, ale już zaczynała spływać z deszczem do rynsztoków. Iseult pobiegła szybciej, tropiąc Evrane tak długo, jak długo było to możliwe, ale ślad szybko się rozmywał i wkrótce zniknął zupełnie. Próbowwała wyczuć jej nici, ale te również przepadły. Mniszka poruszała się szybko, o wiele szybciej, niż Iseult mogła w tym deszczu.

Gdy znalazła się na bliźniaczo podobnej alei, dostrzegła leżącą kilka przecznic dalej zmasakrowaną przez fale przystań. Była więc na zachodnim skraju miasta, nieopodal miejsca, które do niego przybyła. Wiatr ciskał w nią porwanym z ziemi żwirem, pryskał kropelkami morskiej wody. Wichura szalała w najlepsze: trzeszczało drewno, budynki, w nieopisanym huku i jazgocie, waliły się jak domki z kart. Więziodziejka przysłoniła oczy dłonią i zaczęła rozglądać się za Evrane, za widzianą wcześniej na ulicy białą plamą lub połyskiem nici. Na próżno. Burza pochłaniała wszystko, co miało nieszczęście znaleźć się w jej zasięgu. Iseult nie dostrzegła nigdzie rozszczepieńców, ale czuła, że opuszczają miasto drogą na północ.

Błysnął piorun. Czarodziejka odruchowo zamknęła oczy i poczuła na twarzy bijące od niego gorąco. Mrowiła ją skóra i paliły płuca od bijącej

w nią zewsząd magii. Zatoczyła się i oparłszy o pobliską ścianę, zatopiła się w połach płaszcza.

Przez pół oddechu, który, mogłaby przysiąc, trwał chyba z godzinę, zmagala się z miazdzącym poczuciem winy. Z całego serca nienawidziła siebie samej, swojej magii i Lalkarki.

Wtem poczuła, że nawałnica słabnie. Hałas zelżał, wiatr i deszcz nie napierały już na nią z tak furiacką siłą...

A jej świadomość zarejestrowała obecność nici. Żywych, gdzieś całkiem blisko. Wstała, odrzucając płaszcz, i zobaczyła, że tornado odchodzi w morze, wirując i wijąc się na wodzie jak lawirujący na czubku ogona wąż.

Utykając, ruszyła zdemolowaną aleją, łowiąc wzrokiem nici. Drobiny szkła chrzęściły pod jej stopami, znajdowała drogę wśród potrzaskanych belek i kamieni, aż wreszcie ujrzała przed sobą księcia Nubrevny, posiniaczonego i krwawiącego, przygniecionego zawaliskiem – lecz wciąż żywego. Ona zaś miała w sobie dość życia, by go uratować.

* * *

Safi otępiałym wzrokiem wpatrywała się w skuloną Vanesę, blado się uśmiechając. Oczywiście, że to imperatorowa Marstoku. Kto inny miałby dość ikry, by iść do walki z cepem bojowym? Albo by walczyć z Safi w pojedynkę?

Deszcz lał się z nieba strumieniami, zacinało niemiłosiernie, krople siekły jak sztylety. Fale biły o brzeg i przelewały się aż na ulice. Z drugiej strony miasta szalał huragan, a Safi nie mogła oderwać wzroku od imperatorowej. Jeśli się rozszczepiała...

Ale, na wszystkich bogów, czy wolno jej zabić imperatorową?

Jej wzrok spoczął na leżącym dwa kroki od kobiety i zupełnie zapomnianym kiścieniu. Jeśli imperatorowa naprawdę się właśnie rozszczepia, to przecież Safi nie ma wyjścia...

Vanessa przestała się drapać po rękach, zastygła. Safi spostrzegła, że wpatruje się w jakiś punkt za jej plecami.

– Zlitujcie się, Dwunastu – wyjęczała.

Skoro mówi, znaczy, nie rozszczepia się – pomyślała z ulgą Safi. Niezależnie od tego, jaka spotworniała magia przepłynęła przez Vanesę, imperatorowa oparła się jej działaniu.

Wtedy Safi popełniła błąd: podążyła za wzrokiem monarchini. Burza słabła, a w samym jej środku stał jakiś człowiek. Błyskawice oplatały czarne ciało, które skręcało się i wiło, lecąc w morze.

Kullen.

O bogowie. Safi zachwiała się, ale zmusiła się do utrzymania równowagi i omiotła wzrokiem ulicę. Nigdzie ani śladu Merika. Na pewno udało mu się przeżyć. Już miała odwrócić się z powrotem do Vanessy, gdy posłyszała nad sobą jej głos:

– Poddaj się, prawdodziejko.

Cholera. Safi okręciła się powoli. Imperatorowa stała wyprostowana z uniesionym cepem bojowym.

Safi przesunęła językiem po wargach. Smakowały krwią i solą. Może, jeśli uda się jej odwrócić uwagę Vanessy, będzie okazja dać nogę.

– Dlaczego ty? – spytała prawdodziejka. – Dlaczego nie któryś z twoich żołnierzy? Po co tak ryzykować?

– Ponieważ służę swoim ludziom. Jeżeli już zachodzi potrzeba, by ktoś ubrudził sobie ręce, wolę, bym była to ja niż któryś z nich.

Safi zamrugła, a potem całe zdumienie uszło z niej pod postacią dziwnego śmiechu. Wychodziło na to, że Vanessa jest w tym względzie bardzo podobna do Merika. A jednak...

– To trochę więcej niż „ubrudzenie rąk”, Wasza Wysokość. Nieomal zabił cię huragan, prawie uległaś rozszczępieniu.

– Gdyby moi wrogowie pojмали cię pierwsi, mogłabyś się przyczynić do mojego upadku. Ale jesteś teraz w moich rękach, więc pomożesz uratować królestwo. Moje królestwo, za które jestem gotowa umrzeć.

Bezwiednie otworzyła usta. Coś przedwiecznego i przejmującego zamigotało z tyłu jej głowy, zaraz przy rdzeniu kręgowym.

– Poddaj się – zażądała imperatorowa, poruszając kulą kiścienia niby wahadłem. – Nic nie możesz zrobić.

Nieprawda, podpowiedziała Safi jej magia, a wraz z impulsem mocy przypomniała sobie wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, porwał ją potok słów i kłamstw na jej temat, w które wierzyli ludzie. O pozbawionej ambicji egzystencji, którą tak zawsze lubiła... O tym, że nie ona jest w tym wszystkim najważniejsza... Że tylko ją stać na tak daleko posuniętą niefrasobliwość... Że nic nie może poradzić.

A potem na pierwszy plan wysunęła się pojedyncza, jasna myśl: „Gdybyś tylko zechciała, Safiyo, mogłabyś ukształtować świat na nowo”.

To były słowa wuja Erona, a Safi uświadomiła sobie – niemal prychając śmiechem – że miał rację. Nie była wcale uwięziona w swojej skórze, nie definiowały jej tylko popełnione błędy, nie musiała się wcale zmieniać. Miała w sobie wszystko, czego potrzebowała, miała narzędzia, w które wyposażyli ją Mathew i Habim, nawet wuj Eron. I bezgraniczną, niezachwianą miłość swojej więziosiostry.

Safi mogła ukształtować świat na nowo.

I czas najwyższy, by to zrobiła.

Jednym płynnym, błyskawicznym ruchem podcięła imperatorowej nogę i wyrznęła ją pięścią w nos. Vanessa upadła na ulicę. A Safi puściła się biegiem do ostatniego doku. Nie patrząc za siebie, nie myśląc. Oto, kim naprawdę jest, nie zaś, kim chciałaby być. Myślenie powierzyła nogom, czucie dłoniom. Była jak jeden mięsień, którego wyłącznym celem jest walka o ludzi, których kochała, i sprawę, w którą wierzyła. Zwieńczenia jej życia nie stanowiły wydarzenia w Veñazie ani ucieczka z balu, tylko ta ostatnia prosta do ostatniego doku.

To nie wolności pragnęła. Pragnęła w coś wierzyć, w coś, dla czego mogłaby biec na złamanie karku i walczyć z narażeniem życia, ku czemu mogłaby wyciągać ręce w każdej sekundzie życia.

Tym celem była teraz Nubrevna. Biegła dla Merika, dla Iseult, dla Kullena i Rybery, Mathew i Habima, ale przede wszystkim biegła dla siebie.

W polu jej widzenia wyrosli niczym spod ziemi żołnierze, widziała jak przez mgłę rozmazane zielone uniformy, wylewające się z ulic Lejny. Ale nie złapią jej, są na to za wolni. Nie dopadną jej, dopóki nie dobiegnie tam, gdzie musi się znaleźć. Czuła to w samym sercu swojej magii, przekonywała się o tym za każdym razem, gdy jej moc skandowała w głowie: prawda, prawda, prawda. Zmusiła się, by pędzić jeszcze szybciej.

Od doku dzieliło ją dziesięć stóp.

Pięć.

Coś małego i twardego – jak rękojeść cepa bojowego – trafiło ją w kolano. Zaczęła upadać, ale wtedy władzę nad jej członkami przejął instynkt. Przetoczyła się po bruku pozbawionym gracji fikołkiem, z powrotem wylądowała na nogach i wznowiła maniacki sprint.

A potem dotknęła dłonią pierwszej deski pomostu i przeszył ją ból. Tak dziki, że odebrał jej wzrok i słuch. Safi wrzasnęła i runęła w przód, wyrzucając ręce przed siebie.

Lewa stopa. Dostała w nią kolczastą kulą. Metal strzaskał jej kości, wytoczył z jej ciała kałużę krwi.

Ale zdążyła przedtem dobiec do pomostu. Ranna i krwawiąca czy nie, warunki kontraktu zostały wypełnione. Musiały zostać.

Zewsząd nadpłynęły czarne wojskowe buciory. W dwie sekundy zmije porwały ją z bruku i zakleszczyły na jej rękach kajdany.

Imperatorowa szła w jej stronę, wydając rozkazy po marstocku. Safi nie mogła ich rozszyfrować, ale za to nie bez satysfakcji zauważyła olbrzymią śliwę kwitnącą pod okiem imperatorowej. A to? To przecież leżąca się z jej idealnie ukształtowanego nosa strużka krwi.

Dwie zmije założyły jej dźwignie na obu rękach, choć przecież nie mogła już uciekać ani nawet chodzić. Właściwie była pewna, że gdyby nie żołnierze, nie mogłaby nawet stać. Vanessa pochyliła się nad nią.

A Safi, choć nie pragnęła niczego więcej niż tylko się rozplakać i poprosić kogoś, by wyleczył jej nogę, skrzyżowała wzrok z imperatorową i już go nie odwróciła.

Po chwili Vanessa się uśmiechnęła, a był to uśmiech zatrwająający, bo krew plamiła jej zęby.

– Teraz już mi nie uciekniesz.

– Ja... wcale nie próbowałam – wycharczała czarodziejka, choć chciało jej się wyć. Zmusiła się do skrzeczącego śmiechu. – Tak bardzo chcesz mojej magii, imperatorowo? Jeśli sądzisz, że taka jestem potężna... To się mylisz. Umie oddzielić prawdę od kłamstwa, ale to tyle. A nawet gdy wiem, co jest prawdą, a co nie... Jaką masz gwarancję, że sama nie kłamię?

Vanessa złączyła szczęki. Przychyliła się bliżej, jakby próbowała odkryć tajemnice zawarte w oczach dziewczyny.

– Co więc musiałabym zrobić, by zasłużyć na twoją lojalność? By zyskać pewność, że powiesz mi prawdę, która jest mi potrzebna, żeby ocalić moje królestwo? Podaj swoją cenę.

Safi gapiła się na puchnącą i purpurowiejącą twarz monarchini i pobudziła swoją magię, by ta oceniła jej szczerłość. Wydawało się niemożliwe, by oferta Vanessy była tak szczodra... A jednak zza kurtyny

bólu dobiegło ją potwierdzenie prawdopodobnie magii: imperatorowa nie kłamała.

Triumfalny uśmiech uniósł kąciki ust Safi, choć mógł to też być grymas bólu – trudno ocenić.

– Chcę, byś wznowiła handel z Nubrevną – odpowiedziała. – Chcę, byś wysłała emisariusza do Lovats, i chcę, byś zaoferowała eksport żywności w zamian za... Za to, co Nubreveni mają do zaoferowania.

Zakrwawione brwi Vanessy wygięły się w łuk, poryw wiatru rzucił jej na twarz zlepione strąki włosów.

– Skąd taki a nie inny warunek?

– Powoduje mną to samo co tobą. – Safi wskazała brodą miasto i natychmiast tego pożałowała. Raptowne ruchy sprawiały, że traciła więcej krwi. Właściwie każdy ruch. – Ja też jestem gotowa ubrudzić sobie ręce dla ludzi, którzy są mi drodzy. Będę biegła tak szybko, jak tylko umiem, i walczyła z taką zawziętością, na jaką tylko mnie stać. Jeśli w ten sposób będę mogła im pomóc, nie zawaham się.

Ku zaskoczeniu Safi Vanessa rzuciła jej nieznaczny, ale najzupełniej szczery uśmiech.

– Umowa stoi, prawdopodobnie.

– Zatem moja magia należy do ciebie – wyrzekła Safi z ulgą... a może po prostu traciła przytomność z wpływu krwi.

Przeniosła mętny wzrok na wlot ulicy, w której, jak sądziła, zniknął Merik. Gdzieś tam po raz ostatni widziała też Iseult. Przez dłuższą chwilę nie słyszała nic poza szumem fal i nie czuła nic poza delikatnie obmywającymi jej twarz ostatnimi kroplami deszczu. Jej myśli poniosły się ku rodzinie. Skinęła przyjaciółom na pożegnanie, w myślach wyrzekła: „Do widzenia”. I modliła się, by nic im się nie stało... wiedząc, że po nią przyjdą.

Następnie do jej świadomości przedarł się odgłos kroków, a wraz z nim potworny ból.

– Odlatujemy – zakomunikowała Vanessa, wskazując palcem najniższego spośród żeglarzy, na którego ręce Safi dostrzegła czaroznamię wiatrodzieja. – Nasza flota czeka niedaleko. Czy wytrzymasz podróż, prawdopodobnie?

– Tak – westchnęła Safi, wspierając się na jednym z trzymających ją mężczyzn. Na jej ustach błysnął uśmiešek. – Jestem Safiya fon Hasstrel

i nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych.

Gdy te słowa opuściły usta dziewczyny, odezwała się jej magia...
i zamruczała jak wygrzewający się na słońcu lew. Prawda. Prawda teraz
i zawsze.

ROZDZIAŁ 40

Gdy Aeduan zobaczył, jak rozszczępięcy atakują jego mentorkę, zadziałał instynktownie. Rzucił się w skotłowaną ciżbę, by wyłowić z niej zakrwawioną Evrane. Ciął i rąbał na ślepo, młócił mieczem i patroszył wszystkich rozszczępięców, którzy się nawinęli.

Gdy już do niej dotarł, gdy wziął na ręce zwiotczałą postać, podłączył się do jej krwi, by uniemożliwić jej wykrwawienie się przez ranę w gardle. A potem pomknął ulicami Lejny ile sił w nogach wzmocnionych krwiodziejską energią. Zabierze ją do Prastudni, żadne inne miejsce nie przychodziło mu do głowy. Skoro, jak mówiła, Prastudnia zbudziła się do życia, to może zdoła zasklepić jej rany.

Gdy już nie miał sił biec, truchtał, a potem włókł się pieszo, nie odejmując magii od krwiobiegu uzdrowicielki. Docierała do niego świadomość, że zaprzepaścił szansę złapania Safiyi, ale teraz go to nie obchodziło.

Przemierzał ligę za ligą z Evrane na rękach, pokonywał klif za klifem, robił krok za krokiem, słaniając się z wyczerpania, pierwszy raz od lat przerażony nie na żarty. Przez pół dnia głowił się nad tym, co właściwie czuł. Próbował dociec, czym jest ta osobliwa pustka w piersi, niekończąca się pętla myśli: nie umieraj, nie umieraj, nie umieraj... Miał świadomość, że to coś więcej niż dług życia i że owo coś przeczy wszystkiemu, czym chciał się stać, a także wszystkiemu, czym wierzył, że był. Czuł dziwny, obcy strach.

Zanim zobaczył rzekę, usłyszał plusk zmieszany z bzyczeniem owadów i krzykiem ptaków. Poczuł unoszącą się z wody wieczorną mgłę, która zlewała się z resztkami dziennej wilgoci. Wywąchał też ośmiu żołnierzy czekających u stóp schodów wiodących do Prastudni. Ktoś musiał znaleźć Leopolda i najwyraźniej pomyślał, że zbrodniarz wróci na miejsce zbrodni.

Aeduan użył więc resztki swej mocy, by ścisnąć ich gardła i uniemożliwić zaczerpnięcie tchu. Zajęło mu to o wiele za długo. Tamtych

ośmiu było w pełni sił, a on – poważnie osłabiony, byle powiew sprawiał, że chwiał się na nogach jak trzcina. Musi się streszczać, bo już długo tak nie wytrzyma i upuści Evrane.

Żołnierze w końcu byli uprzejmi paść na ziemię, a Aeduan przeszedł między nimi i zaczął się wspinać po schodach. Szedł wolno, lecz wytrwale, stawiając nogę za nogą na wysłużonych stopniach, a potem minął wyłożoną kamieniami drogę i ułożył Evrane na plecach w wodzie Prastudni.

A Prastudnia zaczęła ją leczyć.

Aeduan poczuł to raczej, niż zobaczył. Jakakolwiek moc tutaj działała, uzdrowienie Evrane zajmie jej co najmniej kilka dni. Już teraz jednak czuł, że jej krążenie wraca do normy i że wyrwę w jej gardle łąta świeża tkanka. Nie puszczał jej krwi do momentu, aż szyja zasklepiła się na tyle, by kobieta była zdolna sama oddychać, i aż serce zaczęło swobodnie pompować krew.

Wtedy krwiodziej przyciągnął unoszącą się na wodzie Evrane do pomostu, wyjął z wody i ułożył na kamieniach, nogi zostawiając w Studni, by nie przerywać leczenia. Gdy wynurzył się z wody, ochlapując bruk drogi, odkrył ze zdumieniem, że nie przygniata go do ziemi ciężar przemoczonych szat, że stoi wyprostowany i że jego magia została odnowiona...

Na własnej skórze przekonał się, że Prastudnia powstała z martwych. Nawet gdyby nie odczuł jej leczniczego działania, nie umiałby wyrzucić z głowy wrażenia obecności, którego doświadczył, stojąc w jej wodach: uczucia osobliwej jedności i kompletności.

Studnia otwierała właśnie jedno zaspane oko, a wkrótce rozbudzi się na dobre. Co oznaczało, choć Aeduan przyznał to z trudem, że prawdopodobnie jest połową pary Cahr Awenów, zaś Iseult... Nomatsanka o bezwonnej krwi jest... jest drugą połową...

A więc Evrane miała rację. To Cahr Aweni, których Aeduan zobowiązał się chronić – nawet za cenę życia – gdy miał trzynaście lat, zanim ojciec ponownie nie pojawił się w jego życiu. Złożona wówczas przysięga domagała się zadośćuczynienia, lecz Aeduan nie mógł zdecydować, czy powinien ją wypełnić.

Nigdy nie myślał, że ten dzień naprawdę nadejdzie – dzień, w którym całe jego szkolenie i jego przyszłość zostaną złożone na ołtarzu mitycznych, starożytnych Cahr Awenów.

Evrane było o wiele łatwiej, w końcu wierzyła w to całe życie. Powrót Cahr Awenów przyniósł jej uczucie spełnienia. A dla Aeduana oznaczał zawadę. Do klasztoru trafił przypadkiem, a został w nim, ponieważ nie miał dokąd pójść, bo dokądkolwiek by się nie udał, zabito by go za jego krwiodziejskie zdolności. Teraz jednak miał plany, w których uwzględnił swojego ojca, a w których nie było miejsca na Cahr Awenów.

Czarodziej mógł się zdecydować, komu jest winien posłuszeństwo – czy powinien wypełnić złożone śluby, czy też obietnicę daną ojcu. Pewien był tylko jednego: że jest wdzięczny Studni za uzdrowienie Evrane.

Może dlatego nogi same z siebie zniosły go do najbliższego cyprysa, którego pień lśnił czerwonym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca, a soczyscie zielone liście szemrały, przeczesywane wilgotną bryzą.

Dałby głowę, że wczoraj było ich znacznie mniej.

Aeduan klęknął na kamiennej drodze. Woda kapiała z jego ubrań i włosów, nawet z pasa z mieczem, którego zapomniał odpiąć przed wejściem do wody. Ledwie zauważył, że przywiera do drzewa, wspiera dłonie o pień i zaczyna recytować modlitwę do Cahr Awenów:

Dokładnie tak, jak nauczyła go Evrane.

Promienny król światła pod moją trwa pieczę,
I władcę ciemności swoją tarczą chronię,
Dla poruszyciela świata żywot wiodę,
A pogromcy cienia oddam życie swoje,
Ofiara z krwi mojej – moim jest wyboem,
I nici mej Węzi składam w pełni świadom,
Nikt inny nie będzie władał moją duszą,
Niech dłonie wasze ostrze me prowadzą,
Swój eter gorliwie w wasze ręce składam,
Teraz i na zawsze – do skończenia świata.

Gdy odmówił modlitwę, ucieszył się, znalazłszy ją tak pretensjonalną jak zawsze. Uradował go także fakt, że jego umysł zaczął już układać listę rzeczy do zrobienia. Moja broń jest mokra i wymaga naoliwienia, potrzebny mi nowy salamandrowy płaszcz i koń, byle szybki...

To wyzwalające, pomyślał, z taką łatwością ignorować caraweńskie ślubowanie, nawet przy samej Prastudni. Jedyne, co musiał, to oddać ojcu

skrzynkę z talarami – na razie nic więcej się nie liczyło.

Po raz ostatni omiółł wzrokiem swoją starą mentorkę, mniszkę Evrane. Kolor z powrotem wystąpił na jej policzki.

Doskonale. Wreszcie zwrócił jeden z długów życia, które u niej pozaciągał.

Rozruszawszy nadgarstki i strzeliwszy palcami, krwiodziej imieniem Aeduan wyruszył na spotkanie ojca, Króla Zdobywcy Arythuunii.

* * *

Iseult zaprzęła do pracy całą siłę, która jeszcze się w niej tliła. Napała na przygniatające Merika bale i belki stropowe, po czym stoczyła je z księcia, szczęśliwie nie wyrządzając mu krzywdy. Snopy porannego słońca przedostawały się przez dziurawą kopułę chmur. Dok pierwszy i pół dzielnicy zostały zrównane z ziemią, zamienione w rumowisko mocą wywołanego przez Kullena sztormu, który najwidoczniej pochłonął i samego wiatrodzieja. W okolicy nie było żywej duszy, Iseult nie wyczuła też żadnych nici. Pod niebem nie latały ptaki, nie słyszała bzyczenia owadów, dzielnica zmieniała się w cmentarzysko...

Jeśli nie liczyć zielonego pióropusza wijącego się w powietrzu zaraz pod linią horyzontu. W samym jego środku Iseult wyłapała ledwie wyczuwalny poblask nici Więzi.

Safi.

Zabrali ją. Przepadła. Iseult straciła ją, Safi stała się kolejną porażką na jej koncie.

Zmogła tę myśl i wróciła do Merika: przywarła do zawalonej drewnianej konstrukcji i zaczęła się z nią mocować. Cały ten hałas i nieoczekiwane poruszenie sprawiły, że Merik się ocknął i zaszamotał, a jego nici spłynęły stalowoszarym bólem i niebieskim smutkiem.

Gdy wreszcie udało mu się wyswobodzić, legł na plecach, cały poobcierany i z drobinkami szkła wciąż tkwiącymi w ciele.

– Co cię boli? – spytała Iseult, klękając u jego boku. Nie jąkała się, starała się wygasić uczucia.

– Wszystko – wychrypiał, z trudem otwierając zalepione tynkiem oczy.

– Sprawdź, czy niczego sobie nie złamałeś – poinformowała go więziodziejka. Albo czy nie jesteś poważnie ranny, dodała w myślach. Merik nie zgłosił sprzeciwu, zaczęła więc delikatnie badać jego ciało od stóp do głów, tak jak latami robiła to Safi. Tę umiejętność wbił jej do głowy

Habim jeszcze w Veñazie. Stop, nie myśl tyle. Iseult poświęciła się metodycznym, wyćwiczonym ruchom.

Kwiat na tafli jeziora. Bryza rozdymała mokre ubranie kogoś innego, muskała skórę jakiejś innej kobiety. Krew z ran Merika plamiła czyjeś palce. Iseult nie może teraz myśleć o Lalkarce, o rozszczepieńcach, o Evrane, Kullenie i Safi. Kwiat na tafli jeziora.

W trakcie rozpoznania więziodziejka co rusz zerkała na nici Merika, szukając jaskrawszych odcieni bólu. Połyskiwały za każdym razem, gdy wyciągała z ciała księcia odłamek szkła, ale dopiero gdy dotknęła jego żeber, rozbłysły tak, że zostawiły powidok w jej oczach. Z gardła mężczyzny dobył się zbolący jęk. Miał złamane żebra – niedobrze. Choć mogło być gorzej.

Następnie obejrzała jego skórę, by się przekonać, czy usunięcie szkła i drewna nie otworzyło jakichś poważniejszych ran. Krew kapała na bruk, ale odłamki nie wbiły się w żadne żywotne miejsce. Gdy Iseult owijała rozcięcie na przedramieniu podartym rękawem, Merik spytał o Safi.

– Marstokczycy ją zabrali.

– Czy... pójdziesz po nią?

Iseult westchnęła, zdziwiona, jak bardzo rozboleły ją od tego płuca. No właśnie: czy pójdzie?

Zawiązała szybko prowizoryczny opatrunek i w przypiływie paniki wyszarpnęła zza dekoltu kamień więzi. Nie świecił, co oznaczało, że Safi nie grozi niebezpieczeństwo. Że nikt jej nie krzywdzi. Jak również że Iseult nie ma się czym kierować w ewentualnej pogoni za przyjaciółką. Zaraz, co Safi jej powiedziała? Jeden z ludzi Erona miał być w którejś z tutejszych kawiarni. Iseult mogłaby – musi – poczekać na tego człowieka. Kimkolwiek był, pomoże jej dotrzeć do Safi.

Puściła klejnot, a ten uderzył lekko o jej mostek. Na powrót poświęciła uwagę Merikowi.

– Potrzebny ci uzdrowiciel... – Gdy tylko usłyszała własne słowa, zapragnęła połknąć je z powrotem.

– Moja... ciotka...? – wycharczał Merik.

Naszła ją neodparta myśl, by po prostu skłamać. Nie tylko Merikowi – najchętniej skłamałaby również samej sobie. To nie moja wina, chciała powiedzieć. Rozszczepieńcy ją dorwali, to również nie moja wina.

Ale doskonale wiedziała, że to jej wina.

– Evrane została zaatakowana przez rozszczepionych. – Jej ton był beznamiętny i opanowany. Dochodził z ust innej osoby, znajdującej się tysiąc lig stąd. – Nie wiem, czy przeżyła. Szłam za nią, ale opuściła miasto.

Wtedy nici Merika się poddały, rozlała się po nich niebieska żałoba. Odpędził mruganiem napływające do oczu łzy. Zaczął oddychać płaczliwymi zrywami, potrząskane żebra musiały rwać potwornym bólem.

To sprawiło, że łód pękł i Iseult det Midenzi straciła nad sobą kontrolę. Skuliła się i po raz drugi w życiu wstrząsnął nią szloch.

Zabiła dzisiaj tylu ludzi. Nie celowo i nie bezpośrednio, ale ciężar wcale nie wydawał się przez to lżejszy. Prawie... prawie żałowała, że klątwa Corlanta jej nie uśmierciła. Wtedy wszystkie te zgubione dusze nie zginęłyby z jej winy.

Merik nagle zaczął dygotać. Był bardzo blady, trzął się, jego nici rozpląwały się w powietrzu o wiele za szybko. Pogarszało mu się. Iseult kolejny raz odsunęła więc od siebie wszystkie uczucia, odgarnęła wszystkie nici, które przeszkadzały miast pomagać, i przypadła do księcia.

– Gdzie jest Jana? – spytała. Może załoga znajdzie mu jakiegoś uzdrowiciela? Przed wejściem do Lejny porzuciła z Safi konie, poza tym Iseult nie miała pojęcia, gdzie może znajdować się najbliższe miasto. – Wasza Wysokość, muszę wiedzieć, gdzie jest Jana. – Zamknęła jego twarz w dłoniach. – Jak do niej dotrzeć?

Merik trzął się coraz silniej, z rękami przykulonymi do piersi, jakby było mu zimno, ale czoło miał rozpalone. Jego nici bledły... Nie, Iseult za nic nie pozwoli mu umrzeć. Spojrzała mu w oczy i niemal siłą przyciągnęła jego wzrok.

– Wasza Wysokość, jak mogę skontaktować się z Janą?!

– Wietrzny bęben... Lejny... – skrzeknął. – Uderz.

Iseult odjęła ręce od jego twarzy i omiotła wzrokiem ulicę... Tam. We wschodniej części miasta, dosłownie dwie przecznice dalej, spostrzegła bęben identyczny jak ten na Janie.

Wstała chwiejnie na nogi i dopiero wtedy poczuła, jak bardzo bolą ją wszystkie mięśnie. Dotarła do bębna, uniosła pałkę – znalazła tylko jedną, oby to była ta magiczna, która posyła dźwięk z wiatrem na znaczne odległości – a potem załomotała w bęben i zaraz zapamiętała się w chaotycznym rytmie. Włożyła w niego całą swoją duszę, zawarła w nim wszystkie swoje błędy, całą złość i żal, a w tym samym czasie inna część jej

umysłu planowała strategię. Bo strach i zmęczenie nie pozbawiły jej umiejętności analizowania zachowań przeciwników, jej instynkt wciąż kazał jej wybierać pola swoich bitew.

Tym razem Safi wplątała się w jeszcze większe kłopoty niż zwykle – porwanie przez Marstokczyków to jej nowy osobisty rekord – ale to nieważne, coś się wymyśli. Zaprowadzi Merika do uzdrowiciela, znajdzie sposób, by powstrzymać Lalkarkę, by się upewnić, że nigdy już nikogo nie rozszczępi. Dowie się więcej o kłątwie Corlanta, a może nawet odnajdzie matkę i Almę.

Ale przede wszystkim uwolni Safi z rąk Marstokczyków. Będzie jej szukać z takim zacięciem, z jakim bije w skórzaną membranę magicznego instrumentu, ignorując wszelkie przeciwności, tak jak teraz ignoruje palący ból przemęczonych mięśni. Odnajdzie ją, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Więź nie woda.

Mhe verujta.

* * *

Merik stracił przytomność jakiś czas przed nadpłynięciem Jany. O mało nie umarł, nim dotarł do Daru Nodena i Prastudni. Do jego ran dostała się morska woda, kompletnie wydrenował się z magicznej energii, a trzy złamane żebra nie chciały się zrastać.

Gdy wreszcie odzyskał przytomność, leżąc na niskim łóżku w odwróconej kajucie transportowca, ujrzał przy sobie swoją ciotkę. Najpierw rozpoznał lśniące, srebrne włosy, a potem słaby uśmiech oznaczający ulgę.

– Mam dobre wieści – powiedziała, a jej uśmiech przedzierzgnął się w wyraz skupienia, gdy nacierała ramiona, ręce i twarz Merika jedną ze swoich maści. – Głosodziejka z Lovats cały dzień próbowała skontaktować się z Herminem. Wygląda na to, że pomimo najazdu na Lejnę Marstokczycy chcą odnowić umowy handlowe z Nubrevną. Ale zaznaczyli, że negocjować będą tylko z tobą. Vivię szlag trafi, jak mniemam.

Merik odetchnął. Wiedział, że powinien czuć szczęście. Wznowienie kontaktów handlowych to jego marzenie, które właśnie się ziściło. A jednak triumf smakował jak popiół i książkę nie mógł sam siebie przekonać, że gra była warta świeczki.

– Gdzie jest... Iseult? – zapytał słabym, gardłowym głosem.

– Twoja załoga zostawiła ją w Lejnie. – Evrane się zachmurzyła. – Najwyraźniej przekonała Hermina, że poradzi sobie sama. Miała czekać na kogoś w jakiejś kawiarni.

Gdy Merik głowił się nad tym, kim też może być ten człowiek, Evrane poinformowała go o zniknięciu księcia Leopolda z Daru Nodena.

– W jednej chwili siedział pod strażą w kajucie brygu, a w następnej już go nie było. Mogę tylko zgadywać, że korzystał z pomocy blaskodziejki.

Mózg Merika nie był w stanie pomieścić teraz tych wszystkich rewelacji. Pokręcił głową, wymamrotał coś o tym, że zajmie się tym później, i dał się uśpić leczniczej magii.

Dwa dni później – i trzy dni po tym, jak stracił Kullena – Merik wybrał się w drogę do jaskini Niharów. Evrane mu nie towarzyszyła, gdyż, jak mu powiedziała, musiała natychmiast udać się do Klasztoru Caraweńskiego, zaś duma nie pozwalała Merikowi długo jej przekonywać.

Przychodziła i odchodziła, odkąd pamiętał. Zdążył się do tego przyzwyczaić.

Księżę szedł więc traktem przez las okrywający się zielonością traw, drzew i krzewów przetykanych świeżymi pąkami, maszerował wśród wrzawy bzyczących pracowicie owadów. Nie mógł zrozumieć, skąd ta eksplozja zieleni, ale cieszył się każdym źdźbłem i każdym liściem. Nie mógł też przestać myśleć o tym, jak bardzo by chciał, żeby Kullen zobaczył to wszystko.

Więziobrat nie opuszczał myśli księcia. Wspomnienia o nim płonęły żywym ogniem, strata męczyła jak widmowy ból w odciętej kończynie.

Widok dokazujących wśród chmur ptaków i skaczących w wodzie ryb nie przynosiły Merikowi radości. Hermin wiosłował pracowicie, szalupa przemierzała skrytą za wlotem jaskini zatokę, kierując się ku stojącej na kotwicy Janie.

Gdy admirał znalazł się na pokładzie, jego załoga stała w szeregu, zwarta, gotowa i oczekująca rozkazów. Na każdym ramieniu widniał pasek błękitnego materiału w hołdzie dla poległego oficera. Gdy Merik szedł wzdłuż rzędów, załoganci pozdrawiali go falą salutów.

Ledwie je zauważał, i bynajmniej nie tylko dlatego, że nie wrócił jeszcze do pełni sił i zmachał się, wchodząc po drabinie. Chciał się widzieć tylko z jedną osobą, która lepiej niż inni pojmie to, jak się teraz czuje.

– Przyrowadź do mnie Ryberę – nakazał Herminowi.

– Rybera... – zająknął się głosodziej. – Rybera zniknęła, sir.

– Jak to zniknęła? – Skrzywił się, nie pojmując. – Dokąd poszła?

– Nie wiemy, sir. Była na okręcie, gdy przy płynęliśmy po ciebie do Lejny, jeszcze w grocie sądziliśmy, że może jest gdzieś pod pokładem. Choć po prawdzie już wtedy nie byliśmy pewni. Wiemy tylko tyle, że na pewno nie ma jej na Janie.

Mars nie schodził z czoła Merika. Dokąd mogła pójść? Dlaczego odeszła?

– Zostawiła... wiadomość – ciągnął Hermin. – Ale nie napisała, dokąd się udała. List znajdziesz w swojej kajucie.

Merik ruszył tam od razu. Zagryzł zęby, gdy na zejściówce zaprotestowały połamane zębra. Droga zajęła mu o wiele dłużej niż zwykle.

Na łóżku leżał jego płaszcz, a na nim zapisana kartka papieru. Merik złapał ją i zaczął przesuwając wzrokiem po niemal nieczytelnych literach.

Mój Admirale, mój Książę,

wybac, że odchodzę. Odszukam cię pewnego dnia. Wykorzystaj ten czas, by stać się królem, za którego zawsze uważał Cię Kullen. Proszę Cię o to, gdyż Nubrevna Cię potrzebuje.

Rybera

PS. Sprawdź kieszeń płaszcza.

Zmarszczył brwi, przeczytawszy postscriptum. Kieszeń...?

Kontrakt!

Merik porwał swój płaszcz i sięgnął drżącymi rękami do kieszeni, z której wyłowił zgięty wpół dokument. Ostrożnie go rozłożył. Ostatnia strona nosiła ślady palców, jakby ktoś unurzał dłonie w popielnicy, a dopiero potem nakreślił zdecydowanym charakterem pisma:

Wuju,

nie bądź takim dupkiem, jeśli chodzi o ten kontrakt. Książę Merik Nihar zrobił, co mógł, by dostarczyć mnie całą i zdrową do Lejny, więc...

Odwrócił na drugą stronę.

...więc jeśli nie dotrę do wskazanego doku, który wybrałeś, bo taką miałeś ochotę – nie obwiniaj go. Książę Merik zapracował na umowę handlową z Hasstrelami. Obiecuję ci, wuju, że jeśli nie spełnisz swojej części umowy i nie podejmiesz handlu z Nubrevną, to sporządzę swoją własną umowę. I to bardzo dla ciebie niepomyślną, zapewniającą Nubrevnie wszelkie korzyści i wielkie pieniądze.

Pamiętaj: moje imię jest synonimem władzy, a wbrew twojemu zdaniu o mnie nie jestem zupełnie wyprana z inicjatywy

Pod spodem znajdował się obrzydliwie niechlujny bohomaz:

Safiya fon Hasstrel
domna Cartorry

Jakieś gorąco wspięło się Merikowi do samego gardła. Odwrócił dokument ponownie, by sprawdzić podpis doma Erona. Był tam. W odróżnieniu od zapisu o upuszczeniu krwi pasażerki, który został przekreślony trzema kreskami.

Merik nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Stał jak otępiały z kontraktem w ręce. I przypomniał sobie tamtą noc, gdy przyłapał Safiyę z ręką na jego klatce piersiowej. Ukradła mu wtedy dokument i dopisała te kilka zdań węglem z ogniska.

A teraz Merik miał upragnione umowy handlowe z Hasstrelami i z Marstokiem.

Z jego ust dobył się cichy, histeryczny śmiech. Nigdy nie myślał, że przyjdzie mu się mierzyć z tak dotkliwą stratą, a jednak w jego sercu rodziła się niezachwiana pewność.

Powoli, niemal po omacku, znalazł ręką łóżko i usiadł na skraju. Wyglądził sfatygowany kontrakt, plamiąc palce, i odłożył na bok.

A potem podniósł głowę i zaczął się modlić. Za wszystkich, których darzył miłością, i za wszystkich, których los mu odebrał, za wszystko, co zyskali on i jego lud.

Safiya fon Hasstrel wsparła się jedną ręką o nadburcie prywatnego galeonu imperatorowej Marstoku, drugą trzymając kulę. Zielony brzeg zdobytych przez Dalmocję ziem sunął leniwie obok, a Safi udawała, jak mogła, że nie gotuje się w palącym słońcu.

Wybrzeże porastały pojedyncze palmy, za którymi widziała zwarty, splełniony gąszcz dżungli i gdzieniegdzie małe rybackie wioski. Wilgotność zapierała dech w płucach. Prawdodziejka chciała cieszyć oczy widokiem, ale w tej spiekocie okazało się to niemożliwe.

Setki lat temu ta kraina należała do ludu zwanego Biljanami. Tyle przynajmniej pamiętała z lekcji historii. Wiedziała już, że nie warto wierzyć podręcznikom.

Gorąco odbierało ochotę do życia, ale przynajmniej jej biała, wełniana suknia zapewniała niejaki komfort, który mącił jedynie niewygodny żelazny pas na biodrach. Dominującym elementem azmirskiej mody było żelazo we wszelkich formach i odsłonach, niewątpliwie w wyniku działań imperatorowej Vanessy, żelazodziejki. I nic dziwnego, w końcu mogła dzięki niemu kontrolować każdego człowieka w Azmirze.

A jednak nalegała, by Safi oprócz pasa nałożyła również stalowy naszyjnik – delikatny i cienki łańcuszek bez zapięcia, który imperatorowa osobiście zamocowała jej na szyi na stałe, a którego Safi nie mogła zerwać mimo rozlicznych prób.

Bogom dzięki, pomyślała, że imperatorowa pozwoliła jej zatrzymać kamień Więzy, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z jego natury.

Usta Safi przyozdobił krzywy uśmiezek. Nie odejmując wzroku od brzegu, przeniosła ciężar ciała na kulę. Jej lewa stopa owinięta była bandażem i z każdym dniem wracała do formy dzięki wytężonym wysiłkom sześciorga uzdrowicieli należących do załogi Vanessy. Imperatorowa kilkakrotnie powtórzyła Safi, że nie chciała wcale zrobić jej krzywdy. Jak to ujęła? Że Safi jest „zbyt cenna, by obchodzić się z nią z taką nieuwagą”, że jej życie nigdy tak naprawdę nie znalazło się w niebezpieczeństwie podczas starcia w Lejnie.

Prawdodziejka magia orzekła, że to wierutne kłamstwo, ale Safi nie spierała się z imperatorową.

O wilczy cy mowa, pomyślała, słysząc za sobą charakterystyczne kroki. Vanessa podeszła do niej z właściwym sobie wdziękiem. Wiatr unosił połę jej czarnej szaty, wyrażającej hołd dla osiemnastu zmijów, którzy padli

ofiara rozszczepienia. Vanessa obiecała uhonorować ich pomnikiem, gdy tylko znajdą się w Azmirze.

– Przynoszę ci wieści – odezwała się po marstocku. – Dwudziestoletni Rozejm dobiegł końca. Cartorra sposobi się do ataku, chcą cię odzyskać. Miejmy więc nadzieję – uniosła brew – że nie pomyliłam się co do ciebie, prawdodziejko.

Vanessa uśmiechnęła się enigmatycznie i zupełnie bez emocji, po czym zostawiła Safi samą.

A ona osunęła się na kulę, oszołomiona i zagubiona. Nie miała pojęcia, czy się śmiać, czy płakać, bo stało się to, czemu próbował zapobiec wuj Eron i wszyscy jego zausznicy. Rozejm umarł przedwczesną śmiercią, pokój właśnie stał się niemożliwy.

A Safi bynajmniej nie pomagała swojemu wujowi, sprzymierzając się z Vanessą, to jest z Imperium Marstockim. Mimo to nie miała zamiaru żałować swoich decyzji ani nie przyjmowała na siebie poczucia winy nimi spowodowanego. Po raz pierwszy własnoręcznie torowała sobie drogę przez życie, grała swoimi własnymi kartami... a wśród nich była Imperatorowa i Czarodziej, pomyślała, uśmiechnąwszy się w duchu, choć myśl o kartach taro pociągnęła za sobą kolejną – o Rzeźbimieszku. Zapłonęła gniewem. Kiedyś wydrze mu z gardła swoje pieniądze.

Może nie miała u boku swojej więziosiostry, może nie kupiła domu w Veñazie i może teoretycznie była więźniem, ale nie lękała się już tego, co los miał dla niej w zanadrzu. „Szkoliłaś się w magii i w walce – powiedział jej wtedy Merik. – Władasz mocą, za którą można zabić. Pomyśl, Safi, ile mogłabyś zdziałać. Pomyśl, kim mogłabyś być”.

Westchnęła i poczuła, jak rozwiązuje się węzeł, który tak długo nosiła w sercu. Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś podobnego; miała wrażenie, że spływa na nią niewzruszony spokój, czuła się jak ślepiec, który odzyskuje jasność widzenia.

Wiedziała dokładnie, co może zrobić i kim może się stać. Dała Merikowi jego upragniony kontrakt i wygrała negocjacje z Marstockiem. Uformowała świat na nowo, uczyniła go lepszym.

Magia Safi wymruczała potwierdzenie i prawdodziejka poczuła ciepło i radość. A gdy wsunęła kamień Więzi pod sukienkę, rozwarła ramiona, by owionął je wiatr, i odchyliła głowę do tyłu, by opromieniło ją słońce. Uśmiechnęła się na myśl o przyszłości, która czeka ją w Marstocku.

PODZIĘKOWANIA

Przed wszystkim chcę podziękować mojej więziosiostrze Sarze J. Maas. Mhe verujta, braj. Jesteś moją bratnią duszą, bez której nie mogę się obejść, najlepszą przyjaciółką, która czyta pierwsze zarysy powieści, a potem drugie i trzecie, cheerleaderką, która wydobywa mnie z otchłani gier wideo i ciasteczek, gdy dopada mnie niemoc twórcza i chandra, a także inspiracją dla całego cyklu. Przyjaźń potrafi być opowieścią nie mniej epicką od miłości – a kto wie, czy nie bardziej – i to właśnie chciałam powiedzieć światu. I jeszcze jedna rzecz: gdybyśmy żyły w Czaroziemiach, totalnie byłybyśmy Cahr Awenami, no nie? A jak nie Cahr Awenami, to przynajmniej parą morskich lisów, które pożerają wszystko na swojej drodze.

Dziękuję Amity Thompson, która przeczytała mnóstwo wersji roboczych tej książki, zajmując się w tym czasie dziećmi i sama pisząc. Zawsze mogłam na ciebie liczyć, gdy borykałam się z jakimś fabularnym ślepym zaułkiem, gdy potrzebowałam dać upust frustracji lub pogadać o Dragon Age’u. Dziękuję ci za to.

Bardzo, ale to bardzo dziękuję Erin Bowman za jej bohaterskie wsparcie, za słuchanie, gdy mam ochotę gadać, za krytykę, kiedy potrzebuję krytyki, i za to, że po prostu jest. Zawsze.

Dziękuję Ashley Hubert, która jest wspaniała, która powiedziała mi, co myśli o Prawdodziejce, i która jak nikt podbudowuje moje ego. Tak bardzo się cieszę, że się poznałyśmy.

Dziękuję Nicoli Wilkinson, mózgowi stojącemu za drużyną Prawdodziejki. Merik jest twój. Albo K. Albo każda postać, której zapragniesz, bo wykonałaś dla tej książki i całego cyklu tytaniczną pracę. Nie umiem oddać słowami, jak bardzo jestem ci wdzięczna za wszystko, co zrobiłaś i dalej dla mnie robisz.

Dziękuję Maddie Meylor, która była ze mną od samego początku i z jakiegoś powodu jeszcze nie ma mnie dosyć. Dziękuję ci za czytanie,

gadanie i za to, że jesteś sobą.

Dziękuję Rosannie Silverlight, wraz z którą gromimy stwory ciemności. Sama jedna uratowałaś moją muzę swoimi nieustrudzonymi coachingowymi przemowami. A twoja opinia o książce była dokładnie tym, czego potrzebowałam, i pojawiła się dokładnie wtedy, gdy potrzebowałam.

Dziękuję pozostałym członkom mojej więziorodziny: Danowi Krokosowi, Derkowi Molacie, Biljanie Likic, Alexandrze Bracken, Vanessie Campbell, Sarze Jae-Jones, Jodi Meadows i Amie Kaufman. Za wiarę we mnie, za podsuwanie ramion, na których mogłam się wypłakać, za bezcenne opinie i za wspólne śmieszkowanie.

Dziękuję Lori Tinchler za odpowiadanie na moje głupie pytania oraz Cindy Vallar za pomoc w kwestiach marynistycznych.

Olbrzymie dzięki dla Jacqueline Carey za to, że znosi moją naiwność i moją fascynację celebrytami. Nigdy nie zdołam dostatecznie ci podziękować.

Dziękuję załogom Tor i New Leaf, które ciężko pracowały, by sprzedać moje książki i zmienić tę moją pisaninę w coś, co da się czytać, a także za piękną szatę graficzną całego świata Prawdodziejki. Bez was błędziłabym w ciemnościach. Dziękuję z głębi swoich trzech połączonych serc (tak, to o ciebie chodzi, Jo!). Whitney, masz „głęboką relację z nabią, której nigdy nie pojme”.

Dziękuję Misfits & Daydreamers oraz każdemu czytelnikowi, blogerowi i aspirującemu pisarzowi z osobna. Słowa nie oddadzą, jak jestem wam wdzięczna. Słuchacie mnie, nie ustajecie we wsparciu i codziennie przypominacie, dlaczego robię to, co robię.

Dziękuję swojej rodzinie – mamie, tacie, Davidowi i Jen – za to, że znoszą (i nierzadko pielęgnują) moją skłonność do śnienia na jawie, która charakteryzuje mnie od wielu lat... Dziękuję także, że chwaliliście się mną w markecie. Czuję się dzięki temu jak królowa życia.

I wreszcie: dziękuję mojemu mężowi Sébastienowi. Nie napisałabym tej książki (ani żadnej innej) bez ciebie i twojego niewyczerpanego, bezwarunkowego wsparcia. Kocham cię na zawsze i potem jeszcze trochę.

Truthwitch

Copyright © by Susan Dennard 2015

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2016

Copyright © for the translation (1–21) by Regina Kołek 2016

Copyright © for the translation (22–40) by Maciej Pawlak 2016

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Marta Pustuła

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Scott Grimando / grimstudios.com

Mapa – Maxime Plasse

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.





Wydanie I, Kraków 2016

ISBN EPUB: 978-83-7924-697-7

ISBN MOBI: 978-83-7924-696-0

 wsqn.pl

 WydawnictwoSQN


 wydawnictwosqn


 SQNPublishing

 wydawnictwosqn

 WydawnictwoSQN

 Sprzedaż internetowa labotiga.pl

 E-booki

 Zrównoważona gospodarka leśna

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

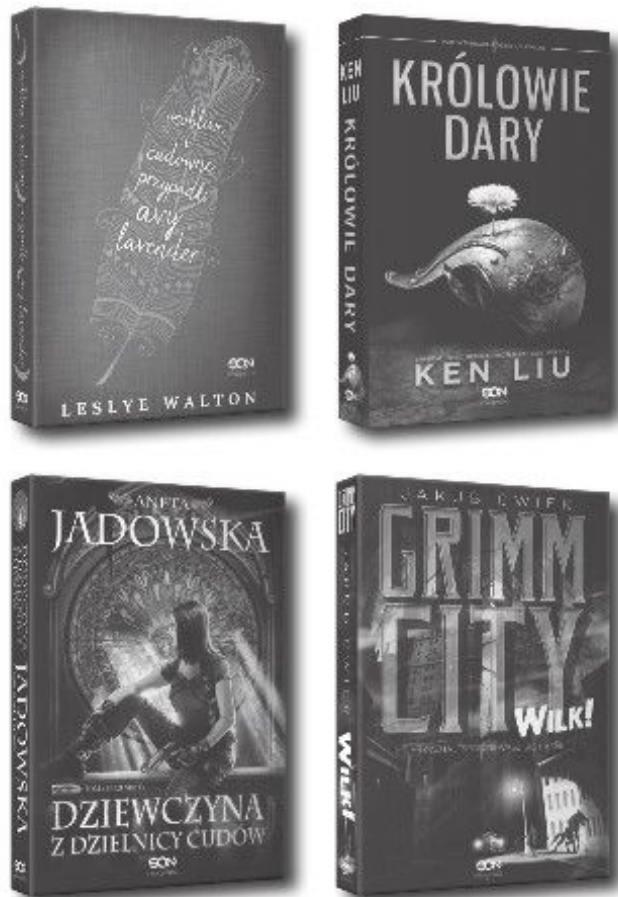
[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Podziękowania](#)

[Strona redakcyjna](#)

FANTASTYCZNE KSIĄŻKI



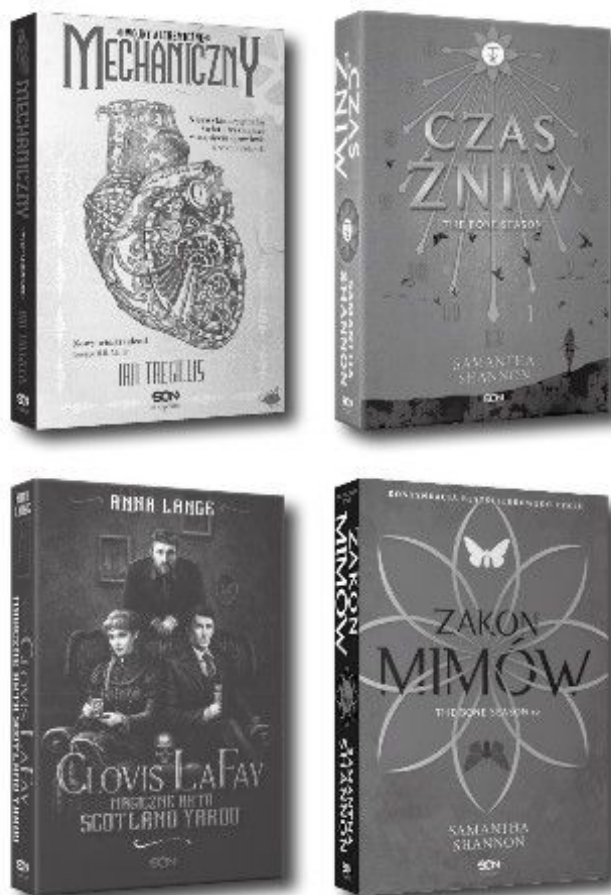
Szukaj w dobrych księgarniach i na
www.labotiga.pl

SQN

WYDAWNICTWO
SIRE QUA NON

www.wsqn.pl

WYDAWNICTWA SQN



Szukaj w dobrych księgarniach i na
www.labotiga.pl

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl